

Alex Scarrow

Anioł śmierci

October Skies

Przełożył
Robert P. Lipski



Dla Mamy i Taty z podziękowaniem za wszystko.

A zwłaszcza za literackie geny...

bardzo się przydają.

Ta książka jest dla was.

Podziękowania

Tak jak w wypadku moich dwóch wcześniejszych książek pragnę podziękować w tym miejscu grupie czytelników wersji pierwotnej, którzy pomogli mi stworzyć z niej obecną powieść. Myślę, że ta jest całkiem przyzwoita.

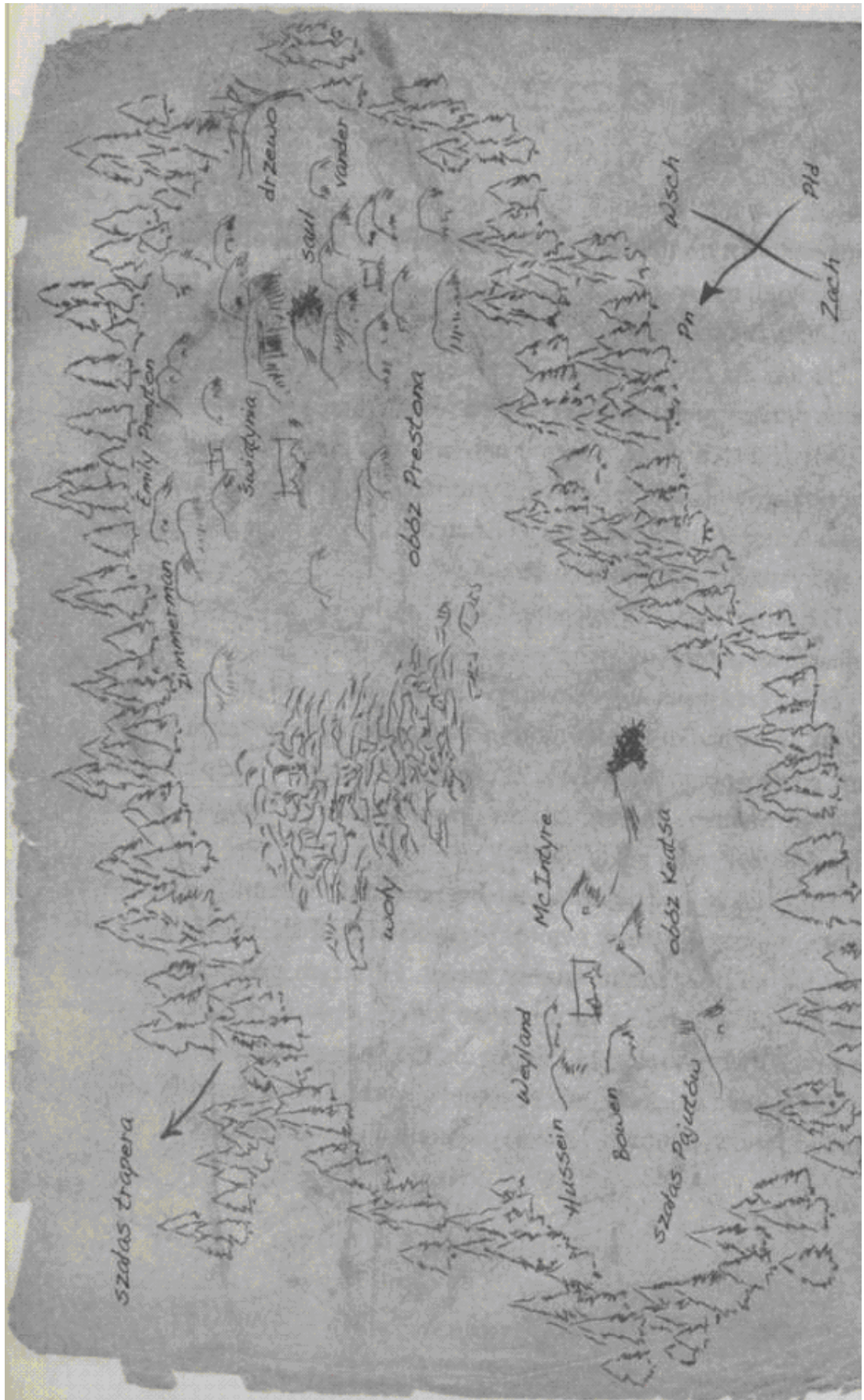
Uściski dla Robina i Jane Carterów oraz dla Johna Prigenta za gruntowne przejrzanie dwóch pierwszych wersji; Mike'owi Poole'owi za parę nader celnych uwag, a memu najstarszemu bratu Scottowi za trafne wypunktowanie kilku istotnych kwestii. To była piekielnie trudna książka, ciężko mi było nadać jej ostateczny szlif, chyba najtrudniejsza ze wszystkich, jeśli chodzi o ścisłość.

Dziękuję Tacie, za zachętę. Ciepłe słowa pojawiły się, kiedy ich najbardziej potrzebowałem.

No i rzecz jasna największe wyrazy wdzięczności dla Frances, która, jak w wypadku każdej mojej książki, starannie wstawia przecinki tam, gdzie *powinny* się znaleźć. (Prawdę mówiąc, stawiam przecinki jak William Shatner, dodając zdaniu dramatyzmu i wstawiając przecinki niekoniecznie tam, gdzie należy).

Chcę także podziękować memu nowemu, małemu laptopowi za dobrze wykonaną pracę i za to, że nie zawieszał się ani nie gubił plików jak mój poprzedni, marny sprzęt. Poza tym podziękowanie dla Starbucksa w Borders za mnóstwo kawy i ciastek czekoladowych - bez tych dwóch rzeczy ta książka nie mogłaby powstać.

Na koniec dziękuję jeszcze mojej agentce Rowan Lawton i redaktorowi Jonowi Woodowi za ich wsparcie oraz wskazówki.



Prolog

Dwie dziewczynki bawiące się na łące nad potokiem zobaczyły ją pierwsze: bladą postać przesuwającą się na skraju lasu, tuż za linią drzew. Ujrzały ją z daleka, poruszającą się powoli, pojawiającą się, znikającą i pojawiającą się na nowo wśród listowia, sylwetkę białego jak ściana, chudego jak patyk mężczyzny bez twarzy i z dwoma ciemnymi jamami w miejscu oczu.

Istota patrzyła na nie przez chwilę i zakołysała się lekko, przypatrując się im z uwagą ponad strumieniem wezbranym po ostatnich roztopach, znamionujących koniec tej długiej i srogiej zimy.

Tego było dla dziewczynek aż nadto. Odwróciły się i zaczęły uciekać. Gdy biegły po stromiźnie łąki pod górę, w kierunku miasteczka, miały wrażenie, że istota coś do nich woła, ten dźwięk brzmiał przerażająco i żałośnie zarazem.

Przebiegły przez miasteczko, pokonując coś, co od biedy można by nazwać główną ulicą - jak na środek tygodnia i wczesną porę roilo się na niej sporo handlarzy - kierując się w stronę domu i z przerażeniem wyrzucając z siebie bełkotliwe słowa; mówiły jedna przez drugą, usiłując powiadomić wszystkich, że widziały w lesie chodzący szkielet.

Niedługo potem szkielet był widziany przez Jeffreya Pohenza. Jeffrey, wysoki i szczupły nastolatek, odpoczywał przy tylnym wejściu do magazynu sklepowego, ciesząc się krótką, dziesięciminutową przerwą w dźwiganiu worków z mąką kukurydzianą; opierając się o ścianę, rozkoszował się promieniami słońca pieszczącymi jego twarz w ten niezwykle ciepły jak na porę roku dzień. Myślni błędził gdzie indziej... wspominając szczególną obietnicę złożoną mu ubiegłej nocy przez pewną młodą damę. Oczekiwanie na jej spełnienie sprawiało, że dzień dłużył mu się niemiłosiernie i nie mógł się na niczym skupić.

Rzecz jasna, gdy ujrzał szkielet wyłaniający się nagle spomiędzy drzew i gęstych krzewów wrzośca po drugiej stronie podwórza, zavalonego uszkodzonymi i naprawianymi właśnie podwoziami oraz osiami do kół, myśli o obiecany ekscytującym wieczorze w mgnieniu oka wyparowały z jego głowy. Istota, jakby żywcem wyjęta z wizji piekła Hieronima Boscha, zmierzała w jego stronę nader niezdarnym, powolnym, kołyszącym się krokiem, kościste ramiona i dłonie lśniły w blasku słońca, wyciągnięte w jego kierunku.

Jeff zrezygnował z ucieczki w głąb magazynu w obawie, że mógłby potknąć się o

zalegające na zapleczu towary. Miast tego obiegnął tylną część budynku, wypadając na otwarty, zapyłony plac i potykając się o wyschnięte, sprażone słońcem koleiny, powstałe zaledwie kilka dni wcześniej po deszczu, będące dziełem wielkich, obitych metalem kół ciężkich wozów.

- Jezu, na pomoc! - krzyknął, gdy w końcu podźwignął się z ziemi. - Za... za sklepem... jest... szkielet... mężczyzny!

Ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu Jeffreya, rozbawił widok młodego drąga o zmierzwionych włosach, który potykał się o własne nogi i wrzeszczał ze strachu.

Jeff odwrócił się, by spojrzeć w stronę drewnianego płotu, który przed chwilą obiegnął, spodziewając się ujrzeć wychodzącą stamtąd, powłóczącą nogami kościstą, bladą jak śmierć postać.

- O, Jezu... to... to...

Gordon Palmer, tragarz, który pracował w sklepie od frontu, pokręcił głową, wyraźnie przekonany, że Jeffowi zwyczajnie odbiło. Ten chłopak miał kielbie we łbie - w robocie, zamiast uczciwie pracować, ciągle tylko stroił sobie żarty.

- Co widziałeś, chłopcze?

Jeff popatrzył na niego.

- Kościotrupa! Wylonił się z lasu i szedł prosto na mnie!

Gordon wyprostował się, doszedłszy do wniosku, że może tym razem chłopak wcale się nie wygłupia. To mogli być ci przekłęci Indianie Nez Perce. Słyszał, że to plemię, wyruszając na wyprawę wojenną, ma zwyczaj malować całe ciała na białą.

- Co dokładnie widziałeś?

Jeff wskazał w stronę drewnianej ściany prowadzącej na tyły sklepu. Jego palec zadrżał gwałtownie.

- Tam... przysięgam, że coś wi...

I wtedy Gordon to zobaczył.

Szkielet, zataczając się, poczłapał naprzód, wyciągając przed siebie jedną kościstą rękę i przytrzymując się drewnianej ściany, by nie stracić równowagi. Pierwsze wrażenie Gordona było takie samo jak Jeffa i dwóch dziewczynek.

Zaraz jednak jego oczy wychwyciły inne szczegóły tajemniczej postaci: odzienie wiszące w strzępach i falujące na wietrze jak podarte proporczyki zawieszane na sznurze do bielizny, rozłazące się w szwach, porozpruwane buty powiązane byle jak kawałkami pnączy lub skórzanych rzemieni.

- Co u licha...? - wymamrotał, a jego przerażenie zostało zastąpione przez innego

rodzaju zgrozę.

Jeff, który stanął teraz obok niego, również zaczął wyłapywać te same szczegóły i zdał sobie sprawę z własnej pomyłki.

- O cholera. To człowiek.

Inni, którzy znaleźli się wówczas w pobliżu, spojrzeli w tę stronę i zobaczyli, jak istota, postąpiwszy niepewnie kilka kroków, napotyka te same koleiny co Jeff i potyka się, podobnie jak on. Runęła do przodu, lądując ciężko na nierównej ziemi, i po chwili skuliła się w sobie, przyjmując pozycję płodową.

- Niech ktoś pomoże temu nieszczęśnikowi! - zakrzyknął Gordon, podbiegając, by uklęknąć obok istoty. Z bliska w jednej chwili przekonał się, że ta rozdygotana, blada postać w łachmanach była kiedyś człowiekiem, teraz jednak z ledwością zasługiwała na to miano. Gdy spojrzął na tę wychudzoną, zamorzoną niemal na śmierć postać, dostrzegając jej wymizerowane oblicze oraz głęboko zapadnięte, przeraźliwie podkrążone oczy, zobaczył pustkę, której wspomnienie będzie go nawiedzać po kres jego życia i wpłynie na sposób, w jaki ubarwiać będzie tę historię, opowiadając ją swoim dzieciom i dzieciom swoich dzieci.

To były oczy kogoś, kto ujrzał na krótko samego anioła śmierci.

Nachylił się do mężczyzny.

- Sprowadzimy pomoc. Dostaniecie jeść i pić - wyszeptał, choć w głębi serca podejrzewał, że temu biedakowi nic już nie może pomóc. I wtedy te puste oczy odnalazły jego spojrzenie, a Gordon był gotów przysiąc, że w tych rozszerzonych źrenicach dostrzegł falujące ognie piekielne.

Boże święty, on może tu zaraz skonać.

Gordon wyciągnął rękę i delikatnie ujął jedną z kościstych, wyglądających jak szpony dłoni nieszczęśnika. Luźne fałdy skóry przywodziły na myśl obwisłe wole na szyi zgrzybiałego starca.

Żaden człowiek nie powinien umierać jako bezimienny.

- Czy możecie powiedzieć, jak was zwa?

Wąskie, spierzchnięte usta mężczyzny rozchyliły się, ukazując wyjątkowo długie zęby, dziąsła cofnęły się wskutek niedożywienia. Próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła dobył się tylko cichy bulgot.

- Powtórzcie - wyszeptał Gordon, nachylając się tuż nad twarzą tamtego. Policzek Gordona omiół ciepły, cuchnący, urywany oddech nieznajomego.

Mężczyzna spróbował ponownie, sapiąc i dysząc z wysiłku, ale w końcu udało mu się wydobyć z siebie szept przywodzący na myśl cichy trzepot skrzydeł.

- Mam na imię... Ben...

WSPÓŁCZEŚNIE

Rozdział 1

Czwartek

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Julian Cooke przykucnął wśród wysokich do kolan paproci, spoglądając w górę na gęsty baldachim igieł sosnowych i masywne pnie amerykańskich sosen dokoła, po czym odwrócił się, by popatrzeć w kamerę.

- Gotowa?

- Tak, kręcę - odparła Rose.

Wystudiowanym gestem przyglądził gęste, ciemne włosy i poprawił na nosie okulary w metalowych oprawkach.

- Wiele spośród opowiadanych przy ognisku historii wywodzi się właśnie z tego zakątka Ameryki, leśnych ostępów gór Sierra Nevada - zaczął, patrząc w obiektyw trzymanej przez Rose kamery cyfrowej. - Są to rozmaite opowieści: o duchach, porywaniu ludzi przez kosmitów, spotkaniach z Wielką Stopą... a nawet z Elvisem. - Julian uniół gęste, ciemne brwi i wzruszył ramionami.

To był jego znak rozpoznawczy. Wzruszenie ramion, wyraz łagodnego niedowierzania... skromny gest z lekką ironicznym cynizmem. Westchnął.

- Pewne osoby, z którymi tu rozmawiałem, mogłyby opowiedzieć wam o wielkim indiańskim duchu, wysokim jak dom, lecz niewidzialnym, przedzierającym się przez las i pozostawiającym za sobą szlak z powalonych drzew. Są też osoby, które opowiadają o zakapturzonym mnichu albo... o wiedźmie, na wpół widzialnej w słabym świetle zmierzchu. Rozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy z pełnym przekonaniem zapewniali mnie, że ich kolega zdołał nawet nagrać zakapturzoną postać na kamerę i to samo może wydarzyć się tej nocy... o ile dopisze nam szczęście.

Jego gęste, jak u Groucho Marxa, brwi znów się uniosły, a na ustach pojawił się cień drwiącego uśmiechu. Utrzymawał ten wyraz twarzy przez kilka chwil, po czym się rozluźnił.

- I jak? - spytał, zacierając zziębnięte dłonie.

Rose Whitely pokiwała głową.

- Całkiem nieźle. Choć może trochę przesadziłeś z ironią.

- Bzdura. Po prostu zagrałem to, co czuję. Nie cierpię monologów do kamery.

Wyłączyła sprzęt i z wprawą złożyła statyw.

- Potrzebujemy paru słów komentarza, Jules. Na razie mamy aż nadto materiału z rozmów z miejscowymi burakami... - Zerknęła w stronę strażniczki leśnej siedzącej na zwalonej kłodzie opodal i popijającej kawę z termosu. - Wybacz, Grace, nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

Grace pokręciła głową.

- Nie czuję się urażona - odparła głosem szorstkim od nadmiaru wypalonych co dzień papierosów.

Rose odwróciła się do Juliana.

- Tak czy owak, wyszło niezłe. Gdy tak przykucnąłeś wśród tych liści, wyglądałeś jak David Attenborough.

Julian się uśmiechnął.

- Naprawdę? - To mu się spodobało.

- No nie, nie bardzo. - Rose spojrzała w górę. Widoczne przez baldachim konarów i liści blade niebo zaczęło ciemnieć. - Chyba to tyle, jeżeli chodzi o zdjęcia. Światło jest już za słabe.

Julian pokiwał głową.

- Myślę, że na dziś skończymy.

Grace wylała fusy z kawy, zakręciła termos i wstała.

- Dobra - rzekła - do zmierzchu mamy jeszcze godzinę. Musimy znaleźć dużą, porządną polanę, aby rozbić namioty.

Schyliła się i podniosła swój plecak, zarzuciła sztucer na ramię i zaczęła przedzierać się przez gąszcz krzewów.

- Ruszajmy.

Julian obserwował ją przez chwilę, po czym stęknął, podnosząc plecak i zarzucając go na plecy. Rose minęła go, niosąc dwa razy cięższy ładunek - sprzęt obozowy, kamerę oraz resztę ekwipunku - i uśmiechnęła się.

- Ma kobieta charakterek, no nie?

*

Rose nagrywała ich przez filtr noktowizyjny. Julian usiadł obok Grace. Oboje oparli się o porośnięty mchem kopiec i popatrywali na rozciągającą się na wprost nich rozległą, otoczoną drzewami polanę. Było ciemno, choć oko wykol, jeżeli nie liczyć słabego blasku księżyca pojawiającego się sporadycznie, gdy wiatr rozganiał wiszące na niebie gęste chmury.

Rozmawiali cicho, nieomal szeptem, gdy Julian przeprowadzał z nią wywiad. A tu, wśród drzew, jej mikrofon wychwytywał cudowne odgłosy puszczy.

- Widziałaś tu kiedyś cokolwiek, Grace? No wiesz... gdy byłaś w tych lasach na patrolu? - wyszeptał Julian, a źrenice jego rozszerzonych oczu powiększały się jeszcze bardziej, gdy przepatrywał wzrokiem otaczającą ich ciemność. Szmaragdowozielony, ziarnisty obraz uzyskiwany dzięki trybowi noktowizyjnemu przydawał tej scenie osobliwego wyrazu, a Rose wiedziała, że to musi wyglądać niepokojąco - jakby lada moment coś miało się tu wydarzyć.

Grace pokręciła głową.

- Nie, raczej nie. Ale słyszałam to i owo. Ta puszcza żyje nocą równie aktywnie jak za dnia... a może nawet bardziej - odparła, a w chłodnym, nocnym powietrzu z każdym oddechem z jej ust wypływały obłoczki pary.

Rose miała na uszach słuchawki. Słyszała tylko to, co zdołał wychwytać mikrofon kierunkowy. Dla niej to wszystko było cudownie niepokojące. Lekki wietrzyk szumiał wśród jodeł i sosen wokoło. Kołyszące się gałęzie tworzyły w tle istny chór tajemniczych szeptów.

- Jak sądzisz, czemu akurat w tej puszczy i w tych górach dochodziło do tylu dziwnych zjawisk i niewyjaśnionych zdarzeń... które dały początek wielu miejscowym legendom? - zapytał Julian, przerywając ciszę.

Grace odpowiedziała ze spokojem, uważnie dobierając słowa:

- Mamy tu, w Blue Valley, *bogatą* historię. A gdy ma się bogatą historię, wiąże się to, jak sądzę, z licznymi opowieściami o duchach i zagadkowych zjawiskach. - Uśmiechnęła się. - Tyle tylko, że nie lubimy się nią chwalić, w przeciwieństwie do was, Angoli.

Julian pokiwał głową i się uśmiechnął.

Gdzieś w mroku trzasnęła pękająca gałąź, a Julian drgnął nerwowo, rozlewając kawę z utrzymanego oburącz kubka.

- Ee... Grace... co to mogło być? - Przełknął gwałtownie ślinę, a jego jabłko Adama uniosło się i opadło jak spławik na wodzie. Rose się uśmiechnęła, patrząc na zielonkawy obraz przed sobą.

Jules tak swobodnie zgrywa frajera.

- Nic takiego - odparła ze spokojem Grace. - To tylko odgłos łamiących się suchych gałęzi. To się zdarza. Nie ma w tym nic niezwykłego. Spokojnie.

- Boże, nie cierpię puszczy - wyszeptał. - Ale, ale, o czym to mówiłaś?

Grace skinęła głową.

- O historii tego miejsca. Jest naprawdę bogata. Najpierw Indianie, potem osadnicy.

Wiesz zapewne, że niedaleko stąd znajduje się Przełęcz Emigrantów.

- Przełęcz Emigrantów?

- Jedna, *jedyna* droga wiodąca przez Sierra Nevada. A w każdym razie była jedyna w połowie XIX w., kiedy na zachód migrowało prawie pół miliona ludzi.

Rose z przejęciem wsłuchiwała się w ochryply, gardłowy głos strażniczki leśnej, hipnotycznie, monotonicznie wymawiane samogłoski przesycił urok leśnych ostępów okraszony szorstkością będącą dziełem wypalanych od lat marlboro.

Idealny głos dla tego typu opowieści.

- W owych czasach ta droga miała wiele nazw: Przejście przez Południową Przełęcz, Szlak Emigrantów, Szlak Wolności... ty zapewne znasz go jako Szlak Oregoński. Właśnie tą drogą osadnicy przemierzali dzikie ostępy, by dotrzeć do Oregonu. Tyle że to nie był jeden utarty szlak. Raczej cała masa różnych dróg wiodących ze wschodu na zachód wzdłuż rzeki Platte w kierunku Gór Skalistych. Te szlaki przecinały się ze sobą, oferując bardziej lub mniej obiecujące skróty - jedne lepsze od innych. Ale niezależnie od tego, jak bardzo kluczyły i lawirowały, wszystkie nieodmiennie prowadziły w jedno miejsce. Zbiegały się w jednym newralgicznym punkcie. - Grace wyjęła i zapaliła papierosa. Płomyk zapalniczki rozjarzył się silnym blaskiem na ekranie podglądu Rose, po czym zaraz zgasł. - Na Przełęczy Emigrantów. Pół miliona opowieści przeszło przez tę górską przełęcz. - Zaciągnęła się dymem, a jej usta zasnurowały się jak kapciuch z tytoniem. - W owych czasach ludzie byli naprawdę zabobonni. O wiele bardziej religijni, pobożni, no wiesz. Jak, dajmy na to, mormoni.

Julian pokiwał głową.

- Znasz zwrot „zobaczyć słonia”?

- Nie.

- To jedna z legend, jakie zrodziły się na szlaku. Wszystkie trudy wędrówki, niegościnne terytorium, warunki pogodowe, choroby, oszuści, Indianie... nie wiedzieć czemu te czynniki połączyły się w jedną, budzącą grozę, milczącą bestię - słonia wielkiego jak góra, front burzowy albo strzaskane koło u wozu. Jeżeli ujrzalesz gdzieś w oddali na szlaku słonia, był to swego rodzaju zły omen, znak, że należało zawrócić i nie jechać dalej tą drogą. I tak się właśnie robiło, dziękując Bogu, że zobaczyłeś tego słonia z daleka, a nie z bliska.

Julian wlepił wzrok w ciemność. Rose instynktownie skierowała obiektyw kamery w tę stronę, ku linii drzew otaczających polanę.

- Myślisz, że coś dziś zobaczymy? - zapytał.

Grace zaśmiała się, ten dźwięk przypominał trzepot poruszanej wiatrem brezentowej plandeki.

- Może tego słonia, o którym mówiłam?

Julian odwrócił się, by zerknąć na strażniczkę, a potem spojrział prosto w kamerę, usta miał otwarte szeroko, brwi uniesione w pytającym grymasie, a oczy rozszerzone jak u zdenerwowanego czymś dziecka.

Rose zachichotała bezgłośnie. Julian był urodzonym komikiem i miał tak sugestywnie wyrazistą twarz, jaką kamera wprost uwielbiała.

Rozdział 2

Piątek

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Juliana obudziło parcie na pęcherz.

A niech to, muszę się odlać.

Zdał sobie sprawę, że musi wyjść z namiotu.

Z ogniska zostały już tylko żarzące się popioły, a zarówno Grace z jej uspokajająco wielkim sztuczerem myśliwskim, jak i Rose spały smacznie w swoich namiotach. Wcale mu się nie uśmiechało wędrować aż do linii drzew, aby opróżnić pęcherz. Grace jednak powiedziała im, żeby odlewali się możliwie jak najdalej od namiotów, bo woń moczu mogła rozdrażnić niedźwiedzia i zostać potraktowana jako oznakowanie nowej granicy terytorium.

- No dalej, rusz się, ty tchórzu - zganił sam siebie. Wygramolił się ze śpiwora, poszukał dłonią latarki, odnalazł ją, zapalił i sięgnął po okulary.

- Dwie minuty i wrócisz do ciepłego, miłego śpiworka.

Wypełzył z maleńkiego namiotu i omiół promieniem latarki połąć polany, ostatnie słowa, jakie usłyszał od Grace, przed udaniem się na spoczynek, niepokojąco ożywiły jego nadpobudliwy umysł.

Czy wiesz, że niedźwiedzie grizzly potrafią biegać równie szybko jak wierzchowiec? A te mniejsze... potrafią wspinać się na drzewa?

Julian się skrzywił.

- Tak, wielkie dzięki, Grace - wysyczał, patrząc, jak mgiełka jego oddechu rozplywa się szybko w chłodnym, rześkim powietrzu.

Przeszedł szybkim krokiem przez polanę, przestępując sterty zeschniętych liści i zwalonych kłód. Promień jego latarki migotał jak miecz świetlny pośród ulotnej, nocnej mgiełki, odnajdując nierówności gruntu pokrytego gęstą, gąbczastą warstwą mchu. Zdziwiło go, jak bardzo ten teren jest pofalowany, i stwierdził, że być może w przeszłości ktoś prowadził tu wyrąb lasu, ale z tych czy innych powodów przerwał tę działalność, pozostawiając na ziemi całe mnóstwo zwalonych, butwiejących pni i konarów, przez które on musiał teraz niezdarnie się gramolić.

Dotarł na drugi koniec polany i zatrzymał się na skraju, wpatrując się z niepokojem w gąszcz krzewów i poszycia ciągnący się aż do istnej ściany gęstego listowia, gdzie zaczynała się puszcza. Odwrócił się, by rzucić okiem na namioty.

Dwadzieścia metrów... czy to dostatecznie daleko?

Uznał, że to musi wystarczyć. Nic na świecie nie mogło go zmusić, aby wszedł między te krzewy i w *głąb* lasu. Nic z tego.

Wystarczy.

Rozpiął rozporek, czując narastającą potrzebę, której nie mógł już dłużej powstrzymywać, i z głośnym westchnieniem ulgi opróżnił pęcherz. Promień jego latarki odnalazł parującą srebrzystą strugę, oświetlając ją, gdy zraszała, jak woda ze szlauchu zmywającego pokrytą graffiti ścianę, delikatny kobierzec mchu na znajdującej się przed nim zaokrąglonej kłodzie. Dopiero kiedy strząsał ostatnie krople i zapiął rozporek, uważnie poświecił latarką dokoła, przepatrując niewielki splachetek ciemnego lasu; zaciekawiony na tyle, że postąpił krok naprzód.

Odsłonięte drewno było zadziwiająco gładkie, nienaturalne. Wyciągnął rękę i przesunął palcami po powierzchni. Drewno było stare i równo zaokrąglone. Potarł koniuszkami palców kolejny odsłonięty fragment, bez wysiłku zdrapując zeń mech. W świetle latarki spostrzegł pozostałości po zardzewiałej, metalowej obręczy, z której odpadło kilka ciemnobrązowych płatków. Skierował latarkę w dół, by dostrzec kilka nienaturalnie prostych wypukłości rysujących się na omszałej powierzchni i zbiegających się w jednym, centralnym punkcie. Starł mech z jednej z tych wypukłości, by odkryć gładki, sprażony słońcem i wysmagany wiatrem kształt, ten fragment drewna musiał być z całą pewnością wykonany z użyciem tokarki. Szprycha?

Wyprostował się.

- To koło. Koło od wozu.

Rozdział 3

Piątek

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

- Widzicie? - rzucił, wskazując ręką na polanę.

Grace i Rose rozejrzały się dokoła. Przez poranną mgłę mogli zobaczyć, że ma około stu metrów średnicy i w przybliżeniu eliptyczny kształt. Podłoże polany wyglądało jak rozległy, pofałdowany, zielonkawy kobierzec rozłożony delikatnie na zasypanej różnymi rzeczami podłodze w pokoju dzieciennym.

- Łał... cała polana to...?

- Jeden wielki obóz.

Rose z pomocą kamery, zataczając szeroki łuk, zrobiła jedno długie ujęcie. Julian ruszył w stronę zaokrąglonej wypukłości, ukląkł przy niej i stał pokrywający ją mech, ukazując szprychy kolejnego koła.

- Jeszcze jeden wóz - rzekł, lustrując wzrokiem polanę. - Musi być tu pogrzebanych z tuzin wozów.

Grace lekko przymrużyła oczy. Zdjęła służbową czapkę i zatknęła luźny kosmyk srebrnych włosów za ucho.

- Boże - powiedziała, wydmuchując przez nos smużki dymu. - Cały tabor, tu, w naszych górach. Rany... wędrowałam przez tę puszcę od lat - odwróciła się do Juliana - ale aż do tej pory nie wiedziałam, że one tu są.

Rose spojrzała na Grace.

- To nie lada znalezisko, prawda?

Grace bez słowa pokiwała głową.

- Do kroćset, to może być kolejna Wyprawa Donnera.

- Wyprawa Donnera?

- Grupa emigrantów, która zaginęła w drodze do Oregonu w połowie dziewiętnastego wieku. Poruszali się zbyt wolno, by dotrzeć do przełęczy, i pierwsze wczesne śnieżyce sprawiły, że utknęli w górach. Niedaleko stąd - jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, na południe.

- Słyszałem o tym - powiedział Julian.

Skinęła głową.

- Ponura historia, nie ma co. Zaginęli zimą, ale z nadejściem wiosny ich odnaleziono.

A raczej to, co z nich pozostało.

- Już samo brzmienie tych słów mi się nie podoba - rzekła Rose.

- No - potaknęła Grace. - Doszło tam do kanibalizmu. Ówczesne gazety były pełne najróżniejszych wersji tamtych wydarzeń. Przez wiele następnych pokoleń ludzie straszili dzieci tą opowieścią.

W milczeniu wpatrywali się w polanę, ich oczy starały się dostrzec - i dopasować odpowiednią historię do konturów ukrytych pod warstwą nagromadzonego przez półtora wieku detrytus organicznego.

- To, co tu jest - zaczęła Grace - to miejsce *dziedzictwa*. A co za tym idzie, muszę to zgłosić do Centrali Parków Narodowych.

Julian przygryzł wargę i się zamyślił.

- Grace, mogę cię przeprosić na chwilę? Rose, pozwól tutaj...

*

- Zmiana planów - rzekł do niej półgłosem. - No dobra, przyjechaliśmy tu, żeby wysłuchać wyspanych z palca opowieści miejscowych buraków o porwaniach przez kosmitów, Wielkiej Stopie i Nocnych Światłach Na Niebie.

Rose pokiwała głową.

- Tak, ale chyba z tego rezygnujemy?

Julian się uśmiechnął.

- Na Boga, nie. To temat zapychacz, który chciałbym zachować na później. Ale to - wskazał na otaczającą ich polanę - jest jak pieprzony Titanic.

- Zdajesz sobie sprawę, Jules, że jeśli ona to zgłosi, nie zatrzymamy tego na długo.

- Wiem. Grace to porządna babka i chce zrobić to, co należy. Bądź co bądź z punktu widzenia Ameryki to fragment jej zamierzchłej historii. Dla nich to coś jak odkrycie Stonehenge.

- O to mi właśnie chodzi. Na tym stanowisku zaroi się od studentów archeologii i wykładowców historii Ameryki.

Julian skinął głową.

- Ale *my* to znaleźliśmy, więc zasługujemy na laury i zagarnięcie tego tematu, czyż nie?

Rose potaknęła.

- Byłoby miło.

- Rose, mamy tu bardzo ważną, ludzką historię. Bardzo mocną i istotną. A jeśli uda się nam odkryć, kim byli ci ludzie i jak doszło do tego, że tu skończyli, albo gdyby okazało się, że przeżyli...? - Powiódł wzrokiem po nierównej połaci polany. - Powinno tu być sporo zagrzebanych artefaktów osobistych, dzięki którym poznamy nazwiska tych ludzi. To pozwoli nam odkryć więzi z rodzinami, które ci ludzie musieli gdzieś pozostawić, a ich współcześni potomkowie na pewno opowiedzą nam osobliwą historię rodzinną o stryjecznym dziadku Billu, który wyruszył na zachód w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej i wszelki śluch po nim zaginął. - Julian odwrócił się do niej. - Uważam, że powinniśmy rzucić w cholerę ten durny projekt, nad którym pracowaliśmy, i zająć się raczej tym.

- Hmm. - Rose postukała się palcem wskazującym w podbródek. - Czy ktoś nie zlecił nam tego *durnego projektu*? No wiesz... za pieniądze? Jakiś klient z kasą?

- Chrzańić to. Reality UK to trzeciorzędny kanał tematyczny, który zapłaciłby nam za to grosze. Równie dobrze możemy olać ich i ich marny szmal.

Rose nie była do końca przekonana.

- Forsa to forsa.

- Posłuchaj, wiem, że ostatnio jest z forszą krucho, ale znajdę inne niezależne źródła, które sfinansują nam ten projekt. Albo jeszcze lepiej, pogadam z pewną osobą z BBC. Wciąż mam dobre układy z Seanem i chłopakami z Panoramy. Wszyscy będą chcieli w tym uczestniczyć. - Przeniósł wzrok na Grace, która przykucnąwszy, ostrożnie przyglądała się odsłoniętym przez niego fragmentom koła. - Potrzebujemy trochę czasu - powiedział.

Rose zdjęła z ramienia torbę i zaczęła wypakowywać kamerę.

- Powinnam sfilmować, ile się da, no wiesz, póki stanowisko jest praktycznie nietknięte.

Julian przytaknął:

- Racja. Pogadam z Grace. Może uda mi się ją przekonać, aby zadzwoniła do swoich przełożonych trochę później.

*

Grace z głośnym świstem wciągnęła powietrze przez zęby.

- Zrozum, muszę zgłosić to zarządowi parków. Tak czy siak, to miejsce dziedzictwa.

Julian skinął głową.

- Taa.

- Musisz mnie zrozumieć - westchnęła. - Bóg jeden wie, co oni z tym robią. Pewnie postawią tu kiosk z pamiątkami i oznakują jako ciekawe miejsce, by uwzględnić je na trasach

wycieczkowych - mruknęła, wydmuchując kłęb dymu i kręcąc głową. - Ale niezależnie od wszystkiego, muszę to zgłosić. - Strażniczka pokręciła głową. - Przykro mi, ale muszę kogoś o tym powiadomić. Moich przełożonych, rozumiesz? W przeciwnym razie, gdy wszystko to wyjdzie na jaw, zaroi się tu od poszukiwaczy pamiątek i oczyszczą to miejsce do gołego.

- Wiem - przyznał Julian. - Chyba masz rację, trzeba to zrobić. Ale może dałabyś nam trochę czasu? Pozwól, by Rose sfilmowała to stanowisko tak, jak wygląda obecnie, nienaruszone. Bo... nawet jeżeli Zarząd Parków zdoła tu postawić sklepik z pamiątkami i parę smażalni w pobliżu, strażnicy dziedzictwa narodowego rozniosą to miejsce na strzępy, rozstawiając wszędzie znaczniki. To będzie wyglądało jak pieprzony plac budowy z żółtodziobami z archeologii i z zespołami rozmaitych telewizji bezlitośnie depreczującymi wszystko, jak leci.

Grace przyglądała mu się w milczeniu stalowoszarymi oczami.

- Wiesz, jak to się skończy, prawda? - spytał Julian. - Wszyscy będą chcieli uszczknąć coś dla siebie; Zarząd Parków, władze stanowe, prasa lokalna i ogólnokrajowa.

Grace wzruszyła ramionami. Zarząd Parków zniszczył stuletnie obozowisko drwali, aby zbudować na tym miejscu kemping Blue Valley. Nie oszczędzili nawet rzeki Tahoe, aby obóz leżał nad samą wodą, i stworzyli w związku z tym malownicze jezioro. Wiedziała doskonale, co grube ryby mogą zrobić z tym miejscem.

- Grace, daj mi szansę, by dowiedzieć się, kim byli ci ludzie, i poznać ich historię.

Jej ogorzałą twarz pokryły zmarszczki podejrzliwości.

- Chcesz zająć się tym tematem?

Julian uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- No, tak.

Nie odpowiedziała.

- Proszę. Będziemy bardzo, ale to bardzo ostrożni, obiecuję.

Oczyma wyobraźni widziała już sklepik z pamiątkami, dioramę

„Jak to musiało wyglądać” pośrodku, a obok plac zabaw dla dzieci, wyłożony dla bezpieczeństwa gąbką i kauczukiem, a dla wygody gości gniazdka elektryczne zamontowane w pniach drzew, dokoła...

Wyduła wargi.

...I porozrzucane na przestrzeni wielu kilometrów wokół tego miejsca walające się na ziemi opakowania po snickersach.

- Grace, jestem badaczem. Pracowałem dla BBC. Jestem najlepszy w tym, co robię. Potrafię dopasować twarze i głosy do ludzi, którzy tu spoczywają, i mogę to zrobić, zanim to

miejsce zostanie rozniesione pod butami tzw. ekspertów.

- Nie jestem pewna.

- Posłuchaj - rzekł, biorąc głęboki oddech. - Jak sądzisz, co zrobiłaby z tym ekipa wiadomości z FOX-a? Jeżeli zwęszą, że ci ludzie skończyli jak Wyprawa Donnera, to będzie koniec. A szmatławce w rodzaju „National Enquirer”? Skończy się na sensacyjnej historii o kanibalizmie i tyle. Daj mi tydzień, może dwa, a dowiem się, kim oni byli, poznam ich marzenia, co sprawiło, że wyruszyli na Zachód i jak to się stało, że tu ugrzęźli.

- Dwa tygodnie?

- Nie więcej. To spoczywa tu od... ilu? Stu pięćdziesięciu lat? Czy dwa tygodnie może cokolwiek zmienić?

Na jej twarzy pojawił się nieodgadniony grymas, gdy sięgnęła po wygniecioną paczkę marlboro i wyciągnęła z niej kolejnego papierosa.

- Poza tym nie będziemy tu przez cały ten czas. Tylko dziś i może jeszcze później wrócimy na dzień lub dwa. Niech Rose nakręci tyle, ile jej potrzeba, a ja rozejrzę się trochę, może znajdę jakieś przedmioty osobistego użytku...

Grace spojrzała na niego z przejęciem.

- Będę ostrożny i bardzo, ale to bardzo uważny - rzekł, unosząc obie ręce do góry w geście kapitulacji.

- Nie chcę, żebyście roznieśli to miejsce na strzępy - rzekła surowym tonem.

Julian spojrział na nią z błagalną, pokorną miną psiaka proszącego o resztki ze stołu.

- No dobrze - burknęła oschle, zapalając papierosa. - Macie dwa tygodnie.

Rozdział 4

Piątek

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Rano Rose cierpliwie sfilmowała stanowisko ze wszystkich stron. Julian dodał kilka komentarzy na bieżąco. Ustawiła kamerę na polanie, aby nakręcić, jak on i Grace wychodzą spomiędzy drzew i udają zaskoczenie dokonany odkryciem.

Julian zdziwił się, jak uległa i ustępliwa jest Grace. Ta kobieta o twarzy srogiej belferki, która zdawałoby się, nie tolerowała podobnych oszustw, bez szemrania poszła na wszelkie ustępstwa i robiła, co jej kazali. Do południa Rose nagrała tyle materiału, ile potrzebowała na początek, i zajęła się zbliżeniami w wysokiej rozdzielczości odsłoniętych fragmentów taboru.

W miarę jak eksplorowali stanowisko, delikatnie usuwając warstwę mchu i torfu, stało się jasne, że pod nią ukryte jest dużo więcej; drewno, z którego były zbudowane dawne wozy, nie zniosło dobrze próby czasu - było zbutwiałe, szerniałe i postrzępione jak przeżarte próchnicą zęby. Jednakże pośród tych delikatnych szczątków drewna zaczęli odnajdywać mnóstwo przedmiotów osobistych, które zachowały się zdumiewająco dobrze.

W ciągu ostatniej godziny Julian odkrył całkiem sporo starej ceramiki - naczynia stołowe, w większości w jednym kawałku, ukryte w beczkach z mąką kukurydzianą. Odnaleźli też zardzewiałe pozostałości długolufowego muszkietu, który Grace nazwała strzelbą Kentucky, oraz resztki kilku drewnianych skrzynek na narzędzia - w tym jedną z całym asortymentem narzędzi ciesielskich, których metalowe uchwyty zmatowiały od korozji.

Na dnie płytkiego rowu, otoczonego postrzępionymi, drewnianymi żebrowaniami sterczącymi z ziemi jak długie, gruzłowate palce szponiastej łapy, Julian odkrył to, co miał nadzieję znaleźć.

Przykucnął w rowie, odgarniając na bok wilgotny torf. Jego palce przesunęły się po krawędzi znaleziska: małej, metalowej skrzyni, czarnej i pokrytej rdzą, ale nadal szczelnie zamkniętej. Z przodu znajdował się zamek, ale rzecz jasna od dawna był niesprawny. Czas, wilgoć i warunki pogodowe sprawiły, że zamek zmienił się w jedną, niewzruszoną bryłę obłazącego, oksydowanego metalu. Julian wyjął scyzoryk i spróbował sforsować zamek

końcem ostrza. Metal zaczął ustępować.

- Co tam masz? - spytała Grace, stając nad nim.

Julian drgnął.

- Jezu... nie zauważyłem cię. - Wskazał na skrzynię. - Jest nietknięta. To niesamowite.

Wskoczyła do rowu, obok niego, i powiodła wzrokiem po sterczących w górę drewnianych pałakach, wystających z ziemi wokoło nich.

- Wygląda na to, że zbudowali z wozów coś w rodzaju szałasów.

- Wiedzieli, że się stąd nie ruszą.

Grace pokiwała głową.

- I dlatego rozebrali swoje wozy na części. Musieli tu ugrzęznąć na bardzo, bardzo długo.

Wtem coś mu przyszło do głowy.

- Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnych ciał, Grace. Jak sądzisz, dlaczego?

- Zajęły się nimi zwierzęta. Każdy, kto tu umarł, musiał bardzo szybko stać się karmą niedźwiedzi czy kuguarów.

- Czy wobec tego nie powinny się tu walać kości?

Grace pokręciła głową.

- Nie tutaj. Może, jeżeli dobrze poszukasz, znajdziesz je poukładane równo w jakimś zagłębieniu terenu, na pobliskim zbocz, jak ogórki w słoiku. Spizarnia niedźwiedzia. Może być o kilkaset metrów, a równie dobrze i o kilometr stąd.

Uśmiechnęła się chłodno do Juliana.

- Podejrzewam, że porzucenie ciała w tych górach to najlepszy z możliwych sposobów na pozbycie się trupa. Natura przetworzy wszystko. Nic się nie zmarnuje.

Przeniosła wzrok na skrzynię, której Julian wciąż dotykał ręką.

- Zamierzasz to otworzyć?

Julian pokiwał głową.

- Muszę znaleźć jakieś nazwiska. Jeżeli zdołamy zidentyfikować jedną, dwie osoby, które tu skończyły, to powinno mi wystarczyć do rozpoczęcia poszukiwań.

Grace przez chwilę wpatrywała się w skrzynię. Nie wyglądała na zadowoloną.

- Ale będziesz ostrożny, jeżeli chodzi o zawartość?

Julian posłał jej szczery uśmiech.

- Wyjątkowo ostrożny, Grace.

Podejrzliwie zmarszczyła brwi, przypatrując mu się przez chwilę, aż w końcu ciekawość zwyciężyła.

- Dobra. Więc zrób to.

- W porządku. - Julian uśmiechnął się i odetchnął głęboko. - Delikatnie i ostrożnie, możesz być pewna.

Jeden skręt ostrza scyzoryka i zamek odpadł wśród płatków rdzy. Julian próbował podnieść wieko, ale przywarło mocno do skrzyni. Powoli, z wyczuciem przesunął ostrzem scyzoryka wzdłuż krawędzi wieka, usuwając kolejne fragmenty rdzy i grudki ziemi. Jeszcze jeden ruch ostrza i wieko uniosło się z trzaskiem, a w ciszy, jaka wtedy zapadła, usłyszeli świst powietrza wpływającego do środka...

- Boże, ta skrzynia była naprawdę szczelnie zamknięta - wyszeptał Julian. Uniósł wzrok, by spojrzeć na Grace. - To bardzo dobra wiadomość. - Powoli uniósł wieko, mamrocząc pod nosem: - I co tu mamy?

Była to nieduża skrzynia, mieszcząca niewiele, i jak się okazało, wewnątrz kompletnie sucha. Dostrzegł w rogu skórzaną sakiewkę. Szturchnął ją delikatnie, domyślając się, że w środku znajdują się monety. Zauważył też pędzel do golenia, zrobiony, jak sądził, z sierści borsuka. Kubek na wodę z mlecznego szkła i lusterko w ozdobnej srebrnej ramce. Julian podniósł lusterko i obrócił w dłoniach. Z tyłu widniał wygrawerowany napis.

- B.E. Lambert - przeczytał niemal szeptem Julian.

Zauważył oprawioną w ramkę fotografię. Odwróciwszy ją, zobaczył wyblakły fotograficzny portret w kolorze sepii przedstawiający siedzącą dystygowaną kobietę w średnim wieku. Obok niej stał młody mężczyzna po dwudziestce o jasnych włosach zaczesanych na bok, z wyraźnym przedziałkiem, równie jasnymi bokobrodami i skromnym wąsikiem. Sądząc po podobieństwie rysów, Julian domyślił się, że byli to matka i syn. Żadne z nich się nie uśmiechało, oboje patrzyli z przejęciem w obiektyw aparatu. To był konwencjonalny portret. Julian zwrócił uwagę, że dłoń młodzieńca spoczywa delikatnie na ramieniu kobiety - ten drobny gest wydawał się wiele mówić.

Byli ze sobą blisko. A może to portret pożegnalny?

Julian delikatnie odłożył zdjęcie do skrzyni i wśród innych rzeczy wypatrzył oprawiony w ciemną skórę notatnik. Sięgnął i wyjął go ostrożnie ze skrzyni. Następnie, zerkając z ukosa na Grace, która skinieniem głowy dała mu znak, by kontynuował, otworzył go. Wewnątrz widniała inskrypcja nakreślona ewidentnie kobiecą, delikatną ręką. Eleganckie, lekko pochyle litery układały się w napis:

Benjaminie,

na wszystkie Twe przygody w Nowym Świecie.

Zapełnij te stronice swymi ekscytującymi historiami,

a potem wróć bezpiecznie do mnie, do domu.

Twoja kochająca matka.

Uśmiechnął się i spojrzał na Grace.

- Na znalezienie czegoś takiego właśnie liczyłem. - Wolno, z pietyzmem odwrócił pierwszą stronę; była krucha, pozółkła ze starości. Napotkał pierwszy zaopatrzonej w datę zapis, wykonany starannie, nader zgrabnym charakterem pisma. Było to nie tylko kilka pospiesznie zapisanych zdań, szkic nabrzeża i coś, co uznał za najistotniejszą informację, bilet za rejs z Liverpoolu do Nowego Jorku na pokładzie statku „Cathara”.

- Wyśmienicie. - Zaśmiał się i oderwał wzrok od dziennika. - To w zupełności wystarczy, by można było się dowiedzieć, kim był ten człowiek, Grace. To aż nadto.

Przewrócił kilka kolejnych stron, wpisy były coraz dłuższe, aż gęste od liter wypisanych starannym charakterem pisma, ozdobione ołówkowymi szkicami. Pośród tych cienkich jak pajęczne nici nakreślonych piórem zdań wychwycił nazwiska powtarzające się po wielokroć: *Preston... Keats... Sam... Emily...* aż w końcu zapiski stały się zbyt chaotyczne, zbyt zagęszczone i niewyraźne, a tusz pod sam koniec zbyt wyblakły, by mógł odczytać te pospieszne notatki.

Rozwodniony atrament. Facet robił, co mógł, aby jak najdłużej kontynuować swą relację, choć brakowało mu już inkaustu.

Coś mu mówiło, że ten oprawiony w burgundzką skórę dziennik to prawdziwa bomba: może nawet zawierał całą relację o wszystkim, co się tu wydarzyło. Musiał zeskanować te strony i wyczyścić je cyfrowo, aby były łatwiejsze do odczytania, zwłaszcza pod sam koniec.

- Grace, za pozwoleniem, chciałbym zabrać ten dziennik ze sobą, dobrze? Nic więcej.

Nie wyglądała na zadowoloną.

- Nie jest twój.

- Musimy sfotografować każdą ze stron. I przenieść zawartość na nośnik cyfrowy. Najszybciej jak się da. Papier jest nietrwały, a tusz bardzo słaby, zwłaszcza pod sam koniec. - Julian pokazał jej kilka stron. - Zobacz, jaki niewyraźny. Zupełnie jakby facet pisał samą wodą. Trzeba to stąd zabrać i umieścić w suchym, ciemnym miejscu.

Zamyśliła się przez chwilę.

Julian powoli zamknął dziennik.

- Jeżeli go tu zostawię, zniszczy się zupełnie. Trzeba go zabrać w bezpieczne miejsce i przerzucić zawartość do komputera. Możliwie jak najszybciej.

Kobieta zastanowiła się jeszcze przez chwilę, po czym pokiwała głową.

- Dobra.

- Dziękuję - powiedział. - No wiesz, że nam zaufałaś. - Julian uniósł wzrok i spojrzał w zimne, szare niebo. - Myślisz, że dziś spadnie śnieg?

Grace wzruszyła ramionami.

- Raczej tak. Taka pora. Śnieg sypie tu regularnie jak w zegarku. - Spojrzała na błądą pokrywą chmur powyżej. - Chyba niedługo będziemy musieli wracać. Mamy do zmierzchu jeszcze ze sześć godzin, ale trzeba pamiętać, że po południu czeka nas jeszcze powrót do obozu.

Julian wstał.

- Gdzie Rose? Pomogę jej pakować sprzęt. - Wygramolił się z rowu i zaczął ją wołać. Dostrzegł błysk jasnoczerwonej kurtki puchowej wśród drzew, po drugiej stronie polany; powoli przestępowała przez splątane wrzosi i korzenie z kamerą opartą sztywno na ramieniu.

Kręci dodatkowy materiał.

Grace tymczasem uklękła i powiodła palcami po szorstkiej, nierównej powierzchni metalowej skrzyni.

- Pan Lambert, pan Benjamin Lambert z Anglii - wyszeptała pod nosem. - Czy zechciałby pan łaskawie opowiedzieć nam, co się tu właściwie wydarzyło?

Rozdział 5

18 lipca 1856

Benjamin Lambert wyprężył się w siodle i dotknął palcami wytartej skóry pod sobą. Zadek miał obolały i czuł, że na lewym udzie, otartym do żywego przez jeden z nierównych szwów na siodle, pod wyświechtanym materiałem przetartych spodni zaczęły się tworzyć pęcherze. Ciało piekło przy byle dotknięciu i otarciu, gdy kuc, którego dosiadał, stapał, kołysząc się rytmicznie, niczym załadowany po brzegi szkuner na wzburzonym morzu. Jednak drobne dolegliwości i cierpienia poszły w zapomnienie, gdy przeniósł wzrok ze spoconego, falującego kłębu kuca na sprażony słońcem bezmiar prerii; setki tysięcy hektarów nieujarzmionej, niepodzielonej przez ludzkość ziemi. Nie było tu patchworku pól, starannie utrzymanych trawników, fantastycznych skalniaków czy kolorowych ogródków ani tarasowo ułożonych domów czy buchających fabryk wyrzysujących z siebie na wąskie brukowane uliczki tłumy brudnych, umorusanych robotników.

Tu, na bezkresnym odludziu, nie było zwirowanych traktów ani brukowanych dróg. Miast tego jedynie słabo widoczny, prawie niedostrzegalny szlak odcisnięty w sprażonej słońcem gliniastej ziemi przez poprzednie tabory mocno obciążonych wozów; tych, które przejeżdżały tędy wcześniej tego roku.

Ben rozkoszował się widokiem bezkresnego horyzontu, rysującego się tak ostro pomiędzy falującą ochrą preriowej trawy a surowym błękitem bezchmurnego nieba; nie było ani jednego drzewa, które przedzielałoby ten bezmiar.

Mój Boże, to właśnie to, po co tu przyjechałem.

Był to całkiem obcy krajobraz dla Bena, angielskiego mieszczucha, który przywykł do tego, że każdy cenny hektar ziemi, każda ścieżka i pole musiały, zgodnie z prawem, do kogoś należeć. Dopóki nie wsiadł na pokład okrętu i nie popłynął do Nowego Świata, a następnie, już na miejscu, nie zgłosił się do udziału w tej wyprawie przez nieopisany na mapach kontynent, miał świadomość, że przez dotychczasowe dwadzieścia pięć lat swego życia wciąż stapał po gruncie będącym czyjąś własnością.

A teraz znajdował się na terenach, które nie należały do nikogo. Ściągnął wodze swego kuca, oddychając z ulgą, gdy kołyszący ruch ustał choć na chwilę, dając odrobinę

wytchnienia jego plecami, pośladkami i udami. Zlustrował wzrokiem horyzont i szczyty górskie. Na zachodzie wzgórze były o wiele bardziej wyniosłe i zdawały się falować z gorąca; białe szczyty Gór Skalistych wręcz tańczyły w oddali.

To już nie tak daleko.

- Boże, to cudowne - wymamrotał pod nosem. To właśnie po to, z tego powodu tu przybył, aby zobaczyć to wszystko, zanim zjedzie tu chmara ludzi i rozdzieli te ziemie na poszczególne działki.

Obok niego przetaczały się wozy, wolno, lecz pewnie ciągnięte przez szóstkę wołów. Obrócił się w siodle, by spojrzeć wzdłuż taboru, naliczył w sumie czterdzieści pięć wozów. Jedne z nich były otwarte, niektóre nieduże, ale było też ponad dwadzieścia długich na trzy metry conestóg z rozszerzonymi burtami i z plandeką z mocnego płótna. Ta wyprawa osadników składała się z dwóch grup, które jakimś zrządzeniem losu wyruszyły z Fort Kearny na bezdroża w tym samym czasie i połączyły się, by stworzyć luźny, choć nieco wymuszony sojusz.

On sam w ostatniej chwili przyłączył się do mniejszej grupki pięciu wozów, które zebrały się przy placówce wojskowej, szukając innych chętnych do udziału w tej ciężkiej, niebezpiecznej wyprawie.

Fort Kearny był uważany przez większość osadników szykujących się do drogi za punkt graniczny, najdalszy kraniec Stanów Zjednoczonych Ameryki. Poza tą granicą była już tylko Boża puszcza i dzicz.

Wiele rodzin spędziło w tej placówce więcej czasu, niż powinny, zbierając w sobie siły, odwagę i zapasy na czekającą ich wyprawę. Ben dotarł tu i postanowił przyłączyć się do tych pięciu wozów z typową dla siebie beztróską i fantazją. To było ostatnich pięć wozów obozujących w pobliżu fortu i przygotowujących się do drogi. Przy wieczornym posiłku, wypiwszy trochę za dużo, Ben jakby od niechcenia oznajmił, że zamierza sam wyruszyć do Oregonu, oferując w zamian swoje lekarskie zdolności, i napisać książkę o swoich przeżyciach i przygodach. Bardzo szybko odwiedziono go od tego nieroztropnego pomysłu, zapewniając, że podróżując samotnie, bez jakiegokolwiek planu, a przede wszystkim bez przewodnika, nie przeżyje na szlaku nawet kilku dni.

Ben uśmiechnął się, rozbawiony własną lekkomyślnością i brawurą. Osadnikom udało się skutecznie go wystraszyć, do tego stopnia, że zapytał, czy mógłby się do nich przyłączyć, i sypnął nawet groszem, aby wynająć „Dzikiego” Billa Keatsa, przewodnika po preriach, który ubiorem przypominał bardziej Indianina niż białego. Keats z pełnym przekonaniem zapewnił ich, że przeprowadził dziesiątki wypraw bezpiecznie na drugą stronę Gór Skalistych i co

stanowiło większe wyzwanie, poza znajdujące się za nimi pasmo gór Sierra Nevada.

Wraz z Keatsem przybył jego indiański towarzysz, Złamane Skrzydło, z plemienia Szoszonów, jak zapewnił swoich klientów Keats, jednego ze szczepów przyjaźnie nastawionych do białych.

Drugi kontyngent tworzyło około czterdziestu rodzin prowadzonych przez ich Pierwszego Starszego i duchowego przywódcę, Williama Prestona, które przybyły tu z Council Bluffs w Iowa i zjawiły się w wielkim pośpiechu w dniu, kiedy Keats i inni właśnie wyruszali w drogę. Jako że obie grupy zamierzały wyruszyć na zachód w tym samym czasie i pragnęły zdążyć przed nadejściem pierwszych śniegów z przekroczeniem Gór Skalistych, słonych pustyń i łańcucha Nevada, Keats zasugerował, że grupy powinny się połączyć, gdyż większa liczebność zwiększała bezpieczeństwo.

Wyruszyli z Fort Kearny ostatniego dnia maja w słoneczny poranek, a ogorzały, pomarszczony jak stara skóra przewodnik oznajmił z powagą, że są ostatnią wyprawą, która zdoła przebyć góry w tym roku. Opuścili fort z Keatsem i jego grupą na czele, a wozy mormonów, prowadzone przez Prestona, jechały nieco z tyłu.

- Panie Lambert!

Ben odwrócił wzrok od odległych szczytów. Obok niego znalazła się conestoga Dreytonów. Ta niewielka rodzina wcale nie potrzebowała tak wielkiego wozu. Pani Dreyton była wdową i jak oceniał Ben, miała trzydzieści kilka lat. Jak inne mormonki ubierała się bardzo skromnie, w sięgającą od szyi aż do stóp suknię z ciemnego, mocnego materiału, a jej starannie upięte włosy zakrywał skromny czepek. Dzielila wóz z dwójką dzieci; Emily, piękną dziewięcio- czy dziesięciolatką, która wcale nie ukrywała, że uwielbia Bena, i jej starszym bratem Samuelem, wysokim, barczystym, muskularnym siedemnastolatkiem, o opalonej na brąz od słońca piegowatej twarzy i gęstych, jasnych włosach.

Młodzieniec trzymał w jednej ręce wodze, a drugą pomachał do niego.

- Dzień dobry!

- Dzień dobry! - zawołał do nich radośnie Ben. Ściągnął cugle kuca i podjechał, wraz z drugim, prowadzonym z tyłu i dźwigającym cały jego ziemski dobytek, w stronę conestogi. Zrównał się z ciężkim wozem, który toczył się hałaśliwie przy wtórze brzęku patelni i garnków zwieszających się na hakach na zewnątrz i skrzywienia uprzęży wołów przed nimi.

Samuel i Emily uśmiechali się szeroko i promiennie w przeciwieństwie do reszty grupy Prestona, która zawsze miała ponure, skwaszone miny.

- Jak podróż? - zapytał Sam.

Ben poruszył się w siodle i skrzywił.

- Mam wrażenie, że na moich pęcherzach zaczynają tworzyć się nowe.

- Zawsze może pan przywiązać kuca z tyłu i usiąść tu, obok mnie - zaproponował Sam. - Miejsca jest dość.

Oblicze Emily wyglądającej z wnętrza wozu ponad ramieniem brata się rozpromieniło.

- Och, miejsce na pewno się znajdzie, panie Lambert, prawda, mamusiu?

Pani Dreyton spojrzała najpierw na dzieci, a potem na Bena.

- Nie sądzę, aby to było właściwe - rzuciła beznamiętnie. - A ty, Emily, włóż natychmiast swój czepek. Jest dziś silne słońce!

- Mamo - jęknęła Emily - od tego robi mi się gorąco w głowę.

Matka spojrzała na nią srogo.

- Chcesz mieć brązową buzię jak jakiś dzikus?

Emily pokręciła głową.

- To nałóż czepek.

Następnie przeniosła wzrok na Bena, a jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że na koźle nie ma dla niego miejsca.

Ben odparł pospiesznie:

- Nic nie szkodzi, pani Dreyton. Całkiem dobrze mi tu, gdzie jestem.

Sam wzruszył przepaszająco ramionami. Emily wyglądała na zawiedzioną. Lubił tych dwoje dzieci. Reszta grupy trzymała się razem pod czujnym i srogim okiem Prestona oraz jego lojalnych Starszych. Wszyscy byli zbyt ponurzy i poważni, aby stanowić doborowe towarzystwo w długiej podróży - wydawali się nazbyt świętoszkowaci, jak ich określił Keats zaledwie po dwóch godzinach wspólnej wędrówki. Ale tych dwoje aż promieniało z radości. Miło było na nich popatrzeć.

Zawrócił kuca, świadom, że mormoni jadący opodal mogliby zacząć gadać, gdyby za bardzo i na zbyt długo zbliżył się do wozu Dreytonów.

- Życzę miłego dnia - rzucił Ben, uchylając kapelusza.

Sam zawołał do niego:

- Napije się pan z nami kawy, panie Lambert? Podczas postoju w południe?

Matka spojrzała na młodzieńca szarymi, zimnymi jak stal oczami.

Ben pokiwał głową.

- To miło z twojej strony, ale może nie dziś.

Zawrócił i dźgnięciem kolana ponaglił kuca, by przeszedł w nieco bardziej ożywiony trucht, kierując go w stronę czoła kolumny, gdzie niewielki kontyngent wozów, prowadzony przez Keatsa, toczył się naprzód pośród tumanów kurzu.

Rozdział 6

Sobota

Kemping przy Parku Narodowym Blue Valley, Kalifornia

Wyszli z lasu na zwirowany parking w chwili, gdy blade jesienne słońce skryło się za wierzchołkami drzew. Stały tu tylko dwa samochody - cherokee Grace z logo Parku Narodowego i wynajęta z biura Hertza toyota prius Juliana.

Wymienili pożegnania, a Grace podała im numery telefonów do siebie, do domu i na komórkę, aby do niej zadzwonili, gdy znowu zechcą wybrać się na wyprawę. Stanowczo zapewniła ich, że postąpi zgodnie z umową, powiadamiając zarząd parków za dwa tygodnie... ale nie później.

Julian i Rose podziękowali jej, a potem patrzyli, jak wrzuca plecak do bagażnika i ostrożnie wkłada służbowy sztucer do futerału na tylnym siedzeniu. Wsiadła, pomachała do nich, uruchomiła dżipa i wzbijając spod kół fontanny pyłu i żwiru, wyjechała z parkingu na jednopasmową drogę wiodącą w dół górskiego zbocza do najbliższego miasteczka, Blue Valley, o pół godziny drogi pośród jednego z najcudowniejszych krajobrazów, jakie miał okazję oglądać Julian.

- Myślisz, że dotrzyma słowa? - spytał Julian.

- Że nie powie szefowi? - Rose skinęła głową. - Tak, uważam, że tak. Chyba ją przekonaliśmy.

Julian odblokował zamek w aucie i wrzucił swój plecak na tylne siedzenie.

- No i jak, Rose... co o tym myślisz?

Delikatnie umieściła torbę z kamerą na tylnym siedzeniu i ułożyła obok złożony statyw.

- Myślę, że trafiliśmy na żyłę złota - mruknęła, starając się stłumić uśmiech podniecenia cisnący się na jej usta. - To jak, rezygnujemy z tego drugiego projektu?

- Jasne - odparł, otwierając drzwiczki od strony kierowcy i sadowiąc się za kółkiem. - To bzdura - dodał, umieszczając swe długie, chude nogi we wnęce pod kolumną kierownicy.

- Na pewno?

- Jeszcze jak.

Rose westchnęła i ciężko usiadła obok niego, zapinając pasy.

- Wiesz co, podoba mi się ten nasz układ partnerski. Ty o wszystkim decydujesz, a ja tylko tępo kiwam głową.

Julian poczuł wyrzuty sumienia, ale nie dał tego po sobie poznać. Rose była jednoosobowym studiem produkcyjnym. Sprawnie radziła sobie z kamerą, była solidnym dźwiękowcem, błyskotliwym montażystą, bez niej nie dałby sobie rady. To dzięki jej talentowi powstały filmy, które stworzyli wspólnie przez ostatnich parę lat; Julian był jedynie słabo rozpoznawalną twarzą z telewizji firmującą ich niewielką firmę Soup Kitchen Studios.

Interes się kręcił, ale bez rewelacji. Wykorzystali dobrą sytuację na rynku, aby ich firma jako tako prosperowała. Jednak rynek coraz bardziej się nasycił, a on sam, Julian, osiągnął jedynie status drugorzędnej gwiazdy telewizyjnej. Był co prawda rozpoznawalny, niektórzy zapewne pamiętali nawet jego nazwisko...

Ten, jak mu tam, Cooke...

Julian osiągnął szczyt swojej dotychczasowej kariery przed pięciu laty jako gospodarz wieczornego, dość bulwersującego teleturnieju z wiedzy ogólnej. Jego uczestnikami byli zwykle znani komicy, dziennikarze i mający parcie na szkło parlamentarzyści. Julian Cooke przynajmniej przez dwa lata był kimś, a jego nazwisko wiele znaczyło. Wcześniej przez piętnaście lat pracował w BBC jako asystent kierownika produkcji, a później jako starszy researcher. Nie pamiętał dokładnie, jak doszło do tego, że znalazł się przed kamerą, ale stało się to błyskawicznie po tym, jak w wolnym czasie przygotował gorący materiał do wyemitowania „na już”.

Teleturniej nie był wielkim przełomem, ale stał się dla niego przepustką do roli prezentera przy różnych filmach dokumentalnych. Mniej więcej w tym samym czasie spotkał Rose, absolwentkę studiów nad mediami, która kręciła zdumiewająco zabawne, satyryczne, kąśliwe filmiki i umieszczała je na YouTube. Kiedy po raz pierwszy zetknął się z jej pracami, miała już ugruntowaną renomę na YouTube, a każdy z jej pięciominutowych filmików zyskał sobie ponad sto tysięcy widzów.

Dla Juliana Soup Kitchen Studios było właściwym kolejnym posunięciem; małe, zgrabne studio z mnóstwem technologicznego know-how, rozpoznawalną twarzą i prezenterem mogącym tanio i szybko pokonać stacje konkurencyjne.

Błyskawicznie nakręcili cykl reportaży o różnych postaciach: kandydacie do parlamentu z ramienia Brytyjskiej Partii Narodowej, muzułmańskim duchownym, który wrócił niedawno z Guantanamo, weteranie wojennym z Iraku, który próbował odbudować swoje życie (i twarz), byłej gwiazdce opery mydlanej, usiłującej zrobić karierę jako

piosenkarka, „królu ASBO” - mocno dwuznacznym zamaskowanym bandziorze, który lubił chępić się swymi przestępczymi dokonaniem, dentyście Dennisie, czarującym staruszką, który odsiadywał niebotyczny wyrok za zamordowanie ponad tuzina swoich pacjentów, i Tonie, kapeli gitarowej z Reading, która choć bliska osiągnięcia sukcesu, nigdy nie zdołała wspiąć się na szczyt.

To był wspaniały cykl reportaży: Niezwyčajni Zwyczajni.

Od tego czasu on i Rose nie byli w stanie zrobić niczego naprawdę przełomowego, podejmowali się tandetnych fuch, tak jak teraz, odwiedzając zadupia Ameryki i próbując wyciągnąć choć odrobinę prawdy od mętów i oszołomów, którym wydawało się, że zobaczyli coś dziwnego. Rose miała już tuzin taśm cyfrowych z nagraniami wywiadów, które przeprowadzili z mechanikiem samochodowym, kelnerką, paroma zatrudnionymi studentami i dwoma staruchami w puszczy, którzy wytwarzali węgiel drzewny i zaklinali się na wszelkie świętości, że stanęli oko w oko z Wielką Stopą, uprawiali seks z Jimem Morrisonem albo widzieli ducha Elvisea błąkającego się wśród lasów i wzgórz wokół Blue Valley.

Julian westchnął. Miło byłoby znów zrobić jakiś solidny projekt dla telewizji.

- Tak, odpuszczamy ten szajs - rzekł, uruchamiając silnik priusa.

- No i dobrze - mruknęła Rose.

Rozdział 7

20 lipca 1856

Powinienem częściej sporządzać zapiski w tym dzienniku. Zaglądam do środka i okazuje się, że mój ostatni wpis pochodzi sprzed czterech dni. Postaram się niniejszym to naprawić. Minęło już trochę czasu odkąd w dwóch połączonych luźno ze sobą grupach opuściliśmy fort Kearny. Koniec taboru to doprawdy osobliwa mieszanka osób. Nasz przewodnik Keats uparł się, abyśmy z uwagi na to, że wynajęliśmy go jako dowódcę nazywali naszą grupę „Wyprawą Keatsa”. Jako że wolę nie zadzierać z człowiekiem, który mógłby przebić mnie na wylot, a potem oskórować swoim wielkim nożem, skwapliwie na to przystałem.

W naszej grupie odkryłem nader fascynującą różnorodność Ludzkich postaw i charakterów, aż trudno sobie wyobrazić, że przyszło mi podróżować w towarzystwie takich osób. Nasz wkład w długi tabor to raptem, pięć wozów i tylko ja, Keats oraz jego indiański towarzysz Złamane Skrzydło, nie mamy własnych wozów.

Są tu, McIntyre'owie czteroosobowa rodzina, której podróż na zachód, jak mi powiedzieli, zaczęła się w Nowym Jorku, a jeszcze wcześniej w Cork w Irlandii. Ich opowieści o nędzy, ścisku i przeludnionych czynszówkach w Nowym Jorku oraz desperackich walkach gangów złożonych z imigrantów brzmią naprawdę ponuro.

Jest także rodzina Bowenów, którzy pochodzą z mego rodzinnego miasta, a jeszcze konkretniej z East Endu. Miejsce równie ponure jak inne, które miałem okazję widzieć w Five Points.

Dwa pozostałe wozy są zajęte przez ciemnoskórą rodzinę. Rozmawiałem tylko z jedną z tych osób, która zna angielski na tyle, by mogła prowadzić normalną rozmowę - z panem Husseinem, głową rodziny. Jego najstarszy syn Omar, powozi drugim wozem i także mówi trochę po angielsku.

Na koniec, jest jeszcze pan Weyland z Wirginii, który ma tylko dwukólkę, niewiele dobytku i czarnoskórą kobietę. Nie wiem, czy ona jest jego własnością. Wolę myśleć, że nie. Mierzi mnie sama myśl, że ktoś uważa się za właściciela kogoś innego, traktując go jak przedmiot, szcztokę czy, dajmy na to, but. Miałem wszelako okazję widzieć, że zwracał się do

niej z szacunkiem i czułością. Może jednak nie jest jego własnością. Może zapytam...

*

Ben wyprostował się, pozwalając odpocząć obolałemu grzbietowi i opierając się o chłodne, dębowe wieko swego kufra lekarskiego. Odchylił się do tyłu i uniósł wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu. Noc w głuszy była przepelniona absolutną czernią, która wciąż stanowiła dla niego pewną nowość. Ulice i przylegające do siebie domy w Londynie zawsze rozświetlane były migocącym blaskiem latarni gazowych i naftowych.

Wozy z taboru zostały ustawione w kręgi, woły zapędzone do wewnętrznego, najmniejszego kręgu. Wozy grupy Prestona ustawiono w odrębną, podobną formację jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów dalej; niezbyt daleko, ale dystans był dostatecznie duży, by można było wywnioskować, iż ludzie ci nie chcieli integrować się z resztą bardziej niż to konieczne.

Keats wiódł prym przy ognisku. Ben, z miejsca gdzie siedział, czuł żar płomieni ogrzewający jeden jego bok, podczas gdy drugi z zimna pokrył się gęsią skórką.

- ...widziałem je wszystkie, od Independence po Oregon - odparł Keats na pytanie pani Bowen. - Sęk w tym, droga pani, że trzeba znać plemiona, i to znać je dobrze. Są wśród nich niektóre tak przyjazne, że aż dziw bierze, iż przeżyły tak długo. A inne...? Cóż... - Keats zawiesił głos i pokręcił głową.

Po chwili pani Bowen wychyliła się do przodu.

- Panie Keats?

Ben zaintrygowany odłożył dziennik, pióro i kałamarz do kufra, po czym dołączył do grupki zebranej wokół tańczących, ciepłych płomieni.

- Panie Keats, nie może pan tak tego zakończyć, pozostawiając nas w niepewności - rzekła z naciskiem pani Bowen i powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych. - Prawda?

Wzruszył ramionami.

- Gdyby nie to, że jesteśmy w mieszanym towarzystwie, szanowna pani...

Ben odchrząknął.

- Chyba chciałbym wiedzieć, co możemy napotkać po drodze, panie Keats. Czy możemy liczyć raczej na przyjaźnie nastawionych Indian, czy wręcz przeciwnie?

Dłoń Keatsa pogłaskała zarośnięty gęstą szczecina podbródek.

- Cóż, po to właśnie macie mnie, abym wskazał wam drogę na drugą stronę. Zgadza się? Będziemy przemierzać ziemię ponad dziesięciu różnych szczepów. Paunisów, Lakotów, Czejenów, Arapaho, Ute, Szoszonów, Pajutów i paru innych. - Keats spojrzał na Bena. - Sześć, siedem lat temu większość Indian była przyjaźnie nastawiona, w czasach kiedy zaczęły

się migracje. Ale od tamtej pory wiele się nauczyli. Wiedzą, że to nierozsądne wyjeżdżać na powitanie taborów takich jak nasz. Zbyt wielu znudzonych osadników ma broń i tylko czeka, by móc jej użyć - odparł, ponownie opierając się o siodło. - Mam rację? - zwrócił się do Złamanego Skrzydła.

Indianin pokiwał głową bez słowa, pykając glinianą fajeczkę i wpatrując się mętym wzrokiem w tańczące na wprost niego płomienie.

- Pamiętam, że kilka lat temu usłyszałem pewną historię - ciągnął Keats, wyjmując własną fajkę i kapciuch z tytoniem. - Była jedna rodzina... matka, ojciec i dzieciaków więcej, niż mógłbyś zliczyć. Któregoś wieczoru zatrzymali się, by rozbić obóz. I tak jak my następnego ranka wczesnie wstali, gdy było jeszcze ciemno, by ruszyć w dalszą drogę. Ale dopiero po przejechaniu kilku kilometrów uświadomili sobie, że brakuje im jednego dziecka.

Panie Bowen i McIntyre aż wstrzymały na chwilę oddech.

- Grupka mężczyzn z taboru zawróciła, by spróbować odnaleźć zaginione dziecko. Pod wodzą ojca zawrócili do poprzedniego obozu i zaczęli przeszukiwać okolicę. - Keats przerwał, aby nabić fajkę, po czym wyjął zapałkę. - Otóż, odnaleźli to dziecko - rzekł, zapalając zapałkę, wkładając do główki fajki i wciągając powietrze. - Zaczął pykać energicznie, aż tytoń dobrze się rozpałił.

- No i...? - zapytała pani McIntyre. - Co z tym dzieckiem?

- Znaleźli je - ciągnął Keats. - Całe i zdrowe, nakarmione, bawiło się z grupą młodych wojowników z plemienia Paunisów, uwierzylibyście? Niektórzy powiadają, że grupa ta zamierzała ukraść konie zamieszkującym niedaleko Lakotom. Byli to, co do jednego, twardzi, młodzi wojownicy, ale... bawili się z dzieckiem. Indianie zatrzymali się na popas, gdy tylko napotkali to dziecko.

Pani Bowen się uśmiechnęła.

- A zatem ci Indianie wcale nie są tacy źli.

Keats pyknął z fajeczki i wydmuchnął kłęb dymu.

- Obozowali tam przez noc, więc mogli zająć się dziewczynką, dopóki nie zjawią się po nią rodzice. Tak przynajmniej mówili niektórzy. Ale w sumie nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę.

- A to czemu, panie Keats? - spytała pani McIntyre.

- Ojciec zaczął do nich strzelać. Pozostali zrobili to samo. Większość Indian zabili na miejscu.

Przy ognisku zapanowała pełna konsternacji cisza przerywana jedynie trzaskiem płomieni żarłocznie pochłaniających resztki łajna bizoniego.

- Opowiedziałem wam tę historię, abyście mieli pojęcie, jak mogą nas teraz postrzegać Indianie. Nie pokazaliśmy się im z najlepszej strony - rzekł, kręcąc głową. - Sęk w tym, że oni mają nas już dość, wpadających całą chmarą, masowo wybijających bizony i pozostawiających truchła, by zgniły, podobnie jak pozostawiamy za sobą śmieci i nieczystości, wypalających ich drewno, zanieczyszczających ich strumienie, potoki i jeziora... a przede wszystkim strzelających do nich bez powodu tylko dlatego, że akurat znaleźli się przypadkiem w zasięgu strzału. - Pokręcił głową. - Z początku trudno im było to pojąć. Ale do teraz chyba już złączyli.

- Mówi pan tak, jakby był po ich stronie, panie Keats - rzekła pani McIntyre, zerkając na Złamane Skrzydło - a nie po naszej.

- Droga pani, proszę mnie nie zrozumieć opacznie - odparł. - Jeżeli będę musiał użyć broni, bez wahania zastrzelę Indianina. Białego zresztą też, skoro już o tym mowa. - Odwrócił się do pozostałych. - Chcę wam tylko powiedzieć to, co powinniście wiedzieć. W ostatnich latach Indianie zaczęli zmieniać front. I właśnie dlatego teraz tabory muszą liczyć powyżej dwudziestu wozów, jeżeli osadnicy chcą cało i zdrowo dotrzeć do celu. I właśnie dlatego potrzebujecie ludzi takich jak ja i Złamane Skrzydło, aby bezpiecznie przeprowadzili was na drugą stronę gór.

- Ale wciąż nie odpowiedział pan na pytanie - wtrącił Ben. - Na jakich Indian możemy się natknąć po drodze? Przyjaznych? Czy...?

Złamane Skrzydło parsknął śmiechem.

Keats zachichotał.

- Nie ma już przyjaznych Indian, Lambert. Tylko naprawdę ostrożni albo naprawdę wkurzeni. I módl się, młody człowieku, abyśmy na naszej drodze napotkali tylko tych pierwszych.

Pan Bowen, barczysty mężczyzna, który miał zwyczaj golić głowę na łyso i wyglądał jak zakapior z East Endu, objął ramieniem swą szczupłą żonę.

- Nie frasz się, droga Molly - rzekł, zerkając z uśmiechem na Keatsa. - Skoro pan Keats nad nami czuwa, chyba nie mamy się czym przejmować, prawda?

Keats skinął głową.

- Święta racja, Bowen. Zamierzam poprowadzić was szlakiem, który przebyłem w ubiegłym roku. Dotrzemy nim dalej na północ niż innymi, bardziej uczęszczanymi szlakami i będziemy przemierzać raczej terytoria Szoszonów niż Ute.

- Ale droga będzie przez to dłuższa? - spytał Ben.

Keats przeniósł na Bena spojrzenie swych ciemnych oczu i przytaknął.

- Dobrze pytanie, młody człowieku. Pora jest już późna. Głupcy, którzy o tej porze roku opuściliby Independence albo nawet Fort Kearny, musieliby być niespełna rozumu. Moja trasa jest nieco dłuższa, ale za to bezpieczniejsza. Chcielibyśmy dotrzeć na drugą stronę Gór Skalistych z początkiem września i jeszcze przed październikiem przekroczyć Sierra Nevada.

- A jeśli się nam nie uda... - zaczęła pani Bowen.

Szpakowate brwi Keatsa wygięły się w łuk.

- Jeżeli nie zdążymy na czas przejść przez góry?

Pokiwała głową; oczy miała rozszerzone i przepelnione lękiem.

- Przejdziemy je, pani Bowen, pokonamy je. Dopóki będziemy utrzymywać równe tempo, dając z siebie wszystko, dbając o woły i codziennie oliwiąc osie wozów.

Ben usłyszał w ciemnościach szuranie kilku par butów i do tych, którzy już siedzieli przy ognisku, dołączyli pan McIntyre, pan Hussein z synem i pan Weyland.

Keats pokiwał głową z zadowoleniem.

- Wygląda na to, że jest tu co najmniej jedna osoba z każdego z wozów... świetnie. Równie dobrze mogę powiedzieć wam to teraz. Jedną zasadę musicie poznać już teraz. Nie zatrzymujemy się dla nikogo. - Keats powiódł wzrokiem po ich twarzach. - Cokolwiek się wydarzy, czy padnie kilka wołów w zaprzęgu, złamie się dyszel u wozu, jakąś rodzinę dopadnie choroba, wydarzy się wypadek... pozostali pojedą dalej, niezależnie od wszystkiego.

- A co z tamtymi? - spytał pan McIntyre, wskazując na obóz mormonów.

Keats przeniósł wzrok na wozy grupy Prestona.

- Do kroćset, to zależy od nich. Mają własnego przywódcę, tego, jak mu tam, Prestona. Albo przyjmie moje rady, albo je odrzuci, to jego sprawa. Ale to wy wynajęliście mnie na przewodnika, więc macie się stosować do moich zasad, rozumiano?

- Mówi pan serio? - spytał Ben. - Mielibyśmy zostawić kogoś w potrzebie? Przecież ci ludzie mogą umrzeć.

- O tak. - Staruszek pokiwał głową. - Wszyscy, których pozostawimy, umrą, i to bez dwóch zdań, Lambert. A wy już wkrótce napotkacie przy szlaku groby tych, których pozostawiono tu wcześniej. Skończonych matolów, którzy zamiast wołów używali do ciągnięcia swoich wozów koni. Skończonych matolów, którzy o jeden dzień za długo ignorowali skrzypiącą oś. Skończonych matolów, którym odstrzelono pół głowy, bo jakiś tępak jechał na koźle, trzymając na kolanach nabitą strzelbę.

Zapadła posępna cisza przerywana tylko trzaskiem płomieni.

- Słoń może zabić na wiele różnych sposobów. Strącić was ze szlaku jednym

machnięciem trąby. Wypatrujcie go. Na pewno go ujrzycie... - Keats znów pyknął z fajeczki, wydmuchując kłęb kwaśnego dymu. - Kiedy go zobaczycie, czy to daleko, czy blisko, to będzie znak, że już pora zawrócić.

- Keats, straszysz moją małżonkę - zauważył Bowen.

- To dobrze. Bo jest się czego bać i bynajmniej nie tylko nagłego załamania pogody.

- Pogoda nam dopisuje, panie Keats - wtrącił Ben. - Właściwie jest wręcz wymarzona.

Keats się zaśmiał.

- Na razie, Lambert, ale z czasem na pewno się pogorszy. I zacznie się wyścig z czasem. - Stary przewodnik wskazał ręką na zachód. - Nie wolno nam zapomnieć o jednej rzeczy. Jeżeli nie zdołamy przebyć gór Sierra Nevada przed pierwszym śniegiem, znajdziemy się w naprawdę poważnych tarapatach.

Rozdział 8

Sobota

Studio MKNBC News, Utah

- Pragnę wierzyć, iż wypowiadam się w imieniu każdego ciężko pracującego człowieka w tym kraju, tych wszystkich pospolitych zjadaczy chleba, którzy rok w rok płacą podatki, nie proszą o nic, nie łamią prawa... że zacytuję Andrew Jacksona... sól tej ziemi - rzekł, spoglądając na gospodynię programu z lekkim, lecz szczerym skinieniem głowy. - Śmiem twierdzić, że w ostatnich latach straciliśmy z oczu tego przysłowiowego, zwykłego zjadacza chleba. Nasz ciężko pracujący, potulny baranek robi swoje, nie skarżąc się na karty, jakie mu rozdano, i nie próbuje nikogo pozywać do sądu, nawet jeżeli wszystko w jego życiu wygląda inaczej, niż to sobie wyobraził.

Patricia Donnell posłała mu wystudiowany uśmiech.

- Nie wątpię, że podobnie jak ja, panie Shepherd, nasi widzowie uważają pańskie poglądy za nader szlachetne. Ja jednak staram się odpowiedzieć sobie na jedno nurtujące mnie pytanie, a mianowicie, gdzie właściwie umiejscawia się pan na arenie politycznej. Bo przecież znajdują się tacy, którzy bliżej zainteresują się pańskim pochodzeniem; wywodzi się pan z wpływowej rodziny, posiadającej spory majątek w nieruchomościach i bankach, ma pan silnie sprecyzowane poglądy na wiarę, jest pan chrześcijaninem, a więc ludzie ci zaczną się zastanawiać, czy nie mają przed sobą kolejnego republikańskiego kandydata, tyle że pod inną nazwą.

- Dwie rzeczy, Patricio. W swojej wypowiedzi popełniłaś dwa zasadnicze błędy merytoryczne - rzekł spokojnym, zrównoważonym tonem. - Jak zapewne wiesz, należę do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Nie jestem baptystą, ewangelikiem ani nawet adwentystą Dnia Siódmego. Jestem mormonem. To zasadnicza różnica, Patricio. Po drugie... owszem, wywodzę się z zamożnej rodziny, ale my wszyscy ciężko na to pracowaliśmy. Ja, mój ojciec, mój dziadek - przez pokolenia wypruwaliśmy sobie żyły, aby zarobić i pomnożyć całą tę krwawicę. Cóż w tym złego? To przecież Ameryka. Ale właśnie dlatego - mówił, unosząc palec wskazujący, by nie weszła mu w słowo - ponieważ rozumiem, czym jest ciężka praca, pojmuję też etos pracy, to że ludzki wysiłek i trud zasługują na to, by

je nagrodzono, począwszy od operatora maszyny czyszczącej podłogę w hali fabrycznej, poprzez sortowacza listów na poczcie, po kierownika zmiany czy brygadzystę, *nie jestem* kandydatem republikanów.

Patricia wzruszyła ramionami.

- To, co pan mówi, zdaje się przemawiać do osób głosujących na kandydata republikanów.

Westchnął i wzruszył ramionami.

- Oferuję coś nowego. Coś odmiennego. Nowy realizm - politykę zdrowego rozsądku. Ten naród jest dławiony przez monopol dzielony pomiędzy demokratów i republikanów. Człowiek, do którego zwracam się bezpośrednio... - Przeniósł wzrok w obiektyw znajdującej się naprzeciw nich kamery - ...jest już zmęczony patrzeniem na Waszyngton i oglądaniem tego przeciągania liny, które odbywa się regularnie co cztery lata i które de facto niczego nie zmienia. Bądź co bądź ludzie ci siedzą w kieszeniach tych samych grup lobbingowych, jedyne, na czym im zależy, to aby przedłużyć urzędowanie na kolejną kadencję. A tymczasem tam, w realnym świecie, mnożą się problemy, które wymagają rozwiązania.

Patricia pokiwała głową.

- Panie Shepherd, niektórzy są zdania, że podzieli pan los innych niezależnych kandydatów biorących udział w poprzednich wyborach. Jak Ross Perot czy Ralph Nader, którzy wydawali miliony z własnej kieszeni i przepadli w pustce pomiędzy dwoma głównymi partiami.

Wiliam Shepherd uśmiechnął się, unosząc przed sobą trzy palce, i zaczął kolejno wylizywać:

- Po pierwsze, pomiędzy dwiema wielkimi partiami nie ma żadnej pustki. One przywierają do siebie nawzajem jak przeciwstawne bieguny magnesu, naśladując przy tym politykę rzekomego konkurenta. Pomędzy nimi nie ma miejsca na pustkę, panno Donnell. Po drugie, wiem, że ten kraj ma już po dziurki w nosie obu tych partii i wręcz błaga o jakąś nową propozycję. To się czuje w powietrzu, jak napięcie przed burzą. Po trzecie - rzekł, zginając trzeci palec - mam po swojej stronie najlepszego specja od kampanii wyborczych, jakiego można sobie tylko wymarzyć. Jak dotąd nigdy jeszcze nie zawiódł. - Uśmiechnął się żartobliwie.

- Kogo właściwie ma pan...

- Jak to, Boga, ma się rozumieć.

Rozdział 9

3 sierpnia 1856

- Jeżeli nie koło, to wobec tego cholerna oś - mruknął z irytacją Keats do Bena i Złamanego Skrzydła, gdy ich kuce szły stępą jeden przy drugim w stronę coraz większej grupy ludzi gromadzącej się wokół przechylonego na jedną stronę wozu. Wyprężył się w siodle i wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad kręgiem szerokoskrzydłych kapeluszy i czepków.

- Założę się, że w którymś wozie wygięło się koło - dodał z niesmakiem. - U któregoś z tych mormonów. Jeżeli to ten wóz, o którym myślę, to już wczoraj słyszałem, jak skrzypi przy nim koło. Ostrzegałem, że tak będzie.

Wokół wozu zebrało się kilkadziesiąt osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wóz stał, przekrzywiony mocno w jedną stronę, a na ziemi tuż przy nim walał się rozsypany dobytek. Woły uwolniono już z zaprzęgu, a teraz zwierzęta, nie zważając na dalszy bieg wydarzeń, skubały zeschniętą trawę kilkanaście metrów dalej.

Keats zsiadł z kuca i poirytowany przebił się przez ciżbę. Patrzył, jak Preston z podwiniętymi rękawami pomaga kilku mężczyznom postawić wóz na podstawionym klocu, opierając na nim oś. Zaczekał, aż tamci przestaną sapać i dyszeć, aż oś zostanie odpowiednio zabezpieczona, i dopiero wtedy się odezwał.

- Preston! - zawołał, skręciwszy w stronę leżącego obok strzaskanego koła. - Nie ma mowy, abyście to naprawili.

Ben zsiadł z kuca i spokojnie przecisnął się między zebranymi, by dołączyć do Keatsa, podczas gdy Złamane Skrzydło pozostał dyskretnie z tyłu. Stając obok Keatsa, Ben obejrzał koło. Pięć szprych pękło, metalowa obręcz wygięła się i skręciła, gdy piasta koła się rozpadła.

Nawet dla niego, laika, nie ulegało wątpliwości, że koła nie da się naprawić.

Preston spojrział na Keatsa, który zdjął swój filcowy, czarny, szerokoskrzydły kapelusz i rękawem otarł pot z czoła.

- Chyba ma pan rację, panie Keats. Tego koła już się nie da nareperować.

Przewodnik wydał pomarszczone, wąskie wargi i wzruszył ramionami.

- Cóż, nie możemy tu siedzieć cały dzień i nad tym debatować. Musimy pokonać dziś jeszcze trzysta kilometrów, zanim rozbijemy obóz.

Preston skinął głową.

- Rozumiem. Ale ci ludzie, Zimmermanowie, potrzebują nowego koła. Mamy wśród nas rzemieślników, którzy potrafią je zrobić. - Preston wskazał na jednego z mężczyzn, stojących obok niego, ubranego jak Pierwszy Starszy i wszyscy inni mężczyźni w białą lnianą koszulę, ciemną kamizelkę i czarny filcowy kapelusz.

- Pan Larkin jest kowalem, a pan...

- To zajęłoby co najmniej dwa dni - przerwał mu Keats. - Nie możemy zmarnować tyle czasu. Tabor musi jechać dalej.

Gęste, jasne brwi Prestona połączyły się nad ciemnymi, zapadniętymi oczami w grubą kreskę. Skinął na rodzinę, mężczyznę, kobietę i małą dziewczynkę.

- Mielibyśmy zostawić tu tę rodzinę na zatracenie? Czy dwa dni są warte ich życia? - Preston spojrział na rodzinę.

Ben podążył za jego wzrokiem: rodzice byli niscy, krępi, a dziewczynka mniej więcej o rok młodsza od Emily Dreyton.

- Bo oni tu umrą, Keats... ci prawi ludzie... i ich niewinne dziecko.

Po raz pierwszy Ben znalazł się blisko Prestona i usłyszał jego głos. Miał on w sobie jakąś moc wewnętrzną, a jego pociągłe, wychudzone oblicze zdawało się emanować magnetycznym czarem.

- Ci ludzie ufają, że ich poprowadzę. Nie opuszczę ich. Nie przez jedno uszkodzone koło, które można zastąpić nowym.

Wbrew wcześniejszym uprzedzeniom Ben poczuł odrobinę sympatii do przywódcy mormonów.

Keats parsknął drwiąco.

- Wobec tego nie powinien pan być przywódcą wyprawy. - Wskazał ręką ponad trawiastą polaną w stronę niewielkiego kamiennego kopca.

- Widzi pan te groby przy szlaku? To ci, co pozostali, nieszczęśliwi pechowcy, którzy ujrzeli bestię, lecz nie zawrócili. Może im też urwało się koło, padły woły albo wypili skażoną wodę i zachorowali na tyle ciężko, że nie byli w stanie wędrować dalej. Tak czy owak, pozostawiono ich, aby nie spowalniaли reszty taboru. - Keats zwrócił się do Zimmermana: - Powinniście zawrócić do Fortu Kearny. Zostawić wóz, przenieść zapasy na woły i zawrócić.

Pan Zimmerman odwrócił się do Prestona.

- Jak sądzisz, Williamie, czy on ma rację?

Preston stanowczo pokręcił głową.

- Nie zostawię was. Nie pozostawimy nikogo, to moje ostatnie słowo.

Keats z rozdrażnieniem pokręcił głową.

- Wobec tego moi ludzie nie zostaną tu ani chwili dłużej. Zbyt późna pora, abyśmy marnowali czas z tak błahych powodów. - Odwrócił się do Prestona i przecisnął przez tłum do miejsca, gdzie zostawił swego kuca. Jeden z mormonów, stojący obok podpartego kłosem wozu, odezwał się do Prestona:

- Williamie, mamy w naszym wozie duży, masywny stół. Moglibyśmy wykorzystać blat, przyciąć go i zastąpić nim koło. Tak byłoby szybciej. Zajęłoby to godzinę, góra dwie.

Keats usłyszał to i się odwrócił.

- Nic prócz właściwie wykonanego koła raczej się nie nada. Tylko uszkodzicie oś. A tak wykonane koło pęknie na pierwszym lepszym kamieniu.

- Wobec tego będziemy jechać wolniej i ostrożniej - odparł stanowczo Preston.

- Ten wóz będzie nas spowalniał.

- W takim razie każdego ranka wyruszymy w drogę nieco wcześniej.

Keats wzruszył tylko ramionami.

- Szlag. Róbcie, co chcecie; moja grupa rusza w drogę. - Wskoczył na grzbiet kuca. - Ale powiadam ci, że ten wóz was spowolni. I kiedy nadejdą śniegi, ty i twoi ludzie ugrzęźnicie w tych górach.

- To Bóg zdecyduje o naszym losie, panie Keats. Nie jakiś mały człowieczek, który nosi się jak Indianin, aby wyrzeć wrażenie na swoich klientach. Jeżeli Jego wola jest, abyśmy przebyli te góry, możesz pan być pewien, że pierwszy śnieg spadnie w tym roku nieco później.

- Tfu! - Keats splunął na ziemię i skinął na Bena oraz Złamane Skrzydło, aby ruszyli za nim. - Dalej - mruknął.

Ben wsiadł na kuca i po chwili podążył za pozostałymi, oddalając się od tłumu w kierunku pozostałych wozów i zajmując miejsce na końcu kolumny.

- Banda cholernych maniaków religijnych - wymamrotał pod nosem Keats. - Ani chybi napytają sobie biedy.

Ben spojrzał na niego.

- I co wobec tego zrobimy?

- A co możemy zrobić? - popatrzył na Bena z niedowierzaniem. - Niech ci głupcy zostaną w tyle i wachają pył spod kół naszych wozów.

*

Cała grupa miała niepewne miny.

- Mamy ich zostawić?

Keats odwrócił się do Gilesa Weylanda.

- Tak, panie Weyland, zostawimy ich tu i ruszamy w dalszą drogę.

Weyland miał długie, falujące, kasztanowe włosy, prawie jak kobieta, i złocistą bródkę przystrzyżoną tak, że pokrywała jedynie koniec jego podbródka.

- Czy jednak nie połączyliśmy się z nimi ze względów bezpieczeństwa? - odparł głosem przesyconym miodopłynnym wirginijskim akcentem. - Co z Indianami, których możemy napotkać po drodze?

Ben domyślił się, że pozostali też o tym myślą, bądź co bądź bezpieczeństwo zależało w dużej mierze od liczebności grupy. Nie dalej niż poprzedniego dnia natknęli się na przydrożną wiadomość, „telegram z kości”, jak to określił Keats. Na wysmaganych wiatrem deskach porzuconego wozu otoczonego przez truchła pół tuzina koni odkryli ostrzeżenie zostawione przez grupę osadników, którzy przemierzali ten szlak wcześniej tego roku.

Indianie przed nami. Zaatakowali tabor. Zginęło kilka osób. Zachowajcie czujność.

- Mamy wybór - rzekł Keats. - A konkretnie dwa powody do zmartwienia - pogodę oraz Indian. - Parsknął i splunął. - Co się tyczy Indian, możemy mieć z nimi problem albo i nie. Ale jeżeli chodzi o pogodę? Ona jest niezmienna... W październiku na pewno spadnie pierwszy śnieg, przekonacie się. - Przeniósł wzrok na Bena. - Niezależnie od tego, co mówi Preston, na temat woli Bożej i Jego kaprysów.

Te zuchwałe słowa zbulwersowały wszystkich członków grupy Keatsa. Śniady mężczyzna, pan Hussein, postąpił naprzód.

- Nie wyznaję tej samej wiary co pan Preston - rzekł pan Hussein, z silnym akcentem i z trudem dobierając słowa. - My modlimy się do Allacha. Ale to ten sam Bóg. Zgadzam się z Prestonem, że nie powinniśmy nikogo zostawiać na szlaku. To *haram*.

Keats pokiwał głową.

- Bzdury - wycedził przez zęby.

- Posłuchaj, Keats - wtrącił Bowen. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czy miałbym ochotę rozdzielić się z Prestonem i jego ludźmi, mając świadomość, że po drodze możemy napotkać tych przeklętych dzikusów.

Keats przeniósł wzrok na Bena i McIntyre'a.

- Zgadzam się z panem Bowenem - rzekł Irlandczyk. Odnalazł wzrok swojej żony, a ta skinęła głową. - Widzi pan, Keats, wygląda na to, że wyrażam opinię nas wszystkich - rzekł pan McIntyre, popatrując na pozostałych, zanim podjął swój wywód. - Wydaje mi się, że bardziej martwimy się Indianami niż śniegiem.

Ben także się z nim zgodził.

- Czy nie dlatego połączyliśmy się z tamtą grupą?

Zapadła długa, niezręczna chwila ciszy. Wszyscy patrzyli na przywódcę grupy, który rozważał wszystkie za i przeciw. Przymrużył powieki, podrapał się po brodzie, spojrzął w stronę szczytów widocznych na horyzoncie, po czym odwrócił się do Złamanego Skrzydła.

Indianin zdawkowo wzruszył ramionami.

Keats westchnął.

- Wszyscy podzielacie to samo zdanie, mimo iż ta decyzja może zadecydować o waszym życiu lub śmierci?

Potaknęli bezgłośnie.

- A gdybyśmy każdego ranka, zgodnie z tym, co powiedział Preston, wyruszyli w drogę pół godziny wcześniej i w południe odpoczywali nieco krócej - czy to nie wystarczy, aby nasz tabor mógł poruszać się wolniej niż dotychczas?

Keats zastanowił się nad tym, gładząc rzadką bródkę.

Jakie było zdziwienie Bena, gdy starszek w końcu pokiwał głową.

- Dobrze - mruknął, wodząc wzrokiem kolejno po ich twarzach.

- Kiedy jednak - i zapamiętajcie dobrze moje słowa - *kiedy* to prowizoryczne koło pęknie albo trzaśnie nadwerężona oś, nie będzie więcej takich zebrań czy debat. Sprawa będzie zamknięta i bezdyskusyjna. Zostawiamy ich i kropka. Zrozumiano?

Wszyscy bez słowa pokiwali głowami.

Rozdział 10

5 września 1856

W ostatnich dniach, było sporo ciężkiej pracy i od jakiegoś czasu nie napisałem ani słowa! Pod koniec lipca opuściliśmy równiny i znaleźliśmy się w Górach Skalistych. Przeprawa przez te urzekające góry nie była tak trudna, jak się spodziewałem. Nasz przywódca Keats, przeraził nas śmiertelnie, pospieszając nas kiedy tylko się dało, pomimo iż spowolniał nas uszkodzony wóz mormonów.

Ostatniego dnia lipca pokonaliśmy Południową Przełęcz opadającą łagodnie z gór na tereny tak jałowe i puste, że nie potrafię sobie wyobrazić, aby cokolwiek mogło tu przeżyć. Keats jednak zapewniał nas, że tak jest: żyją tu Ute, Szoszoni, Bannockowie... wszyscy lepiej czy gorzej, ale jakoś sobie radzą.

Coraz częściej napotykamy groby na szlaku. Czasami jeden lub dwa, kiedy indziej jest ich mnóstwo. To groby tych, którzy umarli od chorób albo dlatego, że padły im konie. Niektóre z grobów były rozkopane, a ciała wywleczone z ziemi. Keats twierdzi, że to zapewne dzieło Ute, którzy poszukują w mogiłach ubrań i różnych drobiazgów. Indianie, jak powiada nie grabią swoich zmarłych kiedy duch odchodzi z ciała, to co pozostaje, jest przez nich uznawane za karmę dla ścierwojadów.

Stwierdził, że ten sam los czeka Zimmermanów, kiedy koło przy ich wozie całkiem się rozpadnie albo pęknie nadwerężona oś. Tu, na słonych równinach jak mówi, umrą szybko i najpierw zajmą się nimi Indianie, a następnie sępy...

*

- Panie Lambert?

Ben się poruszył.

- Panie Lambert... Benjaminie? - dobiegł go szept z ciemności. Odłożył pióro i mocno zakręcił swój bezcenny kałamarz.

Rozpoznał głos płynący z mroku nocy. Chłopiec już kilkakrotnie zakradał się tu, pod osłoną nocy.

- Samuelu?

Chłopiec stanął w niewielkim kręgu migocącego światła z lampy, przy której Ben

pisał, towarzyszyła mu Emily, a na jej buzi, okolonej czepek, malował się uśmiech ekscytacji.

- Emily również? - Spojrzał na Sama. - Czy nie narobiłoby kłopotów, że wychodzi o tak późnej porze?

- Mama jest na spotkaniu Starszych, z Prestonem.

- Mama się nie dowie - odpowiedziała Emily. - Oni zawsze modlą się i rozmawiają do późna.

Ben się uśmiechnął.

- Wobec tego dobrze. Ale nie chciałbym, żebyście napytali sobie biedy.

Oboje wzruszyli tylko ramionami.

- Chodźcie zatem - rzekł Ben. Skinął w stronę ogniska, przy którym siedziały i bawiły się wspólnie dzieci Bowenów, McIntyre'ów i Husseinów.

Podprowadził ich do ogniska. Przez krótką, niezręczną chwilę dzieci przyglądały się sobie nawzajem, świadome, że Emily i Sam pochodzą z innego obozu. Pięć minut potem doszło do uprzejmej, wzajemnej prezentacji, a Emily zaczęła gawędzić z córką McIntyre'ów, Anne-Marie, o rok starszą dziewczynką, która skwapliwie zaczęła pokazywać jej swoją kolekcję lalek, zapraszając równocześnie do zabawy nimi.

Sam został z Benem, zafascynowany śniadą skórą pana Husseina i jego rodziny oraz czarnoskórą dziewczyną Weylanda i cichym, czujnym indiańskim przewodnikiem, Złamanym Skrzydłem. Z drugiej strony młodzieniec jednym uchem przysłuchiwał się panu Keatsowi, który klnąc jak szewc, wymieniał sprośne historyjki z panami Bowenem i Weylandem.

Ben zauważył, że Sam dyskretnie obserwuje Emily ponad ogniskiem, uśmiechając się na dźwięk jej pełnego zadowolenia chichotu, wyraźnie dumny z młodszej siostrzyczki i tego, że jej wiecznie dobry humor udzielił się momentalnie innym dzieciom oraz paniom Bowen i McIntyre.

Troszczy się o nią bardziej jak ojciec niż jak brat.

To było całkiem zrozumiałe. Nie miała ojca, a Sam był już w takim wieku, że mógł pełnić funkcję mężczyzny w ich małej rodzinie. Ta czułość, jaką zauważył w stosunkach pomiędzy nimi w ostatnich kilku tygodniach, była naprawdę cudowna. Z całą pewnością byli sobie bliżsi nawzajem niż dla ich zimnej, niewzruszonej matki.

- Napijesz się kawy, Sam?

Pokiwał głową. Ben nalał i podał mu kubek, który tamten ujął mocno obiema dłońmi, rozkoszując się ciepłem i aromatem naparu.

- Masz jakąś inną rodzinę, Sam? Wujków, ciotki albo dziadków, którzy zostali na

wschodzie?

- Wspólnota jest naszą rodziną - odparł. - Nie wolno nam mieć żadnej innej.

- Nie wolno?

- Poza naszym Kościołem. - Sam powiódł wzrokiem w stronę dużego skupiska wozów opodal. - Poza jego wiernymi. Ale oni nie są tak naprawdę naszą rodziną. Jesteśmy tylko my - rzekł, zerkając na Emily. - Nie podoba mi się tam. Jesteśmy całkiem sami, z nikim nie wolno nam rozmawiać. Czasami mam wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie.

Ben pokiwał głową.

- Moje dzieciństwo wyglądało podobnie. Byłem jedynakiem, a moi rodzice stale mieli jakieś zajęcia. Dlatego lubię książki. Umiesz czytać, Sam?

- Oczywiście, ale wolno nam czytać tylko dwie.

- Zakładam, że jedną z tych ksiąg jest Biblia. - Ben upił łyk kawy.

- A ta druga?

Sam pokręcił głową.

- Nie, wcale nie Biblia! Preston mówi, że jest pełna przekłamań, że jej treść została wypaczona przez Żydów i papieży. Czytamy *Naukę i Przymierza* oraz *Księgę Nowych Nauk*.

Ben wyglądał na zbitego z tropu.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- *Nauka i Przymierza* oraz *Księga Nowych Nauk* to jedyne księgi, jakie jeszcze możemy czytać. Nie pozwalają nam nawet czytać *Księgi Mormona*.

- Ee... ale przecież jesteście mormonami...

- Nie - odparł półgłosem Sam. - Już nie. Preston nie chce, abyśmy tak siebie nazywali.

- Dlaczego?

- Wierzy, że jego wiara poszła w złym kierunku za sprawą ludzi opanowanych przez chciwość. Uważa, że to ci ludzie zmieniają treść boskiego przesłania, by brzmiało tak, jak oni chcą je słyszeć.

Ben wzruszył ramionami.

- Może ma rację.

Sam zerknął na widoczną w oddali poświatę drugiego ogniska.

- Może. Ale to oznacza, że musieliśmy opuścić Iowa i dotrzeć aż tutaj.

- Dlaczego?

- Kościół, inni mormoni nie pozwolili Prestonowi głosić jego tezy. A poza tym musieliśmy wyjechać, bo chciał... - Sam zawahał się przez chwilę, a na jego obliczu odmalowało się zaniepokojenie.

- O co chodzi, Sam? - zapytał Ben.

- Nie powinienem mówić. Będę miał kłopoty.

- Wobec tego nie mów. Nie chciałbym, abyś miał jakieś kłopoty.

Sam milczał przez chwilę, po czym półgłosem zwrócił się tylko do Bena:

- Chcę napisać nową *Księgę Mormona*.

- Naprawdę? Czy nie rozzłości tym wielu ludzi? Nie będą na niego źli?

Sam milczał, oczy wychodziły mu z orbit.

- To nasza tajemnica.

- Bo inni mormoni będą na niego źli?

Sam pokiwał głową.

- Dlatego zabiera nas wszystkich na zachód.

- Z dala od Kościoła mormonów?

Sam pokiwał głową, po czym wyciągnął rękę i schwycił Bena za ramię. Ben dostrzegł drżenie dłoni chłopaka.

- Ja... nie powinienem być tego panu mówić. Proszę nikomu tego nie powtarzać.

Ben pokręcił głową.

- Nikomu nie powiem, Sam. Możesz być tego pewien.

- Gdyby oni się dowiedzieli, że się wygadałem...

- Oni, czyli kto?

- Starsi. Preston, pan Vander, pan Hearst, pan Zimmerman, moja mama, pan...

- Sam, obiecuję, że nikomu nie powiem.

- Przysięga pan?

Ben położył dłoń na jego rękę.

- Przysięgam. Posłuchaj, Sam, właściwie to marny ze mnie chrześcijanin. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, czy w cokolwiek wierzę. Jeżeli ktoś chce przerabiać na nowo religijne treści, to jego sprawa.

Ben poczuł szarpnięcie za rękaw i odwrócił się, by ujrzeć stojącą obok niego Emily. Pokazała mu drewnianą lalkę.

- To lala Anne-Marie - wyjaśniła, wskazując na córkę McIntyre'ów.

- Powiedziała, że mogę ją zatrzymać na czas podróży. Podoba ci się, Benjaminie?

Wziął od niej lalkę i przyjrzał się jej, marszcząc brwi.

- Jest cudowna. Masz dużo lalek w swoim wozie, Emily?

Emily pokręciła głową.

- Nie.

- Ani jednej - wtrącił Sam. - Mamie nie podobają się ich sukienki. Mówi, że wyglądają w nich jak ladacznice.

- Sam, mogę ją zatrzymać?

Sam ze smutkiem popatrzył na siostrę.

- Wybacz, ale... gdyby mama zobaczyła ją w naszym wozie, zorientowałyby się, że wychodzimy do drugiego obozu.

Emily wyraźnie zasmucona potaknęła i ruszyła z miejsca, by oddać lalkę.

- Mogę się nią zaopiekować - rzekł Ben. - Włożyłbym ją do swoich juków. A podczas popołudniowej przerwy wyjmowałbym ją i mogłabyś się nią przez chwilę pobawić. Mama nie musiałaby o niczym wiedzieć.

Emily objęła go za szyję i cmoknęła w policzek.

- Bardzo dziękuję.

W tej samej chwili w nocnej ciszy usłyszeli odmawianą chórem modlitwę.

- Spotkanie modlitewne już wkrótce dobiegnie końca - powiedział Sam. - Powinniśmy wracać.

Emily z wahaniem oddała Benowi lalkę.

- Nie martw się - zapewnił. - Będzie ze mną bezpieczna. Jutro się nią pobawisz.

Sam uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

- I dziękuję za kawę, Benjaminie. - Ujął siostrę za rękę, przeszli kilka kroków w stronę drugiej grupy wozów, gdy nagle zatrzymał się i odwrócił. - Czy mogę znów przyprowadzić Emily?

- Jeżeli chcesz. Jeśli tylko nie napytacie sobie przez to biedy.

Sam pokiwał głową i po chwili już ich nie było.

Ben dopił kawę i patrzył, jak odchodzą, wtapiając się błyskawicznie w mrok, ledwie widoczne sylwetki rysujące się na tle odległej poświaty drugiego ogniska. Życząc dobrej nocy tym, którzy wciąż siedzieli przy tym ognisku, ogrzewając się w najlepsze, wrócił do swego posłania rozłożonego blisko miejsca, gdzie uwiązał oba swoje kuce. Odkręcił nakrętkę kałamarza i ostrożnie zanurzył w nim pióro.

*

Nie wiem nic o regułach wiary ludzi, z którymi podróżuję. Wydają się tak surowe, tak różne od znanych mi wyznań. Kobiety należące do grupy Prestona są od stóp do głów odziane w skromne suknie i odsłaniają jedynie same twarze. Mężczyźni noszą brody, wygolone wokół ust, ale poniżej podbródka nieprzystrzygane, długie jak męska dłoń. Jakież wpływ zdaje się on mieć na całą tę trzódkę. Czy naprawdę jest aż tak charyzmatyczny, że mógłby odrzucić Biblię

i ich własną „Księgę Mormona”, by napisać całkiem nową, którą jego wyznawcy będą traktować jak ewangelię?

Uniósł wzrok znad dziennika, kierując go w stronę ciemnych konturów wozów grupy Prestona.

To wydaje mi się dość niepokojące.

Rozdział 11

Sobota

Blue Valley, Kalifornia

Rose oglądała na ekranie laptopa skan jednej ze stron dziennika.

- To takie dziwne.

Julian uniósł wzrok znad krótkiej jednostronicowej karty dań w restauracji.

- Wydaje się... zupełnie jakby... ten dziennik napisano wczoraj.

- Bo nie ma żadnych „azaliż”, „tuszę” czy „zaprawdę”?

Rose skinęła głową.

- Tak, chyba tak.

- Dzienniki i pamiętniki to rzeczy osobiste. Stanowią najbardziej prywatny zapis minionych wydarzeń. Nikt nie pisze dziennika z myślą, że będzie go czytać ktoś jeszcze, a co dopiero historyk z przyszłości. To osobiste notatki, a co za tym idzie, ściślejsza i bardziej wiarygodna niż jakikolwiek formalny dokument relacja będąca zapisem czyjegoś życia.

- Kiedy pracowałem jako researcher dla BBC - Chryste, to już dziesięć lat temu - ciągnął Julian, ponownie zerkając na menu - miałem okazję przejrzeć całe sterty korespondencji rzymskich żołnierzy wykopane w okolicach muru Hadriana. Te zaskakujące teksty mogłyby być dziełem naszych chłopców stacjonujących w Iraku: prosili swoje matki o dodatkową bieliznę czy mydło. Te listy były napisane prostym językiem, jakim posługiwali się prości ludzie, i traktowały o sprawach, które stanowiły ich codzienność, mówiły o ich troskach, niepokojach... takie rzeczy się nigdy nie zmieniają. Uwielbiam to w historii.

Pojawiła się kelnerka z bloczkiem w dłoni, gotowa przyjąć zamówienie.

- Czy już państwo wybrali?

Julian sapnął i przygryzł dolną wargę, po czym spojrzał na kobietę z pełnym nadziei uśmiechem.

- Przypuszczam, że nie dostanę tu lasagni...

- Tylko to, co w karcie, proszę pana.

Pokiwał głową i lekko wydał wargi.

- No dobrze. Wobec tego... poproszę... ranczoburgera.

Rose zaczekała, aż kelnerka skończy zapisywać.

- A ja chyba wolę sałatkę cesarską.

- Coś do picia po posiłku?

Julian spojrzał na Rose.

- Jeszcze po piwku?

- Czemu nie. Całkiem nieźle wchodzi.

Rose odprowadziła kelnerkę wzrokiem, po czym spojrzała na ekran laptopa stojącego w rogu, na blacie stolika.

- Czy wszystkie strony mamy już zeskanowane?

Julian skinął głową.

- Zrobiłem to wczorajszej nocy. Dziennik Lamberta znajduje się teraz w suchym, bezpiecznym miejscu, odpowiednio zabezpieczony. Grace na pewno to by się spodobało. A już wkrótce ten dziennik stanie się pasjonującym eksponatem w miejscowym muzeum.

- Ulżyło mi. Wiedząc, jaki bywasz czasem niezdarny, Jules, bałam się, że zalejesz go kawą czy coś w tym rodzaju.

Julian się uśmiechnął.

- Ta kobitka żywcem obdarłaby mnie ze skóry.

Rose potaknęła.

- Nie wątpię.

Julian omiół wzrokiem wnętrze lokalu, pustego, jeśli nie liczyć dwóch młodych mężczyzn grających w bilard na drugim końcu sali. Telewizor za kontuarem był włączony na stację FOX News. Relacjonowano właśnie debatę przedwyborczą - sześciu kandydatów z nadzieją na mandat z ramienia partii republikańskiej zażarcie dyskutowało między sobą.

- Myślę, że on musiał być naprawdę słodki.

- Kto?

- Ten facet, Benjamin Lambert.

- Nie mów, że czujesz miętę do nieżyjącego faceta?

Uśmiechnęła się.

- Wydaje się czuły i wrażliwy, a ja to lubię.

Rose w swoim życiu napotkała niewielu mężczyzn, których mogłaby określić mianem czułych i wrażliwych. Żaden nie zdołał przeniknąć pod zewnętrzną maskę jej fałszywej pewności siebie i pogody ducha, by ujrzeć skrywaną pod nią niepewność. Nawet Julian, który z pozoru znał ją tak dobrze, nawet on nie zdawał sobie sprawy, że czuła się jak brzydkie kaczątko wśród pięknych asystentek producentów, kierowników planu i innych medialnych

mupetów, które jak łabędzie wypełniały ich świat.

Rose wiedziała, że Julian ma o niej wysokie mniemanie. Szanował jej talent, ufał jej sądom. Właściwie była pewna, że większość mężczyzn, zawodowców, z jakimi się na co dzień stykała, była pod wrażeniem jej profesjonalizmu i znajomości rzeczy, ale poza tym dostrzegła w niej tylko prostą dziewczynę, która stara się dorosnąć do narzuconego jej poziomu.

- Nie jestem olśniewającą Paris Hilton - poskarżyła się kiedyś.

- Chrzanić to. Jesteś najbardziej utalentowaną autorką filmów, z jaką miałem okazję pracować - odparł zgodnie z prawdą Julian.

Brzydkie kaczątko to właśnie pragnęło usłyszeć.

Wróciła kelnerka, niosąc dania i napoje, po czym rozstawiła je na stoliku, uśmiechając się przy tym sztucznie.

- Smacznego - rzekła beznamiętnie i się oddaliła.

Rose nabiła na widelec liść sałaty, popatrując równocześnie na talerz Juliana.

- Boże, ależ bym chciała móc jeść takie świństwa i pozostać taka chuda jak ty.

- Mam szybką przemianę materii - szybko przetwarzam i pochłaniam energię. Właściwie sądziłem, że dobrze po trzydziestce mocno zwolnię tempa - powiedział i upił łyk piwa.

- Boże! To jaki musiałeś być w moim wieku?

- Gdy miałem dwadzieścia pięć lat? Taki sam jak teraz, mniej więcej. Jak dotąd natura była dla mnie łaskawa. Zaczekaj, aż skończę czterdzieści pięć lat, założę się, że w jedną noc postarzeję się o dobrych dziesięć albo piętnaście. - Sięgnął po ranczoburgera, który ociekał topionym serem i tłuszczem z bekonu.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Myślę, że będę musiała pozostać przy żarciu dla królików, picciu kawy bezkofeinowej i ślinieniu się do George'a Clooneya na wygaszaczu ekranu.

W ostatnim czasie jedyną przyjemność, jakiej zaznawała, dawały jej urządzenia na baterie. Kręcenie filmów, montaż, miksowanie. Kręcenie filmów, montaż, miksowanie. A od wielkiego dzwonu trafiał się jej jakiś podchmielony facet. Zawsze był to dźwiękowiec, oświetleniowiec lub kamerzysta, oczarowany bardziej jej profesjonalnym podejściem do rzeczy niż czymkolwiek innym.

Przez chwilę jedli w milczeniu, oboje byli wygłodniali po popołudniowym marszu przez las na kamping przy parku. Julian pochłaniał swego burgera, wpatrując się w ekran telewizora za barem i jakby od niechcienia rejestrując kąśliwe, choć ciut wymuszone, przytyki

wymieniane między sobą przez ubranych w eleganckie garnitury kandydatów.

- Dobra, Rosie - rzekł Julian, wycierając usta serwetką. - Do rzeczy. Musimy zaplanować, co mamy robić dalej.

- Ty tu rządzisz - rzuciła oschle.

Odłożył niedojedzonego burgera, wytarł dłonie i zmarszczył brwi, pograżając się na chwilę w głębokiej zadumie.

- Myślę, że moglibyśmy wykroić z tego coś więcej, coś znacznie lepszego niż zwykły dokument historyczny dla kanału tematycznego. Może udałoby się nakręcić dokument fabularyzowany albo nawet film, który miałby szansę na wejście do kin. W sumie czemu by nie? Co ty na to?

Jej oczy się rozszerzyły, gdy pociągnęła łyk piwa z butelki.

- Mamy tu przepiękne plenery - powiedział. - Wręcz wymarzone na wielki ekran. Ta puszcza, szczyty, kłębiąca się poranna mgła... odpowiednio dobrana oprawa muzyczna?

- Na Boga, tak - odparła z uśmiechem.

- To coś, z czego ty i ja moglibyśmy być dumni - rzekł, podnosząc swoją butelkę i stukając się z nią. Dopił piwo i otarł usta. - Niezły ten browar.

- Jules, kochanie. Tutaj mówią na to *piwo*.

Machnął ręką.

- Piwo, śmiwo. Chcesz jeszcze jedno?

- Śmiało.

Wychwycił spojrzenie kelnerki i zamówił dwa następne.

- Sęk w tym - mówił - że muszę wrócić do Anglii. To miał być szybki, łatwy projekt. Teraz mamy do czynienia z czymś całkiem innym, potrzeba nam większego budżetu i sponsorów. Chcę wciągnąć do gry kogoś bardziej konkretnego niż BBC. Boże! To może być dla nas prawdziwy przełom! - Julian poczuł w głowie lekki szumek. Nie był pewien, czy to zasługa piwa, czy może adrenaliny.

- A co ze mną? - spytała Rose. - Muszę wrócić do naszego studia, aby poskładać wszystko, co wspólnie nagraliśmy.

Spojrzał na nią. Policzki miała zaróżowione z podniecenia.

- Może powinnaś tu zostać, Rose. Wrócę do domu na tydzień, nie dłużej, a potem znów przyjadę, aby ci pomóc. Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć kogoś na miejscu, aby miał oko na nasze terytorium, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Skinęła głową.

- Może masz rację.

- Czy w naszym motelu mają Internet? Sprawdziłaś?

- Chyba tak. W obu pokojach były łącza internetowe.

Kelnerka przyniosła piwo.

- Życzą sobie państwo coś jeszcze?

Julian spojrział na zegarek. Było już późno i wiedział, że musi wstać wcześniej, aby zdążyć na międzynarodowe lotnisko Reno-Tahoe, złapać samolot do Denver i stamtąd polecieć do Londynu. Kiedy już zdoła pozyskać kilku sponsorów i dość pieniędzy, by zapewnić im niezbędny budżet, on i Rose będą mogli odpowiednio to uczcić. Kiedy kelnerka odeszła, zwrócił się do Rose:

- Czy kiedy będę w Londynie, zdążysz skrócić krótki wstępny materiał i mi go przesłać?

- Jasne - odparła, odgarniając kosmyk włosów znad czoła. - Nie ma sprawy.

Uświadomiła sobie, że patrzył na nią trochę za długo, tak długo, by oboje poczuli się niezręcznie. Rose odwróciła wzrok i zaczęła zdrapywać nalepkę ze swojej butelki piwa. Julian upił kolejny łyk.

- Do Reno jest jakieś dwie, trzy godziny jazdy. Pojadę tam naszym wynajętym autem, jeśli wypożyczysz tu na miejscu następnę.

Skinęła głową, dopijając piwo, wąska strużka spłynęła jej po brodzie, gdy odstawiła butelkę na stolik.

Julian wychylił się do przodu i wytarł spływającą kropelkę kciukiem.

- Chyba się ululałaś.

Rose to poczuła. Zastanawiała się, czy Julian także. Lekki dreszczyk napięcia. Chwilowe, krótkotrwałe podniecenie. Odwrócił wzrok, zażenowany i powoli, jakby niezręcznie cofnął rękę.

- Musimy pójść do mego pokoju i sprawdzić to łącze.

Rose poczuła, że się rumieni. *Nie wierzę, że to powiedziałam.*

- Słucham?

- No wiesz, ten Internet - dodała pośpiesznie.

Zjawiała się kelnerka z rachunkiem. Uregulował go i zostawił napiwek.

- Może powinniśmy je sprawdzić, zanim wyjedziesz i gdy już będzie za późno, abym mogła powiedzieć ci, że nie da się w ten sposób przesłać skróconego materiału - dodała Rose.

Julian uśmiechnął się z wahaniem i poprawił okulary na nosie. Wyczuł w tych słowach nutę zaproszenia, coś, co wykraczało poza ich zawodowe układy. Oboje byli podekscytowani tą historią, a parę piw wypitych na głowę pomogło w rozluźnieniu nastroju...

wiedział jednak, do czego to mogło prowadzić, i że raczej oboje by tego żałowali.

- Ee... ja... - zaczął niepewnie.

Rose natychmiast wlepiła wzrok w swoją butelkę i powróciła do zdrapywania nalepki.

- A może lepiej nie - dodała bez entuzjazmu.

- Może tak będzie lepiej. Tak, uważam, że to raczej...

- Tak, pewnie że tak... może... lepiej sprawdzimy to rano.

- Jasne.

Oboje uśmiechnęli się i zwlekali jeszcze przez chwilę, zanim sięgnęli po swoje kurtki.

Rozdział 12

23 września 1856

Ben zadrzał, mimo iż był otulony grubym, wełnianym ponchem. Padał lekki śnieg, jeszcze drobny i delikatny, ale sypał tak cały dzień. Osiadło go już tyle, że koła ślizgały się niebezpiecznie na pochyłym trakcie. Patrzył, jak grupka mężczyzn zarówno z grupy Prestona, jak i Keatsa mocuje się wspólnie przy prowizorycznym kołowrocie na szczycie stromego zbocza. Gruba lina owinięta była wokół piasty tylnego koła dużej conestogi, zabezpieczając je dobrze od góry, a kilka długości biegło w dół krótkiego, stromego traktu do wozu, który znajdował się w połowie drogi, ciągnięty przez idące w zaprzęgu woły. Mężczyźni równym rytmem ciągnęli za liny, starając się wesprzeć woły i wciągnąć przeładowany wóz na szczyt zbocza.

Ben bardzo chciał znaleźć się teraz w gromadzie mężczyzn obsługujących kołowrót, choćby tylko po to, by znów trochę się spocic i rozgrzać. Ale liczba osób, mogących obsługiwać urządzenie, ciągnąc za szprychy i nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę, była ograniczona. Ciągnęli różno, stękając w jednym rytmie. Przy każdym obrocie koła wóz, kołyszac się, brnął pod górę, a ciągnące zaprzęg woły chwiejnie postępowały naprzód.

Już tylko kilka wozów czekało na wciągnięcie na szczyt tego stromego odcinka szlaku, który Keats nazwał skrótem. Ta droga, jak zapewniał starszek, miała umożliwić im przejście przez te zalesione szczyty szybciej niż jakimkolwiek innym szlakiem. To była dużo szybsza droga, ale jak ostrzegał przewodnik, znacznie cięższa.

Wciąganie wozów na szczyt zbocza zajęło niemal cały dzień; proces ten był spowodowany przez coraz gorszą przyczepność kół na śniegu, który osiadał na ziemi przez to pochmurne popołudnie.

Pan Hussein stał przy nim i także dygotał z zimna; z jego ust przy każdym oddechu wypływały obłoczki pary.

- Zimno... dziś... panie Lambert. Prawda?

Ben skinął głową.

- Cholernie zimno. Nie do wiary, że zaledwie dwa dni temu chodziłem po słonych równinach z podwiniętymi rękawami.

Na twarzy Husseina odmalowało się skupienie, gdy przekładał tę wypowiedź w myślach, po czym pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Tak. Tak nagle zrobiło się... bardzo zimno.

Mężczyźni znów zaczęli ciągnąć, a wóz gwałtownie ruszył do przodu, równocześnie niebezpiecznie ześlizgując się w bok.

- Cholera! - zasyczał pod nosem Ben, gdy wóz osuwał się coraz dalej w bok.

Pan Hussein obserwował to wszystko, wstrzymując oddech.

Ścieżka, po której próbowali wciągnąć wóz, była wąska, ograniczona z jednej strony stromym zboczem usianym gładzami, niskimi krzewami i drzewami zdającymi kurczowo trzymać się ziemi. Po drugiej stronie ścieżka kończyła się stokiem opadającym niemal pionowo w dół do kamienistego parowu, w głębi którego płynął wartki, głośno szumiący potok.

Boże, ten wóz polecą w dół.

Woły zaczęły się potykać, ślizgać się w rozmytym, śliskim od roztopionego śniegu blocku. Ben rozpoznał kobietę na wozie - była to żona jednego z członków Rady Starszych Prestona, pani Zimmerman. Siedziała na koźle wyraźnie wystraszona, próbując zmusić woły do większego wysiłku, krzyknęła z przerażenia, gdy wóz nieprzerwanie sunął w stronę skraju przepaści. Wreszcie się zatrzymał, lewe tylne koło osiadło w głębokiej koleinie wrytej przez poprzednie wozy. Pan Hussein odetchnął z ulgą, w chłodnym powietrzu znów pojawił się obłok pary.

Gdy wóz sunął, skrzypiąc złowieszczo pod górę, Ben uświadomił sobie, że była to ta uszkodzona conestoga.

- O nie, to ten z prowizorycznym kołem.

- Słucham? - odezwał się Hussein.

Ben odnalazł wzrokiem koło wykonane naprędce z blatu stołu, w chwili gdy zaczęło się właśnie wyginać i pękać pod ciężarem masywnego wozu. Wozem nagle szarpnęło w bok i koło pękło z głośnym trzaskiem.

Ben wraz z kilkoma innymi zaczął krzyczeć do kobiety, aby wyskoczyła z wozu.

Pani Zimmerman, siedząc na koźle, spojrzała w dół, w przepaść otwierającą się z boku, a potem obejrzała się przez ramię na plandekę wozu, ściągniętą mocno szpagatem.

Co ona robi? Skacz, kobieto, skacz!

Wóz nieubłaganie sunął przez błotnistą breję w stronę krawędzi stoku, uszkodzone koło skrzypnęło niepokojąco. Woły idące po lewej w tym podwójnym zaprzęgu, ujrawszy, że zbliżają się coraz bardziej do krawędzi uskoku, wpadły w panikę i zaczęły się przesuwać w

prawo, płosząc znajdujące się tam zwierzęta. Wóz przechylił się jeszcze bardziej, a Ben zorientował się, że lada moment ciężka conestoga runie w dół.

- Na litość Boską, skacz! - zawołał do kobiety.

Pani Zimmerman odwróciła się nagle i zaczęła szarpać szpagat łączący brzegi płóciennej plandeki przesłaniającej wejście do wnętrza wozu, krzyczała coś... jakby ostrzeżenie, próbując dostać się do środka. Wtedy właśnie Ben przypomniał sobie, że kobieta miała córkę i zapewne znajdowała się ona wewnątrz wozu. Kobieta zdołała poluzować szpagat i odchyliwszy fragment płótna, zaczęła sięgać do środka, rozpaczliwie usiłując wyciągnąć stamtąd dziewczynkę, gdy prowizoryczne koło z przeraźliwym trzaskiem rozleciało się na kawałki. Ciężka conestoga ześlizgnęła się z krawędzi ścieżki, a kobieta, wyrzucona z kozła, wylądowała na ziemi. Oszołomiona mogła jedynie patrzeć, jak wóz koziółkując, stacza się po zboczu, miażdżąc wykonaną z hikory konstrukcję wsporników płóciennego dachu i zapewne także znajdującą się na wozie nieszczęsną dziewczynkę. Woły także runęły w dół, tworząc splecioną masę mięśni, obwisłej skóry i wymachujących bezradnie kończyn.

Upadek wozu zahamowało w gwałtowny sposób znajdujące się na jego drodze drzewo. Conestoga rąbnęła w nie z przerażającą siłą, roztrzaskując się o gruby pień i rozrzucając we wszystkie strony ostre kawałki drewnianych desek, baryłek, skrzyń, podartych ubrań i strzaskanej zastawy stołowej, by ostatecznie stoczyć się na samo dno parowu. Woły podążyły tą samą drogą, a że miały już doszczętnie pogruchotane karki i kończyny, toteż opadały w dół bezwładnie jak ciśnięta niedbale szmata.

W chwilę potem w dół zbocza ześlizgnęła się lina i połączona z nią oś, wyrwana z conestogi, a wykorzystana jako kołowrót do wciągania wozów na szczyt wzgórza.

Ben spojrzał w górę ścieżki, by stwierdzić, że wóz wciągany pod górę leży na boku, pozostawiając za sobą długi ślad rozsypanego i zniszczonego dobytku.

Pan Hussein zaklął pod nosem po arabsku.

To Preston zareagował pierwszy. Cisnął swój szerokoskrzydły kapelusz na ziemię i zaczął zsuwać się w dół stromego zbocza, nie bacząc na własne bezpieczeństwo.

Od strony wzgórza, gdzie mężczyźni trudzili się wspólnie, by wciągnąć wóz na szczyt, Ben usłyszał przeraźliwy, rozpaczliwy szloch pani Zimmerman.

Rozdział 13

Niedziela Lot UA 176

Julian wyjrzał przez okienko na falujące prawe skrzydło samolotu UA 176 i dwa z wyglądu bardzo ciężkie silniki kołyszące się podejrzanie poniżej. Nie cierpiał turbulencji - naprawdę tego nie znosił. Zaświecił się napis PROSIMY O ZAPIĘCIE PASÓW.

- Świetnie - mruknął, mocno zaciskając dłoń na podłokietniku. Mała dziewczynka siedząca obok niego przerwała na chwilę grę na swojej komórce.

- Boi się pan? - spytała.

Poprawił okulary na nosie i zmarszczył brwi, odwracając się do niej w nadziei, że wygląda teraz na przekonująco znużonego łagodnym kołysaniem i niewymagającego pocieszenia ze strony opiekuńczego dziecka.

- Nie, skąd.

Pokiwała głową, zadowolona, że nie potrzebował jej wsparcia, i ponownie zajęła się grą. A on ponownie starał się *nie myśleć*, że znajduje się wewnątrz ważającej trzysta pięćdziesiąt ton bomby paliwowej, unoszącej się dziewięć tysięcy metrów nad ziemią i utrzymującej się w powietrzu tylko dlatego, że leci dostatecznie szybko... przynajmniej na razie. Odwrócił się od okna i opuścił roletę. To mogło mu się udać, jeśli nie będzie musiał patrzeć na falujące w rytm turbulencji skrzydło.

Na niewielkich opuszczonych ekranach ciekłokrystalicznych puszczano właśnie wiadomości - kolejne informacje na temat wciąż jeszcze odległych wyborów w USA i nieustających wysiłków partii republikańskiej, aby znaleźć silnego sojusznika w starciu z demokratami. Następnie pojawiły się wzmianki na temat kilku kandydatów, którzy już zgłosili swój udział w kampanii wyborczej. Julian zauważył, że jest wśród nich kilku świrów, jak zawsze pragnących zwrócić na siebie uwagę. Postanowił skupić się na pracy, otwierając teczkę z wydrukowanymi skanami stronic z dziennika Lamberta - ale jego umysł szybko zaprzątnęło coś innego.

Rose.

Co się tam stało?

W ostatnich latach spędzili ze sobą tysiące godzin, w tym kilkadziesiąt leżąc koca po

upojnej nocy. Nigdy jednak nie przydarzyło im się coś takiego jak ostatnio. Z jednej strony poczuł w sobie dreszczyk podniecenia, z drugiej zaś odniósł wrażenie, że to nie było właściwe - jakby patrzył na siostrę albo ciotkę w dwuznaczny sposób.

Julian pokręcił głową. Dlaczego akurat teraz, po trzech latach wspólnej pracy, wynikła taka niezręczna sytuacja?

Czemu właśnie teraz, do cholery?

Pracuj, Jules... pracuj.

Powrócił do teczki i zeskanowanych stron z dziennika Lamberta. Pierwsze wpisy były krótkie, zdawkowe, dzieliły je dni, a niekiedy nawet całe tygodnie. Charakter pisma był schludny, elegancki, staranny, dzięki czemu zapiski były czytelne. Jednak na dalszych stronach zapiski były dłuższe, pismo bardziej chaotyczne, zwarte, bardziej zbite i trudniejsze do odczytania - jak w pamiętniku dziecka, któremu zabrakło miejsca do pisania, pod sam koniec zaś atrament stawał się coraz jaśniejszy i bardziej wyblakły. Jules czytał, mrużąc lekko powieki i podnosząc kolejne kartki niemal na wysokość oczu, aby odcyfrować luźne zapiski na ostatnich zeskanowanych stronach; tu pismo było prawie całkowicie nieczytelne - przypominało bezsensowne bazgrały.

Na tych pokrytych gęstymi zapiskami stronach udawało mu się wychwycić i odczytać zaledwie po kilka słów. Nie był nawet pewny, czy jego zmęczone oczy właściwie rozszyfrowywały te gryzmoły. Jednakże jedno ze słów, które, jak sądził, udało mu się wychwycić, gdy skanował te kartki parę dni temu, znów zwróciło jego uwagę.

...Morderstwo...

Coś w jego wnętrzu drgnęło. Obudził się tkwiący w nim instynkt. Podejrzewał, że ta historia mogła kryć w sobie coś więcej niż tylko tragedię zaginionego taboru, który ugrzązł w górach. Po powrocie do domu zamierzał przy pierwszej lepszej okazji przeczytać możliwie jak najwięcej z tego dziennika, a następnie przepisać jego treść, aby mogły ją poznać inne osoby. Co ważniejsze, lektura tych notatek pozwoliłaby mu, jak sądził, rzucić choć odrobinę światła na tajemnicę, na jaką natknął się w ostatniej części dziennika, skąd, jak się okazało, ktoś wyrwał trzy lub cztery kartki.

Morderstwo i tajemnica.

- Coraz lepiej - mruknął pod nosem. Siedząca obok niego dziewczynka na moment oderwała się od gry, ale zaraz znów do niej powróciła. Pozostawała jeszcze kwestia badań źródłowych. Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do swego mieszkania, odpali komputer i zacznie poszukiwać wszelkich możliwych informacji na temat Benjamin Lamberta. Nie sądził, aby to było zbyt trudne. Nawet w dziewiętnastowiecznej Anglii trudno było żyć, nie

pozostawiając po sobie śladów w pożółkłych rejestrach, na które mógł się natknąć wprawny i niestrudzony badacz zagadek przeszłości.

Ale wszystko po kolei.

Przerzucił kilka stron w swoim notesie i powrócił do przepisywania dziennika Lamberta, przerywając od czasu do czasu, by rozszyfrować ledwie widoczne gryzmoły, i już wkrótce na dobre zapominając o łagodnych turbulencjach wywołujących kołysanie samolotu.

Rozdział 14

23 września 1856

Preston wszedł na ścieżkę, skąd pan Zimmerman z przerażeniem spoglądał na rozsypane szczątki poniżej, trzymając w ramionach szlochającą żonę i delikatnie ją kołysząc.

Pan Zimmerman uniósł wzrok, by na niego spojrzeć.

- Williamie... czy ona...?

Preston, zdyszany po wspinaczkę na stromy stok, zignorował ojca i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych wokół ludzi. Dostrzegł Bena.

- Panie Lambert?

Ben skinął głową.

- Pański przewodnik Keats mówił, że zna się pan na medycynie.

- Że co? Tak, trochę. Miałem zostać lekarzem, zanim...

- Proszę ze mną.

- Pójdę po swoją torbę.

- Tylko szybko, błagam.

Preston poprowadził go w dół stoku, zejście było zdradliwe, tym trudniejsze, że gruba na dwa centymetry warstwa śniegu czyniła grunt pod stopami śliskim i niepewnym. Gdy byli już blisko dna parowu, gdzie szum strumienia stawał się głośniejszy, minęli woły oplecione wokół pnia masywnej sosny ponderosa niczym wielogłowa, mająca wiele kończyn bestia. Ben zdziwił się, stwierdziwszy, że wśród tej masy ciał jeden czy dwa woły nadal żyły i próbowały się uwolnić, mucząc żałośnie.

Schodzili, dopóki Ben nie zobaczył szczątków wozu oraz osobliwie wyglądającej skromnej bielizny i najlepszych niedzielnych ubrań zwieszających się z wyższych gałęzi kilku drzew nieopodal, jak pranie rozwieszane, aby wyschło.

Jeszcze niżej zauważył Keatsa, kucającego przy czymś, co leżało nad strumieniem. Preston zatrzymał się i odwrócił do niego. Ben dostrzegł łzy w chłodnych i zazwyczaj niewzruszonych oczach tamtego.

- Myślę, że mała Johanna nie przeżyje... - starał się mówić bez cienia emocji w głosie.
- Jest tam, na dole.

Preston poprowadził go na dno parowu, usłane głazami, fragmentami roztrzaskanych desek i belek oraz rozrzuconymi dokoła rzeczami osobistymi. Niewielki lodowaty potok szumiał i szemrał wokół nich, unosząc z wartkim nurtem co lżejsze rzeczy - wiersze, listy, suche kwiaty, drobiazgi i pamiątki.

- Tędy - powtórzył Preston, podprowadzając go do miejsca, gdzie przykucnął Keats. Sypki śnieg zaczął gromadzić się na obwisłym rondzie jego brązowego kapelusza. Trzeba przyznać, że wysuszony stary przewodnik wysilił się nie lada i na jego pooranej bliznami oraz śladami po ospie twarzy odmalował się grymas, które to nieszczęsne dziecko mogło wziąć za uśmiech.

Ben zobaczył, jak tamten gładzi upiornie blade oblicze dziewczynki rozciągniętej na wilgotnym głazie i skapanej w lodowatych wodach potoku. W poprzek jej wąskiej talii leżał spory fragment jednej z burt wozu. Ciężka, drewniana konstrukcja zmiażdżyła dziecko, przecinając je niemal na pół.

- Boże - wyszeptał Ben, a Preston spiorunował go wzrokiem.

- Jeżeli nie możesz jej pomóc, to przynajmniej udawaj, żeby myślała, że potrafisz tego dokonać - zasyczał do niego.

Pokiwał głową, po czym ukląkł obok niej.

- Jesteś Johanna, tak?

Spojrzała na niego, jej sine usta drżały z zimna.

- Ja... pana znam. Jest pan *obcym*.

Ben pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Zgadza się, mam na imię Benjamin. Jestem... lekarzem. Pozwól, że cię obejrzę. Zobaczymy, co da się zrobić.

Uśmiechnęła się do Prestona.

- B-B-Bóg zawsze daje nam to, czego potrzebujemy.

Preston pochylił się i ujął ją za rękę.

- Owszem, moja droga Johanno. W rzeczy samej. To Bóg sprawił, że doktor Lambert podróżuje razem z nami.

- G-gdzie moja m-m-mama i t-t-tato? - wyszeptała coraz bardziej drżącymi i posiniałymi ustami.

- Twojej matce nic nie jest. Zeskoczyła z wozu i jest bezpieczna na górze.

Odetchnęła z ulgą i odwróciła głowę, by spojrzeć na Prestona.

- M-m-mama próbowała mnie w-w-wydostać, p-prawda?

- Tak. Bo jesteś dla nas kimś szczególnym, Johanno.

Ben przeniósł wzrok na Prestona. Ten człowiek naprawdę umiał doskonale dobierać słowa. Uśmiechnęła się słabo i zadygotała.

- T-t-tak się cieszę, że m-mamie nic nie jest.

Preston pokiwał głową.

- Jest cała i zdrowa.

Ben sprawdził puls dziewczynki. Był słaby, gasnący.

- Johanno - powiedział. - Wydostaniemy cię stąd, a potem zajmę się tobą, kiedy wniesiemy cię na szczyt wzgórza. - Skłamał w żywe oczy, aby jakoś ulżyć jej w ostatnich chwilach życia. Spojrzał na jej niemal przepołowione ciało. Strzaskana belka przecięła ją w tali jak ostrze piły, nie było to czyste cięcie, ale poharatana, bezładna plątanina uszkodzonych organów, rozdartych mięśni, skóry i fragmentów kości - wyglądało to paskudnie. - Tak, już wkrótce cię stąd wydostaniemy. Ale pozwól, że najpierw coś ci podam. Poczujesz się lepiej.

Ben sięgnął do torby i wyjął butelkę laudanum.

- Co to takiego? - zapytał Preston.

- Opiaty. To jej pomoże... - Ben nie dokończył. Odkorkował butelkę. - Złagodzi jej ból.

Uniósł głowę dziewczynki i wlał kilka kropel między drżące wargi dziewczynki. Niemal natychmiast drżenie zaczęło słabnąć.

- Już dobrze, już dobrze - rzekł kojącym tonem Ben, gładząc ją po twarzy. - Grzeczna dziewczynka. Nic ci nie będzie.

Dziecko pokiwało głową sennie, uspokojone kojącym tonem jego głosu i delikatnym dotykiem dłoni. Odpływało coraz szybciej, miłosiernie, z uśmiechem na posiniąłych ustach. Ben przeniósł wzrok na Keatsa i jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał łzy wypływające spod półprzymkniętych powiek i ściekające po poranych bruzdami policzkach na brodę. Przewodnik w milczeniu przygryzał wargę, podczas gdy Preston odmówił cichą modlitwę.

Gdy ponownie spojrział na Johannę, Ben stwierdził, że odeszła.

- Tak mi przykro - wyszeptał. - Nic nie mogłem zrobić.

Keats pokiwał głową.

- Nikt nie mógł.

Preston odwrócił się do nich obu.

- Chciałbym zostać z nią przez chwilę sam na sam, jeśli łaska.

Ben powoli schował butelkę do torby i podniósł ją. Wraz z Keatsem przeszli przez potok i pokonali kilka metrów stromego stoku.

- Musiała mieć nie więcej niż osiem, dziewięć lat - wyszeptał Ben. - Biedne dziecko.

- Tak - odparł Keats, a w jego ochrypłym głosie wciąż tliły się emocje. - Ci dumie stwierdzą po prostu, że taka była wola Pana... przekonasz się.

Ben skinął głową.

Stali przez chwilę w milczeniu i patrzyli, jak Preston klęka, by ucałować dziecko.

- To, co tam zobaczyłeś, Lambert - rzekł Keats - to właśnie był słoń.

Wiedział, o co chodziło przewodnikowi, i dokładnie tak się właśnie czuł, jakby jakaś ogromna, złowroga istota znudziła się obserwowaniem ich z daleka i postanowiła im się ujawnić.

- Wszyscy ujrzeliśmy dzisiaj słonia, Lambert... my wszyscy. I to nie wróży niczego dobrego.

Rozdział 15

Niedziela Fulham, Londyn

Julian ucieszył się z powrotu do swego skromnego mieszkanca. Przy drzwiach frontowych zebrał się spory kopczyk różnego rodzaju listów, ulotek i rachunków, a woń napływająca z kuchni pozwalała przypuszczać, że resztki jedzenia w koszu na śmieci zgniły. Lodówka była pusta - jeśli nie liczyć kawałka spleśniałego pasztetu i litrowej butelki mleka, której zawartość w osobliwy sposób rozdzieliła się na dwie warstwy żółtej cieczy i białawej brei.

Poza tym jego mieszkancko było schludne i czyste, istne sanctum sanctorum, takie, jakim je pozostawił przed dwoma tygodniami. Choć miał ochotę się zdrzemnąć i nadrobić nieprzespane noce w lasach czy na nieznośnie twardym łóżku w motelu, zadzwonił do Mirandy pracującej na pół etatu jako recepcjonistka w Soup Kitchen, aby zdobyć kilka numerów telefonów, pod które później zadzwoni.

A następnie zajął się wyszukaniem bliższych szczegółów dotyczących niejakiego B.E. Lamberta.

*

Trzy godziny później wstał zza biurka, podszedł do telefonu i zamówił pizzę. Mając w perspektywie dwadzieścia minut oczekiwania, ponownie usiadł za biurkiem, przeglądając sporządzone wydruki.

Wyglądało na to, że Benjamin Lambert pochodził z bardzo zamożnej rodziny. Jego ojciec Maurice zbił fortunę na nieruchomościach na Square Mile, ale stracił sporo wskutek inwestycji, jakie poczynił w Ameryce. Większość tych informacji Julian odnalazł na stronie internetowej Hospicjum (dawniej szpitala psychiatrycznego) Bannera.

Maurice Lambert regularnie i hojnie łożył na tę placówkę, ufundował nawet jedno ze skrzydeł zakładu, nazwane, jakżeby inaczej, Skrzydłem Lamberta.

Maurice Lambert, który został później uhonorowany tytułem szlacheckim, miał jednego syna z żoną Eugenią, z domu Davies, jak odkrył Julian, daleką krewną, za sprawą małżeństwa księcia Westminster. Ich syn Benjamin Edward Lambert został posłany do szkoły z internatem w Westminster, a następnie do Oksfordu, gdzie miał studiować medycynę,

później zaś zrobić specjalizację w osiągającej coraz większą popularność psychiatrii. Julian zastanawiał się, czy był to przejaw aspiracji ojca, aby jego syn praktykował medycynę w szpitalu, na który onłożył.

Udało mu się także odnaleźć krótki artykuł z internetowego archiwum „Timesa” z datą z 1855 r., w którym wspomniano, że Benjamin Lambert, syn sir Maurice’a, oznajmił, że zamierza opuścić kręgi brytyjskiej socjety, by udać się do Ameryki i tam badać nieodkryte pustkowia zachodu. Zamierzał napisać studium na temat pogranicza, które może nawet rozrosłoby się w powieść; zamierzał opublikować ją po swoim powrocie. Na łamach prasy życzone mu szczęśliwej podróży i z niecierpliwością oczekiwano na pierwsze fragmenty jego dzieła. Na tym informacje się kończyły.

Julian jakby od niechcienia żuł końcówkę długopisu. To nie musiało wcale oznaczać, że Lambert umarł w tych lasach. Może istniały jeszcze inne, późniejsze wzmianki na jego temat. Mógł przecież przeżyć i pozostać w Ameryce, a co za tym idzie, uda się gdzieś natrafić na jego trop.

Jednak na razie niczego więcej nie był w stanie odnaleźć. Wszelkie inne informacje na temat Lamberta wymagały dokładniejszego szperania.

Rozległ się dźwięk dzwonka i w pięć minut później Julian siedział już na parapecie wykuszowego okna, wyglądając na skapaną w deszczu ulicę poniżej, sącząc wino i łapczywie połykając kolejne kawałki pizzy.

Jego myśli podążyły w pewnej chwili ku Rose i tego, co mogło między nimi się wydarzyć tamtej nocy, gdyby na stole pomiędzy nimi pojawiło się o kilka więcej pustych butelek po piwie.

Weź się w garść, Julianie... pracujecie razem... to nawet lepiej, że do niczego nie doszło.

Na zewnątrz rozległo się jękliwe zawodzenie syreny, gdy policyjny radiowóz przemknął przez mokrą od deszczu ulicę. Ten hałas sprawił, że czar prysnął. A Julian uznał, że skoro nastąpiło to tak szybko, to mogło oznaczać, że bliższy związek nie był im pisany.

Wracaj do pracy, leniu.

Wytań palce z tłuszczu i wrócił do komputera, by wejść w wyszukiwarkę Google’a i wpisać hasło „Grupa Prestona”. W odpowiedzi uzyskał, jak zawsze, całą masę niechcianego szajsu. W „Preston’s Bar” w Chicago urządzano imprezy dla grup, które rezerwowały cały lokal. Pojawiły się zdjęcia grupy studentów, do której należał niejaki Preston Macey. W Preston Hall odbywało się przesłuchanie członków parlamentu należących do labourzystów. Wypożyczalnia płyt DVD Preston Entertainment oferowała spory wykaz filmów ze słowem

„Grupa” w tytule. Itede, itepe.

Julian westchnął. Ostatnio w sieci było coraz więcej chłamu. Spróbował sprecyzować i ograniczyć zakres poszukiwań, wpisując: „Grupa Prestona + mormoni”.

Wyświetliło się kilka stron o rzekomo zbliżonej treści. Hasło „Mormoni” zaowocowało głównie dostępem do stron dotyczących wspólnot oraz kościołów, z możliwością obejrzenia mocno przegadanego reportażu na temat niedawnych rodzinnych całodziennych spotkań i zgromadzeń modlitewnych włącznie. Mnóstwo zdjęć przedstawiających radosne, promieniejące oblicza; zdjęcia Starszych Kościoła, szacownych i inteligentnych, sądząc po wyglądzie, większości z nich nieźle się powodziło; gromadzących się na piknikach, festynach, obozach i polach namiotowych. Fotografie przedstawiające jasnowłose dzieci w prostych ubraniach, niewinne, zdrowe i uśmiechające się szczerze, gdy bez ceregieli obejmowały się i wygłupiały do zdjęcia.

Julian zastanowił się, czy pewnego dnia któreś z tych dzieci wejdzie do budynku liceum, ubrane w długi, czarny płaszcz i dźwigając w plecaku karabinek szturmowy, aby z pomocą tego przekonującego argumentu głosić Słowo Boże. Może nie. Julian nigdy nie był szczególnie religijny, ale domyślał się, że więzy łączące tego rodzaju społeczności musiały być wyjątkowo silne. To zawsze samotnicy - dzieciaki żyjące w swoim własnym świecie - kończyli, prując do swoich kolegów i koleżanek jak do kaczek.

Wertował wydrukowane stronicie dziennika, poszukując czegoś. Znalazłszy imię i nazwisko pastora, spróbował raz jeszcze: „William Preston”... i dla lepszego efektu dopisał „+ Zaginiona Wyprawa”.

Tym razem zawęził krąg poszukiwań aż za bardzo. Wyświetlił się tylko jeden odnośnik. Już miał spróbować ponownie, gdy pewien zwrot w krótkim opisie zwrócił jego uwagę, „...relacja dotycząca zaginionej wyprawy mormonów, którzy wyruszyli do Oregonu...”. Kliknął myszką i na ekranie natychmiast wyświetliła się strona z wielkim napisem u góry: „W poszukiwaniu Grupy Williama Prestona”. Poniżej znajdował się raczej suchy i zdawkowy opis dotyczący głównie początków Kościoła mormońskiego. Gdyby nie to, że Juliana zainteresowały informacje o Prestonie, ta surowo wyglądająca strona za jednym naciśnięciem myszki zniknęłaby z ekranu.

Zwarty tekst poniżej zaczynał się od krótkiego opisu dotyczącego założenia przez Josepha Smitha Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, następnie kłopotów w Nauvoo, nieprzyjemnych niesnasek wewnątrz samego Kościoła; schizm, tego, jak Kościół został zdominowany przez niemormońskich chrześcijan, wybuchów i eskalacji przemocy, a w końcu Wielkiego Exodusu mormonów przez Wielkie Równiny.

Nieco dalej na tej samej stronie pojawiła się wzmianka o duchownym nazwiskiem William Preston, który założył jedną z wielu grup mormońskich odszczepieńców i zamierzał wyprowadzić swoją trzódkę z terenu dekadencjonalnych Stanów Zjednoczonych na niezbadane boże pustkowia, gdzie zamierzał wspólnie z wiernymi założyć nowy Eden. Krótki artykuł kończył się stwierdzeniem, że Wyprawa Prestona wyruszyła z miejsca o nazwie Council Bluffs, w Iowa, wiosną 1856 i zatrzymała się w wojskowej placówce pogranicznej Fort Kearny. Stamtąd pomaszzerowali w nieznaną i wszelki śluch po nich zaginął.

Julian zwrócił uwagę na adres e-mailowy u dołu strony. To było wszystko, nie podano innych linków mogących połączyć go z kolejnymi stronami dotyczącymi tego tematu. Była tylko ta jedna strona zwartego, suchego tekstu napisanego przez kogoś, kto z całą pewnością powinien trochę popracować nad stylem literackim.

Przy adresie e-mailowym umieszczono adnotację:

Pracuję nad książką na ten temat. Jeżeli posiadasz jakieś informacje albo chcesz dowiedzieć się więcej, skontaktuj się ze mną, proszę, pod adresem: amold.zuckerman@artemis.com.

Julian wahał się przez chwilę, zastanawiając się, czy nie wysłać autorowi krótkiego e-maila z prośbą o podanie dalszych szczegółów dotyczących wyprawy. Może gdyby zasugerował, że ma pewne chody w BBC, autor strony zgodziłby się podzielić z nim posiadanymi informacjami.

Kliknął na link i zaczął pisać e-maila, gdy nagle przerwał. *Chwileczkę, może najpierw powinienem skończyć z dziennikiem Lamberta?*

Tak. Uznał, że rozsądniej będzie dowiedzieć się najpierw możliwie jak najwięcej o Wyprawie Prestona z dziennika, jakim dysponował, zanim spróbuje nawiązać kontakt z kimkolwiek z zewnątrz. Stwierdził, że przypuszczalnie warto będzie skontaktować się z autorem strony w późniejszym terminie, jeżeli spróbuje wypełnić ewentualne luki w relacji Lamberta. Później. Jeszcze nie teraz. Choć ta strona była zapewne dziełem jakiegoś emerytowanego pasjonata, mogło się okazać, że jest on jeszcze jednym dziennikarzem lub, uchowaj Boże, jeszcze jednym poszukiwaczem tematów do programów telewizyjnych, który przypadkiem zwęszył sensację.

Zamiast wysłać autorowi strony e-maila, wpisał jej adres do zakładek.

- Jeszcze pogadamy, ale w swoim czasie - wymamrotał pod nosem. Nalał sobie kolejny kieliszek czerwonego wina, wrócił na swoje miejsce przy oknie wykuszowym, przeniósł wzrok na mokrą od deszczu szybę i po chwili znów wziął do ręki plik stron z dziennika Lamberta.

Rozdział 16

Niedziela

Haven Ridge, Utah

William Shepherd wyjrzał przez wysokie okna wykuszowe swego gabinetu na wypielegnowane trawniki kampusu, o których soczystą zieleń dbały rozstawione w regularnych odległościach spryskiwacze ożywające każdego wieczoru o tej samej porze.

Studenci z kilku kursów siedzieli na skąpanym w promieniach słońca trawniku, hałaśliwie rozprawiając o pismach albo modląc się w milczeniu. Wszyscy byli młodzi, żarliwi, promieniejący celowością i Bożą miłością. Stanowili uderzający kontrast w porównaniu z grupą ponurych nastolatków, których widywał ostatnimi czasy na każdym rogu ulicy - bezdusznych, podłych kreatur o martwych oczach, gromadzących się razem jak komórki rakowe.

Shepherd pokręcił głową ze smutkiem. Rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu.

- Panie Shepherd, studio nr 3 jest gotowe do nagrania pańskiego śródygodniowego kazania.

- Dziękuję, Annie - zawołał. - Powiedz im, że zaraz przyjdę. - Usłyszał skrzypienie sandałów pani Wall na drewnianej podłodze na zewnątrz, gdy szybkim krokiem szła do studia, by przekazać informację czekającej tam ekipie.

Tyle rzeczy muszę przemyśleć.

Omam tego nie przeoczył, gdyż wiadomość znajdowała się wśród masy otrzymywanych każdego dnia e-maili. Shepherd o mały włos jej nie wykasował jak zwykłego spamu. Wiadomość została wysłana automatycznie, przez program SiteDog monitorujący dostęp do oznaczonej strony internetowej, i zawierała szczegóły o tym, kto i jak długo bawił na konkretnej stronie. Tego rodzaju informacje otrzymywał bardzo rzadko, nie częściej niż raz na parę miesięcy. Strona internetowa monitorowana przez SiteDog celowo została zaprojektowana w jak najmniej atrakcyjny sposób, aby odstraszyć przygodnego surfera, gdyby przez przypadek się na nią zapuścił. Tylko ktoś, kto szukał czegoś konkretnego, mógłby zechcieć pozostać na niej dłużej. Otworzył wiadomość.

Jeden gość kilka godzin temu odwiedził stronę i przebywał na niej w sumie przez

dziesięć minut i trzydzieści siedem sekund, po czym kliknął na link kontaktowy.

- Kim jesteś? - rzucił z zaciekawieniem Shepherd.

Kimś zainteresowanym? Czy przypadkowym surferem?

Ktoś zainteresowany, czyli możliwe, że posiadający pewne, raczej zdawkowe informacje. Gdyby zechciał, mógł dowiedzieć się więcej o osobie, która przebywała na tej stronie dłużej niż ktokolwiek inny, która nawet zamierzała wysłać e-mail, ale najwyraźniej z tego zrezygnowała. SiteDog przesłał mu adres IP gościa. Przy odrobinie wysiłku - niekoniecznie legalnego, gdyby zechciał, mógł zdobyć adres zamieszkania tego kogoś.

Bądź ostrożny.

Tak, to pewne, że musiał zachować ostrożność.

Nie mogę sobie pozwolić na żadne głupie błędy.

Nazwisko Shepherd'a było coraz bardziej znane w mediach, powoli stawał się kandydatem, którego niektóre dzienniki określały mianem „nowej nadziei” i zalecały „ważne obserwowanie go na przyszłość”. Pomijając jego wiernych, wywodzących się z kręgów wyznawców Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich, i tych, którzy słuchali jego codziennych kazań, także dla innych jego nazwisko zaczynało coś znaczyć, jego przesłanie docierało do coraz większej rzeszy ludzi.

Jednak w przeciwieństwie do innych kandydatów, biorących udział w kampanii, nie miał za sobą poparcia żadnej partii, szeregów demokratów czy republikanów tworzących wokół niego zwartą formację niczym rzymskie testudo mogące ochronić go przed kijami i kamieniami nieprzebiegających w środkach polityków.

Miał tylko swoje nazwisko, reputację... i przesłanie.

Muszę być bielszy niż śnieg. Muszę zachować najwyższą ostrożność. Nie mogę sobie pozwolić, aby w mojej szafie znalazł się choćby jeden trup.

Rozdział 17

29 września 1856

Ben patrzył, jak inna conestoga ślizga się bezwładnie po rozmytej, wąskiej ścieżce, a jedno z kół uderza o ostry kamień i pęka. Wytrzymało, ale nawet on, Ben, nie miał wątpliwości, że koło się rozleci, napotkawszy kolejny kamień albo głęboką koleinę na trakcie, a ani jednego, ani drugiego nie zdołają dostrzec na czas z uwagi na zalegającą na ziemi coraz grubszą warstwę śniegu.

Śnieg zaczął prosić już od wczoraj rano, niczym pierwsza, nieśmiała jeszcze próba zimy, aby dwa tygodnie wcześniej niż zwykle pobielić górskie szczyty. To jednak wystarczyło, jak stwierdził Ben, aby wzbudzić w Keatsie śmiertelne przerażenie.

Od tej pory mocno na nich naciskał, kierując ich niezmordowanie w stronę swojej przełęczy, tej, dzięki której, jak się zarzekał, zyskają wiele dni, a może nawet tygodni, i zejść w ciąg łagodnych dolin wiodących aż do samego celu ich podróży, czyli ich nowej Ziemi Obiecanej.

Keats przekonał Prestona, że konieczny jest większy wysiłek, wędrówka nocą przy świetle lamp naftowych i tak jak teraz, pośród gęsto syjącego śniegu. Musieli się pospieszyć z dotarciem na przełęcz, gdy bowiem zasypie ją śnieg, pokonanie ostatniego etapu mogłoby się okazać niemożliwe dla dużych, a może nawet i mniejszych wozów.

Wędrowali niemal bez przerwy od trzydziestu sześciu godzin, nie licząc dwóch krótkich postojów, aby spożyć posiłek na zimno. W tym czasie brnęli przeraźliwie wolno pod górę, krętym szlakiem wiodącym przez gęstą puszcę. Drzewa rosnące przy szlaku utrudniały im wędrówkę, bo niżej rosły w nieco większej odległości od traktu, tu natomiast ocierały się o dachy wozów i chłostały podróżnych ostrymi igłami oraz szyszkami.

Nie po raz pierwszy Ben zastanawiał się, czy stary przewodnik po ciemku nie zgubił drogi. On sam prowadził dwa kuce, pierwszy dźwigał jego rzeczy osobiste, drugi zaś torbę lekarską i kilka worków mąki kukurydzianej oraz owsianej. Droga wydawała mu się na tyle zdradliwa, że nie odważył się jechać w siodle, lecz szedł powoli, stąpając ostrożnie po nierównym, porytym koleinami i przysypanym śniegiem gruncie.

Keats podobnie podążał tuż przed nim, z posępną determinacją ciągnąc za sobą kuca.

Czyżbyś się zgubił, panie Keats? Miał ochotę zapytać go o to na głos. Ten szlak wydawał się wąską, stromą ścieżką, na której jakimś zrzędzeniem losu nie chciały rosnąć drzewa. Jakoś nie wydawało się, by kiedykolwiek tą drogą podążały tabory ciężkich wozów.

Obok niego jeden z wołów się potknął, zwierzę przechyliło się ostro w bok, sprawiając, że to samo stało się z wozem. Sunąca bezwładnie conestoga uderzyła w młode drzewko, przełamując je na pół i obsypując dach wozu puszystym śniegiem. Woły i prowadzący je mężczyzna próbowali rozpaczliwie sprowadzić wóz z powrotem na stromą ścieżkę. Z tyłu za nimi... no cóż, widział jedynie poświatę lampy naftowej innego mężczyzny prowadzącego swoje woły pośród gęsto sypiącego śniegu. Tabor stanął. Ben spojrzał pod górę na Keatsa. Stary niezmordowanie parł naprzód.

- Keats! - zawołał. - Hej, panie Keats!

Przewodnik obejrzał się za siebie, błyskawicznie orientując się w sytuacji. Jeden rzut oka wystarczył mu, aby upewnić się, że doszło do chwilowego zatrzymania taboru. Machnął ręką do przodu i powiedział coś, czego Ben nie zrozumiał. Zaraz potem ruszył dalej, prowadząc pozostałe wozy pod górę, aż Ben nieomal stracił z oczu słaby blask kołyszącej się lampy zawieszanej z tyłu na ostatnim z wozów.

Zastanawiał się, czy powinien przyspieszyć, aby ich dogonić, czy pozostać z tym wozem i mężczyzną, który wciąż usiłował zapanować nad umęczonymi wołami.

- Keats! - zawołał, ale jego głos rozpląnął się wśród drzew i został stłumiony przez ciężki woal sypiącego śniegu.

- Pozostali nie zaczekają? - zawołał mężczyzna usiłujący sprowadzić wóz na trakt. Był to jeden z mormonów.

- Wygląda na to, że nie, panie Larkin.

- Co? Nie mogą nas tu wszystkich zostawić.

- Dogonię go. Może nie zrozumiał, że się zatrzymaliście.

Ben przywiązał swego jucznego kuca do wozu Larkina, a potem pobiegł przed siebie, potykając się i próbując dogonić resztę oddalającego się taboru. W miarę jak brnął coraz dalej, światełko na przodzie wozu, który pozostał z tyłu, słabło coraz bardziej i po kilkunastu niepewnych krokach Bena otoczyła nieprzenikniona ciemność. Równocześnie zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji, nie widząc kompletnie niczego, mógł zejść ze ścieżki pokrytej koleinami, skrytymi teraz pod śniegiem, i zagubić się do reszty w mrocznej puszczy.

- Niech to szlag - wyszeptał. - Keats! - zawołał, maszerując dziarsko przez śnieg sięgający tu już do kostek.

W oddali przed sobą dostrzegł światło płynące z lampy zawieszanej z tyłu ostatniego

wozu i aż odetchnął z ulgą, kiedy podszedł bliżej i poczuł, że stromizna stoku nieco łagodnieje, z każdym krokiem szło mu się coraz łatwiej.

Światło stało się wyraźniejsze, otoczone kaskadą wirujących śnieżnych płatków. Wóz się zatrzymał, a obok niego Ben dostrzegł sylwetki kilku osób.

Co znowu? Kolejny wypadek?

Kiedy zbliżył się do wozu, rozpoznał postacie Keatsa i indiańskiego przewodnika Złamanego Skrzydła. Rozmawiali z innymi mężczyznami z wozów. Zebrali się na trakcie, aby coś naprędce przedyskutować.

- ...przed nami. To niedaleko - mówił Keats.

Ben dołączył do nich.

- Co jest niedaleko? Przełącz?

- Nie. - Keats ponuro pokręcił głową. - Nie damy rady do niej dotrzeć. Spojrzał na ciemne niebo i zmrużył powieki, gdy duże płatki śniegu spadły mu na twarz. Z irytacją stał je machinalnym ruchem ręki. - Nie ma mowy, abyśmy zdołali tam dotrzeć. Złamane Skrzydło znalazł dla nas dostatecznie duże miejsce, abyśmy mogli rozbić tam obóz na noc.

- Zatrzymujemy się?

Potaknął:

- Tak. - Splunął w śnieg. - I tak za cholere nic nie widać. Rano ocenimy sytuację. - Odwrócił się do pozostałych. - Jedźcie za Złamanym Skrzydłem. To niedaleko, tuż przed nami.

Gdy mężczyźni rozeszli się do wozów, Keats podszedł do Bena.

- Ty wróć na dół, Lambert, i powiedz reszcie, że niedaleko stąd, przy szlaku, jest duża polana i że rozbijemy tam obóz.

Ben pokiwał głową.

- Nie jest dobrze, prawda?

Keats wzruszył ramionami.

- Zaczęło sypać bardzo wcześnie. Może pogoda tylko tak straszy i ten śnieg przez dzień stopnieje.

- Albo?

- Albo nie zdążymy przejść przez góry przed nadejściem zimy. Rano rozeznam się lepiej w sytuacji.

Rozdział 18

30 września 1856

Wygląda na to, że Keats miał rację. Powinniśmy byli zostawić uszkodzony wóz i ruszyć dalej najszybciej jak to możliwe. Teraz rankiem mam okazję na własne oczy przekonać się, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji Nawet laik, taki jak ja, nie ma złudzeń że, śnieg zalegający dokoła w takich ilościach roztopi się w ciągu kilku godzin pod wpływem promieni słońca.

*

Ben uniósł wzrok znad swego dziennika i wyjrzał na zewnątrz przez szczelinę w płótnie brezentowym. Blade poranne słońce wiszące na białym niebie wyglądało jak żałośnie żarzący się dysk. Las wokół polany został spowity bielą, strzeliste jedlice Douglasa i świerki uginały się pod brzemieniem białego puchu. Przy wozach nagromadziło się tyle sypkiego śniegu, że koła większości z nich były prawie niewidoczne.

Ubiegłej nocy, gdy śnieg sypał jak oszalały, a białe płatki miały wielkość piąstki dziecka, Ben pospiesznie próbował urządzić sobie nocleg. Było za ciemno, aby wycinać gałęzie z drzew rosnących wokół polany. Najlepsze, co mógł zrobić, to otulić się ciasno ponchem, owinięty w derkę i nakryty brezentem, zabezpieczonym przed wilgocią olejem z siemienia lnianego, i schronić się pod burtą conestogi pana McIntyre'a, podczas gdy dwa jego kuce drżały z zimna na otwartej przestrzeni. Pan McIntyre jednak, usłyszawszy, że Ben próbuje ułożyć sobie miejsce pod ich wozem, zaprosił Lamberta do środka, aby spędził noc wraz z nimi, na pace.

Obecność wiecznie wierzących się, niesfornych dzieci była w tym wypadku przyjemnie komfortowa, a co więcej, dzięki nim było na wozie cieplej. McIntyre'owie uprzejmie zaproponowali mu nocleg, ale biorąc pod uwagę, że w wozie spało już troje dzieci, była to propozycja tylko na jedną noc.

W wozie zrobiło się poruszenie, a potem rozległ się chór ochrypłych „dzień dobry”, któremu towarzyszyły rozchodzące się w powietrzu obłoczki pary. Ben zauważył, że na zewnątrz sporo się już dzieje. Keats wstał i oszacowywał sytuację. Jego ogorzałe od słońca, pobrużdżone, stare oblicze, na którym widniał zazwyczaj wyraz znużonego cierpienia,

wskazywało obecnie głębokie, nieskrywane zatroskanie. Ben widział, jak tamten rozmawia półgłosem ze Złamanym Skrzydłem, obaj raz po raz popatrywali na niewyróżniające się niczym białe niebo. Kolejne osoby wstawały i wychodziły z wozów, strząsając kaskady śniegu z płóciennych dachów i z okrzykiem zdumienia zapadając się w sięgające po kolana zaspę.

Keats stanowczo pokręcił głową, kończąc dyskusję ze Złamanym Skrzydłem i podejmując decyzję.

- Ten cholerny śnieg właśnie spadł! - warknął gniewnie. - Jego gromki głos odbił się echem wśród drzew. - Nigdzie dalej nie pojedziemy! - Strząsnął śnieg z butów i bryczesów z jeleniej skóry. - Niech to wszyscy diabli!

Ben odłożył przybory do pisania.

- Dalej! Wstawajcie wszyscy! Mamy sporo roboty! - Keats wykrzykiwał rozkazy do wszystkich, zarówno do swoich ludzi, jak i do podopiecznych Prestona, aby wstali i zabrali się do pracy. - No dalejże! Jazda! Wstawajcie! Wasze wozy nie są odtąd wozami. Teraz przerobimy je na szalasy na zimę!

Ben podziękował państwu McIntyre, że przygarnęli go na noc. Biorąc pod uwagę, ile śniegu napadało, uświadomił sobie, że musiałby wygrzebywać się spod wozu, o ile we śnie nie zamarłby na śmierć. McIntyre wybierał już odpowiednie narzędzia. Pani McIntyre uśmiechnęła się do niego.

- Cóż, panie Lambert, wygląda na to, że tkwimy w tym wszyscy, czyż nie?

- Wszyscy wstawać! Dalej! Mamy wiele pracy! Naprawdę sporo roboty przed nami! - głos Keatsa poniósł się echem przez całą polanę.

- Ruszcie się i łapcie za narzędzia!

Ben uwolnił się spod splątanych kończyn śpiących jeszcze dzieci i wyszedł na zewnątrz; zadygotał, gdy omiół go podmuch lodowatego wiatru - stanowiący bolesny kontrast w porównaniu ze skumulowanym ciepłem ludzkich ciał, jakie nagromadziło się przez noc w wozie McIntyre'ów.

Zeskoczył na ziemię, zapadając się po kolana w zaspę i mrużąc lekko powieki od oślepiającego, odbitego od śniegu blasku słońca, rozejrzał się dokoła. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak wielka jest ta polana. Zeszłej nocy wozy wjechały tu po zmierzchu, a sypiący śnieg ograniczył widoczność do kilkunastu metrów. Polana była wystarczająco rozległa, że mogli zjechać ze szlaku i urządzić dla wołów prowizoryczną zagrodę z wozów, co niezwłocznie uczynili, licząc, że o porannym brzasku jak najszybciej ruszą w dalszą drogę.

Ben patrzył, jak mężczyźni posłusznie wychodzą ze swoich wozów, zarówno ludzie

Prestona, jak i Keatsa. Wszyscy mieli w rękach siekiery albo piły. Ruszyli przez śnieg w stronę Keatsa. Dostrzegł wśród nich wysoką, szczupłą postać Prestona, niemal o głowę przewyższającego najrościejszych ze swoich wiernych.

- Panowie, dołączcie do nas tu, pośrodku. - Głos Prestona poniósł się po całej polanie.

- Z narzędziami, jeśli łaska!

Ben podszedł do Keatsa. Złamane Skrzydło stał obok niego w milczeniu, na głowie miał czerwoną, wełnianą czapkę.

- Dzień dobry - powiedział Ben.

- Co w nim dobrego? - burknął gniewnie Keats.

Mężczyźni zebrali się wokół niego. Preston precyzyjnie się między nimi.

- Panie Keats, wygląda na to, że pogoda nas zawiodła.

- Można tak powiedzieć - odparł oschle stary przewodnik.

- Uważa pan, że cały ten śnieg stopnieje?

Keats pokręcił głową.

- Nie. To nie jest kaprys pogody... ona nie próbuje straszyć nas nadchodzącą zimą... bo zima właśnie nadeszła. Nadeszła ubiegłej nocy i zostaniemy tu do wiosny.

- Nie moglibyśmy chociaż spróbować dotrzeć do tej pańskiej przełęczy? - spytał Preston.

- Za stromo. Nie uda się. Ziemia powinna być sucha, twarda i odsłonięta. A jak jest, to chyba widać.

- Więc mówi pan, że tu utknęliśmy?

- Chyba że poszlibyśmy dalej pieszo.

Preston pokręcił głową.

- Nie, nie... to niemożliwe. Na tych wozach znajduje się cały dobytek mojej trzódki.

Dosłownie wszystko.

Keats pokręcił głową.

- Straciliby wszystko, to pewne. Tak czy owak, byłbyś pan głupcem, próbując przejść zimą pieszo przez te góry. Nawet Indianie i traperzy starają się tego unikać, jeśli tylko mają jakiś wybór. - Keats skinął na ludzi wychodzących ze swoich wozów. - A wy macie przecież kobiety i dzieci, o które musicie dbać.

Preston lekko pokiwał głową. Ben odniósł wrażenie, że ten zdawkowy gest zawierał w sobie niewysłowione przeprosiny.

- Jak przypuszczam, miał pan już okazję zimować w tych górach.

Keats prychnął drwiąco.

- Parę razy mi się zdarzyło.

- Wobec tego zdaję się na pańskie doświadczenie. Co mamy robić?

Staruch wciągnął mroźne powietrze przez kartoflowaty, poorany śladami po ospie nos. Ben podejrzewał, że w głębi duszy przewodnik napawa się tą chwilą Schadenfreude, kosztem Prestona.

- Cóż, gdybyśmy zostawili tamten uszkodzony wóz, zdążylibyśmy na czas. Ale zima właśnie nas dopadła... wobec tego... najlepsze, co możemy zrobić, Preston, to urządzić na tej polanie obóz zimowy. Co oznacza, że musicie przerobić swoje wozy na szałas.

Wśród zebranych pojawiły się pierwsze szmery i oznaki konsternacji.

- Właśnie tak. Rozbierzecie je, deska po desce, aby zbudować z nich...

- Nie mogę tego zrobić! - zawołał jeden z mormonów. - Zapłaciłem za ten wóz prawie pięćdziesiąt dolarów!

Rozległy się inne głosy, popierające słowa tamtego.

- Czy nie powinniśmy poczekać, aż śnieg stopnieje? - zapytał ktoś inny.

Keats pokręcił głową.

- Jak już powiedziałem, ten śnieg nie stopnieje aż do marca.

- Czy wozy takie jak teraz nie zapewnią nam wystarczającej ochrony?

Keats spojrzał na Złamane Skrzydło i powtórzył coś w indiańskim narzeczu. Indianin parsknął z ironicznym rozbawieniem.

- Będzie o wiele zimniej niż ubiegłej nocy. Musicie zbudować dla siebie solidne szałas, jeżeli chcecie przetrwać zimę.

Rozległy się kolejne głosy coraz bardziej zatroskanych i zaniepokojonych mężczyzn - zebrano ich tu już prawie czterdziestu. Ben zauważył, że żaden z nich, ani spośród ludzi Prestona, ani Keatsa, nie chce się jeszcze poddać, trudno im było pogodzić się z porażką.

- Cisza! - zagrział Preston.

Zapadło milczenie.

- Pan Keats wie lepiej niż ktokolwiek z nas, co może przynieść zima w tych górach. - Preston powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn. - Pójdziemy za jego radą i będziemy dziękować Bogu, że ten człowiek jest teraz z nami. - Preston odwrócił się do Keatsa. - Nikt z nas nie musiał dotąd przerabiać wozu na szałas zimowy. Od czego powinniśmy zacząć?

- Musicie najpierw z najmocniejszych belek przygotować podstawę całej konstrukcji - odparł ze swadą Keats. - To musi być naprawdę solidna konstrukcja, żeby utrzymała ciężar śniegu, który się na niej nagromadzi, a ten śnieg trochę waży. - Wskazał na najbliższą stojącą conestogę. - Te długie deski z burt powinny wystarczyć. Pokryjecie całą konstrukcję

brezentem, a potem naścinacie mnóstwo sosnowych gałęzi służących do ocieplenia. Ułożycie je na płótnie, jak najgrubszą warstwę. Śnieg, jaki się na nich nazbiera, sprawi, że będzie wam wewnątrz jeszcze cieplej.

Preston pokiwał głową.

- Ale cała konstrukcja powinna być naprawdę solidna - dodał Keats. - Jak już wspomniałem, te szałaszy będą waszym schronieniem przez najbliższe pół roku.

Rozdział 19

30 września 1856

Ben wyprostował się, wyczerpany po porannej pracy i mocno spocony, choć rozebrał się do koszuli i podwinął rękawy. Z jego obnażonych przedramion i spod kołnierzyka koszuli unosiły się wątle smużki pary.

Patrzył, jak Złamane Skrzydło pracuje przy kilku młodych świerkach, tworząc z wygiętych drzewek kształt kopuły i wiążąc mocno połączone w jednym punkcie wierzchołki. Grube pnie zapuściły w gruncie mocne korzenie. Tymczasem Keats wrócił z kolejnym naręczem gałęzi sosnowych i rzucił je na ziemię u podstawy szałas.

- Pomożesz, Lambert? Czy będziesz tylko tak stał i się gapił? - warknął.

- Przepraszam - rzucił Ben, otrząsając się z odrętwienia.

Złamane Skrzydło zakończył zabezpieczanie konstrukcji ich szałas i odezwał się w swoim narzeczu do Keatsa.

- Prosi o twój brezent.

- Dobrze. Przyniosę.

Ben podszedł do miejsca, gdzie stały oba kuce, i wyjął brezent z juków. Wrócił i podał go Indianinowi. Złamane Skrzydło obrócił brezent w dłoniach, uważnie go oglądając, po czym spojrzał na Bena, uśmiechając się i kiwając głową.

- Dobry jessst - mruknął gardłowo. Ben uświadomił sobie, że dopiero teraz po raz pierwszy usłyszał, jak Indianin mówi po angielsku.

- Dalej, Lambert, pomóż mi zebrać więcej gałęzi, musimy nimi obłożyć szałas. Ben poszedł za Keatsem na skraj polany. Stąpając przez śnieg, rozglądał się dokoła. Na polanie trwały wyteżone prace i panował spory hałas. Dźwięki siekier i pił odbijały się echem w ich małym świątku otoczonym strzelistymi świerkami i jodłami, wyrastającymi z łagodnych stoków okalających tę pustą przestrzeń.

Zobaczył, jak grupa mormonów zwała całe drzewo. Rozległ się głośny, ostrzegawczy okrzyk, a potem skrzypienie i łoskot, gdy drzewo runęło wśród kłębow osypującego się, puszystego śniegu. Zaraz potem mormoni zajęli się cięciem drzewa na kawałki. Inni pracowali przy wozach, usuwając z nich gwoździe i starannie rozbierając je,

deska po desce, by wykorzystać cały materiał do konstrukcji szałasów.

- Tutaj - rzekł Keats, wskazując na stertę gałęzi sosnowych leżących na skraju polany.

- Zanieś je Złamanemu Skrzydłu.

Ben schylił się i zebrał tyle, ile był w stanie unieść, ostre igły i szorstkie szyszki drapały jego obnażone przedramiona. Podniósł się i skierował wzrok na linię gęsto rosnących drzew, na wprost, na wznoszący się łagodnie stok u podstawy drzew, świat w dwóch kolorach, białym i ciemniejszym, symbolizowanym przez szarość i zieleń kory.

- Rusz się, Lambert - warknął Keats, podchodząc z siekierą do najbliższego świerku i zrąbując zeń kolejną, ciężką, nisko zwieszającą się gałąź. Ben chwiejnym krokiem wrócił na polanę ze swoim brzemieniem, skinąwszy uprzejmie głową Bowenowi i McIntyre'owi, którzy budowali swoje szałasów z desek burtowych wozów.

Rzucił przyniesione gałęzie na stertę i przyjrzał się temu, co Złamane Skrzydło zrobił z brezentem. Gruby materiał ciasno opinał konstrukcję z młodych świerków i ich schronienie, przynajmniej na razie, wyglądało jak niskie, pękate tipi.

- Myślisz, że jest dostatecznie mocna? - zapytał Ben.

Indianin spojrzał na niego pytająco.

- Konstrukcja? - sprecyzował Ben, przesuwając palcami po wypukłościach rysujących się przez płótno. Wskazał na stertę sosnowych gałęzi. - Te gałęzie są bardzo ciężkie.

Złamane Skrzydło pokiwał głową.

- Jessst mocna. - Uderzył w konstrukcję ręką. Drzewka niepokojąco zaskrzypiały, ale nawet nie drgnęły.

- Jest dobra, Lambert - zapewnił Keats, dorzucając na stertę kolejne naręczce gałęzi. - Ich ciężar i ciężar śniegu tylko ją wzmocni. Uśmiechnął się, ukazując mocno uszczuplony garnitur zębów. - Wszystko zależy od odpowiedniego kształtu, chłopcze.

Ben pokiwał głową.

- Tak, przypuszczam, że to trochę jak z łukami w architekturze.

Keats wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

W tej samej chwili Ben zauważył podchodzącego Prestona. Duszpasterz, jak wszyscy inni mężczyźni na polanie, zrzucił swój długi, czarny płaszcz, białą koszulę i czarną kamizelkę i stał w bawełnianym podkoszulku w kolorze wanilii, na którym widać było ciemne plamy od potu.

- Panie Keats! - zawołał zdyszany, brnąc przez śnieg w ich stronę. - Panie Keats! - powtórzył, stając obok nich. - Zakładam, że skoro mamy tu spędzić zimę, wie pan doskonale,

jak ma wyglądać nasz przyszły obóz.

Keats pogładził się po brodzie i skinął głową.

- Chyba tak.

- Proponuję, aby woły znalazły się w centralnej zagrodzie pośrodku polany.

Ben rozejrzał się dokoła. Owalna polana miała średnicę od stu pięćdziesięciu do dwustu metrów, stanowiła oazę wolnej przestrzeni w niekończącym się morzu bezkresnej puszczy ciągnącej się aż po horyzont, na którym rysowały się nagie, strzępiaste turnie.

- Rozumiesz, Preston, że woły nie przeżyją? Teraz stanowią one nasz prowiant.

- W rzeczy samej. Ale jeżeli zbierzemy je wszystkie razem na środku polany, będą ogrzewać się wzajemnie i przetrwają dłużej.

Keats wydał wargi.

- Rozsądniej byłoby wybić je wszystkie już teraz. Im dłużej pożyją, tym będą chudsze.

Preston spojrział w stronę zebranych razem wołów - było ich w sumie ponad sto. Na razie zwierzęta były dobrze odżywione i tłuste.

- Wolałbym zatrzymać je przy życiu nieco dłużej, na wypadek gdyby śnieg jednak mimo wszystko stopniał.

- Nie stopnieje.

- Mimo wszystko wolałbym ich jeszcze nie zabijać.

Keats wzruszył ramionami.

- I tak padną prędzej z zimna niż z głodu.

- Musimy roztropnie i skwapliwie ustalić, jak mamy racjonować żywność - ciągnął z zamyśleniem Preston. - Twierdzi pan, że najprawdopodobniej utkniemy tu do wiosny?

- Tak.

- Hmm.

Keats schylił się i podniósł kurtkę z jeleniej skóry. Teraz, gdy stali beczynnie, chłód zaczął dawać im się we znaki.

- Od tej pory musimy oszczędzać jedzenie - rzekł, zapinając kurtkę na drewniane kołeczki. - I to od zaraz.

- Tak. Oczywiście. - Preston pokiwał głową. - Jeden z moich ludzi, pan Stolz, jest z zawodu rzeźnikiem. Śmiem twierdzić, że będzie wiedział, jak najlepiej wykorzystać mięso każdego z zabitych zwierząt.

- Pan Bowen też chyba zna się na rzeczy - wtrącił Ben.

- Wobec tego oni obaj zajmą się rozdzieleniem mięsa wołów. Co ty na to, Preston?

Preston skinął głową, wysilił się nawet na lekki uśmiech.

- To uczciwe rozwiązanie.

- Będziemy też potrzebować stałych ilości drewna na opał.

- Myślę, że możemy opracować w związku z tym jakiś plan działania. Zaczniemy od ułożenia sterty drewna na opał pośrodku obozowiska i będziemy pilnować, aby każdego dnia uzupełniano jego zapas.

Keats potaknął.

- Poza tym musimy zarządzić nocne warty. Nie wiadomo, co się kryje w tych lasach, nawet zimą.

Preston wyglądał na zaskoczonego.

- Czy ktoś mógłby żyć w tej głuszy, panie Keats?

Keats spojrzał na Złamane Skrzydło i zamienił z nim kilka słów w jego narzeczu.

- Złamane Skrzydło mówi, że całkiem możliwe, iż w okolicy jest grupa Pajutów, która wybrała się na polowanie. - Keats przeniósł wzrok na drzewa. - Może nawet błąkać się tu jakiś niedźwiedź, pragnący otłuścić się nieco przed zapadnięciem w sen zimowy. Warto by było postawić na warcie kogoś z nabitą bronią.

- Zgadzam się z panem.

Keats się zaśmiał.

- O co chodzi, panie Keats?

Keats spojrzał na niego i pokręcił głową z rozbawieniem.

- Wygląda na to, że coraz częściej się zgadzamy. Kto by pomyślał?

- Może taka była wola Pana, abyśmy spędzili tu wspólnie zimę - rzekł Preston, uśmiechając się lekko - i przez ten czas czegoś się od siebie nawzajem nauczyli.

Wyraz twarzy Keatsa przez chwilę pozostawał niezmienny. Ben spodziewał się jakiejś ciętej riposty, ale miast tego staruszek tylko się uśmiechnął i zarechotał gardłowo.

- Cóż, jeśli łaska, możesz wtrącić na mój temat dobre słowo, Preston.

Preston pokiwał głową.

- Jeszcze dziś wieczorem wspomnimy pana i pańskich ludzi w swoich modlitwach. - Odwrócił się, by przyjrzeć się mężczyznom ze swojej grupy, zrąbującym siekierami nisko rosnące grube konary okolicznych drzew. - I zaraz zwołam zebranie moich ludzi. Tak, jak pan mówił, ustalimy podstawowe kwestie, czyli sprawę drewna na opał i umiejscowienie rozebranego mięsa wołów.

- Świetnie. - Keats pokiwał głową. - Ja ustalę to samo z moimi.

Preston odwrócił się, by odejść, ale nagle przystanął i przeniósł wzrok na Bena.

- Panie Lambert?

- Tak?

- Czy w razie potrzeby byłby pan łaskaw służyć swoją wiedzą medyczną moim podopiecznym?

- Na miły Bóg, to oczywiste - odparł Ben.

- Naturalnie zapłacimy za wszelkie wykorzystane przez nas leki i pańskie usługi...

Ben pokręcił głową.

- To nie będzie konieczne, panie Preston. Tkwimy w tym wszyscy razem. Mam w kufrze spory zapas lekarstw, a czasu będę miał aż nadto, by móc wykorzystać wiedzę z zakresu medycyny.

Pociągłe i zwykle posępne oblicze Prestona rozjaśnił szczery uśmiech.

- To bardzo szlachetne. Dziękuję. - Skinął głową Keatsowi, po czym odwrócił się i ruszył przez sypki śnieg w stronę najbliższej grupki swoich ludzi.

Keats uniósł wzrok, by spojrzeć na ciemniejące szare niebo.

- Niech to szlag. Zaraz znów zacznie sypać - mruknął.

Rozdział 20

Niedziela

Blue Valley, Kalifornia

Rose patrzyła na przesuwający się powoli pasek ładowania i przesyłu danych.

- Chciałeś, to masz, Jules - rzekła, przeciągając się ze znużeniem na fotelu. Była pewna, że ten materiał mu się spodoba. Wybrała trzyminutowy fragment zmontowanego materiału z samego stanowiska, okolicznych lasów i paru dodatkowych widoczków gór Sierra Nevada, pobranych z oficjalnej strony internetowej oraz biblioteki wideo, połączonych z paroma portretami w kolorze sepii przedstawiającymi emigrantów szykujących się do wyruszenia na zachód po nowe życie. Nałożyła na to fragmenty komentarza Juliana i Grace, jej ochrypły od papierosów głos idealnie komponował się z obrazami.

W tle podłożyła najmroczniejszą i najbardziej przejmującą muzykę, jaką udało się jej odnaleźć w sieci, tradycyjne motywy folkowe Americana na gitarę i skrzypce.

Zakończywszy montaż i po nadaniu materiałowi ostatecznego szlif u usiadła i obejrzała go kilkanaście razy. Nieodmiennie, za każdym razem czuła, jak jeżą się jej drobne włoski na karku.

Na pewno mu się spodoba.

Rose zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest już trzecia w nocy. Omiotła wzrokiem wnętrze pokoju hotelowego. Panował tu spory bałagan, puste pudełko po pizzy i puszki po napojach stworzyły okazały stosik, a na nieposłanym łóżku wałały się jej ciuchy.

Telewizor był włączony, choć głos wyciszono; na ekranie widniał obraz stacji nadającej wiadomości przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To wszystko kojarzyło się jej z życiem studenckim sprzed kilku lat. Tyle że wtedy to nie był tylko jej nieład, lecz bałagan tworzony wspólnie przez całą ich szóstkę: pamiątki po niekończących się imprezach, puste puszki po cydrze, niepozmywane naczynia, popielniczki, z których wysypywały się pety, na wpół pełne pakiety z bibułkami do skrętów... to wszystko wydawało się takie młodzieńcze, takie fajne. Gdy teraz patrzyła na ten bajzel w cichym hotelowym pokoju, będący dziełem jednej, samotnej osoby, wrażenie było przygnębiające.

Czemu tak nagle zaczęłam z nim flirtować?

Ta myśl pojawiła się znikąd. Rose aż się skrzywiła. Przez ostatnie dwa dni była zbyt zajęta, by się nad tym zastanawiać. Teraz jednak, kiedy skończyła, sprawa znów wypłynęła: niewygodna wymiana niewyraźnych słów pełnych podtekstów.

Sprawdź moje łącze.

Zadrzała. O czym ja myślałam do cholery?

Julian był tym wyraźnie zażenowany. Przejrzała się w lustrze nad toaletką.

Spójrz na mnie. Dwudziestopięcioletnia jędrza.

Brazowe włosy miała upięte w kok. Oczy podkrążone i zaczerwienione od wpatrywania się przez czterdzieści osiem godzin w monitor wydawały się małe i nieatrakcyjne. Nie znosiła swego perkatego nosa i wąskich, nieciekawych ust, na szczęście lustro nie było w stanie ukazać całej jej sylwetki, a zwłaszcza szerokich bioder i za dużej pupy, które maskowała, nosząc przyduże workowate dżinsy. Na ulicy w godzinach szczytu wyglądała przeciętnie. Jednak wśród olśniewających, odpicowanych mupetów medialnych, od których roilo się w świecie telewizji cyfrowej, Rose czuła się jak kopciuszek.

To żalodne, że Julian, facet starszy od niej o piętnaście lat, uprzejmię ją splewił. A przecież Jules nie był Johnnym Deppem i nie musiał opędać się od narzucających się kobiet.

Spojrzała na fragment nagrania cyfrowego na ekranie swego laptopa. Julian mówił do kamery. Uśmiechnęła się.

Nie tyle Johnny Depp, ile raczej Louis Theroux dla ubogich. Znów powróciła do feralnej, bolesnej wymiany zdań i aż się wzdrygnęła.

- Zapomnij - mruknęła pod nosem. - Weź się do roboty i popracuj jeszcze.

Pasek przesyłu danych zbliżał się już prawie do końca. Teraz, gdy Julian miał już swój oszałamiający zwiastun do zaprezentowania na zaaranżowanych spotkaniach, uznała, że warto byłoby zbadać tę historię z perspektywy miejscowych legend. To małe miasteczko Blue Valley miało ich aż nadto, a przynajmniej tak twierdziła Grace. Rose zastanawiała się, czy któreś z nich łączyły się z zaginionym taborem. Większość miejscowych legend o duchach brała swój początek od jakiegoś jednego, konkretnego, zwykle pospolitego zdarzenia. Zastanawiała się, czy większość najciekawszych historii, które zarejestrowali w zeszłym tygodniu podczas rozmów z miejscowymi - opowieści o postaciach w kapturach, chodzących szkieletach i tajemniczych światłach w puszczy, mogła ostatecznie prowadzić do ocalałych osadników z zaginionego taboru.

To całkiem możliwe.

Bo przecież ktoś musiał wyjść z tego cało, prawda?

Rose zastanawiała się, czy Grace będzie jutro w mieście, czy na służbie, w placówce

Zarządu Służb Leśnych i Parków, w puszczy. Może pojedzie tam wynajętym autem, kupi parę naleśników albo bajglów i porozmawia z nią przy lekkim posiłku.

Rose lubiła Grace. Przypominała jej gderliwą starą ciotkę, która paliła papierosy, jeden za drugim, kurzyła jak lokomotywa i była naprawdę wspaniała, dopóki nie zabił jej rak.

Rozdział 21

5 października 1856

Ben usłyszał dochodzące spomiędzy drzew echo głosów dzieci.

- To dzieci Stolheimów - rzekł Sam. - One też zbierają drewno na opał.

Ben schylił się, podniósł gałąź i otrzepał ze śniegu.

- W tej puszczy jest mnóstwo drzew na opał. Sporo tu zwalonych, zeschniętych pni. To łatwiejsze niż szukanie na prerii bizoniego łajna, czyż nie?

Sam uśmiechnął się, rozbawiony bezpośredniością i szczerością Bena.

- A gdzie jest dziś Emily?

Odwrócił się i spojrzał pomiędzy drzewami w kierunku obozu. Kilka bladych słupów dymu unosiło się leniwie ku niewyróżniającemu się niczym białemu niebu nad polany poniżej.

- Jest na spotkaniu modlitewnym w świątyni.

Ludzie Prestona włożyli sporo wysiłku w zbudowanie w obozie jednego szałas, który byłby większy od pozostałych. Z zewnątrz wydawał się na tyle duży, że mógł pomieścić całą Radę Starszych, grupę dwunastu ludzi, którzy spotykali się tam kilka razy dziennie. Urządzali tam również spotkania modlitewne i wykłady z pisma dla najmłodszych. To był ich kościół... albo raczej świątynia, jak nazywali to miejsce, będące również szałasem Prestona.

- Vander, Heast i Preston na zmianę prowadzą nauki tylko dla wybranych dzieci. -

Sam podniósł gałąź, po czym odwrócił się, by spojrzeć na pokryty śniegiem pagórek świątyni.

- Teraz zajęcia prowadzi Vander. Prowadzi je wyłącznie dla niej.

Ben wychwycił coś w jego głosie.

- To mi się nie podoba - dodał po chwili Sam.

- Dlaczego?

Sam w pierwszej chwili nie odpowiedział, zajęty zbieraniem mniejszych gałązek.

- Sam?

- Vander nauczał kiedyś... mnie... samego - rzekł w końcu, bardziej do siebie niż na głos, do Bena - kiedy byłem młodszy.

Zapadła niezręczna cisza. Ben próbował kiedyś prowadzić podobnie trudną i

nieprzyjemną rozmowę z bardzo zamkniętym w sobie pierwszoklasistą ze szkoły z internatem. Od czasu do czasu zdarzały się tam niemiłe rzeczy, które należało zostawić w spokoju i raczej ich nie rozgrzebywać. Znosiłeś twardo to, co cię spotkało, i nie robiłeś z tego wielkich ceregieli. To właśnie w ten sposób najlepsze szkoły zmieniały chłopców w mężczyzn.

A przynajmniej tak mówił ojciec Bena.

- Ben?

- Tak?

- Wiosną, kiedy zejdziemy z tych gór, dokąd się udasz?

- Do Portland. Może po drodze odwiedzę też kilka innych osad. Marzę jednak o tym, aby spędzić kilka miesięcy w luksusowym apartamencie hotelowym w tym bajecznym, jak mi mówiono, mieście i opisać historię naszej wędrówki oraz przygody, jakie przydarzyły się nam w tych górach, a później je opublikować.

Sam uśmiechnął się słabo.

- Czy Emily i ja też będziemy w tej książce?

- Oczywiście! Jak mogłoby was zabraknąć?

Sam się uśmiechnął. To mu się spodobało.

- A co zrobisz później?

- Potem wrócę zapewne do Londynu. Moi rodzice liczą, że pewnego dnia wrócę i jeśli nawet nie zostanę sławnym psychiatrą, to przynajmniej przejmę interes ojca.

Ben nie próbował już walczyć ze swym ostatecznym losem. Było mu to pisane. Tak miało być i już, ale dopiero za kilka lat.

- Będzie mi brakować tej swobody tu, w leśnej głuszy, ale obiecałem rodzicom, że prędzej czy później do nich wrócę.

Odwrócił się do Sama.

- A ty?

- Preston zabierze nas do miejsca, gdzie będziemy całkiem sami, z dala od innych ludzi, z dala od obcych - odparł bez większego entuzjazmu i powrócił do zbierania drewna na opał, pochylając się, by wydobyć i otrzepać ze śniegu długą, krzywą gałąź. Potem połamał ją wprawnie na mniejsze kawałki, które dołożył do zebranego wcześniej narezcza.

Ben także zajął się szukaniem zeschniętych patyków i przez chwilę obaj milczeli, słysząc tylko dochodzące z głębi lasu głosy i dźwięki odległej krzątaniny.

- Nie czujesz się szczęśliwy, będąc w kościele Prestona?

Sam pokręcił głową.

- On mnie przeraża.

- Przeraża cię? Jak to?

Młodzieniec zacisnął usta w wąską kreskę i pokręcił głową.

- Tak po prostu.

- Posłuchaj. - Ben wyprostował się i poprawił naręczce zebranych gałęzi. - Przecież gdy dorośniesz, będziesz chyba mógł odejść, prawda? Skoro nie jest ci dobrze wśród tych ludzi, możesz poszukać dla siebie nowego, własnego miejsca, prawda?

Sam pokręcił głową.

- Nie bez Emily. Ma tylko mnie.

- Ma przecież matkę.

Sam popatrzył na niego.

- Nigdy nie pozwoliłaby jej o...

Usłyszeli dochodzące z oddali podniesione głosy - okrzyki zdumienia albo zaniepokojenia, a potem wołanie innych, w tym także Prestona.

Coś się stało.

Ben i Sam upuścili zebrany chrust i ruszyli w stronę, skąd dobiegały krzyki, Ben zdjął z ramienia strzelbę, a Sam zaraz zrobił to samo.

Przedarli się przez gąszcz krzewów wylaniających się spod grubej pokrywy śniegu, strącając przy tym z gałęzi kaskady białego puchu.

- Tędy! - rzucił Ben, prowadząc Sama w górę po stromej pochyłości, potykając się o splecione korzenie drzew, kamienie i pnie młodych drzew.

Na szczycie zbiega teren się wyrównywał, ukazując niewielką przesiekę i znajdującą się na niej wąską kotlinę. Przesieka została do cna oczyszczona z drzew, sądząc po wyglądzie starych, osmaganych wiatrem pni drzew wystających spod śniegu, dzieła tego dokonał ktoś wiele lat temu.

Pośrodku znajdował się prymitywnie sklecony szałas, na pewno niebędący dziełem wprawnego rzemieślnika, nie było tu widać efektów pracy ciesielskiej. Tę prostą konstrukcję wykonano z ułożonych jedna na drugiej gałęzi połączonych pasami ze skóry, a szczeliny pomiędzy nimi zalepiono błotem.

Ben i Sam zeszli po zboczach do kotliny, aby lepiej się przyjrzeć. Wejście do szałasów było niskie, ot wąska szczelina w nierównej, gruzłowatej ścianie, przesłonięta kawałkiem postrzępionej skóry bizoniej. Na niewielkiej polanie przed szałasem wzniesiono drewnianą konstrukcję. Ben dostrzegł zwieszające się z niej truchła kilku odartych ze skóry zajęcy. Sądząc po wyglądzie, musiały tu wisieć bardzo długo. Zajęce sprawiały wrażenie nie tyle

przegniętych, ile raczej skamieniałych.

Preston i trzej inni mormoni stali na polanie przed szałasem, lustrując całą okolicę. Dostrzegli Bena i Sama, gdy ci zeszli w kotlinę.

- Panie Lambert... Samuelu - zawołał Preston. - Wygląda na to, że nie jesteśmy sami w tej puszczy.

Ben podszedł do niego.

- Co to takiego? Myśli pan, że to szałas indiański?

Preston jakby od niechcenia podrapał się po czarnej brodzie poniżej podbródka.

- Raczej kryjówka traperów - odparł, wskazując na ścianę budowli, na której zawieszono różnych rozmiarów czaszki. Były gładkie, lekko pożółkłe, koloru kości słoniowej, co mogło wskazywać, że ktoś dawno temu wygotował je i oczyścił, a może stały się takie za sprawą surowych warunków atmosferycznych. Ben nie potrafił zidentyfikować, do jakich zwierząt należały te czaszki - dwie z nich mogły być czerepami jeleni lub saren, inna zaś mogła należeć do konia albo kuca.

- Wygląda na to, że jest od dawna opuszczony - rzekł Ben.

Preston pokiwał głową.

- Taki się właśnie wydaje.

- Czy powinniśmy zajrzeć do środka, Williamie? - zapytał Hearst, jeden z mężczyzn towarzyszących Prestonowi.

Tamten skinął głową.

- Może, dla pewności. - Wyciągnął rękę. - Poproszę o twoją broń, Saulu.

Mężczyzna podał mu strzelbę, a Preston odciągnął kurek i nałożył kapiszon, czyniąc w ten sposób broń gotową do strzału.

- Wy lepiej zostańcie z tyłu - powiedział, podchodząc do wejścia. Uniósł róg postrzępionej skóry i zawołał: - Jest tam kto?

Nikt mu nie odpowiedział. Ben patrzył, jak Preston pochyła głowę i wchodzi do ciemnego szałas, a w głębi duszy zazdrościł tamtemu odwagi i pewności siebie. Inni stali w milczeniu i z bronią gotową do strzału, wsłuchując się w szum wiatru wśród drzew i szelest śniegu osypującego się z falującej lekko gałęzi. Z wnętrza szałas dobiegło ich jakieś poruszenie, a w kilka chwil później płachta przy wejściu została uniesiona i Preston wyszedł na zewnątrz.

- To miejsce spoczynku jakiegoś nieszczęśnika - rzekł łamiącym się, zbolałym głosem. - Sądząc z wyglądu, nie żyje od dobrych paru lat. - Preston odwrócił się, by spojrzeć na szałas. - Wygląda na to, że wyzionął ducha, leżąc na posłaniu. Pokręcił głową ze

smutkiem. - Umierać samotnie, jakże to musiało być trudne dla tego biedaka. - Pochylił głowę. - Pomódlmy się za jego duszę.

Ben patrzył, jak mężczyźni i Sam zdejmują szerokoskrzydłe kapelusze i pochylają głowy. On także przez szacunek dla zmarłego zdjął kapelusz i zasłuchał się w pełne powagi słowa Prestona. Gdy tamten skończył, wszyscy mężczyźni zgodnie powiedzieli *amen*.

Ben wskazał na szałas.

- Moglibyśmy wykorzystać to drewno.

Preston pokręcił głową.

- Nie użyjemy tego drewna na opał. Niech ten szałas pozostanie dalej miejscem spoczynku tego nieznanego nieszczęśnika. W lesie jest dość walających się na ziemi gałęzi, by nie zabrakło nam opału. Chodźmy.

Wyprowadził ich z przecinki i z kotliny. Kiedy tak stał przez chwilę na skraju wzniesienia i spoglądał przez prześwity między drzewami w dół stromego zbocza, Ben dostrzegł w oddali rozległą polanę, na której rozbili obóz. Wśród brudnej bieli rozmytego błota i śniegu wychwylił drobne postacie krzątające się wokół szałasów, brązową, zdawałoby się jednolitą masę wołów ściśniętych w prowizorycznej zagrodzie pośrodku obozowiska i blade, wąskie smużki dymu wijące się w górę, ku zachmurzonemu niebu.

Ben odwrócił się, by spojrzeć w głąb kotliny na szałas nieżyjącego już od dawna myśliwego, zaiste przygnębiający widok, i w głębi duszy jął się zastanawiać, jakie to musiało być uczucie, umierać samotnie i nie być oplakiwanym przez nikogo.

Rozdział 22

10 października 1856

Dzielę tę niewielką przestrzeń z panem Keatsem i Złamanym Skrzydłem. Muszę przyznać, że zbudowali bardzo mocny i zaskakująco przytulny szałas. Nie ma tu rzecz jasna dość miejsca, aby można było stanąć. Wchodzi się na czworakach i w najlepszym razie można stanąć na samym środku, choć trzeba się mocno pochylać. U góry, gdzie wierzchołki młodych drzewek się łączą, jest nieduża szczelina, którą często trzeba oczyszczać patykiem z gromadzącego się tam śniegu. Ten mały otwór w dachu pozwala nam na rozpalenie wewnątrz skromnego ogniska, z którego dym uchodzi przez ten prowizoryczny komin. Jak zauważyłem, nie każdy szałas posiada ten luksus i nieraz miałem okazję widzieć, jak ci, co mieli mniej szczęścia, wypadają ze swoich schronień, krztusząc się i kaszląc.

Jakże się cieszę, że przypadli mi w udziale tak doświadczeni i mający olbrzymią wiedzę towarzysze, z którymi dzielę schronienie. Jednakże obcując na co dzień z panem Keatsem, zmuszony jestem stwierdzić, że wiele spośród jego nawyków zwyczajnie mnie mierzwi. Jego nieustający zwyczaj płucia i pociągania nosem, na zewnątrz jeszcze do zniesienia, w ciasnym pomieszczeniu jest absolutnie nie do przyjęcia. Do tego stopnia, iż podarowałem mu jedną ze swoich lnianych chustek do nosa - prezent od matki. Nie wątpię, że przeraziłoby ją, gdyby wiedziała, jakie substancje trafiają do owej chustki na okrągło każdego dnia. Jednak jeśli można to uznać za jakąś pociechę, nie muszę się już obawiać, że moje dłonie napotkają na ziemi wewnątrz naszego szalasu na wpół stężałe czarne od smoły ślady gęstej płwociny.

*

Ben spojrzął na nich. Złamane Skrzydło wycinał właśnie złożony wzór z przecinających się linii na korze jednej z kłód. Keats w milczeniu palił fajkę. Ben zastanawiał się, ile tytoniu zabrał ze sobą stary przewodnik, bo odnosił wrażenie, że wciąż widzi go albo napelniającego, albo opróżniającego fajkę.

Keats spojrzął na niego i wyjął cybuch z ust.

- Co ty tam ciągle bazgrzesz? Często widzę, jak coś piszesz. Dlatego postanowiłem zapytać.

- To mój dziennik. Ja... - Ben wzruszył lekko ramionami. - Zawsze miałem ambicje,

aby zostać pisarzem.

- Myślałem, że jesteś lekarzem.

- Jestem, to znaczy... studiowałem wcześniej anatomię, zanim przenieśliem się na psychiatrię.

- Że co?

- Badanie chorób umysłu. Ale moim marzeniem jest pisać różne opowieści, jak Karol Dickens.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

Ognisko w ich szałasie wygasło tak, że zostały tylko ledwie żarzące się węgle, z których od czasu do czasu strzelał niewielki płomyk.

- Dlatego właśnie wybrałem się do Ameryki. Aby poznać prawdziwą dzicz i móc napisać później o swoich przygodach.

Keats zachichotał.

- Wygląda na to, że czeka cię przygoda, o jakiej nawet nie śniłeś, co nie?

Ben się uśmiechnął.

- Pocięszam się myślą, że mój dziennik okaże się ciekawszy, niż mogłem się spodziewać.

- W rzeczy samej - przyznał Keats.

- Chyba zużyłem już dość świec jak na dzisiaj. - Ben zamknął kałamarz, zwracając przy tym uwagę, że jest on już na wpół pusty i należy rozcieńczyć zawartość wodą, jeżeli atramentu ma mu starczyć na dłużej. Zgasił małą świecę stojącą obok i w szałasie natychmiast zrobiło się ciemno choć oko wykol, jeśli nie liczyć przypadkowego płomyka, pojawiającego się wśród dogasających popiołów, rzucającego ciepłe, bursztynowe światło.

Wtedy właśnie usłyszeli pierwsze, niepokojące odgłosy. Jęk o nutę wyższy niż zawodzenie wiatru. Zaraz potem dał się słyszeć stłumiony krzyk kobiety.

- Co to było, u diabła? - warknął Keats.

Kolejny gwałtowniejszy krzyk.

- Chodźmy!

Odchylając płachtę przy wejściu do szałasu, poczuli podmuch mroźnego powietrza. Keats wypełził na zewnątrz, a zaraz za nim Złamane Skrzydło. Ben sięgnął po swoje poncho i wyczołgał się z szałasu. Porywisty wiatr niósł ze sobą małe, boleśnie klujące drobinki lodu. Krzyk znów się powtórzył.

- Dochodzi od strony szałasów mormonów! - rzucił Keats, puszczając się biegiem przez polanę i wyciągając swój nóż myśliwski. Złamane Skrzydło popędził za nim,

dobrywając tamahakan ze skórzanej pochwy przypiętej na udzie.

Ben spojrzał na swoje dłonie.

A co ja wziąłem ze sobą? Cholerne pióro. Pokręcił głową, rugając się w myślach, że nie sięgnął po strzelbę, i pobiegł za nimi.

Brnęli przez sięgający do kolan śnieg, ominęli stłoczoną masę wołów porykujących żałośnie na mrozie i dotarli do nieco bardziej zatłoczonej części polany, gdzie powstała istna wioska szałasów zgromadzonych wokół jedynej budowli wyglądającej jak prawdziwy budynek - ich świątyni.

Ben dostrzegł jakieś poruszenie wśród chat. Blask wspólnego ogniska pozwalał dostrzec przesuwane się szybko postacie, ale nie dawał możliwości rozeznania się w sytuacji. Usłyszeli głęboki jęk i nawet Ben, choć laik, natychmiast go rozpoznał.

- Niedźwiedź! - krzyknął Keats. - Przeklęty niedźwiedź!

Ujrzeni go, jak wycofywał się z szałasu, jego potężne tylne łapy poruszały się energicznie, a łeb i barki falowały, gdy zwierzę gniewnie strząsnęło sosnowe gałęzie i śnieg, jakie spadły mu na grzbiet, gdy usiłował dostać się do chaty przez wąskie wejście.

Szałas zatrzęsł się potężnie, gdy niedźwiedź wy dostał się na zewnątrz i odwrócił w stronę gromadzącego się coraz liczniejszego kręgu osób. W jednej chwili podźwignął się na tylne łapy, rycząc wściekle i wymachując przed sobą masywnymi przednimi łapami, których pazury lśniły jak ostrza noży.

- Ma ktoś nabitą strzelbę? - zawołał Keats.

Rozległy się przepelnione paniką okrzyki zgromadzonych. Na polanie pojawiło się już tuzin mężczyzn, w większości ze strzelbami, ale najwyraźniej żadna nie była nabita i gotowa do strzału.

Noc ożyła ostrzegawczymi okrzykami i blaskiem falujących płomieni ogniska, pojawiły się pierzchające z przerażeniem cienie, a pośród tego wszystkiego górował olbrzymi niedźwiedź. Ben ujrzał wysoką postać Prestona, który wyszedł ze świątyni i dołączył do wiernych.

- Kto ma dziś nocną wartę? - zawołał Preston.

- Ja! - odparł czyjś głos pośród narastającej kakofonii.

- Umiesz strzelać?

- Tak!

- Strzelaj więc!

Ben zobaczył jakiegoś mężczyznę, który wyszedł spomiędzy gromady zebranych i postąpił trwożliwie kilka kroków w stronę niedźwiedzia. Zobaczył, jak długa lufa opada do

poziomu i drży lekko, tylko przez chwilę, zanim z lufy przy wtórze ogłuszającego huk i kłębow dymu wyleciał ołowiany pocisk. Kula chybiła celu.

Niedźwiedź opadł na cztery łapy, a potem z przerażającą szybkością pognął przez śnieg w stronę sparalizowanego ze strachu mężczyzny. Niefortunny strzelec za późno otrząsnął się z odrętwienia i próbował uciec. Niedźwiedź dopadł go, zbijając z nóg machnięciem swej potężnej przedniej łapy.

Mężczyzna upadł do przodu, ale zaraz przewrócił się na wznak, by spróbować obronić się przed tym, co go niechybnie czekało; uniósł obie ręce w desperackim, z góry skazanym na przegraną, defensywnym geście. Niedźwiedź kłapnął paszczą, chwytając mocnymi szczękami jedną z rąk mężczyzny. Głos Strzelca zmienił się w krzyk przerażenia, gdy niedźwiedź pokręcił łbem z boku na bok, rozłupując kości i urywając dłoń i przedramię mężczyzny na wysokości łokcia, pozostawiając po niej tylko strzępiasty buchający krwią kikut.

Mężczyzna wykazał się niezwykle hartem ducha i przezornością, wykorzystując okazję do ucieczki, podczas gdy niedźwiedź przez chwilę miętosił w pysku oderwaną rękę. Drugą, zdrową ręką strzelec cisnął w zwierzę bezużyteczną już strzelbę i spróbował podnieść się z ziemi.

Ci, co zebrali się dokoła, zaczęli dodawać rannemu otuchy, okrzykami zachęcając go do działania.

To nie trwało długo.

Niedźwiedź znów smagnął go po nogach, a potem całym ciężarem opadł na grzbiet mężczyzny, wyduszając mu powietrze z płuc i najprawdopodobniej także gruchocąc mu kręgosłup. Tym razem już bez wahania masywne szczęki niedźwiedzia zacisnęły się na czaszce rannego, miażdżąc ją przy wtórze przyprawiającego o mdłości chrupnięcia. Właśnie wtedy Ben zauważył, że Preston postąpił naprzód, trzymając w ręku dymiącą gałąź.

- Idź precz! - zawołał gniewnie, pokonując biegiem ostatnich dziesięć metrów i wbijając żarzący się koniec gałęzi w bok niedźwiedzia. Zwierzę puściło głowę Strzelca i odwróciło się do Prestona, rycząc z wściekłości i zamachując się łapą na sprawiającą mu ból gałąź.

- Precz!!! - zakrzyknął Preston, postępując krok naprzód i znów dźgając zwierzę w bok. Drugie szturchnięcie wystarczyło. Niedźwiedź porzucił ofiarę na ziemi. Ben ze zdumieniem stwierdził, że ranny wciąż się porusza. Tymczasem niedźwiedź podźwignął się na tylne łapy i siedł w stronę Prestona, szczerząc czerwone od krwi kły, z których zwieszały się jeszcze strzępy tkanek.

- Czy ktoś w końcu strzeli? - rzucił przez ramię Preston głosem łamiącym się z

przerażenia.

Ben rozejrzał się dokoła, by ujrzeć co najmniej pół tuzina mężczyzn gorączkowo drżącymi dłońmi nabijających strzelby prochem i kulami. Niedźwiedź opadł na cztery łapy.

- Czy ktoś wreszcie strzeli? - powtórzył Preston, cofając się powoli. Rozległy się okrzyki zaniepokojenia, ludzie błagali Prestona, aby zaczął uciekać, póki jeszcze miał po temu okazję. On jednak stał w bezruchu, uginając lekko kolana, gotowy, by odwrócić się i zacząć biec, a w rękę trzymał tłącą się jeszcze wątłą gałąź.

Wtedy niedźwiedź zaatakował.

Jednym machnięciem łapy odbił gałąź w bok. Drugim sięgnął torsu Prestona, odrzucając go o kilka metrów do tyłu, w śnieg, gdzie duszpasterz wylądował ciężko, bezwładnie, a ziemia wokół niego zaczęła natychmiast zabarwiać się na czerwono. Niedźwiedź dopadł Prestona w chwili, gdy rozległ się drugi wystrzał, tym razem kula trafiła zwierzę w bok. Podniosło się na tylne łapy, rycząc z bólu i wściekłości, zaraz jednak straciło równowagę i runęło na ziemię. Choć zaraz zdołało się podźwignąć, szok, jakim była dla niego odniesiona rana, sprawił, że postanowiło porzucić wcześniejsze plany. Ze zdumiewającą szybkością odwróciło się i pognało w głąb lasu, oddalając się od zawodzącego tłumu, blasku ognia i obozowiska.

Ben rozejrzał się wkoło, by zobaczyć, skąd padł strzał, i ujrział Keatsa, który wciąż stał ze strzelbą uniesioną do ramienia, a z lufy nadal wypływała smużka niebieskiego dymu. Ben podbiegł do Prestona leżącego na ziemi i zaciskającego kurczowo dłoń na zranionym boku. Przy każdym spazmatycznym oddechu zraszał śnieg wokół siebie drobnymi kropelkami krwi.

Spojrzał na Bena i wychrypiał:

- Nic mi nie jest. Zajmij się najpierw Jamesem. Ja poczekam.

Rozdział 23

Poniedziałek

Obóz Blue Valley, Kalifornia

Rose odnalazła ją bez trudu. Miała dyżur w sklepie wielobranżowym na terenie obozu. Półgodzinna jazda krętą górską drogą z Blue Valley była bardzo przyjemna. Silna stromizna wycisnęła ze skromnego silnika wypożyczonego auta, co tylko się dało, do tego stopnia, że zaczął brzęczeć jak mucha w blaszanej puszcze, ale poza tym była to nader widowiskowa jazda, z gęsto rosnącymi świerkami po lewej i niemal pionową przepaścią po prawej; z tej wysokości rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na rozległą dolinę i płynącą zakosami rzekę - panorama jak z pocztówki.

Obóz, założony przy niewielkim sztucznym jeziorze, był o tej porze roku całkiem opuszczony. Większość rodzinnych domów stała pusta, tylko jeden lub dwa zajmowali prawdziwi, niezłomni twardziele. Zapewne ci, którzy odwiedzali przez cały rok na okrągło różne miejsca w parkach narodowych. Wyobrażała sobie to miejsce w środku lata, gdy niebo było czyste i błękitne, skąpane w blasku słońca i ożywione przez dymiące grille, a wokoło słychać było krzyki dokazujących dzieci, taplających się w czystych wodach jeziora - to był jeden z takich obozów, które są wręcz wymarzone dla broszur reklamowych. Teraz jednak, w ten pochmurny dzień jesienny, to ciche i opuszczone miejsce wyglądało smętnie i ponuro.

Drzwi do sklepiku otworzyły się przy wtórze dźwięku dzwonka, który kojarzył się jej z małymi miasteczkami, a konkretnie ze sklepem pana Godseya na rogu Walton's Mountain. Grace siedziała za ladą w mundurze strażniczki leśnej i rozwiązywała sudoku.

Uniosła wzrok, a jej pomarszczone oblicze rozjaśnił uśmiech.

- Witaj, Rose.

- Cześć - odparła Rose. - Chyba źle zapisałam twój numer. Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

- Jakież kłopoty?

- Nie. - Rose wzruszyła ramionami. - Po prostu poczułam się trochę samotna. Julian wrócił na parę dni do Londynu, a ja zrobiłam sobie przerwę od pracy z kamerą.

Grace odłożyła gazetę.

- A jak ten wasz mały film?

- Chyba nieźle. Nie miałam ostatnio kontaktu z Julesem. Przysłał mi tylko wiadomość, że zaaranżował kilka ciekawych spotkań.

Grace skinęła głową i wychyliwszy się lekko do przodu, zniżyła głos.

- Louise Esterfield, kierowniczką parku, pytała o was. O to, jak się wam udało wycieczka.

- Tak?

- Chciała wiedzieć, czy *jej* obóz znajduje się w waszym filmie - parsknęła. - Czy zrobicie z nią wywiad i takie tam.

- Chyba moglibyśmy, gdyby udało się nam w ten sposób zyskać jej przychyłność.

Grace pokręciła głową.

- Chrzanić to. Ta kretynka chce się tylko pokazać w telewizji. Nawiasem mówiąc, powiedziałam, że w niedługim czasie zamierzacie urządzić sobie kolejną wycieczkę.

Rose uśmiechnęła się łobuzersko i mrugnęła porozumiewawczo.

- I właśnie wtedy dokonamy tego interesującego odkrycia.

Grace skinęła głową.

- Nie da się dłużej tego odwlekać.

- Wiem.

To była propozycja Julesa, aby w formie podziękowania dać jej pewną kwotę. Były na to sposoby. Rose uważała, że tak dumna i twarda kobieta jak Grace uznałaby plik banknotów w brązowej kopercie za oburzający - choć zapewne nie pogardziłaby dodatkową gotówką. Parę kliknięć myszą i Rose dowiedziała się, ile zarząd parków płacił swoim strażnikom - grosze. Wyglądało na to, że zarząd wykorzystywał obowiązkowość i entuzjazm swoich pracowników, aby cała ta machina jako tako funkcjonowała, bo o normalnym budżecie nie było tu w ogóle mowy.

Grace odchyliła się lekko do tyłu i zdjęła kubek z półki pod kontuarem.

- Napijesz się kawy?

- Dzięki. Posłuchaj, Grace. Mam parę dni wolnego. Pomyślałam, że wykorzystałabym ten czas na dalsze poszukiwania i zbieranie miejscowych historii do naszego filmu.

Starsza kobieta napełniła kubek naparem z termosu i postawiła na ladzie.

- Jest już ze śmietanką i cukrem - oznajmiła.

- Doskonale, dziękuję.

- Jakie poszukiwania masz konkretnie na myśli? - Nad ladą podała parujący kubek Rose, która wzięła i wypita mały łyżeczek. Kawa była słodka jak ulepek.

- Cóż, może zaczęłabym od rozmaitych historii o duchach, które słyszeliśmy od ludzi z Blue Valley. Wygląda na to, że jest ich sporo.

Grace pokiwała głową.

- Tak, i do tego każda inna.

- Zastanawia mnie, czy dałoby się prześledzić genezę tych historii do źródła, czyli jakiegoś prawdziwego wydarzenia.

- Uważasz, że niektóre z nich mogą mieć związek z tym, co tam znaleźliście.

Rose potaknęła.

- Zwykle tak bywa, prawda? Myślę sobie, że może niektórzy z tych ludzi przeżyli i zeszedli z gór, by trafić do tego miasteczka. Musieliby mieć mnóstwo historii do opowiedzenia, w tym także te upiorne i przerażające... zwłaszcza, jeśli skończyli tak jak Wyprawa Donnera.

- To całkiem możliwe.

- Wyobrażam sobie, że sto pięćdziesiąt lat z okładem to dostatecznie dużo, by te historie stały się kanwą opowieści o duchach, które Julian i ja usłyszeliśmy od miejscowych w ciągu minionego tygodnia. - Rose napiła się kawy. - Jeden facet powiedział, no wiesz, jak to zwykle bywa, że kumpel jego kumpla, który obozował w tych lasach, zobaczył chodzący szkielet...

Grace się zaśmiała.

- Ach, tak, opowieść o Człowieku w Łachmanach. Słyszałam z tuzin różnych wersji, w ciągu paru lat, od jednego mojego chłopaka, a teraz moje wnuki straszą się na placu zabaw, wykorzystując ten sam motyw.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej.

- W sumie to nic wielkiego. Tak nazywamy naszego miejscowego upiora, Czarnego Luda. Człowiek w Łachmanach, chodzący szkielet, znany też jako Człowiek w Kapture, bo jedni mawiają, że nosi na sobie strzępy ubrań, a inni, że długą powłóczyłą szatę - jedni twierdzą, że to uciekinier z zakładu psychiatrycznego, inni zaś, że to uciekinier morderca. W niektórych historiach szatkuje na kawałki samotne nastolatki obozujące w puszczy, w innych błąka się po mieście, porywając małe dziewczynki. - Grace wzruszyła ramionami. - Dzieciaki tutaj zapożyczają najróżniejszy szajs z tych kretyńskich filmów, które oglądają, i zastępują tylko postać Freddy'ego Kruegera Człowiekiem w Łachmanach.

- Hmm... a co ze starymi opowieściami o duchach? O tych, które nie mogły być zainspirowane przez Hollywood? Znasz jakieś?

Grace wlepiła wzrok w sufit, usiłując wydobyć z pamięci dawno zapomniane historie.

- A co z Blue Valley? - spytała Rose. - W miasteczku musi być jakieś archiwum,

prawda?

Grace wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Mają tam jednostronicową darmową gazetę, która wychodzi tylko w okresie wakacyjnym. Wiesz, jak to jest - parę miejscowych historyjek, trochę ciekawostek dla przyjezdnych i sporo ogłoszeń. Kolesz zajmuje się tym w pojedynkę. Gazeta nazywa się „Blue Valley Bugle”.

Rose upiła kolejny łyk kawy.

- Znasz tego kolesia?

- Tak. Nazywa się Aaron Pohenz. Jest właścicielem jednego z moteli w miasteczku. Valley Lodge. Znasz?

Skinęła głową. Ten motel znajdował się przy końcu ulicy, o rzut kamieniem od tego, gdzie mieszkała. I wydawał się znacznie ładniejszy.

- Ma prasę drukarską w piwnicy, wszystko robi na miejscu. Proponuję, abys zaczęła od niego. Jestem pewna, że dowiesz się różnych ciekawych rzeczy, a w najgorszym razie skieruje cię we właściwą stronę.

Rose zapisała podane nazwisko i dopiła ulepek.

- Dzięki, Grace, bardzo mi pomogłaś - powiedziała, po czym odwróciła się, by odejść.

- Hej, Rose.

Znów się odwróciła.

- Powiedziałaś mu już?

- Ale... komu... i o czym?

Starsza kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- O tym, co czujesz.

Rose poczuła, że się czerwieni.

- Ja... masz na myśli Julesa?

Grace pokiwała głową.

- Wiesz, to całkiem oczywiste, nawet dla takiej starej wiedźmy jak ja.

O rany, czy naprawdę to jest aż tak oczywiste?

- Powiedz mu - rzekła. - Był kiedyś facet, któremu pozwoliłam odejść, nie mówiąc mu, co czuję. Dawno temu. Do licha, pewnie i tak by mnie splawił. Choć, kto wie. - Wyrzwała przez okno sklepowe na porośnięte lasami szczyty. - Może jednak by został.

Rose zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Och, mylisz się, Grace. Mnie i Julesa nic nie łączy... tylko ze sobą pracujemy, to wszystko. Naprawdę. On nie jest w moim typie... za stary.

Grace przyjrzała się jej i wzruszyła ramionami.

- Ups, wybacz. Wydawało mi się, że między wami coś jednak iskrzy.

Rose wysiliła się na uśmiech.

- A skąd, nic nie iskrzy.

Pożegnała się, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła przez opuszczony obóz w stronę drogi prowadzącej z powrotem do miasta. Lekki wietrzyk mierzwił jej włosy i omiatając kark, wywoływał lekkie dreszcze, gdy popatrywała na wszystkie te puste domki i małe łódki z żaglami umieszczone na przyczepach do samochodów, stojących o kilka metrów od brzegu jeziora. Ich nylonowe fały uderzały rytmicznie o maszty, a dźwięk ten, przypominający delikatne stukanie, rozchodził się wokół.

Rozdział 24

13 października 1856

James Lock żył jeszcze przez trzy dni. Zdziwiło mnie, że wytrzymał tak długo, bo przecież obrażenia czaszki były bardzo poważne. Niedźwiedzie szczęki zmiażdżyły prawą stronę twarzoczaszki uszkadzając przy tym oko. Dla niego i jego rodziny byłoby lepiej, gdyby zwierzę mocniej zacisnęło szczęki i uśmierciło nieszczęśnika na miejscu.

Stan Prestona wszelako wydaje się bardziej obiecujący. Na wysokości pasa miał kilka ran szarpanych, które wymagały szycia. Obawiam się tylko, żeby nie wdała się gorączka. Oczyszcilem rany najlepiej jak potrafiłem spirytusem i upewniłem się, że pazury jedynie rozszarpały skórę i podskórne tkanki nie uszkadzając żadnych witalnych organów. Wygląda na to, że dopisało mu szczęście, iż nie doznał poważniejszych obrażeń. Mimo wszystko czas tylko pokaże, czy rany zostały oczyszczone jak należy.

Prestonem zająłem się w ich świątyni. Może to z ich strony jawny dowód, jak wielkim darzą mnie zaufaniem lub raczej, jak bardzo cenią sobie jego, że pozwolili mi tam wejść. Ludzie Prestona bez niego wydają się całkiem zagubieni, nie umieją podjąć najprostszej decyzji. On wydaje się ich kompasem i to pod wieloma różnymi względami. Bez niego są przerażeni i zdezorientowani. Za każdym razem, gdy zbliżam się do ich świątyni, przed wejściem zawsze czeka spory tłumek wiernych, dopytując się gorliwie o jego stan zdrowia.

Wbrew moim wcześniejszym zastrzeżeniom wobec tego człowieka, muszę przyznać, że podziwiam jego siłę i odwagę z jaką stanął pomiędzy swoją trzódką a niedźwiedziem, uzbrojony jedynie w cienki patyk, podczas gdy ja dygotałem ze strachu, stojąc jak wrośnięty w ziemię. Zazdroszczę mężczyźnie, który potrafi stawić czoło śmiertelnemu zagrożeniu i nie ugiąć się przed nim.

Gdy tak siedzę w świątyni, odnoszę wrażenie, że lepiej pojmuję zasady zgodnie z którymi funkcjonują ludzie. Preston ma grupę wybrańców, Radę Starszych, którzy podejmują wspólnie najistotniejsze decyzje. Najstarszymi wśród nich są Eric Vander i Saul Hearst. Wydaje się, że dopóki Preston niedomaga, to właśnie ci dwaj odpowiadają za kierowanie wszystkimi sprawami w ich części obozu.

Żaden z nich jednak nie jest traktowany z tak wielkim szacunkiem i nabożną czcią, jak

właśnie Preston.

*

Ben pochylił się i dotknął dłonią jego czoła.

- Ma gorączkę? - spytała Dorothy Dreyton.

- Niewielką - odparł.

Twarz Prestona była rozpalona i wilgotna od potu. Pogrążony w niespokojnym śnie wiercił się i mamrotał coś pod nosem.

- Czy on przeżyje, panie Lambert?

- Jest silny, bez dwóch zdań. To bardzo silny i wytrzymały mężczyzna.

- Ale?

Ben posłał jej pełen znużenia uśmiech.

- Ale w rany wdała się infekcja. Jego ciało będzie starało się ją zwalczyć najlepiej, jak umie.

Na twarzy pani Dreyton odmalowało się źle skrywane przygnębienie i smutek.

- Bez niego będziemy całkiem zagubieni. Bez niego... ja całkiem się zagubię. - Z czułością pogłaskała jego dłoń. - To pod wieloma względami nasz zbawca.

Ben obserwował ten jawny przejaw uwielbienia dla duszpasterza. Absolutne oddanie. Podejrzewał, że bez wahania oddałaby życie, gdyby tylko wiedziała, że dzięki temu ich przywódca duchowy przeżyje. I sądząc po zatroskaniu na twarzach tych, co czuwali przed świątynią dzień i noc, takich jak ona było wielu.

- W jaki sposób panią zbawił?

Spojrzała na niego ni to z wrogością, ni to z rozbawieniem.

- W jaki sposób? Sprowadził mnie z fałszywej ścieżki, wiodącej na manowce, gdzie mrok i zatracenie. Tak jak wielu innych w naszym Kościele.

- Mormonów?

Skinęła głową.

- Odeszliśmy od naszej wiary, tak jak odeszliśmy z Council Bluffs. Przesłanie Boga zostało spalone przez chciwych ludzi, którzy nawet teraz walczą o przejęcie kontroli nad wiarą mormonów. - Spojrzała na Prestona, leżącego w bezruchu i oddychającego głęboko. - William ostrzegł nas przed fałszywie pojmowaną wiarą. Mówił, że w końcu obróci się ona przeciw nam. Sam Bóg to mu zapowiedział.

Spojrzał na nią.

- O, tak. William rozmawia z Bogiem. Poprzez... Nefiego.

- Nefiego? A kto to taki?

Dorothy zamknęła usta. Ale momentalnie powiodła wzrokiem ku metalowej skrzyni stojącej pod łóżkiem Prestona.

- On rozmawia bezpośrednio z Bogiem - powtórzyła. - Nie ma innych świętych mężów, którzy mogliby szczerze powiedzieć to samo.

- Czyż nie wszyscy kaznodzieje tak twierdzą?

- Tylko William robi to naprawdę - odparła szeptem. - Naprawdę słyszy jego głos. Oddałabym wszystko, aby móc usłyszeć to, co on. - Poglądziła go po twarzy. - Jest naprawdę niezwykły.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wsłuchując się w smętne zawodzenie wiatru poruszającego płachtę przy wejściu.

- Dlaczego Preston poprowadził was na zachód?

Westchnęła.

- Nie mogliśmy zostać w Council Bluffs. Musieliśmy wszystko porzucić. Nadciąga burza.

- Burza?

Spojrzała na niego z łagodnym uśmiechem.

- Może będąc z nami, zaskarbi pan sobie łaskę zmiłowania. Będzie pan bezpieczny.

Ben pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- Zbliża się Dzień Sądu. Dzień Sądu nad tym plugawym światem. William twierdzi, że ten czas jest już bliski, a ziemia zostanie gruntownie oczyszczona, aby Bóg mógł rozpocząć wszystko od nowa.

- Bóg zniszczy wszystko?

- Tylko rodzaj ludzki. Jego stworzenia nie wymagają oczyszczenia.

- Wszystkich ludzi?

Skinęła głową ze smutkiem.

- Żal mi tych wszystkich ludzi o prawych i dobrych sercach, którzy będą musieli umrzeć. Ale to konieczne. William powiedział, że tak się stanie i musimy być na to gotowi. On ma pewną misję do wypełnienia - wyszeptala Dorothy, raz jeszcze zerkając na metalową skrzynię. - Proszę, panie Lambert... niech pan uczyni, co w pana mocy, aby mu pomóc.

Pokiwał głową.

- Oczywiście.

Położyła rękę na jego dłoni i czule uścisnęła.

- Jesteśmy panu naprawdę bardzo wdzięczni. Prawy z pana człek, panie Lambert.

Może popełniłam błąd, że wcześniej tego nie dostrzegłam.

Ben wzruszył ramionami.

- Znam się na medycynie. Byłoby nieetycznie, gdybym nie wykorzystał swoich umiejętności dla dobra innych.

Preston poruszył się przez sen, władczy głos zmienił się w ciche pojękiwanie. Dorothy popatrzyła na niego ze współczuciem.

- On cierpi.

- Te rany, gojąc się, muszą mu sprawiać straszliwy ból. - Ben otworzył torbę lekarską i wyjął z niej buteleczkę. - Mam tu laudanum, które ukoji ból. - Wyjął korek i nalał odrobinę do kubka. - Pozostawiam w pani pieczy podawanie mu tego leku. Teraz tylko odrobinę, aby złagodzić cierpienie. Parę łyżek, pani Dreyton. Nie więcej. To silne lekarstwo.

Skinęła głową.

- Jeżeli ból powróci w nocy i ranny znów zacznie się rzucać, będzie mogła pani podać mu je znowu. Czy zostanie pani przy nim dziś wieczorem?

- Tak. Pan Hearst albo pan Vander zmienią mnie około północy.

- Dobrze, wobec tego proszę im powiedzieć o lekarstwie. Nie wolno go przedawkować. Spodziewam się, że gdy wrócę tu rano, kubek nie będzie pusty.

- Rozumiem.

Zamknął torbę lekarską.

- Wydaje mi się, pani Dreyton, że on wróci do zdrowia. To prawdziwy wojownik.

Rozdział 25

13 października 1856

Ognisko ułożone centralnie pośrodku niewielkiego kręgu szałasów w tej części polany, gdzie rozlokowała się grupa Keatsa, płonęło hałaśliwie przy wtórze syków i trzasków, łąpczywie pochłaniając wrzucane w nie gałęzie, sosnowe igły i szyszki.

- Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam! - wykrzyknęła pani Bowen. - Ten zwierz był taki wielki. Widziałam go nawet stąd.

Ben pokiwał głową.

Powinnaś była zobaczyć go z bliska.

- Sądzi pan, że on wróci, panie Keats? Moje dzieci są tak przerażone, że boją się zasnąć.

Keats zmarszczył nos i parsknął.

- To mało prawdopodobne. Niezłe się wystraszył, a śmiem twierdzić, że ta rana prędzej czy później go zabije. - Splunął w ogień.

Weyland dorzucił niewielką gałąź.

- Czy się mylę, czy o tej porze roku niedźwiedzie powinny zapadać w sen zimowy?

Keats wzruszył ramionami.

- Śnieg spadł wcześniej niż zwykle. Może opady zaskoczyły niedźwiedzia, który akurat wyszedł ze swej gawry. A może nie otłuścił się na tyle, by zapaść w zimowy sen.

Złamane Skrzydło wtrącił coś w swoim narzeczu, a Keats się zaśmiał.

- Co powiedział Indianin? - zapytał Bowen.

- Mówi, że las wysłał niedźwiedzia, aby przepłoszyć stąd blade twarze, czyli nas.

- Las?

- Szoszoni - lud Złamanego Skrzydła, wierzą, że puszcza ma swego ducha. Tak jak wszystko inne... rzeki, góry... wszystko bez wyjątku.

- To jakiś absurd - wtrąciła pani McIntyre.

- Nie bardziej niż wiara, że gdzieś tam pod ziemią gromada czartów tylko czeka, by zacząć kłuć nas swoimi widłami.

Pani McIntyre pokręciła głową z przejęciem.

- Boże, dopomóż... przez takie gadanie tylko ściągniesz nam pan na głowę nieszczęście.

Keats się uśmiechnął.

- A więc pański towarzysz, panie Keats, uważa, że las chce się nas stąd pozbyć? - spytał Weyland.

Złamane Skrzydło powiedział:

- To... - tu skinął na ciemną ścianę drzew poza granicą skąpanego w blasku księżyca śniegu i zasięgiem ciepłej poświaty ogniska - nie dla białych twarzy. To ziemia Pajutów i Szoszonów.

- Indianie uważają, że nasze miejsce jest w brudnych miastach, gdzie mieszkamy jeden na drugim i zatruwamy niebo szarym dymem. Nie tu, w leśnej głuszy.

Złamane Skrzydło przekrzywił głowę, słuchając Keatsa, po czym przyznał mu rację:

- Taa.

- Hmm - warknął Keats. - Mnie się zdaje, że niedźwiedzia zwabiła tu woń przyrządzanych posiłków.

Wszyscy przez chwilę siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w wiatr buszujący wśród drzew. Cała grupa Keatsa zebrała się przy ognisku; Bowenowie, McIntyre'owie, Husseinowie, Weyland ze swoją Murzynką, Keats, Złamane Skrzydło oraz Ben - osiemnaście osób otulonych wełnianymi kocami i wpatrujących się w przynoszące ukojenie, falujące jezory ognia.

- Benjaminie - mruknął McIntyre, wskazując na coś ruchem głowy - wygląda na to, że twoi zbłąkani przyjaciele znów chcą do nas dołączyć.

Ben odwrócił się, by ujrzeć Sama prowadzącego za rękę Emily. Podchodzili ostrożnie, Sam oglądał się przez ramię, ponad zbitymi w zwartą gromadę wołami, w stronę poświaty odległego ogniska na drugim końcu polany.

- Benjaminie - wyszeptał ochryple Sam. - Czy możemy na chwilę dosiąść się do waszej grupy?

Ben zaprosił ich ruchem ręki.

- Zapraszam, ściśniemy się - odparł z uśmiechem.

Emily przycupnęła obok Bena. Sam znalazł dla siebie miejsce z drugiej strony. Unieśli ręce w stronę ogniska, rozkoszując się ciepłem.

- Mama czuwa przy Prestonie - rzekł półgłosem Sam.

- Tak. Zostawiłem ją przy nim wcześniej. Ach... - Ben sięgnął i wyjął coś ze skórzanych juków. - Proszę, Emily. Chciałabyś się pobawić lalką?

Wzięła lalkę i się rozpromieniła.

- Dziękuję, Benjaminie. - Rozejrzała się po twarzach osób zebranych przy ognisku i dostrzegłszy Anne-Marie, córkę McIntyre'ów, pomachała do niej nieśmiało.

Keats opróżnił fajkę w śnieg u swoich stóp.

- Chyba powinniśmy nocami zachowywać większą czujność. Choć to mało prawdopodobne, abyśmy napotkali w najbliższym czasie kolejnego niedźwiedzia, lepiej być przygotowanym na wszelką ewentualność. Straż nocna będzie musiała od tej pory dysponować co najmniej dwoma nabitymi, gotowymi do strzału strzelbami.

- Takie środki bezpieczeństwa wydają się uzasadnione - dodał Weyland.

- A może, panie i panowie, powinniśmy rozważyć podwojenie wart?

Zaczęto dyskutować o tym, czy w grupie jest dość mężczyzn, aby mogli w nieskończoność pełnić nocne warty. Opinie w tej kwestii były podzielone. Ben nie brał udziału w rozmowie.

- Dobrze ci tu, Sam?

Młodzieniec pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Tak. Emily i ja lubimy tu przychodzić. Emily przepada za tymi dziećmiakami - odparł Sam, wskazując na córki McIntyre'ów.

- A co z innymi dziećmi z waszej grupy?

Pokręcił głową.

- Stolz właściwie z nikim się nie bawi. A reszta w ogóle nie lubi się bawić. Biedna Emma tylko mnie.

- W ostatnich dniach prawie w ogóle was nie widywałem, nie było czasu, przepraszam.

- Mama mówi, że świetnie się pan spisał i dba pan o niego naprawdę doskonale.

Ben nieznacznie się zgarbił.

- Robię, co w mojej mocy, czyli niestety niewiele. Przykro mi, że nie mogłem uczynić więcej dla pana Locka.

Sam pokiwał głową, wpatrując się w kaskady iskier unoszących się z ogniska ku ciemnemu niebu.

- Chciałbym być taki jak ty, Benjaminie - oznajmił.

- Jak ja? Na Boga, dlaczego?

- Jesteś wykształcony. Znasz się na medycynie i naukach ścisłych.

Ben się skrzywił.

- Ale za słabo. Gdybym odczekał jeszcze kilka lat, zostałbym dyplomowanym

lekarzem. A tak jestem tylko wędrownym felczerem, który ma nadzieję, że któregoś dnia zrobi większą karierę jako pisarz. - Ben cisnął w ogień pojedynczą szyszkę. - Chciałbym być bardziej jak pan Preston.

Sam zmierzył go wzrokiem, a uśmiech w jednej chwili znikł z jego ust.

- Jak to?

- Potrzeba sporo odwagi, by postąpić jak on. Stanął przed tym niedźwiedziem, aby ocalić pana Locka. - Ben odwrócił się do Sama. - A ja? Byłem tak przerażony, że nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Sam pokręcił głową.

- To nie była odwaga.

- To, co zrobił, było nadzwyczaj dzielne.

Sam nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, wydawał się zamyślony i nieobecny.

- Cieszę się, że nie jesteś jak Preston - rzekł w końcu. - Ani jak inni.

Anne-Marie McIntyre obeszła ognisko i usiadła obok Emily. Po kilku krótkich próbach nawiązania konwersacji dziewczynki zaczęły gawędzić w najlepsze, podając sobie lalkę z rąk do rąk. Ben przyglądał się Samowi. Chłopiec wydawał się spokojny, zadowolony, kiedy tak czuwał nad siostrzyczką - jak jej wierny opiekun. Podziwiał bezwarunkowe oddanie młodzieńca dla niej. Później Sam odwrócił się do niego dyskretnie i zadał szeptem niewygodne pytanie:

- Czy kiedy opuścimy te góry, zabierzesz z sobą mnie i Em?

- Co? Nie mógłbym tego zrobić, Sam. Ja... twoja matka nigdy...

- Mama nigdy nie opuści Prestona - mruknął Sam. - Przenigdy.

Benowi zrobiło się żal tych dwojga, którym pisane było życie w odizolowanym, małym światku, który Preston obiecał swoim wiernym na dalekim Bożym pustkowiu, gdzie cierpliwie będą czekać na koniec, który nigdy nie nadejdzie.

- Sam, nie mógłbym odebrać Emily jej matce. Ty... masz siedemnaście lat?

- I pół.

- Wobec tego możesz już zacząć poszukiwać własnej drogi. Sam. Ale Emily to jeszcze dziecko... i potrzebuje matki.

Sam pokornie pokiwał głową.

- Wiem.

Ben położył mu rękę na ramieniu.

- Z nadejściem wiosny, kiedy stopnieją śniegi, kto wie, jakie będą przekonania twojej matki. Hmm? Może zaczniesz patrzeć na wszystko z innej perspektywy. - Ben szczerze w to

wątpił. Ale to jedyne, co przyszło mu akurat na myśl, więc nie wahał się powiedzieć tego głośno.

Rozdział 26

Poniedziałek

Blue Valley, Kalifornia

Aaron Pohenz przez chwilę patrzył na Rose pytająco, po czym się uśmiechnął.

- Ach, tak, Grace zadzwoniła i wspomniała, że przyjdiesz. Ty jesteś tą Angielką, która kręci film?

- Dokument o lokalnym folklorze, zgadza się.

Machnął ręką.

- Zapraszam.

Weszła do motelu. Poczwała silną woń werniksu i zmarszczyła nos.

- Jako że sezon się skończył i motel jest nieczynny, pomyślałem, że popracuję trochę i podmaluję drewniane barierki przy schodach. Trzeba było się tym zająć - rzucił, gwoli wyjaśnienia.

Rose rozejrzała się po holu. Wyglądał swojsko, na ścianie wisiało kilka portretów w sepii, kilka trofeów myśliwskich, a na parkiecie z paneli leżał miły dla oka dywan. W rogu, przy otwartych drzwiach prowadzących przypuszczalnie do kuchni, stał fotel bujany ze szlachetnego, ciemnego drewna.

- Jak tu miło - powiedziała.

Zbył komplement machnięciem ręki.

- Tego właśnie oczekują letnicy - szczypty tradycjonalizmu.

Skinęła głową.

- Świetnie pan to ujął.

Gestem dał jej znak, aby poszła za nim, i przez otwarte drzwi zaprowadził do kuchni. Tu też pojawiła się szczypta tradycyjnych motywów. Sosnowe kredensy ciągnęły się wzdłuż ścian, a pośrodku stał duży, masywny, pokryty plamami i rysami dębowy stół, otoczony sześcioma stołkami, które aż zapraszały, by na nich usiąść.

- Usiądź - powiedział, podszedł do lady i nalał do dwóch kubków kawy z ekspresu. Usiadł naprzeciw niej i przesunął kubek po stole w jej stronę.

- Dziękuję.

- A więc - zaczął - szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Grace wspomniała coś o miejscowych legendach?

Skinęła głową.

- Tak. Po to tu pierwotnie przyjechaliśmy... aby zebrać krążące w tej okolicy opowieści o duchach, obserwacjach UFO i spotkaniach z Wielką Stopą. - Upiła łyk kawy. Była czarna i piekielnie mocna, tak jak lubiła. - Szczerze mówiąc, w Internecie jest taka dziwaczna strona, pod nazwą DarkEye, która zajmuje się różnymi tajemniczymi zdarzeniami - gromadzi je, jak Charles Fort; zgodnie z tym, co na niej napisano, ten region jest jednym z najciekawszych i obfitujących w zagadkowe zjawiska w całej Ameryce. Właśnie dlatego - tu przeprasza ją wzruszając ramionami - postanowiliśmy tu przyjechać.

Staruszek podejrzliwie przymrużył powieki.

- Hmm... widzisz, ja ufam Grace. Ona jest filarem tej społeczności. Nie urodziła się tutaj, co prawda, ale mieszka tu dostatecznie długo, abyśmy traktowali ją jak swoją, dziewczynę z doliny. Skoro Grace powiedziała, że jesteś w porządku, mnie to wystarczy. Ale - tu uniósł w górę palec wskazujący - od czasu do czasu zjawiają się tu dziennikarze i reporterzy, zwłaszcza kiedy ktoś zaczyna rozpowszechniać nową opowieść o duchach. Przyjeżdżają tu, nakręcają jakiś materiał, pogadają z tym lub owym i już ich nie ma. A kiedy potem ten materiał pojawia się w telewizji, ludzie, z którymi rozmawiali, wychodzą na bandę przygłupich kmiotków.

Rose poruszyła się niespokojnie na stołku. Dokładnie tak samo zamierzali początkowo postąpić ona i Julian.

- Często bywają tu reporterzy i dziennikarze? - spytała.

- Nie, raptem co kilka lat, kiedy zaczynają krążyć nowe opowieści. I to w sumie nie jest takie złe. Dzięki temu interes z motelem jakoś się kręci.

Rozejrzała się po kuchni i dostrzegła tablicę korkową z haczykami, z których zwieszało się około tuzina kluczy.

- Prowadzi pan ten motel sam?

- Nie, w sezonie przyjeżdża siostra z Fort Casey, aby mi pomóc. Przez resztę roku, kiedy motel jest zamknięty, jestem tu sam jak palec.

- Grace wspomniała, że wydaje pan też lokalną gazetę.

Skinął głową.

- Zgadza się. Choć trudno ją nazwać gazetą - bywa, że składa się tylko z jednej kartki, a kiedy indziej z dwóch lub trzech wypełnionych miejscowymi ciekawostkami, szczyptą historii i paroma lokalnymi ogłoszeniami. Gazeta jest darmowa, a opłaty z reklam ledwie

pokrywają koszty druku.

- A więc robi to pan z zamiłowaniem?

Uśmiechnął się, ukazując kilka złotych zębów.

- Można tak powiedzieć. Gazeta była większa, ale i miasto kiedyś było większe. W zasadzie ją odziedziczyłem... to znaczy gazetę.

- Grace dała mi do zrozumienia, że posiada pan coś w rodzaju archiwum i dysponuje sporą wiedzą historyczną.

Aaron pokręcił głową ze skromnością.

- Myślę, że można by mnie określić mianem historyka amatora.

- Chodzi mi o szczegóły zdarzenia, które mogło nastąpić w 1856 roku. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale Grace wspomniała o jakimś Człowieku w Łachmanach krążącym ponoć po Blue Valley.

Aaron się uśmiechnął.

- A, o to chodzi. Tak, pojawia się w wielu lokalnych opowieściach.

- Czy w historii o Człowieku w Łachmanach może tkwić ziarnko prawdy? To znaczy, czy ta historia jest oparta na faktach? Czy ten człowiek rzeczywiście mógł istnieć?

- O tak - odparł Aaron. - Oczywiście, że istniał, dawno temu. Ten człowiek zszedł z gór, wyglądał strasznie, sama skóra i kości, i wrócił do zdrowia właśnie tu, w Blue Valley. Potem odszedł i wszelki ślad po nim zaginął.

- To brzmi obiecująco - powiedziała Rose z uśmiechem.

- Oczywiście wtedy miasto nie nazywało się Blue Valley. Nazywano je Pelorsky's Farm, na cześć Jacoba Pelorsky'ego, który zbudował tu pierwszy skład - punkt handlowy, w którym wymieniał bobrowe skórki z traperami, Pajutami i Szoszonami.

Rose zapisała nazwę osady i napiła się kawy.

- Jeżeli chodzi o tę konkretną historię, to jeszcze nie wszystko.

- Naprawdę?

- Widzisz, ten człowiek wyszedł z lasu w stanie skrajnego wyczerpania, był o włos od śmierci. A jednak jakimś cudem zdołał przetrwać i przeżyć. Kiedy się nim zajęto i podkarmiono go, odzyskał siły, ale nie odszedł stamtąd od razu. Pozostał w osadzie przez blisko pół roku i był to bardzo burzliwy okres.

- Burzliwy?

Aaron skinął głową, sącąc z lubością mocną, aromatyczną kawę.

- Ten człowiek, jak się wydawało, sprowadził do osady mnóstwo złej karmy. Był czymś bardzo wzburzony. Rodzina, która go przyjęła, pisała później, że budził ich

wszystkich, noc w noc, przeraźliwymi krzykami. Tak czy owak, pomijając fakt, że człowiek ten najwyraźniej cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne, w całej osadzie stopniowo zaczęło narastać przekonanie, że tajemniczy przybysz jest w jakiś sposób przeklęty.

- Przeklęty?

- Użyłem tego stwierdzenia, choć bardziej adekwatne byłoby w tym wypadku słowo *opętany*. Niestety za sprawą tego filmu zwrot ten zyskał całkiem niepotrzebnie dość specyficzną wymowę.

- O jakim filmie pan mówi?

Aaron pokręcił głową.

- Jak na panią patrzę, stwierdzam, że jest pani za młoda, aby go pamiętać. Straszny film. Naprawdę straszny. Miałem po nim okropne koszmary.

Spojrzała na niego, trzymając pióro w dłoni.

Westchnął.

- *Egzorcysta*.

Rose знаła ten film - widziała go przed paru laty, ale nie zrobił na niej większego wrażenia. Wirująca głowa i strugi zielonej brei wzbudziły w niej i jej współlokatorkach rozbawienie, a nie strach.

- A więc uważa pan, że ten człowiek był, jak by to powiedzieć, opętany przez diabła?

- Właśnie dlatego użyłem słowa *przeklęty*, bo zawiera w sobie mniejszy ładunek oczywistych skojarzeń - rzekł i napił się kawy, zanim zaczął mówić dalej. - Tak więc... ludzie z osady uznali, że ten człowiek był w jakiś sposób przeklęty. Niektórzy sądzili, że to jakaś indiańska klątwa, może kara za bezprawne wejście na ich cmentarzysko czy coś w tym rodzaju. Tak czy owak, dopóki ten człowiek przebywał w osadzie, w Pelorsky's Farm działy się złe rzeczy.

- Złe rzeczy?

- Dokładnie tak. Złe rzeczy - powtórzył, nie rozwijając tego stwierdzenia. - Kulminacja nastąpiła, kiedy zaginęło jedno z tutejszych dzieci. Następnego ranka mężczyzna zniknął. I nikt go już więcej nie widział.

- To dość przerażające - szepnęła.

Aaron skinął głową.

- Ten człowiek był złem wcielonym, a przynajmniej tak o nim myśleli miejscowi. Uważali, że miał w sobie diabła. I sądzili, że to zło przyczepiło się do niego w tych górach.

- A co pan o tym sądzi?

Aaron kilkoma łykami dopił kawę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie jestem zbyt religijny, rozumiesz, co mam na myśli? Ani nie jestem ciołkiem, który uwierzy w każdą teorię spiskową czy opowieść o duchach, jaką ktoś próbuje mi wcisnąć. Myślę, że tabliczki ouija to jedna wielka bzdura. I uważam, że media czy duchowi uzdrowiciele to w większości zwykli oszuści. Jasne? Mówię to, żeby było jasne, że nie jestem jakimś małomiasteczkowym oszołomem czy wsiowym półgłówkiem. Rozumiemy się?

Rose pokiwała głową.

- Mimo to uważam, że gdzieś tam są rzeczy, których nie potrafimy zmierzyć, poznać i wyjaśnić, bo nie dysponujemy odpowiednimi narzędziami. - Spojrzał na nią szarymi, przenikliwymi, inteligentnymi oczami. - I owszem... wydaje mi się, że może w tych lasach jest coś, co potrafiłoby w jakiś sposób odmienić człowieka. Coś z nim zrobić.

- Odmienić?

Wzruszył ramionami.

- Zmienić go z dobrego w złego.

Dopiła kawę.

- Proszę mi powiedzieć, panie Pohenz, czy zachowało się gdzieś nazwisko tego człowieka?

- Ponieważ to wszystko zaczęło się jako opowieść przekazywana z ust do ust, nikt nie pamięta, czy podał nazwisko. Zapamiętano go tylko jako Człowieka w Łachmanach. To bardziej chwytliwa nazwa - dodał z uśmiechem.

- Czy wie pan, w którym mniej więcej roku to się wydarzyło?

Uśmiechnął się.

- Wiem dokładnie - to było wiosną 1857.

Rozdział 27

17 października 1856

- Znów to słyszałem! - rzekł Zimmerman. Upuścił trzymane narecze gałęzi na ziemię i sięgnął po zawieszoną na ramieniu strzelbę. Cała grupa w jednej chwili stanęła. Keats opuścił długolufą strzelbę Kentucky, delikatnie odwodząc kurek i przygotowując kapiszon. Odwrócił się do Zimmermana.

- To samo? - wyszeptał.

Tamten pokiwał głową.

- Znów ten szept. Jestem pewien, że słyszałem szept rozlegający się gdzieś przed nami.

Keats spojrzał na pozostałych.

- Czy tym razem ktoś jeszcze to słyszał?

Bowen i drugi mormon, Hearst, pokręcili głowami bez słowa.

- Jestem pewien, że słyszałem czyjś szept - powtórzył cicho Zimmerman. - Nie ulega wątpliwości, że ktoś tu jest, oprócz nas.

Trwali w bezruchu, wsłuchując się w delikatny szelest spowitego śniegiem lasu. Z oddali dochodziło pobrzękiwanie metalowego rondla i stukot siekiery, odgłosy z obozowiska... ale w pobliżu nie było słychać nic, prócz urywanego szepotu ich oddechów.

- Nic nie słyszałem - rzucił niepewnie Keats.

- Wydaje mi się, że on ma rację - rzekł Weyland, wskazując na Zimmermana. - Tam rzeczywiście jest ktoś lub coś. Idzie za nami już od jakiegoś czasu.

Dziesięć minut wcześniej Weyland wystraszył ich, mówiąc, że zobaczył dwoje oczu wpatrujących się w niego spomiędzy krzewów.

A teraz Zimmerman.

- Jesteś pewien? - zapytał Keats.

Mężczyzna wskazał na drzewa przed nimi.

- Jestem pewien, że to dochodziło stamtąd. Cichy głos... prawie jak szept.

Keats skierował swoją strzelbę Kentucky w stronę, w którą wskazywał mężczyzna, mierząc w nisko zwieszające się, ośnieżone gałęzie. Inni także przenieśli wzrok w to miejsce.

Keats omiół spojrzeniem masywne drzewa otoczone paprociami i orlicą przezierającymi spod grubego kobierca śniegu. Jego oczy nie wychwyciły niczego podejrzanego, żadnego poruszenia.

Nagle spostrzegł brązowy błysk koloru bawolej skóry; ta barwa nie pasowała do dwubarwnego świata białego śniegu i ciemnozielonych igieł sosnowych. Wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć przez ciemną pajęczynę gałęzi, a jego bystre oczy wyłapały kolejny podejrzaną szczegół - poziome ciemne pasmo i dwa blade owale na jego tle.

Owale mrugnęły.

Oczy!

- Widzę to - szepnął do nich przez ramię Keats. - Nic nie róbcie - wysyczał. - Nie... ruszajcie... się!

Wpatrywał się w te oczy, stojąc w kompletnym bezruchu, aż znów zamrugały i znikły. Powiół wzrokiem z boku na bok, poniżej dolnych gałęzi drzew, usiłując ponownie je odnaleźć. Nagle dostrzegł kolejną parę oczu. I jeszcze jedną... i następną.

- Inni... widzicie ich? - wyszeptał cicho Keats.

Zimmerman skinął głową.

- Chyba jestem ci winien przeprosiny, Zimmerman.

Zimmerman nerwowo przełknął ślinę.

- Ee, nie ma o czym mówić.

Oczy przepłynęły gładko za rzędem świerków, kilkanaście metrów przed nimi.

- Boże, zachowaj - wymamrotał Hearst drżącym głosem. - Co to za szatani? - Mocniej ścisnął strzelbę w dłoniach.

- Jesteśmy śledzeni - odparł półgłosem Keats.- To demony - wyszeptał Hearst. - Szatan dopadł nas aż tutaj.

Keats przymrużył oczy.

- To nie demony, Hearst. To coś gorszego.

Nagle jedna z nisko wiszących gałęzi została odciągnięta w bok, a z drzewa posypały się kaskady śniegu. Przez moment wśród tego białego puchu coś było widać, coś się tam pojawiło, mocno pochylone i przepełnione taką masą energii, że mogłoby rzucić się na nich w okamgnieniu: ciemne oblicze pomalowane na jeszcze ciemniejszy kolor wokół rozszerzonych, nieruchomych oczu, w jednym ręku tamahakan - pałka bojowa z paskudnie wyglądającym, zakrzywionym ostrzem, w drugim krótki łuk.

- Coś znacznie gorszego... - wymamrotał Keats.

Na lewo od niego coś się poruszyło i pozostali odwrócili się, by ujrzyć kolejne

postacie, wyłaniające się spomiędzy drzew, po prawej pojawiły się następne.

- To Pajuci.

Weyland wychylił się do przodu.

- Czy to nie ci...?

- Tak, ci, których wolelibyśmy nie spotkać - odparł niewzruszonym tonem Keats, nie odrywając od nich wzroku. Niektórzy z Pajutów mieli stare skałkówki, muszkiety będące pamiątkami z zamierzchłej epoki. Inni byli uzbrojeni w łuki, ale wszyscy bez wyjątku trzymali w rękach noże myśliwskie lub maczugi bojowe, bezlitośnie zabójcze w bezpośredniej walce. Keats naliczył ich w sumie sześciu. A przynajmniej tylu zobaczył.

Nawet gdyby jego towarzysze mieli strzelby nabite i gotowe do strzału i gdyby zdołali wymierzyć i oddać ten jeden jedyny strzał, pozostali Indianie dopadliby ich w kilka chwil i uśmiercili celnymi ciosami ostrzy swoich tamahakanów. To byłaby krwawa i brutalna walka, która, jak podejrzewał Keats, zakończyłaby się, zanim jeszcze rozwiały się dym i ucichło echo wystrzałów.

- Spójrzcie na ich skórę - wymamrotał Hearst. - Jest jak spalona przez Boga... to demony!

- Zamilcz i ani drgnij! - wysyczał Keats przez zaciśnięte zęby. Ciemna skóra - jak Keats usłyszał któregoś razu, była według mormonów oznaką zła. Przyglądał się Pajutom, spiętym, ale całkiem nieruchomym. Kawałki kości, którymi ozdobili swoje ciała, przebijając nimi skórę, oraz pomarszczone skórzaste talizmany zawieszane na ich szyjach przydawały im jeszcze bardziej diabolicznego wyglądu. Indianin, który jako pierwszy wyszedł spomiędzy drzew, przemówił. Język był ostry i gardłowy, ale Keats rozpoznał go jako wspólne narzecze, którym posługiwali się Pajuci, Szoszoni i Bannockowie... to był język ute.

- To ty, traperze, przywiodłeś tu te blade twarze?

Keats pokiwał głową.

- Pragnąłem przeprowadzić ich przez góry, lecz...

Indianin zmarszczył brwi i lekko przekrzywił głowę, zaskoczony i zdziwiony kiepskim akcentem Keatsa.

- Białe twarze przywiedli ze sobą w te góry złego ducha. Muszą odejść.

- Śnieg nas zatrzymał...

- Oni muszą odejść.

- Śnieg nas zatrzymał.

Indianin przyglądał im się, wodząc spojrzeniem od Keatsa do pozostałych i kolejno otaksowując ich wzrokiem od stóp do głów, chłonąc każdy szczegół.

- Zły duch przyniesie wiele złego, zanim stopnieją śniegi. - Potem rzucił coś do swoich ludzi i obrócił się, by wrócić w gąszcz, skąd się wyłonił. Pozostali ruszyli za nim, wycofując się powoli między gałęzie i nie spuszczać wzroku z bladych twarzy. Wszyscy wojownicy byli bardzo młodzi, młodzi i chętni, by dać dowód swojej odwagi. Keats uświadomił sobie, że to spotkanie mogło jeszcze się nie zakończyć.

- Co on powiedział? - zapytał Bowen, bacznie obserwując ich odwrót w gęstwinę.

Keats pokręcił głową.

- Później... słuchajcie - powiedział, odwracając się pospiesznie do pozostałych. - Odłóżcie broń, natychmiast.

Weyland z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Oszalałeś?

Keats delikatnie położył strzelbę na śniegu.

- Zróbcie to! Zanim...

W tej samej chwili gdzieś przed nimi rozległ się przenikliwy okrzyk i jeden z Pajutów wypadł na otwartą przestrzeń. Poruszał się bardzo szybko i zwinnie, pokonując dzielący ich dystans, tak że prawie go nie widzieli, był jak przesuwająca się błyskawicznie, rozmyta plama. Indianin wybrał Hearsta i skupił na nim wzrok, wydając równocześnie gardłowy okrzyk bojowy. Pajute brnął przez grubą warstwę śniegu, unosząc nad głową swoją maczugę bojową.

- Hearst! Odłóż broń!

Krępy mormon zamarł w bezruchu, na jego obliczu odmalowała się panika. Indianin dopadł go, zamachując się tamahakanem, ostrze minęło Hearsta nie dalej niż o trzydzieści centymetrów, a Indianin lekko, nieomal czule stuknął rękojeścią broni w jego ramię. Przemknął obok Hearsta, wydając przeciągły okrzyk bojowy, i pognął ku gęstwinie opodal, która miała zapewnić mu bezpieczeństwo.

Hearst odwrócił się i drżącymi rękoma uniósł strzelbę, by wymierzyć w oddalającego się Indianina.

- Nie! Nie strzelaj! - krzyknął Keats.

Ale jego słowa utonęły w ogłuszającym huku strzelby. W ciszy, jaka zapadła, rozległo się odbite od pni drzew dokoła echo wystrzału, płosząc ptaki kryjące się w koronach, powyżej. Keats natychmiast znów podniósł broń do ramienia.

- Niech to szlag! Wszystko zepsułeś - rzucił do tamtego, przyklękając na jedno kolano i unosząc broń do strzału. - Mówiłem ci, żebyś odłożył strzelbę.

- On... ja myślałem...

- On tylko chciał *zaliczyć trafienie*, ty głupcze. To wszystko! - Keats powiódł wzrokiem po ich twarzach. - Zbliźcie się i przygotujcie broń.

Pozostali przyjęli tę samą pozycję co Keats, przyklękając na jedno kolano i unosząc strzelby do ramienia. Hearst nie był gotowy, drżącymi rękoma podsypywał dopiero proch, a potem upuścił w śnieg ołowianą kulę.

- Pospiesz się, Hearst - ponaglał Keats. - Szybciej, durniu!

W lesie wciąż jeszcze słyhać było rozchodzące się echo wystrzałów, gdy mężczyzna dobił wreszcie kulę w lufie, opuścił kapiszon i uniósł strzelbę do ramienia.

Zapadła cisza.

Ta cisza przeciągała się, trwała dobre pół minuty, a cała ich piątka czekała, wstrzymując oddech i usiłując utrzymać długie lufy broni w poziomie, choć ich dłonie drżały - strzelby były ciężkie i coraz bardziej męczyły się im ręce.

- Gdzie oni są? - wymamrotał Weyland.

Odpowiedzi nie było. Indianie zniknęli.

- Czy ktoś ich widzi? - mruknął Keats.

- Nie.

- Sprawdźcie po bokach i z tyłu - rzucił Keats. - Ci dranie mogą próbować nas otoczyć.

Weyland wypełnił polecenie przewodnika i odwrócił się, by spojrzeć do tyłu, cofnął się nawet trwożliwie o kilka kroków, dopóki nie wpadł na jednego ze swych towarzyszy.

- I co mamy teraz robić, Keats? - zapytał.

- Siedzimy i czekamy, ot co.

Minęło kilka minut, a każdy z nich uważnie i czujnie wypatrywał najmniejszego poruszenia wśród drzew. Keats zerknął w lewo i dostrzegł leżące na boku ciało Indianina. W potylicy młodzieńca widać było niewielki, pojedynczy otwór. Fragmenty jego czoła i twarzy zaś dla kontrastu walały się przed nim na śniegu. Jedna z dłoni Indianina poruszała się spazmatycznie, powoli to zaciskając się w pięść, to znów rozwierając raz po raz.

Keats odwrócił się i wysyczał gniewnie do Hearsta:

- Właśnie dlatego kazałem ci odłożyć tę cholerną pukawkę!

- Myślałem, że da mi po łbie tym swoim toporkiem! - poskarżył się Hearst. - Byłem pewien, że...

- Stało się. - Stary przewodnik pokręcił głową. - Byli wśród nich młodzi wojownicy, mogłem się domyślić, że któryś zechce zaliczyć trafienie.

Bowen oderwał wzrok od drgającej konwulsyjnie dłoni.

- Zaliczyć trafienie?

- To próba odwagi, sprawdzian męskości. On dotknął go tylko w ramię, to wszystko.

Minęło kilka pełnych napięcia minut, zanim Weyland wyszeptał:

- Panie Keats, co panu powiedział ten Indianin? No wie pan, zanim się odwrócił, by odejść?

Keats wzruszył ramionami.

- Za cholere nie mam pojęcia... to były najdziwniejsze słowa w ucie, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Ale domyśla się pan, o co mu chodziło.

Keats zastanawiał się, ile może powiedzieć tamtym. Indianin nie groził im bezpośrednio, właściwie w jego słowach zawierało się raczej ostrzeżenie niż groźba. Choć, jak przypuszczał Keats, teraz gdy Hearst zabił jednego z nich, to mogło się zmienić.

- O ile dobrze zrozumiałem, chodzi o to, że nie jesteśmy tu mile widziani - odparł Keats.

Nie była to do końca prawda, ale na więcej nie potrafił się zdobyć.

Rozdział 28

17 października 1856

Rany Prestona wydają się goić nieźle, z lekkimi tylko oznakami Infekcji. Jedna z ran jest zaogniona i sączy się z niej ropa, ale po brudnych pazurach dzikiego zwierzęcia, można było spodziewać się czegoś gorszego. Pojawiła się niewysoka gorączka - skóra mężczyzny jest gorąca w dotyku, ale wydaje się, że największy dyskomfort sprawia mu ból z ran. Ciało pod rozdarciami musi być nieźle poobijane. Dałem mu więcej laudanum, na które reaguje właściwie. To silny roztwór i wolę używać go oszczędnie.

Nadmiar może wywołać uzależnienie.

Dorothy Dreyton jest teraz ze mną. Właściwie leży na ziemi i śpi. Czuwała niemal bez przerwy. Musiała być blisko wyczerpania, że pozwoliła sobie na luksus jednej czy dwóch godzin snu. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, że w ostatnich dniach jej dzieci spędzają więcej czasu w naszym obozie, niż w ich własnym.

*

Preston poruszył się niespokojnie przez sen i zaczął mamrotać bełkotliwym, głębokim głosem, zniekształconym przez zalegającą w jego gardle flegmę. Ben się domyślał, że ostatnio podane opiaty zaczęły działać i przynajmniej na razie odegnały ból. Było to jednak jak posługiwanie się mroczniejszą odmianą magii. W umyśle nieprzytomnego człowieka lek wywoływał najbardziej wymyślne koszmary. Na własne oczy widywał nieszczęśników, którzy trafili do Zakładu Psychiatrycznego Banner House, po tym jak nadużyli laudanum i innych środków uśmierzających ból, a potem byli nękani przez rozmaite wizje i omamy, które prześladowały ich w snach - a w wypadku niektórych - także na jawie.

Ben nachylił się i pogładził go po czole, czując ciepło i wilgoć bladej skóry. Mimo iż leżał na pryczy, w ciężkim stanie, William Preston wciąż wyglądał imponująco, stwierdził Ben - nawet śpiący, duszpasterz emanował wewnętrzną mocą. Taki człowiek, we właściwym miejscu i z właściwym przesłaniem, mógł nakłonić wiernych do wszystkiego. Preston wciąż mamrotał pod nosem. Pod cienkim pergaminem skóry zamkniętych powiek oczy gwałtownie przesuwają się z boku na bok. I nagle, przy wtórze głośnego westchnienia rannego, te oczy otworzyły się.

- Panie Preston?

Oblizwał spierzchnięte wargi - był spragniony.

Ben odłożył kałamarz, pióro i dziennik i sięgnął po kubek z wodą. Podłożył jedną rękę pod głowę Prestona, jego długie szaroblond włosy były wilgotne od potu i pozlepiane w strąki, i podniósł ją lekko, aby tamten mógł się napić.

- Wypij trochę wody - rzekł półgłosem.

Preston przeniósł spojrzenie szklistych oczu z niskiego płóciennego sklepienia, uginającego się pod ciężarem śniegu, na twarz Bena. W migocącym świetle lampy naftowej wydawało się, że jego źrenice są całkiem rozszerzone.

Laudanum.

- M-m-mój Boże... oni... oni... wiedzą! - wychrypiął Preston.

- Cii - rzekł Ben. - Napij się wody.

Preston odmówił.

- O-oni wiedzą! - powtórzył chrapliwie, chwytając Bena za rękę i mocno ściskając.

Ben nachylił się do niego.

- Panie Preston... Williamie... już dobrze.

- A co... jeśli... jeśli wiedzą! Gdyby się dowiedzieli! Gdyby przejrzeni... zobaczyli, czym jestem! - Głos miał szorstki i cichy jak cichy szept, przywodzący na myśl ochryple rżenie starego człowieka. Preston patrzył na niego z przejęciem, ale Ben zastanawiał się, co naprawdę widzą oczy tamtego - i do kogo, jak sądził, się zwracał.

- Ja... już go nie słyszę! Nie słyszę go! Zupełnie! - Preston odwrócił głowę, by spojrzeć w ciemny kąt za łóżkiem, gdzie wśród worków z mąką stała metalowa skrzynia. - Nic nie słyszę! - zawołał żalonym, łamiącym się głosem. Odwrócił się do Bena. - Ericu! A co, jeśli oni wiedzą? Co, jeśli wiedzą, że to zabraliśmy... że to ukradliśmy?

Ben mógł odpowiedzieć, że nie jest Erikiem. Ale nie zrobił tego.

- Ericu, a jeśli dowiedzą się, że anioł mnie opuścił? Co wtedy?

Preston opadł bezwładnie na łóżko, jego głowa ponownie spoczęła na poduszce.

- Tylko słowa... - wychrypiął cicho, kompletnie wyczerpany. - To tylko słowa... *moje* słowa. - Znów zamknął oczy. - Moje słowa - wymamrotał, na powrót zapadając w niespokojny sen - a nie słowa Boga...

Ben usiadł i obserwował przez chwilę tamtego, jak wiercił się i przewracał na łóżku, mamrocząc pod nosem, ale Lambert nie potrafił zrozumieć jego słów.

Wiedział, że silniejsze leki mogą wywołać taki efekt - zmienić ciche szepty rozlegające się w czyjejś głowie w ogłuszający krzyk. Zastanawiał się, co dręczyło Prestona

we śnie, i domyślał się, że odpowiedź mogła kryć się w metalowej skrzyni stojącej opodal, gdy usłyszał, że leżąca na podłodze Dorothy Dreyton zaczyna poruszać się i podnosić.

- Obudził panią, pani Dreyton?

Nie odpowiedziała, usiadła i spojrzała rozszerzonymi oczami na Prestona. W jej zachowaniu było coś, co zaniepokoiło Bena.

- Pani Dreyton?

Wzrok miała nieobecny. Wstała bez słowa i pochylając się, odgarnęła na bok płachtę przy wejściu, wpuszczając do szalasu podmuch lodowatego wiatru, który zatrzepotał płomykiem lampy naftowej, po czym wyszła na zewnątrz.

Poprzez szum wiatru Ben wychwycił, jak mu się zdawało, gwar odległych, podniesionych głosów, hałasy dochodzące z drugiego końca polany i dziesiątki gorączkowych pytań stojących w pobliżu mormonów. Coś się działo. Ben wstał, podniósł płachtę i wyrzwał na zewnątrz na polanę rozjaśnioną oślepiającym światłem dnia.

- O co chodzi?

Mężczyzna stojący karnie przy wejściu, pan Hollander, z czarną brodą sięgającą do pasa, wskazał ręką na drugi koniec polany. Ben zobaczył Keatsa i paru innych schodzących rażno po stoku i wylaniających się spomiędzy drzew na skraju polany. W rękach trzymali gotowe do strzału strzelby i trwożliwie oglądali się za siebie.

- Chyba ktoś krzyczał coś o Indianach - rzekł pan Hollander.

Rozdział 29

Poniedziałek Centrum Londynu

Julian odnalazł w katalogu bibliotecznym wiele książek na interesujący go temat. Bibliotekarz pomógł mu odnaleźć kilka z nich na dalszych regałach. Podziękował młodemu mężczyźnie i usiadł przy stole, by zająć się lekturą.

Zdał sobie sprawę, że nie wiedział właściwie nic na temat wiary mormonów. Nie wiedział nawet, że ich Kościół jest nazywany Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Szybko doszedł do wniosku, że będzie musiał skorzystać przy tym projekcie z pomocy redaktorów, nie wyglądałoby dobrze, gdyby nie zajął się jak należy kwestią wyznania Prestona i jego wiernych i nie przeprowadził w związku z tym stosownych badań. Instynkt podpowiadał mu, że może warto byłoby podejść do tej historii pod innym kątem, przyrzeć się jej nie tylko jako zwykłej opowieści o przetrwaniu.

A jeśli to miejsce stało się drugim Jonestown?

Ta myśl była tyle intrygująca, ile przeraźliwa: podejrzenie, że grupa ludzi czy to przypadkiem, czy rozmyślnie została poprowadzona przez charyzmatycznego religijnego oszołoma w głąb nieprzebytej puszczy - i tam wszyscy co do jednego zostali nakłonieni do samobójstwa w imię jakichś osobliwych wierzeń teistycznych.

Kilka książek, które znalazł w Amazonie wydało mu się interesujących i czym prędzej wydrukował szczegółowe informacje na ich temat, zanim pojechał metrem do miasta. Tu, w bibliotece, odnalazł egzemplarze trzech z ośmiu wybranych przez siebie tytułów. Całkiem nieźle, zważywszy na to, jak rzadkie były niektóre z nich. Chyba nawet w Amazonie nie mieli ich wszystkich na składzie.

Zaczął od przejrzania egzemplarza najnowszego wydania *Księgi Mormona*, ale bardzo szybko zirytował go pokrętny język i trudna, bezsensowna terminologia. Po chwili sięgnął do drugiej książki: *Mormonizm i odejście od konwencji chrześcijańskiej*. Bez nadmiernej ekscytacji zagłębił się w meandrach teologicznej dysputy porównawczej doktryny mormonizmu z dogmatami chrześcijaństwa. Westchnął i odłożył księgę na bok.

Trzecia książka autorstwa J.D. Pascala nosiła tytuł: *Pierwszy Mormon*. W prologu

opisano historię założyciela Kościoła mormońskiego, Josepha Smitha, i powstania *Księgi Mormona*.

Julian, który przez większość swego życia uważał się za ateistę, nie miał czasu, by zastanawiać się nad niepojętymi, pełnymi paradoksów tematami większości traktatów religijnych. Klasycznym przykładem nonsensownych rozważań teistycznych była odwieczna debata na temat, *kiedy* chleb naprawdę stawał się ciałem Chrystusa, czy dokonywało się to jeszcze w dłoni kapłana, czy już na języku przyjmującego komunię... a może należało to traktować jedynie jako metaforę i nie uważać tego za cud w dosłownym tego słowa znaczeniu, ponieważ obecne standardy były za bardzo naciągane.

Dla Juliana ta dyskusja była w najlepszym razie stratą czasu, podobnie jak debatowanie „Ilu aniołów może zatańczyć na łebku szpilki?”.

Jednak chociaż tego typu bzdury zwyczajnie go irytowały, stwierdził, że ta relacja, opisująca powstanie całkiem nowej religii, zaczyna go fascynować. Opowieść Josepha Smitha była historią o Boskim natchnieniu, odkryciach na pustkowiach Utah rozmaitych relikwii oraz „kamieni wizjonerów”, o pradawnych aniołach z kości i świętych złotych płytach otrzymanych od Boga i napisanych w dawno zapomnianym języku.

Czysty teatr.

- Boże, to po prostu bezcenne - wymamrotał, robiąc notatki w swoim notesie i docierając do końca prologu.

Fantastyczny materiał.

Czytał z coraz większym zdumieniem historię, której autor po wielokroć zapewniał, że była *bezpośrednim świadectwem* Josepha Smitha, w żaden sposób nie zniekształconym czy wypaczonym.

Kiedy skończył, spojrzął na zegarek, by stwierdzić, że jest już popołudnie i musi się pospieszyć, jeżeli ma zdążyć na spotkanie z Seanem. Zwrócił książki bibliotekarzowi i wyszedł na Basinghall Street, gdzie powitał go hałas i masa pieszych sunących jak rzeka ludzka w stronę stacji metra przy Mansion House.

On jednak myślami był przy lekturze, jaka zajmowała go przez ostatnich kilka godzin - zwłaszcza jedna rzecz nie dawała mu spokoju i sprawiała, że kręcił głową z niedowierzaniem.

I... to ma być najszybciej rozwijająca się religia w Ameryce?

Rozdział 30

20 października 1856

Tamci - tak ich teraz nazywam, aby nie używać słowa mormoni. Sam jasno dal mi do zrozumienia, że nie uważają się już za członków Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich - nie są już nimi, odkąd opuścili Iowa pod przewodnictwem Prestona. Postrzegają samych siebie jako odrębną sektę, nienależącą do żadnej innej.

Pozostali, podczas gdy Preston wciąż jeszcze wracał do zdrowia, zostali zmuszeni, aby postąpić zgodnie z zaleceniami Keatsa w kwestii rozstawienia nocnych wart wokół polany. W całym obozie wszyscy martwią się, że Indianie, których napotkano przed trzema dniami, mogą powrócić, by wziąć odwet za zabicie przez pana Hearsta, jednego z ich wojowników. Podejrzewam, że to strach przed Indianami skłonił ich do zaakceptowania rozwiązań proponowanych przez Keatsa. Choć panowie Vander i Hearst, jako najstarsi członkowie rady i najbardziej zaufani adiutanci Prestona, normalnie wszystkim kierują, brak im autorytetu Prestona i przynajmniej w tej kwestii postanowili zaufać większemu doświadczeniu Keatsa,

Preston powoli powraca do zdrowia. Choć to mężczyzna w średnim wieku, jest zdumiewająco silny, dziś rano usiadł na swoim łóżku i zdołał zjeść całą miskę owsianki. Kiedy pan Vander doniósł o tym grupce zebranych przed świątynią wiernych, usłyszałem gromki okrzyk triumfu. Poskarżył się jednak, że rany przy najmniejszym ruchu sprawiają mu dojmujący ból. Przepisałem mu kolejną umiarkowaną dawkę środka na usmierzanie bólu. Waham się wszelako, czy podać mu, więcej laudanum.

Preston zapytał mnie, czemu Dorothy Dreyton nie odwiedziła go przez kilka ostatnich dni. Nie potrafiłem odpowiedzieć mu na to pytanie.

*

Ben uniósł wzrok znad dziennika, spoglądając ponad falującymi płomieniami ogniska. Tego ranka niebo było zachmurzone i ciemne, co zwiastowało dalsze obfite opady śniegu. Kobiety - pani Bowen, pani Hussein i pani McIntyre - przygotowywały owsiankę zaprawioną paskami pemmikanu, na zmianę mieszając zawartość wielkiego żelaznego kociołka zawieszzonego nad paleniskiem z szarych jak popiół kłód. W bladym świetle poranka ogień wydawał się pozbawiony życia, niemrawy, płomienie były prawie niewidoczne. Jednak nocą

ten sam ogień buchał wysoko jak w piecu, zalewając tę część polany ciepłą, pomarańczową poświatą.

Przenikając wzrokiem ścianę falującego żaru, Ben spostrzegł nieruchomą już masę zbitych, ciemnych ciał.

*

Ostatni wół zamarzał minionej nocy. To tyle: wszystkie zwierzęta nie żyją. Muszę przyznać, że to prawdziwa, litościwa ulga, zarówno dla nas, jak i dla nich. Rozlegające się od czasu do czasu na mrozie żalosne muczenie było przerażającym, trudnym do zignorowania dźwiękiem. Woły zamarzały kolejno, zbite w zwartą gromadę pierwsze poddały się te, które znajdowały się najbardziej na zewnątrz. Można sobie wyobrazić, że gdyby były ludźmi albo były nieco bardziej inteligentne, zmieniałyby się i na pewien czas te stojące na zewnątrz wymieniałyby się z tymi w środku, aby choć trochę się ogrzać. Ale nie zrobiły tego. Ostatni wół, który zamarzał, znajdował się w samym środku tej gromady ciał. I bez wątpienia będzie też ostatnim, którego zjemy.

*

Skupił wzrok na czymś, co znajdowało się poza stertą ciał, na pokrytym śniegiem szałasie Dreytonów, i jął się zastanawiać, co się działo z Dorothy. Sam i Emily ubiegłej nocy posiedzieli trochę z Benem przy ognisku, Sam mówił o matce, o tym, jak bardzo on i Emily martwią się o nią. Pograżyła się w jakimś dziwnym stuporze, jakby owładnęła nią niepojęta rozpacz, nie chciała wychodzić z szałasu, z nikim nie rozmawiała, nic nie jadła.

Ben zastanawiał się, czy mogła usłyszeć bełkotliwe, podsycone lekami wyznanie Prestona. Zastanawiał się, czy zaniepokoiło ją to, co usłyszała. Nie ulegało wątpliwości, że dla Dorothy i wielu spośród tych ludzi, którzy porzucili wszystko i ryzykowali wszystko, by podążyć za nim na pustkowia, Preston był ośrodkiem całego ich wszechświata. Usłyszeć go mówiącego takie słowa... co on właściwie powiedział?

To tylko moje słowa, a nie słowa Boga?

Uwierzyli w niego bez reszty, uwierzyli, że wszystko, co zostało zapisane w czymś, co Sam określał mianem *Księgi Nowych Nauk*, pochodziło z ust samego Boga.

Co jeszcze powiedział?

Zobaczyliby, czym jestem! Gdyby się dowiedzieli, gdyby przejrze...

Ben wiedział, że ci głęboko wierzący ludzie mają szczególne miejsce w piekle dla kogoś, kto mógłby sprowadzić ich na manowce, dla fałszywego proroka. Mimo to jednak, biorąc pod uwagę wszystko, co wiedział o Prestonie, będąc świadkiem jego odwagi i współczucia wobec wiernych, Ben ani przez chwilę nie podejrzewał, że duszpasterzem mogły

kierować podejrzone pobudki i że mógł on być szarlatanem.

Te wywołane przez narkotyki słowa były jedynie przejawem chwilowego kryzysu wiary, halucynacją, bełkotem człowieka w malignie. Zastanawiał się, czy mógłby pomóc, gdyby złożył pani Dreyton wizytę i spróbował jej to wyjaśnić, wytłumaczyć, że to, co usłyszała, było skutkiem podania choremu laudanum.

Rozdział 31

22 października 1856

Ben spojrzał w ciemność rozjaśnioną księżycowym blaskiem. Białe kobierce na ziemi i czapy śniegu na wszystkich gałęziach zdawały się lśnić niczym rtęć w srebrzystym świetle. Odetchnął z ulgą, że jego warta przypadła w czasie pełni księżyca i bezchmurnego nieba. Główka fajki Keatsa rozżarzyła się, kiedy siedzący obok przewodnik zaczął pykać w zamyśleniu.

- Hmmm - odezwał się starszek. - Co właściwie zamierzasz zrobić z tym, co piszesz?

Ben wzruszył ramionami.

- Po powrocie do Anglii spróbuję to opublikować.

Keats zaśmiał się cicho.

- Znaczy się jako książkę?

- Może.

- Liczysz, że na tej książce się wzbogacisz?

- Raczej nie - odparł Ben z lekkim uśmiechem. - Ale miło by było ujrzeć moją historię drukiem. Może nawet na łamach którejś z gazet.

Keats milczał przez chwilę. Ben widział, jak zarzący się tytoń faluje łagodnie, gdy starszek pokiwał głową.

- Napisałeś już o niedźwiedziu?

- Oczywiście. - Ben się uśmiechnął.

Keats zachichotał.

- Założę się, że napisałeś, żeś sam go ustrzelił, jak wielki bohater, co?

- Niezupełnie. Napisałem, jak bardzo się bałem - odparł Ben z zawstydzeniem w głosie. - Napisałem, że byłem jak wrośnięty w ziemię i mogłem jedynie obserwować rozwój wypadków.

- Napisałeś, że to ja strzeliłem?

- Tak.

- Opisujesz mnie jako dzielnego, bohaterskiego człowieka?

Ben pokiwał głową.

- Świetnie. Nigdy dotąd nie napisano o mnie w żadnej książce. Kobietom to się spodoba - parsknął.

- Myśli pan, że on nie żyje?

- Niedźwiedź? - Keats chrząknął. - To nie niedźwiedziem się martwię, tylko Pajutami.

- Sądzi pan, że oni są tam gdzieś ukryci wśród drzew?

- Tak właśnie myślę. - Keats pyknął z fajeczki, a żarzący się tytoń wydał cichy szelest i trzask. - Tak czy owak, oni są przekonani, że wszyscy umrzemy. Przypuszczam, że będą na to czekać, aby przyjść i zwędzić potem, co się da.

- Bał się pan, kiedy się na nich natknęliście?

- Czy się bałem? - Keats zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Cóż, krew zaczęła żywiej krążyć w moich żyłach. Nie chcę umrzeć, podobnie jak ty, Lambert. Główka fajki rozżarzyła się, a Ben poczuł rozchodzący się w powietrzu aromat tytoniu. - Sęk w tym - ciągnął przewodnik - że Pajuci nie boją się śmierci. Ba, nie mogą wręcz doczekać się, kiedy umrą i dołączą do swoich przodków w krainie mlekiem i miodem płynącej.

- To czyni człowieka niebezpiecznym.

- Jak to?

- Wiara w raj po śmierci. Im silniej wierzysz, tym bardziej jesteś niebezpieczny. - Ben wzruszył ramionami. - A przynajmniej ja tak uważam.

Keats zamyślił się nad tym przez chwilę.

- Chyba muszę się z tobą zgodzić, synu. Człowiek powinien cenić swoje życie na tyle, by *zawsze* bać się śmierci.

W milczeniu wsłuchiwali się w odgłosy lasu; skrzypienie ciężkich od śniegu gałęzi i starych kołyszących się pni oraz szum wiatru w koronach drzew.

- Czy to oznacza, że nie wierzysz w Boga, Lambert?

Ben często się nad tym zastanawiał.

- Nie wiem. Im więcej się dowiaduję o mechanizmach rządzących tym światem, tym mniej widzę w nim miejsca na siłę sprawczą Boga, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Nie bardzo.

- Mam w kufrze książkę, podręcznik medycyny. Kupiłem go w Londynie przed wyjazdem. Przeglądając go, można się dowiedzieć, jak funkcjonuje ciało ludzkie, za co odpowiadają poszczególne organy. Teraz to wiemy. Wcześniej jednak wierzyliśmy, że nasze ciała zostały ulepione z gliny, w którą Bóg tchnął życie. Rozumie pan? Wystarczy niewielka dawka wiedzy, by obalić to, w co kazano nam wierzyć przez setki i tysiące lat.

- No, nie wiem... miałem okazję widzieć w swoim życiu rzeczy, których nie

wyjaśniłby żaden podręcznik medycyny.

- Oczywiście, nie wszystko da się wytłumaczyć. Ale odnoszę wrażenie, przeglądając medyczne i naukowe pisma, które prenumerowałem w Londynie, że potrafimy odkrywać i rozszyfrowywać coraz więcej niezbadanych poczynąń Boga, ukazując odpowiadające za to trybiki i ukryte mechanizmy.

Keats namyślał się nad tym przez chwilę.

- Hm, może tak.

- W odpowiedzi na pańskie pytanie - ciągnął Ben. - Nie jestem pewien, czy wierzę w Boga. Chyba już nie.

- Cholera. - Keats cmoknął, po czym klepnął go w plecy. - Założę się, że jak znów zobaczysz tego niedźwiedzia, to jak nic zaczniesz się modlić.

Pewnie tak.

Znów poczuł aromat tytoniu, a potem Keats chrząknął i splunął.

- Chyba lepiej pójdę i sprawdzę, co u pozostałych wartowników. - Keats stęknął. - Niedługo wrócę. - Po chwili poświata z jego fajki i zarys jego sylwetki rozplynęły się w mroku. Ben został sam, słychać było tylko szelest wiatru wśród konarów drzew i odgłos osypującego się z nich śniegu. Lambert przepatrywał wzrokiem linię drzew, ciemny mur listowia oddalony zaledwie o kilkanaście metrów, a każdy podejrzany szmer budził w nim niepokój.

Niech pan szybko wraca, panie Keats.

To zabawne. W swoim rodzinnym mieście, w zachodnim Londynie, w modnej zamożnej okolicy Holland Parku, gdzie rodzice kupili mu wielki dom, z niesmakiem kręciłby nosem na widok tego brudnego, wymizerowanego, nieogolonego starego mężczyzny. Uważałby go za kogoś gorszego od siebie, jednego z rzeszy nędzarzy kręcących się w podejrzanych celach wśród ciemnych uliczek Soho, Covent Garden czy Piccadilly Square. Miał równie pomarszczone i brudne oblicze jak szemrane typy szwendające się po głównych arteriach East Endu. Tu jednak, na tej polanie, w samym środku mrocznej, odpychającej puszczy, był gotów zawierzyć temu mężczyźnie swoje życie.

Ben usłyszał za sobą ciche skrzyknięcie śniegu pod czyimiś stopami i odwrócił się, by ujrzeć stojącą kilka kroków dalej czarną postać.

- Kto tam? - wyszeptał.

Ciemna postać zrobiła jeszcze jeden krok i się zatrzymała. Zaraz potem Ben usłyszał cichy szept:

- To ja, pani Dreyton.

- Na Boga, co pani tu robi o tej porze?

- Ja... ee... musiałam z kimś porozmawiać. - Zrobiła krok w jego stronę. W słabym świetle księżyca jej twarz wydawała się równie blada i błyszcząca jak śnieg, oczy były ciemnymi studniami udręki. - Był pan tam. Słyszał go pan.

- Prestona?

Skinęła głową.

- Ja... poszłam go zobaczyć.

Ben się uśmiechnął.

- To dobrze. Wczoraj pytał o panią.

- Powiedziała mu... Co już teraz wiem.

- Co takiego?

Głos zaczął się jej łamać, rozplakała się.

- Dałam mu wszystko. Swoje życie... swoją miłość... swoje ciało... dzieci.

- Pani Dreyton?

- Sądziłam, że poprzez niego dotyka mnie Bóg. Że dotknął Emily i Sama.

- Dorothy, to, co usłyszałaś tamtego dnia, było efektem działania leku, wytworem rozpalonego gorączką...

- Nie. - Pokręciła głową z przejęciem. - Teraz już widzę, że to jego kłamstwa przywiodły nas w to miejsce. On nie jest prorokiem. - Dorothy uniosła dłonie do twarzy. - O, Boże, wybacz mi, że za nim poszłam.

- Dorothy, co mu powiedziałaś?

- Że wiem, iż jest kłamcą... i złodziejem.

- Złodziejem?

Uniosła wzrok, by na niego spojrzeć.

- Zabrał coś, co nie było dane jemu.

Wyciągnął rękę, by ją przytulić. Cofnęła się.

- Ale o co chodzi? Co on takiego ma, pani Dreyton?

- Bóg go za to ukarze - zawołała. - Bóg ukarze jego i nas, że za nim poszliśmy.

- Co on takiego ma?

Zignorowała go.

- Musimy stąd odejść, panie Lambert. Musimy stąd odejść, zanim będzie za późno. Moje dzieci panu ufają. Ja panu ufam. Pomoże nam pan?

- Co? Przecież nie możemy stąd teraz odejść. Zamarzniemy, pomrzemy z głodu albo...

- Dosięgnie nas pomsta Pana. - Wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła go za ramię. Poczuli

stalowy uścisk jej palców przez trzy warstwy odzienia. - Wierzy pan w wiekiście męki, panie Lambert?

- Co takiego? Nie... raczej nie...

- Ponieważ to właśnie czeka Prestona na samym dnie czeluści piekielnej. - Przeniosła wzrok w stronę drugiego obozu. - A może to przyjdzie do nas... tu, w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

- Pani Dreyton, z całym szacunkiem, ale nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi.

Pokręciła głową.

- Może... może gdybym powiedziała innym, ostrzegła pozostałych - wymamrotała, odwracając wzrok od Bena - zostanie mi przebaczone. - Oddaliła się od niego, stąpając po skrzypiącym śniegu.

- Pani Dreyton? - zawołał, ale ona już odeszła.

Czy naprawdę nazwała Prestona kłamcą i złodziejem? Ben zastanawiał się przez chwilę, jak zareagowałby Preston, gdyby jego najzagorzalsza zwolenniczka nazwała go fałszywym prorokiem. I z niepokojem, wzdrygając się, stwierdził, że nie wynikłoby z tego nic dobrego. I to dla nich wszystkich.

Rozdział 32

Poniedziałek

Munston, Utah

Shepherd uśmiechnął się do osób zebranych na boisku do koszykówki, machając do nich, gdy miejscowy chór zaintonował „Przybądź do mnie, Panie”, przestępując z nogi na nogę i klaszcząc rytmicznie.

Wynajęcie chóru było strzałem w dziesiątkę. Duncan, koordynator jego kampanii, powiedział: „Jeżeli chcesz, by ludzie poczuli się naprawdę dobrze, nie ma to jak stary, dobry chór baptystów”. Oczywiście miał rację. Spotkanie przedwyborcze okazało się wyjątkowo udane. Początkowo na miejsce spotkania wynajęli miejscową szkołę. Jednak chętnych popierających jego kampanię było tak wielu, że zespół Duncana musiał zmienić plany i wynająć halę sportową w pobliskim college’u.

Shepherd z satysfakcją zauważył, że z tyłu rozstawione są kamery. Nie tylko prasa lokalna, ale i ekipy telewizyjne paru znanych sieci. Munston, miasto z jedną uczelnią, fabryką płatków i wytwórnią opakowań oraz jednym supermarketem i co najmniej siedemdziesięcioma kościołami różnych wyznań, był trzecim punktem programu w jego podróży po Utah. Ten stan był łatwym terytorium. Teraz wszyscy go już znali i nie ulegało wątpliwości, że ani demokraci, ani republikanie nie uzyskają tu poparcia. Jego przesłanie było nowe, pochodzące znikąd i nieskażone brzemieniem, jakim obarczone były tamte dwie partie. Jego przesłanie nie przywodziło na myśl ochrypłego wołania partii, kurczowo trzymającej się władzy, ani pełnego powątpiewania i uszczypliwości tonu partii niecierpliwie usiłującej przejąć władzę.

Shepherd wiedział, że jego wystąpienia nie przypominają wystąpień innych kandydatów, a wyniki sondaży wskazywały na pozyskiwanie przez niego, wciąż jeszcze ostrożnie, poparcia łagodnego, konserwatywnego centrum.

Shepherd znów się uklonił, za co został nagrodzony gromkimi brawami, po czym szybkim krokiem zszedł z podium w otoczeniu dwóch ochroniarzy należących do jego wiernych. Poprowadzili go szybko przez szatnie cuchnące spoconymi ciałami i tanim płynem po goleniu, którego młodzi ludzie najwyraźniej nadużywali. Wyprowadzili go tylnymi

drzwiami do miejsca, gdzie czekał już humvee z zaciemnionymi szybami i włączonym silnikiem. Otwarto przed nim drzwiczki, a Shepherd wsiadł do samochodu. Jeden z jego goryli zajął miejsce z przodu, na fotelu pasażera, drugi wsiadł do limuzyny czekającej z tyłu.

Gdy został sam, Shepherd otworzył laptop, położywszy go na siedzeniu obok siebie, i sprawdził pocztę.

Była tam wiadomość, której oczekiwał, wyświadczona bez zadawania jakichkolwiek pytań przysługą ze strony jego zwolennika z jednego z wydziałów Biura Bezpieczeństwa Krajowego.

Wedle życzenia.

Numer ISP wskazuje na Londyn w Wielkiej Brytanii. Dokładny adres to 59 Lane Garden Road, Hammersmith, Londyn, W6. Numer ISP i adres wskazuje na niejakiego Juliana Francisa Cooke'a.

Cooke jest/był pomniejszą postacią telewizyjną, zajmującą się dziennikarstwem śledczym i bieżącymi sprawami. Obecnie nie jest tak popularny, ale jego twarz i nazwisko wciąż pozostają znane. Prowadzi niewielką firmę produkcyjną pod nazwą Soup Kitchen Studios, gdzie powstają niskobudżetowe dokumenty. W jednym z jego ostatnich programów przedstawiono postać radykalnego muzułmańskiego imama Mohammeda Al Baktiego, który kilka lat temu został zwolniony z amerykańskiego więzienia. Jego kontakty z islamskim duchownym trwały przez dwa tygodnie. Z jakiegoś powodu fakt ten uszedł uwagi BBK. (Nawiasem mówiąc, mogę kazać zatrzymać tego Cooke'a. To nie powinno być trudne i mogę to dla ciebie zrobić, gdyby zaczął sprawiać problemy).

Zapewne chciałbyś wiedzieć, że 15 dni temu przeszedł przez kontrolę imigracyjną na lotnisku w Denver. Tego samego dnia znalazł się na pokładzie samolotu do Reno. 13 dni później wrócił z Denver do Londynu, gdzie obecnie przebywa pod swoim adresem.

Powinieneś również wiedzieć, że przyleciał tu ze swoją współpracowniczką Rosemary Whitely, która także przybyła z nim do Reno i nie wróciła do Anglii. A zatem musi wciąż przebywać w Stanach.

Jak chciałeś, zleciłem założenie podsłuchu w telefonie Cooke'a i monitorowanie jego połączeń internetowych. Uzasadnienie tego kroku nie było trudne z uwagi na jego dawne kontakty z Al Baktim i praktycznie nie wymagało roboty papierkowej, bo przecież mamy tu do czynienia z brytyjskim wywiadem, a ci faceci bez mrugnięcia okiem zrobią wszystko, czego od nich zażądamy.

Mogą pytać... ale to nie znaczy, że musimy im odpowiedzieć. Wszystkie przechwycone e-maile będą przesyłane na twoje szyfrowane konto, Wszystkie przejęte rozmowy zostaną nagrane i przerzucone na bezpieczną skrzynkę ftp, którą założyłeś.

Mam nadzieję, że to pomoże.

Twój przyjaciel w Wielkim Gmachu,

Shepherd wyjrzał przez zaciemnioną szybę. Miasteczko Munston, niewiele więcej niż szosa, po obu stronach której stało kilka sklepów poprzedzielanych parkingami asfaltowymi, zostało w tyle i natychmiast poszło w zapomnienie.

To była przydatna informacja. Warto wiedzieć, kto węszył w pobliżu. Może nie wiedział, a może udało mu się coś znaleźć.

A jeśli natrafił na nich?

Może dałoby się dogadać z tym panem Cookiem i uzgodnić obopólną wymianę: informacja za informację.

Rozdział 33

23 października 1856

Spalem kiepsko, bo martwiłem się o matkę Sama i Emily. Rozumiem, że dla pewnych ludzi wiara jest wszystkim. Jej wiara uległa zachwianiu. Nie mam pojęcia, jaka jest historia Prestona... czy istotnie wierzy, że wypełnia Bożą misję. To chyba bez znaczenia. Liczy się, w co wierzy pani Dreyton.

A raczej, w co wierzyła. W czasie przeszłym.

Bardziej mnie martwi, czy spróbuje ona zasiać ziarno zwątpienia u innych. Choć nie przepadam za dziwaczными, surowymi sektami religijnymi w rodzaju zboru Prestona, wygląda na to, że właśnie wiara w niego utrzymuje ich w jedności. A jak dotąd... uważałem Prestona za racjonalnego, rozsądnego człowieka.

Cała ta sytuacja coraz bardziej mnie niepokoi.

*

Ben odłożył pióro i energicznie zatarł dłonie. Chociaż owinął dłoń, którą pisał, grubym, wełnianym szalem, zeszywniała z zimna.

Zwykle pochmurne, szare niebo trochę się dziś roz pogodziło, tu i ówdzie widać było splachetki błękitu, przydające ich monochromatycznemu światu barw, za którymi tak tęsknił. Słaby promyk światła wypłynął spomiędzy strzępiastych chmur, omiatając na chwilę polanę, by zaraz zniknąć wśród drzew.

Wzrok Bena padł na okropnie wyglądające, martwe woły. Pod nadzorem Keatsa martwe ciała pierwszych wołów odholowano z dala od reszty i poćwiartowano. Zdeptany śnieg wokół ich porąbanych tusz był różowy, a wśród odsłoniętych żeber coraz bardziej rosła sterta niejadalnych fioletowych i szarych trzewi. Ben zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim to, co uważane dotąd za niejadalne, stanie się częścią ich codziennej diety.

Na razie żywność nie stanowiła problemu. Jednak sto dwadzieścia głodnych gąb mogło bardzo szybko uporać się z obecnym zapasem mięsa. Już teraz proste obliczenia uzmysłowiły mu pewną oczywistą rzecz. Wołów było za mało, aby mogło im wystarczyć żywności na całą zimę aż do wiosny. W którymś momencie będą musieli znaleźć coś innego do jedzenia. Albo zmniejszyć liczebność grupy.

Przeszło mu przez głowę, że mógł nie być jedyną osobą prowadzącą podobne kalkulacje.

Pochuchał w dłonie, przeklinając bolesne odrętwienie wywołane mrozem. Przy ognisku i nocą w szałasie, z opuszczoną przy wejściu płachtą, gdy dzielili się wspólnie ciepłem ciała z Keatsem i Złamanym Skrzydłem, wewnątrz było całkiem znośnie. Jednak na dworze, z dala od ognia, panował przeszywający chłód, potęgowany jeszcze przez porywisty wiatr zrywający się od czasu do czasu i wtedy było już zupełnie nie do wytrzymania. Ben poprzysiągł sobie, że z nadejściem wiosny wyruszy w cieplejsze strony, kończąc tę niefortunną przygodę, i odtąd już zawsze będzie się starał przebywać w miejscach, gdzie temperatury nie spadały poniżej umiarkowanych.

Powiódł wzrokiem po ich małym świątku, polanie przywodzącej na myśl wyspę pośród mrocznego, nieprzychylnego oceanu. Kilka osób już się obudziło. Nad niewielkimi ogniskami gotowano wodę na poranną owsiankę. Większość rodzin wciąż miała beczki z mąką owsianą i kukurydzianą, których używała wcześniej jako izolacji do przechowywania co cenniejszych pamiątek rodzinnych, ale teraz skwapliwie co rano przyrządzała z tej mąki śniadania.

Giles Weyland zaproponował, że dziś rano podzieli się z nim wyjątkowym skarbem - resztką ziaren kawy. Wystarczy ich, jak stwierdził, na jedną manierkę. Będzie dość, aby mógł się napić on sam i jego dziewczyna, jak również Ben. Napiją się razem, a potem napchają brzuchy owsianką. Weyland miał do nakarmienia tylko siebie i czarnoskórą dziewczynę, a posiadał wiele beczek z mąką, w której przechowywał między innymi cenną porcelanę.

Ben odłożył dziennik i przybory do pisania, wkładając je na powrót do kufra podróżnego w szałasie. Otulił się ponchem i znów wyszedł na słońce, rozkoszując się ulotną chwilą ciepła, kiedy promienie słońca ogrzewały mu ramiona i twarz, by niebawem zniknąć wśród drzew i skierować się ku strzępiastym górskim szczytom powyżej.

Zmierzając w stronę szałasu Weylanda, zauważył, że Murzynka już rozpałała ognisko, a Weyland rozkładał ostatnie ziarna kawy do uprażenia i przygotowywał owsiankę.

Pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta, a Ben dziwił się, że nikt nie poznał na nie odpowiedzi, brzmiało...

...Czy ta dziewczyna jest twoją własnością?

Ben czuł, że powinien zadać to pytanie dla zasady, ale czekał na odpowiedni moment. Choć podziwiał w Weylandzie typowy urok południowca i nienaganne maniery, Ben wątpił, aby mógł z czystym sumieniem zasiąść do posiłku z człowiekiem popierającym niewolnictwo.

Gdy szedł w stronę szałas Weylanda, by zjeść z tym dziwnym człowiekiem śniadanie i być może zadać nurtujące go pytanie, dostrzegł po drugiej stronie polany Emily i Sama. Przyszła mu do głowy przerażająca myśl.

Chyba nie chcą odejść, prawda?

Umarliby tam, niechybnie. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się lekko, by przebiec przez polanę w ich stronę, a potem błagać panią Dreyton, by położyła kres temu szaleństwu, gdy nagle się zorientował, że ani ona, ani Emily niczego nie niosły, a Sam miał tylko przerzucone przez ramię niewielkie zawiniątko oraz strzelbę.

Pani Dreyton mogła być na tyle szalona, aby wyruszyć w las tylko w cienkiej sukni i z chustą na głowie, ale Sam był bardziej przeczny i rozsądny. W najgorszym razie Sam odwiedziłby Bena, aby to przedyskutować.

Spokojnie... oni poszli tylko po drewno na opał.

Obserwował ich, jak wchodzili po stoku i zniknęli między drzewami. Zanim stracił ich z oczu wśród gęsto rosnących jodeł, zauważył, że Sam trwoźnie ogląda się przez ramię w stronę obozowiska. Ben zastanawiał się, na co patrzył Sam, gdy zauważył Prestona i Vandera stojących ramię w ramię u wejścia do ich świątyni i w milczeniu odprowadzających Dreytonów wzrokiem.

To był dziwny widok i Ben zastanawiał się nad nim, gdy dotarł do Weylanda, kucającego nad wyłożoną cynfolią drewnianą skrzynką, w której znajdowała się zaledwie garść ciemnych ziaren kawy. Silny aromat płynący ze skrzynki dotarł do jego nozdrzy i był tak uwodzicielski, że aż ślinka napłynęła mu do ust. Nabrał głęboko powietrza, chłonąc ten zapach, i na chwilę odegnał od siebie wspomnienie zagadkowej sceny.

- Dzień dobry, panie Weyland.

- Ach, pan Lambert - rzekł Weyland, unosząc wzrok. - Obiecałem, więc słowa dotrzymam. Proszę wejść, a ja uprażę ziarna. - Odwrócił się do Murzynki. - Violet, moja droga, przynieś mi, proszę, rondel.

Violet była zajęta rozniecaniem ognia. Pokręciła głową.

- Sam sobie go przynieś, Giles, ty próżniaku. Nie widzisz, że jestem zajęta?

Giles odwrócił się do Bena i uniósł brwi w bezradnym geście.

- Ech, te kobiety, co nie?

Ben uśmiechnął się i odetchnął z ulgą, zadowolony, że może z czystym sumieniem usiąść wraz z nimi do posiłku. Violet nie była niewolnicą, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Rozdział 34

23 października 1856

Słońce zmierzało ku zenitowi, przeświecając przez szczelinę w szarym nieboskłonie, kiedy usłyszał krzyk. W pierwszej chwili młodzieniec nie zorientował się, co to za dźwięk. Głównie dlatego, że krzyk nie był typowym odgłosem dla tej puszczy; krzyk kobiety lub dziecka w tym miejscu był równie niezwykły jak ryk niedźwiedzia na równinach. Te zadrzewione szczyty nie były odpowiednim miejscem dla kobiet, dzieci ani starców, zwłaszcza zimą. Znów to usłyszał. Tym razem był pewien, że to krzyk kobiety, a nie dziecka. Za pierwszym razem był to przejmujący okrzyk zdumienia, drugi zaś, bardziej przeciągły, sprawił, że zjeżyły mu się drobne włoski na przedramionach. Krzyk się przedłużał, przeraźliwy skowyt bolesnej agonii i dojmującej zgrozy, który spowodował, że na jego ustach pojawił się niepokojący grymas, a adrenalina wypełniła całe ciało, nakłaniając do panicznej ucieczki lub pozostania na miejscu.

Kobieta.

Usłyszał trzeci krzyk, tym razem wyższy.

Dziecko.

Młodzieniec wiedział, że jedynymi kobietami i dziećmi w tej puszczy były „blade twarze”, które zgubiły się w górach. Czarne Pióro powiedział, że ich los został już przypieczętowany, nikt z nich nie dożyje wiosennych roztopów. Jeżeli nie zabiją ich głód i mróz, uczyni to mroczny duch, którego sprowadzili w to miejsce.

W pierwszej chwili chciał porzucić zająca, którego patroszył, odnaleźć Czarne Pióro i innych i powiedzieć im, co usłyszał. Jednak drugi krzyk, krzyk dziecka, obudził w nim głębsze instynkty. Nie mógł zignorować niewinnego krzyku dziecka, nawet jeśli była to blada twarz.

Nie rozwodził się nad tym głębiej. Porzucił zająca, oczyścił ostrze noża, wycierając je w rękaw, i szybkim krokiem ruszył w stronę, skąd dobiegły okrzyki. Poruszał się ze zwinnością i szybkością młodego, wysportowanego mężczyzny, którego stopy doskonale znały ten teren, intuicyjnie oszacowując po łagodnych pofałdowaniach śniegu, gdzie kryły się wykroty, nierówności i pokrzywione korzenie, na których mógł zwichnąć lub złamać nogę.

W oddali przed nim znów rozległ się krzyk kobiety. Tym razem po nagłym, bulgocącym zakończeniu tego dźwięku zorientował się, że będzie to ostatni, przedśmiertelny krzyk tej kobiety. Najlepiej jak potrafił, określił, skąd dochodził ten odgłos, starając się zniwelować akustyczne zmyłki, jakie mogły być dziełem samego lasu. Przyspieszył kroku, jego stopy miękko przedzierały się przez płytki śnieg, przestępując po wystających spod białego puchu kamieniach, przeskakując z jednego na drugi i miękko, z gracją pokonując leżące na drodze zwalone, stare drzewa.

W oddali przed nim dostrzegł pomiędzy pniami wątle promyki światła padające na niewielką polanę i w tym dwubarwnym świetle dziewiczej bieli oraz soczystej, leśnej zieleni jego oczy bezbłędnie wychwyciły ślady szkarłatu.

Zwolnił, by dotrzeć na miejsce w absolutnej ciszy, przeszedł jeszcze kilkanaście metrów, po czym osunął się na ziemię, pod gałęziami strzelistej jodły. Odzyskując oddech, wyjrzał pomiędzy igłami na widoczną przed nim polanę, próbując zorientować się, co się tam stało.

Zobaczył mnóstwo krwi.

Zbyt wiele, by ten, kto ją utracił, mógł przeżyć. To nie ulegało wątpliwości.

I wtedy zobaczył ją.

Na zwalonym pniu spostrzegł ciało kobiety, bladej twarzy, jej ciemny strój był niemal czarny od krwi wypływającej z jej piersi. Obok niej, zwinięte na śniegu w kłębek, leżało dziecko, dziewczynka, oplatająca rączkami kolana i dygocząca jak osika. Żyła, miała otwarte, rozszerzone oczy. Młodzieniec zorientował się jednak, że dziecko postradało zmysły. Wstrząs sprawił, że straciła rozum, choć zachowała życie.

Omiótł wzrokiem polanę, poszukując śladów stworzenia, które było sprawcą tego, co się tu stało.

Niedźwiedź?

To całkiem możliwe. Choć zapadały w sen zimowy, Czarne Pióro często ostrzegał, że łatwo można je było obudzić i rozjuszyć. Zauważył, że śnieg na polanie jest stratowany; pokryty ciemnymi rozbryzgami i długim rozmazany śladem krwi.

Na polanie widać było ślady trzech, a może czterech par stóp, dziecka, kobiety, mężczyzny i może kogoś jeszcze. Historia, jaka zawierała się w tych śladach na skotłowanym śniegu, była dla niego zbyt skomplikowana. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że czyjeś ciało zostało wywleczone z tej polany, kiedy jeszcze krwawiło, pozostawiając ślad znikający wśród listowia po przeciwnej stronie.

Ktoś starszy i bardziej doświadczony zalecałby w tym momencie wzmożoną

ostrożność, młodzieniec powinien wycofać się i opuścić to miejsce. To był zły duch, przed którym ostrzegwał Czarne Pióro - wychwycił je wyraźnie - ...zło bladych twarzy. Tylko ich zły duch mógł być tak nieostrożny, jeżeli chodziło o rozlew krwi, tak niepohamowany i dziki.

Ale młodzieniec był sam, zbyt pewny siebie, i ciekawość wzięła nad nim górę. Tak czy owak, nie mógł zostawić tego dziecka - będącego zapewne w tym samym wieku, co jego siostra - aby zginęło w ten sam okrutny i krwawy sposób, co jego matka. Trzymając w jednym ręku nóż myśliwski o długiej, zakrzywionej klindze, drugą wyjął zza pasa tamahakan o krzemiennym ostrzu, podniósł się jednym płynnym ruchem i wyszedł na polanę.

Nasłuchiwał z uwagą, poruszając się bezgłośnie. Z oddali dochodziło echo odgłosów z obozowiska bladych twarzy. Ciach - ciach - ciach rąbanego drewna. Łagodny wietrzyk poruszył ośnieżonymi gałęziami sosen i puszysty śnieg osypał się z jednego konara na drugi, przy wtórze cichego szmeru. Podchodząc do rozdygotanego dziecka i ciała rozciągniętego na kłodzie, mógł wyraźniej przyjrzeć się obrażeniom na torsie kobiety. Kilka głębokich ran otworzyło jej brzuch, ukazując poszarpane organy wewnętrzne, a strzępy tychże narządów rozwłóczone były na szorstkim pniu zwalonego drzewa. Rany takie jak te mogły być dziełem niedźwiedzia, a konkretnie jego silnych przednich łap, zaopatrzonych w długie pazury. Sądząc jednak po odległości między ranami, ich długości i głębokości, musiał to być naprawdę olbrzymi niedźwiedź.

Dziewczynka znajdowała się o jakiś metr od niego, drżała i kołysała się nerwowo. Nie zobaczyła go, jej oczy i umysł przebywały gdzie indziej.

Powoli wyciągnął do niej rękę, niepewny, jak zareaguje na jego dotyk.

I wtedy to usłyszał.

Głęboki, ochryply oddech dochodzący od skraju polany, z miejsca, którego stąd nie było widać. W ciszy tej odciętej od innych dźwięków polany odgłos ten wydawał się ogłuszający, zdawał się dobiegać echem ze wszystkich stron jednocześnie, głęboki, pulsujący, chrapliwy... jak parskanie bizona, wyczerpanego u kresu polowania i wydmuchującego pianę z nozdrzy.

Na ziemi za dziewczynką dostrzegł leżącą długą strzelbę. Wiedział, jak działa ta broń, ale nie miał pojęcia, jak się ją nabija. Zanim rozległy się krzyki, nie usłyszał huku, toteż domyślił się, że broń bladych twarzy wciąż pozostawała zabójcza i gotowa do działania.

Musiała ją upuścić trzecia blada twarz, ta, która została odciągnięta poza polanę. To pozwoliło mu dowiedzieć się czegoś istotnego na temat tego stworzenia.

Jest bardzo szybkie. Błada twarz nawet nie zdążyła wystrzelić. Szept oddechu ucichł, jakby to coś, co się tam kryło, czekało na jego następne posunięcie i nakłaniało, by spróbował dosięgnąć i użyć leżącej na ziemi broni.

Rozdział 35

23 października 1856

Ben usłyszał alarmowy okrzyk, jeden, potem drugi. Na zewnątrz zrobiło się zamieszanie. Złamane Skrzydło spojrział na niego.

- Co jessst?

Ben wzruszył ramionami. Wychylił się do przodu i wyrzwał przez uchyloną płachtę u wejścia do szałasu, aby zobaczyć, co się stało. Ujrzał pana Bowena wystawiającego głowę z sąsiedniego szałasu i jeszcze dalej pana Husseina - wyglądali jak zaciekawione pieski preriowe.

Usłyszał kolejny okrzyk alarmowy i w odpowiedzi cały chór męskich głosów. Hałas dochodził z drugiej części obozu. Złamane Skrzydło kopnął drzemiącego Keatsa.

- Keattttt! - zawołał.

Tamten burknął coś niezrozumiale.

Ben tymczasem sięgnął po swoją torbę lekarską, odchylił płachtę i wyszedł na zewnątrz, prostując się szybko, by zobaczyć, co się dzieje. Wśród odległych szałasów spostrzegł gromadzących się ludzi, zbierających się wokół kogoś lub czegoś. Ben automatycznie ruszył w ich stronę.

- Co się dzieje? - zawołał ze swego szałasu pan McIntyre, gdy Ben przechodził obok.

- Nie wiem. Idę zobaczyć.

Weyland dołączył do niego, gdy przeszli po chrzęszczącym, zbitym śniegu i weszli w sypki, sięgający do kostek biały puch. W zazwyczaj pewnym sobie tonie głosu Wirgińczyka pojawiła się niepewność, gdy dotarli do gromady ludzi.

- Wydawało mi się, że któryś z tych mormonów krzyczał coś o jakimś Indianinie.

Minęli ciała wołów, weszli do obozu mormonów i pomaszrowali pomiędzy ośnieżonymi szałasami w stronę zgromadzonego opodal tłumu.

Weyland precyzyjnie sięgnął między zebranymi i znieruchomiał.

- Dobry Boże - usłyszał.

Ben podążył za jego wzrokiem. Najpierw ujrzał Emily, zbryzganą krwią od stóp do głów. Trzymał ją na rękach młody Indianin. Ben podejrzewał, że jest to jeden z młodych

Pajutów, których napotkali przed tygodniem. Był chyba w wieku Sama, miał jakieś siedemnaście albo osiemnaście lat. Indianin klęczał, tuląc mocno w ramionach Emily, tak jakby kurczowo trzymał się życia. Z głębokiej, strzępiastej rany ciągnącej się na ukos od lewego barku przez klatkę piersiową, brzuch, aż do krocza na okrwawiony podolek Emily wylewały się jego wnętrzności.

Sapnął, oddychając płytko, nerwowo, urywanie, wzrok miał już szklisty.

Pani Zimmerman uklękła przed nim i wyciągnęła ręce po Emily. Młody wojownik, wyraźnie w szoku, spojrział na nią zrazu niepewnym wzrokiem. Kobieta uśmiechnęła się kojąco i pokiwała głową.

- Pozwól, że ją wezmę - odezwała się półgłosem.

Indianin spojrział na Emily, po czym z wahaniem wypuścił ją ze swych ramion. Pani Zimmerman wzięła dziewczynkę na ręce i cofnęła się.

- Dziękuję - rzekła.

Indianin chwiał się przez chwilę, zanim runął w śnieg i głośno coś zawołał. Dla Bena te słowa były niezrozumiałe, ale zwrócił uwagę, że były jednakowe, wojownik powtarzał je raz po raz.

Keats brutalnie przycisnął się przez tłum, gniewnymi warknięciami nakazując zebranym, aby zeszli mu z drogi.

- Indianie wciąż tam są - rzucił ktoś z tłumu.

Stary przewodnik wyłonił się spośród ciżby i ukląkł przy leżącym na ziemi młodym wojowniku. Ben podszedł do niego i przykucnął, aby obejrzeć ranę, choć wiedział, tak jak w wypadku córki Zimmermana, że obrażenia są zbyt poważne, aby Indianina można było uratować. Spojrział na Keatsa i pokręcił głową.

Indianin wciąż coś mówił.

Ktoś z tłumu wymamrotał: „To te śniade diabły zabiły Dreytonów”, a tłum zareagował natychmiast, ludzie zaczęli szeptać między sobą i odmawiać gorączkowe modlitwy.

Ben nie potrafił stwierdzić, czy tamci modlili się za Emily, jej rodzinę, za nich samych czy za Indianina.

Keats burknął z irytacją, rozdrażniony narastającym z tyłu za nim hałasem. Młody wojownik już nie mamrotał, tylko szeptał coś cichutko. Keats nachylił się nad młodzieńcem, którego od śmierci dzieliło zaledwie kilka chwil, i przyłożył wielkie, nieforemne ucho niemal do ust konającego. Ben zauważył, że kropelki rozprysniętej krwi, dobywające się z ust Indianina, przy każdym urywanym oddechu zraszały policzek Keatsa, gdy przewodnik próbował zrozumieć słowa szeptane przez umierającego.

- Co on mówi? - zapytał półgłosem Ben.

- Ni cholery nie słyszę - wysyczał Keats. Odwrócił się do tłumu.

- Cicho tam! - rzucił wściekle. Modlitwy i szmery ucichły w jednej chwili, słysząc było tylko nerwowe, przyspieszone oddechy.

Znów przyklęknął, by posłuchać konającego. Indianin, jak się zdawało, zdołał zebrać w sobie resztki sił, by skupić wzrok na starym przewodniku. Schwycił Keatsa za ramię i wyszeptał coś do niego w narzeczu tak szybko i rozpaczliwie, że Ben nie wiedział, czy tamten zdołał go zrozumieć. Zaraz potem oczy młodego Indianina wywróciły się w oczodołach tak, że widać było tylko białka, pomiędzy jego ust pokrytych kropelkami krwi uleciało ostatnie tchnienie.

Usłyszeli posępne krakanie wron krążących wysoko nad koronami drzew i złowieszczy szept kogoś wśród tłumu, kto wciąż odmawiał kolejną modlitwę.

Ben wyciągnął rękę i zamknął Indianinowi oczy, uniesione powieki i szklisty, niewidzący wzrok młodzieńca wzbudziły w nim dziwny niepokój.

Odwrócił się do Keatsa.

- Powie mi pan, co od niego usłyszał?

Keats spojrział na niego i pokręcił głową, zdezorientowany.

- To był tylko bezsensowny bełkot.

Rozdział 36

Wtorek

Shepherd's Bush, Londyn

- Cóż - powiedział Sean Holmwood, nawijając na widelec makaron z pasta carbonara - wygląda mi to na intrygujące znalezisko.

Julian uśmiechnął się krzywo. Sean miał talent do umniejszania spraw. Prawdopodobnie dlatego był tak dobrym redaktorem działu zleceń. Nigdy nie był hojny, jeżeli chodziło o pochwały, a swoje emocje skrywał jak wytrawny pokerzysta.

Julian pokiwał głową.

- To nie tylko historia grupy osadników, których dopadła wyjątkowo sroga zima, Sean. To coś więcej.

Widelec Seana znieruchomiał w powietrzu.

- Tak?

Julian wychylił się do przodu i zniżył głos. Kącik w bistro, gdzie siedzieli, był oddalony od reszty klientów, tak więc była to zgoła zbędna ostrożność, ale mimo wszystko uznał, że tak właśnie trzeba.

- Ten facet prowadził większą z dwóch grup - rzekł konspiracyjnym szeptem. - Preston... wydaje się... bo ja wiem, kimś w rodzaju Davida Koresha.

- Koresh? Koresh? Coś mi to mówi.

- Oblężenie Waco.

Sean przewrócił oczami. Tak, oczywiście.

- Wydaje się, że ten Preston miał na swoich wiernych ogromny wpływ... może nawet za duży. Lambert, facet, którego dziennik znalazłem, opisał nader szczegółowo wszystko to, co wydarzyło się w tych górach. Mówię ci, Sean, to naprawdę świetny materiał.

Julian upił łyk wina.

Sean pokiwał głową.

- Mów dalej, Jules, zaciekawiłeś mnie.

- Ten Preston, jak się wydaje, poprowadził swoich wiernych na pustkowia z zamiarem założenia tam małej społeczności, wyznającej ich własną odmianę mormonizmu. Co wiesz o

mormonach, Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, Sean?

Sean zmarszczył brwi.

- Czy oni nie są jak amiszki lub coś takiego? Mają brody i noszą dziwaczne kapelusze?

- Ee, nie... raczej nie przypominają amiszów.

- Może chodziło mi o kwakrów.

Julian pokręcił głową.

- Nie, nic z tych rzeczy.

Sean wzruszył ramionami.

- No, ale to chrześcijańska sekta, tak?

- Szczerze mówiąc, Sean, nie jestem wcale pewien, czy oni są chrześcijanami.

Sean wydawał się zbity z tropu.

- Nie są chrześcijanami? Więc kim są do cholery?

- Są jedyni w swoim rodzaju. Chyba mógłbyś określić ich mianem dziewiętnastowiecznych scjentologów.

- Sekta.

Julian pokiwał głową.

- Nie wiem, w którym miejscu przebiega granica pomiędzy sektą a religią. Ale tak, w tamtych czasach to było raczej jak sekta. Ich teksty religijne są doprawdy niezwykle.

- A więc nie jest to Pismo Święte?

Julian się zaśmiał.

- Ani trochę. Zaczekaj - rzekł, otwierając plecak i wyjmując plik odręcznych notatek. - Przeczytam ci fragment dotyczący powstania mormonizmu. To niesamowita rzecz. - Zaczął wertować strony. - O, już mam. Kościół ten został założony przez niejakiego Josepha Smitha w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. - Spojrzał na Seana i się uśmiechnął. - Takich rzeczy nie da się wymyślić. Ten facet, Smith, nie był nikim szczególnym, był synem miejscowego farmera, właściciela wielkich połaci pastwisk na dalekiej prowincji, w Stanie Nowy Jork. Wygląda na to, że w owych czasach bardzo popularne było powszechne poszukiwanie skarbów. Zupełnie jakby wszyscy liczyli, że na ich ziemiach mogą znajdować się ukryte skarby pradawnych rdzennych Amerykanów. Ten Joseph Smith też złapał tego bakcyła i ostro wziął się do roboty, przekopując rodzinne ziemie wszczep i wzdłuż. I nagle ogłosił, że dokonał wiekopomnego znaleziska.

Julian przerwał, czekając, aż Sean zacznie go ponaglać, by mówił dalej.

- No i?

- Smith ogłosił, że odnalazł Słowo Boże.

- Słowo Boże? Co chcesz przez to powiedzieć? Mówimy tu o kamiennych tablicach?

- Nie. Smith chciał w tej kwestii pójść jeszcze dalej. To nie były płyty kamienne... lecz złote. Oznajmił, że odkrył Słowo Boże na kilku złotych płytach.

- Tak po prostu? Zaczął kopać i znalazł te płyty?

- Ależ skąd, bynajmniej. Oświadczył, że to nie był przypadek. Do swej opowieści dodał, że do tego odległego wzgórza na rodzinnej farmie doprowadził go anioł, który przyszedł do niego w nocy i przemawiając do niego w myślach, dał mu wskazówki, jak ma trafić do tego miejsca.

- No tak... klasyczna historia proroka.

- Jak najbardziej. W sumie ani bardziej wiarygodna, ani bardziej niewiarygodna od innych. Ale dopiero teraz zacznie się robić dziwnie i ciekawiej. Smith twierdził, że został doprowadzony do tego odległego miejsca i wykopał prastarą kamienną skrzynię, zawierającą złote płyty, szczątki anioła - przewodnika i coś, co określił mianem wizjonerskich kamieni. Od tego momentu cała opowieść staje się naprawdę szalona.

- Mów dalej.

- W owych czasach, czyli w latach dwudziestych i trzydziestych dziewiętnastego wieku, Anglię i Amerykę opanowała fascynacja starożytnym Egiptem. Wśród historyków - amatorów krążyły liczne, niesamowite teorie. Choćby takie, że rdzenni Amerykanie byli potomkami faraonów. I zgadnij co?

Sean w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Aby jego znalezisko stało się jeszcze atrakcyjniejsze, Smith ogłosił, że płyty zapisane są w świętym języku aniołów, znanym także jako reformowany egipski.

- Reformowany egipski?

- Brzmi dość oficjalnie, prawda? I na pewno w tamtych czasach pomogło podkoloryzować jego historię. Smith oznajmił, że anioł został wskrzeszony w wyniku złożonego rytuału, stał się również materialny, aby pomóc mu przy przekładzie treści płyt. I, jak mówi historia, noc w noc przychodził na wzgórze, by spędzić tam czas w towarzystwie anioła, pracując nad przekładem płyt, których treść miała być prawdziwym Słowem Bożym. Anioł opowiedział mu również pełną prawdziwą historię rodzaju ludzkiego, od czasów starożytnego Egiptu do współczesności.

Sean uśmiechnął się krzywo.

- Prawdziwą?

- Anioł wyjawiał Smithowi, że nazywa się Nefi albo Moroni, imię to pojawia się przemiennie we wczesnych relacjach Smitha i jego pierwszych wyznawców. Anioł wyjaśnił

Smithowi, że parę starożytnych plemion popłynęło do Ameryki, na kilka tysięcy lat przed Chrystusem, w czasach wieży Babel. Ludzie ci pożeglowali do Ameryki, osiedli tam i stworzyli potężną zaawansowaną cywilizację - może to odniesienie do Atlantydy, kto wie? Tak czy owak, ta cywilizacja rozwijała się w najlepsze przez kilkaset lat, dopóki wojna, jaka wybuchła wśród tworzących ją ludzi, nie położyła kresu jej istnieniu.

- Do tego stopnia, że nie pozostały po niej żadne ślady natury archeologicznej.

Julian się uśmiechnął.

- Owszem, nie pozostał po niej żaden ślad, bo jak powiedział Nefi, była to wyjątkowo ząarta wojna. Były dwie grupy, Nefici i Lamanici. Tę wojnę przeżył tylko jeden, Nefi, wspomniany anioł. Z Bożą pomocą opisał on historię swego ludu i nowych przykazań Boga na złotych płytach, w swoim własnym języku, reformowanym egipskim, i zakopał je na wzgórzu.

Julian przeknął kolejny kęs stygnącego już posiłku.

- Płytach, które wiele stuleci później, jak się okaże, znajdowały się na ziemiach należących do pana Smitha.

- Łał.

- Ta historia, którą ci właśnie opisałem, to skrót tego, co zawiera *Księga Mormona*. Smith spisał to wszystko, wydał drukiem i zaczął sprzedawać. Przez lata dokonywał w treści pewnych poprawek, dodając kolejne fragmenty z płyt, które w tym czasie, jak twierdził, przetłumaczył.

- Wspólnie z tym Nefim?

- Nie, nie po pierwszym przekładzie. Anioła nikt nigdy nie widział. Po wstępnych sesjach translatorskich, w księżycowe noce na wzgórzu, Smith oświadczył, że nie potrzebował już pomocy Nefiego, ponieważ anioł nauczył go, jak ma korzystać z Wizjonerskich Kamieni, aby pomogły mu w tłumaczeniu z reformowanego egipskiego. Tak więc, kiedy mógł to już robić sam, anioł Nefi prawdopodobnie znów obrócił się w stertę rozsypujących się w proch kości i rozpląnął się jak sen jakiś złoty.

- Czy ktoś kiedykolwiek widział te płyty?

- Istnieją pisemne zeznania pierwszych wyznawców, którzy twierdzili, że widzieli płyty na własne oczy, aczkolwiek tylko przez chwilę. Smith zawsze bacznie ich strzegł, pozwalając, by jego pierwsi wierni ujrzeli płyty tylko przez moment i z daleka.

- Ale... gdzie te płyty są teraz?

- Nikt nie wie. Smith oznajmił, że kiedy skończył przekład widniejących na nich symboli, anioł powrócił, a on skwapliwie mu je oddał, po czym anioł i płyty zniknęły.

- Wygodne rozwiązanie.

- Pojawiły się plotki, że zakopał płyty w tym samym miejscu, w którym je znalazł, przy wzgórzu na swojej farmie, a także inne, że zarówno płyty, jak i inne relikwie zostały mu skradzione, przypuszczalnie przez jednego z wiernych lub kogoś, kto chciał go zdyskredytować. Ale nigdy się nie pojawiły, nie wypłynęły, toteż wydaje się całkiem rozsądne rozwiązanie, które podsunął sam Smith - że płyty powróciły do Boga, że anioł ponownie je zabrał i voila, oto jak się przedstawia geneza *Księgi Mormona*. - Julian napił się wina. - No i co o tym sądzisz?

Sean pokiwał głową.

- Nieźle pokręcone.

- To nie wszystko, Sean. W Stanach Zjednoczonych żyje trzynaście milionów ludzi, którzy są mormonami i wierzą w tę historię, która jest dla nich fundamentem ich wiary.

- Ten Preston też był mormonem, tak?

Julian pokręcił głową.

- Może, kiedyś. Po zabiciu Josepha Smitha doszło w jego Kościele do schizmy, przypuszczalnie na tle walki o władzę. Podejrzewam, że było to coś w rodzaju rozłamu, jak między sunnitami a szyitami, o to, kto powinien być wedle prawa kontynuatorem spuścizny Mahometa. Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich podzielił się na kilka mniejszych sekt, których przywódcy rościli sobie prawo do najwyższej władzy.

Wreszcie kontrolę nad sterami Kościoła przejął Brigham Young. Jednak wśród całego zamieszania i chaosu pojawił się Preston i zyskał sobie małą grupkę oddanych zwolenników. Musiał dysponować czymś - ujmującymi manierami lub niezwykłym przesłaniem, tak czy owak, ortodoksyjni mormoni zwrócili się murem przeciw niemu, a on i jego wyznawcy czym prędzej opuścili Iowa, kierując się na zachód. I tym sposobem ci nieszczęśnicy trafili w góry Sierra Nevada.

- Czy ktoś z ludzi Prestona przeżył?

- W tym właśnie sęk. Nie wiadomo. Nie ma żadnych informacji. Nic. Zero. Nul. W tamtych czasach nikt nawet nie zauważył ich zniknięcia. Mogę więc jedynie przypuszczać, że wszyscy tam zginęli, bo nie było w gazetach najmniejszych wzmianek na ten temat ani nie ma żadnych naocznych świadków.

- Może nie było o czym pisać. Domyślam się, że w Ameryce nieraz ginęły całe tabory, to nie był odosobniony przypadek

- Niezupełnie. Podczas każdej z wypraw ginęli ludzie, umierali na skutek różnych chorób czy niedożywienia, ale jedyną prawie całą wyprawą, jaka zginęła, była Grupa

Donnera. To się stało kilka lat wcześniej, o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, gdzie znaleźliśmy Grupę Prestona. Jednak widzisz, Grupa Donnera trafiła w owym czasie na łamy gazet, bo kilka osób zdołało przeżyć i opowiedziało o swojej gehennie. Ta historia stała się sławna, pisały o niej gazety w całych Stanach.

- Wyprawa Donnera... słyszałem o niej. Doszło tam do kanibalizmu, zgadza się?

Julian pokiwał głową.

- Przypuszczalnie właśnie dlatego ta historia została tak rozdmuchana. Ale nikt by się o tym nie dowiedział, gdyby nie było ocalonych. W wypadku Grupy Prestona... nie ma nic, absolutnie nic. I dlatego śmiem twierdzić, że nikt nie wyszedł z tego cało.

Z wyjątkiem tej jednej... bardzo dziwnej strony internetowej, upomniał się w duchu Julian. Ktoś jeszcze o tym wiedział.

Sean pokiwał głową, już na dobre zapomniał o pasta carbonara.

- Domyślasz się, jak to się mogło skończyć?

- Pracuję nad tym. Wciąż usiłuję dojść do ładu z tym dziennikiem. Może pomarli z głodu, a może zaatakowali ich Indianie... są tam wzmianki o spotkaniach z Indianami z plemienia Pajutów. Albo, kto wie, może skończyli jak któraś z tych dziwnych samobójczych sekt, no wiesz, jak drugie Jonestown.

Oczy Seana się rozszerzyły.

- To byłaby naprawdę przerażająca historia.

Julian pokiwał głową.

- Wracam tam pod koniec tygodnia. Mamy trochę czasu, aby zrobić o tym materiał; a potem trzeba będzie to zgłosić. A wtedy, jak sądzę, rozmaite organizacje, dbające o amerykańskie dziedzictwo narodowe, wywalą nas stamtąd na zбитy pysk.

Sean uśmiechnął się pod nosem, przeżuając w zamyśleniu.

Julian upił kolejny łyk wina.

- Mamy tu do czynienia z ciekawą relacją pomiędzy charyzmatycznym przywódcą kultu i jego skazanymi na zatracenie wyznawcami. To mocna rzecz, którą można by wykorzystać. Zagrożenie, jakie stanowi religia, jeśli zostanie spaczona, radykalizowana. To w naszych czasach istotny temat do dyskusji, czyż nie?

Sean mruknął potakująco. Wyjął notes i zaczął zapisywać jakieś sugestie i przemyślenia, podczas gdy Julian w milczeniu dokończył posiłek.

- Przeczytałeś cały ten dziennik.

- Sporo się trzeba namęczyć, żeby go odcyfrować.

- A co, jest napisany szyfrem czy jak?

- Nie, ale na utrudnienia składa się kilka czynników. Pismo odręczne jest samo w sobie sporym wyzwaniem, a z każdą kolejną stroną staje się coraz bardziej chwiejne i niewyraźne. Pod koniec atrament jest bardzo jasny, domyślam się, że autor go rozwadniał, by starczyło mu na dłużej. Miejscami tekst jest prawie nieczytelny.

- Czy uważasz, że autor, ten... Lambert... zaczął tracić zmysły?

Julian wyjrzał przez okno na gwarną i rojną ulicę przed bistrem.

- Nie, raczej nie, Sean. Nie wydaje mi się, aby postradał rozum.

- Wobec tego pozwól, że zapytam o coś innego. Czy twoim zdaniem, ten autor jest wiarygodny?

Julian namyślał się nad tym przez chwilę.

- Nigdy nie wiadomo. Ale powiem jedno - wydaje się bardzo rozsądny i trzeźwo myślący. Wiem, że to brzmi dziwnie jak na reportera śledczego, ale chyba mu ufam.

Sean znów wziął do ręki widelec i zajął się swoją pasta carbonara.

Julian obserwował go w milczeniu.

- To jak, wzbudziłem twoje zainteresowanie?

Sean odłożył widelec i splótł dłonie w geście zadumy.

- Tak, myślę, że jestem zainteresowany - odparł półgłosem. - Ale może na razie lepiej tego nie rozgłaszać. Spróbuję ruszyć tę sprawę w obrębie naszej grupy redakcyjnej, zakładając, że chcesz z nami współpracować?

- Cóż, Rose i ja chcielibyśmy pracować z tobą, Sean. Dobrze się nam współpracowało przy Niezwykajnych Zwyczajnych. Nie widzę powodu, czemu znów nie miałyby się nam udać.

Sean uniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Tak, udało się nam, prawda? To była prawdziwa frajda. - Wyjrzał przez okno na przejeżdżający autobus. - Posłuchaj, zadzwonię jutro do paru osób i może spotkamy się znów pod koniec tygodnia?

- Może być. Lecę do Stanów w ten weekend. Więc... gdybyś chciał spotkać się ze mną przed wyjazdem... masz całe trzy dni.

Rozdział 37

23 października 1856

- Jest pan pewien, że to właśnie powiedział ten Indianin? - ponownie półgłosem zapytał Preston, a w świetle lampy naftowej wiszącej na belce pod sklepieniem jego wychudłe oblicze wyglądało jak czaszka obleczone w najprzedniejszy jedwab.

Keats potrząsnął głową.

- Nie. Ale to wszystko, co udało mi się zrozumieć.

Południe już minęło i senne słońce znów jęło się chylić ku horyzontowi, w świątyni zebrała się Rada Starszych. Ben zdziwił się, że zaproszono również jego i Keatsa, choć nie zaskoczyło go, gdy Złamane Skrzydło, na którego obecność nalegał Keats, został zatrzymany przy wejściu i odprawiony z kwitkiem.

- Śniada skóra to znak szatana - mruknął pan Hollander, trzymając straż u wejścia.

- Zabił ją zły duch? Tak powiedział Indianin?

Keats wzruszył ramionami.

- Do kroćset, mógł tak powiedzieć... choć równie dobrze jego słowa mogły znaczyć coś innego. Ten Indianin bredził jak szalony.

- Co jeszcze powiedział, panie Keats? - dopytywał się duszpasterz.

Keats pokręcił głową.

- Mówił coś o złym duchu sięgającym od drzew. To nie miało dla mnie żadnego sensu.

- Indianin był w szoku - rzekł Ben. - Zawodziły go zarówno umysł, jak i oczy. Rany na jego ciele mogły być dziełem dzikiego zwierzęcia. Te postrzępione rany wyglądały jak zadane pazurami, a nie na przykład ostrym nożem. Może to niedźwiedź.

Keats pokręcił głową.

- To nie robota niedźwiedzia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Spoza świątyni dochodziły stłumione odgłosy rąbania drewna i przygotowywania ognisk. Rutynowe czynności, mające na celu zapewnienie im przetrwania, ciągnęły się w najlepsze pomimo traumatycznego zdarzenia, jakie nastąpiło rankiem.

Preston skrzywił się z bólu, zmieniając nieznacznie pozycję i przytykając dłoń do płóciennego bandaża, którym owinięto jego tors.

- A gdzie pan Hearst? - zapytał Jed Stolheim, przesuwając zmęczoną ręką po rzędniejących, kasztanowych włosach. - Nikt go nie widział od rana.

- Nie wiem, Jed - odrzekł Preston. - Ale nie ma go tak długo, że zaczynam obawiać się o Saula.

- To robota Indian - mruknął ktoś z tyłu.

- Nie jestem nawet pewien, czy to w ogóle Indianie - odparł Vander. - Ja i pan Zimmerman widzieliśmy ich z bliska w puszczy. Byli czarni jak sam szatan.

Keats parsknął.

- Skoro to nie Indianie, to kim są?

- To demony, Keats... diabelskie sługi Złego przysłane, by nas dręczyć.

Wśród zebranych rozległy się głośnie westchnienia.

- Wystarczy, Ericu - uciął Preston. - Bóg jest po naszej stronie, więc nie mamy się czego obawiać.

Ben usłyszał niepokojącą nutę niepewności w głosie Starszego. A może to jego słabość, jego ból pozbawiły jego głos władczego tonu. Preston odwrócił się do Bena.

- Co z Emily Dreyton?

- Jest w ciężkim szoku. Chwilowo jej umysł nie funkcjonuje.

- Czy mówiła o tym, co widziała? - zapytał Vander.

- Nic nie mówiła. I jak się spodziewam, nie powie nic jeszcze przez długi czas - odparł Ben. - To, co ujrzała, tak ją przeraziło, że... odeszła od zmysłów i być może nigdy nie powróci do normalności.

- Biedna dziewczynka - wymamrotał Preston. - Biedna Dorothy, biedny Samuel - dodał z niekłamanym smutkiem malującym się na jego pomarszczonym obliczu.

- Kto jest z nią teraz? - zapytał Vander.

- Pani Zimmerman.

Rozległy się pomruki aprobaty, kobieta straciła córkę, Emily straciła matkę. Pani Zimmerman była najlepszą kandydatką, aby się nią opiekować.

- Może oni jeszcze żyją - rzekł Ben. - Wszystko, co mamy, to Emily i sporo krwi, która, jak sędzę, w większości pochodziła z ciała Indianina. Oni wciąż mogą tam gdzieś być.

Preston pokiwał głową z zamyśleniem.

- Tak, ma pan rację, Lambert. Powinniśmy wysłać grupę poszukiwawczą...

- Nie dziś wieczorem, Lambert - wtrącił Keats. - Koniec i kropka. Nie będę ryzykował

życia kogokolwiek w poszukiwaniu nieboszczyków. Poszukiwania zaczniemy jutro o świcie.

Ben odwrócił się do niego gwałtownie.

- Co takiego? Nie możemy zostawić ich samych do rana.

- Nie poprowadzę poszukiwań nocą.

- Oni pomrą z zimna!

- Podejrzewam, że już i tak nie żyją - burknął Keats. - Jak wyruszymy nocą, przeoczmy ślady i ich nie znajdziemy. - Powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych. - Niebo jest dziś bezchmurne. Nie spodziewam się opadów śniegu, więc wyruszymy skoro świt. W ten sposób po śladach krwi dotrzemy do miejsca, gdzie... stało się... co się stało.

Preston skinął głową.

- To brzmi sensownie, panie Keats.

Ben pokręcił głową, wiedząc, że przewodnik ma najprawdopodobniej rację, twierdząc, iż biedny Sam i jego matka przypuszczalnie nie żyją i nie można zrobić nic poza odnalezieniem ich ciał. Lambert wciąż jeszcze łudził się nadzieją, że Sam leży gdzieś, ranny, błagając o pomoc, lecz były to płonne nadzieje, które, niezależnie od wszystkiego, nie dadzą mu spokoju i będą go dręczyć aż do rana.

- Pójdę z panem, panie Keats.

Vander odwrócił się do niego.

- Na tyle już wydobrzałeś, Williamie?

- Dam radę, Ericu. - Preston skłonił się kurtuazyjnie Benowi. - Pan Lambert dobrze mnie opatrzył.

- Wobec tego ruszamy o pierwszym brzasku - powiedział Keats.

- Będziemy potrzebować co najmniej dwóch tuzinów mężczyzn z nabitymi strzelbami. Mogą się nam przydać, gdybyśmy natknęli się na Pajutów. Jestem pewien, że czają się gdzieś w pobliżu.

Zebrani zaczęli szeptać między sobą.

- Co powiemy pozostałym? - zapytał pan Larkin. - O tym, co spotkało Dreytonów?

- Na razie powiemy im, że to był niedźwiedź - warknął Keats. - Dopóki nie poznamy prawdy.

Preston przekrzywił lekko głowę.

- Możesz powiedzieć swojej grupie, co zechcesz.

- A co ty powiesz swoim?

- Że to sprawka demonów czyhających w tej puszczy! - uciął Vander.

- Zapominacie - odparł półgłosem Ben - że to jeden z tych demonów sprowadził

Emily z powrotem do obozu.

- Szatan lubi grać w różne gierki z niewinnymi, panie Lambert - odrzekł łagodnie Preston. - Dla niego to najlepsza zabawa. Na razie, dopóki nie dowiemy się więcej, nakażemy naszym ludziom, aby modlili się za Dorothy i Samuela. Rano zbierzemy grupę poszukiwawczą. - Preston wstał, pochylając głowę, z uwagi na niski strop. - Na tym kończymy to spotkanie. - Odmówił krótką modlitwę, po czym pozwolił wszystkim się rozejść. Mężczyźni wyszli na zewnątrz. Słabe promienie słońca przesuwają się przez wierzchołki drzew, tworząc fioletowe cienie tam, gdzie już nie zdołały dotrzeć.

Preston dotknął lekko ramienia Bena, który ruszył za Keatsem do wyjścia.

- Panie Lambert.

- Tak?

- Czy mogę dostać jeszcze trochę tego pańskiego lekarstwa, od bólu?

Ben patrzył przez chwilę na jego pobladłe oblicze.

- Jest aż tak źle?

Preston pokiwał głową.

- Przynosi mi niemal cudowne uwolnienie.

Ben zamyślił się przez chwilę.

- Dobrze, ale tylko małą dawkę.

- Jakkolwiek pan zadecyduje. - Preston się uśmiechnął.

- Wróć z butelką, kiedy tylko sprawdzę, co z Emily - powiedział i przyspieszył kroku, by dogonić Keatsa.

*

Preston odprowadził ich wzrokiem, po czym wrócił do świątyni, wzdrygając się, gdyż kontrast pomiędzy silnym chłodem a ciepłem wytworzonym przez zebranych w pomieszczeniu ludzi był naprawdę ogromny.

- Martwię się o Saula. - Z półmroku dobiegł go głos Vandera. Oczy Prestona powoli przyzwyczały się do ciemności i odnalazły mężczyznę siedzącego na łóżku. Westchnął ze smutkiem. - Williamie, wiesz, że to było konieczne. Ona zaczęłaby rozsiewać wśród pozostałych ziarno wątpliwości dotyczące twojej osoby.

Preston usiadł ciężko obok Vandera.

- Wiem. Oni teraz potrzebują mnie bardziej niż kiedykolwiek. Ale w głębi serca wolałbym, aby tym, kogo dosięgły wątpliwości, był ktoś inny aniżeli Dorothy. Była taka oddana.

Vander pokiwał głową.

- A teraz będziemy się zastanawiać, co stało się z Saulem - rzekł Preston. - Może to był niedźwiedź, a może Indianie.

- A Emily? Co tam zobaczyła?

Preston z żalem pokiwał głową.

- Co mogła powiedzieć? - Odwrócił się do Vandera. - Ja też ją kocham, podobnie jak wszystkie moje dzieci.

- Bóg pragnie, abys był silny, Williamie. Potrzebujemy cię takim.

- Wiem.

*

Ben schylił się i wszedł do szałas. Ta konstrukcja była masywniejsza niż schronienie, które dzielił z Keatsem i Złamanym Skrzydłem. Mormoni zbudowali dla Dorothy i jej dzieci naprawdę solidną chatę, wykorzystując mocną konstrukcję z ich wozu. Była ona na tyle duża, by mogła pomieścić trzy lub cztery osoby siedzące obok siebie, ale na tyle niska, że można było w niej co najwyżej uklęknąć.

W świetle pojedynczej świecy ujrzał Emily, skuloną z dala od wejścia, owiniętą kilkoma kocami, z kolanami podciągniętymi do piersi, wpatrującą się tępo w przestrzeń. Obok niej leżała pani Zimmerman, gładziła dziewczynkę po czole i śpiewała jej kołysankę. W pewnej chwili zamilkła i spojrzała na Bena.

- Witam panią - rzekł uprzejmie Ben, kłaniając się. - Co z nią?

- Jej umysł błąka się gdzieś daleko.

Ukląkł przy dziewczynce. Bóg jeden wie, czego była świadkiem. Ben spojrzał na twarzyczkę dziecka, przesuwając dłonią w tę i z powrotem przed jej rozszerzonymi źrenicami, ale bez żadnej reakcji.

- Mówiła coś?

- Ani słowa. Nie wypowiedziała ani słowa - odparła, patrząc na pobladłą buzię dziecka. - Prawdę mówiąc, panie Lambert, nigdy jeszcze nie widziałam kogoś równie przerażonego.

Przysunął się do niej, zdjął poncho i okrył nim otulone kocem ciało Emily.

- Widywałem już osoby w tak ciężkim szoku - ofiary wypadków w zakładach przemysłowych, przywożone do szpitala w Londynie, gdzie studiowałem. Szok... umysł wyłącza się, by zabić ból, a mimo to nadal funkcjonuje. Widziałem kiedyś, jak pewien mężczyzna przyszedł do szpitala z własną ręką pod pachą. Jedna z maszyn oderwała mu rękę na wysokości stawu barkowego.

Pani Zimmerman zrobiła zdziwioną minę.

- Chodzi o to, że umysł ludzki jest bardzo wytrzymały. Na razie Emily się wyłączyła... odcięła od tego, czego była świadkiem. Mogę jedynie przypuszczać, że było to coś naprawdę strasznego. Obecnie jej umysł jest w stanie uśpienia... hibernacji... jakby ukrył się w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Ale ona w końcu do nas wróci, prawda?

Ben pokiwał głową.

- W końcu tak.

- Co się tam stało, panie Lambert? Jak pan sądzi?

- Eric Vander uważa, że to robota Indian. Keats natomiast sugeruje, że to mógł być niedźwiedź.

Pani Zimmerman pokiwała głową ze znużeniem.

- Jutro rano zbierzemy grupę poszukiwawczą i dowiemy się wszystkiego - dodał.

Ben wiedział, że to nie będzie nic przyjemnego. O ile, rzecz jasna, uda im się odnaleźć ciała. Wolał nawet nie wyobrażać sobie, jak mogły wyglądać zmasakrowane zwłoki Sama. Jeżeli to faktycznie był niedźwiedź, ciała będą rozszarpane i upiornie okaleczone. Nie chciał zapamiętywać tego chłopca w taki sposób.

Tak mi przykro, Emily, tak bardzo mi przykro. Pogładził jej blade policzki, przypominając sobie radosną twarzyczkę, gdy dziewczynka siedziała przy ich ognisku, bawiąc się pożyczoną lalką.

- Niedługo znów do niej zajrzę - rzekł Ben do pani Zimmerman. - Zostanie z nią pani przez całą noc?

Pani Zimmerman skinęła głową.

- Aż do rana.

Ben się uśmiechnął.

- To dobrze.

Rozdział 38

Wtorek

Fulham, Londyn

Telefon zadzwonił zaledwie parę razy, zanim w słuchawce rozległ się głęboki głos:

- Doktor Thomas Griffith.

- Tom, tu Julian Cooke.

Chwila wahania minęła.

- Julian... - I nagle: - Julian! Co u ciebie, do diaska?

- Świetnie, Tom, naprawdę świetnie.

Julian pracował z nim przed kilkoma laty przy serii Niezwyczajni Zwyczajni. Doktor Griffith był psychologiem sądowym, pracującym jako wolny strzelec dla policji. Od czasu do czasu dla prokuratury, a ostatnimi czasy coraz częściej pisywał przedmowy do książek na temat najbrutalniejszych gangsterów z East Endu i chorych psychicznie przestępców. Ostatnio współpracował z nowelistą kryminologiem nad książką traktującą o Haroldzie Shipmanie.

Książka cieszyła się sporym wzięciem na rynku. Julian zauważył, że jej egzemplarze wystawiano w witrynach największych księgarń, a w jednym z programów telewizyjnych Thomas bezczelnie ją reklamował; ten towarzyski mężczyzna o masywnej budowie charakteryzował się wyjątkowo głębokim głosem, dostrojonym finezyjnie do charakterystycznego, walijskiego akcentu.

Thomas przeżywał naprawdę wyśmienity okres.

- Czym właściwie się teraz zajmujesz, Julianie? - w słuchawce rozległ się jego grzmiący baryton.

Julian cmoknął przez zęby. Wiedział, że ta rozmowa wymaga, by w jej trakcie przełknął gorzką pigułkę.

- Nie całkiem tym, czym bym chciał. Interes wciąż się kręci, ale sam wiesz, telewizja dzisiaj to nie ta sama kura znosząca złote jaja co kiedyś.

- Fakt.

- Widziałem twoją książkę. Widzę, że nieźle ci się powodzi.

- W rzeczy samej. Aż sam się zdziwiłem. Mam nadzieję, że będą kolejne.

Julian się uśmiechnął.

- Na pewno. Wydawcy lubią stawiać na faworytów. - Właściwie cieszył się z dobrej passy tamtego. Szczęście nie mogło uśmiechnąć się do miłszego faceta. - Tom, pomijając fakt, że znów chciałem usłyszeć twój słodki głos, jest jeszcze jeden powód, dla którego do ciebie zadzwoniłem.

Griffith zachichotał.

- Wal.

- Przez przypadek natknąłem się na coś w Stanach. Zanim przejdę do szczegółów, chciałbym, żeby to zostało między nami, nikt więcej nie może się o tym dowiedzieć, jasne?

- Oczywiście.

- Nie muszę wysłać ci specjalnej umowy na piśmie? - rzucił ostrożnie Julian. Nikomu tak nie ufał jak temu człowiekowi. Słowo Thomasa w przeszłości, kiedy razem pracowali, w zupełności wystarczało. Jednak poczułby się pewniej, gdyby usłyszał z ust tamtego konkretną przysięgę.

- Na grób mojej matki, Julianie.

- W porządku.

Julian wyjaśnił, co odnaleźli wspólnie z Rose, ale nie wdawał się w szczegóły. Tylko Grace знаła właściwe miejsce znaleziska i na razie chciał, aby tak pozostało. Doktor Griffith cierpliwie słuchał w milczeniu, gdy Julian mówił prawie przez trzy kwadranse.

- Ale o co właściwie chcesz poprosić, Julianie? Chodzi ci o diagnozę przez telefon?

- Tak, choć chciałbym ją potwierdzić w trakcie spotkania. Może gdybyś był zainteresowany, wspomniałbym o tobie w swoim dokumencie.

- No cóż... w sumie... ale...

- Wybacz, Tom, nie chciałem przypierać cię do muru w taki sposób. Wiem, że jesteś teraz zajęty promocją książki...

- Nie - wtrącił - nie... to mnie interesuje, Julianie. Zafascynowało mnie. Bardzo chciałbym wziąć w tym udział. Bądź co bądź, jeśli wykluczmy indiańskie duchy puszczy i ogromnego niedźwiedzia grizzly, mamy tu do czynienia z frapującą zagadką kryminalną.

- Też tak pomyślałem.

- A ten dziennik wydaje się zawierać wyjątkowo szczegółowy materiał, który może ułatwić nam pracę.

- Jest bardzo szczegółowy. To znaczy, autor najwyraźniej miał sporo wolnego czasu, czekając na śmierć w tych górach. A więc... podejrzewam, że obaj myślimy o tym samym facecie?

- O tym przywódcy religijnym.

- Uhm-hm, Prestonie.

Usłyszał, jak Griffith zmienia lekko pozycję, w tle rozległo się chlapanie wody, a Julian przypomniał sobie, że potężny Walińczyk nawet w kąpieli miał pod ręką telefon.

- Sądząc po tym, co usłyszałem, to fascynująca postać. Klasyczny patriarcha sekty, zgadza się?

- Tak. Posłuchaj, Tom, mogę przesłać ci e-mailem to, co do tej pory udało mi się przepisać z dziennika, i dołączyć w jpeg-u wizerunki pozostałych stronic, nad którymi muszę jeszcze popracować, o ile jesteś tym zainteresowany.

- Poproszę.

- Kiedy je już przejrzysz, może umówimy się na lunch i porozmawiamy o tym?

- Doskonale - odparł grzmiąco Griffith.

- Świetnie. Masz wciąż ten sam adres e-mailowy?

- Jak zawsze.

- Wpiszę w tytule e-maila „Preston”, żebyś go nie przeoczył wśród masy spamów.

- Jasne.

- Ile czasu potrzebujesz na zapoznanie się z tym materiałem? Chodzi o to, że będę w Anglii jeszcze trzy dni, a potem wracam do Stanów, gdzie została Rose. Musimy działać w miarę szybko.

- Dlaczego? Przecież to wszystko spoczywa tam od stu pięćdziesięciu lat.

- Dano nam tylko parę tygodni, dzięki łaskawości pewnej starszej strażniczki leśnej, która zgodziła się opóźnić zgłoszenie odkrycia tego stanowiska do wydziału dziedzictwa narodowego, który zaraz położy na nim łapę. Dlatego musimy postarać się nagrać jak najwięcej materiału z tego stanowiska w jego „dziewiczej” postaci.

- Rozumiem. Cóż, trafiłeś na dobry moment. Mogę zrobić sobie przerwę od rutynowych obowiązków. Daj mi dzień na zapoznanie z notatkami, a potem porozmawiamy.

- Dzięki.

- Ach, Julianie, jeszcze jedno...

- Tak?

- Czy wiesz, jak to się skończyło? Co się tam stało?

- Obawiam się, że ostatecznie nikt nie przeżył. Tak w każdym razie podejrzewam. Nigdzie nie ma żadnych wzmianek na ten temat.

- No, to dobre... Aż mnie ciarki przeszły - rzekł i znowu rozległ się plusk wody. -
Podoba mi się.

Julian uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że ci się spodoba.

- Dobra, prześlij mi, co masz, i za parę dni, jeszcze w tym tygodniu, wybierzemy się na lunch. Dopilnuję, aby mój wydawca dał mi wolne w porze lunchu w czwartek i w piątek.

- Zaraz wyślę ci e-maila. Miło było znów z tobą pogadać, Tom. Sporo wody upłynęło.

- I nawzajem.

Doktor Griffith przerwał połączenie i na linii pojawił się tylko cichy sygnał. Julian już miał odłożyć słuchawkę, kiedy nagle usłyszał dochodzący z niej delikatny trzask. Sygnał na chwilę został przerwany, a Julian odniósł wrażenie, że wychwycił w słuchawce jakiś szelest, jakby poruszenie odebrane przez czuły, włączony mikrofon. Potem rozległo się kolejne szczęknięcie i sygnał pojawił się ponownie.

Odłożył słuchawkę, ale wciąż na nią patrzył.

- To... to było dość dziwne - mruknął.

I to wcale nie jest pierwsza dziwna rzecz, zgadza się?

Po powrocie z biura Studia Soup Kitchen tego dnia, nieco wcześniej, odniósł nieprzeparte wrażenie, że ktoś był w jego mieszkaniu. Nie potrafił wskazać palcem ani jednego najdrobniejszego szczegółu, który by za tym przemawiał - książka przełożona z miejsca na miejsce, odwrotnie ułożony przewód myszy przy klawiaturze, nie miał co do tego niezbitą pewności i koniec końców złożył to na karb rodzącej się w nim bliżej nieokreślonej paranoi. Ale teraz to.

Znów spojrzął na telefon, patrzył na aparat dostatecznie długo, by upewnić się, że wszystko, co usłyszał, to jedynie cyfrowy gremlin z sieci lub, co równie możliwe, sprzężenie jego linii z jakąś inną.

Pokręcił głową z wyrzutem.

- Daj spokój, Julianie, weź się wreszcie w garść.

Rozdział 39

24 października 1856

Lekki śnieg, jaki spadł w nocy, nie zdołał w pełni ukryć śladów pozostawionych przez Indianina, bez trudu można było dostrzec ciemne plamy prawie czarnej krwi, która wtopiła się w śnieg i zamarznawszy, stała się jego częścią.

Keats prowadził grupę, kierując się między drzewa, a jego bystre oczy były przymrużone i łzawiły od refleksów słońca odbijających się w śniegu. Niebo było czyste, błękitne, z paroma tylko niewielkimi, niegroźnymi chmurkami, a promienie słońca przyjemnie rozgrzewały ich ramiona i plecy, kiedy wspinali się pod górę, przemieszczając się od jednego rozbryzgu zamarzniętej krwi do drugiego.

Grupa poszukiwawcza nie była wybrana w przemyślny i skomplikowany sposób - stary przewodnik po prostu wyszedł ze swego szałasu, kiedy tylko słońce wyłoniło się zza linii drzew, i gromkim jak syrena mgielna głosem zawołał, że jest gotowy ruszyć w drogę i potrzebuje paru ochotników.

W ciągu kilku minut wszyscy mężczyźni oraz chłopcy na tyle silni, by mogli unieść strzelbę, zebrali się pośrodku obozu wokół Keatsa i Złamanego Skrzydła. Preston skwapliwie do nich dołączył, po czym wspólnie z przewodnikiem podzielili zgromadzonych na dwie grupy, jedna miała pójść z nimi, a druga zostać, by pilnować obozu. Ta pierwsza grupa złożona z osiemnastu mężczyzn z przewodnikiem obu grup włącznie szybko opuściła polanę i wspięła się na niski stok, porośnięty młodymi drzewkami pozbawionymi gałęzi, które zostały użyte na opał, i weszła w gęstszy las. Szli śladem krwi zaledwie przez dziesięć minut, pozostawiając obóz w dali za sobą, wspięli się na niewielki szczyt i zeszli po drugiej stronie, zmierzając w kierunku wąskiej przecinki, jaka się tam znajdowała, gdy nagle Złamane Skrzydło uniósł do góry prawą rękę i zawołał coś w narzeczu Ute.

Keats wyjął fajkę z ust i mruknął:

- To się stało tutaj. Dokładnie przed nami.

Wyszli spomiędzy drzew. Nawet z warstewką śniegu zalegającą na ziemi i bez żadnych ciał w zasięgu wzroku nie ulegało wątpliwości, że zabójcze ostrze było tu niedawno w użyciu. Kłoda leżąca opodal była śliska od zamarzniętej krwi, a obok niej na ziemi walało

się coś, co wyglądało jak sterta wnętrzości.

Ben niepewnie postąpił krok w tę stronę, ukląkł i przyjrzał się temu uważniej. Przywodziło mu to poniekąd na myśl jedną z przeprowadzonych dla grupy wybrańców *sectio cadaveris* w sali wykładowej przy Threadneedle Street, sekcji przeprowadzanych na zdobytych w nielegalny sposób zwłokach wisielców. Organy były wyjmowane jeden po drugim, badane i opisywane, a następnie odkładane na rosnący, błyszczący szary stos.

- Obawiam się, że są ludzkie - rzekł Ben. - Jestem tego pewien. - Spojrzał na przewodnika. - A zatem wiemy, że przynajmniej jedno z nich nie żyje - dodał posepnie, a jego głos, pod wpływem emocji, zaczął się łamać. Przełknął ślinę i się wyprostował.

Sama będę mógł oplakiwać później... nie teraz.

Keats przykucnął obok niego i szturchnął patykiem stertę wnętrzości. Były zamrożone na kość.

- Wygląda na to, że te trzewia wypruto już wczoraj - rzekł półgłosem.

Ben pokiwał głową.

- Niedźwiedź nie wypruwa flaków przed pożarciem ofiary, a przynajmniej nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Złamane Skrzydło, przykucnąwszy opodal, zastygł w absolutnym bezruchu, przepatrując grunt. Powiódł wzrokiem po skotłowanym śniegu, który zdradzał przebieg zdarzeń, jakie się tu rozegrały, jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy opowiadał sam sobie tę historię.

Nagle podniósł się i przeszedł przez polanę, mijając Prestona i pozostałych mężczyzn.

- Co się stało? - spytał duszpasterz.

Pośrodku polany śnieg był rozkopany jeszcze bardziej, widać też było na nim szeroki łuk rozbryźniętej krwi.

- Tu się rozegrała walka - rzekł, wskazując na ślad posoki. - Poważna rana.

Keats dołączył do niego.

- Ktoś został ciężko ranny, bez dwóch zdań - powiedział. Rozbryźnięty ślad miał odcień ciemnego szkarłatu. - Przypuszczalnie nawet śmiertelnie ranny. Rozejrzał się dokoła. - Myślę, że to ten młody Indianin. Skinął w stronę, skąd przyszli. - To po śladach jego krwi dotarliśmy aż tutaj.

Złamane Skrzydło podszedł do drewnianej kłody, schylił się i zlustrował wzrokiem ziemię. Potem zwrócił się do Keatsa w narzeczu Ute.

- Mówi, że ten młody Pajute podszedł tu, do tej kłody, wziął na ręce dziewczynkę i pobiegł z nią w głąb lasu.

Keats odwrócił się do Prestona.

- Dzielny młodzieniec.

Tamten nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w złożony gobelin krwi i śladów zapisanych na ubitym śniegu.

Przewodnik przykucnął, popatrując przez chwilę na grunt w pobliżu kłody, a jego zęby z głośnym kłapnięciem zacisnęły się na cybuchu fajki; gdy wciągnął powietrze, dogasający w fajce tytoń znów się rozżarzył.

Coś przykuło uwagę Złamanego Skrzydła. Odgarnąwszy dłonią sypki śnieg, ujawnił dwie wryte w ziemi bruzdy, ciemne od krwi i zamrożone na lód. Szturchnął Keatsa i pokazał mu je. Keats odgarnął nieco śniegu.

- Hej, Lambert, spójrz na to - powiedział.

Ben postąpił kilka kroków, mijając mężczyzn, którzy stali bliżej, i podszedł, by zobaczyć, co tak zaciekawiło Keatsa. Ukląkł przy nim i spojrzał na wyłobienia.

- Co to takiego?

Keats wskazał cybuchem fajki.

- Ślady obcasów. Chyba tędy odciągnięto ciało. - Skinął ręką na ciemne ślady rozmazane wzdłuż zamrożonych bruzd. - Wygląda na to, że gdy je odciągano, wciąż krwawiło jak zarzynany prosiak.

Ben skrzywił się w duchu, porażony tym bezmyślnym doborem słów. Złamane Skrzydło odgarnął kolejny fragment ośnieżonego śladu, wstał i ruszył za biegnącymi równoległe bruzdami przez polanę w stronę skraju przecinki. Ben podążył za Indianinem i zrównał się z nim, popatrując przez znajdujące się na wprost nich listowie. Widział wyraźny ślad na śniegu, wygnieciony fragment krzewów, jeżyn i wrzośca, połamane liście paproci i mniejsze gałązki upstrzone tu i ówdzie kropelkami krwi.

Pozostali dołączyli do nich i wpatrywali się z przejęciem w widniejący przed nimi trop.

- Ktokolwiek to był, pozostawił ślady, za którymi mógłby podążyć nawet ślepiec.

Preston pogładził zarośnięty podbródek.

- Ktokolwiek?

- Wygląda na to, że nie szukamy niedźwiedzia. - Keats pokiwał głową. - Pozostają więc Indianie lub demony... cokolwiek wolicie. Nawet nie zadał sobie trudu, aby zamaskować ten ślad.

Złamane Skrzydło wskazał kolejne słabo widoczne równoległe bruzdy i powiedział coś w swoim języku.

- Drugi jest tam - rzekł Keats.

Ben też go zauważył. Ciągnął się przez krzaki i prowadził poza polanę, ale na tym nie było widać śladów krwi.

- Wrócił jakiś czas później i odciągnął kolejne ciało. Ale to, jak się domyślam, było już zamarznięte.

Ben pokiwał głową i zrobiło mu się ciężko na sercu, gdy zrozumiał, co to oznaczało.

- A więc zginęli tu oboje - wykrztusił.

Keats pozwolił sobie na rzadki gest współczucia i położył dłoń na jego ramieniu.

- Może nie. Ten drugi mężczyzna wciąż się nie odnalazł. A wygląda na to, że mamy tu tylko dwa ciała. - Ukląkł i przyjrzał się wygniecionej wśród gąszczy ścieżce. - Mogło upłynąć kilka godzin od chwili, kiedy zabrał pierwsze ciało i wrócił po drugie.

Bowen postąpił naprzód.

- Jesteś pewien, Keats, że to nie był niedźwiedź?

Keats wzruszył ramionami.

- Wyniesienie ofiary zdaje się wskazywać na niedźwiedzia. One tak właśnie robią... gromadzą zapasy, zabierając je i ukrywając w swojej cholernej spiżarni. Ale - tu spojrzał na niego - to pewne jak jasna cholera, że nie wypruwają flaków swoim ofiarom. Ich wnętrzności smakują niedźwiedziowi jak cała reszta.

- Powinniśmy iść dalej - rzekł półgłosem Ben.

- Tak. - Keats odwrócił się i warknął przez ramię: - Pójdziemy dalej tym tropem.

- Panowie! - zawołał z tyłu Weyland. - A jeśli gdzieś tam czyha na nas niedźwiedź?

Keats pokręcił głową i spojrzał na Bena z rozdrażnieniem.

- Jestem pewien, że skoro mamy do dyspozycji osiemnaście nabitych strzelb, poradziłibyśmy sobie z nim bez trudu.

- A jeżeli to jednak Indianie? - zapytał ktoś inny.

- Staniemy do walki i damy radę.

- A jeżeli to demony zesłane przez szatana? - zapytał Levi Taylor, jeden z najmłodszych ojców w Kościele Prestona. - Jeżeli są tam i tylko czekają, aby nas dopaść?

Wśród mormonów rozległy się szepty zaniepokojenia. Preston uciszył ich machnięciem ręki.

- Powinniśmy iść naprzód, nie lękając się czarcich sztuczek. Zaufajcie mi. Wykonujemy dzieło Boże. - Odwrócił się do Bena i Keatsa.

- A poza tym Dorothy i Samowi należy się godziwy pochówek, kiedy już ich znajdziemy.

- Racja - przyznał pan Zimmerman. - Nie możemy ich zostawić na pastwę dzikich zwierząt.

Keats się wyprostował.

- To jak? - rzucił ze stęknieniem. - Będziemy tu tak siedzieć jak stare baby czy raczej ich poszukamy?

Preston stanowczo pokiwał głową.

- Niech pan prowadzi, panie Keats.

Przewodnik rozejrzył się po twarzach przerażonych mężczyzn.

- Pamiętajcie, panowie, że w tych lasach wciąż kryją się ci cholerni Indianie.

Ben spojrzał na ośnieżone gałęzie, paprocie i zwalone drzewa w oddali, przed nimi, i jął zastanawiać się, czy gdyby natknęli się na Pajutów, zachowałby się godnie, jak na mężczyznę przystało.

- Trzymajcie strzelby w pogotowiu! - warknął głośno Keats. - I nie idźcie tuż za mną, w zwartej grupie. Gdybym był zmuszony odwrócić się i rzucić do ucieczki, nie chciałbym wpaść na kogoś z was.

Rozległ się pełen wahania nerwowy chichot jednego czy dwóch mężczyzn z ich grupy, po czym starszy skinał na Złamane Skrzydło, nakazując, aby poszedł przodem. W chwilę później przewodnik ruszył w ślad za Indianinem, opuszczając polanę i znikając w gąszczu, a jego bystre, małe oczka bez trudu wypatrzyły pozostawione na ziemi zamrożone ślady krwi.

Ben pomaszerował za nim, zachowując bezpieczny dystans kilku metrów.

Rozdział 40

24 października 1856

Gdy zeszli w głąb płytkiej niecki, Keats dziesięć metrów przed nim, Złamane Skrzydło dziesięć dalej, Szoszon przykląkł nagle na jedno kolano i machnięciem ręki nakazał pozostałym, aby zrobili to samo. Mężczyźni wykonali polecenie. Złamane Skrzydło z uwagą przepatrywał okolicę przez parę chwil, po czym bezgłośnie podkraść się do Keatsa i zrelacjonował mu to, co zobaczył.

Ben nagle się otrząsnął i rozpoznał to miejsce, charakterystyczną kotlinkę w górskim zboczu...

Szalas trapera.

Las wokół nich był całkiem nieruchomy i cichy, jeśli nie liczyć odległego zawodzenia kosa, którego można było dostrzec przez szczeliny pomiędzy ogołoconymi przez zimę gałęziami świerków, a który zataczał niecierpliwie kręgi ponad wierzchołkami drzew. Skulony, nisko wśród zamarzniętych paproci i poskręcanych, kolczastych wrzośców, Ben patrzył na mgiełkę swego oddechu, wypływającego z jego ust jak dym z lufy muszkietu. Zadygotał w sięgającym do kolan śniegu, po części z wsączającego się do ciała zimna, po części zaś z pełnej niepokoju ekscytacji.

Cokolwiek spotkało Sama i jego matkę, ich ciała zostały zawleczone w to ponure miejsce. Ben obawiał się tego, co jak wiedział, niebawem tu znajdą. Keats w końcu ruchem ręki przywołał resztę mężczyzn, aby ruszyli naprzód i dołączyli do niego.

Ben zaczął brnąć naprzód wraz z pozostałymi i już po chwili ukłękli obok niego, wyglądając spomiędzy sięgających do ramion krzewów w głąb płytkiej niecki na prymitywnie sklecony szalas, widoczny i bardziej przysypany śniegiem niż wtedy, kiedy widział go ostatnio.

- Wygląda na chatę trapera - wyszeptał Keats. - Ale nie wygląda, aby ktokolwiek ostatnio z niej korzystał...

- Jest opuszczona - rzekł Preston.

Keats odwrócił się do niego.

- Co takiego?

- Natknęliśmy się na nią parę dni temu. Nie była używana od lat.

- I nie byłeś pan łaskaw mnie o tym poinformować?

Preston zmarszczył brwi z oburzeniem.

- To czyjeś miejsce ostatniego spoczynku.

- Czemu nie raczyłeś pan mi o tym powiedzieć?

- Nie chciałem, aby ktoś tu przyszedł i rozebrał tę chatę, aby ją zużyć na opał.

Spoczywający tam mężczyzna zasługuje na to, by zostawić go w spokoju.

Keats pokręcił głową, odchrząknął i splunął.

- Nie przyszło ci do głowy, że teraz mogą w nim obozować Pajuci?

Ben spodziewał się, że Preston zareaguje gniewem i oburzeniem, aby zachować twarz przed swoimi ludźmi. Jakież było jego zdziwienie, gdy duszpasterz tylko pokornie pokiwał głową.

- Masz rację, Keats. Powiniennem być o tym wspomnieć.

Keats łypnął na niego spode łba.

- Tak, może powinieneś pan być. - Odwrócił się, by spojrzeć na chatę. - Preston, każ swoim ludziom, aby rozstawili się wzdłuż tego grzbietu i mieli broń w pogotowiu. Jeżeli Indianie są w środku, będziemy mieć dobre pole do strzału.

Preston pokiwał głową i po cichu wydał polecenie swoim ludziom.

Keats wstał i oddał swoją strzelbę Benowi.

- Co pan robi?

- Jeżeli Pajuci są w środku... Chcę z nimi najpierw porozmawiać.

Keats zszedł po zboczach, jak gdyby nigdy nic, w towarzystwie Złamanego Skrzydła, i zawołał w narzeczu Ute, robiąc tyle hałasu, by każdy, kto znajdował się w chacie, musiał go usłyszeć. Dotarłszy na dno kotliny, przeszedł przez polanę, pomiędzy starymi drewnianymi ramami stojącymi o kilka metrów od niewielkiego wejścia, i raz jeszcze zakrzyknął na cały głos.

Z wnętrza chaty dobiegły odgłosy gwałtownego poruszenia. Ben instynktownie zacisnął palec na spuście i wymierzył w niewielki, okrągły otwór wejściowy starej chaty. W chwilę potem postrzępiona płachta zwieszająca się u wejścia uchyliła się gwałtownie, gdy z szalasu wyleciało kilka wron, trzepocząc energicznie skrzydłami i w panice gubiąc pióra. Patrzył, jak odlatują przy wtórce głośnego trzepotu, a z ich dziobów zwieszają się szkarłatne strzępy.

Ścierwojady pól bitewnych.

Tak właśnie nazywał te ptaki jego ojciec. Wiele lat temu jako podoficer w armii

brytyjskiej miał okazję widzieć, co działo się następnego ranka na polu bitwy. Opowiadał Benowi, że miał wrażenie, jakby cała ziemia falowała od skrzących się granatowoczarnych piór kruków i wron żerujących na spęczniałych, obrzmiałych ciałach, a niebo aż pociemniało od ich trzepocących skrzydeł, gdy na dźwięk wystrzału wzbily się w powietrze jak chmara much, by powrócić w chwilę później z nowym zapałem i pożywiać się miękkimi tkankami z twarzy zabitych.

Ben czekał z niecierpliwością, podobnie jak pozostali, ze strzelbą przyłożoną do ramienia i wymierzoną w wejście do chaty.

- Jeżeli Indianie są w środku, muszą mieć naprawdę twardy sen - mruknął Weyland, mrużąc jedno oko, by złożyć się do strzału.

- Może Indianie także nie żyją - wyszeptał w odpowiedzi Hussein.

Weyland wziął głęboki oddech, a z jego ust wypłynął obłoczek pary.

- Nie jestem pewien, czy takie słowa mnie uspokajają, panie Hussein.

Złamane Skrzydło zakrzyknął coś, a jego ostry głos z wysiłku zaczął się łamać. Po raz pierwszy Ben usłyszał, że Indianin mówi inaczej niż szeptem.

Z wnętrza chaty nie dochodziły już żadne odgłosy. Machnąwszy lekko ręką do Złamanego Skrzydła, Keats postąpił naprzód. Opierając jedną dłoń na rękojeści noża myśliwskiego, odgarnął zwisającą w strzępach płachtę i ostrożnie wszedł do środka.

- Ten staruch ma jaja z żelaza - wyszeptał stojący przy nim McIntyre. - Wszedł tam tak z marszu.

Hussein pokiwał głową.

- Jest bardzo od... ee...

- Odważny? - podsunął Weyland.

- Tak. Jest naprawdę odważny. Bardzo.

- To pewne - wyszeptał McIntyre.

Upłynęła dobra minuta kompletnej ciszy, zanim płachta silnym pchnięciem została odgarnięta w bok i Keats wyszedł na zewnątrz, pochylając się nisko, by opuściwszy chatę, zaraz się wyprostować.

Ben widział, jak tamten oddycha głęboko, z rękoma wspartymi na biodrach, jakby próbował zebrać się w sobie. Pochylił się i splunął... a może zwymiotował, trudno to było stwierdzić.

Co on tam zobaczył?

Keats otarł usta, jego policzki wydeły się, a z ust wypłynął obłok pary. Zaraz potem odwrócił się do nich i bez słowa machnął ręką, by przywołać ich do siebie.

Podnieśli się równocześnie i zeszli w dół stoku, potykając się o przykryte śniegiem gałęzie i korzenie i strącając kaskady sypkiego, białego puchu, który osypywał się po zboczu w głąb kotliny.

Preston podszedł do Keatsa.

- Znalazł pan tam ciało trapera?

- Trapera? Ach, tak. Jego też tam widziałem.

Ben zlustrował wzrokiem ogorzale oblicze przewodnika i w jego zmrużonych oczach dostrzegł coś, czego wcześniej nie widział.

Też?

- Preston, lepiej wejdź pan tam ze mną. - Odwrócił się do pozostałych, zebranych przed wejściem. - A wy rozstawcie się wokół chaty i miejcie oczy szeroko otwarte. - Wziął kolejny głęboki oddech, zanim się pochylił, odgarniając płachtę i wchodząc do środka.

Preston popatrzył jeszcze przez chwilę na swoich ludzi i pokiwał głową.

- Róbcie, co wam kazał - rzucił oschle. Odwrócił się do Vandera.

- Ericu, chodź ze mną - rzekł i wszedł za Keatsem do środka.

Na zewnątrz mężczyźni rozstawili się w nierównych odstępach wokół szałas, popatrując na drewnianą ramę, zwieszając się z niej kości zwierząt i makabryczną dekorację, jaką tworzył rząd czaszek przybitych do jednej ze ścian chaty.

Weyland podszedł do miejsca przy wejściu, gdzie stali Ben i Złamane Skrzydło.

- Nie przypominam sobie, żebym był kiedyś w lesie, w którym byłoby tak cicho - rzekł nieomal szeptem. - Zwróciłeś na to uwagę, Ben? Nie słyhać żadnych ptaków.

Złamane Skrzydło zamyślił się na chwilę, przekładając sobie w myślach przeciąglą wypowiedź Weylanda, po czym skinął głową.

- Zły duch wystraszył ptaki.

- To nienaturalne. - Ben usłyszał swój własny głos i zaraz sklął się w myślach, że te słowa musiały zabrzmieć jak odpowiedź zabobonnej staruchy.

- Bez wątpienia - zgodził się nerwowo Weyland, gładząc koniuszki wąsów. - To bardzo nienaturalne.

Usłyszeli dochodzące z wnętrza chaty kroki, szuranie stóp, a zaraz potem Vander wyszedł na zewnątrz; twarz miał białą jak śnieg. Postąpił kilka chwiejnych kroków, oddalając się od chaty, po czym zwymiotował.

- Lambert - usłyszał dochodzące z chaty wołanie Keatsa.

Ben wymienił spojrzenia z Weylandem i Złamanym Skrzydłem, po czym ruszył w stronę wejścia. Zerknął raz jeszcze na Vandera, który wciąż wyrzygiwał z siebie wnętrzności

- na śniegu widać było parującą kałużę żółci, która szybko wtapiała się w sypki puch, znikając mu z oczu.

Niech to nie będzie Sam... proszę.

Nabrał do płuc chłodnego, rześkiego powietrza, podejrzewając, że jego następny oddech będzie skażony cuchnącą wonią... czegoś. Zaraz potem pochylił się i odgarnąwszy jedną ręką postrzępioną płachtę, wszedł do środka.

Rozdział 41

24 października 1856

Ben przez chwilę stał jak wrośnięty w ziemię. Było za ciemno, aby mógł rozeznąć się w otoczeniu. Odczekał chwilę, aby jego oczy zdołały się dostosować.

- Tutaj, Lambert - usłyszał cichy głos Keatsa.

Po chwili zaczął wychwytywać otaczające go ciemne kształty. Przesunął stopę do przodu, by z pewnym zdziwieniem napotkać strome stopnie prowadzące w dół.

Chata okazała się ziemianką. To było całkiem sensowne. W ten sposób szalas był skuteczniej chroniony przed żywiołami natury i lepiej izolowany. Ben, wchodząc do środka, spodziewał się, że będzie musiał mocno się pochylić. Dopiero gdy zszedł dwa stopnie w dół, mógł stanąć wyprostowany. Uniósł rękę, by stwierdzić, że nad głową ma jeszcze kilkadziesiąt centymetrów wolnej przestrzeni, zanim dotknął dłonią gałęzi i wyschniętego błota, którego grudki zaczęły osypywać mu się między palcami.

Cienkie promienie słońca wpadały przez wąskie szczeliny w dachu i ścianie frontowej, znacząc nierówne klepisko punkcikami światła.

Jego oczy już się przyzwyczyły i mógł dostrzec pewne rzeczy, które spodziewał się tu ujrzeć: bele wyschniętych i ściśniętych razem bobrowych skórek, sidła zwieszające się z haków na ścianie, kilka prostych narzędzi do obróbki drewna oraz worek długich, żelaznych gwoździ. Na prymitywnym stole roboczym spostrzegł noże do patroszenia i skórowania, pojemnik z solą...

Obok siebie usłyszał szuranie stóp.

- Tędy, Lambert - rzekł półgłosem Keats.

Spojrzał w stronę, skąd dochodził głos, i zobaczył, że szalas był przedzielony na dwie części cienką ścianką zrobioną z kilkunastu prostych, mocnych gałęzi sięgających prawie od ziemi do sufitu i połączonych pasmami kory. Keats stał w przejściu pośrodku tej ściany działowej i popatrywał na niego ze zniecierpliwieniem.

- Tutaj - powiedział - znaleźliśmy jednego z nich.

Ben poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

- Kogo?

Keats posłał mu słaby uśmiech.

- To nie Sam - zapewnił go półgłosem.

Ruszył w stronę przejścia, ale Keats nie zszedł mu z drogi. Wychylił się do przodu, tak że szorstkie włoski z jego brody nieomal dotknęły twarzy Bena.

- Miałeś przeszkolenie medyczne... więc pewnie będziesz bardziej odporny na ten widok niż Vander. To Hearst.

Ben poczuł lekką ulgę i zaraz ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- W jakim stanie jest ciało?

- Dość paskudnym - wyszeptał.

Ben skinął głową, wziął głęboki oddech i obiecał sobie w duchu, że w obliczu tamtych dwóch mężczyzn zachowa spokój i opanowanie.

Keats usunął się w bok, aby go przepuścić.

Druga połowa szalasu była mniejsza. To właśnie tu sypiał niegdyś traper. W jednej ze ścian była nieduża szczelina, celowo zrobiony otwór będący czymś w rodzaju okna - teraz całkiem zasypany przez nagromadzony na zewnątrz śnieg. Jednak przez szczelinę wpadało do środka dostatecznie dużo rozrzedzonego światła, aby Ben w jednej chwili się zorientował, po co go tu wezwano i czego oględzin miał dokonać.

- O Boże - wyszeptał.

Do jednej ze ścian przybite było długimi gwoździami nagie ciało Saula Hearsta. Wisiał głową w dół, w upiornej parodii ukrzyżowania, z rozłożonymi szeroko rękami, gwoździami wbitymi w przeguby i złączonymi, przebitymi razem stopami. Od miednicy po klatkę piersiową na jego ciele widniały ślady noża. Został wprawnie wypatroszony i wisiał teraz na ścianie jak tusza wołowa w chłodni u rzeźnika. Krwi było dziwnie mało i nigdzie nie było widać usuniętych organów.

Keats spojrzał na niego z ukosa.

Ben pokiwał głową.

- Tak, przypuszczam, że to musiały być jego wnętrzności.

Po raz pierwszy dostrzegł Prestona. Stał oparty plecami o przepierzenie i wpatrywał się w ciało, a w jego oczach dostrzec można było cichy strach, jego usta poruszały się bezgłośnie.

Modlił się.

Odmawiał raz po raz jakąś modlitwę.

Ben z wahaniem postąpił krok w stronę trupa. W tej samej chwili jego oczy wychwyciły coś, co było napisane na jednym z białych ud Hearsta. Kiedy podszedł bliżej,

zrozumiał, że słowa te nie były napisane na skórze, lecz na niej wyryte... litery utworzone z niewielkich, precyzyjnych ran wykonanych na ciele jakimś ostrzem.

- Może pan to odczytać? - zapytał Keats.

Ben pokiwał głową. Spojrzał na lewe udo trupa.

- *Za wszystkie jego brudne grzechy.*

- Czy ktoś wie, co to do cholery oznacza? - warknął Keats.

Ben pokiwał głową. Obaj odwrócili się, by spojrzeć na Prestona.

- Jesteś pan kaznodzieją - rzekł Keats. - A to brzmi jak głoszenie słowa Bożego. Mówi to panu coś?

Preston oderwał wzrok od trupa, aby spojrzeć na nich. Już miał coś powiedzieć, ale w końcu tylko pokręcił głową.

- Nie. Nie mam pojęcia, co mogłoby to oznaczać.

Ben wpatrywał się w twarz Prestona, wyglądającą jak woskowa maska skrywająca niezliczone sekrety, którymi jednak nie mógł lub nie chciał się jeszcze z nimi podzielić.

- Cóż, jedno jest pewne - mruknął Keats - to nie robota Pajutów. O ile rzecz jasna, nie nauczyli się ostatnio czytać i pisać.

Preston znów przeniósł wzrok na ciało Hearsta. Wyglądał jak skazaniec wchodzący na szafot i po raz pierwszy dostrzegający czekającą na niego pętlę szubieniczną.

Ten łajdak coś ukrywa.

Ben miał powtórzyć pytanie pod adresem Prestona, co mogły znaczyć te wycięte w ciele słowa, kiedy usłyszeli podniesione głosy dochodzące spoza chaty. Keats zareagował pierwszy, gdy potykając się, weszli po stromych stopniach i wyszli na zewnątrz.

McIntyre zmierzał w ich stronę.

- Znaleźliśmy pozostałych - zawołał zdyszany. - Tam, między drzewami - powiedział, wskazując poza ramami do rozwieszania skór. Poszli w tę stronę, McIntyre poprowadził ich, omijając gąszcz poskręcanych, splątanych krzewów, by w końcu zatrzymać się przed wykopanym niedawno grobem. Spod cienkiej warstewki spadłego w nocy śniegu widać było ciemny pagórek świeżo przekopanej ziemi. Miał barwę torfu. Nic nie wskazywało, aby ktoś próbował go ukryć, wręcz przeciwnie. W mogiłę wbito krzyż, dwa kawałki gałęzi połączone prymitywnie kawałkiem szpagatu. Cała grupa poszukiwaczy zebrała się wokół mogiły, a Preston, Keats i Ben podeszli jak najbliżej.

- Gdzie drugi grób? - zapytał Keats.

- Jest tylko jeden - odparł McIntyre. - Spoczywają w nim oboje. Ben spojrział na niego.

- Oboje?

McIntyre pokiwał głową.

- Przykro mi, Ben. - Wskazał na świeżą mogiłę, w której wykopano właśnie dwa niewielkie otwory. - Musieliśmy rozkopać grób, aby upewnić się, kto w nim spoczywa.

Ben postąpił krok w stronę mogiły i spostrzegł ciemny wzór chusty pani Dreyton oraz jej jasny koronkowy czepek. Poniżej linii czepka ujrzał pokaleczoną twarz, na jej policzkach widać było ślady zakrzepłej krwi, a oczy, nozdrza i usta wypełniły się ziemią.

W mogile z drugiej strony wykopano kolejny otwór i Ben dostrzegł w nim przedramię Sama, jego biała koszula była brudna i poplamiona, jedna z silnych dłoni młodzieńca wydawała się dziwnie pokręcona, jak artretyczna ręka starca i po śmierci przybrała ciemnobrązowy odcień. Ben uznał, że było to skutkiem nagromadzenia pod skórą nieprzepływającej już krwi.

- Błagam, zakryjcie ich już! Zakopcie! - rzucił Preston.

Ben pokiwał głową. On też ujrzał już dostatecznie dużo. McIntyre, posługując się kolbą strzelby jak szpadlem, zaczął zasypywać wykopane otwory ziemią.

- Panowie, w chacie odkryliśmy ciało Saula Hearsta - oznajmił Preston, bardziej do wiadomości swoich ludzi niż grupy Keatsa. - Nie ulega już wątpliwości, że w tych lasach działają jakieś złe moce. Nieszczęście z jednym z naszych wozów, atak niedźwiedzia, dzicy czający się w okolicy... to wszystko to dzieło sług szatana, których tu przysłano, aby poddać nas próbie i dręczyć nas.

Wśród zebranych rozległy się ciche szepty i szemranie. Ben zauważył, że kilku mężczyzn pochyliło głowy w modlitwie.

- Musicie mi zaufać. Bóg wyznaczył nam misję, mamy zadanie, które jest nam przeznaczone, a Złemu to się nie podoba. Odnalazł nas, a teraz próbuje na nas swoich podstępnych sztuczek i gier. Wrócimy do naszego obozu i będziemy modlić się za Dreytonów. Dzisiejszej nocy porozmawiam z Bogiem i będę czekał na Jego wskazówki.

Preston machnął ręką na swoich ludzi: pora wracać do obozu. Odstąpili od mogiły i przeszli przez polanę w kierunku niskiego stoku.

- A co z jednym z pańskich ludzi, Saulem? - zawołał Ben. - Nie chce go pan pochować?

Preston się odwrócił.

- Już tu nie wrócimy. To złe miejsce. Nie czujesz tego? Odchodzimy stąd, lepiej ty też chodź z nami.

- A co z Saulem?

- Saul jest teraz w lepszym miejscu, razem z Dorothy i Samem. - Preston odwrócił się

i poprowadził swoich ludzi w górę zbocza, przedzierając się przez sięgający do kolan śnieg.

- Ja... idę z nimi - rzekł McIntyre. - Też to czuję. To nie jest dobre miejsce, lepiej nie zostawać tu dłużej. - Ruszył za pozostałymi.

Złamane Skrzydło pokiwał głową i mruknął coś pod nosem, wodząc wzrokiem po grubym parawanie listowia otaczającym niewielką polanę, po czym skwapliwie pomaszerował za McIntyre'em.

- Co on powiedział? - zapytał Ben.

Keats pokręcił głową.

- Przeklęty zabobonny Indianin.

- Co powiedział?

- Mówił, że czuje ducha białych twarzy przyglądającego się nam od strony drzew.

Weyland uśmiechnął się nerwowo.

- Wybaczcie, panowie, ale chyba dołączę do tamtych.

Keats parsknął i splunął.

- W sumie czemu nie. I tak nic już nie możemy dla nich zrobić. - Ruszył za tamtymi, pozostawiając Bena samego.

Ben odwrócił się, by spojrzeć na mogiłę.

- Tak mi przykro, Samie. Z nadejściem wiosny zabrałbym cię ze sobą. Ciebie, twoją matkę i Emily. - Odwrócił się, by odejść, ale nagle znieruchomiał i obróciwszy się, powiedział: - Zajmę się Emily, zrobię to dla ciebie. I zabiorę ją ze sobą. Obiecuję.

Rozdział 42

Wtorek

Claremont, Kolorado

Shepherd, udając zainteresowanie, oglądał mecz piłki nożnej, uśmiechając się, klaszcząc i pokrzykując we właściwych, jego zdaniem, momentach. Młodzi chłopcy biegający po boisku tylko w nylonowych koszulkach i spodenkach wydawali mu się zbyt delikatni, wiotcy i nieodpowiednio ubrani jak na sportowców. Odnosił wrażenie, że wystarczyłby silniejszy podmuch wiatru, aby unieść ich w powietrze jak pęk czerwonych i niebieskich gałązek.

Wolał bardziej brutalne i kontaktowe gry, jak futbol amerykański, gdzie o wszystkim decydowała siła, serce do walki i zagrania taktyczne, a nie ta dziwna gra polegająca, jak się zdawało, na przypadkowych odbiciach okrągłej piłki.

Westchnął.

Znak czasów.

Wydawało się, że ostatnio wszyscy chłopcy i dziewczęta chcieli grać w tę importowaną grę. Zapewne dlatego, że był to raczej łatwy do przyswojenia sport, nie tak jak futbol.

Sędzia zadał w gwizdek, ogłaszając jakieś drobne przewinienie. Burmistrz nachylił się ku niemu.

- Spalony - mruknął.

Shepherd pokiwał głową, choć i tak nie wiedział, o co chodziło, patrzył, czekając cierpliwie, aż chłopcy podejmą przerwana grę, z ust graczy w ten chłodny dzień wypływały obłoczki pary. Dzień był wyjątkowo mroźny i ponury. Na krańcach boiska płożyła się lekka mgielka, ale zebrana tam w jesienne, niedzielne popołudnie spora grupka rodziców i parafian pozwoliła przypuszczać, że miejscową społeczność łączą silne więzy.

To dobry chrześcijanie, pomyślał z uśmiechem, mimo że lubią tę kretyńską grę.

Duncan, koordynator jego kampanii, wyjaśnił mu, że według statystyk mógł liczyć na silne poparcie właśnie tu, w tej części Kolorado, niemal tak silne jak w Utah. Tutejszym mieszkańcom spodobał się jego wizerunek oraz treść wystąpień prezentowanych w lokalnych

stacjach klubowych i w sieci FOX. Bardziej obiecujący wydawał się fakt, że niewielu z tych ludzi było mormonami. Jego przesłanie najwyraźniej zaczęło docierać do szerszych mas.

- To niezwykle ważne - rzekł Duncan. - Trzynaście milionów Amerykanów, członków Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, to pewne głosy, na jakie możemy liczyć w dniu wyborów. Ale to za mało. Mamy jeszcze ponad osiemnaście miesięcy kampanii, aby rozszerzyć twoje poparcie na członków łagodnie konserwatywnej chrześcijańskiej prawicy.

Shepherd zaczął klaskać wraz z gromadą rodziców, kiedy jeden z chłopców oddał minimalnie chybiony strzał na bramkę. Dla kandydata niezależnego to było spore wyzwanie. Jednak wyglądało na to, że pozostałe dwie partie, oskarżające się wzajemnie o korupcję, obrzucające się nawzajem błotem i siedzące po szyję w bagnie, odwalają całą brudną robotę za niego, podobnie jak ich czołowi kandydaci szukający jeden na drugiego kwitów i stosujący nieczyste zagrania.

Oczywiście gdyby sprawy dalej potoczyły się tym torem, zarówno demokraci, jak i republikanie uświadomią sobie, że tracą głosy na jego rzecz, i zewrą szeregi, a może nawet połączą siły, aby go pogrążyć.

Nie znajdą nic, co mogłoby mu zagrozić.

William Shepherd nie był zainteresowany biuściastymi, jasnowłosymi stażystkami ani młodymi, gibkimi chłopcami, jego dłonie nigdy nie błądziły tam, gdzie nie powinny. Jakoś nigdy nie miał ochoty, aby zapalić skręta czy wciągnąć kreskę koki, zdefraudować większą kwotę z funduszy państwowych, wykupić udziały dzięki pozyskanym wewnątrznie informacjom, przekupić sędziego czy wplątać się w podejrzone machlojki z nabyciem atrakcyjnych gruntów po zaniżonych cenach. Mogli szukać na niego haków, ale niezależnie, jak bardzo by się starali i tak nie znajdą w jego szafie żadnego trupa. Nie wygrzebią na niego żadnych brudów.

Jego staroświeckie przesłanie sprawiało, że wydawał się jak któraś z postaci z płócien Normana Rockwella, mówił, jakby pochodził nie z tej epoki, ale to akurat było jego atutem. Politycznie poprawne, liberalne media mogły się zżymać na jego niemodne wartości, a sączący jad prawicowi dziennikarze radiowi drwić z jego naiwnych aforyzmów, ale jego głos trącał właściwą nutę wśród coraz większej rzeszy przerażonych Amerykanów. Ich świat stawał się coraz bardziej niestabilny - osłabienie dolara, oburzające stopy procentowe, podupadający rynek pracy... a jego przesłanie, proste i uspokajające, obiecywało odkupienie, którego wszyscy pragnęli, co więcej, to przesłanie płynęło z ust człowieka, który wydawał się wiarygodny i nie cuchnął kłamstwem.

Tłum rodziców i miejscowych dygnitarzy na trybunach wokół niego wydał okrzyk radości, gdy piłka trafiła do jednej z bramek. Shepherd pokiwał głową, uśmiechając się, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Było coś, z czego nigdy nie zwierzył się Duncanowi. Shepherd się uśmiechnął. Gdyby tylko Duncan wiedział... gdyby wiedzieli o tym jego popiecznicy... uciekliby, gdzie pieprz rośnie. Jego cel znajdował się wyżej niż w Gabinecie Owalnym.

To jest gdzieś tam... w górach Sierra Nevada.

Widział to w snach, zakopane hen, w głębi lasu, być może ukryte na dnie kufra podróżnego. Pory roku zmieniały się nad tym jak sekundy na zegarze, dekady przemijały jedna za drugą, a to tam było i czekało, by ktoś je odnalazł.

Shepherd próbował, lecz bez powodzenia. Gdy był młodszy i miał sporo wolnego czasu, wielokrotnie wędrował po tych górach, podążając za głosem instynktu, wsłuchując się w głos wewnętrzny boskiego przewodnika. Ale te porośnięte lasami góry przypominały nieprzebyty labirynt. To nie było jak próba odnalezienia rozbitego samolotu, czegoś, co mogło pozostawić po sobie widoczny ślad dawnej katastrofy. Po obozie Prestona, jak przypuszczał, zostały już tylko delikatne nierówności na porośniętym trawą i krzewami leśnym podłożu.

Westchnął.

To jest gdzieś tam...

I nagle ni stąd, ni zowąd, jak Bilbo Baggins, który, choć nie był tego godzien, znalazł się w posiadaniu pewnego pierścienia, niejaki Julian Cooke najwyraźniej natknął się na miejsce, gdzie osadnicy znaleźli swój kres. Shepherd wiedział, że któregoś dnia do tego dojdzie, że na obóz natknie się jakiś leśny włóczęga, paru podpitych myśliwych albo nastolatków kotłujących się w namiotach...

Ten człowiek, Cooke, wydawał się prawdziwą zagadką, kimś, kogo usilnie potrzebował, a zarazem kimś, kto był mu potrzebny jak dziura w moście. Sądząc po szlaku e-mailowym, ten Cooke mógł go doprowadzić wprost do miejsca, gdzie zaginęła Grupa Prestona. A co za tym idzie, chciał usiąść z tym człowiekiem przy jednym stole i porozmawiać. Z drugiej strony ten Anglik rozmawiał teraz z innymi ludźmi. Jeżeli będzie to robił dalej, stanie się niewygodny. Kolejne spotkanie z kolegami z mediów, na które umówił się w Londynie, to nie były dobre wieści. Podejrzewał, że żaden z ludzi, z którymi się spotykał, nie próbował wejrzeć głębiej w tę historię, postrzegając ją jako intrygującą opowieść o przetrwaniu osadzoną w czasach starego zachodu. Jednak zawsze istniała możliwość, że ktoś okaże się dostatecznie bystry, obdarzony na tyle silną intuicją, że połączy

rozrzucone bezładnie kropki w jeden spójny obrazek.

Najbardziej zaniepokoiła go długa rozmowa Cooke'a z psychologiem sądowym na temat Prestona. To nie wróżyło nic dobrego.

Sprawa Prestona była jedyną rzeczą, która mogła zostać wydobyta na światło dzienne i zdecydowanie mu zaszkodzić.

- Polityka to nic więcej jak tylko niuanse... finezja. - To była kolejna z jakże prawdziwych maksym Duncana. - Coś tak trywialnego jak paskudny pryszcz na twarzy, najdrobniejsze zająknięcie podczas przemowy czy złe zachowanie dalekiego krewnego może doprowadzić do utraty miliona głosów.

Powiązanie go w jakikolwiek sposób z tym, co się tam stało, mimo iż było to ponad sto pięćdziesiąt lat temu, mogło okazać się katastrofalne w skutkach.

Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej uporać się z tym Julianem prędzej niż później. Ten Julian Cooke, człowiek, który w przeszłości osiągnął umiarkowany sukces, był obecnie gasnącą gwiazdą i prowadził coraz bardziej podupadający interes. Co więcej, był samotnym mężczyzną w średnim wieku i nie miał bliskiej rodziny. Shepherd domyślał się, że tamten musi być bardzo samotnym, zawiedzionym, zgorzkniałym i rozczarowanym człowiekiem. Taki człowiek mógł z łatwością wypić o jednego drinka za wiele, poddać się ogarniającemu go przygnębieniu i zacząć gruntowny rozrachunek z własnym sumieniem. Taki człowiek mógł wyrzeć przez okno swego mieszkania na gwarną i rojną ulicę poniżej i dojść do wniosku, że chciałby przekonać się, jakie to uczucie, gdy masz wrażenie, że lecisz, choćby tylko przez kilka sekund.

Nie. Potrzebuję go.

Jeszcze przez pewien czas. Z wymiany e-maili między nim a jego koleżanką Rose wynikało, że Julian za kilka dni miał wrócić do Stanów, a wówczas Shepherd w ten czy inny sposób przekona go, by doprowadził go w tamto miejsce. Pieniądze zwykle okazywały się pokusą nie do odparcia.

Tłum znów wydał okrzyk radości, gdy piłka przeleciała obok rąk bramkarza i trafiła do siatki. Shepherd uśmiechnął się i zaklaskał. Wiedział, że pragnie tego bardziej niż Białego Domu.

Do wyższych celów jestem stworzony.

Rozdział 43

Wtorek

Fort Casey, Kalifornia

Bibliotekarka, pulchna okularnica o wiecznie zaróżowionych policzkach i grubych, tłustych ramionach, spojrzała na nią oczami okrągłymi i wielkimi jak ciastka ze Starbucksa.

- Pani jest z BBC? To znaczy z Anglii?

Rose uśmiechnęła się lekko.

- Pracuję dla nich pośrednio.

Kobieta najwyraźniej nie przejęła się tą niejednoznaczną odpowiedzią. Na jej przyjaznej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Ojej, uwielbiam te wasze seriale i dzienniki. Mój mąż przepada za *Hotelem Zacisze* i *Latającym cyrkiem Monty Pythona*. - Podała rękę Rose.

- Jestem Daphne Ryan... miło mi panią poznać.

Rose uścisnęła jej dłoń.

- Rose Whitely.

- Tu w Casey nie mieszkamy wielu gości - ciągnęła, a w jej głosie pojawiło się podniecenie. - Zwłaszcza z Anglii. Mieszka pani w Londynie? Niedaleko tego Nottingham Hill?

Rose uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Niestety nie. Mieszkam w Clapham. To w Londynie, ale nie w okolicy Notting Hill.

Daphne pokręciła głową z zadziwieniem.

- Chciałabym tam mieszkać, te wszystkie małe księgarenki, Pałac Buckingham, Big Ben... to musi być cudowne.

Rose uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Jest miło - przyznała.

- Nie tak, jak w Fort Casey - ciągnęła bibliotekarka, a jej oblicze spochmurniało. - Tu niewiele się dzieje. Właściwie nic się nigdy nie dzieje.

Rose wzruszyła ramionami.

- Małe senne miasteczko. Tak, zauważyłam. Podoba mi się.

Daphne znów się rozpromieniła, równie dumna ze swego miasta, jak nim znudzona.

- Naprawdę?

- Tak, to cudowne miasteczko, słowo daję - odparła Rose, siląc się na szczere skinienie głową.

Fort Casey pokolenie temu mogło być malowniczym miasteczkiem na pograniczu, z placem, ratuszem miejskim, sklepikiem na rogu oferującym koktajle lodowe i domkami otoczonymi białymi płotami - w oddali za tym wszystkim widać było fioletowe szczyty gór Sierra Nevada. Teraz jednak wyglądało jak każda inna miejscina: pojedyncza arteria przelotowa otoczona była jednakowymi sklepikami należącymi do różnych sieci i jak okiem sięgnąć, wszędzie rozciągały się połacie asfaltowych parkingów. W przeciwieństwie do Blue Valley, pięćdziesiąt kilometrów na wschód w kierunku gór, nie kwitł tu przemysł turystyczny. Nie trzeba się było martwić o wygląd okolicy.

- Interesuje mnie historia tego miejsca.

- Och, dobrze pani trafiła - rzekła, a jej głos poniósł się w głąb biblioteki. - Mamy tu bardzo rozbudowany miejscowy dział historyczny. Historia naszego miasta, archiwa naszej gazety, raport, sekcję dotyczącą starego fortu wojskowego i garnizonu...

- Chciałabym rzucić okiem - powiedziała Rose. - Jak daleko w przeszłość sięgają archiwa waszej gazety?

- Och, całe wieki, jak sędzę. Do początków tej miejscowości. Wszystko mamy w archiwach, każdą stronę każdego wydania gazety przenieśliśmy na nośnik cyfrowy, na DVD.

Rose zapoznała się już pobieżnie z historią miasteczka. Założono je na terytorium Pajutów w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku, kiedy wojsko wykupywało ziemię na pniu, aby zbudować tu fort i nadzorować przemarsz osadników przechodzących przez przełęcz i kierujących się drogą na północny zachód, by pokonać ostatni odcinek trasy do Oregonu. Umiejscowiony bezpośrednio na najbardziej uczęszczanym szlaku z Przełęczy Emigrantów rozwinął się o wiele szybciej niż Blue Valley. W końcu lat pięćdziesiątych ten niewielki garnizon wojskowy tętnił życiem. Pełno w nim było przybywających tu handlarzy, kupców i rzemieślników szukających okazji do uzupełnienia zapasów, a z leśnych ostępów wyłaniała się niekończąca się procesja strudzonych, zdrożonych osadników.

Fort Casey stanowił nieunikniony kolejny przystanek dla wszystkich, którzy zmierzali do Oregonu. Rose była ciekawa, gdzie mógł zniknąć ten najwyraźniej prawdziwy Człowiek w Lachmanach. Przypuszczalnie kierował się w przeciwną stronę niż góry, z których przybył. Czyli na północny zachód. A więc musiał tędy przechodzić.

- Czy mogłabym przejrzeć te archiwa na płytach?

- Oczywiście, zapraszam panią do naszego stanowiska internetowego - rzekła Daphne, wskazując na jedyny w tej bibliotece komputer stojący w słabo oświetlonym kącie i obsługiwany obecnie przez jakiegoś ponurego nastolatka. - Zaraz wszystkim się zajmę - dodała, wychodząc zza kontuaru. Podeszła do chłopaka przy komputerze, szepnęła coś do niego i wskazała na Rose. Odwrócił się, by na nią spojrzeć, ciemne włosy przesłaniały mu niemal całą twarz, jeśli nie liczyć obwisłej dolnej wargi. Wzruszył ramionami, a co mi tam, wylogował się z czatu i poczłapał w stronę regału, gdzie w bibliotece znajdowały się manga i powieści graficzne.

Daphne ruchem ręki przywołała Rose do siebie.

- Komputer należy do pani - szepnęła radośnie, gdy Rose usiadła przy pececie. - To mój bratanek, Craig. - Wskazała na niego ruchem głowy. - Lepiej, żeby przesiadywał tu, gdzie mogę mieć go na oku, niż gdzie indziej. Biblioteka to dobre miejsce dla niego, te wszystkie książki, istna skarbnica wiedzy.

Rose pokiwała głową, choć zastanawiała się, czy chłopak rzeczywiście chce czerpać wiedzę z tej skarbnicy.

Daphne zostawiła Rose samą i wróciła po chwili, trzymając w dłoni lśniący złoty dysk. Włożyła płytę do komputera i na ekranie pojawiła się strona tytułowa.

Raport: archiwa 1842-1939

- Mamy cały materiał na dwóch dyskietkach - rzekła. - Na pierwszej znajduje się cała bieżąca historia, od czasów wojny do... no, do wczoraj. Chce pani też go przejrzeć?

- Wystarczy mi ta jedna płyta.

- Dobrze, wobec tego, jeśli kliknie pani tutaj - powiedziała, kierując mysz na okno wyszukiwania danych - może pani wpisać tu datę, numer wydania albo słowo-klucz, będące podstawą poszukiwań. A teraz - złączyła dłonie - czego konkretnie mam dla pani poszukać?

Rose poczuła się niezręcznie. Daphne Ryan była bardzo miła, ale ona potrzebowała odrobiny swobody, aby móc się zastanowić i przemyśleć to i owo. Sama nie wiedziała jeszcze, czego konkretnie szuka.

- Chciałabym tu trochę pobuszować. - Spojrzała na nią. - Jeżeli wolno.

- Jasne.

Daphne stała przy niej, czekając na możliwość ponownego służenia jej pomocą. Rose zastanowiła się, jak w uprzejmy sposób mogłaby poprosić Daphne, aby dała jej trochę swobody, gdy nagle jakiś klient podszedł do kontuaru z naręczem książek Toma Clancy'ego, które chciał wypożyczyć. Daphne położyła dłoń na ramieniu Rose.

- Proszę mnie zawołać, gdybym była potrzebna, dobrze?

Rose skinęła głową.

- Dziękuję, Daphne. - Odprowadziła ją wzrokiem do kontuaru. Potem znów wlepiała wzrok w ekran.

Świetnie.

Aaron Pohenz powiedział, że Człowiek w Łachmanach opuścił Blue Valley, zwane wtedy Pelorsky's Farm, wiosną 1857. Odszedł pieszo. Jeżeli kierował się na północny wschód, do Fort Casey, miał zaledwie tydzień marszu, nie więcej. A więc... może powinna zacząć sprawdzać archiwum, począwszy od lutego 1857 do lutego 1858.

Ale czego właściwie szukam?

Wpisała słowa - klucze „Człowiek w Łachmanach” w nadziei, że trafi fuksa. Napęd DVD zaczął pracować z głośnym szumem, ale próba okazała się bezowocna. Człowiek w Łachmanach był legendą Blue Valley, tu o nim nie słyszano.

Postanowiła podejść do sprawy z innej perspektywy. Gazeta taka jak ta, miasto takie jak to w tamtym okresie musiały koncentrować się na ludziach, którzy tu docierali, na osadnikach ze wschodu. Właśnie tak rozchodziły się w owych czasach wieści, nie za sprawą całodobowych serwisów informacyjnych, lecz opowieści przekazywanych przez przybywających w to miejsce wędrowców. Każdy nowy tabor, grupa ludzi, którzy zatrzymywali się tu, by uzupełnić zapasy, naprawić uszkodzone lub nadwerężone koło u wozu, podkuć konie albo woły, miała własną opowieść o ich dotychczasowej podróży, spotkaniach z Indianami, najświeższych nowinkach, doniesieniach o modzie panującej w Europie czy ostatnich posunięciach politycznych w Waszyngtonie.

Zastanawiała się, czy samotny wędrowiec, bez wątpienia wychudzony i wymizerowany po zimie, niedożywiony, zamknięty w sobie i prawie nierozmawiający z nikim, mógłby zwrócić na siebie uwagę w tym niewielkim miasteczku.

Po wpisaniu hasła „samotnik” otrzymała artykuł o miejscowym farmerze, który postanowił zacząć wypaszać owce na swoich pastwiskach, czym wzbudził gniew lokalnych hodowców, dla których te stworzenia były z gruntu nieamerykańskie, i ostatecznie przegrali nieszczęśnika z osady.

Może Człowiek w Łachmanach opowiadał o swoich przeżyciach w górach?

„Ocalały” okazało się zbiorem relacji o naocznych świadkach ataków Indian, bez wątpienia podkoloryzowanych, by na łamach gazet brzmiały nieco bardziej heroicznie. Rose natknęła się także na rozdzierającą serce historię trójki małych dzieci umierających z głodu i pragnienia, które odnaleziono przytulone do ciał rodziców. Tabor złożony w sumie z siedmiu wozów zagubił się na słonych równinach Utah, po tym jak ich konie padły, wypiswszy zatrutą,

skażoną wodę.

Dzieci, dwie starsze dziewczynki i ich młodszy braciszek, zostały zabrane przez przejeżdżających osadników, ale zmarły jedno po drugim w ciągu niespełna tygodnia.

Hasło „Przeklęty” zaowocowało odnalezieniem treści kazań pastora Duncana Hodgekissa, który, jak się wydawało, poświęcał więcej czasu, gromiąc grzech, zło i występki na łamach prasy niż podczas kazań z ambony w swoim kościele.

Rose przygryzła wargę w przyływie frustracji, obawiając się, że dwudziestominutowa podróż samochodem autostradą międzymiastową z Blue Valley i ostatnie pół godziny spędzone w tej bibliotece okażą się czasem straconym. Szanse na odnalezienie nieznanego z nazwiska mężczyzny sprzed stu pięćdziesięciu lat, pośród niezliczonych historii zamieszczanych na łamach lokalnej gazety, były w najlepszym wypadku nikłe, żeby nie powiedzieć znikome. Całkiem możliwe, że ten osłabiony mężczyzna o zaburzonym, zmęczonym umyśle... ten *przeklęty człowiek*, jak go nazywano, najprawdopodobniej wyzionął ducha, wędrując pieszo na północny wschód.

Zastanawiała się, czy był to któryś z mężczyzn, których nazwiska widziała w tamtym dzienniku - Keats, Preston, Weyland, Vander, Hussein... a może nawet sam autor dziennika Lambert? Nie sposób tego stwierdzić. Ocalały mógł być którymś z nich lub jednym z mormonów.

A może w ogóle nie ma nic wspólnego z Grupą Prestona?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Nie, to mało prawdopodobne. Człowiek w Łachmanach zszedł z tych samych gór wiosną następnego roku. Biorąc pod uwagę kluczowy fakt, że miejsce to znajdowało się z dala od utartego szlaku, wydawało się raczej wątpliwe, aby te dwa wydarzenia nie były ze sobą powiązane.

Westchnęła w przyływie frustracji - którym z nich był? Szukanie po omacku za pomocą słów - kluczy nic jej nie dało. Zwróciła uwagę, że raz w tygodniu w gazecie ukazywała się kolumna zatytułowana:

Co przywiał wiatr. Artykuły za każdym razem były dziełem tego samego autora, redaktora naczelnego gazety, niejakiego Theodore'a Feillebois. Była to plotkarska kolumna, w której odnotowywano co ciekawsze postacie, które dotarły do miasta w danym tygodniu. Rose postanowiła skupić się na tym właśnie cyklu artykułów. W jednym z majowych wydań natknęła się wreszcie na artykuł, którego treść sprawiła, że zjeżyły się jej drobne włoski na przedramionach.

...zjawił się w miasteczku o świcie, niczym duch albo upiór. Wasz nieustraszony reporter, jak zawsze spragniony ekscytujących opowieści, które może usłyszeć od takich jak on odważnych obywateli, którzy stawili czoło słońcowi i zabójczym Indianom, czyli ja, bez wahania zbliżył się do przybysza. Okazało się, że był to, moim zdaniem, najbardziej osobliwy spośród gości, jakich miałem okazję poznać w służbie naszej gazety. Wysoki, wychudzony, milczący mężczyzna z oczami, które zdawały się widzieć rzeczy, o jakich ten reporter nie napisze na tych łamach w obawie, by nie przerazić zacnych dam, zamieszkujących w naszym mieście.

Pielgrzym przemierzający ten nieujarzmiony kontynent samotnie jest albo bardzo dzielny, albo wyjątkowo nieroztropny i nie wątpię, że człek ów doświadczył rzeczy, od których pobladłoby oblicze nawet najdzielniejszych żołnierzy skoszarowanych w tym forcie i strzegących dniem i nocą naszych dusz.

Kiedy zapytałem o historię jego wędrówki, odpowiedzią była cisza i przejmujące spojrzenie, które mogę określić jedynie mianem nawiedzonego. Zachęcałem tego mężczyznę, którego odtąd zwał będę Pielgrzymem, gdyż nie wiem, jak się nazywa, a on sam nie zechciał zdradzić mi swego imienia - aby opowiedział mi cokolwiek na temat swej śmiałej wędrówki. On wszelako odmówił.

Miał na sobie źle dopasowane odzienie, które wyglądało na pożyczone od innego, lepiej odżywnego mężczyzny, i nie miał ze sobą nic, żadnego dobytku. Wasz skryba przyznać musi w tym miejscu, że nigdy nie zapomni twarzy owego Pielgrzyma.

Kiedy zapytałem tego tajemniczego wędrowca, dokąd zmierza, wyobraź sobie, drogi czytelniku, że w odpowiedzi usłyszałem tylko jedno enigmatyczne słowo. Słowo, które zawierało w sobie całą potęgę skupionego na jednym tylko celu znękanego ducha i siłę woli tych dzielnych, niezłomnych ludzi.

Powiedział tylko: Oregon.

A potem odszedł, powłócząc nogami, chudy jak strach na wróble, w postrzępionym ubraniu, nie mając ze sobą nic, nawet najmniejszego tobołka. Niebawem zgubiłem go z oczu pośród ruchliwego tłumu handlarzy i osadników, od których każdego dnia roiło się na głównej ulicy naszego miasteczka...

- O Boże - wyszeptała Rose. - Chyba go znalazłam.

Rozdział 44

24 października 1856

Preston odwrócił się do Vandera.

- Widziałeś to?

Skinął głową.

- Tak, Williamie.

- Za wszystkie jego brudne grzechy - rzekł, zniżając głos. Na zewnątrz słychać było stłumione głosy ludzi z grupy Prestona. Zebrali się wokół mężczyzn, którzy powrócili, by usłyszeć różne wersje tego, co odnaleziono. Pojawiły się wśród nich niepokojące plotki, mężczyźni wzbudzali lęk u swoich żon, ich kobiety zaś straszły dzieci.

Z niejaką ulgą przyjął fakt, że tylko on i Eric z całej grupy weszli do chaty i widzieli ciało nieszczęsnego Saula. W pewnym sensie to lepiej, że reszta członków grupy nie widziała, co z nim uczyniono. Jako że zwłoki ujrzał tylko on i Eric, mógł kontrolować to, co powinni wiedzieć jego wyznawcy.

Preston mocno zacisnął usta i przełknął ślinę.

- Ktoś wie.

Erik pokiwał głową. Twarz miał szarą jak popiół.

- Boże! A jeśli to *nie jest* ktoś z naszej grupy?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Co, jeśli to kara? - Głos Erica zadrżał. - Co, jeśli to On chce w ten sposób okazać nam swój gniew?

- Wypełniamy tylko Jego wolę. To wszystko było nie tak, Jego Kościół i w ogóle. Nasz założyciel przyjął coś, co było święte, i zrobił z tego pośmiewisko. Joseph Smith nigdy nie powinien był zostać doprowadzony do tego znaleziska. Całkiem słusznie, że został zabity. To właśnie było przejawem gniewu Bożego.

- Ale my to zabraliśmy. To nie zostało nam dane!

- Nie... gdyby Bóg nie życzył sobie, abyśmy to wzięli, nie miałbym tego wszystkiego ze sobą. - Preston odwrócił się i spojrzał na metalową skrzynkę. - Są tu ze mną, ponieważ On tak chce. Joseph Smith nie żyje, pobity na śmierć przez tłum, a jego Kościół się rozpada,

rozdzielony pomiędzy chciwych rywali. Tak też by nie było, gdyby Bóg tego nie chciał.

Vander nie wyglądał na przekonanego.

- Jesteśmy światłością, Ericu. Jesteśmy Dobrem. Bądź tego pewien. Gdyby Bóg tego nie chciał, wiedzielibyśmy o tym już dawno.

- Wobec tego kto zabił Saula?

- Ktoś, kto wie.

- Ale kto, prócz Dorothy?

Preston usiadł ciężko, krzywiąc się, gdy zaboląły go gojące się rany. Powrócił myślami do przedostatniej nocy.

*

Dorothy przychodzi do mnie, rozjuszona i zdruzgotana.

- Przyjąłeś mnie, kiedy nie miałam nikogo! - krzyczy. - Porzuciłam dla ciebie swoją wiarę.

- Dorothy, posłuchaj...

- Oddałam ci swoje serce, duszę... i ciało. Dałam ci dzieci.

- Proszę, posłuchaj...

- Zaufaliśmy ci. Uwierzaliśmy, że otrzymujesz przesłanie od Boga. Ale ty nas okłamałeś, Williamie. To wszystko kłamstwa! Odwiodłeś nas od Boga. Doprowadziłeś nas na to pustkowię... mnie, moje dzieci i wszystkich innych.

- Czemu mówisz mi to wszystko, Dorothy?

- Bo przez sen wszystko wyjawileś. Powiedziałeś prawdę. Noc po nocy, za sprawą gorączki mówiłeś całą prawdę. Gorączka ją z ciebie wydobyla, jak ropę z zaognionych ran. Ty, Saul i Eric, wy trzech... jesteście złem wcielonym!

- Cokolwiek mówiłem, zapewne bredziłem w malignie.

Dorothy kręci głową.

- Nie... już wcześniej coś podejrzewałam. Nawet upominałam się w myślach, że pozwalam, by szatan zasiał w mojej głowie ziarno zwątpienia. Ale ty... robisz dokładnie to samo, o co oskarżyłeś naszego założyciela - wzięłeś słowa Boga i przetworzyłeś je na swoją modłę!

- Dorothy!

- To twoje słowa... nie Boga!

*

- Williamie?

Preston uniósł wzrok i spojrzał na Erica.

- Tak?

- Gdyby wiedziała, bo usłyszała, jak mówisz przez sen... to komu jeszcze mogła to powiedzieć?

Preston pokręcił głową.

- Nie wiem. Może istotniejsze pytanie powinno brzmieć: kto jeszcze mógł mnie usłyszeć.

- Tylko Saul, Dorothy i ja siedzieliśmy przy tobie. - Vander odwrócił się, by na niego spojrzeć. - No i ten lekarz, Lambert.

Preston wziął głęboki oddech i skinął powoli głową.

- Tak, tak... był przy mnie kilka razy.

Oczy Vandera się rozszerzyły.

- Myślisz, że on mógł to zrobić?

- Nie wiem.

- Ale on nie mógł wiedzieć o twoim dziele. O naszej Księdze.

Preston zamyślił się przez chwilę. Wiedział, że w ostatnich miesiącach Lambert bardzo zbliżył się do dzieci Dorothy, zaprzyjaźniając się zwłaszcza z Samuelem. Chłopak mógł mu wyjaśnić, na czym polegała ich misja. Mógł wyjaśnić mu, czym była *Księga Nowych Nauk*. Może nawet pokazał mu egzemplarz. Całkiem możliwe, że Dorothy poszła do Lamberta i opowiedziała mu o swoich podejrzeniach. Nie wyobrażał sobie jednak, aby ten człowiek mógł zabić z tak wielkim gniewem i zaciętością. Nie wyobrażał sobie, aby Lambert mógł wyciąć nożem te słowa na udzie Hearsta.

Preston uniósł wzrok, by spojrzeć na Vandera.

- Posłałem Saula, by spróbował przemówić Dorothy do rozumu, by nie mąciła innym w głowach swoimi wątpliwościami.

Vander pokiwał głową.

- Może Saul posunął się za daleko?

- Może - przyznał Preston z powagą.

- Dorothy mogła zaprzepaścić wszystko swoimi podejrzeniami i wątpliwościami. Musiał uznać, że nie ma wyboru.

Preston westchnął.

- To możliwe.

- Całkiem możliwe, Williamie, że Lambert natknął się na ich ciała i zastał Saula... szukającego się, by skończyć z Emily.

- I zabił go w przyływie wściekłości?

Preston pokiwał głową. To był całkiem prawdopodobny scenariusz, ale możliwy tylko, jeśli w grę wchodziła jakaś siła wyższa.

- Ericu - rzekł po chwili. - Całkiem możliwe, że szatan próbuje dostać się przez tego człowieka do nas. Aby powstrzymać nasze dzieło.

Vander zadrżał ze strachu, gniewu, a może z obu tych przyczyn równocześnie.

- Jesteśmy otoczeni przez siły zła, zgadza się? Jest w Lambercie i innych z jego grupy, a także w tych dzikusach, co czają się w puszczy...

- Tak właśnie czuję. W tej skrzyni znajduje się to, czego szatan lęka się najbardziej: prawdziwe przesłanie Boże, czekające, by zostało po raz pierwszy wysłuchane. A my uczynimy wszystko, aby w ten czy inny sposób Jego Słowo dotarło do ludzi.

- Powinniśmy zabić Lamberta.

- Nie. Dość już rozlewu krwi. Nie posłałbym Saula, gdybym wiedział, że zamierza ich zabić.

- Może taka była wola Boża?

Preston westchnął.

- Nie wiem. Muszę odpocząć i się pomodlić. Tej nocy Bóg do mnie przemówi. Porozmawiamy o tym jutro rano.

Vander pokiwał głową.

- Dobrze. - Odwrócił się, by odejść. - Zjesz rosółu, Williamie? Pani Lester właśnie go ugotowała.

- Nie jestem głodny. Muszę tylko trochę odpocząć.

- Jak sobie życzysz.

Vander odgarnął płachtę i wyszedł na zewnątrz, wpuszczając do środka migocącą poświatę pobliskiego ogniska. Płachta opadła, odcinając dostęp światła i pozostawiając Prestona w półmroku rozproszonym jedynie słabym blaskiem pojedynczej lampy naftowej. Wrócił na swoje łóżko i sięgnął po porcelanową buteleczkę stojącą tuż obok. Odkorkował ją i odetchnął z ulgą. Poczul pierwsze dreszcze, zimny pot wystąpił mu na czoło i zakreśliło mu się w głowie, ale wiedział, że te niefortunne symptomy ustąpią pod wpływem ostatniej dawki lekarstwa od Lamberta.

Wypił gorzki płyn.

Jutro muszę poprosić Lamberta o więcej.

*

- Bez zmian?

- Niestety - odparła pani Zimmerman. - Nic się nie zmieniło. Nic nie mówi i ani

drgnie!

Ben ukląkł przy niej. Dziewczynka leżała zwinięta w kłębek z kolanami podciągniętymi do piersi, dłońmi zaciśniętymi pomiędzy nimi a podbródkiem i mętym, odległym spojrzeniem niebieskich oczu. W zagłębieniach skóry wciąż widać było ciemne plamy i smugi zaschniętej krwi, której nie pozwoliła zmyć. Zastanawiał się, ile spośród tych śladów krwi należało do jej matki i Sama.

Jej długie, jasne włosy wciąż były zmierzwione i poskręcane, choć sukienka, którą miała wczoraj na sobie, a która przesiąkła do cna krwią Indianina, została zastąpiona inną. Pani Zimmerman uczyniła, co w jej mocy, aby zmyć ciemne ślady z jej twarzyczki, która, choć już całkiem czysta, była teraz upiornie blada.

- Mąż wspomniał, że odnaleźliście pozostałych.

- Tak. - Spojrzał na nią, zastanawiając się, ile powiedział jej mąż. Przypuszczalnie wiedziała o grobach, ale nie o panu Hearście. Preston na pewno nie chciał, aby inni dowiedzieli się o strasznej scenie. To mogłoby wywołać wśród nich groźną panikę i całkiem bezpodstawnie wzbudzić brak zaufania i wrogości do Złamanego Skrzydła.

- Wszyscy byli martwi - odparł.

- Sądzi pan, że to robota dzikusów?

Nie, oczywiście, że nie, Indianie nie grzebią swoich zmarłych, nie umieją też czytać ani pisać.

- Nie sądzę - odparł. Ale w tej sytuacji pozostawały już tylko dwie niepokojące możliwości. Albo to było coś, czego nie potrafił zaakceptować... coś spoza granic nauki, co należało do czasów mroku i niewiedzy - coś nienaturalnego. Nie z tego świata.

Albo?

Albo był to ktoś z obozu.

Przypomniał sobie słowa wyryte na bladym ciele Hearsta.

- Pani Zimmerman?

Spojrzała na niego i przestała głaskać Emily po włosach.

- Zostanie z nią pani na noc?

- Tak, zostanę z Emily tak długo, jak długo będzie mnie potrzebować - odparła. - Mój mąż i ja nie mamy własnych dzieci, którymi moglibyśmy się opiekować... już nie.

Prawie całkiem udało jej się zatuszować nutę rozgoryczenia w głosie, ale jednak była tam ona obecna i wystarczająco wyraźna, że dało się ją wychwycić. Nie potrafił wyobrazić sobie bólu spowodowanego utratą jedyne dziecko - to było coś, co wykraczało poza bezmiar wszelkich innych rodzajów straty. Zastanawiał się, czy pod tą maską starannie

kontrolowanego, powściągliwego smutku i bólu w głębi duszy obwiniała kogoś o utratę córki.

Swego męża? Prestona? A może nawet Boga?

- Wobec tego spokojnej nocy. Wrócę rano, aby zobaczyć, co z małą.

Pani Zimmerman pokiwała głową.

Ben wyciągnął rękę, pogłaskał Emily po twarzy. Jej oczy patrzyły tępo przed siebie.

- Dobranoc, Emily - rzekł półgłosem.

Rozdział 45

24 października 1856

Stąd z góry mogę widzieć ich wszystkich.

W obozie panuje cisza. Niebo rozwarło się i uwolniło kaskadę ciężkich śnieżnych płatków, które wirują i spadają bezgłośnie na ziemię. Hen w dole wielkie wspólne ogniska pozostawiono, by wygasły, a wszyscy powrócili do ciasnych wnętrz swoich szałasów, oprócz tych czterech, którzy siedzą po dwóch, tuląc się do siebie, by zyskać choć odrobinę ciepła.

Nocna warta.

Ale ja was widzę. Widzę ciebie, Williamie Prestonie, w twoim szałasie, o czym teraz myślisz? Czy już zacząłeś się bać? Powinieneś.

Na długo nim śniegi stopnieją, wszyscy dowiedzą się o tobie, Williamie Prestonie. Dowiedzą się, że jesteś oszustem, fałszywym prorokiem, szarlatanem, kłamcą, złodziejem... i mordercą. A kiedy to odkryją, zwrócą się przeciw tobie... że ich tu przywiodłeś. Zwrócą się przeciw tobie i spalą na stosie jak czarownika.

Nagle pojawia się myśl. Genialny sposób na dalsze udęczenie Prestona, zanim to nastąpi.

- Zejdę tam, jeszcze tej nocy. - Głos brzmi jak najcichszy szept. - Zejdę tam, aby coś ci odebrać.

Rozdział 46

24 października 1856

Czemu do mnie nie przemawiasz?

Preston poruszył się niespokojnie na łóżku, nie spał, ale nie był też rozbudzony.

Dlaczego? Wszystko, co uczyniłem, zrobiłem dla Ciebie.

Ale ani Bóg, ani jego wysłannik anioł, nie przemówili.

Był rozpalony i niespokojny pod kocami, którymi się przykrył, zrzucał je z siebie w nerwowym półśnie.

Anioł przybywał tylko do tych, którym ufał... do tych, którym ufał Bóg. Doskonale znał tę prawdę. Słowa Boga były tak cenne, tak delikatne, tak łatwe do spaczenia i wykorzystania przez ludzi o niezaspokojonych ambicjach i tych, co samowolnie ogłaszali, iż przemawiają w Jego imieniu. Biblia napisana przez całą rzeszę mężczyzn kierowanych egoistycznymi pobudkami - chciwych i aroganckich. *Księga Mormona*, napisana przez Josepha Smitha, człowieka, który pragnął uwolnić się od anonimowości do tego stopnia, że z niczego stworzył własną religię. Tora, Koran... niekończący się korowód oszustów.

Ja nie jestem taki jak tamci. Nie robię tego dla siebie. Robię to dla Ciebie, Boże. Tak więc ostatecznie to Twoje słowa ludzie usłyszą, a nie moje. Ani żadnego innego człowieka.

Cisza zdawała się ogłuszająca.

Coś było nie tak. To dlatego Nefi nie przychodził do niego, by przetłumaczyć język aniołów na zrozumiały dla jego nędznego ludzkiego umysłu. Coś trzymało Nefiego na dystans. Może Vander miał rację. Może to szatan nie pozwalał mu się zbliżyć. Zło otaczało ich zewsząd. Wśród drzew czaili się dzicy o brudnych twarzach, no i w drugim obozie byli przecież tamci: między innymi rodzina katolicka, rodzina muzułmańska, Murzynka o skórze szerniałej od grzechu. Keats, prymitywny, wulgarny profan, oraz jego indiański towarzysz. A także Lambert, ateista, który jak wąż usiłował wśliznąć się do rodziny Dorothy, szepcząc swe plugawe kłamstwa do uszu zarówno Samuela, jak i Emily.

Potok jego ulotnych i nieuporządkowanych myśli został nagle pohamowany przez nieodpartą świadomość, że nie jest w świątyni sam. Wydawało mu się, że usłyszał ciche poruszenie obok swego łóżka i jakiś szelest wewnątrz metalowej skrzyni. Rozległo się

skrzypienie nienaoliwionych zawiasów uchylanego wieka, a potem delikatne pobrzękiwanie kruchych kości.

- Czy to ty? - wymamrotał zdyszczym głosem w ciemność. - Przybyłeś?

Williamie.

Głos jak cichy szept zmaterializował się w nieprzeniknionej, mrocznej pustce tuż nad jego łóżkiem.

- Nefi?

Tak.

Preston poczuł ogarniające go euforyczne uczucie ulgi. Zakręciło mu się w głowie.

- Och, dzięki Bogu... dzięki Bogu! Już się bałem, że zrobiłem coś nie tak. - Preston usiadł. - Czy jeszcze tej nocy rozpoczniemy dzieło Boże? Przekład Jego przesłania z płyt?

Wyczuł jakieś poruszenie w mroku, poczuł muśnięcie czegoś, co przepłynęło tuż obok.

Nie.

Odpowiedź na chwilę zbiła go z tropu.

- Wobec tego co uczynimy najpierw? - zapytał.

Opuszczam cię, Williamie.

Te słowa zawisły w powietrzu przed nim i przez chwilę nie zrozumiał ich sensu. Nie spodziewał się ich kiedykolwiek usłyszeć.

- Opuszczasz? Ale... dlaczego?

Odpowiedzi nie było.

- Dlaczego?

Preston poczuł kolejne poruszenie i ruch powietrza w ciemnościach na wprost siebie, a zaraz potem dało się słyszeć delikatne pobrzękiwanie kości w ich płóciennym worku.

Rozczarowałeś mnie.

- Jak? W jaki sposób... co uczyniłem nie tak? - zawołał Preston.

Anioł pozostawił pytanie bez odpowiedzi.

- Co zrobiłem źle? - rzucił rozpaczliwie Preston, podnosząc głos, a na jego wilgotnych od potu policzkach pojawiły się łzy. Poczuł nagle napływający z zewnątrz podmuch lodowatego powietrza, który zmroził jego ciało do szpiku kości. - Nie! - wykrzyknął. - Nie, błagam, nie!

Drgnął gwałtownie na łóżku, całkiem już rozbudzony i rozdygotany, jak kundel pozostawiony w zimną noc na dworze. Ale on leżał na łóżku, a nie siedział, jak mu się zdawało, i znów był przykryty kocami, zziębnięty i mokry od potu.

Czy to tylko mi się przyśniło?

Preston uznał, że tak. Ale wrażenie było tak realne, tak przeraźliwie i boleśnie rzeczywiste. Serce wciąż tłukło mu się w piersi i po chwili odetchnął z ulgą. To był tylko sen - ściślej mówiąc, koszmar. Anioł wcale do niego nie przemówił. Gdy to sobie uświadomił, poczuł ogarniające go rozczarowanie, ale zawód zrekompensowała mu świadomość, że nie został osądzony i uznany za niegodnego.

Sięgnął po zapalki, zapalił jedną i przytknął do knota lampy naftowej stojącej na niewielkiej, drewnianej skrzyni obok łóżka. Płomyk zamigotał i rozjarzył się silniej, rozprasząc ciemność i spychając ją w mrok nocy, na zewnątrz.

Obrócił się na łóżku, drewniana rama zaskrzypiała pod ciężarem jego ciała i po chwili ujrzał, że wieko metalowej skrzyni jest uniesione.

- O, nie... n-nie... nie - wyszeptał.

Rozdział 47

Środa

Fulham, Londyn

Julian siedział w pomieszczeniu, które w myślach zaczął nazywać „poczekalnią”. Biura doktora Thomasa Griffitha w Fulham zawierały kilka pomieszczeń: jego gabinet i inny większy pokój, gdzie za biurkiem stojącym naprzeciwko szafy i stolika do kawy siedziała jego sekretarka. Kiedy ostatni raz Julian z nim pracował, doktor miał mały gabinet w swoim domu. Najwyraźniej książka dobrze się sprzedawała.

Telefon odebrano co najmniej cztery razy, odkąd się tu zjawił, i Julian jednym uchem przysłuchiwał się jednostronnym rozmowom, przeglądając najświeższy egzemplarz „Timesa”. O ile zdołał się zorientować, chodziło o ustalenie terminu wystąpienia na promocji książki.

Przeniósł wzrok na egzemplarz „USA Today”.

Na okładce widniało zdjęcie twarzy, którą skądś kojarzył. Sięgnął ponad stolikiem i wzięł do ręki pismo. I wtedy sobie przypomniał: to był ten amerykański biznesmen, który niedawno zgłosił swój udział w kampanii prezydenckiej. W czasie lotu do Anglii obejrzał dziennik, w którym o tym mówiono - o outsiderze, którego wielu określało mianem głupca lub szaleńca, ponieważ za wcześniej rozpoczął swoją kampanię i z pewnością załame się ona, zanim dojdzie do ostatniej rozgrywki, za niespełna osiemnaście miesięcy od dziś.

Przypomniał sobie, że ten człowiek był jakimś pastorem czy kimś takim... Shepherd, tak się nazywał, świecki duchowny, kaznodzieja mający pieniędzy jak lodu, którymi mógł szastać, oraz wielu sponsorów, głównie z kręgu jego wyznawców, zgromadzonych wokół jego kampanii. Z przejrzanego artykułu w czasopiśmie dowiedział się, że Shepherd miał lokalną rozgłośnię radiową w Utah i kierował niewielką siecią *duchowych* uczelni, które dziennikarzowi kojarzyły się luźno z islamskimi madrasami w północnym Pakistanie.

Drzwi do gabinetu się otworzyły i pojawiła się w nich szeroka postać doktora Griffitha. Odkąd Julian widział go ostatnio, najwyraźniej przybrał jeszcze na wadze. Na pierwszy rzut oka musiał ważyć jakieś sto pięć, a może sto dziesięć kilo.

Nieźle mu się powodzi.

- Julian! - zagrzymiał jowialnie, wyciągając do niego rękę. - Jak to świetnie, że znów cię widzę!

Julian uściśnął jego dłoń.

- Ja też się cieszę, Tom. Żyjesz jak pączek w maśle, co?

- Jeszcze jak. Powinienem zabrać się raczej do pisania i odpuścić sobie telewizję. Staję się jednym z tych próżniaków medialnych, którymi gardzę.

- Lub jak w moim wypadku - byłych próżniaków medialnych - powiedział z uśmiechem Julian.

- Nigdy nie byłeś próżniakiem, Jules. Wejdz - rzekł, zapraszając go do gabinetu. Odwrócił się do sekretarki. - Judy, nie łącz do mnie żadnych telefonów przez kolejne pół godziny, dobra?

- Oczywiście, doktorze Griffith.

Julian wszedł do gabinetu i usiadł w miękkim fotelu skórzanym naprzeciw drogiego biurka Toma, z eleganckiego, ciemnego drewna.

- Masz tu naprawdę milutkie *sanctum sanctorum* - zauważył, wodząc wzrokiem po gustownym wystroju i lśniącej gładzi polerowanego drewna.

- Zawsze lubiłem luksusowe meble biurowe - przyznał Tom, wysuwając fotel i opadając nań ciężko. - To jedna z moich słabości. To biurko wykonano z indonezyjskiego drewna tekowego, pozyskanego z kadłubów łodzi rybackich. Nie sposób zdobyć takiego drewna, jeżeli nie posmaruje się komu trzeba, w odpowiednim urzędzie.

- A ja mam dla odmiany biurko prosto z IKE-i.

Tom zaśmiał się szczerze.

- O ile dobrze pamiętam, nigdy nie byłeś tak próżny jak ja, no i nie jesteś materialistą.

- Chyba tak - przyznał z lekkim uśmiechem Jules. - Choć miło by to było jakoś sprawdzić.

Tom pokiwał głową.

- Tylko patrzeć, jak i dla ciebie zaświeci słońce, Jules. Jesteś bystry i nieustępliwy. Ta dziewczyna, z którą pracowałeś... Rose, tak?

- Owszem, Rose.

- Wciąż ze sobą współpracujecie?

Pokiwał głową.

- Jest doskonała, jeżeli chodzi o kręcenie filmów. Ze świecą szukać takich fachowców. Naprawdę spodobał mi się ten wasz cykl. No i... - rzekł Tom, sięgając ponad biurkiem do tacy z bieżącą korespondencją, na której leżał plik papierów - ...naprawdę uważam, że w tej głuszy

wam dwojgu to się może przydać - dodał, wymachując trzymaną w dłoni kartką zapisaną gęsto odręcznym pismem.

Tom podniósł leżący na biurku inhalator i zaaplikował sobie dawkę. Julian przypomniał sobie, że jego rozmówca cierpi na astmę.

- To fascynująca sprawa, Julianie, cholernie fascynująca.

- Miałeś czas, aby przejrzeć to, co ci przesłałem?

- Większość. Nie mogłem się od tego oderwać, choć powinienem zająć się napisaniem przedmowy do książki kolegi.

- I jak? Co z tego wywnioskowałeś?

Tom rozsiadł się w fotelu, wyduł wargi i zastanawiał się przez chwilę.

- Drogi przyjacielu, mamy tu ewidentnie do czynienia z bardzo szczegółowym opisem działalności seryjnego zabójcy.

- Wniosek jest oczywisty, czyż nie?

- Ale nasuwa się istotniejsze pytanie. Kto spośród nich nim jest?

- Może jest więcej niż jeden?

Tom wzruszył ramionami.

- To możliwe.

- A więc?

- Sądząc po relacji spisanej przez tego Lamberta, wydaje się, że sprawcą jest ten mormoński kaznodzieja, Preston.

- Taa.

- Wydaje się zdradzać wszelkie cechy kompleksu narcystyczno-mesjańskiego.

- Słucham?

- Innymi słowy, to najgorsza z możliwych odmian socjopaty. Nie jestem pewien, jak kończy się ta historia...

- Wciąż jeszcze pracuję nad przepisaniem dziennika...

- Ale - ciągnął Tom - jestem gotów się założyć o grubą forszę, że kończy się ona śmiercią większości tych ludzi. A w szczególności wszystkich lub prawie wszystkich jego popleczników.

Julian spojrzał na niego.

- Skąd ta pewność?

- To klasyczny guru, jak Jim Jones. Pamiętasz tragedię w Jonestown?

- Oczywiście.

- Obdarzony wielką charyzmą i siłą woli socjopata wiedziony mrzonkami o

mesjanistycznym powołaniu. Wzorzec, jaki dostrzegam w dzienniku tego Lamberta, jest podobny: patriarcha religijny prowadzi gromadkę swoich wyznawców na odległe pustkowia, gdzie władze nie mają do nich dostępu i nie mogą mieszać się w ich sprawy, w wypadku Jonesa takim miejscem była Gujana.

Prestonowi chodziło raczej o odnalezienie nienależącego do nikogo terytorium, gdzie nie sięgała władza rządu Stanów Zjednoczonych, i tam właśnie zamierzał założyć swoje małe królestwo. Z dala od rządów prawa i z dala od istniejącego już Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich.

Julian pokiwał głową.

- Coś w tym rodzaju.

Tom wstał z fotela i podszedł do drzwi gabinetu.

- Napijesz się kawy?

Julian potaknął, a Tom uchylił drzwi i poprosił Judy, aby zaparzyła dla nich kawę. Potem delikatnie zamknął drzwi.

- I jak miałyby się to zakończyć? - spytał Julian.

Tom się uśmiechnął.

- Tak jak w wypadku Jima Jonesa, Davida Koresha czy kilku świeckich osobników, dajmy na to Idi Amina, Roberta Mugabe, a nawet... Adolfa Hitlera, czyli realizacją manifestu przeznaczenia w celu zaspokojenia tkwiącego w nim małego, nienasyconego diablaka.

Brwi Juliana wygięły się w łuk.

- Diablaka?

Tom rozłożył ręce w przeproszającym geście.

- Wybacz. Ostatnio zbyt często posługuję się tą parafrazą. Jestem konsultantem przy serialu telewizyjnym, kryminału z elementami paranormalnymi, i scenarzyści używają tej przenośni w dialogach, a ja ją niekiedy zapożyczam, tak jak teraz. To jak złapanie od kogoś przeziębienia. - Zaśmiał się. - Nie, miałem na myśli powodujące nim obsesje i urojenia. Jak powiedziałem, to klasyczny przypadek utajonego socjopaty.

Julian słyszał ten zwrot niejednokrotnie, ale nigdy aż do teraz nie podano mu równie trafnej jego definicji.

Tom poszedł za ciosem.

- Ostatnio ten zwrot jest, delikatnie mówiąc, nadużywany. Zbyt chętnie sięgają po niego scenarzyści, powieściopisarze i psychologowie występujący w telewizji. W pewnym sensie jest to zbliżone do autyzmu, a polega na kompletnej niemożności zrozumienia odczuć innych, całkowitym braku zdolności do empatii. Jednakże autyzm jest przykładem

niewłaściwego funkcjonowania mózgu, jakichś pojawiających się w nim usterek. To *zaburzenie*. Natomiast skłonności socjopatyczne są, z braku trafniejszego słowa, *wzmocnieniem*. To coś celowego, zamierzonego.

- Zamierzonego?

- Z darwinistycznego punktu widzenia, ma się rozumieć.

Julian uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Przez chwilę bałem się, że zaczniesz karmić mnie kreacjonizmem.

Tom się zaśmiał.

- Nie, widziałem dostatecznie dużo przejawów działania umysłu, aby nie obawiać się, że ni stąd, ni zowąd odnajdę Boga. Nie, przez *zamierzenie* chciałem powiedzieć, że skłonności socjopatyczne rozwinęły się wśród mniejszości ludzi. Każdy seryjny zabójca jest socjopatą. Niezdolność do odbierania uczuć innych, cierpienie ofiar, daje zabójcy przewagę... nazwijmy to elementem współzawodnictwa. To rzecz jasna z darwinistycznego punktu widzenia i, zgodnie z jego teoriami, jest całkiem sensowne, jeżeli się nad tym zastanowić.

Drzwi skrzypnęły i uchyliły się, to Judy przyniosła tacę z kawą i biszkoptami. Tom podziękował i odczekał, aż wyjdzie, zanim podjął swój wywód.

- Zdziwiłbyś się, ilu jest na świecie socjopatów.

Ciemne brwi Juliana wygięły się w łuk. Odruchowo poprawił okulary.

- No ilu?

- To dość popularna skłonność. Można założyć, że przeciętnie jedna osoba na dziesięć przejawia w pewnym stopniu socjopatyczne tendencje.

- Jak to? Wobec tego ulice powinny już dawno spływać krwią.

- Wiem doskonale, że tam gdzie nie ma mechanizmów, które kontrolowałyby te tendencje, gdzie brak prawa i porządku, tak właśnie jest. - Tom westchnął. - Wystarczy, że przypomnisz sobie Bagdad, Darfur, Sarajewo albo Kenię.

Zanurzył biszkopt w kawie, zakręcił nim i powoli uniósł cały ociekający kawą do ust.

- Błędem jest jednak uważać, że tego typu gwałtowne zachowanie pojawia się wyłącznie u osób niezdolnych do empatii czy współczucia. Widziałeś kiedyś w telewizji program *The Apprentice*?

Julian pokiwał głową.

- Tak, muszę przyznać, że ostatnio dałem się wciągnąć.

- Nikt tam nie dostaje nożem ani nie zostaje uduszony struną od fortepianu, ale muszę przyznać, że wysoki procent uczestników tego programu przejawia w większym lub mniejszym stopniu tendencje socjopatyczne i jest gotowa dojsć po trupach do zwycięstwa.

- No tak - rzekł Julian nie całkiem serio. - Zawsze wiedziałem, że musi być jakiś powód, dlaczego nie cierpię krawaciarzy.

- To całkiem zrozumiałe. Świat korporacji to ekosystem, który nagradza najbardziej bezwzględnych, socjopatycznych graczy i karze największych altruistów. Nawet zwroty używane powszechnie w świecie biznesu - pies pożera psa, to dżungla, tylko odważny zwycięża czy wrogie przejęcie - są bardzo agresywne same w sobie. Język biznesu to język drapieżców. Zgodnie z tą logiką możemy przypominać, że ci, którzy dotarli na sam szczyt, są najbardziej bezwzględni i bezlitosni ze wszystkich.

- Czyli że to najwięksi socjopaci? - wtrącił Julian.

Tom pokiwał głową.

- Uhm.

Julian upił łyk kawy.

- To stawia w całkiem innym świetle politykę Thatcher, no nie?

- Oczywiście. Nie ma już czegoś takiego jak społeczeństwo. Coś takiego może powiedzieć tylko prawdziwy socjopata, czyż nie?

- Tak. - Julian zachichotał.

- Jeżeli wierzysz, że wciągnęła nasz kraj w wojnę, aby przemówić do serc patriotów i zyskać dla siebie kolejną kadencję, co w efekcie spowodowało śmierć ponad dwustu pięćdziesięciu brytyjskich żołnierzy, to powiem ci, że z mojego punktu widzenia zasługuje ona na miejsce wśród seryjnych morderców, jak Harold Shipman, i co więcej, ma na koncie o wiele więcej ofiar od niego.

- A Tony Blair?

Tom się uśmiechnął.

- Proszę bardzo, to jeszcze jeden bezwzględny łotr, łajdak bez serca. Prawdę mówiąc, świat polityki to dla nich bardzo żyzny grunt, mogą się na nim rozwijać nawet bardziej niż w świecie wielkiego biznesu. Nawet świat sportu, mody i celebrytów jest pełen socjopatów, ciągną tam jak muchy do miodu. Przerzucając błyszczące strony pism w rodzaju „Halo”, „Heat” czy „OK” nietrudno wyobrazić sobie, że większość tych idealnych, opalonych gwiazdek dotarła do swojej przystani sławy, deptając po drodze tych, którzy mieli mniej szczęścia. - Tom wychylił się do przodu. - Ujmijmy to tak, Julianie. Zastanawiam się, ilu z nich byłoby gotowych pociąć nożem kogoś, kto stanąłby im na drodze. Hmm? Rywalowi, rywalce... albo wyjątkowo uszczypliwemu krytykowi?

Julian pokiwał głową.

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi.

- Jak daleko by się posunęli, aby utrzymać sławę i sukces? Oto pytanie do ciebie. Jak sądzisz, ilu celebrytów byłoby gotowych zabić, aby zachować swój status albo wspiąć się jeszcze wyżej, mając świadomość, że to im ujdzie na sucho? Hmm? - Głos Toma zaczął się robić świszczący. Sięgnął po swój inhalator i zaaplikował sobie dawkę, podczas gdy Julian zastanawiał się przez chwilę nad tym, co właśnie usłyszał. Na samą myśl, że na stronach obecnych we wszystkich supermarketach plotkarskich czasopism może w rzeczywistości znajdować się galeria potencjalnych seryjnych morderców, poczuł się nieswojo. - Zapytam cię o coś - ciągnął Tom. - Kogo byłbyś gotów zabić, aby nie stracić tej konkretnej historii?

- To znaczy?

- Czy zabiłbyś mnie, gdybym zagroził, że sięgnę po stojący tam telefon i zadzwonię do naczelnego „Mirror”, i sprzątnie ci temat sprzed nosa? - Tom wyciągnął wielkie łapsko w stronę aparatu i podniósł słuchawkę.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale wkurzyłbym się, gdybyś to zrobił - odparł niepewnie Julian.

Śmiech Toma wypełnił niewielki gabinet, gdy mężczyzna odłożył słuchawkę na widełki.

- Widzisz. Nie jesteś jednym z nich. Brak ci instynktu zabójcy, przyjacielu. - Uśmiechnął się. - To czyni cię jednym z tych dobrych facetów.

- Bardzo zabawne - mruknął z rozdrażnieniem Julian.

Tom wskazał na plik notatek.

- Ten Preston wygląda mi na gościa, który zabiłby bez wahania, aby osiągnąć swój cel - czyli zgodnie z tym, o czym pisał Lambert - spróbować przetworzyć wiarę mormonów wedle własnego uznania, rezerwując dla siebie rolę proroka. - Poglądził się po podbródku z zamyśleniem. - Taki facet zabijałby raz po raz, bez końca. Może robiłby to własnoręcznie, choć ja raczej przypuszczam, że rękoma swoich wyznawców, zlecając im wykonanie brudnej roboty.

- Nie przepadasz za ludźmi o głębokim zacięciu religijnym, co?

Zaśmiał się.

- Żartujesz sobie? Fundament religijnego fanatyzmu tworzyli i tworzą świry o charakterze narcystycznym. Rasputin, Tomas de Torquemada, większość pierwszych papieży, papieże epoki krucjat... Innocenty III, który ogłosił krucjatę przeciw innym chrześcijanom, że już nie wspomnę o imamach, którzy przygotowują dzieciaki, aby wysadzały się w powietrze. Gdybyś chciał kiedyś poznać definicję piekła, Julianie, jest nim wewnętrzny krajobraz takich właśnie umysłów. Mesjanistyczno-narcystyczny socjopata - powiedział Tom z uśmiechem. -

Nawiasem mówiąc, to moja definicja. Możesz jej użyć w swoim dokumencie, jeśli chcesz, tylko nie zapomnij podać przy tym mego nazwiska.

Julian pokiwał głową.

- Nie omieszkam.

- Tak - dodał Tom, ponownie zerkając do swoich notatek. - To bardzo paskudni, lubujący się w manipulowaniu innymi i wyjątkowo niebezpieczni ludzie.

Rozdział 48

Środa

Wimbledon, Londyn

Sean Holmwood rzucił Watsonowi patyk na wimbledońskim zieleńcu i patrzył, jak labrador goni za nim, wyrzucając spod łap kałuże błocka. Pies przebiegł po trawie w kierunku zagajnika, zajmującego pół hektara powierzchni lasu mieszanego; większość drzew była już całkiem pozbawiona liści i cierpliwie czekała na zimę, tylko na gałęziach kilku z nich widniały nieliczne złote liście.

Zwykle wieczorem to jego żona wyprowadzała psa, ale akurat tego dnia sam się z tym zaoferował, kiedy tylko wrócił do domu, wziął smycz i zabrał Watsona na spacer.

Sean potrzebował czasu do namysłu. Projekt Juliana Cooke'a wydawał się intrygujący. Watson wrócił, trzymając w zębach patyk, a na jego pysku błyszczały kropelki śliny. Upuścił patyk u stóp Seana i usiadł, czekając cierpliwie.

- Dobry piesek - mruknął pod nosem Sean, podniósł patyk i cisnął go, najdalej jak tylko mógł w stronę zagajnika.

Wszystko wskazywało na to, że to znalezisko pomoże Julianowi znów stanąć na nogi. Z tego, co słyszał Sean na temat tej historii oraz po obejrzeniu olśniewającego zwiastuna na laptopie, nie ulegało wątpliwości, że to doskonały materiał na co najmniej godzinny film dokumentalny. Julian miał rację, że myślał o tej sprawie w szerszej perspektywie. Można było z tego zrobić fabularyzowany dokument, a w dodatku jeszcze sprzedać prawa do nakręcenia filmu fabularnego i napisania książki. Temat mormonów także zapowiadał się ciekawie. Jako że media coraz bardziej interesowały się postacią niezależnego kandydata na prezydenta, prawdziwej dzikiej karty wywodzącej się właśnie ze środowiska mormonów, Williama Shepherda, mogło to mieć szczególne znaczenie dla całej tej historii.

Spojrzał w ciemniejące niebo. Dochodziła szósta i pochmurny październikowy dzień z wolna miał się ku końcowi.

Tego wieczoru spacer Watsona będzie krótszy niż zwykle. Sean chciał wrócić i zebrać trochę notatek. Jeżeli zamierzał dać zielone światło temu projektowi, musiał go sprzedać we własnej firmie. Dziś przygotowuje wszystkie niezbędne dane, razem z kalkulacją cen i

kosztorysem, które jutro trafią na odpowiednie biurka.

Watson wrócił z patykiem i tym razem Sean rzucił kijek w chaszczę na skraju zagajnika.

Niech się trochę pomęczy, gdy będzie go tam szukał, pomyślał.

Labrador pomknął w stronę drzew, rozrzucając za sobą zeschnięte liście i drobne gałązki.

Sean wyjął z kieszeni małą plastikową torebkę i włożył do niej dłoń, jak w rękawiczkę. Skrzywił się lekko, bo wciąż nie do końca przywykł do zbierania tego, co pozostawiał po sobie labrador - to nie było przyjemne zajęcie.

Watson powinien być już gotów, aby się wypróżnić. Usłyszał, jak pies ugania się między drzewami i wśród zarośli, łamiąc łapami suche gałązki leżące na ziemi i warcząc z frustracją, gdy usilnie poszukiwał właściwego patyka.

Sean poczuł przypływ ekscytacji na myśl o realizacji projektu. Julian przekonał go bez trudu, ale kiedy zobaczył reklamówkę Rose - ten nastrojowy materiał przedstawiający gęstą, mroczną puszcę, mgłę płożącą się wśród drzew, dziwne, jakby nawiedzone polany w głębi puszczy, omszałe pagórki, powolny najazd kamery na butwiejący fragment drewnianego koła od wozu...

- Cudowny materiał - mruknął pod nosem.

W oddali przed nim, wśród zarośli, Watson wciąż skomlał jak idiota. Zaśmiał się cicho, ten pies był naprawdę głupi.

Daj spokój, głupku, jak nie ten patyk, to inny.

Tak, jutro rano Sean puści maszynę w ruch i zgłosi się w ciągu dwudziestu czterech godzin do Juliana z konkretną, sfinalizowaną ofertą na piśmie. Musi się pospieszyć. Choć łączyły ich dobre relacje, był pewien, że Julian nie odmówiłby, gdyby ktoś złożył mu lepszą propozycję. Bądź co bądź, forsa to...

Watson zapiszczał.

- Watson! Wracaj tu, piesku! - zawołał Sean.

Na starannie utrzymanym zieleńcu panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego szumu wiatru wśród konarów i zeschniętych liści oraz odległego hałasu ruchu ulicznego, dobiegającego z trzech stron wokół błoni.

- Watson? - zawołał śpiewnym tonem, który zwykle sprawiał, że pies w te pędy przybiegał do niego - Wracaj tu!

Nic.

Sean zaczął się niepokoić. Watson nigdy nie ignorował go w ten sposób. Niemal truchtem ruszył w stronę skraju zagajnika i zajrzał między drzewa w poszukiwaniu

charakterystycznego błysku płowej sierści wśród listowia.

Nigdzie nie było go widać.

- Watson?

Postąpił kilka szybkich kroków naprzód, schodząc z równo przyciętej trawy na grube poszycie z zeschniętych, sztywnych liści, gałązek, starych żołądzi i łupin kasztanów. Sean nie miał zbytniej ochoty wchodzić głębiej między drzewa. Odwrócił się, by powieść wzrokiem po błoniach. W okolicy było zaledwie kilka osób - jakaś para sunęła po jednej z asfaltowanych ścieżek na łyżworolkach, opodal widać było kilka osób z psami, a na ławeczce kilkaset metrów dalej siedziała, gawędząc, grupka nastolatków.

Nie był tu całkiem sam, ale w gęstniejącym mroku tak się właśnie czuł.

- Watson! Wracaj tu, do cholery!

Szlag.

Całkiem niedawno, właśnie tu, na wimbledońskich błoniach kobieta została zasztyletowana przez dręczonego przez własne demony chorego psychicznie bezdomnego człowieka, któremu wydawało się, że każda blondynka jest służebnicą szatana, pragnącą wykraść mu duszę i zabrać ją do piekła.

Sean instynktownie schylił się i sięgnął po patyk dostatecznie duży, by można go nazwać kijem, i ścisnął w dłoni. Od razu poczuł się pewniej.

Na wszelki wypadek.

Zebrawszy się na odwagę, postąpił kilka kroków i wszedł między kolczaste krzewy, które skutecznie zasłoniły go przed spojrzeniami innych, nielicznych osób znajdujących się na błoniach. Coś musiało stać się z Watsonem, skoro nie reagował. Może znalazł zajęczą norę i potknął się albo biegnąc, zderzył się z pniem drzewa, a teraz leżał gdzieś oszołomiony, taki to już był głupi pies.

A może znalazł gdzieś chętną, goniącą się sukę.

- Watson! - zawołał raz jeszcze.

W pewnej chwili gdzieś z boku rozległ się szelest i głośny trzask pękającego pod butem żołądzia, zupełnie jakby ktoś przenosił cały ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Szelest natychmiast ucichł, ale nie wiedzieć czemu wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. Sean odniósł wrażenie, że właśnie w tym momencie powinien cichcem wycofać się spomiędzy drzew, wyjść spomiędzy zarośli, wrócić na zieleniec i oddalić się, nawet bez psa.

- Watson! - zawołał raz jeszcze. - Idę sobie, ty głupi kundlu! - Odwrócił się, by wyrzeć w stronę zielenca, gdy nagle usłyszał przed sobą jakieś poruszenie.

Jego oczy wychwyciły ciemną postać na skraju zagajnika, odcinającą się z tła

ciemniejszego nieba poza nią. Szarówka uniemożliwiała dostrzeżenie innych szczegółów, ale nie ulegało wątpliwości, że ten mężczyzna miał na głowie kaptur.

- Tak? - rzucił i jakby po namyśle dodał: - Słucham pana?

Postać stała w kompletnym bezruchu.

- Chodzi panu o pieniądze?

- Nie - odparł tamten oschłym tonem.

Zachowaj spokój, upomniał się Sean. *Panuj nad sytuacją.*

- Mój pies tu wbiegł. Widział go pan?

Mężczyzna zrobił krok naprzód.

- Rozmawiał pan z kimś, kogo obserwowałem.

Sean wzruszył ramionami.

- Rozmawiałem dziś z wieloma ludźmi.

- Rozmawiał pan z nim o pewnych zdarzeniach w Ameryce. Zgrywanie głupka raczej mu nie pomoże.

- Skąd pan o tym wie? Kim pan jest? - Postać milczała. - Czego pan chce, do cholery?

- Przysłano mnie tu, żebym posprzątał - odparł mężczyzna.

Rozdział 49

25 października 1856

Tego ranka po raz pierwszy wyczulem, że inni patrzą na nas z nieufnością. Nie wiem, czy wspólnie roztrząsali sprawę tego, kto lub co zabiło Dorothy, Sama i pana Hearsta i uznali, że to musiał być któryś z nas, a może w każdym z nich z osobna zrodziło się owo podejrzenie, tak czy owak, dostrzegam to w szybkich, ukradkowych, czujnych, spojrzaniach i najkrótszych jak to możliwe wymianach uprzejmości z każdym z nas.

Keats wspomniał, że pan Larkin, ich rzeźnik, nie chce pracować wspólnie z panem Bowenem. A kiedy dziś rano odwiedziłem szalaz Emily, grupa pięciu mężczyzn zebranych przy śniadaniu wokół ogniska obserwowała mnie w milczeniu, przyglądali mi się bacznie. W kilka chwil po tym, jak wszedłem do szalasu i zamieniłem parę zdań z panią Zimmerman, do środka zajrzał pan Vander i jasno dał mi do zrozumienia, że mam zbadać małą najszybciej jak to możliwe, a potem odejść.

Zastanawiam się, czy...

*

Silny wiatr zakołysał drewnianą konstrukcją szalasu, aż zaskrzypiała, podczas gdy płachta przy wejściu, mocno zawiązana, zatrzepotała głośno, uderzając o drewnianą framugę, jak uwiązany na smyczy pies. Śnieg sypał niemal poziomo, małe, suche jak piasek drobiny lodu kasały boleśnie, trafiając w odkryte ciało.

Pośród zawrota w oczach usłyszał stłumiony głos:

- Panie Lambert?

Rozpoznał głos Prestona.

- Tak?

- Chciałbym zamienić z panem słówko, jeśli łaska.

- Ee, no, oczywiście. - Ben zamknął kałamarz i odłożył dziennik na bok, zanim przygotował się do wyjścia na zewnątrz.

- Wejść do środka - rzekł Preston. Ben ujrzał palce rozsupłujące węzły płachty i po chwili porywisty wiatr odchylił ją do wewnątrz. Płatki śniegu wpadły do środka, ścigane przez kasaający nieprzyjemny podmuch mroźnego powietrza. Preston pochylił głowę, wszedł

do środka i przykucnąwszy, na powrót zabezpieczył płachtę.

- Czy jesteście sami? - zapytał półgłosem, mrużąc lekko powieki i lustrując wzrokiem ciemne wnętrze.

- Pan Keats i Złamane Skrzydło poszli z innymi po drewno.

- Doskonale. Chciałem pomówić z panem na osobności.

Ben poczuł, że cierpnie mu skóra, gdy uświadomił sobie, że znalazł się sam na sam z kimś, kto mógł być zdolny do brutalnego morderstwa i barbarzyńskiego okrucieństwa.

Chyba nic by mi tu nie zrobił, prawda?

Mimo to odruchowo i podświadomie sięgnął do rękojeści noża myśliwskiego zatkniętego za pasem, pod grubym ponchem.

- O czym chce pan pomówić?

- Cóż... okazuje się, że dyskomfort, jaki odczuwam wskutek odniesionych ran, jest dla mnie nie do zniesienia i chciałbym zabrać ze sobą całą butelkę pańskiego lekarstwa, aby nie musiał pan trudzić się dalszym wydzielaniem go.

- To dla mnie żaden problem - skłamał Ben, przypominając sobie wyraźnie wrogie spojrzenia skierowane ku niemu, gdy wcześniej tego ranka zbliżał się do szałasów Dreytonów.

- Może i tak. Wśród moich ludzi są jednak tacy, którzy woleliby, aby od tej pory członkowie waszej grupy pozostawali po waszej części obozu.

- Panie Preston, pragnę ostrzec, że to lekarstwo powinno się przyjmować nie więcej niż kilka razy. Mogą pojawić się niefortunne skutki uboczne, jeżeli bierze się je zbyt często.

Oblicze Prestona stało się zimne i niewzruszone.

- Zrozum jedno, Lambert, *potrzebuję* tego leku. Dyskomfort jest tak wielki, że nie mogę odprawić posług ani odmawiać modlitw. Moi ludzie mnie potrzebują i muszą być teraz silniejszy niż kiedykolwiek. Nie mogę sobie pozwolić na bezczynność.

Ben pokręcił głową.

- Dobrze, może pan otrzymać lekarstwo, ale chyba najlepiej będzie, jeśli sam będę je panu wydzielał.

- Potrafię sobie z tym poradzić.

- To wymaga regularnego zmniejszania dawek w celu zapobieżenia...

- Lambert!

Ben zamilkł. W głosie tamtego wyczuwało się ładunek gniewu, który brzmiał jak trzask pękającego, niebezpiecznie kruchego i cienkiego lodu nad głęboką, rwącą rzeką.

- Poproszę o butelkę... jeśli można.

Ben dostrzegł coś w srogim wyrazie głęboko osadzonych oczu.

- Rozumiesz chyba, że mogę wrócić tu z kilkoma moimi ludźmi i zabrać cały zapas twoich leków... prawda?

- T-tak... nie wątpię.

- Są wśród nas tacy, którzy uważają, że śmierć naszych ludzi to twoja sprawka, Lambert. Wiedzą, że masz przeszkolenie medyczne i umiesz posługiwać się narzędziami chirurgicznymi.

- Co?

- Są też tacy, którzy uważają, że twoja zażyłość z młodym Samuelem zaczęła stawać się *nienaturalnie bliska*.

- Nienaturalnie?

Na ustach Prestona pojawił się chłodny, drapieźny uśmiech.

- Niektórzy tak mówią.

- A-ale... co oni... o co im...?

- Powiedziałem, że kilku moich ludzi uważa, iż zostałeś odrzucony przez Samuela. I to cię rozczłóściło.

- I co? Że niby ja go zabiłem?

Preston pokiwał głową.

- A także jego matkę. Kiedy pan Hearst próbował się wtrącić, wzięłeś skalpel chirurgiczny i jego również załatwiłeś.

- To szaleństwo!

- Jeżeli chodzi o mnie - uśmiech Prestona nieco złagodniał - nie dostrzegam w tobie tego rodzaju zła. Jesteś bezbożny i arogancki i choćby za to czeka cię wieczne potępienie. Ale nie widzę w tobie mordercy.

- Wobec tego musi pan powiedzieć o tym innym!

- Muszę dostać swoje lekarstwo - odparł.

Preston patrzył na niego w milczeniu, podczas gdy wiatr szalał na zewnątrz, usiłując wedrzeć się do wnętrza szalasu.

- Rozumiem - powiedział Ben.

- To dobrze.

Porozumienie nastąpiło w ciszy. Ben odwrócił się i zaczął gmerać w swojej torbie lekarskiej, by po chwili wyjąć zakorkowaną butelkę z ciemnozielonego szkła.

- To ostatnia butelka laudanum. Więcej nie mam.

Preston sięgnął po nią, ale Ben cofnął rękę.

- Panie Preston, niech pan uświadomi sobie, co może spowodować to lekarstwo. U

niektórych może ono wywołać niepokojące wizje oraz spowodować narastające uzależnienie...

- Miewałem już wcześniej wizje.

- Wizje Boga?

- Tak. Przychodzi do mnie, rozmawia ze mną.

- Ale teraz już nie, prawda? - wyszeptał Ben i zaraz pożałował swoich słów.

Preston spojrział ostro na niego - to spojrzenie zmroziło Bena do szpiku kości.

To było bardzo, ale to bardzo głupie.

- Słyszałeś to, co usłyszała Dorothy? - zapytał.

Ben pokiwał głową.

- Dorothy przyszła do mnie w noc przed swoją śmiercią.

- Co ci właściwie powiedziała?

Zastanawiał się, ile może ujawnić.

- To, że straciła wiarę w pana.

- Rozumiem. - Oblicze Prestona stężało. - I uważasz, że to ja zaaranżowałem jej śmierć?

Ben nie odpowiedział. Jego dłoń znów zacisnęła się na trzonku noża. To czy byłby w stanie go użyć, to całkiem co innego.

- Kochałem ją, Lambert. Miłowałem ją bardziej niż innych moich wiernych. Jej dzieci też kochałem. Były moje.

- Tak... naprawdę? Był pan ojcem Sama?

Preston pokiwał głową.

- Emily również. Prawdę mówiąc, wiele dzieci w moim Kościele jest moich. Nigdy bym nie dopuścił, aby któremuś z nich stała się krzywda. Moi ludzie o tym wiedzą.

- Czy inni mężczyźni, „ojcowie”, o tym wiedzą?

- Oczywiście. Rozumieją, że tak miało być. Jestem najbliższym Boga - w tym świecie pełnym zła - jestem jedyną duszą będącą najbliższym Boga. Czy można sobie wymarzyć kogoś innego, kto byłby lepszym ojcem dla twego dziecka?

Ben pokręcił głową.

- Oni... zwróciliby się przeciwko panu, zgadza się? Zwróciliby się przeciw panu, gdyby wiedzieli.

Niewzruszona, zimna jak lód maska na moment opadła z twarzy Prestona, ukazując skrywany pod nią strach.

- Gdyby o czym wiedzieli?

Nie zapędzaj go pod ścianę.

- O czym pan właściwie mówi, panie Lambert?

Zdał sobie sprawę, że już za późno, aby się wycofać.

- Że jest pan... oszustem.

To słowo na długą chwilę zawisło w powietrzu między nimi, aż w końcu Preston znów się odezwał:

- Nie wiem, co pan wie albo co się panu wydaje, że pan wie. Od tej pory nie wolno panu więcej odwiedzać naszego obozu. Nikomu z waszej grupy nie wolno przejść poza granicę wytyczoną przez martwe woły pośrodku polany. Czy to jasne?

- A co z Emily?

- Pani Zimmerman całkiem dobrze się nią opiekuje.

- Muszę do niej zaglądnąć. Na to chyba mi pan pozwoli?

Preston nachylił się do Bena, jego długi, orli nos był oddalony od twarzy Lamberta zaledwie o kilka centymetrów. Ben poczuł nieświeży oddech tamtego.

- Jeżeli dowiem się, że odwiedzasz pan Emily - wyszeptał - kto wie, co może pana spotkać? Może zawieszysz pan jak polec mięsa na haku z wypatroszonymi wnętrznościami?

Ben usiłował pohamować dreszcze wstrząsające całym jego ciałem.

- O, B-B-Boże... to był *pan*... prawda?

Preston sięgnął po butelkę.

- Od tej pory należymy do dwóch odrębnych obozów. Niech pan nie zapomni powiadomić o tym Keatsa. Dopilnuj pan, aby mu powiedzieć, żeby żaden z waszych ludzi nie rozmawiał od teraz z moimi.

Odgarnął płachtę i wyszedł, wpuszczając do środka kaskadę kłujących lodowatych drobin.

Rozdział 50

Środa

Blue Valley, Kalifornia

Rose usłyszała w słuchawce charakterystyczny sygnał wolnej linii. W Stanach była trzecia po południu, w Londynie musiała być jedenasta wieczorem. Zastanawiała się, co teraz robił.

- Julian Cooke - powiedział, podnosząc słuchawkę.

- To ja, Rose - rzuciła. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, oboje wciąż dobrze pamiętali tamtą dziwną, pełną napięcia noc.

Julian przerwał ciszę:

- W porządku?

- Tak. A u ciebie?

- Też, ale... no wiesz, mam mnóstwo roboty.

Rose bawiła się jakby od niechcenia warkoczem.

- Chciałeś, żebym zadzwoniła.

E-mail nadszedł godzinę temu; dwie krótkie linijki tekstu, w których Julian sugerował, aby dzwoniли się i omówili postępy obopólnych działań.

- E, tak. Chciałem zorientować się, co robisz, i poinformować cię o tym, jak przedstawiają się sprawy od mojej strony.

- Uhm-hm. A więc...

- To jak, ja mam zacząć, czy...?

- Nie, no dobra. Ty zacznij pierwszy i zapoznaj mnie z sytuacją, jeśli chcesz.

Julian zakasłał.

- Dobra. Jak dotąd wszystkie spotkania były udane. Mamy Seana po naszej stronie. Zajmuje się obecnie przygotowaniem stosownej umowy. A kiedy projekt zostanie przyjęty przez BBC, o niebo łatwiej nam będzie znaleźć kolejnego partnera.

- To świetnie.

- A zatem pieniądze nie powinny odtąd stanowić większego problemu. Co jeszcze? Ach, tak, rozmawiałem też z doktorem Griffithem. Pamiętasz Toma?

- Tego psychiatrę, z którym robiliśmy wywiad dla Niezwyčajnych Zwyczajnych?

- Tak. Nawiasem mówiąc, jego książka odniosła wielki sukces.

- Szczęściarz z niego.

- Moja propozycja bardzo przypadła mu do gustu. Chce się przyłączyć.

- Doskonale. Ale nie wytnie nam żadnego numeru?

- Nie. Może natomiast być przydatny jako autorytatywna gadająca głowa. To zależy, czy zrobimy ostatecznie dokument, czy dokument fabularyzowany, jak sugeruje Sean. Tak czy owak, Tom jest przekonany, że Preston był nieźle walniętym fanatykiem religijnym.

- Akurat to nietrudno stwierdzić. Nie trzeba mieć do tego stopnia naukowego.

Julian się zaśmiał.

- Racja. Ale podał również przykłady innych, podobnych szajbusów w historii. Można by to wykorzystać. Poza tym jego reputacja mogłaby się przysłużyć całemu projektowi. Jeżeli jest skłonny powiedzieć, że Preston to socjopatyczny zabójca, zamierzający wymordować wszystkich swoich wyznawców tylko po to, by zaspokoić swoje wydumane poczucie misji i przeznaczenia, a potem...

- Tak powiedział?

Rose poczuła, że cierpnie jej skóra.

- Boże.

- To dość przerażające, prawda?

Zastanawiała się, czy powinna wyznać Julianowi, że cała ta sprawa budziła w niej coraz większy niepokój.

- Zdaniem Toma mamy tu do czynienia z jedną z najważniejszych i najbardziej szczegółowych relacji o działalności seryjnego zabójcy - a wszystko to dzięki uprzejmości naszego drogiego Lamberta.

- Julianie?

- Tak?

- Mam coś lepszego!

Lpszego... czy dziwniejszego?

Rose nie podobało się, jak ta historia zaczynała na nią oddziaływać.

- To znaczy?

- Jestem pewna, że jeden z członków grupy Prestona zszedł z gór - powiedziała.

- Co takiego?

- Próbowałam podążyć tropem jednej z legend Blue Valley. Istnieje relacja o ocalałym, który pojawił się wiosną następnego roku w jednej z tamtych osad. Daty z

dziennika Lamberta i pojawienia się tego człowieka w miasteczku wydają się zgadzać. Ten człowiek był potwornie wycieńczony, prawie na granicy śmierci, i jak się wydaje, nieomal obłąkany.

- Kto to był?

- Nie wiadomo. To zagadka. Wiadomo tylko, to mężczyzna. Nazwano go Człowiekiem w Łachmanach. Nie powiedział, jak się nazywa. Udało im się postawić go na nogi, a gdy tylko wrócił do zdrowia, z początkiem kwietnia 1857 roku opuścił Blue Valley. Później natrafiłam na jego ślad w miasteczku o nazwie Fort Casey leżącym o jakieś sześćdziesiąt kilometrów dalej na północny zachód, gdzie narobił trochę zamieszania i zwrócił na siebie uwagę. Zjawił się w osadzie i ciekawski reporter próbował przeprowadzić z nim wywiad.

Przeczytała artykuł Julianowi.

- To naprawdę dziwne - przyznał.

- Prawda?

- Ale skąd pewność, że to ktoś z grupy Prestona?

- Nie ma żadnej pewności. Tyle tylko, że Blue Valley, Pelorsky's Farm, leżało poza utartymi szlakami wędrówek osadników. W tamtych czasach ludźmi, których tam spotykano, byli traperzy, handlarze i od czasu do czasu również Indianie. To zbyt wielki zbieg okoliczności, że wycieńczony, konający z głodu biały mężczyzna schodzi z gór kilka miesięcy po tym, jak wszyscy ci ludzie ugrzęźli przed przełęczą, zaskoczeni przez wczesne nadejście zimy, nie uważasz?

- Hmm.

- Artykuł był z połowy kwietnia. To by pasowało do ram czasowych, gdy ktoś pokonuje pieszo sześćdziesiąt kilometrów, idąc na zachód.

- Wiesz co, tajemniczy ocalały, który schodzi z gór i nie zdradza swojej tożsamości, to mogłoby dodać smaczku tej historii.

- Jeszcze jak - przyznała.

- Kimkolwiek on był.

- Taa.

- Jeżeli ten człowiek przeżył... a co, jeżeli miał dzieci?

- Byłoby świetnie, gdyby udało nam się odnaleźć jego potomka i przeprowadzić z nim lub z nią wywiad.

- Tak - rzekł Julian. - Mamy szereg nazwisk z dziennika Lamberta: Keats, Weyland, Preston, Bowen, Larkin, Zimmerman, Stolz, Stolheim... i parę innych. Dobrze byłoby, gdybyś

poszukała w archiwach, jak to zrobiłaś w Fort Casey, może uda ci się coś znaleźć.

- To byłoby jak szukanie igły w stogu siana.

- Może. Ale moglibyśmy nieco zawęzić krąg poszukiwań. Jeżeli ten Człowiek w Łachmanach zmierzał na północny zachód, w tamtych czasach mógł dotrzeć zaledwie do kilku konkretnych miejsc, prawda? Mam tu na myśli konkretnie Portland, Astorię i Fort Vancouver. Żadna z tych osad nie była wtedy wielka, góra parę tysięcy mieszkańców. Gdybyśmy przepuścili wszystkie nazwiska z dziennika Lamberta przez ich lokalne archiwa i księgi parafialne, może trafilibyśmy fuksa.

- Fakt.

- Pomogę ci w tym, kiedy tylko do ciebie dołączę. A tymczasem zamierzam podążać tropem Prestona. Mówiłem ci już, że w Internecie jest strona poświęcona Prestonowi? Założył ją jakiś facet.

- Tak, czytałam twój e-mail.

- Na jego stronie jest adres e-mailowy. Zamierzam sprawdzić, czy zdołam wycisnąć z niego jakieś szczegóły.

- Uważaj na siebie, Jules - rzuciła Rose.

- Hę?

- No wiesz, nie daj po sobie poznać, *jak bardzo* cię to interesuje. Kto wie? To może być jakiś inny dziennikarz zafrapowany tą samą historią.

Julian zachichotał.

- Postaram się mówić zdawkowo i udawać obojętność w wiadomych kwestiach.

Na tym rozmowa niespodziewanie się urwała. Wreszcie to Rose przerwała milczenie:

- Kiedy właściwie wracasz?

- Zarezerwowałem bilet na piątkowy lot. Powinniśmy umówić się z Grace na kolejną wizytę na stanowisku. Może znajdziemy tam coś jeszcze, jak dobrze poszukamy.

- To raczej się jej nie spodoba.

- Przecież nie wjedziemy tam buldożerem, podłubiemy co najwyżej łopatką. Po lekturze dziennika chyba wiem już, jak było usytuowane całe obozowisko. Wydaje mi się, że dobrze by było, na przykład, zlokalizować szalę Prestona.

- Tak?

- Kto wie, jakie szalone rzeczy moglibyśmy tam znaleźć, gdyby się nam udało. -

Julian zachichotał nerwowo.

Rose się wzdrygnęła.

- Okropne.

- To na pewno.

Rozdział 51

26 października 1856

Zasłuchał się w zawroźenie wiatru na zewnątrz, wiedząc, że zawierucha przyniesie ze sobą wiele centymetrów śniegu, które przesłonią wejście do szałas. Ale była to ciepła kryjówka, znacznie lepsza niż pospiesznie zbudowana chata na polanie poniżej zbocza. Dobre miejsce, skąd mógł rozpocząć pracę.

Tak.

Dobre miejsce, by stać się czymś więcej. Rozejrzył się dokoła, popatrując na narzędzia zwieszające się z zakończonych haczykami gwoździ ciesielskich; ostre narzędzia, nieużywane od wielu dekad. Na ziemi pod nimi spoczywała stara, sądząc z wyglądu, skałkówka pochodząca z innych czasów, może nawet z innej epoki, teraz nikomu już raczej nie mogła się przydać. Ale narzędzia wykorzysta, jak najbardziej.

Jesteś silny.

Głos w jego wnętrzu sprawiał, że aż zadrżał z rozkoszy.

Mam taką nadzieję.

Spojrzał w dół, na płócienny worek z kośćmi. Odważywszy się rozsupłać szpagat, którym zawiązano worek, ujrzał znajdującą się wewnątrz garstkę niewielkich, ciemnych, prawie czarnych kości.

Przybyłeś do mnie.

Tak. Wybrałem cię. Tamten był zepsuty.

Preston.

Ty jesteś dobrym człowiekiem.

Bardzo się staram.

Powrócił do pierwszego zajęcia przy użyciu ostrych narzędzi, rozległo się szorstkie skrobanie metalu o suchą kość. Zgrzyt... zgrzyt... zgrzyt.

Pomożesz mi?

Tak.

Możemy pomóc sobie nawzajem, zgadza się?

Tak.

Z zapalem zabrał się do pracy, na zbitym klepisku u jego stóp gromadziły się kolejne, ostre kawałki kości, kiedy kontynuował rozpoczęte przez siebie dzieło - *stawania się czymś więcej.*

Rozdział 52

28 października 1856

Od rozłamu upłynęło kilka dni. Straciłem już rachubę. Może myślę się co do dzisiejszej daty, ale skąd mogę wiedzieć?

Jesteśmy teraz jak dwa plemiona czujnie obserwujące się wzajemnie spoza szybko zmniejszającej się wysepki mięsa wołowego. Tamci nie honorują już nadzoru Keatsa nad podziałem mięsa. Bez umiaru zgarniają ile się da i nawet ja nie mam wątpliwość że ten zapas żywności wyczerpie się na długo zanim stopnieją śniegi.

Keats i Złamane Skrzydło spróbują zdobyć dla nas dodatkowe pożywienie, ale zimą nawet dla jednej osoby ciężko jest zrobić coś do jedzenia.

Teraz obawiamy się, że tamci postanowią, iż nie będą więcej dzielić się mięsem wołowym. To pewne.

Ben zadrżał, gdy nieubłagany chłód jął przesączać się przez jego poncho powodując zdrętwienie palców, w których trudno mu było utrzymać pióro.

My też wystawiamy teraz strażę, aby mieć baczenie na tamtych, jak i na las. Dzieleń dziś poranną wartę z panem Husseinem.

*

Spojrzał na krępego, brązowoskórego mężczyznę stojącego tuż przy nim i wpatrującego się w szarą mgłę w oddali. Ben uznał, że to wyjątkowo ciekawy człowiek, w dodatku pochodzący z odległego, egzotycznego kraju. Rankiem przez dobrych kilka godzin rozmawiali niemal szeptem i była to w zasadzie pierwsza rozmowa z prawdziwego zdarzenia, jaką Ben odbył z tym mężczyzną. Hussein opowiedział mu, jak on i jego rodzina przybyli tu z Persji, aby odkryć dla siebie ten nowy świat. Przybyli tu, jak stwierdził, parę lat temu. Hussein przeczytał najpierw książkę o wojnie z Brytyjczykami, a potem arabski przekład Deklaracji Niepodległości. Te słowa miały jego zdaniem tak wielką moc i przemawiały do niego tak dalece, że postanowił z miejsca sprzedać swój interes oraz dom, zabrać całą rodzinę i przybyć do tego odległego miejsca, które obiecywało wolność i tolerancję dla wszystkich, niezależnie od wyznania czy koloru skóry.

Bena ciekawiła wiara Husseina. Nie wiedział zbyt wiele na temat tej religii. Hussein

pokazał mu małą, przepięknie zdobioną książeczkę, egzemplarz Koranu, i opowiedział mu o zasadach wiary, filarach islamu. Słuchając, jak tamten opowiada o swojej wierze, przeszło mu przez myśl, jak praktyczna się ona wydaje. W porównaniu z ponurymi wizjami zguby roztaczanymi podczas kazań, które słyszał tak często w kaplicach szkolnych, a które zawierały opis otchłani piekielnej, demonów, gorejących ogni i niewyobrażalnych mąk, jakie czekały na dusze niegodne, by wkroczyć do Królestwa Niebieskiego. Dla odmiany wiara pana Husseina wydawała się, zgodnie z tym, co mówił, pełna wybaczenia, pokojowa i tolerancyjna. Chyba największą konsternację wzbudziło w nim wyniesienie, wedle tej religii, kobiet do rangi istot nieomal świętych, które należy chronić i czcić oraz wielbić.

Ben zamknął swój dziennik i włożył do skórzanej torby.

- Czy wierzy pan, że gdzieś tam czyha szatan? - zapytał półgłosem.

Hussein nie odrywał wzroku od ściany mgły, zastanawiając się nad pytaniem.

- Moja księga mówi o wielu złych istotach. Najgorszy z nich jest Szejtan. Wierzę wszelako, że większe zło, większe haram kryje się w ludzkich sercach - odparł pośpiesznie. Odwrócił się, by spojrzeć na Bena. - A pan?

Ben wpatrywał się w mgłę, z ledwością wychwytyjąc słabe zarysy wierzchołków otaczających ich drzew.

- Nie wierzę w takie rzeczy, panie Hussein. - W jego myślach przez moment pojawiła się wizja zwłok Hearsta, przybitych do ściany i wybebeszonych. - Ale owszem, wierzę, że niemal niezmiernie zło może mieszkać w ludzkich sercach.

- Uważa pan, że to robota człowieka? Że to człowiek zabił tę kobietę i chłopca?

Wzruszył ramionami, nie chcąc wyrazić na głos swoich myśli i podejrzeń. Preston naprawdę go przeraził. Podczas ostatniej wizyty w oczach tamtego dostrzegł lodowatą bezwzględność i okrucieństwo. A jednak nie mógł zapomnieć, że ten sam człowiek stanął między niedźwiedziem a swoimi ludźmi, i dlatego trudno mu było uwierzyć, aby ten sam mężczyzna mógł bez wahania brutalnie zabić kilkoro swoich wyznawców, swego syna Sama i swoją kochankę Dorothy.

To nie miało sensu.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł i spojrzał na niego. - Nie wierzę w szatana. Nie wierzę i już. Ale może zło, które nosimy w swoich sercach, jeśli jest go dostatecznie dużo, potrafi przyjąć cielesną postać? - Ben wzruszył ramionami. Ta myśl nie wydawała mu się przekonująca, nawet gdy ubrał ją w słowa. - To tylko takie przypuszczenie.

Hussein przymrużył oczy, próbując zrozumieć, co do niego powiedziano.

- Rozumiem. - Skinął głową po chwili, rozważając tę sugestię. - Szejtan jest haram

ludzkiego serca - złem, które w nas tkwi?

Ben pokiwał głową.

- Być może.

Oczy Husseina nagle się rozszerzyły. Ben sądził, że tamten chce kontynuować temat, ale Hussein błyskawicznie uniósł strzelbę i złożył się do strzału.

- Tam - powiedział, wskazując palcem w kierunku przeciwnym do obozu, gdzie w oddali unosił się mętny opar mgieł. Ben odwrócił się, by spojrzeć w tę stronę, ale nic nie dostrzegł. - Co tam było?

- Zauważyłem... ruch.

Ben podniósł swój muszkiet, mocno przyłożył podniesioną kolbę do ramienia, opuścił kapiszon i odciągnął kurek. Zaraz potem jął przepatrywać bezkształtną ścianę mgły w miejscu wskazanym przez Araba.

- Jesteś pan pewien? - zapytał.

- Tak.

Wypatrywali i czekali w milczeniu. Ben słyszał tylko dudnienie swego serca i urywany szept oddechu. Mgła była jak dławiący kokon spowijający puszcę i zabijający swym ciężarem wszelkie naturalne dźwięki. Miał jedynie nadzieję, że marznąca wilgoć w powietrzu nie dotrze w głąb lufy i nie zamoczy znajdującego się w niej ubitego ładunku prochu.

- Widziałeś pan coś? - wyszeptał.

Hussein pokręcił głową.

- Teraz już nie.

Chciał, aby obok nich stał teraz Keats, odrażający i wulgarny, wiecznie odpluwający, ale jak mało kto wprawny w posługiwaniu się strzelbą. Nawet kwaśna woń jego taniego tytoniu wydawała mu się teraz uspokajająca.

Usłyszał kolejne poruszenie, tym razem na prawo od nich.

- Słyszałeś pan to?

Hussein potaknął bezgłośnie.

Coś się tam przemieszcza. Okrąża obóz.

Znów uniósł strzelbę, przykładając kolbę do ramienia i spoglądając wzdłuż lufy w poszukiwaniu najmniejszych oznak poruszenia. Bezpośrednio nie zauważył niczego, ale kątem oka wychwycił jakiś ruch po prawej. Wycelował w tę stronę i przez mgnienie oka wydawało mu się, że dostrzega ledwie widoczną sylwetkę jakiejś wysokiej, zwalistej istoty z rogami albo długimi kłami, poruszającej się powoli pośród drzew.

Zaraz potem zniknęła.

- Boże, widziałeś to? - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

- Nic nie widziałem.

- Wydawało mi się, że dostrzegłem...

Co właściwie wydawało ci się, że dostrzegłeś?

- Cholera... sam nie wiem, co widziałem.

Rozległ się kolejny trzask gałęzi, głośniejszy i znacznie bliższy, dochodził z odległości kilkunastu metrów od nich. Hussein zmełł pod nosem jakieś obce przekleństwo, a potem wycelował w stronę, skąd dobiegł hałas.

- Jest blisko - powiedział.

Wtedy właśnie Ben znów dostrzegł tę postać, ciemniejszą plamę szarości, która zmierzała prosto w ich stronę. Rozpaczliwie usiłował rozróżnić kształt, ale już po chwili stał się on całkiem wyraźny. Miał kształt jakby krzyża z krótszym poziomym ramieniem i o wiele dłuższym pionowym, które opadało i trzepotało, jakby było złamane w kilku miejscach.

Ben złożył się do strzału w to coś i delikatnie pociągnął za spust. Przy wtórze głośnego trzasku kurek opadł. Kapiszon odpalił, posyłając w stronę twarzy Bena kłęb niebieskawego dymu i kaskadę iskier. Zaledwie w ułamek sekundy później strzelba zagrzmiała potężnie i uderzyła go mocno w ramię, gdy szarpnęło nią w górę, a gęsta chmura dymu po wystrzale przesłoniła cel.

Kiedy dym się rozwiął, a echo wystrzału odbite od drzew rozniosło się po całym obozie, Ben zdał sobie sprawę, że Keats stoi obok niego, przytrzymując koniec strzelby skierowany w górę i w bok.

- Co jest?

Staruszek wykrzyczał zuchwałe wyzwanie w oschłym, surowym języku, który Ben rozpoznał jako narzecze Ute. Odpowiedź nie nadeszła natychmiast. Kiedy ostatnie smużki dymu z lufy strzelby uniosły się w górę i rozwiały, zauważył, że ciemny, rozmazany kształt w formie krzyża wciąż znajduje się na wprost niego.

Stał teraz w całkowitym bezruchu.

Dostrzegł następną ciemną rozmazaną smugę, nieco dalej na prawo, i jeszcze jedną.

Keats powtórzył zawołanie. I tym razem, po chwili wahania, dała się słyszeć odpowiedź, głos młodego mężczyzny przepełniony wyraźną nutą przerażenia. Rozległa się jeszcze jedna, dłuższa odpowiedź z ust kogoś, kto stał nieco dalej. Keats nasłuchiwał, przekrzywiając głowę w bok, po czym odpowiedział.

Odwrócił się do Husseina i Bena.

- Opuśćcie strzelby. Pamiętajcie Indian, których spotkaliśmy w zeszłym tygodniu?
Wrócili.

Rozdział 53

28 października 1856

Pajuci wyłonili się z mgły jak pół tuzina zjaw. Ben patrzył, jak ten, który znajdował się najbliżej, ostrożnie robi krok naprzód, stając się coraz wyraźniejszy pośród rzednących pasm chłodnego powietrza.

W obu rękach trzymał broń, w jednej tamahakan, w drugiej nóż.

Keats warknął coś, a Indianin stanął jak wryty. Pozostałych pięciu dołączyło do niego, a Ben zauważył, że dwóch z nich dźwiga coś ciężkiego. Kiedy podeszli bliżej i ich sylwetki stały się wyraźniejsze, zobaczył, że jest to ciało.

Huk strzału Bena i ochryple wyzwanie Keatsa ściągnęło z obozu innych. Usłyszał chrzęst kroków na śniegu i zduszone dźwięki pytających głosów dobiegające z mgły.

- Powiedz Indianom, że jestem lekarzem. Mogę rzucić okiem na ich towarzysza - mruknął Ben, unosząc strzelbę do ramienia. Keats pokiwał głową i przemówił w narzeczu Ute. Pajute znajdujący się najbliżej Bena wydawał się przywódcą ich małej grupki. Miał może z dziewiętnaście lat, ledwo stał się mężczyzną. Inni, którzy podeszli teraz nieco bliżej, wydawali się od niego o parę lat młodszy. Próbowali zrozumieć Keatsa, przywódca przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

Z odległości metra za Benem rozległ się głos Złamanego Skrzydła. Mówił dużo bardziej płynnie niż stary przewodnik.

Ben wskazał na ciało.

- Czy możesz im powiedzieć, że chciałbym rzucić na niego okiem?

Złamane Skrzydło potaknął i wypowiedział kilka długich zdań.

Wśród młodych wojowników przez kilka chwil trwała zażarta dyskusja, aż w końcu najstarszy pokiwał głową. Pozostali cofnęli się od ciała, kiedy Ben zbliżył się do niego niepewnie. Ukląkł i w słabym świetle poranka, mocno stłumionym przez gęstą mgłę, obejrzał ciało.

To był starszy, dużo starszy mężczyzna. Był martwy, skórę miał zimną i wilgotną.

Ben podniósł wzrok na Keatsa i Złamane Skrzydło.

- Nie żyje. - Krew, lepka i krzepnąca spłynęła po jego przyprószonych siwizną

włosach, twarzy oraz szyi. Ben ostrożnie dotknął zmierzwionych, pozlepianych włosów i odnalazł postrzępiony kawałek kości, przytrzymywany przy ciele przez fragment skalpu, obok zaś nierówny otwór w czaszce.

- Uderzenie w głowę z niezbyt głęboką penetracją czerepu. Podejrzewam, że dokonane kilofem lub - wskazał na tamahakan trzymany przez jednego z Pajutów - czymś w tym rodzaju. Powiedziałbym, że zginął kilka godzin temu.

- Zapytaj ich, co się stało - rzekł Keats do Złamanego Skrzydła.

Szoszon zaczął mówić pospiesznie, a najstarszy z Pajutów wygłosił długi monolog, wypełniając luki w ich wspólnym języku złożonymi gestami i ruchami rąk, które wydawały się równie wymowne jak słowa. Keats powiedział Benowi, że ute to uniwersalny język, którym posługiwali się Pajuci, Szoszoni, Ute i kilka innych szczepów na południe od Sierra Nevada, ale każde z plemion po trosze go zmieniało, tworząc własną odmianę tego narzecza, dzięki czemu o pomyłkę nie było trudno.

Złamane Skrzydło zwrócił się do Keatsa.

- On mówi, że to demon bladych twarzy, on poluje...

Szukał odpowiednich słów w języku angielskim, aż w końcu zrelacjonował Keatsowi wszystko, czego się dowiedział w narzeczu ute, w którym najwyraźniej świetnie się rozumieli. Zbiegowisko robiło się coraz większe, z jednej strony ludzie Keatsa, z drugiej grupa Prestona, jedni i drudzy popatrywali na siebie nawzajem z nieskrywaną podejrzliwością.

Keats pokiwał głową, przetrawiając to wszystko, zanim odwrócił się do Bena, i przez chwilę gładził się po brodzie z zamyśleniem.

- Co powiedział?

Tamten odpowiedział cicho, aby tylko Ben mógł go usłyszeć:

- Wspomniał coś o demonie bladych twarzy... o tym... że na nich poluje. *Igra z nimi...* od kilku dni.

Wśród zebranych nastąpiło poruszenie, gdy do grupy dołączył sam Preston. Spojrzał na ciało, jego twarz pozostała niewzruszona, bez wyrazu.

Pajute znów nawiązał rozmowę ze Złamanym Skrzydłem, który przełożył to, co usłyszał na użytek Keatsa:

- Powiedział, że demon bladych twarzy obserwował ich przez ostatnie dwa dni, a później, dziś rano, gdy rozdzielili się w lesie, aby zapolować, zaatakował ich starszego, Białego Orła. Kiedy go znaleźli, już nie żył.

Ci, co stali na tyle blisko, by to usłyszeć, zaczęły szeptać między sobą. Ben uniósł

wzrok, by ujrzeć kobiety i dzieci, z ich oblicz bił strach, gdy patrzyli na młodych wojowników.

Keats wskazał na tego, który mówił.

- Boją się demona. Pyta, czy przyjmimy ich do siebie.

Spojrzenie Prestona padło na Pajutów.

- Chcą zostać z nami?

Tłum zaszemrał, zaniepokojony.

Keats pokiwał głową.

- Boją się tego, co tam jest.

Indianin wykonywał nerwowe gesty dłońmi. Treść była tak czytelna, że Ben zrozumiał ją, zanim jeszcze Keats przetłumaczył.

- Mówi, że boją się tego, co tam jest, bardziej, niż nam nie ufają.

- Nie mogą zostać na tej polanie - odrzekł stanowczo Preston. - To nie wchodzi w rachubę.

Keats nawet nie próbował przetłumaczyć tego Indianinowi. Miał tego odwrócić się do Prestona, mówiąc półgłosem:

- Posłuchaj pan, potrzebujemy ich bardziej niż oni nas. Oni lepiej niż my umieją przetrwać w tych górach. A to - wskazał na zmniejszającą się górę tusz wołowych - na długo nam nie wystarczy.

Preston łypnął na Keatsa spode łba. Jego oczy się rozszerzyły, na bladym obliczu załśnił pot.

- Nie rozumie pan, Keats. Te... - Spojrzał ponad ramieniem Keatsa na najbliższego z Indian. W sposobie, w jaki mówił, i w jego głosie i zachowaniu wyczuwało się dziwną nerwowość. - Te kreatury nie mogą zostać z nami.

- Przeklęty durniu, oni nie stanowią zagrożenia! Boją się nawet bardziej niż my!

Preston pokręcił głową.

- Nie mogą zostać. Nie tu! Nie w tym obozie!

Keats odchrząknął, splunął i odwrócił się od niego.

- Pieprzyć to! Zostaną z nami.

Preston spojrzał na Bena, pana Husseina i jedną lub dwie osoby nienależące do jego grupy, po czym pokręcił głową.

- Postąpiliśmy nieroztropnie, łącząc się z wami, dzieląc się z wami stawą i trudami wędrówki. I to po tym, jak Bóg przybył bezpośrednio do *mnie!* - rzekł, uderzając się otwartą dłonią w pierś. - *Do mnie!* Powiedział, że muszę wyprowadzić swój lud na pustkowie, z dała

od plugawego wpływu obcych. I spójrzcie na nas teraz? - Zlustrował ich spojrzeniem ciemnych oczu. - Moi ludzie muszą żyć obok papistów - ciągnął, kierując wzrok na McIntyre'a, po czym przeniósł go na Bena - ateistów - spojrzął na Husseina - i niewiernych.

Następnie przyjrzał się sześciu Indianom, ich ciemnej, tatuowanej skórze, wygolonym czaszkom z fryzurą w stylu Irokezów i pomarszczonym, wysuszonym totemom, pamiątkom dawnych najazdów, zwieszającym się na skórzanych rzemieniach i przydającym im groteskowego wyglądu.

- A teraz do tego wszystkiego dochodzą jeszcze gargulce szatana. - Głos Prestona był cichy i urywany, aby tylko Keats mógł go usłyszeć. - To nie żaden demon tam się czai, głupcze. To coś o wiele bardziej przerażającego. - Uśmiechnął się. - To znaczy dla was, ma się rozumieć.

- O czym ty mówisz, Preston?

- O potędze, której nie potrafisz sobie nawet wyobrazić: o Bożym gniewie. On tam jest, wśród tych drzew, i przygląda się nam wszystkim. Twoi ludzie umrą w męczarniach, w okrutny sposób, Keats! Potraktuj to jako ostrzeżenie! Moc, której nawet nie jesteś w stanie wyobrazić, przybędzie po te demony i rozerwie na strzępy wszystkich, których napotka wraz z nimi.

- To nie żadne demony! - uciął Keats. - Może to indiańskie dzikusy, ale nie można ich nazywać demonami, gargulcami ani niczym takim!

Ben patrzył na Pajutów, zdezorientowanych tą gwałtowną wymianą zdań.

- Zapraszając zło do swego domu, przyjmujesz je do swego serca i sam stajesz się zły. Rozumiesz?

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę, patrząc sobie nawzajem w oczy. Przewodnik odwrócił się do Prestona plecami i postąpił kilka kroków w stronę najstarszego z Indian. Przemówił w ucie, żwawo gestykułując, a Indianin odpowiedział, ale uwaga Bena pozostała skupiona na Prestonie, który patrzył w dal bez słowa, a mięśnie jego szczęk poruszały się, wywołując lekkie drżenie zapadniętych policzków, gdy mężczyzna w milczeniu przetrwał w sobie gniew.

Ben zastanawiał się, ile jeszcze laudanum zostało Prestonowi w butelce, którą mu oddał.

Obok Prestona stała niewielka grupka mormonów, wśród nich Vander, Zimmerman i Hollander; byli uzbrojeni, a ich strzelby z pewnością nabite i gotowe do strzału.

Nie jest dobrze.

Wystarczyłoby jedno słowo, jedno skinienie głowy Prestona i jak podejrzewał,

wszyscy bez namysłu otworzyliby ogień do Pajutów, a kto wie, może i do ich grupy. Nie miał co do tego wątpliwości. A Preston pewnie nad tym teraz się zastanawia.

Rozmowa w uciepce pomiędzy Keatsem a Indianinem trwała dalej, wydawało się, że obaj nie zdają sobie sprawy z narastającego napięcia i potencjalnego rozwiązania tej sytuacji rozważanego właśnie przez Prestona. Zimmerman odciągnął kurek strzelby, szcęk mechanizmu wydawał się ogłuszający nawet pośród tłumiącej dźwięk mgły otaczającej ich ze wszystkich stron.

- Keats! - zawołał Ben, odruchowo podnosząc swoją strzelbę z ziemi. Hussein stojący tuż przy nim i jako że pełnił wartę, również uzbrojony, uczynił to samo. Weyland postąpił naprzód, wyciągając kolta spod długiego, zimowego płaszcza.

Przewodnik zamilkł, dostrzegając sytuację patową, broń gotową, lecz nieuniesioną do strzału, po obu stronach... ale to mogło się lada chwila zmienić. Groźba wymiany ognia była aż nazbyt oczywista i realna - wystarczyło kilka niefortunnych słów. Zaśmiał się ochryplym, rżącym rechotem, którego dźwięk przydał całej tej sytuacji absurdalnego wyrazu.

- A niech mnie - rzekł, uśmiechając się i kręcąc głową. - Nie nazwałbym tego roztropnym posunięciem, słowo daję. Powiedziałbym, że to wręcz głupie. - Spojrzał na pół tuzina strzelb w rękach ludzi stojących po stronie Prestona. - Widzisz... gdyby to była sprawa tylko między tobą a mną, Preston, jak sądzisz, kto zarobiłby pierwszą kulkę? Nie, powiadam, to bez sensu.

Preston milczał, ale jego szczęki wciąż poruszały się nerwowo.

- Może łaskawie opuście strzelby i potraktujemy ten incydent jako drobne nieporozumienie?

Mężczyźni, stojący za Prestonem, czekali na jego znak lub komendę słowną.

- Widzisz, my potrzebujemy się nawzajem. W obecnej chwili nie są ważne żadne demony czy potwory, tylko ta cholerna zima i to, jak dotrzeć do wiosny. - Keats odwrócił się, by spojrzeć na odległe wierzchołki drzew. - A jeżeli tam, w puszczy, faktycznie coś jest, im więcej oczu do wypatrywania zagrożenia - tu wskazał ruchem głowy na Pajutów - tym lepiej, czyż nie?

Ben zauważył, że kilka osób potaknęło nieśmiało, ale Preston niewzruszenie milczał, podobnie jak zebrani za nim poplecznicy. Keats powoli postąpił naprzód, wyciągając rękę.

- Preston? Wiesz, że mam rację. Mówię z sensem. Ci Pajuci mogą zostać z nami. Po naszej stronie obozu. I tego będziemy się trzymać - żaden z moich ludzi, czy tych Indian, nie przekroczy granicy wyznaczonej przez woły. Co ty na to?

Ben stał na tyle blisko Prestona, by ujrzeć, że tamten dygocze, na jego twarzy

pojawily się delikatne tiki, drżały mu też ręce, wyglądał jak kiepsko ułożona sterta drewna opałowego, która mogła w każdej chwili runąć.

Preston prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Nadciąga burza, Keats.

Odwrócił się w stronę swoich ludzi i rozłożył ręce. Przemówił półgłosem do uzbrojonych mężczyzn stojących tuż przy nim i delikatnie odprowadził ich na bok. Cała grupa, mężczyźni, kobiety i dzieci, zniknęła we mgle, zmiernając w stronę swej części obozu. Skrzypienie butów na zmarzniętym, ubitym śniegu powoli ucichło, gdy tamci rozplnęli się w szarej mgle.

Ben odniósł wrażenie, że dostrzega wysoką postać Prestona, przystającego na skraju granicy mgieł i nadzorującego stamtąd odwrót swoich wiernych, i wydawało mu się, że usłyszał wyszeptane przez niego słowa, które być może były przeznaczone dla jego uszu, choć z drugiej strony niekoniecznie.

Już wkrótce On przybędzie po was wszystkich.

Rozdział 54

Czwartek

Palo Cedro, Kalifornia

- Dolać kawy?

- Poproszę - odparła, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa i długiego e-maila, który wpisywała.

- Naprawdę dobra - dodał kelner. - Sam zmieliłem ziarna, specjalnie dla pani.

Zirytowana, że przerwano jej pracę i wytrącono z zamyślenia, uniosła wzrok... i na chwilę aż wstrzymała oddech.

- Proszę. - Nalał do jej pustego kubka gorącego naparu. Uznała, że trzy, może cztery lata młodszy od niej zapewne wciąż uczęszczał na studia. „Atrakcyjny” nie było dość adekwatnym słowem, by opisać te pięknie rzeźbione policzki, ciepłe oczy à la John Travolta i gęstą strzechę kasztanowych włosów.

- Dziękuję - powiedziała.

Lekko przymrużył oczy.

- Jest pani Brytyjką?

- Ee... właściwie to Angielką.

Uśmiechnął się.

- To świetnie, podoba mi się.

Rose poczuła, że czerwienieją jej policzki, zbita z tropu tak szczerym i bezpośrednim wyznaniem.

- Co? Co właściwie...?

- Chodzi mi o to, jak wymawiacie słówko „właściwie”. To takie brytyjskie.

- Boże, to żenujące - mruknęła pod nosem. - Będę pamiętać, aby więcej nie używać tego słowa.

- Nic z tego, uwielbiam je - odparł. - Zostaje pani w mieście?

Pokręciła głową.

- Nie. Jestem tu tylko przejazdem.

- A dokąd się pani wybiera?

- O miejscu, dokąd się wybieram, na pewno pan nie słyszał, ale ostatnio byłam w Portland.

- Ekstra - powiedział. - Studiuje tam. Językoznawstwo i media.

Rose uśmiechnęła się, zastanawiając się, co ma na to odpowiedzieć.

- To... przyjechała tu pani na urlop?

- Nie bardzo... to jest związane z moją pracą. Prowadzę pewne badania.

- Tak? To świetnie - rzucił. Obejrzał się szybko przez ramię. - Pani posłucha, mój kierownik zmiany dałby mi popalić, gdyby mnie usłyszał, ale... czy dziś wieczorem będzie pani jeszcze w mieście?

Poczuła, że kolory odpływają z jej twarzy, gdy na niego spojrzała - szczupłego młodzieńca, jakby żywcem wyjętego z reklamy Calvina Kleina.

Co jest? Czy on próbuje mnie poderwać?

- Ee... uu... - Spojrzała w popołudniowe niebo. Do Blue Valley wciąż miała jeszcze kilka godzin jazdy i czy wynajmie pokój w tamtejszym motelu, czy wróci i ponownie wynajmie pokój, w którym spędziła ostatnie dwa tygodnie, tak czy owak, jej fundusze zostaną uszczuplone o trzydzieści dziewięć dolarów.

- Znam tu w pobliżu fajny bar - ciągnął kelner. - Niezłe żarcie, miłe miejsce. Tylko drink i hamburger. Ja stawiam.

- Ja... ee... naprawdę... nie bardzo... - wykrztusiła niepewnie.

Cholera, Rose. Weź się w garść. Mówisz jak ostatnia idiotka.

Chłopak wzruszył przepaszająco ramionami, uświadamiając sobie, że mógł posunąć się trochę za daleko.

- Przepraszam za śmiałość - powiedział. - Ale kiedy wcześniej poprosiła pani o stolik, zakochałem się w pani akcencie - dodał, cofając się o krok z dzbankiem kawy w dłoni. - Kończę o szóstej, gdyby jeszcze czegoś sobie pani życzyła.

Rose wysiliła się na lekki uśmiech.

- Zastanowię się. - Patrzyła, jak wraca za ladę, zła na samą siebie, że zbił ją z tropu i w efekcie nie potrafiła nawet sklecić jednego porządnego zdania. Napila się kawy i dyskretnie zerknęła na niego. *Niezłe ciacho, co nie?*

Faktycznie. Ale upomniała siebie, że jest tylko zwykłą, przeciętną dziewczyną i kiedy już ten chłopak dostanie, czego chce, i znudzi mu się jej cudzoziemski akcent, odejdzie jak wszyscy inni.

Wracaj do roboty, dziewczyno.

Musiała jak najszybciej dokończyć i wysłać tego e-maila. To, co odkryła dziś rano,

było ważne, nawet bardzo ważne.

JULIANIE,

Właśnie wróciłam z Portland w Oregonie. Odnalazłam trop Benjamina Lamberta.

Nie uwierzyłybyś, co znalazłam. Dobra, pozwól, że opowiem po kolei, aby wszystko było jasne i zrozumiałe. Uznałam, że jeśli to Lambert wyszedł z tego cało, musiał w końcu w którymś momencie pojawić się na łamach tamtejszej prasy. To Anglik, człowiek światowy, o aspiracjach pisarskich i nie zapominajmy, że spisał w swoim dzienniku niezłą historię. W głębi duszy liczyłam chyba, że mógł próbować sprzedać tę opowieść któremuś z wydawnictw publikujących powieści groszowe. Wspomniałeś, że w brytyjskich archiwach nie ma o nim żadnej wzmianki, odkąd wyjechał do Ameryki, zgadza się? Wyjechał i koniec. Ślad po nim zaginął, Domyślam się, że odpuściłeś dalsze tropienie go, bo byłeś zbyt zajęty, pragnąłeś dowiedzieć się, co dalej z projektem, i musiałeś mydlić oczy facetom w drogich garniturach, aby wyciągnąć od nich fundusze, ale pomyliłeś się, Jules... bo historia Lamberta ma dalszy ciąg.

I to jaki. Postaram się przybliżyć ci go najlepiej, jak potrafię na podstawie artykułów z archiwów prasowych, do jakich udało mi się dotrzeć.

Jest prawie pewne, że to Lambert wyszedł z tego wszystkiego cało. Mogli być też inni ocaleni, ale jestem święcie przekonana, że to Lambert był Człowiekiem w Łachmanach. Najwyraźniej zdołał dotrzeć aż do Portland i pozostał tam przez pewien czas. Długi czas. Wydaje się, że zdołał dojść do siebie po traumatycznych przeżyciach w górach. Osiadł tam i rozpoczął nowe życie w Portland. Nawiasem mówiąc, odnalazł Boga, co może wydawać się szczególnie ciekawe, bo z treści jego dziennika wynikało, że był zagorzałym ateistą.

Choć może to całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co przeszedł. Tak czy owak, lokalne archiwa zarejestrowały, że został świeckim kaznodzieją. Stał się też niezłe prosperującym biznesmenem, dorabiając się na sprzedaży nieruchomości. Od czasu do czasu pisywał także artykuły do prasy, wzniosłe kazania, by ostatecznie stać się kimś w rodzaju miejscowego przywódcy i radnego w jednej osobie. Ożenił się, spłodził dzieci i zarobił jeszcze więcej pieniędzy. Rodzina Lambertów żyje do dziś i jest bardzo zamożna. Mają wiele nieruchomości w okolicach Portland i sporą fortunę ulokowaną w różnych wielkich kompaniach - ale wszystko po cichu i dyskretnie jak bracia Barclay - trudno tej rodzinie przypisać coś naprawdę konkretnego. Może tobie uda się lepiej niż mnie.

Najważniejsze to, że Ben przeżył. I jeśli dobrze podejmiemy do tej sprawy, może uda się nam przeprowadzić wywiad z miliarderem - samotnikiem, aby przekazać mu dziennik i rzecz jasna sfilmować jego reakcję.

Rose pokiwała głową zadowolona z tego, co napisała. Sprawdziła, czy jej laptop wciąż ma połączenie z Internetem przez łącze wi-fi i kliknąwszy na odpowiednie okienko, przesłała wiadomość. Wiedziała, że gdy Julian to przeczyta, będzie szalał z radości. Uśmiechnęła się, zadowolona z dobrze wykonanej pracy. W Portland naprawdę nieźle się spisala. Miło będzie udowodnić Julesowi, że potrafi poszukiwać pewnych kluczowych informacji równie uparcie jak on. Może zacznie myśleć o niej jako o kimś więcej niż tylko specjalistce od komputerów i nowinek technicznych.

Uniosła wzrok i dostrzegła kelnera z gracją lawirującego między stolikami, by zanieść zamówienie paru kierowcom ciężarówek. Rozstawił na blacie talerze z jedzeniem i zanim wrócił za ladę, posłał jej ciepły uśmiech, a w chwilę później znikł za uchylonymi dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Rose poczuła zgoła niespodziewany dreszcz podniecenia, któremu towarzyszyło nieprzyjemne poczucie winy. *Tylko hamburger i piwko i już mnie nie ma...*

Rozdział 55

28 października 1856

Śnieg sypał w najlepsze, wielkie, puchate płatki spadały z nieba i z cichym szeptem opadały na ziemię. Popołudnie było pochmurne i ciemne prawie jak noc, leniwe, ospałe słońce skryło się za gęstą pokrywą chmur.

Przy ognisku w obozie Keatsa zarządzono zebranie i zjawili się tam prawie wszyscy, płomienie strzelały wysoko, a wytwarzane ciepło spowijało zgromadzonych. Migocący blask ognia odbijał się w ich oczach, rozszerzonych i pełnych niepokoju, gdy wsłuchiwali się w trzask pękających, wilgotnych drew i szyszek, zastanawiając się, co powinni wspólnie przedyskutować.

W milczeniu popatrywali na sześciu Pajutów, którzy także przyglądali się im czujnie.

- Ich przywódca, ten najstarszy z wyglądu - Keats skinął ręką w jego stronę - jest nazywany Trzy Jastrzębie, o ile go dobrze zrozumiałem, ma się rozumieć.

Pan Bowen zerknął na nich bez entuzjazmu.

- Skąd właściwie wiadomo, że możemy im zaufać? Mam żonę i dzieci, o które muszę zadbać. Ci łajdacy byli gotowi nas wszystkich powyrzynać, kiedy natknęliśmy się na nich ostatnim razem.

- Ale tego nie zrobili - wtrącił Ben. - Prawda?

Bowen przygryzł wargę w geście niepewności.

- Mogą popodrzynać nam gardła we śnie. Zabiorą wszystko, co mamy, i uciekną z łupami, przekonacie się.

- Fakt jest taki - ciągnął Keats - że przyszli do nas, bo coś wśród tych drzew śmiertelnie ich przerażyło. Może oni zastanawiają się, czy mogą zaufać *nam*?

Bowen nie odpowiedział.

Ben spojrzał na Złamane Skrzydło.

- Możesz zapytać ich, czy *widzieli*, co tam jest?

Złamane Skrzydło powtórzył pytanie. Trzy Jastrzębie wysłuchał go, pokiwał głową i przez chwilę konferował z młodszymi, siedzącymi po jego obu stronach.

- Panie Keats, czy mógłby pan przetłumaczyć, co oni mówią? - poprosił Weyland.

- Nie wiem, mówią za szybko. Chwileczkę... niech to przedyskutują między sobą.

Po dłuższej chwili wydawało się, że osiągnięto consensus. Trzy Jastrzębie odwrócił się do Złamanego Skrzydła i Keatsa, mówiąc bardzo wolno i równocześnie gestykulując.

- Żaden z nich nie widział tego wyraźnie - przetłumaczył Keats. - Ale jeden - tu skinął na młodszego z wojowników - mówi, że dostrzegł to przez mgnienie oka wśród drzew. To on znalazł ich starszego, Białe Pióro.

Trzy Jastrzębie znów zaczął rozmawiać ze Złamanym Skrzydłem. Keats zaczekał, aż tamci skończą, po czym zapytał Złamane Skrzydło w utę, co powiedział Pajute.

- On mówi... demon, wielki... - odparł Złamane Skrzydło, unosząc ręce na wysokość głowy i pokazując powoli. - Tutaj... jak kości...

- Czaszka? - podpowiedział Ben.

Złamane Skrzydło pokiwał głową.

- Tak! Wielka Czaszka, ogromna. I kości... - Złamane Skrzydło pokazywał jakby wystające szpikulce na ciele. - Jak kolce...

Keats zamienił szybko kilka zdań ze Złamanym Skrzydłem w dialekcie Szoszonów, krzywiąc się z niedowierzaniem, zanim powtórzył to, co usłyszał:

- Mówią, że jest ogromny, rosły jak trzech mężczyzn. Ale porusza się bezszelestnie jak duch.

Ben pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to widział.

Keats machnął nonszalancko ręką.

- I bardzo dobrze. Ci przekłęci Indianie mają talent do koloryzowania.

Ben przypomniał sobie, jak czytał pamiętniki jednego z badaczy Afryki. Podróżnik zwrócił uwagę na ten sam fakt u plemion, które obserwował. Nie, żeby dzicy celowo fantazjowali czy koloryzowali, po prostu nie znali zgodnego systemu miar i nie mieli skali porównawczej. „Wielkie” oznaczało z reguły większe niż opowiadający daną historię. „Wielkie” mogło oznaczać jakkolwiek wielkość. A historie przekazywane z ust do ust przez kolejnych opowiadających miały tendencję do rozrastania się i przejawskrawień.

Keats znów słuchał przez chwilę Złamanego Skrzydła. A kiedy tamten skończył, zrelacjonował, czego się od niego dowiedział.

- Oni wierzą, że to diabeł białych twarzy. Diabeł, który przybył wraz z nami do tej puszczy. - Powiódł wzrokiem po polanie, w stronę widmowych postaci na jej drugim krańcu.

- Wierzy, że to przybyło od tamtych.

Ben pokiwał głową i mruknął pod nosem:

- W to akurat jestem w stanie uwierzyć.

Keats pykał fajeczkę, wydmuchując kwaśne kłęby tytoniowego dymu.

- Sęć w tym, że ja nie uważam, aby to był demon. Raczej jednemu z tamtych trochę pokręciło się w głowie. Takie jest moje zdanie.

- Nie *trochę* - rzekł Ben. - Tylko *bardzo*. Całkiem postradał rozum.

Keats otarł krzywy nos.

- Mówisz o Prestonie, ma się rozumieć?

Ben pokiwał głową.

- Tak, może.

Keats wzruszył ramionami.

- Bez różnicy. To może być on albo ktoś inny. Na pewno któryś z tych mormonów.

- Najbardziej martwi mnie to, co Preston mówi swoim ludziom. Ich oddanie dla niego jest wręcz fanatyczne.

Weyland z powagą pokiwał głową i dorzucił gałąź do ogniska.

- Dziś sprawiali wrażenie gotowych zrobić użytek ze strzelb. Gdyby powiedział choć słowo, zaczęliby strzelać. To pewne.

- I niekoniecznie tylko do Indian - dodał Ben. Wszyscy siedzący wokół ogniska spojrzeli na niego. - Myślę, że gdyby doszło do strzelaniny, te strzelby zostałyby skierowane na nas, kiedy tylko uporaliby się z Pajutami.

- Tak - mruknął McIntyre. - Też odniosłem takie wrażenie.

Przez chwilę panowała cisza, wypełniona trzaskiem, sykiem i świszczaniem palących się gałęzi i szyszek.

- W Prestonie coś się zmieniło - rzekł Ben. Zastanawiał się, czy rozsądne byłoby powiedzieć im, że duszpasterz najprawdopodobniej zaczął tracić rozum pod wpływem laudanum, które mu aplikował. To jego wina, że pozwolił mu przyjmować je tak długo, że się uzależnił. - Stał się nieźrównoważony. Umysł wyczynia z nim dziwne sztuczki. Atak niedźwiedzia, gorączka, którą przeszedł, brzemień kierowania swoimi wiernymi, to wszystko musiało zaburzyć jego równowagę umysłową.

- Ci Indianie - wtrącił Bowen. - Powiedział, że to demony z piekła rodem.

Keats pokręcił głową.

- Preston inaczej na nas patrzy, odkąd zginęli tamci ludzie. Dla nich *wszyscy* jesteśmy obcy, *wszyscy* jesteśmy *złem wcielonym*, z tymi Pajutami włącznie.

- Tu nie chodzi o przetrwanie czy lęk przed tym, co kryje się w puszczy - rzekł Ben. - Chodzi o poczucie misji. Preston i jego ludzie przybyli tu w konkretnym celu.

- Jakim?

- Podróżowali na zachód nie tylko, by rozpocząć nowe życie. Wyruszyli w konkretnym celu. Mieli misję do wypełnienia. Preston wierzy, że to misja zlecona przez Boga.

- Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie spotkałem równie religijnych ludzi i równie dziwacznych jak tamci - wtrącił Weyland.

- To mormoni - rzucił z niesmakiem McIntyre. - Czego się spodziewałeś? To nie jest żadna znana mi odmiana chrześcijaństwa.

- Oni nie są mormonami - powiedział Ben. - Są odrębną sektą. Stworzoną przez Prestona.

Pozostali spojrzeli na niego.

- To właśnie jego cel. Poprowadził ich na zachód, aby spisać podstawy nowej wiary, nową Księgę Boga.

Pan Hussein odwrócił głowę i odezwał się po cichu w farsi do swojej rodziny.

- Co pan powiedział, panie Hussein? - spytał Bowen.

Przerwał i odwrócił się do siedzących przy ognisku.

- Powiedziałem... że człowiek nie może przepisywać po swojemu słów Allacha.

Te słowa zawisły w ciszy przerywanej jedynie sykiem i trzaskami kłody wrzuconej do ognia.

- Nie jestem pewien, czy dobrze się czuję, wiedząc, że tuż obok obozuje szaleniec bez piątej klepki - wtrącił Weyland, popatrując na odległą poświatę po przeciwnej stronie polany - usiłujący stworzyć z niczego własną religię.

Keats potaknął burkliwie.

- Niezależnie od tego, co kombinuje ten stuknięty Preston, myślę, że od tej pory powinniśmy traktować tamtych jako zagrożenie. - Wyrząsnął nagar z fajki do ogniska, wywołując małą kaskadę iskier. - Rozdzielają nas martwe woły, ale mięsa nie starczy do wiosny, zabraknie go na długo przed tym, jak stopnieją śniegi i będziemy mogli opuścić to miejsce. - Spojrzał na nich z powagą. - Dużo wcześniej będziemy musieli stanąć do walki, mogę was o tym zapewnić. - Spojrzał w stronę Trzech Jastrzębi i pięciu innych młodych wojowników, którzy mu towarzyszyli, obserwujących całą dyskusję zupełnie beznamietnie. - Do krośset, właśnie po to byli nam potrzebni ci Pajuci, ażeby... kiedy dojdzie do walki, mogli nas wesprzeć, bo wtedy będziemy potrzebować pomocy każdego sprawnego i silnego mężczyzny, jakich mamy po swojej stronie.

Pani McIntyre mocno ścisnęła dłoń męża.

- Panie Keats, czy naprawdę do tego dojdzie? Do walki pomiędzy nimi a nami?

Na pomarszczonej twarzy staruszka odmalował się smutek. Widział, że kobieta i dzieci, które obejmowała ramionami, drżały.

- Strach popycha tych ludzi do strasznych rzeczy, droga pani. A ludzie pokroju Prestona wykorzystują go, zmuszając swoich popleczników, by robili to, co im każą. I w ten sposób osiągają to, czego chcą.

Ben odwrócił się i spojrzał w stronę odległych płomieni drugiego ogniska i niewyraźnych sylwetek poruszających się wokół niego ludzi.

- Wzbudź wśród ludzi dostatecznie silny strach - ciągnął Keats - i mam tu na myśli prawdziwą, dojmującą zgrozę... a wówczas, śmiem twierdzić, że uczynią dla ciebie wszystko.

- Jeżeli ma pan rację, panie Keats - wtrącił Weyland - to może powinniśmy zacząć zapytywać samych siebie, czego może od nich zażądać Preston.

Rozdział 56

Czwartek

Nad Utah

Promienie jesiennego słońca rozjaśniły Gabinet Ovalny, tworząc na grubym dywanie mozaikę światel i cieni. Wyglądając na trawnik przed Białym Domem, mógł zobaczyć, że jest przepiękne popołudnie.

- Panie prezydencie?

Poruszył się, odwracając wzrok od rozbuchanej feerii odcieni rdzy na liściach klonów i wrzosów i powracając do półmroku panującego w gabinecie oraz najistotniejszych, bieżących spraw.

- Panie prezydencie? - naciskał jego adiutant. - Potrzebujemy pańskiej decyzji.

Pokiwał głową. Tak, w tych niepewnych czasach konieczny jest silny przywódca i jasne przesłanie dla tych, którzy staną na drodze do wypełnienia woli bożej.

- Groził pan już użyciem ostatecznego środka zapobiegawczego. Może już czas, żeby...

- Cytując „ Washington Post ” - już czas, aby postawić klocka albo wstać z sedesu - wtrącił z uśmiechem Shepherd.

Adiutant się skrzywił.

- Niekoniecznie należy używać tak konkretnych metafor, panie prezydencie. Wciąż jeszcze możemy podjąć z tymi ludźmi dalsze negocjacje.

Shepherd pokręcił głową.

- Nie sądzę. Mamy tu do czynienia ze starciem wiary, Duncanie. Ci ludzie nie wysłuchają boskiego przekazu.

Wstał, przeciągając się, bo rozboleły go plecy.

- A co się robi z tymi, którzy uparcie nie chcą zasiąść przy bożym stole? Tam gdzie nie sięga blask Jego miłości, panuje chłód, mrok i barbarzyństwo. Ci ludzie... ci... niewierni... płoną tam w ogniu wiecznej udręki, Duncanie, i wciąż nie chcą poznać Prawdy.

- Panie prezydencie?

- Wyciągnąłem do nich rękę, na znak miłości i przyjaźni, otworzyłem przed nimi drzwi naszego Kościoła, by mogli doń wstąpić. Cóż mogę uczynić więcej?

- To prawda, panie prezydencie. Ale sam pan rozumie, że w obecnej sytuacji eskalacja może okazać się wyjątkowo niebezpieczna. Równowaga geopolityczna w regionie Bliskiego...

- Duncanie. - Odwrócił się do niego. - Właśnie w tym równaniu pojawia się wiara w Boga. Uczynimy, co w naszej mocy, aby cały świat przyjął Jego wiarę. W ten czy inny sposób On zjednoczy nas w jednej wierze... albo obróci tę planetę w popiół.

Spojrzał na starannie przycięty trawnik i widocznych w oddali demonstrantów z hasłami wymalowanymi na kartonowych tablicach, demonstrantów niedopuszczonych poza bariery przez uzbrojonych po zęby marines. Powyżej, na czystym, błękitnym niebie, widać było śmigłowce i słupy dymu unoszące się ponad obszarami zamieszek w różnych częściach miasta.

- Nie czas teraz, by próbować umknąć przeznaczenia. - Odwrócił się. - Jeżeli nie chcą otworzyć oczu na Jego miłość, to niech poczują moc Jego gniewu.

- Panie prezydencie?

- Wystrzelić pociski.

- Panie prezydencie? Nie możemy tego zrobić!

- Wystrzelić pociski, Duncanie.

- Panie prezydencie!

Shepherd poczuł ciepło promieni słonecznych wpadających przez okna wykuszowe i ogrzewających mu policzki, zamknął oczy i wyobraził sobie, że słyszy ryk tysięcy odrzutowych silników rakiet, ożywających w swoich silosach.

- Panie prezydencie!

- Panie Shepherd?

Wciąż miał zamknięte oczy, ale słyszał wyraźnie ryk silników odrzutowca, monotony, jednostajny wizg, a w tle piskliwy sygnał czyjejś komórki, dochodzący z jednego z tylnych rzędów, zapewne któregoś z jego popleczników, aktywisty współtworzącego jego kampanię.

- Panie Shepherd? Przepraszam, że przeszkadzam, ale musimy ustalić pewne sprawy przed popołudniowym spotkaniem.

Otworzył zmęczone oczy, mrużąc powieki, oślepiane blaskiem promieni słonecznych wpadających przez okrągłe okienko po prawej. Duncan wychylił się lekko do przodu, siedząc naprzeciwko niego na fotelu.

- Bardzo przepraszam, ale przed kolejnym spotkaniem musimy ustalić plan wydatków na kampanię na kolejnych sześć miesięcy.

- Duncanie? - rzekł Shepherd.

- Słucham.

- *Wierzysz w Boga, prawda?*

Tamten wydał się zbity z tropu.

- Oczywiście. - Wskazał na innych pracowników, zajmujących miejsca na pokładzie rejsowego samolotu, w większości stukających w klawisze laptopów albo z ożywieniem rozmawiających przez komórki. - Wszyscy na pokładzie tej maszyny wierzą w Boga, panie Shepherd. I wszyscy są za panem. A jeśli sondaże są zgodne z prawdą, to każdego dnia zyskujemy miliony nowych zwolenników - dodał z uspokajającym uśmiechem.

Shepherd pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Przepraszam. Wybacz.

- Pomógł mi pan ujrzeć Jego światłość, sprowadzając mnie do grona swoich wiernych. Shepherd się uśmiechnął. Wiedział, że słowa Duncana płyną prosto z serca.

- Nigdy pana nie zawiodę. I pójdę za panem wszędzie, panie Shepherd.

- Dobry z siebie człowiek, Duncanie - odrzekł z uśmiechem.

- Ale... pozwolę sobie nalegać. Mamy tutaj - Duncan spojrzął na swój laptop, dotykając lekko koniuszkiem pióra niewielkiego ekraniku - okrągłą kwotę dwustu milionów dolarów, które należałoby wyłożyć na kampanię w mediach, w ciągu następnych sześciu miesięcy, o ile rzecz jasna, chcemy pozostać w grze i liczyć się jako konkurencja dla dwóch największych partii.

Shepherd ze znużeniem wyjrzał przez okienko, podczas gdy kierownik jego kampanii zaczął nudny wykład na temat podziału wydatków i dodatkowych niezbędnych funduszy, żeby nie zostać w tyle za rywalami. Ale myśli Shepherdą podążyły gdzie indziej.

- ...otrzymujemy spore wsparcie finansowe ze strony innych Kościołów, prócz naszego, należących do szerokiego spektrum chrześcijańskiej prawicy. Myślę, że zarówno republikanie, jak i demokraci nieźle się wykrwawili w początkowym etapie kampanii, podkładając sobie wzajemnie świnię i obrzucając się błotem... potyczki słowne między kandydatami też zrobiły swoje... - Głos Duncana brzmiał sennie i rozleniwiająco.

Tak długo na to czekałem. Tak długo czekałem, żeby je odnaleźć.

Nagrana rozmowa komórkowa pomiędzy Cookiem a jego współpracownicą Whitely wskazała, że oboje już wkrótce znów zamierzali wybrać się do puszczy. Shepherd musiał obmyślić jakiś sposób, żeby zlokalizować to stanowisko. To mogły mu zapewnić jedynie ścisłe koordynaty GPS. Wiedział, co znaczy puszcza. W tych gęstych lasach mogłeś znajdować się o pięćdziesiąt metrów od celu, a i tak nie odnalazłbyś go, nie znając

dokładnego położenia zbutwiałych szczątków. Cooke i Whitely mogli go tam doprowadzić, ale tylko jeżeli odpowiednio rozegrają tę partię.

- ...otrzymujemy ze strony ich obu spore wsparcie. Jest to jednak tylko wsparcie czysto teoretyczne, swego rodzaju forma protestu. Sęk w tym, jak sprawić, by stali się oni faktycznymi propagatorami pańskiej kampanii i pozostali tak lojalni przez następnych osiemnaście miesięcy...

Shepherd uświadomił sobie, że będzie musiał znaleźć jakąś wymówkę, aby zniknąć na kilka dni.

Czas modlitwy.

Tak to nazywał. Oderwanie się od uciążliwego świata polityki, by zjednoczyć się z Bogiem i poszukać Jego wskazówek. To powinno zostać dobrze odebrane przez jego słuchaczy. Postanowił, że ogłosi to nazajutrz w swoim wystąpieniu telewizyjnym. *Muszę to rozegrać bardzo delikatnie.*

Carl, jego specjalista wysłany do Wielkiej Brytanii, jak zawsze spisał się na medal. Z pierwszym kontaktem biznesowym Juliana Cooke'a, kierownikiem do spraw BBC, uporał się bez najmniejszego problemu. Jak stwierdził Carl, brytyjska policja była zbita z tropu tym z pozoru pozbawionym motywu zabójstwem i obecnie przesłuchiwała głównego podejrzanego, miejscowego opryszka, mającego na koncie odsiadkę za podobne przestępstwo i cierpiącego na poważne zaburzenia psychiczne.

Z drugim potencjalnym współnikiem Cooke'a mógł być jednak pewien problem. Był osobą publiczną. Shepherdowi pozostawało tylko ufać, że Carl rozwiąże to w sposób inteligentny.

- ...ogółem jednak będziemy musieli wyłożyć jeszcze sześć lub siedem milionów dolarów z funduszu kampanii, aby dotrzeć w przyszłym roku do mety. Umówiłem już kilka spotkań na dzisiejsze popołudnie w Austin, panie Shepherd. Wszyscy ci ludzie są zainteresowani wsparciem pańskiej kampanii, ale musi pan przekonać ich, że nie jest to tylko przesłanie mormońskie, lecz ogólnie rzecz biorąc, chrześcijańskie. Co oznacza, że będzie pan musiał wspomnieć co nieco o temacie aborcji...

Shepherd jakby od niechcienia pokiwał głową i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Spojrzał na rozpościerający się poniżej krajobraz pełen farm i pól uprawnych, szachownicę z żółtych i oliwkowych kwadratów. Iowa, Utah, Ohio... wszystkie te stany prosperujące dzięki biopaliwom i kukurydzy miał praktycznie w kieszeni. Czuł, że zbliża się ostatni etap, jego impet narastał, popychając go naprzód ku nieuchronnemu spotkaniu z przeznaczeniem. Uśmiechnął się i odwrócił do swego koordynatora ds. finansów.

- Jesteś gotów, by objąć urząd w służbie swego kraju, Duncanie?

Duncan Hope oderwał wzrok od ekranu palmtopa.

- Myślę, że tak, panie Shepherd - odparł i po chwili wahania dodał: - Sądzi pan, że naprawdę nam się uda?

Na wychudzonych policzkach Shepherd'a pojawiły się głębokie bruzdy, gdy oblicze mężczyzny rozpromienił słynny telewizyjny uśmiech.

- Tu właśnie w tym równaniu pojawia się wiara w Boga, przyjacielu.

Rozdział 57

Czwartek

Hammersmith, Londyn

Julian wciąż powtarzał w myślach ostatnie wiadomości, wchodząc przez szklane drzwi do niewielkiego magazynu, gdzie mieściły się biura Soup Kitchen Studios.

Sean nie żyje.

W wiadomościach wczoraj wieczorem podano, że został zasztyletowany, kiedy wyprowadzał psa, na wimbledońskich błoniach i jak wszyscy inni widzowie w swoich domach Julian westchnął przeciągle, traktując ten fakt jako kolejny znak czasów; oto skutki liberalnych postaw w Wielkiej Brytanii, dzięki którym chorzy psychicznie, osoby nie zrównoważone i niebezpieczne chodziły swobodnie po ulicach i nikt ich nie nadzorował ani nie kontrolował, czy przyjmują zapisywane im leki.

Dziś rano wysłał do Seana e-maila na jego adres miejsca pracy, z prośbą o wyjaśnienie, jak przebiegały sprawy, i w odpowiedzi otrzymał wiadomość od jednego z jego wzburzonych kolegów z informacją, że to właśnie Sean padł ofiarą wczorajszego niefortunnego ataku.

Miranda wpadała co drugi dzień i tylko na parę godzin. Dziś jej akurat nie było i bardzo dobrze. Nie był gotowy na radosne „dzień dobry” i niezobowiązującą pogawędkę. Zapalił górne światło w głównym pomieszczeniu, napełnił i uruchomił ekspres, po czym włączył komputer i czekał.

W jego umyśle rozpętała się burza sprzecznych emocji. Z jednej strony zdumiał się, jak bardzo nim to wstrząsnęło. Znali się z Seanem od dobrych paru lat, a teraz przez jakiegoś cholernego drania osierocił on żonę i córeczkę. Sean był dobrym kumplem i porządnym facetem, aż tu rach-ciach i nagle go zabrakło.

Takie tragedie zawsze zdarzały się nagle - śmierć tylko czyhała, by odmienić ludzkie życie w ułamku sekundy. Upomniał się w myślach, aby wysłać wieniec i napisać parę słów do żony Seana, zanim pojedzie jutro na Heathrow.

Co się dzieje z tym popieprzonym światem?

Z pewnym wahaniem skupił myśli na innych sprawach i poczuł się przez to jak

pozbawiony uczuć najemnik.

Nie będzie załatwionego po cichu kontraktu z BBC na sponsorowanie projektu. Wraz ze śmiercią Seana umowa też traciła ważność. Nawet jeśli jego następca, kimkolwiek będzie, zainteresuje się tym projektem i wyrazi zgodę na realizację, dla Juliana i Rose będzie już raczej za późno. Kończyły im się pieniądze i oboje musieli złapać jakąś fuchę, aby móc dalej funkcjonować. Przepatrywał w myślach listę klientów, u których mógł złapać jakąś robotę - na - już, gdy nagle coś sobie uświadomił i ta myśl posępna jak wrona siedząca na słupie telegraficznym zmroziła mu krew w żyłach.

Powiedziałeś Seanowi o znalezisku, a teraz on nie żyje.

Pokręcił głową.

- Och, dajże spokój.

Ekspres zaczął bulgotać i buchać parą, co oznaczało, że kawa jest gotowa, i niezwłocznie nalał sobie kubek wrzącego, czarnego naparu.

...a poza tym ktoś był w twoim mieszkaniu, tak?

- Och, na miłość boską, Julianie - mruknął. - Nie czas na popadanie w paranoję.

Jego stary biurowy komputer przetrwał w końcu vistę i połączył go z Internetem, aby mógł przejrzeć pocztę. W skrzynce e-mailowej znalazł trzydzieści trzy nowe wiadomości, spamy, jeden za drugim, w większości obiecujące, że uczynią go seksualnym Herkulesem. Aczkolwiek jedna wiadomość szczególnie zwróciła jego uwagę.

Kliknął na nią.

PANIE COOKE,

Owszem, byłbym zainteresowany wymianą informacji z panem. Fascynuje mnie nieopowiedziana, nieznaną historią Grupy Prestona. Pozostaje ona do dziś nader intrygującą zagadką. Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi? To historia, która zastanawia mnie od wielu lat. I przez cały ten czas nie spotkałem nikogo więcej, kto by o niej słyszał, a co dopiero prowadził konkretne śledztwo w tej sprawie. Stąd też zrozumiała ekscytacja, jaką wywołał we mnie otrzymany od pana wczoraj e-mail,

Rezyduję w Ameryce. Interesy zmuszają mnie, abym regularnie kursował między wschodnim a zachodnim wybrzeżem. Jeżeli w najbliższym czasie planuje pan wyprawę do Stanów, z pewnością udałoby mi się zsynchronizować moje wyjazdy z pańskim, abyśmy mogli spotkać się gdzieś; przedyskutować to, czego dowiedzieliśmy się, każdy z nas z osobna, i porównać posiadane informacje.

Ze swej strony mogę dodać, iż dysponuję bardziej szczegółowymi informacjami biograficznymi na temat Williama Prestona niż te, które zamieściłem na stronie w Internecie.

Niecierpliwie czekam na kolejne wiadomości od pana.

Pozdrawiam.

Arnold Zuckerman,

Julian usiadł wygodniej i napił się kawy. To było coś, czego się absolutnie nie spodziewał. Strona w Internecie, na którą natknął się na początku tygodnia, wydawała się nieaktywna, jakby ktoś stworzył ją dawno temu i na dobre o niej zapomniał. Może byłoby dla niego czymś w rodzaju nagrody pocieszenia, gdyby umówił się na spotkanie z tym Zuckermanem, szykując się równocześnie do wyjazdu. To mogłoby pomóc w załatwieniu dziur w poszukiwaniach. Choć bardzo się starał, Julianowi nie udało się znaleźć niczego, co dotyczyło Prestona. Informacje na jego temat wypełniłyby lukę, niezależnie, czy pracowałiby nad dokumentem, czy dokumentem fabularyzowanym, zwłaszcza jeśli, jak sugerował doktor Griffith, mieli do czynienia z obłąkanym przywódcą sekty, który poprowadził swoich wiernych na śmierć.

Pospiesznie napisał odpowiedź.

PANIE ZUCKERMAN,

Jutro wylatuję do Stanów, Podczas badań źródłowych związanych z tą historią zatrzymam się w małym miasteczku Blue Valley na północnym krańcu Kalifornii, To spokojne miasteczko, gdzie przyjeżdżają głównie miłośnicy pieszych wycieczek i wyjazdów pod namiot. To miejsce znajduje się najbliżej stanowiska, o którym wspomniałem w poprzednim e-mailu - bo zaledwie o dzień marszu od niego.

Będę z panem szczerzy: nie ujawnię dokładnej lokalizacji wspomnianego stanowiska, jako że jest to miejsce o wielkim znaczeniu historycznym i byłoby niestosowne z mojej strony, gdybym dzielił się tą informacją ze wszystkimi na prawo i lewo. Chętnie jednak podzielę się z panem informacjami na temat tego, co się tam wydarzyło. Udało się nam odkryć szczegółowy zapis tych wypadków, dziennik sporządzony przez jednego z uczestników wyprawy, zachowany niemal w idealnym stanie i w dużej części czytelny.

Zatrzymam się w Blue Valley przez trzy do czterech dni, gdyby chciał pan umówić się na spotkanie.

Julian Cooke (dokumentalista).

Rozdział 58

31 października 1856

Sypie bez przerwy od trzech czy czterech dni. Stary, zdeптany śnieg przykryła gruba na metr warstwa świeżego puchu. Miłosiernie przesłoniła też leżące na polanie odarte z mięsa kości wołów. Pozostałe nietknięte ciała wołów zostały w ostatnich dniach zabrane przez ludzi Prestona, kiedy my dygotaliśmy w naszych szałasach wsłuchując się w szalejącą wicherę, oni wszyscy musieli zmówić się i w kompletnej ciszy zawlekli woły na swoją część polany.

W naszej grupie byli tacy, którzy zaproponowali, abyśmy tłumnie pomaszerowali, by odebrać należną nam część mięsa. Keats nie podzielał tej opinii. Doradzał ostrożność

Muszę przyznać, że się z nim zgadzam. Jest ich ponad setka, w tym ponad trzydziestu mężczyzn zdolnych do posługiwania się bronią. Wśród nas, włącznie z nowo przybyłymi gośćmi Pajutami, jest mniej niż tuzin mężczyzn mogących stanąć do walki. Wciąż jeszcze mamy owsiankę do jedzenia, a Indianie też przynoszą to, co uda im się upolować - zające, ptaki, jakieś korzonki, z trudem nadające się do przelknięcia, nawet gdy gotuje się je w nieskończoność. Jest ciężko. Wydaje mi się, że bez mięsa pomrzemy z głodu.

*

Ben spojrzał na złowieszcze słowa, które właśnie napisał. Rozcieńczony atrament był jasnoniebieski i trudny do odczytania w słabym świetle niewielkiego ogniska rozpalonego wewnątrz szałasu. Złamane Skrzydło dołożył do ognia kolejną jodłową gałąź i niemal natychmiast płomień ożyły, a dym został błyskawicznie wyssany przez otwór w dachu, przez wiatr hulający na zewnątrz.

Trzy Jastrzębie dzielił z nimi szałas, we czterech mogli tylko siedzieć na ziemi w kucki. Keats zaczął nożem wydłubywać nagar, blokujący otwór cybucha. Ben zauważył, że tamten stara się wychwycić wymianę zdań w narzeczu ute, prowadzoną przez Złamane Skrzydło i Trzy Jastrzębie, ale sądząc po frustracji malującej się na jego twarzy, najwyraźniej rozumiał tylko co dziesiąte słowo i niewiele z tego wszystkiego pojmował.

- Siwowłosy traper zwany Keet - odparł Złamane Skrzydło.
- Wędrujesz z nim.
- Tak. Od dwóch pór.

- Dlaczego?

- Blade twarze płacą dolarami.

Trzy Jastrzębie pokiwał głową. Wiedział, że dolary były lepsze niż skórki bobrowe, jeżeli chodziło o walutę wymienną.

- Siwowłosy to przyjaciel?

Złamane Skrzydło przez chwilę przyglądał się Keatsowi.

- Tak.

Trzy Jastrzębie popatrzył na starego, na jego szpakowatą brodę, a potem na Bena, którego podbródek zdobił rzadki zarost w kolorze ciemnoblondego.

- Dlaczego blade twarze zapuszczają przy ustach ogony?

Złamane Skrzydło wzruszył ramionami.

- Wielki Wódz dał je tylko białym ludziom.

- Chyba wiem dlaczego. - Trzy Jastrzębie uniósł palec. - Aby mogli łaskotać swoje władcze żony.

Złamane Skrzydło spojrzał na niego zakłopotany, a wówczas Trzy Jastrzębie wysunął język i poruszył nim energicznie. Obaj Indianie wybuchnęli śmiechem.

- Co ich tak rozbawiło? - zapytał Ben, oderwany od pisania przez ich głośne parsknięcia.

Keats pokręcił głową.

- Jakieś kretyńskie indiańskie żarty - odburknął.

Patrzył, jak tamci kołyszą się, kucając na piętach, a ich ciemne twarze rozpromieniają szczere uśmiechy beztróskiego rozbawienia. Zazdrościł im tej pewności siebie i chłodnego fatalizmu, jaki okazywali, stając oko w oko ze śmiercią.

Oni się jej nie boją.

Dowiedział się tego od Keatsa - przewodnik powiedział mu, że Indianie nie znali pojęcia śmierci. Była dla nich podróżą, przejściem do innego miejsca. W ich mniemaniu było to miejsce znacznie lepsze. Ben podejrzewał, że tego rodzaju wiara mogła przydać każdemu odwagi.

- Od jakiegoś czasu nie widziałem żadnego z pozostałych - rzekł Ben. Sypał gęsty śnieg, odkąd Pajuci przybyli do obozu, silny wiatr i wirujące w powietrzu wielkie płatki śniegu zmniejszyły widoczność zaledwie do kilku metrów.

Keats pokiwał głową.

- Nocami widzę ich ogniska. Wciąż tam są.

- Minęły trzy dni, odkąd mieliśmy z nimi jakikolwiek kontakt.

Przewodnik skinął głową z powagą.

- To nie wróży nic dobrego.

- Jak pan sądzi, co się tam dzieje?

- Za cholere nie wiem.

- Może Preston pisze swoją nową biblię, fundament swojej wiary?

- Ten łajdak jest kompletnie obłąkany.

Ben pokiwał głową. To nie ulegało wątpliwości.

- W puszczy takie szaleństwo może narobić wiele złego.

- Keats?

Przewodnik przerwał czyszczenie fajki i uniósł głowę.

- Co teraz zrobimy? Jedzenia nie wystarczy nam do wiosny.

- Na razie siedzimy cicho i czekamy. Cokolwiek zabiło tych ludzi, niebawem wróci i znów to zrobi. - Uśmiechnął się. - A jeśli rozsmakuje się w zabijaniu tamtych, a nie nas, to nie mam nic przeciwko temu.

Złamane Skrzydło powtórzył to Trzem Jastrzębiom. Pajute powiedział coś, a Złamane Skrzydło pokiwał głową.

- Co on powiedział? - zapytał Ben.

- Trzy Jastrzębie powiedział... diabeł bladych twarzy przybył z tamtymi. Będzie zabijał tamtych.

Kiedy z ogniska pozostały tylko żarzące się popioły, Trzy Jastrzębie odszedł, by dołączyć do Pajutów, bez wątpienia, by podzielić się z nimi zabawnymi obserwacjami na temat bladych twarzy. Złamane Skrzydło i Keats otulili się szczelnie kocami i skórami i wkrótce zasnęli; Keats chrapał głośno, Złamane Skrzydło oddychał cicho i łagodnie jak kobieta.

Ben nie mógł zasnąć zaniepokojony tym, co powiedział Indianin.

Czy był to diabeł, czy jak powiedział Keats, przypadek obłądu, wiedział podświadomie, że Preston zamierza sprowadzić na tę polanę śmierć. I wiedział, że można temu zapobiec tylko w jeden sposób. O ile, rzecz jasna, już nie jest za późno.

*

Ben wyszedł w wietrzną noc, mrugając energicznie, gdy niesione wichurą płatki śniegu wpadły mu do oczu. Słyszał dochodzący spomiędzy szalasów trzask i szelest czegoś miotanego wiatrem, a stłumiony ryk drzew wokół polany przywodził na myśl łoskot fal wzburzonego morza, kiedy tak kołysały się w równym rytmie.

Nie widział kompletnie niczego na odległość metra przed sobą, jego nogi grzęzły w

sypkim, świeżym śniegu zalegającym na starej, zbitej, twardej jak lód powłoce pokrywającej ziemię. Ben zorientował się w otoczeniu i ruszył w przeciwną stronę polany, nisko pochylony dla osłony przed porywistym wiatrem, ze łzami zbierającymi się w oczach i zamarzającymi na policzkach. Postanowił obejść szerokim łukiem cmentarzysko wołów, aby nie zahaczyć nogą o wystające kości żeber i nie narobić hałasu, który mógłby zostać usłyszany, mimo niesprzyjającej pogody. Podejrzał, że tamci wciąż mogli wystawiać nocami jednego czy dwóch wartowników, ale ponieważ widoczność była ograniczona do długości wyciągniętego ramienia, mogli to uczynić tylko po to, by pilnować pozostałego mięsa.

Ona jest tam, na wprost, niedaleko.

Ben znał dostatecznie dobrze ukształtowanie terenu, może nawet lepiej niż inni obozujący tu ludzie, jako że często przemierzał terytorium ziemi niczyjej, by odwiedzać Prestona i Emily.

Pierwszy z szalasów tamtych miał teraz dokładnie przed sobą, pagórek pokryty śniegiem, wejście oznaczone kawałkiem brezentu furkoczącego na wietrze niczym proporzec. Za nim następny i kolejny - wszystkie identyczne jak kretowiska.

Gdyby mogła mówić... Powiedzieć im, kogo zobaczyła... Kto zabił jej mamę i Sama?

Ben zastanawiał się, czy to by wystarczyło. Nie wiedział, do jakiego stopnia tamci wierzyli w Prestona jako nowego proroka, który gwarantował im ocalenie i bezpieczne wyjście z tej głuszy.

Mogę opowiedzieć im o laudanum, słowach wypowiedzianych w gorączce i o tym, że Dorothy przyszła do mnie.

Już kiedy o tym pomyślał, zrozumiał, że to mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu, zwłaszcza jeżeli tamci podejrzewali, że to on mógł być odpowiedzialny za zamordowanie Dreytonów.

Ta myśl przepełniła go niepohamowanym gniewem i wstrętem. W jego przyjaźni z Samem nie było nic niestosownego. Po prostu widział w tym chłopcu siebie; młodszego, rzecz jasna, osobliwy, młody umysł podający świat w wątpliwość, poszukujący i duszący się w ciasnych strukturach osobliwej religii Prestona.

Nawet gdyby nie zdołał nakłonić Emily do mówienia, postanowił, że zabierze ją od tych ludzi. Może gdyby zabrał ją jeszcze tej nocy, a Preston rankiem przybyłby ze swoją świtą, by ją odbić, zdołałby po cichu się z nim dogadać. Dzięki temu tamci mieliby o jedną gębę mniej do wyżywienia, a gdyby mała zaczęła w końcu mówić, co zobaczyła... może byłoby lepiej dla niej, gdyby otworzyła się przed obcymi niż przed lojalnymi wyznawcami

byłego mormona?

Mocno zgarbiony, otulony trzepoczącym na wietrze ponchem przechodził od jednego szałas do drugiego, wypatrując oznak poruszenia. Nie dostrzegł niczego. Przed sobą miał kopiec, który rozpoznał jako szałas Dreytonów. Postąpił szybko kilka kroków w jego stronę, ukląkł i przygotował się do odgarnięcia brezentowej płachty.

Miał nadzieję, że w środku zastanie tylko panią Zimmerman. Ta kobieta wydawała się chyba jedyną spośród tamtych, z którą był się w stanie dogadać. Może też z nim pójdzie.

- Spodziewałem się, że wrócisz - rozległ się świszczący głos wśród szumu wiatru.

Ben odwrócił się, by ujrzeć krępa, masywną sylwetkę mężczyzny.

- Kto tam? - wyszeptał.

- Wiesz kto - odparł Vander, wychylając się do przodu. W dłoni trzymał nóż o długim ostrzu. - Nie masz tu czego szukać.

Ben się nie cofnął.

- Pomyślałem, że zajrzę do Emily.

- William powiedział tobie i wszystkim innym, że macie pozostać po swojej stronie.

- Wiem. Ale posłuchaj. - *Może uda mi się go przekonać.* - Ona musi wiedzieć, kto zabił jej rodzinę. Musimy spróbować wyprowadzić ją z tego stuporu.

Vander nie odpowiedział od razu, a Ben uznał, że niski Holender rozważa w myślach jego słowa.

- Ona była świadkiem przykładu Bożego gniewu, Lambert. Myślisz, że ktoś, kto ujrzał coś takiego, może powrócić do normalności? Jej umysł już nie istnieje.

Ben pokręcił głową.

- Jest w szoku.

Vander postąpił naprzód, wciąż trzymając nóż przed sobą.

- Widzę w tobie diabła, Lambert. Powinieneś stąd odejść, zanim wypatroszę cię jak wieprza.

- To Preston, prawda? - rzucił Ben.

- Że co?

- To Preston ich zabił. Zrobił to, żeby przekonać was wszystkich, że...

Vander wyciągnął rękę i schwycił go wściekle.

- Ciebie następnego dosięgnie Boży gniew. A jeśli nie Boży, to z pewnością mój. - Odepchnął Bena. - Wróc na swoją stronę... i trzymaj tam swoje plugawe trucizny. Zaprzyjaźniaj się z Indianami.

- Vander, posłuchaj. To skończy się tym, że wszyscy zginiemy, chyba że Emily

zacznie mówić i opowie o tym, co widziała. Myślę, że Preston postradał zmysły.

Mężczyzna z przerażającą szybkością wyciągnął rękę i schwycił Bena za ubranie pod szyją, pociągając go równocześnie do przodu. Lambert poczuł, jak czubek noża Vandera wpija mu się w ucho.

- Wystarczy, że pchnę mocniej i umrzesz, tak po prostu.

Ben poczuł, że puszcza mu pęcherz. Ciepła strużka stygła szybko.

- Mógłbym uciąć ci język, Lambert. Ale... - Uśmiechnął się. - Wolę raczej patrzeć, jak zdychasz z głodu razem z innymi. - Odepchnął Bena z całej siły. - Nadciąga burza i zmyje was jak łajno.

Ben cofnął się o krok.

- Idź! - wyszczał Vander.

Ben odwrócił się i ruszył w stronę swojej części obozu, zastanawiając się, czy Vander pójdzie zaraz i opowie Prestonowi o tym spotkaniu. Wyobrażał sobie Prestona nadchodzącego z rana w otoczeniu uzbrojonej straży, aby ukarać go dla przykładu. Bez wątplenia znów doszłoby do sytuacji patowej. Zastanawiał się, czy wydarzenia potoczyłyby się dalszym torem i zmieniły w krwawą masakrę.

Przeklinał w duchu swój pech, że został przyłapany przez Vandera, i zastanawiał się, czy tylko pogorszył swoją sytuację, próbując zakraść się do obozu tamtych pod osłoną nocy i szalejącej śnieżycy.

Jutro poniesiesz tego konsekwencje.

Ben postanowił, że położy się spać, mając pod ręką nabitą broń, o ile w ogóle uda mu się zasnąć.

*

Vander zaczekał przed szałasem, dopóki nie upewnił się, że Anglik odszedł. Następnie schylił się, odgarnął trzepoczącą płachtę i wszedł do ciepłego szałasu Emily.

Pani Zimmerman drgnęła nerwowo.

- Co to było? Słyszałam jakieś szepty na zewnątrz.

- Nic takiego - odparł, opuszczając brezent i obciążając go od dołu polanem. Ukląkł przy dziewczynce. - Może już pani iść. Ja będę przy niej czuwał.

Spojrzała na niego.

- Emily znów nic dziś nie zjadła. Staralam się wmusić w nią trochę bulionu.

Vander pokręcił głową.

- Ona jest już martwa. Tylko jej ciało jeszcze o tym nie wie. - Przesunął się na bok, żeby przepuścić panią Zimmerman. - Proszę iść i spędzić tę noc z mężem. Ja przy niej

zostanę.

Pokiwała posłusznie głową i przepelzła obok niego. I nagle się zatrzymała, a na jej twarzy pojawiło się zatroskanie.

- Chyba nie zamierza pan...?

- Nie zamierzam... czego?

Pani Zimmerman nerwowo przełknęła ślinę.

- Czy rano ona wciąż będzie żyła? Nic jej się nie stanie?

- To zależy od Boga, czyż nie?

Przyglądała mu się niepewnie.

- Proszę iść - mruknął. - Nic jej nie będzie.

Pokiwała głową i pogłaskawszy czule Emily po twarzy, wyszła z szałasu, opuszczając za sobą płachtę.

Vander siedział przez chwilę w całkowitym bezruchu, wsłuchując się w zawroźnienie wiatru, czekał, aż pani Zimmerman się oddali. Spojrzał na śpiącą dziewczynkę. Kiedy nie spała, jej drobna, owalna twarzyczka była równie bez wyrazu, a oczy tępo wpatrywały się gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem.

- I jak, Emily? Co widziały te twoje oczy? Hmm? Dość, żeby niektórzy zaczęli paplać. Jej oddech pozostał spokojny i regularny.

Nie ma już w niej duszy, stwierdził, przyglądając się jej pobladłej skórze i drobnemu ciałku przykrytemu kilkoma kocami. Jesteś już tylko pustą skorupą, prawda, Emily? Czymś, co wygląda jak mała dziewczynka, ale już nią nie jest.

Ogarnęło go wywołujące wyrzuty sumienia pragnienie, które obiecał w sobie tłumić. Przed kilku laty obiecał Prestonowi, że nie będzie więcej zabawiał się w ten sposób z dziećmi.

Położył się obok niej, tak że ich twarze były oddalone od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Czuł na policzkach podmuchy jej regularnego oddechu.

- Emily Dreyton - wyszeptał.

Jej sen pozostał głęboki i niewzruszony.

- Przyszedł wujek Eric - rzekł półgłosem.

Nie ma w tym nic złego. Jeszcze tylko ten jeden raz, zanim wyduszę z niej życie.

Preston wiedział o jego szczególnych... upodobaniach w związku z dziećmi: zarówno Eric, jak i nieżyjący Saul Hearst podzielali te same preferencje. Preston wiedział o tym, co się działo, choć niezbyt często, i nie aprobował tego. Po prostu o tym nie mówiono, o ile tylko obaj *bawili* się z dziećmi dyskretnie i tak, żeby nikt tego nie widział.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że dziewczynka już wkrótce będzie martwa. Prestonowi

było obojętne, czy wcześniej trochę się z nią zabawi. Wyciągnął rękę i schwycił brzeg grubych koców, zsuwając je powoli i odsłaniając jasną, wełnianą sukienkę.

To nic złego. Tylko się bawię, to wszystko.

Zsunął koc aż do jej obutych stóp, a potem jego drżąca z podniecenia ręka powróciła do górnego guzika przy jej sukience, tuż pod brodą. Zaczął go rozpinać, kiedy poczuł zimny powiew, który sprawił, że lampa naftowa obok jej głowy zaczęła skwierczeć i migotać.

A potem zgasła.

- Kto tam? - warknął gniewnie Vander, szybko cofając rękę. Odpowiedzi nie było. To zapewne pani Zimmerman, uznał, może czegoś zapomniała. Sięgnął po zapalniczki leżące obok żarzącego się knota lampy i zadrżał z zimna, próbując wyciągnąć jedną.

- Wpuściłaś za dużo zimna - rzucił z rozdrażnieniem, zapalając zapalniczkę. Płomyk rozpalił się jasno, wypełniając wnętrze szalasu ciepłą poświatą. Vander odwrócił się, by spojrzeć gniewnie na panią Zimmerman, i zmartwiał, spojrzawszy w dwie czarne jamy w miejscu oczu. Zapalniczka zgasła.

Rozdział 59

1 listopada 1856

Ben usłyszał pierwszy krzyk dochodzący z drugiej części obozu wkrótce po tym, jak spostrzegł szare światło poranka wsączające się do przywodzącego na myśl łożo szałas. Krzyk był wysoki, kobiecy, a zaraz potem rozległy się wrzaski dzieci.

Schwycił strzelbę, nabitą i gotową do strzału, którą przygotował po cichu ubiegłej nocy, gdy dwaj jego współtowarzysze spali. W głowie mu pulsowało ze zmęczenia, nie był pewien, czy po spotkaniu z Vanderem w ogóle zmrużył oko.

Kolejny rozdzierający wrzask pozwolił mu otrząsnąć się ze zmęczenia. Otulił głowę i ramiona ponchem i zaczął odgarniać śnieg od otworu wejściowego niczym mały gryzoń, usiłujący wydostać się z norki.

Po wyjściu na zewnątrz dostrzegł głowy innych odgarniających śnieg od wejść do swoich szałasów, podczas gdy krzyki wciąż trwały. Sześciu Pajutów opuściło już zbudowany przez siebie szałas, w rękach trzymali noże. Keats wypełził z szałasów i dołączył do nich.

- Co się dzieje, do cholery? - wycedził z irytacją.

- Dochodzi z ich części obozu - odrzekł Ben.

Ben zrobił krok, wchodząc na pryzmę śniegu i zyskując parę dodatkowych centymetrów, choć zbity biały puch pod jego stopami skrzypiał i chrzęścił. Ben wyciągnął szyję, by spostrzec, skąd dochodził krzyk. Po drugiej stronie coś się działo: zobaczył gęstniejący tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, zdenerwowanych, modlących się i krążących nerwowo przy szałasach.

- Coś się tam stało - mruknął Ben.

Keats zawołał do Złamanego Skrzydła. Szoszon pokiwał głową. Odwrócił się, by spojrzeć na pozostałych - McIntyre'a, Weylanda, Husseina, Bowena.

- Chodźcie wszyscy ze mną i weźcie broń - warknął głośno Keats.

Utworzyli zwartą grupę, omijając gładkie, białe wzniesienie skrywające kości wołów, po czym nieco się rozproszyli, podchodząc bliżej ze strzelbami nabitymi i gotowymi do strzału, ale zgodnie z zaleceniem Keatsa, trzymając broń skierowaną do ziemi.

Kiedy podchodzili bliżej, Ben już nie słyszał krzyków. Rozlegał się natomiast smętny

szloch kilku kobiet, które klęczały, kołysząc się w przód i w tył, i mamrotanie odmawianych pod nosem modlitw. Powyżej, co zauważył już z drugiego końca polany, wisiało coś, co przypominało poleć mięsa zawieszony na drzewie, przypuszczalnie, by nie zabrały go leśne zwierzęta.

Keats poprowadził ich naprzód, wysforowując się na czoło grupy.

- Co się tu dzieje? - rzucił głośno. Zdawało się, że nikt nie zauważył Keatsa ani pozostałych, uwaga wszystkich skupiona była na kołyszącym się powyżej połciu mięsa. Kiedy podeszli bliżej, Ben mógł wyraźniej mu się przyjrzeć.

- O Boże - wyszeptał.

Rozpoznał tego mężczyznę, mimo ran na twarzy i zaschniętej krwi wokół ust - to był Eric Vander. Jego nagie ciało zawieszono było na sznurze przywiązany do masywnego konara strzelistego cedru. Ciało kołysało się przy wtórze skrzypienia sznura, sześć metrów nad ziemią. Vanderowi rozpruto brzuch i pod splątany sznurem jelit zwieszających się z jego rozplatanego ciała i sięgających niemal do ziemi zebrała się niewielka kałuża krwi, oraz trzewi, która przez noc zdążyła już zamarznąć.

- Pomóż nam, Boże - wymamrotał McIntyre głosem zduszonym przez wełniany szal, którym owinał sobie głowę.

Ben zauważył też, że okaleczone zostały genitalia mężczyzny. Odcięto je jakimś ostrym narzędziem, najprawdopodobniej nożem. Gdy spojrział na twarz Vandera, zrozumiał, co z nimi zrobiono.

- Na miłość boską, niech go ktoś odetnie - krzyknął gniewnie Keats do modlącego się tłumu.

Pan Zimmerman wspiął się na drzewo, choć jego buty ślizgały się niebezpiecznie na oszronionej gałęzi, wznoszącej się kilka metrów nad polaną.

Ben patrzył, jak mężczyzna wolno przesuwają się po konarze i wyjmują nóż. Zadał kilka cięć, mierząc w sznur owinięty wokół gałęzi. Przy wtórze głośnego trzasku szpagat pękł, a gałąź uniosła się o kilka centymetrów, uwolniona od martwego ciężaru, gdy zwłoki Vandera runęły w dół. Rozległy się zduszone krzyki i jęki konsternacji na widok zeszywniałego ciała ciężko uderzającego o ziemię i nieruchomiejącego w dziwnie wykrzywionej, nienaturalnej pozycji, z zeszywniałą ręką wskazującą w niebo i skręconą w bok nogą, złamaną przy upadku jak sucha gałąź.

Tłum cofnął się odruchowo o kilka kroków.

Ben postąpił naprzód, wychodząc na otwartą przestrzeń, i wraz z Keatsem ukląkł przy ciele. Oczy Vandera wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w Bena, były rozszerzone,

przeżalone i zasnutę mgiełką śmierci. Wchylił się do przodu, przyglądając się im z uwagą.

- Co robisz, Lambert? - mruknął Keats.

- Oczy. Wierzę, że mogą czasami uchwycić obraz, jak na fotografii, ostatnią rzecz, jaką widziała ofiara.

- Naprawdę? - Keats był najwyraźniej pod wrażeniem. Ben pokiwał głową i pochylił się jeszcze bardziej. - Czytałem o tym przed wyjazdem. Policja ze Scotland Yardu rutynowo fotografuje oczy ofiar.

Wpatrywał się w nie z uwagą, ale nie zdołał niczego dostrzec w zmętniałych tęczówkach. Wyraz twarzy Vandera powiedział mu więcej.

- Co on ma w ustach? - spytał Keats.

- Domyśl się pan.

Brwi przewodnika uniosły się w geście zamyślenia, mężczyzna spojrział na strzępiastą ranę w kroczu Vandera i pokiwał głową.

Ma w ustach własne przyrodzenie?

Ben zastanawiał się, co to mogło znaczyć - ponieważ był pewien, że musiało to mieć jakieś znaczenie - gdy nagle usłyszał wśród tłumu jakieś poruszenie. Rozległ się przejmujący kobiecy szloch. Przybliżał się. Tłum się rozstał i Ben ujrzał Prestona prowadzonego przez kobietę i obejmującego jedną ręką jej wątłe ramiona. Ujrzał ciało i odwrócił ją powoli, aby nie musiała oglądać tego okropnego widoku.

- Sophio... powiedz raz jeszcze tym wszystkim ludziom to, co mnie powiedziałaś - rzekł łagodnym tonem.

Pokiwała głową.

- Ja... widziałam... anioła - wykrztusiła, szlochając - ...widziałam go... zeszłej nocy.

Ben zauważył, że oczy wielu spośród zgromadzonych rozszerzyły się, a ich usta poruszały się nerwowo.

- Ja... wyszłam w nocy... za potrzebą. I wtedy go ujrzałam. - Jej cichy głos zaczął się łamać.

Preston zachęcająco pogładził ją po plecach.

- Dalej, pani Rutherford. Proszę im powiedzieć.

Potaknęła i wzięła głęboki oddech.

- To... było... całe z kości. - Pokręciła głową, dygocąc, gdy próbowała przypomnieć sobie, co widziała. - Sądziłam, że mam jakiś koszmar. To... było... wielkie... przechodziło przez obóz. - Spojrzała na Prestona i pokręciła głową. - Błagam... nie pozwólcie, by przyszło po moje dzieci! - rzuciła ochrypłym, łamiącym się głosem.

Preston skinął głową, szepnął coś do niej na pocieszenie i mocno uściskał, zanim pozwolił jej wrócić między zebranych, do męża. Duszpasterz odwrócił się i zlustrował wzrokiem leżące bezwładnie ciało Vandera: poskręcane, zniekształcone, pogruchothane. Przez chwilę na jego twarzy nie odmalowały się żadne emocje, to mogło wydawać się dziwne, sądząc po czułości i współczuciu, jakich jeszcze przed chwilą nie szczędził tamtej kobiecie. Wreszcie jego oblicze spochmurniało i odwrócił się, by przemówić do wiernych.

- Oto kolejny przykład sądu! Już drugi. On daje nam w ten sposób ostrzeżenie! - Preston odwrócił się do Bena i Keatsa. - I to *przed wami* nas ostrzega!

Wśród zebranych rozległ się szmer jak szum wiatru poruszającego zeschniętymi liśćmi.

- Obcy kalają to miejsce jak zatruta woda - wycedził gniewnie. - Oto oni, którzy sprowadzają te czarne sługi wprost do serca naszego obozu. - Wskazał na swoją chatę. - Zaledwie o kilka metrów od naszego świętego miejsca! - Postąpił krok naprzód. - Przywiedliście sługi Złego, jego oczy i uszy, jego zwiadowców wprost pod nasze drzwi. Nie widzicie, coście uczynili? - Wskazał na Złamane Skrzydło. - Nie dostrzegacie w jego oczach oblicza samego diabła?

Złamane Skrzydło dumnie i niewzruszenie patrzył Prestonowi w oczy.

- Nie widzicie, jak na nas patrzy, drwiąc sobie z nas i radując się tym widowiskiem?

- Dość tego! - zakrzyknął Keats.

- Skalaliście nas tymi czarcimi kreaturami - rzekł, wskazując palcem na Pajutów, stojących w pewnym oddaleniu od tłumu - które nieroztropnie zaprosiliście do naszego obozu. - Preston wykonał ręką gest w stronę leżącego na śniegu trupa. - Obawiam się, że to będzie ostateczne ostrzeżenie! Wszyscy obcy muszą jeszcze dziś opuścić to miejsce!

Keats wstał.

- Nie bądź głupcem, Preston!

- Musicie odejść przed nadejściem nocy!

- Nikt stąd nie odejdzie. Bez schronienia i żywności pomrzemy.

Preston podszedł do Keatsa.

- Nie rozumiesz, Keats? - wyszeptał cicho, by tylko tamten mógł go usłyszeć. Ben widział oczy tamtego, pełne napięcia, przekrwione i rozszerzone ze strachu, gniewu lub podniecenia - nie potrafił określić, co było tego przyczyną. Ciemną brodę duszpasterza upstrzyły kropelki śliny. - Na Boga, czy tego nie widzisz? Robię, co w mojej mocy, aby was ocalić.

- Ocalić nas?

- Jeżeli ty i twoi ludzie zostanieie tu na kolejną noc, nadużyjecie cierpliwości Pana. I

weźmie na was odwet. Przybędzie niczym burza. Jego anioł zstąpi i rozszarpie na strzępy was, a może nas także!

- Co za anioł, do cholery?

Preston go zignorował.

- Moi ludzie mają do wypełnienia misję, której nie mogą rozpocząć, dopóki wy tu jesteście. Musicie odejść! - Przez ułamek sekundy jego oblicze złagodniało i dodał półgłosem: - Przykro mi, ale tak być musi. - Pokręcił głową ze smutkiem. - Byłem głupcem i zbyt długo to tolerowałem. Twoi ludzie nie są tu już mile widziani.

Oblicze Keatsa spochmurniało.

- Moi ludzie mają prawo przeczekać tu zimę. Nie możesz nas zmusić do odejścia.

- Musicie odejść.

- Gdybyśmy spróbowali przejść przez te góry zimą, ani chybi wszyscy byśmy zginęli.

Preston cofnął się o kilka kroków i podniósł głos.

- Oni muszą teraz opuścić naszą część obozu! - rzucił władczym tonem i wskazując na Indian, dodał: - Zabierzcie też ze sobą te plugawe kreatury. Nie mogę dłużej prosić moich ludzi, by tolerowali ich obecność w pobliżu tego miejsca.

W tłumie rozległy się głośne potaknięcia, a jeden z ludzi Prestona podszedł bliżej, uniósł strzelbę do ramienia i wymierzył w głowę Keatsa.

- Nie pozwolę, abyś ściągnął gniew Boga na moją rodzinę!

- Panie Stolz! - zawołał Preston - niech pan nie strzela! Nie potrzeba nam dziś jeszcze więcej rozlewu krwi!

Kolejni mężczyźni występowali do przodu, każdy z nich miał w ręku strzelbę, a sądząc po surowym wyrazie twarzy, wszyscy bez wyjątku byli gotowi użyć broni.

- Musicie wrócić do swojej części obozu i przygotować się do odejścia stąd, zanim Bóg postanowi ukarać was dla przykładu!

Ben się wyprostował.

- Chodźmy, Keats - rzekł półgłosem. - Powinniśmy stąd pójść.

Przewodnik pokiwał głową. Obaj cofnęli się od ciała Vandera i zaczęli przeciskać się przez zgromadzony tłum. Ben czuł na sobie zimne, wrogie spojrzenia tamtych, gdy przechodzili z Keatsem, by dołączyć do swojej grupy, czekającej opodal z nabitą bronią. *Boże, pomyślał Ben, byliśmy tylko o włos od masakry.*

Gdy dołączyli do pozostałych, ciszę przerwał jeden z Pajutów, który nagle zaczął coś krzyczeć. Ben odwrócił się, by zobaczyć, co się stało. Chłopak wskazywał na zebranych mormonów i wykrzykiwał do nich potok słów w narzeczu Ute.

- Co on mówi?

Keats pokręcił głową.

- Nie rozumiem... mówi za szybko.

Indianin groźnie postąpił kilka kroków naprzód, unosząc w dłoni tamahakan, i ponownie na coś wskazał.

Ben podążył za wzrokiem tamtego i stwierdził, że gniewne słowa Indianina skierowane są pod adresem pana Zimmermana.

- Widzę cię - Złamane Skrzydło, szepcząc pod nosem, przetłumaczył słowa młodego wojownika. - Zabójco Leniwego Wilka.

Keats pokręcił głową i mruknął do Bena:

- To Hearst zastrzelił Indianina, nie Zimmerman, chłopak się pomylił.

Pajute zrobił jeszcze kilka kroków, po czym cisnął broń, wbijając ją w ziemię, tak że ze śniegu wystawała tylko rękojeść. Znow zawołał w narzeczu Ute:

- Leniwy Wilk był nieuzbrojony.

Zrobił dalszych kilka kroków, aż zatrzymał się naprzeciwko tamtego. Pan Zimmerman wycelował do niego.

- Nie zbliżaj się! - zawołał.

Indianin zrozumiał i przystanął. A potem odezwał się głośno. Towarzyszące temu gesty nie były trudne do zrozumienia. Kiedy Indianin skończył, odwrócił się i ruszył po swój tamahakan. Zimmerman zawołał:

- Co on powiedział, do cholery? Pytałem - Zimmerman wymierzył swoją strzelbę w Keatsa - co on powiedział?

Keats przygryzł dolną wargę.

- Indianin powiedział, że gdy zacznie się walka, odnajdzie cię i wytnie ci serce.

Bez wahania strzelba w dłoniach Zimmermana zwróciła się w stronę Indianina, a z lufy buchnął kłęb dymu i rozległ się ogłuszający huk.

W górnej części torsu Pajute wykwitł strzępiasty otwór, pocisk przebił jego ciało na wylot, wrywając zeń strzępy tkanek i rozbryzgując po śniegu, wśród kawałków jeleniej skóry i strug krwi. Indianin chwiejnie zrobił jeszcze jeden krok, sięgając po swoją maczugę bojową wystającą ze śniegu, po czym upadł.

Spoza Bena dał się słyszeć drugi rozdzierający huk. Lambert odwrócił się i zobaczył Trzy Jastrzębie z uniesioną do ramienia starą skałkówką i smużkę dymu wydobywającą się z końca długiej na metr dwadzieścia lufy.

Zimmerman runął do tyłu, brocząc krwią.

Znów huknął strzał i ołowiany pocisk z groźnym świstem przeleciał pomiędzy Pajutami a resztą, jak rozdrażniony szerszeń.

- Dość! - ryknął gniewnie Keats.

Obaj, Bowen i Weyland, oddali po jednym strzale, ale jeden w ogóle chybił celu, a drugi trafił kobietę w ramię. Osunęła się na kolana, krzycząc przeraźliwie.

Gdy nastąpiła chwila przerwy przed oddaniem kolejnych strzałów, Preston stanął przed swoimi ludźmi i zawołał:

- Dostyc!

Keats powtórzył to zawołanie i obróciwszy się na pięcie, podbił lufę strzelby McIntyre'a. Strzelba wypaliła i kolejna chmura niebieskiego dymu uniosła się w powietrze, by rozpląnąć się wśród rzednących już kłębow dymu po poprzednich wystrzałach.

Gdy ucichło echo ostatniego wystrzału, obie grupy zastygły w kompletnym bezruchu. Kobieta wyla się z bólu na ziemi, a dwoje dzieci tuliło się do niej, pochlipując.

- Odejdźcie! Ale już! - warknął Preston. - Zanim będzie za późno! - dorzucił wściekle.

Ben spojrział na biały śnieg poprzecinany rozbryzgami świeżej krwi.

- Już! - ryknął Preston.

Keats odwrócił się do pozostałych.

- Chodźmy.

Złamane Skrzydło powtórzył tę komendę Trzem Jastrzębiom i reszcie Pajutów. Zaczęli powoli wycofywać się na drugi koniec polany. Hussein i Ben mieli broń w pogotowiu, Bowen, McIntyre i Weyland usiłowali dość niezdarnie podsypywać prochu z różków, idąc tyłem i zostawiając za sobą rozsypane, wąskie, ciemne ścieżki.

- Oszczędzajcie proch, dumie - mruknął Keats. - Nie marnujcie go.

Będziemy go potrzebować, pomyślał Ben.

Lambert nie spuszczał wzroku z Prestona i jego ludzi. Kolejni z nich ustawiali się w szeregu, ładując broń, metaliczny szczęk pobojczyków i ołowianych kul wrzucanych do luf wypełnił ciszę.

Cholera, szykują się, by poczęstować nas całą salwą.

Ben naliczył ze dwa tuziny tamtych rozstawionych po obu stronach ich przywódcy w nieregularnych odstępach, ale w równym szeregu, przywodzącym niepokojąco na myśl pluton egzekucyjny. Pobjaki wróciły pod lufy i kilka strzelb już zostało uniesionych do strzału.

- Boże, oni będą strzelać! - zawołał Ben.

- Szybciej, do kroćset! Ruszcie się! - krzyknął Keats, odwracając się i zaczynając biec przed siebie. - Biegiem!

Większość ludzi Prestona zakończyła już ładowanie i przyjęła pozycję do strzału, oczekując na rozkaz Prestona. Ten tymczasem uniósł obie ręce i przyłożył z boku do ust.

- Opuśćcie to miejsce! - Echo jego słów odbiło się od drzew otaczających polanę.

Kiedy minęli granicę wytyczoną przez ośnieżone kości wołów na środku polany, Keats zwolnił, uspokojony, że są na tyle daleko, iż gdyby nawet tamci zaczęli strzelać, zapewne i tak by chybili.

- Nie odejdziemy stąd.

Ben odwrócił się do niego.

- Przecież nie mamy innego wyjścia.

Keats go zignorował.

- Mamy sporo pracy, wszyscy musimy wziąć się do roboty, mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci.

Rozdział 60

Czwartek

Notting Hill, Londyn

Doktor Griffith zakręcił ciepłą wodę i usiadł w wannie, rozkoszując się delikatną pianą łaskoczącą skórę i cichym pluskiem wody falującej przy każdym jego poruszeniu i odbijającym się echem od drogich, granitowych kafelków.

Jego dom był skromny, nierzucająca się w oczy tarasowa willa w niewielkiej, cichej enklawie o minutę marszu od Notting Hill High Street. Zastanawiał się nad zakupem czegoś bardziej prestiżowego, ale przyzwyczyił się już do tego domu, a zwłaszcza do łazienki, na którą wydał co najmniej piętnaście tysięcy funtów, aby wyglądała tak, jak ją sobie wymarzył.

Spędzał tu wiele czasu. Z uwagi na astmę, która pogłębiała się wskutek unoszących się w miejskim powietrzu zanieczyszczeń, każdego dnia wieczorem musiał robić sobie gorącą kąpiel, by dać wytchnienie płucom, a jego inhalator leżał na podstawce do mydła wraz z pilotem do telewizora i telefonem bezprzewodowym.

Można by śmiało powiedzieć, że łazienka była najczęściej wykorzystywanym pomieszczeniem w jego domu. Sięgnął po pilota i wyciszył niewielki telewizor plazmowy wiszący na ścianie, po czym wziął do ręki telefon. Odkąd na początku tygodnia rozmawiał z Julianem i przeczytał dalszą część dziennika, chciał podzielić się z nim kilkoma nowymi przemyśleniami, zanim o nich zapomni, zaaferowany innymi sprawami.

Wybrał numer, a Julian odebrał niemal natychmiast.

- Witaj, Julianie, Tom z tej strony. Pomyślałem, że porozmawiam z tobą przez chwilę o tej twojej historii. Masz teraz czas?

- Jasne. Jakies przemyślenia?

- Przeczytałem kolejny fragment dziennika i jestem coraz bardziej przekonany, że Preston jest - używając terminologii medycznej - potworem. To bardzo niebezpieczny osobnik, zdolny praktycznie do wszystkiego.

- Tak, myślę, że w tej kwestii obaj jesteśmy zgodni.

- Jest jednak coś, nad czym warto byłoby się zastanowić.

- To znaczy?

- Komu możesz deptać po palcach.

- O co ci właściwie chodzi?

- O to, że może współcześni potomkowie Prestona mogą niezbyt przychylnie potraktować fakt, że zamierzasz przedstawić ich prapradziadka jako Charlesa Mansona tamtych czasów, maniakalnego seryjnego zabójcę, obłąkanego przywódcę sekty, który najprawdopodobniej wymordował wszystkich swoich wiernych. Możesz mieć kłopoty natury prawnej, gdy oskarżą cię o zniesławienie. Poza tym powinieneś bardzo starannie wytyczyć granicę pomiędzy Kościołem Świętych w Dniach Ostatnich a naukami, jakie Preston przekazywał swoim wyznawcom, w przeciwnym razie oni też mogą podać cię do sądu. A wierz mi, ci ludzie mają pieniądze i stać ich na wynajęcie najlepszych prawników.

- Tak, to prawda.

- Mówię poważnie. Na przykład zalecałbym użycie zwrotu „grupa wyznaniowa”, zamiast „sekta”. W Stanach wiąże się to z pewnymi konkretnymi implikacjami, między innymi w kwestiach podatkowych, i grupy wyznaniowe będą bronić swego z, nazwijmy to, sporą... zawziętością. W sądzie ten temat jest podejmowany dość często i raczej agresywnie przez bardzo drogich prawników wynajmowanych przez Kościół scjentologów.

- Tak, wolałbym uniknąć tego rodzaju zamieszania.

- Coś jeszcze.

- Tak?

- Podejmowałem ten temat w jednym z ostatnich artykułów.

- Mów dalej.

- Te socjopatyczne skłonności są jednym z filarów darwinowskiej teorii ewolucyjnej.

- Czyli?

- Czyli, że najprawdopodobniej są dziedziczne, jak leworęczność, talenty artystyczne czy muzykalność.

Tom sięgnął po swój inhalator i zaaplikował sobie dawkę, po czym mówił dalej:

- Tak czy owak, chcę, żebyś zrozumiał jedno: bądź ostrożny i uważaj na to, jakich ludzi możesz wkurzyć tą swoją historią, jasne?

- Cóż, nie wygląda na to, żebyśmy zdołali wygrzebać cokolwiek na Prestona. Pozostaje kompletną zagadką. Nie udało mi się dotrzeć do jego żyjących współcześnie potomków, aby móc przeprowadzić z nimi wywiad.

Tom potaknął.

- Może to i lepiej. Pewnie skończyłoby się na rozkwaszeniu ci nosa.

Julian się zaśmiał.

- A zatem wracasz jutro do Stanów?

- Tak.

- Wobec tego życzę przyjemnego lotu i pozdrów ode mnie Rose.

- Pozdrowię.

- Ach, Julianie, jeszcze jedno, wyjeżdżam na kilka tygodni. Mój agent załatwił sprzedaż prawa na przekład książki i publikację u kilku europejskich wydawców, więc znów wracam do kieratu: cykle spotkań, występy w telewizji, rozdawanie autografów. Zdzwonimy się, kiedy wrócę, dobrze?

- Na pewno.

- Bo niezależnie, czy zdołasz zrealizować ten dokument, czy nie, chętnie popracowałbym nad twoim projektem w wersji książkowej. Moglibyśmy stworzyć duet literacki lub jeśli wolisz, ty napisałbyś książkę, a ja byłbym jej konsultantem czy coś w tym rodzaju. Co ty na to?

- Brzmi zachęcająco.

- Doskonale. To życzę miłego lotu. Do usłyszenia niebawem.

- Dzięki. Na razie.

Tom rozłączył się i odłożył telefon bezprzewodowy na półeczkę, po czym wyciągnął się wygodniej w wannie.

- Tak, książka - mruknął pod nosem, a jego głęboki głos powrócił odbity echem od granitowych kafelków, którymi wyłożono ściany łazienki.

Sięgnął właśnie po pilota od telewizora, gdy z dołu dobiegł go jakiś dźwięk.

Rozdział 61

Czwartek

Notting Hill, Londyn

To było ciche szcęknięcie.

Znieruchomiał na chwilę, ale zarazem upomniał się, że to zapewne tylko wiatr poruszył klapkę na listy. Na zewnątrz przez tafłę nieoszronionego szkła w górnej części okna łazienki widział wierzchołek samotnej, usychającej, żałośnie wyglądającej miejskiej topoli rosnącej za sąsiednim domem, rozjaśnionej blaskiem latarni i kołyszącej się z lekka.

Telewizor pozostawił wyciszony. Nie żeby był szczególnie nerwowy, ale w ostatnich miesiącach w tej cichej ślepej uliczce doszło do kilku włamań. Tak czy owak, miło było wsłuchać się w szum wiatru wśród liści i rozlegające się od czasu do czasu melodyjne dźwięki. Choć mieszkał w centrum Londynu, blisko ruchliwej ulicy, nie mógł się nadziwić, jak cichy i spokojny był ten mały zakątek Notting Hill. Z oddali dobiegł jęk syreny policyjnej i w odpowiedzi rozległo się szczekanie psa... ale poza tym było całkiem spokojnie.

Kolejny odgłos.

Przypominał szurnięcie jednego z kuchennych stołków po parkiecie. Zupełnie jakby ktoś go... potracił. Tego dźwięku nie można pomylić z odgłosem włączającego się centralnego ogrzewania czy innymi skrzypnięciami i stukotami, jakie rozlegają się nocą w domu.

Ten dźwięk dowodził, że w domu był ktoś jeszcze.

Cholera.

Poczuł na plecach lodowate ciarki, a jego oddech stał się przyspieszony. Wyciągnął rękę i znów użył inhalatora.

To tylko dzieciak... gnój szuka czegoś, co mógłby zwędzić i zwiać.

Z poprzednich spotkań z młodymi przestępcami nauczył się, że byli oni zazwyczaj równie wystraszeni jak ofiary, które zamierzali napaść lub okraść. Jeżeli tam na dole faktycznie ktoś był, głośne: buuu! powinno go skutecznie wystraszyć.

- Masz dokładnie dziesięć sekund, żeby zwiać, zanim wezwę policję! - zawołał z łazienki. Słuchał z napięciem, usiłując wychwycić odgłos trampków na woskowanej

podłozę, trzaśnięcie drzwi albo stukot okna, a potem tupot biegnących stóp na chodniku, niktący pospiesznie w oddali. Ale nic takiego nie usłyszał. - W porządku, sam tego chciałeś, wzywam gliny! - ryknął ponownie. Tym razem w jego barytonie pojawił się lekki poświst.

Podniósł telefon bezprzewodowy, wybrał numer policji i przyłożył aparat do ucha, czekając na znajomy sygnał realizowanego połączenia. Ale nie usłyszał nic, tylko szmery i trzaski, a potem coś jakby głęboki wdech.

- Słyszę cię, tu na górze - ze słuchawki dobiegł go głos.

- Że co? - wykrztusił i upuścił aparat na mokry podolek. Usłyszał kroki w korytarzu.

- Czego chcesz? - zawołał Tom, a jego coraz bardziej rżęący oddech z wolna zatracił dawny, władczy ton. Światła na górze nagle pogasły i wewnątrz łazienki rozjaśniała już tylko migocząca poświata telewizora plazmowego. Trochę światła napływało też z dołu z kuchni i z korytarza i odniósł wrażenie, że przez moment dostrzegł falujący cień wspinający się po schodach, a potem padający na ścianę przy łazience. Zaraz potem cień zniknął.

Kurwakurwakurwamać.

Światła na dole zgasły. Telewizor też się wyłączył.

- Proszę! Weź, co chcesz i idź sobie! - rzucił w ciemność, a jego oczy próbowały się do niej przyzwyczaić.

Usłyszał odgłos ciężaru opierającego się na jednym ze stopni schodów.

O Boże, o cholera.

- Posłuchaj - wysapał pomiędzy kolejnymi wymęczonymi oddechami - mój portfel jest w mojej marynarce w kuchni. Jest w nim co najmniej kilkaset funtów.

Bez odpowiedzi.

- Jest tam też karta kredytowa - rzekł i zaaplikował sobie dawkę.

- Numer PIN to jeden, cztery, sześć, sześć.

Znów usłyszał skrzypnięcie na schodach i wiedział, że to był ten drugi skrzypiący stopień, u samej góry.

- Proszę! Weź, co chcesz, i idź sobie!

Próbował wychwycić szczegóły otoczenia, rozjaśnionego tylko słabą, rozrzedzoną bursztynową poświatą z latarni ulicznej na zewnątrz.

- Przyszedłem, aby cię zabić, Tom - dobiegł cichy szept zza otwartych drzwi łazienki.

- Kim jesteś? - spytał Tom.

- Teraz to już bez znaczenia, prawda?

Z niemałym trudem wygramolił się z wanny pełnej ciepłej, spienionej wody.

- Zostań w wannie!

- D-dobra.

Rób, co każe, Tom, rób, co każe.

Rozpaczliwie poszukiwał w pamięci kogoś, kto mógłby mieć powód, aby chcieć go dopaść. Przyczynił się w różny sposób do aresztowania i skazania co najmniej tuzina morderców. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, jak mogliby...

- Obawiam się, że wiesz trochę za dużo o pewnych sprawach.

- C-co? C-co niby wiem?

- Przykro mi. Nie przyszedłem tu, by o tym dyskutować. Jestem tu, żeby cię zabić.

- Co? Błagam... mam pieniądze... - wykrztusił, z trudem łapiąc oddech. - Jeżeli p-powiesz mi, ile... - Wtem jego oczy wychwyciły jakieś poruszenie. To było skulone, przykucnięte w drzwiach i kołysało się z boku na bok. Kołyszący, kompulsywny ruch. Tom wyteżył pamięć, poszukując najbardziej prawdopodobnych psychicznie chorych przestępców, którzy mogli być za to odpowiedzialni. Przez lata było paru, o których pisał i z którymi przeprowadził rozmowy, ale w sumie nie przyczynił się do ich aresztowania. Nie nasuwał mu się w związku z tym żaden motyw zemsty.

- Czego boisz się najbardziej? - wyszeptał głos.

- Cz-czego się b-boję... czemu pytasz? Dlaczego...

- No dalej. Czego obawiasz się najbardziej?

- P-p-proszę... n-nie...

- Wobec tego pozwól, niech zgadnę.

Tom poczuł, że zaciskają mu się płuca, zakręciło mu się w głowie i omal nie upadł. Usiadł ciężko w wannie. Strugi wody z głośnym pluśnięciem polały się na podłogę.

- Słyszę twój rżący oddech - wyszeptał głos. - Jesteś astmatykiem?

Tom nie odpowiedział.

- Hmm. Moja kuzynka miała astmę. Najbardziej bała się uduszenia. Dręczyły ją z tego powodu koszmary, noc w noc budziła się z krzykiem, z trudem łapiąc oddech.

- Boże, błagam, nie - rzucił rozpaczliwie, sięgając po omacku po swój inhalator.

Głos się zaśmiał. Ten oschły, zimny śmiech brzmiał okrutnie jak śmiech dziecka.

- Obawiam się, że to właśnie pana spotka, doktorze Griffith.

O Boże o Boże o Boże o Boże.

- To może się stać bardzo szybko. Robiłem to już wcześniej kilka razy. - Głos zaśmiał się łagodnie. - Nazywają to podtopieniem... brzmi jak coś przyjemnego, prawda?

- O kurwa, tylko nie to!

- Ale jak się będziesz opierał... to potrwa dłużej, znacznie dłużej. I będzie bardzo

bolało. - Tom ukląkł w wannie i nagle poczuł, że puszczają mu zwieracze. Pośród szumu krwi w uszach i ogłuszającego poświstu powietrza wpadającego przez małą dziurkę w jego gardle usłyszał odgłos wpadających do wody fekaliiów.

- Czas na decyzję. Czy mam siłą wepchnąć cię pod wodę? Czy sam położysz się grzecznie na dnie wanny?

Tomowi zaczęło robić się ciemno przed oczami i cały świat przechylił się gwałtownie w bok.

Osunął się do wody, uderzając głową o porcelanę. Poczł uderzenie i zobaczył przed oczami gwiazdy. Ciepła woda zakryła mu głowę i parsknął, kiedy wpłynęła mu do nosa. Oszołomiony, zdezorientowany, wciąż był na tyle przytomny, by instynktownie podnieść się z wody.

Nagle poczuł olbrzymi ciężar napierający na jego szeroką pierś i przytrzymujący go pod wodą. Poprzez wzburzoną, falującą w wannie wodę, gdy rozpaczliwie wymachiwał rękoma i wierzgał nogami, wydawało mu się, że dostrzega blade oblicze swego zabójcy.

*

Przytrzymał mężczyznę pod wodą przez pełnych pięć minut po tym, jak przestał się już szamotać. To wystarczyło, aby miał pewność, że Griffith jest martwy.

Pokiwał głową z zadowoleniem. Na ciele tamtego pozostaną drobne, prawie niezauważalne sińce; starał się nie przytrzymywać go pod wodą, ściskając rękoma za szyję, miast tego napał całym ciężarem na jego tors - dzięki temu na zwłokach nie pozostały ślady palców ani kciuków. Uczył się od najlepszych.

Sięgnął do wody po inhalator, wyłowił go i nacisnął przycisk, wsłuchując się w syk uwalnianego lekarstwa. Dopiero po minucie inhalator został całkiem opróżniony. Wówczas upuścił go delikatnie na podłogę w łazience.

Niech to wygląda naturalnie.

Zszedł na dół, włączając kolejno wszystkie bezpieczniki, i wrócił do łazienki. Przyjrzał się całej scenie w jasnym świetle lamp łazienkowych; kałuże wody, która wylała się z wanny, ciemny ślad krwi na jej porcelanowym obrzeżu, pusty inhalator odrzucony gniewnie na bok. Miał przed sobą cierpiącego na nadwagę, niezdrowego mężczyznę, który doznał gwałtownego ataku astmy, stwierdził, że zabrakło mu lekarstwa, chciał w przypiływie paniki podnieść się z wanny, ale poślizgnął się, uderzył głową o porcelanę i utonął. Uśmiechnął się.

Może być.

Brytyjscy policjanci to amatorzy, potraktują to jako wypadek. Wątpił, aby ktokolwiek w najbliższym czasie połączył ze sobą te dwa zabójstwa. Gdyby jednak jakiś bystry śledczy

zwrócił w końcu uwagę, że obaj denaci znali niejakiego Juliana Cooke'a, będzie już za późno na jakiegokolwiek przesłuchanie, ponieważ wspomniany pan Cooke stanie się kolejną niefortunną ofiarą bezlitosnej przyrody, pechowym, źle przygotowanym turystą pieszym, który zaginął bez śladu w leśnych ostępach gór Sierra Nevada.

Przygłośnił telewizor, umieszczony w specjalnej niszy w granitowej ścianie. Akurat nadawano wiadomości. Popatrzył przez chwilę, zaciekawiony zgoła odmiennym sposobem przedstawiania wiadomości w brytyjskiej telewizji.

Brytyjczycy najbardziej lubią starych, brzydkich prezenterów.

To go rozbawiło, cóż za kontrast, ta para prezenterów, w porównaniu z opalonymi, zadbanymi, telewizyjnymi młodymi wilkami, których oglądał w swoim kraju ojczystym.

To ciekawe.

Zszedł na dół, upewniwszy się, że nie pozostawił żadnych widocznych śladów swojej niezapowiedzianej wizyty, przeszedł przez korytarz do kuchni, a stamtąd przez okno, które otworzył z łatwością, wydostał się na podwórze, przeskoczył przez ogrodzenie i rozpląnął się w mroku nocy.

Rozdział 62

Czwartek

Palo Cedro, Kalifornia

Rose uśmiechnęła się i upiła łyk dobrze schłodzonego becka.

- Nie bardzo wiem, czym jest lingwistyka sądowa. Brzmi imponująco.

Mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem. Dołeczki w obu policzkach sprawiły, że wyglądał jak młody Brad Pitt.

- Tak - mruknął. - To naprawdę ciekawe. W innych krajach też zyskuje coraz większą popularność. FBI wykorzystuje ją od lat.

Lance, chłopak z restauracji, był przystojny, bystry, choć, jak zdążyła się zorientować, trochę zbyt egoistyczny i egocentryczny.

Pomówmy o mnie. O mnie... O mnie...

- Wykorzystują ją również przy zabezpieczaniu dużych firm, filtrując e-maile w poszukiwaniu podejrzanych zwrotów i wzorców komunikacyjnych. - Pokiwał głową. - Tym właśnie chcę się zajmować. Ochrona korespondencji to gruby szmal, jeszcze jak.

- Łał - rzuciła.

- To naprawdę sprytny bajer, Rose - rzekł, popijając becka z butelki. - To jak ludzie się komunikują, jakich słów używają, kiedy, dajmy na to, mówią prawdę, a jakich, gdy kłamią. Kiedy czytasz fałszywy e-mail albo sfabrykowany list samobójczy, a wiesz, jak to działa, jakie procesy zachodzą w naszym mózgu... wszystko staje się oczywiste. - Wychylił się do przodu, stawiając stopy na podpórkach stołka barowego, po obu stronach jej nogi, i zdecydowanym, jakby mimowolnym ruchem położył rękę na jej udzie. - Weźmy na przykład sfabrykowany list samobójcy. Mąż wiedział, że żona go zdradza, i postanowił ją zabić, bo się wkurzył, a może jego ślubna miała wysoką polisę ubezpieczeniową. Tak więc któreś nocy, kiedy zapewnił sobie solidne alibi, zakradł się do domu, zmusił ją do napisania listu pożegnalnego, a potem odstrzelił jej głowę z rodzinnej strzelby.

- Pięknie.

Lance się uśmiechnął.

- Znów wyszedł, a potem wrócił do domu, przekonany, że ma niezbite alibi,

„odnalazł” ciało żony i wezwał policję. Policja była przekonana, że ma do czynienia z listem samobójczym, dopóki treść listu nie trafiła do FBI. I to jest właśnie najfajniejsze - rzekł, kiwając głową.

- Nie znaleźli żadnych tkanek, włókien czy odcisków mogących łączyć męża ze sprawą. Charakter pisma był jej, to oczywiste. Nie mieli na niego nic, poza... językiem, jaki został użyty do napisania listu.

- Językiem? - Rose to zaintrygowało. - To znaczy?

- To nie był język samobójców.

- Hm?

- Cóż - dodał - język wydawał się aż za bardzo wskazywać na depresję, aby mógł być prawdziwy.

- Za bardzo? - Rose pokręciła głową. - Ona rzekomo strzeliła sobie w głowę. To chyba oczywiste, że w jej pożegnalnym liście musiała pojawić się depresja.

- No nie, widzisz, to pospolity błąd. Większość ludzi uważa, że osoba, która zamierza odebrać sobie życie, jest skrajnie przygnębiona. Ale to nieprawda, bo ten człowiek właśnie znalazł sposób na poradzenie sobie z problemem. Widzisz? Znalazł rozwiązanie, więc teraz już wszystko gra, wszystko jest w porządku... wiem, jak się z tym uporać.

- A rozwiązaniem jest samobójstwo?

- Otóż to. Tak więc, kiedy samobójcy piszą swoje listy, są one pełne pozytywów, optymistyczne, wręcz szczęśliwe. - Uśmiechnął się niemal triumfalnie. - Takie są prawdziwe listy pożegnalne. A tamten facet zmusił żonę, by napisała list ponury, smętny, w rodzaju: nienawidzę tego świata, więc zamierzam ze sobą skończyć i w ogóle. - Zaśmiał się. - Gość był kompletnym idiotą. I dlatego federalni go dopadli.

Spojrzała na niego i nagle coś zaświtało jej w głowie.

- Chcesz powiedzieć, że wystarczy, abyś spojrzał na fragment czyjegoś pisma i potrafiłbyś stwierdzić, czy osoba, która to napisała, kłamie czy nie?

- Jasne. Jak powiedziałem, lingwistyka sądowa to przyszłość. - Upił kolejny łyk i ciężko odstawił butelkę na blat. - Widzisz, ktoś, kto kłamie, wykorzystuje jedną z dwóch lub trzech strategii oszustwa. Sęk w tym, aby zorientować się, jakiej strategii używa. To można określić na podstawie stosunku przymiotników do rzeczowników i takich tam. To proste, kiedy wiesz, jak to działa.

- W porządku - rzekła, sięgając do torebki. Wyjęła teczkę, przerzuciła parę stron, wybrała jedną i mu podała. - Mógłbyś na to spojrzeć?

Popatrzył z rozbawieniem na podsuniętą kartkę.

- Teraz? Tutaj?

Rose rozejrzała się dokoła. W barze tego wieczoru, o tak wczesnej porze było w miarę spokojnie. Domyślała się, że w takich niedużych miejscowościach to był zapewne standard.

- Owszem, czemu nie?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- W sumie czemu nie, mogę rzucić na to okiem. - Podała mu kartkę, a on, ujrzawszy, co na niej widnieje, nieznacznie przymrużył powieki. - Co to jest?

- To transkrypcja z dziennika, nad którym pracuję. Chciałabym wiedzieć, czy autor pisał o tym, co faktycznie zobaczył, czy - spojrzała na niego - wszystko zwyczajnie zmyślił.

Lance pokiwał głową.

- Tylko ta strona, tak?

- Jeśli dasz radę? - rzekła, uśmiechając się słodko.

- Dobra... powinno mi to zająć jakieś pięć minut.

- W porządku, a ja tymczasem zamówię dla nas po jeszcze jednym piwie.

Poprosił barmana o długopis.

- Potrzebuję odrobiny spokoju. Będę tam - rzekł, wskazując kącik z dala od kontuaru i wiszącego nad nim hałaśliwego telewizora. Patrzyła, jak odchodzi i zaczyna badać słowa, podkreślając niektóre z nich długopisem.

Gdy tak go obserwowała, poczuła wyrzuty sumienia. Ten dzieciak najwyraźniej spodziewał się, że ją dziś zaliczy, ale Rose już ponad godzinę temu stwierdziła, że to byłby błąd. On chciał tylko móc zaznaczyć kolejny karb u wezłowia swego łóżka, to wszystko.

Zaczęła obmyślać strategię dyskretnego wycofania się, kiedy zmienił temat z życia studenckiego na dyskusję o lingwistyce.

To wzbudziło jej zainteresowanie.

Podeszła do baru i zgodnie z obietnicą zamówiła jeszcze dwa piwa. Skierowała wzrok na ekran telewizora za barem. Akurat trafiła na Report Card, satyryczny program informacyjny, w którym dwóch mało znanych komików komentowało bieżące wydarzenia.

- ...to było chyba najbardziej zaskakujące oświadczenie tego tygodnia. William Shepherd, niezależny mormoński kandydat z Utah, postanowił przerwać na pewien czas swoją kampanię, by omówić z Bogiem dalszą strategię swego zespołu.

Rozległ się śmiech, z playbacku, jak stwierdziła Rose.

- To ciekawe, Steve. Wygląda na to, że Shepherd zrobił sobie przerwę pomiędzy rundami, jak Rocky Balboa, żeby wysłuchać poleceń trenera.

Na ekranie pojawił się narożnik ringowy, a w nim jeden z komików

ucharakteryzowany na mocno już poobijanego i posiniaczonego Rocky'ego. Starannie wymodelowana siwa peruka na głowie i Biblia pod pachą sugerowały, że udawał Shepherd. W narożniku pojawił się też drugi komik z dolepioną, sztuczną, siwą brodą, grubymi, sztucznymi brwiami i w wełnianej, tandetnej czapeczce. Zaczął energicznie rozmasowywać ramiona „Shepherda”.

- Musisz wrócić do walki, Sheppy! - warknął z charakterystycznym, zadziornym akcentem z Filadelfii. - Te wielkie tłuki padną jak ścięci, jeżeli trafisz ich prosto w pysk.

- No nie wiem, Boże - wysapał Sheppy - oni mnie wykończą.

Bóg podsunął Sheppy'emu spluwaczkę, a ten splunął do niej.

- Musisz lać ich tam, gdzie boli najmocniej. Rozumiesz, Sheppy? Walić tam, gdzie najbardziej boli.

- Czyli gdzie?

Bóg wzruszył ramionami.

- Nie wiem, do diabła. Rusz głową, durniu. Po to dałem ludziom mózgi, żeby z nich korzystali. - Rozległ się gong i Sheppy zniknął z ekranu. Bóg patrzył i krzywił się na dźwięk wyjątkowo zażartej wymiany ciosów. Kolejny gong i Shepherd kulejąc, wrócił do narożnika jeszcze bardziej posiniaczony i poobijany.

- To naprawdę wielcy skurwiele, Boże. Nieźle mi dokopują.

Bóg przez chwilę drapał się po brodzie.

- Szlag by to... Chcesz, żebym do ciebie dołączył?

Sheppy pokręcił głową.

- Muszę trochę odpocząć.

Rozległ się gong, a Bóg wszedł między liny.

- Życz mi powodzenia.

Spoza kadru przez kilka sekund słyhać było dźwięki energicznej wymiany ciosów, aż nagle ekran wypełnił oślepiający błysk, a po nim rozdzierający grzmot. Przed twarzą Sheppy'ego przepłynęła smużka dymu.

Bóg wrócił do narożnika, a jego osmalone rękawice wciąż jeszcze dymiły.

- Banda mięczaków.

Śmiech z taśmy poprzedził ponownie pojawienie się na ekranie duetu komików:

- Rany, Steve. Jeżeli masz Boga po swojej stronie, to jasne jest, że nie możesz przegrać, prawda?

- Pewno, że tak. Gdy ma się po swojej stronie Boga i dwa miliardy dolarów na kampanię.

Na ekranie pojawił się obraz przedstawiający Shepherda przemawiającego na wiecu wyborczym na początku tego tygodnia, widać było raz po raz błyski fleszy. Shepherd mówił z ożywieniem, unosząc obie ręce w górę, ale głos za niego podkładał jeden z komików.

- ...obiecuję wam niniejszym, dobrzy ludzie, że rozmówię się z Bogiem w paru kluczowych sprawach. O, tak. Pomówimy sobie o poukładaniu pewnych spraw w starych, dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki. Po pierwsze, uczynię Boga zwierzchnikiem Rezerw Federalnych. Może ześle nam trochę prawdziwych dolarów, zamiast tego papierowego szajsu, który dziś nazywamy pieniędzmi. A potem nakopiemy w dupę brudasom ze Środkowego Wschodu...

Barman sięgnął ręką i zmienił kanał.

- Kretyni - mruknął.

- Jest pan miłośnikiem? - spytała Rose.

- Programu czy Shepherda?

- Programu.

- Zazwyczaj ci dwaj są całkiem zabawni.

- Ale nie dziś?

- Nie. - Przełączył na kanał sportowy. - Ten Shepherd to jedyny facet ubiegający się o urząd, który jest wart złamanego centa. A inni? To banda pasożytów albo zakłamanych liberałów. Nie ufam już żadnej partii.

Upiła łyk piwa.

- Sądzi pan, że ma szansę?

- Mam nadzieję. Mój głos dostanie na pewno - odparł barman.

Rose usłyszała cichy dźwięk telefonu z drugiego końca baru. Barman przeprosił i podszedł, aby odebrać.

W chwilę potem Lance dołączył do niej i sięgnął po piwo, które mu przyniosła.

- Łał - rzekła. - Szybko się z tym uporałeś.

Uśmiechnął się.

- A niech mnie, siedzę w barze z naprawdę seksowną Angielką - odparł. - Kiedy muszę, potrafię być naprawdę szybki.

Rose odwzajemniła uśmiech. Jego prosty, żeby nie powiedzieć prostacki, młodzieńczy język miał w sobie pewien urok.

- I co o tym sądzisz, Lance?

Pokręcił głową, odkładając kartkę na kontuar i sadowiac się na stołku obok niej. Widziała słowa, które były podkreślone i inne zakreślone, pojawiły się też notatki na

marginesach.

- Wiesz, muszę przyznać, że dość ciężko mi się to czytało - oświadczył, kręcąc głową.

- To się działo dość dawno temu, tak? Bo język jest raczej staroświecki.

Rose potaknęła.

- To zostało napisane ponad sto pięćdziesiąt lat temu.

Aż wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Ekstra!

- No więc?

- No więc... Chcesz wiedzieć, czy osoba, która to pisała, kłamała czy też nie?

- Tak.

Lance przygryzł dolną wargę.

- Cóż, nie mogę tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale patrząc na pewne słowa wybrane przez autora, powiedziałbym, że po części te zapiski *mogły* zostać zmyślone. Odnajduję tu słowa, które poniekąd zdystansowują autora, oraz to, co określamy mianem wypierających szczegółów, gdzie autor aż nazbyt koncentruje się na drobnych, mało znaczących detalach, zamiast na rzeczach istotnych, czyli - tu spojrzal na nią - jak w tym wypadku na opisie ciała.

- Chcesz powiedzieć, że to może być nieprawdziwa relacja, fałszywy zapis zmyślonych wydarzeń?

- Część z nich może być nieprawdziwa, ale nie wszystkie. Tak w każdym razie uważam. To tyle.

Rose z pewnym zdziwieniem poczuła, że ogarnia ją głębokie rozczarowanie. Po lekturze sporych fragmentów dziennika Lamberta miała wrażenie, że zdołała go w pewnym sensie poznać jako człowieka, może nawet lepiej niż niektórych z jej przyjaciół z rodzinnych stron. Zaufała mu.

Lance znów położył rękę na jej udzie.

- Ale zrozum, że to była tylko szybka ocena, dokonana w barze. W dodatku po paru piwach. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej znacząco. - Moje myśli są obecnie skupione na czymś innym. Jak powiedziałem, nie mogę mieć całkowitej pewności, jasne?

- Tak - odparła z uśmiechem. - Chyba tak.

Jego dłoń zawędrowała trochę za wysoko, w niewłaściwym kierunku, schwyciła ją więc stanowczo i ścisnęła.

- Posłuchaj... Lance - rzekła niepewnie. - Fajny z ciebie chłopak i nie wątpię, że łamiesz serca kobietom na prawo i lewo, świetnie mi się z tobą rozmawiało...

Jego przyjazny uśmiech nagle przygasł.

- Ale?

- Ale... - Skinęła głową. - Nie chcę dziś z tobą wracać. - Wysiliła się na lekki uśmiech.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Westchnął.

- A niech to, ale wtopa.

Sądząc po wyrazie jego przystojnej, jak wyciosanej z kamienia twarzy nie przywykł do tego, żeby dostawać od kobiet kosza. Poczula drobne wyrzuty sumienia, że wykorzystwała jego buzujące hormony, i pomimo rycerskich protestów Lance'a, uregulowała cały rachunek.

Podziękowała mu za cudowny wieczór, pozwoliła odprowadzić się na parking, gdzie zostawiła swój samochód, i uznała, że jest na tyle trzeźwa, że może usiąść za kółko i wrócić do Blue Valley. I przez cały czas zastanawiała się nad nasieniem z wątpienia, jakie mimowolnie zasiał w jej głowie Lance.

Rozdział 63

1 listopada 1856

Dziś po nas przyjdą. Tak Keats mówi swoim ludziom. Nic na to nie poradzę, ale chyba się z nim zgadzam. Niektórzy - jak Weyland i Bowen - uważają że powinniśmy zrobić, czego żąda Preston i niezwłocznie odejść. Keats powiedział jednak, że to oznaczałoby pewną śmierć. Zamiast odejść, przygotowujemy się do obrony. Keats zapewnia, że mając tak niewielką przestrzeń do obrony, możemy powstrzymać ich w nieskończoność

Przez cały rano rozbieraliśmy nasze małe skupisko szałasów i z tych materiałów zbudowaliśmy niewielką enklawę z barykadą z gałęzi i desek powyrywanych z tego, co zostało z naszych wozów. Nasuwa się zatem pytanie: w czym będziemy dziś spać?

*

W powietrzu było aż gęsto od spadających płatków śniegu, sypało przez cały poranek, a widoczność została ograniczona zaledwie do kilku metrów. Teraz powoli przestaje padać, widać już tylko pojedyncze płatki, a na niebie powyżej dostrzec można małe skrawki błękitu.

Znów mogli zobaczyć przeciwległy kraniec polany. Ben przyglądał się tłumowi zebranemu przy drugim ognisku i wsłuchiwał się w odmawiane przez nich modlitwy.

Skoro on ich widział, to oni także mogli zauważyć toczące się w ich obozie prace. Ben zdziwił się, że pozwolono im zbudować te umocnienia i że nikt ich nie pilnował. Zastanawiał się, czy Preston jest po prostu bardzo przebiegły - obserwował, jak rozbierali szałas, i teraz wystarczyło już tylko cierpliwie czekać. Do jutra rana za ich pospiesznie wzniesioną barykadą pozostaną dwa tuziny zamrożonych na kamień ciał. Kiedy zajdzie słońce, zostaną wystawieni na mróz, wiatr i śnieg, a nie mieli się już gdzie przed nimi schronić.

Kiedy tak patrzył, grupa modlitewna zaczęła się w końcu rozchodzić i grupki, poszczególne rodziny, ruszyły do swoich szałasów, aby się ogrzać. Wiele z tych osób, których twarze z tej odległości były jedynie bladymi owalami, otulonymi chustami i szalami, popatrywało ukradkiem w ich stronę. Czuł ich podejrzliwość i gniew, przepływające nad połącją ziemi niczyjej jak chmura trujących gazów.

Zastanawiał się, w co zmieniły ich słowa Prestona, którymi karmił ich przez cały rano. W mściwą tłuszczę? Tłum spragniony linczu?

Obok niego, oparty o kruchą, wysoką do pasa barykadę z nagromadzonych gałęzi i desek, Keats wykrzykiwał kolejne rozkazy pod adresem pozostałych - mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci, pracujących ciężko, by dokończyć budowę umocnień.

- Co widzisz, Lambert?

Keats powierzył obserwację ludzi Prestona Benowi, który jego zdaniem miał z nich wszystkich najlepszy wzrok.

- Zebranie dobiegło końca i na razie się rozchodzą.

Ludzie Prestona wrócili do swoich szałasów, pozostawiając parę grupek mężczyzn wymachujących strzelbami i spoglądających w ich stronę. Próbował dostrzec Prestona. Nawet teraz zastanawiał się, czy desperacki bieg przez otwartą przestrzeń i błaganie duszpasterza na kolanach o zdrowy rozsądek i zwykłe ludzkie miłosierdzie wruszyłyby go do tego stopnia, że pozwoliłby im przetrwać wspólnie ze swymi wyznawcami tę ciężką próbę.

Oczywiście, że nie.

Wreszcie udało mu się wypatrzeć wysoką, szczupłą postać Prestona. Podczas gdy inni skryli się w szałasach, aby się ogrzać, on przebrnął przez wysoki do kolan śnieg na skraj polany, przeszedł pod wielkim cedrem, z gałęzi którego zwisał rankiem Vander, i wszedł na wzniesienie. Głowę miał pochyloną, wydawał się pogrążony w zamyśleniu i modlitwie, a może toczył wewnętrzną dyskusję; Ben mógł sobie wyobrazić jego przekrwione oczy i rozszerzone źrenice, liczne tiki pojawiające się na twarzy i skórę błyszczącą od potu... takim go ostatnio zapamiętał. Preston wspiął się na łagodne wzniesienie i bez chwili zawahania czy obaw przed tym, co mogło się kryć w puszczy, zniknął wśród ośnieżonych świerków.

- Dokąd się wybierasz? - wyszeptał pod nosem Ben. Lambert spojrział na swój dziennik i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo chłód wsączający się w jego bolącą rękę wpływał na jego pismo; a może to raczej strach przed tym, co miało nadejść. Trudne do odczytania słowa ciągnęły się niemal przez całą stronę, opadając ku jej dołowi, rozcieńczony atrament powodował zacieki i plamy, sprawiając, że jego słowa wyglądały jak dziecięce gryzmoły. Mimo to nieustrudzenie pisał dalej, jego pióro ze skrzypieniem przesuwano się po kartce prowadzone zdrętwiałymi, niemal pozbawionymi czucia palcami.

*

Jestem teraz, prawie, pewien że to Preston zabił Dreytonów. Przez chwilę podejrzewałem, że to mógł być Vander. Jednak wydaje się oczywiste, że noża rzeźnickiego nie dzierżyła jego ręka. Preston, jak podejrzewam, jest człowiekiem, który potrafi zabijać z brutalną bezwzględnością i skrywać złe uczynki pod maską ujmującej powierzchowności. To silny człowiek, wywierający potężny wpływ na swoich wiernych. Tacy ludzie są niebezpieczni.

Ale jeszcze groźniejszym, czyni go fakt, że on także się boi. Taki człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Czy Emily widziała, jak ten człowiek pociął jej brata i matkę na kawałki jak rzeźnik?

*

Ben spojrzał na stronicę swego dziennika, na niewyraźne słowa wychodzące spod jego pióra. Podejrzewał, że nikt nigdy nie zdoła ich odczytać. Pod koniec każdej linijki, kiedy na czubku stalówki brakowało już atramentu, ostatnie słowa były nie tyle pisane, ile raczej ryte na papierze. Drżącą dłonią ostatni raz zanurzył stalówkę w rozrzedzonym atramencie, a raczej osadzie z atramentu, bo na dnie kałamarza pozostała już tylko odrobina brudnej, ciemnoniebieskiej wody.

Keats ma rację. Przyjdą dziś po nas. Ale uważam, że jest w błędzie, myśląc, że mamy jakąkolwiek szansę.

Sucha stalówka znów skrobnęła papier. Potrząsnął piórem, by wydobyć ze stalówki ostatnią kroplę atramentu.

Nie mam już atramentu. To koniec. Jeżeli nikt z nas nie przeżyje tej nocy, niechaj będzie wiadome, że to nie demon, w duchowym znaczeniu tego słowa, nas uśmiercił... lecz szalenciec nazwiskiem William Preston. Jestem o tym przekonany.

Zamknął obity skórą dziennik i włożył do niewielkiego kufra podróżnego, stojącego tuż przy nim na ziemi. Wyciągnął go wraz z resztą swego niewielkiego dobytku tuż przed tym, jak rozebrano jego szałas, by pozyskać zeń drewno do budowy barykady. Z kufra wyjął portret przedstawiający go wraz z matką, zrobiony na dzień przed podróżą Lamberta do Ameryki. Przez chwilę czule dotykał portretu koniuszkami palców.

- Wybacz, matko.

Podejrzewał, że nie przywiezie tej książki do ojczyzny, aby matka mogła ją przeczytać i żeby „Times” mógł ją opublikować. Schował fotografię do kufra, opuścił wieko i zamknął je na klucz.

Keats zawołał do niego:

- Obserwujesz, Lambert?

Ben poruszył się nerwowo, na chwilę przerwał swoje obowiązki. Odwrócił się, by zlustrować wzrokiem polanę.

- Ich zebranie się skończyło. Większość wróciła do szałasów.

Znów na nich spojrzał rozbawiony, że nie próbowano im przeszkodzić w zbudowaniu umocnień. Pół tuzina twarzy obserwowało ich z daleka, wszyscy byli uzbrojeni. Padający tego ranka śnieg zamaskował ich poczynania, a towarzyszące temu hałasy mogły zostać

potraktowane jako odgłosy pakowania się. Teraz jednak, kiedy się rozpogodziło, ludzie Prestona bacznie ich obserwowali. I... Nagle przerwał ten tok rozumowania.

Zamaskowani.

Maska.

Przebranie.

- Gdzie Preston? - zawołał Keats, ale Ben go zignorował.

O, Boże, to przebranie.

Przypomniał sobie opis „anioła” podany przez roztrzęsioną panią Rutherford - opis, który Preston chciał, aby usłyszeli jego wierni. Opis, który, płynący z drżących ust kobiety, brzmiał przerażająco.

Zrobiony z kości.

- Lambert? Jak nie obserwujesz, to pomóż, do cholery! - rzucił ze zniecierpliwieniem Keats, kiedy on, Bowen, Hussein i Weyland wyciągali ze śniegu pozostałości jednego z wozów.

Przebranie. Musiał być na to dowód... Ale gdzie go szukać?

Ben był przekonany, że dowód winy Prestona musi znajdować się gdzieś wśród tych wzgórz, a konkretnie w tamtej chacie - dowody musiały walać się wszędzie: okrwawione narzędzia, ubranie, kałuże i rozbryzgi posoki na śniegu wręcz krzyczały o jego winie równie głośno, jak barwiły ziemię. To Preston zdecydował, że szalas starego trapera ma pozostać w nienaruszonym stanie.

Na Boga... Tak!

Ben podniósł się i sięgnął po strzelbę.

Keats spojrział na niego, zdezorientowany.

- Lambert?

Nie chciał zwlekać i wyjaśniać mu, co zamierza. Nie było na to czasu.

Widział, jak Preston znika między drzewami, i mógł się tylko domyślać, że ten obłąkany drań kierował się do chaty trapera, aby przywdziać swój kostium. Niedługo nadejdzie zmrok i podejrzewał, że Preston zjawi się o zmierzchu jako niosący pomstę anioł gniewnego Boga, by w ten sposób nakłonić przerażonych wiernych do ataku na obóz sąsiedni. Wciąż mieli jeszcze świeżo w pamięci widok ciała Erica Vandera i z pewnością będą wyobrażali sobie siebie na jego miejscu.

Mogę to powstrzymać.

Przeszedł szybko przez ich niewielki, nowo wzniesiony szaniec, przegramolił się z tyłu przez wątlą barykadę i nisko pochylony przebiegł przez polanę, aby nie spostrzegł go

żaden z wartowników Prestona w obozie tamtych.

- Lambert! - zawołał w ślad za nim Keats. - Co ty u licha wyprawiasz?

Ben dotarł do linii drzew i obejrzał się przez ramię. Wyglądało na to, że tamci nie zauważyli, że wymknął się z obozu. Keats tymczasem słał pod jego adresem coraz to wymyślniejsze wyzwiska, oskarżając Bena, że ucieka jak ostatni tchórz.

Spojrzał w górę na gęsty baldachim gałęzi jodłowych i łagodne wzniesienie, gdzie o tej porze, późnym popołudniem, wśród drzew zalegały mroczne, odpychające cienie, po czym raz jeszcze upomniał się w duchu. *Tam nie ma żadnych aniołów ani demonów - tylko szalenie.*

To stwierdzenie nie uspokoiło go tak bardzo, jak na to liczył.

Dotarł do linii drzew. W chwilę potem polana została daleko w tyle, zupełnie stracił ją z oczu i został sam w ośnieżonej puszczy, w której panowała grobowa cisza.

Rozdział 64

1 listopada 1856

- Przemów do mnie - wyszeptał ochryple Preston.

Przeszedł przez wysokie do pasa, krzaczaste zarośla wrzośca, które podrapały mu dłonie, i znalazł się na niewielkiej przecince. Trwające od blisko tygodnia opady śniegu zmieniły to miejsce z krwawej jatki w dziewiczo białą, leśną sielankę. Na kłodzie nie było już widać zamarzniętych śladów, świadczących o brutalnej tragedii, jaka się tu rozegrała.

Przeszedł po śniegu, opierając rękę na kłodzie, i odgarnął świeżą warstwę białego puchu, aż ujrzął czarną jak smoła zastygłą krew Dorothy. Poczuł, że pojedyncza łza spływa po jego zimnym, ziemistym, zapadniętym policzku, i odruchowo upewnił się, że jest sam, zanim pozwolił sobie na okazanie głębszych uczuć i głośne chlipnięcie.

- Dlaczego Dorothy? - Głos łamał mu się z żalu. - Dlaczego Dorothy? Dlaczego Sam? Czemu mnie tak karzesz? Czyż nie uczyniłem wszystkiego, czego ode mnie zażądałeś?

Jego słowa popłynęły w pustkę i pozostały bez odpowiedzi.

- Eric i Saul... nie byli ludźmi czystego serca, teraz już to wiem. - Kolejne łzy spłynęły po jego policzkach aż na gęstą, ciemną brodę. - Ale Dorothy była dobrą kobietą. Oddała się Tobie, oddała się mnie. - Otarł twarz szorstkim rękawem. - Dała mi syna i córkę, dwójkę wspaniałych dzieci. - Uniósł wzrok ku szaremu, posępnemu niebu. - Musiałem ich poświęcić. Wiesz o tym. Musiałem. Dorothy dręczyły wątpliwości... które rozsiałyby wśród moich ludzi i to by ich zniszczyło.

Preston szlochał. Ciszę przerwał dochodzący z góry trzepot skrzydeł jakiegoś spłoszonego ptaka. Ptak poderwał się z jednej z wyższych gałęzi, przeleciał nad polaną i zniknął ponad drzewami.

- Kochałem ją! I moje dzieci też! Poświęciłem je dla Ciebie! - Preston osunął się na kolana, po raz pierwszy w całym swoim życiu czuł się kompletnie osamotniony.

Bóg odwrócił się ode mnie.

Zamknął oczy, przyjmując prawdę, która odebrała mu resztki woli życia.

Nie jestem tym, którego sobie upodobał, aby głosił Jego ewangelię.

- Rozgniewałem Cię, w jakiś sposób - wyszeptał. Choć nie powiedział tego głośno,

domyślał się, o co chodziło - o płyty - święte płyty Josepha Smitha, które nie należały do niego i nie jemu zostały dane.

Dane? Przecież zwyczajnie je ukradł. To była kradzież!

- Nie! - zawołał. - Nie ukradłem ich. Ja... myślałem, że Twoją wolą jest, aby do mnie trafiły! Myślałem, że Twoją wolą jest, żebyśmy dostali je w swoje ręce.

Mgliste wspomnienie ciemnej nocy i czynu, jakiego dokonał z pomocą dwóch innych mężczyzn, powróciło do Prestona z otchłani innego życia i innego czasu. Prawdziwe wspomnienie niemal całkiem się rozmyło i zostało zastąpione innym, znacznie łatwiejszym do przyjęcia, w którym boska inspiracja przywróciła do niego dwie zbłąkane owieczki - Erica i Saula, dźwigających dar od Boga, którego nie pojmowali! Tylko on zrozumiał prawdziwą wartość księgi z metalowych płyt i małego worka kości, które przynieśli. A jednak... prawda, przed którą prawie zdołał się ukryć i zapomnieć, powracała, by go nękać. Wspólnie we trzech dokonali tej kradzieży, ukradli coś, co pochodziło od Boga, i teraz jego anioł Nefi powrócił... powstał z płóciennego worka kości i był gotów nieść złoczyńcom gniew Pana.

Preston poczuł, że łzy strachu i wstydu spływają mu po policzkach.

- Przepraszam... wybacz mi! Przepraszam, że wziąłem te rzeczy!

- Jego łamiący się głos odbił się echem od milczących drzew dokoła.

Kości, szczątki Nefiego nigdy nie szeptały do niego, wbrew temu, co ogłaszał dumnie swoim wiernym. Nigdy nie powstał z nich anioł, by usiąść przy nim i odczytywać dla niego treść płyt, zapisanych w niezrozumiałym dla niego języku. A jednak zniecierpliwiony Preston wykonał pierwszy krok, tworząc swoją Księgę Nowych Nauk.

- Wybacz mi moją niewiedzę, Boże! - zaszlochał. - Ale musiałem rozpocząć pracę. Musiałem. Moje dzieci potrzebowały przewodnictwa. Sądziłem, że kierujesz moją dłoń! Myślałem... - Wyjął z kieszeni długiego płaszcza nóż i wysunął go z pochwy. Oczy wciąż miał zamknięte, ale czuł zimne ostrze klingi trzymanej w dłoniach. - Źle postąpiłem. Odbiorę sobie życie... bylebyś tylko zechciał oszczędzić moich wiernych. - Czekał z zamkniętymi oczami, czując nowy podmuch wiatru na skórze, szelest gałęzi powyżej i zrozumiał, że coś się zbliżało.

Słyszę to.

Przypomniał sobie głos mądrości z jednej ze swych burzliwych wizji.

Nigdy nie patrz w oblicze jego gniewu... W przeciwnym razie twoja dusza przepadnie na wieczność.

Oczy wciąż miał mocno zamknięte, gdy wiatr przybrał na sile, drzewa zaczęły się kołysać. Czuł, że ziemia pod jego stopami wibruje od kroków czegoś wielkiego, co zbliżało

się do przecinki

Jest już blisko.

Usłyszał trzask łamanych gałęzi, rozchylanych przez coś wielkiego i potężnego. I nagle uświadomił sobie, że to jest na tej samej przecince co on, stoi przed nim. Nie otwierał oczu. *Nie patrz.*

Preston wcale nie musiał otwierać oczu. Oczyma duszy widział, jak to coś musi wyglądać - było wysokie, masywne jak dom, lśniące i emanujące nieujarzmioną energią Bożego gniewu. Oczyma duszy ujrzał ogromną głowę, wyglądającą jak czaszka, oraz rogi i górujące ponad nimi długie, ostre wyrostki kostne.

- W-weź mnie - wyszeptał, a jego wąskie usta zadrżały, gdy oczekiwał na brutalny cios, który rozpruje mu brzuch i sprawi, że parujące trzewia wyleją się na ziemię u jego stóp.
- Oszczędź pozostałych, błagam.

Odpowiedzią była cisza. Słyszał tylko głęboki zdyszany oddech giganta, którego miał przed sobą, czuł, że jego olbrzymia sylwetka kołysze się, spoglądając w dół na tego żalosego człowieka, który sądził, że ma wystarczająco czyste serce, iż mógłby przekazywać ludziom słowo Boże.

Preston dopiero teraz to zrozumiał. To właśnie serce, skalane arogancją, przesądziło o jego porażce i skazało na potępienie jego i resztę wiernych. Zastanawiał się, czy anioł wahał się w podobny sposób przed wypruciem wnętrzości Saulowi i Ericowi; czy słuchał beznamytnie ich drżących błagalnych głosów, proszących o wybaczenie, zanim w końcu bez litości rozerwał ich na strzępy.

Preston uświadomił sobie, że na tej przecince Emily musiała mieć otwarte oczy, ujrzała tę postać i w tej samej chwili skazała się na wieczną zgubę. Zgroza tego, co ujrzała, pozbawiła ją zdrowych zmysłów, pozostawiając jedynie oddychającą powłokę, którą opiekowali się przez cały ubiegły tydzień.

Boże, biedna dziewczynka.

Lepsza byłaby już krwawa i okrutna śmierć. Czyż można porównywać chwilę agonii, gdy widzisz na śniegu u swoich stóp stertę parujących trzewi, a twoja świadomość powoli odpływa - z całą wiecznością udreki i cierpienia? Ta śmierć, od której dzieliły go sekundy, będzie bez wątplenia bolesna i okrutna, ale z pewnością łagodniejsza niż los, jaki był pisany jego córce.

Biedna Emily.

- Zakończ moje życie - wyszeptał. - Nie jest nic warte. - Wyczuł, że to poruszało się wokół niego, z przodu po prawej, a w końcu z tyłu, za nim... krążyło i przyglądało mu się w

milczeniu. Czuł, jak ziemia wibruje w rytm kroku tej istoty, ogromnego ciężaru przenoszonego z jednej nogi na drugą, czuł też bijącą z niej energię. Coś ciepłego spłynęło po jego udach i Preston pojął, że jego upokorzenie jest całkowite. - Jestem gotów umrzeć, Panie. - Podmuch wiatru ze świstem przemknął między gałęziami powyżej, liście i jodłowe szyszki zaszeleściły zgodnie. Usłyszał, jak anioł stąpa ciężko na wprost niego, poczuł na twarzy jego gorący oddech i siarczany, cuchnący odór śmierci.

- Oszczędź ich, błagam! - wyszeptał rozdygotany. Ciszę zakłócał tylko głęboki, grzmiący, zdyszany oddech. I nagle w mrocznych zakamarkach swego umysłu, gdzieś głęboko w głowie, usłyszał cichy szept anioła.

Udowodnij, żeś godzien. Zabij obcych. Zabij ich wszystkich.

Rozdział 65

Piątek

Lotnisko Heathrow

- Chyba muszę już wejść na pokład.

Julian przekrzywił głowę i wysłuchał powtórnego komunikatu. Pośród niewyraźnych słów wychwycił, jak sądził, numer swojego lotu i informację - pasażerowie są proszeni na pokład. W hali odlotów zrobiło się lekkie poruszenie i niemal natychmiast przy jednej z bramek ustawiła się kolejka.

- Tak, to mój lot. Spotkasz się ze mną w Reno?

Rose wydawała się zmęczona.

- Tak - mruknęła.

- No dobra, to do zobaczenia dziś, nieco później - odparł. I jakby po namyśle dodał: - Mamy dużo do omówienia. - To był tylko taki haczyk, oczywisty komentarz. To jasne, że mieli o czym pomówić i nie chodziło tu tylko o wspólną pracę.

- Jasne - rzuciła wymijająco. - Dobrze, że już wracasz. - Pożegnali się w ten sam profesjonalny sposób, jak zawsze...

...aż do tamtego wieczoru.

Oczywiście, jak zawsze łączyła ich przyjaźń i laissez-faire. Podniósł się, zabrał swoją torbę i poczłapał w stronę powiększającej się, nierównej i nieopanowanej kolejki przed bramką, zastanawiając się nad ostatnimi słowami Rose.

Dobrze, że już wracasz.

Powtarzał sobie te słowa w głowie, próbując przeanalizować ton i tembr głosu, aby zorientować się, co miała przez to na myśli; co czuła do niego.

Pokręcił głową, to wszystko było takie absurdalne. Sobotni wieczór w restauracji, nadmiar piwa, ekscytacja wywołana odkryciem dziennika Lamberta - flirtowali tylko, ot i wszystko.

To się robi coraz głupsze.

Znali się jak łyse konie, może nawet lepiej niż niejedno małżeństwo. Pracowali wspólnie przez ostatnich parę lat, niejednokrotnie wlewając w siebie litry czarnej kawy, gdy

harowali przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy, by zmontować przygotowany materiał do emisji. Łączyła ich bliska zażyłość, biorąca się także z tego, że podczas kręcenia różnego materiału w różnych miejscach zdarzało im się przebywać wspólnie w wąskich i ciasnych pomieszczeniach, gdzie ich ręce i nogi się dotykały, bo po prostu inaczej się nie dało. Dzielili radość emisji swoich produkcji na kanale BBC2 i rozczarowanie, gdy niektóre materiały odchodziły w zapomnienie, emitowane na mało znanych kanałach cyfrowych. Bóg wie, ile razy wspólnie się upili, wymieniali się płytami i regularnie wykpiwali wzajemnie swoje gusta muzyczne, spali razem w furgonie wraz z członkami kapeli grunge'owej i stali obok siebie daleko z tyłu na wiecu brytyjskiej partii narodowej.

Nieraz flirtowali, licząc na coś więcej... aż do tamtej nocy, rzecz jasna. Od tamtej pory niepokoiła go myśl, że być może czuje do niej więcej, niż mu się wydawało. Ta myśl go przerażała. Lubił bezpieczeństwo ciasnej, samotnej kapsuły, w której żył przez większość swojego życia, nikt nie był w stanie zanadto się do niego zbliżyć i nikt go nigdy nie zranił.

A teraz pojawiła się Rose. Myśl, że mógłby ją wziąć w ramiona i pocałować, poczuć na twarzy muśnięcie jej włosów i drzenie jej ciała, tuż przy swoim... wzbudziła w nim przerażenie. To jakiś absurd.

- Musimy pogadać - mruknął pod nosem.

Facet o byczym karku, z ogoloną głową i w piłkarskiej koszulce Rooneya stojący na lewo od niego, spojrział na Juliana z rozbawieniem.

- Ee, przepraszam - Julian uśmiechnął się niezręcznie. - Mówiłem do siebie. Czasem tak mam.

Mężczyzna pokręcił głową i pomaszerował naprzód z kartą pokładową w ręku.

Julian uznał, że dość już tego. Jeszcze w drodze powrotnej do Blue Valley rozmówił się z Rose co do tego, czy między nimi jest coś więcej i czy tego chcą, czy nie.

- Hej!

Julian poczuł klepnięcie w ramię i odwrócił się, by ujrzeć mężczyznę, który coś mu podawał.

- O co chodzi?

- Zostawił pan to na krześle.

Julian zobaczył, że był to jego blackberry.

- A niech mnie! Ale by było! - przyznał i uśmiechnął się z pokorą, odbierając od tamtego pozostawioną przypadkiem rzecz. Mężczyzna już obrócił się na pięcie, najwyraźniej się bardzo spieszył. Julian chciał mu podziękować, że tamten nie przywłaszczył sobie jego sprzętu. Patrzył, jak mężczyzna przeciska się przez tłum, jeszcze jeden pracuś w ciemnym

garniturze, widział tylko jego potylicę i uniesioną dłoń, w której tamten trzymał kartę pokładową. Jego oczy wychwyciły niezwykle szczegół - słaby, jakby rozmazany tatuaż na wierzchu dłoni mężczyzny. Przypominał jakby łeb lisa.

Jaki dziwny tatuaż, stwierdził w duchu i zaraz znów powrócił myślami do Rose.

*

Miał idealne miejsce, naprzeciwko i dwa rzędy od Cooke'a. Dzięki temu mógł go mieć na oku, ale przez cały lot pozostawał poza zasięgiem wzroku obserwowanego. To istotny fakt: podczas ośmiogodzinnego lotu można dobrze zapamiętać twarze pasażerów pozostające w polu widzenia, do tego stopnia, by je rozpoznać nawet w jakiś czas później, w zupełnie innym otoczeniu, na zatłoczonej ulicy, w supermarkecie, autobusie czy pociągu. Przyglądał się mężczyźnie.

Cooke. Wolał nie używać imienia celu, a jedynie posługiwać się nazwiskiem. To pozwalało na zachowanie niezbędnego dystansu. To przyda się w późniejszym czasie, kiedy będzie musiał zlikwidować cel.

Pozwolił sobie na odrobinę odprężenia. Cooke był odtąd namierzalny. Małe urządzenie lokalizujące, które wsunął pod obudowę palmtopa, miało małą litową baterijkę pozwalającą na wysyłanie sygnałów namierzających przez wiele miesięcy. Zasięg był niewielki, zaledwie kilka kilometrów w zależności od ukształtowania terenu, ale powinno spełnić swoje zadanie, a kto wie, czy w obecnych okolicznościach okaże się w ogóle potrzebne. Cooke zachowywał się dokładnie tak, jak zapowiadał, i kierował się tam, gdzie go oczekiwano - na dyskretne spotkanie z panem Shepherdem, gdzieś na odludziu, w zapomnianym przez wszystkich zakątku o nazwie Blue Valley. Zastanawiał się, czy pan Shepherd nie podejmuje zbędnego ryzyka, zgadzając się na spotkanie z Cookiem. Jego twarz była łatwa do rozpoznania, nawet jeśli używał pseudonimu i drobnej charakterystyki.

Zamknął oczy.

Pan Shepherd wie najlepiej.

Ten człowiek miał przenikliwy, taktyczny umysł i była to jedna z cech, jaką Carl szczególnie u niego szanował; to oraz odwagę, by mówić rzeczy, których większość innych pasożytów, ubiegających się o urząd, bała się powiedzieć głośno. Nawet gdyby mu za to nie płacono, z przyjemnością robiłby to za darmo, aby tylko utorować Shepherdowi drogę do Białego Domu.

Shepherd był dokładnie tym, kogo potrzebował ten cierpiący, popieprzony kraj. Kogoś wiedzonego wyłącznie niespożytą energią wiary, a nie chwiejnymi, niewymiernymi wynikami ostatnich sondaży. Pod wieloma względami Shepherd przypominał Carlowi

Kennedy'ego - był politykiem z przekonania, człowiekiem gotowym do przejęcia steru rządów i skierowania tego chwiejącego się molocha z powrotem na właściwe tory, zanim będzie za późno.

Zdaniem Carla, to Clinton i Bushowie do reszty rozpieprzyli ten kraj. Potrzebny był ktoś nowy, świeży, aby przełamać hegemonię dwóch walczących ze sobą partii politycznych. Dwóch stronnictw, które jednakowo miały obywateli w głębokim poważaniu.

Uśmiechnął się. To było jedno z ulubionych powiedzonek w jego oddziale. Kto je wymyślił? Zastanawiał się przez chwilę, przerzucając ulotne wspomnienia - obrazy, których raczej wolał nie przywoływać - i w końcu skojarzył.

Steve. Sierżant, technik S.T. Petray. To była jego wersja porzekadła - znaleźć się między młotem a kowadłem. Inne czasy, inne życie. Pozostawił zbyt wielu tych silnych, młodych patriotów ze swego oddziału martwych lub umierających w cuchnących fekaliami wąskich, bocznych uliczkach pieprzonego irackiego miasteczka, którego nazwy nikt z FOX, BBC czy MSNBC nawet nie próbował nauczyć się wymawiać. Carl odruchowo pogładził wyblakły tatuaż na grzbiecie dłoni. To był symbol ich oddziału: pustynny lis.

Patrzył, jak Cooke zajada posiłek rozdawany podczas lotu, i ujrzał w tym chudym, wiotkim ciemnowłosym okularniku siedzącym opodal uosobienie wszystkiego, co skutecznie dławilo ten kraj - pieprzone liberalne media troszczące się bardziej o prawa terrorystów niż rodziny poległych żołnierzy i przejmujące się bardziej wskaźnikami oglądalności niż przekazem moralnym.

Cooke i jemu podobni oraz dzieciaki, którym prali mózgi w swoich fleszowych programach telewizyjnych, stawiających na schlebianie najniższym gustom, krzewienie chciwości, egoizmu i zaspokajanie popędów seksualnych, a wszystko to w rytmie zgodnym z propagandą politycznej poprawności... to ci skurwiele niszczyli bezpowrotnie dziedzictwo amerykańskiego chrześcijaństwa. Niweczyli etos ciężkiej pracy, lojalności, dobrej, staroświeckiej miłości Boga i ojczyzny. Amerykański styl życia.

Skurwiele pokroju Cooke'a nie zrozumieliby tego. Podejrzał, że gdyby mu to powiedział, Cooke zacząłby zeń podrwiwać i szydzić. Domyślał się, że Cooke'owi nie zależało ani trochę na tym, co słuszne. Bo takim jak on zależało tylko na jednym: na zarabianiu pieniędzy, sprzedaży przestrzeni reklamowych, podwyższaniu wyników sondaży, sprzedawaniu się, dorobieniu się i zaspokojeniu swoich zachcianek.

Ludzie pokroju Cooke'a byli jak plugawe, brudne dziwki. *Pieprzyć go.*

Kiedy Shepherd da mu znak, że już czas, zmusi tego drania, aby zrozumiał, jakie to uczucie, kiedy wszystko, co cenisz, obrócone jest wniwecz. Ten bydlak będzie wił się u jego stóp, zanim zdechnie.

Rozdział 66

1 listopada 1856

Ben brnął przez śnieg, potykając się i niemal wpadając w zaspy świeżo spadłego śniegu, jaki nagromadził się, odkąd Lambert był tu ponad tydzień temu. Miał wrażenie, że natknął się z Samem, Prestonem i Vanderem na to miejsce w innym życiu. Był pewien, że idzie we właściwą stronę pod górę i nieznacznie w prawo. Minął poskręcany, usychający pień bezlistnego cedru, drzewa, które mimowolnie zapamiętał tamtego dnia, kiedy szukał drewna na opał. Gęstniejąca szarówka skłoniła go do większego pośpiechu: miał niewiele czasu, krótki dzień miał się już ku końcowi, kiedy Lambert opuszczał obóz; do zmierzchu zostało nie więcej niż godzina.

Musisz zachować trzeźwy umysł. Preston jest gdzieś tam.

Może był już przy chacie trapera.

I co robił?

Mógł się jedynie domyślać, ale był pewien, że właśnie tam kierował się Preston. W myślach widział obraz mężczyzny, który przygotowywał się, aby znów zabić; zakładając jakieś prymitywne, przypominające demona przebranie, aby wzbudzić wśród swoich ludzi panikę i trwogę.

Ben przystanął, by raz jeszcze sprawdzić, czy długa lufa jego strzelby Kentucky nie jest zapchana śniegiem i czy jest gotowa do natychmiastowego użycia, kiedy tylko uda mu się znaleźć Prestona.

Brnął jeszcze przez piętnaście minut w stronę, gdzie, jak miał nadzieję, znajdowała się chata, i nagle z gęstniejącego mroku wyłoniło się wzniesienie. Wspiął się na nie możliwie najciszej, przykucając, kiedy wspiął się na szczyt, i spojrzał w dół, w stronę chaty. Oddychając cicho, uniósł strzelbę do ramienia i złożył się do strzału, gotowy, by nacisnąć spust, kiedy tylko spostrzeże Prestona.

Poniżej jednak nie dostrzegł żadnego poruszenia. Było cicho i spokojnie.

Zszedł ostrożnie kilka kroków w dół niskiego stoku, nasłuchując wszelkich odgłosów, jakie mogły dochodzić z wnętrza chaty.

Nic. Cisza.

Przeszedł przez polanę, celując w postrzępioną płachtę zawieszoną u wejścia. Od czasu do czasu słychać było lekki szelest wśród drzew, podmuch wiatru, szmer śniegu osypującego się z gałęzi sprawiający, że w przypiływie paniki obracał się wokół siebie.

Zachowaj spokój.

Ani śladu Prestona, a w każdym razie na zewnątrz. Z wnętrza też nie dochodził żaden dźwięk. Już miał upomnieć samego siebie, że jego podejrzenia były fałszywe i przywódca mormonów opuścił obóz, aby zwyczajnie pobyć trochę w samotności, a może się pomodlić, gdy jego wzrok wychwycił podejrzany szczegół. Sekundę trwało, zanim zrozumiał, co to jest. Ruszył w kierunku chaty.

Na ścianie na gwoździach ciesielskich wisiały różnego rodzaju białe czerepy, dawno temu oczyszczone i wygotowane przez trapera. Nie powieszono ich w jakimś konkretnym porządku czy z zachowaniem jakiegoś schematu - były to po prostu trofea myśliwskie, dumna deklaracja umiejętności tego mężczyzny jako trapera i łowcy. Dopiero gdy Ben podszedł do ściany, zrozumiał, co przykuło jego uwagę aż z tak daleka, bo z drugiego końca polany. Na osmaganym wiatrem drewnie, z którego zbudowano ścianę chaty, spostrzegł słaby ślad, jakby zarys jakiegoś kształtu i wystający z deski gwoździec ciesielski. Jeden z większych czerepów zniknął. *Kiedy?*

Próbował sobie przypomnieć, czy czaszki brakowało, gdy poprzednio odwiedzili to odludne miejsce. Ale jego umysł, podobnie jak pozostałych tamtego dnia, skupiony był na ciałach. Cofnął się o krok i poczuł, że coś kruchego pękło pod jego stopą. W kompletnej ciszy ten dźwięk całkiem go zaskoczył. Pod kilkoma centymetrami świeżego śniegu, który wiatr nawiał pod prymitywną ścianę chaty, stopa Lamberta napotkała coś twardego i ostrego. Ben ukląkł i energicznie odgarnął śnieg w tym miejscu.

Jego dłoń odnalazła niewielki stosik postrzępionych kawałków kości. Przez chwilę zastanawiał się, czy zaginiona czaszka spadła i roztrzaskała się o ziemię. To wydawało się mało prawdopodobne. Grunt był miękki od zalegających na nim butwiejących szpilek, szyszek i śniegu. A kawałków kości nie było dość dużo, by mogły stanowić resztki czerepu.

Zdał sobie sprawę, że ktoś musiał zdjąć czaszkę z gwoździa i przy okazji wyłamać jakiś jej fragment.

- A gdzie się podziała reszta? - mruknął pod nosem.

Musisz wejść do środka.

Ben uniósł głowę i spojrzał z niepokojem na niebo widoczne pośród pajęczyny spękanych gałęzi. Nadciągał zmierzch. Nie miał lampy naftowej, aby poświecić nią w środku. Jeżeli odważy się kontynuować swoje śledztwo, lepiej aby zdecydował się na to od razu, póki

jeszcze było w miarę jasno.

Ruszył ostrożnie w stronę wejścia. Wziął głęboki wdech i odgarnął postrzępioną płachtę. Słabe światło wsączało się do odsłoniętego wnętrza i odczekał chwilę, aż jego oczy przyzwyczały się do półmroku, zanim zszedł na dół. Pamiętał rozkład wnętrza chaty po poprzedniej wizycie tutaj: prosty stół roboczy po prawej, stos pułapek i sideł, gnijące bele bobrowych skórek i rozmaite parafernalia pod przeciwległą ścianą, po lewej zaś wątle przepierzenie z gałęzi i gliny, za którym stało łóżko ze szczątkami trapera.

Kiedy tylko stanął na miękkim torfowym klepisku, poczuł pod stopami te same drobne, co na zewnątrz, kawałki kości. Spojrzał pod nogi i zobaczył więcej ostrych odłamków kości zalegających na ziemi wokół stołu. Przeniósł wzrok na blat stołu i stwierdził, że tam też wala się mnóstwo ostrych, trójkątnych kawałków kości, które wyglądały jak zeszlifowane.

Ben przypomniał sobie, jak któregoś razu odwiedził pacjenta szpitala psychiatrycznego, który ze świńskich kości rzeźbił niesamowicie wyglądające figury szachowe. Kości dostawał z kuchni w każdy piątek, kiedy to w zakładzie serwowano golonkę i rosół.

- Boże, wyszeptał. - Poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie, a jego mgliste dotąd podejrzenia przerodziły się w pewność. Oto miał przed sobą dowód, że całkiem niedawno w tym miejscu ktoś nad czymś pracował. Ben próbował przypomnieć sobie, jak młody wojownik Pajutów opisał to, co ujrzał w lesie.

Olbrzymi czerep, czaszka z rogami... I ciało z kości, pełne sterczących kolców.

Spojrzał na stół roboczy, na klepisko i oczyma wyobraźni ujrzał Prestona, pracującego jak szalony przy świetle pojedynczej lampy naftowej, przygotowującego dla siebie maskę z czaszki bizona lub może jelenia. I przez cały ten czas upewniał samego siebie pod nosem, jak na kompletnego obłąkańca przystało, że poddaje się woli boskiej dla dobra swoich wiernych.

No tak, pomyślał, maska z kości w zupełności by wystarczyła, czyż nie?

Wystarczyłoby choćby ulotne spojrzenie, jeden rzut oka na tę prymitywną, toporną maskę, w tak posępnej, odpychającej scenerii mrocznej puszczy, pośród szalejącej śnieżycy, aby przekonać każdego i tak już nieźle wystraszonego człowieka, który w głębi duszy wierzył w istnienie aniołów i demonów, że właśnie tu, w tej głuszy żyje taka istota.

Kości nie było. Co przypuszczalnie oznaczało, że Preston był tutaj i sobie poszedł.

Co mam teraz zrobić?

Tamten zapewne wracał właśnie do obozu. Mógł spróbować go dogonić i przechwycić, zanim dotrze do celu. Tylko oni dwaj, sami w puszczy, jeden strzał i byłoby po wszystkim.

O ile poplecznicy Prestona wcześniej by go nie zlinczowali. Ben mógłby pokazać im chatę trapera i maskę z kości. Mógłby wyjaśnić im, że to leki przyjmowane przez Prestona doprowadziły go do obłądu. Mógłby opowiedzieć im o wyznaniu Starszego, które usłyszała Dorothy i o którym zamierzała powiedzieć innym... mógłby wyjawić im to wszystko i kto wie, może to wystarczy. Jeżeli się pospieszy...

Wyszedł z chaty, oddychając z ulgą i napełniając płuca czystym, rześkim powietrzem. Wypuścił przez usta wielki kłęb cuchnącego oparu, pozbywając się go, a wraz z nim wilgotnego, miedzianego odoru gnijącej roślinności i zaschniętej krwi.

Ben spojrział przez chwilę w stronę niewielkiego kopczyka po drugiej stronie polany, grobu Sama i Dorothy, leżących obok siebie, ich mogiłę skrywał gruby kobierzec białego puchu. Opodal ich grobu znajdowała się mogiła pana Hearsta, którego nie złożyli na ostatni spoczynek jego ludzie, lecz pan Keats.

Chciał, aby była tu z nim teraz Emily. Chciał pokazać jej grób, aby zobaczyła, że jej matka i brat spoczywają jedno przy drugim, pogrzebani jak należy, i powiedzieć, że podczas pogrzebu odmówiono modlitwę za spokój ich dusz. Podejrzewał jednak, że miast tego każdej nocy oczyma wyobraźni widziała tylko ich okrutnie zmasakrowane ciała, takie, jakimi je widziała po raz ostatni tamtego feralnego dnia.

- Muszę już iść - wyszeptał. - Ocalę ją przed tym szaleństwem, Sam. A gdy nadejdzie wiosna, zabiorę ją ze sobą. Zabiorę ją stąd, obiecuję.

Rozdział 67

1 listopada 1856

Kiedy ostatnie promienie słońca zaczęły przeświecać ponad wierzchołkami drzew, a fioletowe cienie jak szpony wielkiej łapy przesuwają się coraz dalej przez polanę, Preston wyszedł ze świątyni, a jego ciemne oczy wydawały się nieobecne i niewidzące. Szeptane przez wiernych modlitwy ucichły, jak nożem uciął, i spojrzenia wszystkich skierowały się ku niemu.

Plomienie ogniska falowały i skwierczały, dookoła zaś było cicho, jeżeli nie liczyć delikatnego szumu kołyszących się drzew. Jego dziwne zachowanie zaniepokoiło wiernych. Właśnie teraz musieli wiedzieć, czy ich Pierwszy Starszy nadal jest przepelniony niezłomnością i prawością... dotknięty przez Wszzechmocnego.

Pan Stolz odezwał się jako pierwszy, przerywając ciszę:

- Williamie? Co mamy zrobić?

Odezwał się kolejny:

- Zbliża się noc, a oni wciąż tu są.

Migocący blask ogniska odbijał się w jego głęboko osadzonych oczach.

- Udałem się do lasu, by modlić się o wskazówki - wyjaśnił. - Byłem gotów dla was umrzeć, aby tylko Bóg przyszedł i odebrał mi życie w zamian za oszczędzenie was. - Na jego zapadniętym, ziemistym policzku lśniła łza. - Zrobiłbym to dla was, bo miłuję was wszystkich jak własne dzieci. - Głos zaczął mu się łamać. - Sądziłem, że zostałem opuszczony, porzucony przez Pana, przez Jego anioła Nefiego i pozostawiony samemu sobie w tej głuszy, z obcymi. Byłem przekonany, że Go zawiedliśmy. Obawiałem się, że osądził nas poprzez Erica i Saula i uznał, że nie jesteśmy godni. I wtedy to wyłoniło się spomiędzy drzew. Przybyło do mnie, ogromne i potężne. - Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do nich wszystkich. - Zstąpił do mnie anioł!

Usłyszał, jak zebrani na chwilę wstrzymali oddech, zaczęli szeptać - amen, w oczach wielu mężczyzn i kobiet pojawiły się łzy.

- Bóg jest z nami. Bóg wciąż ma dla nas misję.

Jedna z kobiet upadła na kolana i zaszlochała, w przypływie ulgi.

- Tej nocy możemy nie lękać się Bożej pomsty. Nie podzielimy losu Erica, Saula i Dorothy.

- Dzięki ci, Boże - zawołał pan Hollander.

- On żąda od nas tylko jednego. Abyśmy pozbyli się obcych. Muszą odejść. A kiedy stanie się to, co stać się musi, będziemy wreszcie mogli podjąć pracę nad pięknym Bożym przesłaniem. Zapamiętajcie to dobrze, bo ta noc będzie tą, kiedy zrodzi się prawdziwa wiara Pana Naszego, odszczepieństwu wszelkich fałszywych wyznań zostanie zaś położony kres.

Rozległy się głośne okrzyki i odmawiane żarliwe modlitwy, bezmiar euforii i uniesienia przetoczył się przez tłum jak fala przyboju. To było konieczne, by mogli ukazać Bogu swą pokorną wdzięczność. Kiedy usłyszał gromkie - amen - dochodzące od strony tonącego w półmroku tłumy wiernych, odezwał się ponownie:

- Anioł potwierdził to, czego się obawialiśmy. Pozwoliliśmy, by szatani osaczyli nas jak stado szakali. Mogą wyglądać jak ludzie, mogą chodzić i mówić jak ludzie, mogą jak ludzie krwawić, ale są tylko podstępными sługami Złego. - Pokręcił głową. - Szatanowi poprzez nich prawie udało się nas oszukać, czyż nie? Poprzez ich delikatną, białą skórę oraz małe istotki przypominające słodkie, niewinne dzieci - wyglądające tak jak nasze. Ale szatan przez cały czas podstępnie z nas drwił. Choćby ta ciemnoskóra rodzina, ta Murzynka i ci dzicy z lasu. Szatan śmieje się z naszej głupoty, objawiając się pośród nich i szydząc z samego Boga!

- Słyszałem... że tamci biali mężczyźni dzielą się swoimi kobietami z dzikusami! - zawołał pan Larkin.

Kilka kobiet na chwilę aż wstrzymało oddech ze zgrozy.

Preston pokiwał głową.

- Obawiam się, że to może być prawdą, Jed. Nocą zdarzało mi się widzieć tam nader osobliwe rzeczy, tajemnicze zgromadzenia przy ognisku, odgłosy kopyt, głosy mamroczące jakieś złowrogie, diabelskie inkantacje.

W tłumie zaszemrało.

- Widziałem... - Preston zniżył głos do ochryplego szeptu, który poniósł się wśród zgromadzonych. - Widziałem zakrzywione rogi diabła wylaniającego się z płomieni ich ogniska, miał łeb kozła i patrzył w naszą stronę... jakby rzucał nam wyzwanie!

- Bądź przy nas, Panie! - zawołał ktoś.

Preston złączył obie dłonie i zamknął oczy.

- Módlcie się ze mną! - rzucił władczy tonem. - Módlcie się tu i teraz!

Powtórzyli chórem jego słowa.

- Boże, wybacz nam nasze słabości. Teraz wiemy już, że Cię zawiedliśmy. Wiemy, że ci spośród nas, którzy zginęli, umarli, bo Ty w ten sposób pragnąłeś dać nam ostrzeżenie. Jesteśmy Ci wdzięczni do zgoni, że gotów jesteś ocalić całą naszą resztę. Wdzięczni Ci jesteśmy po wsze czasy, że możemy być pierwszymi prawdziwymi wyznawcami prawdziwego słowa Bożego. Tej nocy naprawimy wszelkie szkody i uchybienia. Tej nocy uczynimy wszystko, czego od nas zażadasz! Czego zechcesz, tak się stanie! A teraz oczyścimy to miejsce. Amen.

- Amen - zagrzmiało sto głosów.

Preston rozłączył i opuścił ręce, i odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze przez nos.

- Panowie, weźcie swoje strzelby. Matki, żony, synowie i córki, weźcie wszystkie narzędzia, jakie tylko zdołacie znaleźć. Tej nocy oczyścimy to miejsce z zatrującego je plugastwa. Uczynimy je miejscem świętym, aby Nefi mógł zstąpić spomiędzy drzew i być wreszcie z nami.

- Amen - odpowiedział chór zgromadzonych.

- Amen - odrzekł. Pokręcił głową i zniżył głos, przepelniając go nutą żalu i smutku. - Dzieło, jakiego on od nas żąda, jest krwawe i posępne, lecz musimy je podjąć i wykonać, jak On sobie tego życzy. Nikt z obcych nie może pozostać przy życiu.

Spojrzał na nich.

- Rozumiecie, czego Bóg od nas żąda?

- Abyśmy ich zabili - zwołała któraś z kobiet.

- Otóż to. Abyśmy wyrznęli te sługi szatana. A teraz idźcie, weźcie swoje strzelby i wróćcie tutaj!

Ludzie Prestona podnieśli się z klęczek i rozeszli się, każdy w swoją stronę, w ich obozie zapanowało spore poruszenie, słychać było chrzęst obutych stóp na zbitym, zmarzniętym śniegu.

Rozdział 68

Piątek

Reno, Nevada

Rose spojrzała na niego z ukosa, wymijając ślimaczącego się tira na autostradzie.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Sean nie żyje.

- Tak. Rzekomo został zadźgany nożem przez jakiegoś świra, kiedy wyprowadzał psa.

- To okropne! - rzekła, kręcąc głową. - Boże, biedny Sean. - Nie widziała go od półtora roku, kiedy pracował z nimi przy Niezwykajnych Zwyczajnych. Praktycznie stał się jeszcze jednym członkiem ich zespołu, pomagając określić, co w ich programach mogło ujść im na sucho, a co nie. - Londyn staje się coraz bardziej niebezpiecznym miastem, prawda?

- Czasami odnoszę takie wrażenie. Albo to szajbus, który nie brał odpowiednich leków, albo wkurzony ćpun z nożem. To cholernie mnie przygnębia.

Popatrzyła na niego kątem oka.

- Ale to naprawdę okropne, nie uważasz?

- Co?

- Spotkałeś się z nim, a w parę dni później on nie żyje.

Westchnął.

- Fakt. To naprawdę straszne. I przerażające. Sam wciąż nie mogę w to uwierzyć. - Zaczął bębnić palcami w deskę rozdzielczą. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Może to zabrzmiało kretyńsko, ale trzeba to powiedzieć.

- To znaczy?

- Miałem zawrzeć z Seanem układ na poparcie naszego projektu. Teraz to już nieaktualne.

- Masz rację, to zabrzmiało kretyńsko.

- Cóż, przykro mi. Tak to już jest. Jak się zapewne domyślasz, musimy wyplątać się z tej historii i wracamy do domu.

- Tak podejrzewałam - odparła. - Ile zostało nam na koncie?

- Niewiele. Niecałe cztery tysiące.

- Pięknie.

- Skontaktuję się ze swoim agentem, żeby załatwił nam jakąś fuchę. Odwalimy parę zleceń dla korporacji i wrócimy tu za kilka miesięcy. Co ty na to?

- Chyba nie mamy wyboru, prawda? Trzeba pospłacać rachunki.

- Trzeba pospłacać rachunki - powtórzył półgłosem.

Rose wyminęła jadącą wolno pod górę ciężarówkę wiozącą drewno.

- Po spotkaniu z tym facetem przekonamy się, czy Grace zechce zaprowadzić nas tam jeszcze raz, a potem wymeldujemy się z hotelu i wracamy.

- Z jakim facetem?

- Co jest? - Julian spojrział na nią. - Nie dostałaś mojego e-maila?

Pokręciła głową.

- To nic wielkiego. Facet najwyraźniej interesuje się Prestonem. Natrafiłem w Internecie na jego stronę. Wymieniliśmy parę e-maili. Jako że właśnie wybierałem się do Stanów, pomyślałem, że spróbuję umówić się z nim na spotkanie.

- Gdzie?

- Facet przyjedzie tu, do Blue Valley.

- Co takiego?

Julian wzruszył ramionami.

- Widać mu zależy.

- Jak on się nazywa?

- Arnold Zuckerman. Przecież napisałem ci o tym w e-mailu.

Pokręciła głową.

- Jakoś sobie nie przypominam. Komunikacja nie jest twoją mocną stroną.

- Przysięgłbym, że o tym wspomniałem.

- Może przeoczyłam. A więc... kim jest ten Arnold?

Julian się zaśmiał.

- Domyślam się, że to gość, który ma świra na punkcie historii. Ale wygląda na to, że sporo wie o samym Prestonie. To może się nam przydać. Dobrze byłoby, żebyśmy do wyjazdu zdobyli jak najwięcej materiału.

- Jesteś pewien, że to nie jakiś dziennikarz?

Julian wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Wydaje mi się amatorem - pasjonatem.

- I przyjeżdża do Blue Valley, aby się z tobą spotkać?

- Sam to zaproponował. Twierdzi, że to nie problem.

- Tylko nie siedź za długo. Umówiłam się z Grace, że zabierze nas tam znowu jutro z

samego rana. Ma się z nami spotkać na parkingu przy kempingu.

- Świetnie. O której?

- O siódmej.

- Szlag - burknął Julian. - Krótka drzemka by mi nie zaszkodziła. Nie moglibyśmy wyruszyć trochę później?

- Nie zapominajmy, że to ona wyświadcza nam przysługę, Jules.

- Masz rację.

Jechali przez chwilę w milczeniu, na tyle długo, że Rose, widząc, jak Julian wierci się na fotelu, domyśliła się, iż dręczy go jakiś wyjątkowo trudny i niewygodny temat.

- Co u doktora Griffitha? - spytała.

Julian się uśmiechnął.

- Świetnie wygląda i jeszcze lepiej mu się powodzi. Pozdrawia cię serdecznie. Ma o tobie wysokie mniemanie.

- I słusznie.

- Właściwie - rzekł Julian, wyciągając komórkę - próbowałem wcześniej się do niego dodzwonić, ale nie odbiera. - Spojrzał na wyświetlacz. - Ani nie oddzwonił.

- Zainteresowała go historia Prestona?

- Jeszcze jak. Może on nam pomoże. Kiedy wrócimy, mam się z nim spotkać.

- Dołoży się do projektu?

Julian się skrzywił.

- Nie wiem... możliwe. Ale wolałby raczej napisać na ten temat książkę.

- Świetnie. - Rose westchnęła ze smutkiem. - Czyli ja odpadam z gry.

Odwrócił się do niej.

- Ależ skąd, Rose. Ależ skąd. Odkryliśmy to wspólnie. To nasze wspólne znalezisko. Dzielimy się wszystkim, co dzięki temu zyskamy. Obiecuję.

Przerwał i zrozumiała, że próbował zebrać myśli.

- Zbyt wiele razem przeżyliśmy, zbyt wiele nas łączy, żebyśmy mogli się tak po prostu ciebie pozbyć.

Zbyt wiele nas łączy? Zastanawiała się, co Julian chciał przez to powiedzieć. Oboje odezwali się równocześnie:

- Julianie, ja...

- Czy my omal nie...?

Poczuła, że w ogłuszającej ciszy, jaka zapadła, jej policzki nabiegają czerwienią.

Julian poruszył się nerwowo na fotelu.

- Między nami prawie do czegoś doszło czy może tylko mi się wydaje i właśnie zrobiłem z siebie durnia?

- Nie - odparła pośpiesznie. - Do niczego prawie nie doszło. Wypiliśmy parę piw, byliśmy podekscytowani znaleziskiem i... dobrze się bawiliśmy... jak zawsze.

- Tak. - Pokiwał głową, wyglądając przez szybę na mijane szczyty pokryte kobiercem ciemnozielonych jodeł, upstrzone tu i ówdzie Cedrami i dębami, których korony odcinały się złościście na tle październikowego nieba.

Czy wychwyciła w jego głosie nutę rozczarowania? A może tylko jej się zdawało? To nie było rozczarowanie... lecz ulga.

Wiedziała, że Julian jest facetem, który nie lubi dopuszczać innych zbyt blisko do siebie. Ten niezręczny, krótki moment w restauracji w zeszłym tygodniu najprawdopodobniej przeraził go tak bardzo, że wycofał się możliwie jak najdalej w głąb swojej skorupy. Pracowali wspólnie przez prawie cztery lata, budując zaufanie, przyjaźń i silne partnerstwo... a ona omal tego wszystkiego nie zaprzepaściła, bo pozwoliła sobie na chwilę zapomnienia, opuściła tarczę i ujawniła przed nim swoje uczucia.

Westchnęła. To był głupi moment, głupi impuls i zła na samą siebie aż zgrzytnęła zębami.

Rozdział 69

1 listopada 1856

Ben potknął się o korzeń i wpadł po kolana w śnieg.

- Cholera! - zaklął, szybko się podnosząc i ruszając dalej. - Niech to szlag! - wycedził pod nosem.

Potyając się, schodził po zboczu w stronę obozu, pomiędzy gęsto rosnącymi jodłami, których ostre igły kłuły go i boleśnie chłostały w twarz, kiedy próbował odgarniać je z drogi, w słabym świetle gasnącego dnia.

Nie natrafił na świeże ślady, nigdzie też nie zauważył Prestona. Nadzieje, że natknie się na niego sam na sam, okazały się płonne. A gdyby nawet, zastanawiał się, czy byłby w stanie zastrzelić go z zimną krwią.

Może.

Wyglądało jednak na to, że przyjdzie mu wrócić do obozu z niczym, najwyżej z niemożliwymi do udowodnienia oskarżeniami. Ben nie miał pojęcia, co zrobi, gdy wyjdzie na polanę, nie miał żadnego planu. Może gdyby odrzucił strzelbę i przeszedł przez polanę z rękoma uniesionymi do góry, pozwoliliby mu podejść, nie zasypując go gradem kul.

A co, jeśli Preston jest tam, wśród nich? Myślisz, że pozwoli ci długo mówić?

- Muszę spróbować - wysapał przez ściśnięte gardło.

Jeżeli miał rację, jeżeli to faktycznie robota Prestona, jeżeli Preston przygotował sobie jakiś diabelski kostium, ale nie trzymał go w chacie trapera, może ukrywał go w świątyni. Albo nawet w metalowej skrzyni, którą postawił przy łóżku.

Nagle to stało się dla niego oczywiste - był pewien, że właśnie w tej skrzyni znajdzie coś, co pozwoli zdemaskować Prestona: zakrwawiony nóż, zbryzganą posoką kościaną maskę... cokolwiek. Zastanawiał się, czy mógłby jakoś podkraść się wzdłuż skraju polany, odczekać na dogodną chwilę, gdy wszyscy będą czymś zajęci, i zakraść się do świątyni, w nadziei, że nikt nie odkryje jego obecności dostatecznie długo, aby mógł sforsować zamek skrzyni i wyjąć z niej coś, co pozwoli wszystkim odzyskać zdrowy rozsądek i przejrzeć na oczy.

To był marny plan, ale oprócz ucieczki w las, gdzie miał w perspektywie zamrożenie

na śmierć albo dołączenie do Keatsa przy jego ostatnim szańcu, nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Wychwycił błysk światła między drzewami, migocący blask ogniska. Keats zbudował wielkie ognisko wewnątrz umocnień, aby mogli bez trudu dostrzec, gdyby ktoś się do nich zbliżał. Ognisko zostało najwidoczniej zapalone, a płomienie strzelały wysoko.

Właśnie wtedy usłyszał echo pierwszego wystrzału.

- O Boże, nie! - wysapał.

Zaczęło się.

*

Patrzył, jak Lambert go mija, zziębnięty, zdyszany, chwiejąc się na nogach, odgarniając wiszące na drodze gałęzie i brnąc przez zasy. Robił przy tym tyle hałasu, że mógł pobudzić nawet leśne zwierzęta pogrążone we śnie zimowym.

Przykucnął wśród konarów, patrzył, jak mężczyzna przechodzi poniżej, zmierzając w stronę obozu, mamrocząc bez przerwy do siebie.

Spóźniłeś się, Benjaminie Lambert.

Ten człowiek spróbuje ich powstrzymać, wyszeptał do niego głos płynący z mrocznego zakamarka jego umysłu. Nie miał nic przeciw obecności tego głosu w swojej głowie - było to na swój sposób pocieszające. To wiedziało, co należy zrobić.

Ten człowiek może to powstrzymać. Zabij go.

Już za późno. Pozabijają się nawzajem.

Patrzył, jak Lambert brnie na oślep, przedzierając się przez chaszczę w stronę, skąd dochodziło ogłuszające echo pierwszej salwy i skąd bił migocący blask ogniska.

Anioł miał oczywiście rację. Lambert mógł jeszcze położyć temu kres, zanim wszystko na dobre się zaczęło. Anioł zawsze podsuwał mu najlepsze rady, dawał najlepsze wskazówki - był głosem, którego należało słuchać i od którego należało się uczyć. W pojedynkę, mając do dyspozycji tylko swój gniew, byłby bez szans. Anioł pomógł mu bardzo sprytnie ukierunkować energię tego gniewu.

Genialne.

To stało się całkiem zabawne, obserwować, jak strach i paranoja zaczynają zżerać tych ludzi, patrzeć, jak Starsi zmieniają się w przerażone, małe dzieci, a Preston popada w obłęd. Uśmiechnął się pod maską. Najbardziej ubawiło go, jak Vander błagał, skomlał i kwilił jak prosię.

Zabij go.

Zeskoczył z drzewa w śnieg. Wahał się, czy postąpić zgodnie z tym, co szeptał

nakazywał mu anioł. Lambert oddalał się, szybciej przedzierając się między rosnącymi coraz rzadziej drzewami i nieuchronnie zbliżając się do polany.

Oddala się od nas.

Odnalazł w sobie rezerwy siły wewnętrznej, by sprzeciwić się aniołowi.

Chcę, żeby uszedł z życiem.

Kości poruszyły się niespokojnie i wydawało mu się, że poczuł żar dezaprobaty wpływający z płóciennego worka, by poparzyć i osmalić jego skórę. Żar przez chwilę przybrał na sile, po czym wrażenie szybko ustało.

Może. To dobry człowiek.

Patrzyli, jak znika w oddali, brnąc przez głęboki do kolan śnieg, nawołując rozpaczliwie do ludzi na polanie, aby wstrzymali ogień. Ale huk wystrzałów tylko się wzmógł, a pośród palby rozległa się narastająca kakofonia dochodzących z polany głosów: krzyków, błagania i szyderstw - wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci włączyli się do tego chaosu.

Chcę podejść bliżej, abyśmy mogli zobaczyć.

Głos milcząco wyraził zgodę. Podniósł się, a kostne kolce zabrzęczały delikatnie, uderzając o siebie, po czym ruszył naprzód z gracją, miękko i bezszelestnie, podążając śladem Lamberta.

Tej nocy ten, którego chcemy obaj, umrze.

Tak, chcę, aby jego śmierć była gorsza niż tamtych. Nienawidzę go.

Wobec tego musimy podejść bliżej.

Rozdział 70

Piątek

Blue Valley, Kalifornia

Julian sprawdził e-maile na swoim palmtopie, aby upewnić się, co do uzgodnionej godziny, gdy wszedł do środka.

Tak jak przypuszczał, umówili się na czwartą po południu. Rozejrzał się po Angels Muffin House, małej, przytulnej herbaciarni z koronkowymi serwetkami, kraciastymi obrusami i lampami naftowymi z imitacji miedzi, zdobiącymi każdy stolik. Przez kilka niedużych okien z białymi firankami wpływały blade promienie popołudniowego słońca, ale w lokalu było dostatecznie ciemno, by potrzebował kilku chwil, aby jego oczy przywykły do zmiany oświetlenia.

Lokal wydawał się opustoszały, nie było w nim ani jednego klienta. To go nie zdziwiło. Jak w większości letnich kurortów, także ta herbaciarnia musiała zapewne w sezonie pękać w szwach, podczas gdy przez pozostałe miesiące roku świeciła pustkami.

To było idealne miejsce na dyskretne spotkanie. Podsunął je w swoim e-mailu Arnold Zuckerman. Julian nie zauważył tego miejsca, ukrytego w cichym zaułku, z dala od jedynej głównej ulicy Blue Valley.

A więc ten facet musiał już tu kiedyś być.

Julian zastanawiał się, po co właściciel Angel's w ogóle otwierał swój lokal, gdy nagle dostrzegł jakieś poruszenie w słabo oświetlonym kącie sali. Dostrzegł siedzącego przy stoliku mężczyznę w średnim wieku. Ruszył pewnym krokiem w jego stronę, lawirując między stolikami.

- Arnold? - zapytał, wyciągając rękę.

- Tak - odparł tamten z ciepłym uśmiechem; miał głęboki, dźwięczny, jakby znajomy głos. - Pan Cooke?

Julian skinął głową i uściślił sobie dłonie w formalnym geście powitania.

- Proszę spocząć - rzekł mężczyzna. - Zamówiłem dla nas imbryczek earl greya i wyglądające przepysznie babeczki cynamonowe - powiedział ciepłym tonem staroświeckiego sklepikarza, bardzo ujmującego i przyjaznego, pod każdym względem.

Julian usiadł, a mężczyzna nalał mu herbaty z imbryczka.

- Przyleciał pan dziś z Wielkiej Brytanii? - zapytał.

Julian skinął głową.

- Do Denver, dziś wczesnie rano.

- Musi być pan zmęczony.

Julian nalał trochę mleka i nasypał łyżeczkę cukru.

- Owszem, trochę.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, podczas gdy Julian zastanawiał się, jak zagaić rozmowę.

- Proszę posłuchać - rzekł mężczyzna - to dość trudne. Nie jestem za dobry w gierkach z ludźmi, panie Cooke. Marnie kłamię, co jak sędzę, jest sporą przeszkodą w rozwoju kariery, jaką dla siebie wybrałem. Obawiam się, że nie powiedziałem panu, kim jestem naprawdę.

Julian spojrział na niego. Mężczyzna uśmiechnął się przepaszająco.

- Może mnie pan rozpoznał, a może nie. To zależy, czy często oglądał pan ostatnio wiadomości!

Julian uświadomił sobie, że zna skądś tę twarz - dystygowaną, jak u starego aktora.

- Tak - odparł. - Teraz, kiedy pan to powiedział, wydaje mi się, że widziałem pana w wiadomościach.

- Zapewne - przyznał mężczyzna z westchnieniem. - Coraz trudniej ostatnimi czasy znaleźć cichy zakątek, gdzie można być nadal sobą.

- Przykro mi.

Pokręcił głową.

- Nie ma powodu. To ja powinienem przeprosić, że nie byłem wobec pana szczery, panie Cooke.

- A więc Arnold Zuckerman to pseudonim. - Julian się uśmiechnął. - Od początku wydawało mi się, że to nazwisko brzmi jakby trochę podejrzanie.

- Tak. - Mężczyzna zaśmiał się z lekka. - Jeśli włożę kapelusz, okulary i przebiorę się w coś mniej formalnego, mogę, dajmy na to, wybrać się na spacer bez obaw, że na ulicy ktoś mnie rozpozna. Ale - upił łyk herbaty - obawiam się, że już wkrótce nawet to nie będzie mi dane.

Julian przyglądał mu się z uwagą, próbując skojarzyć tę twarz z konkretnym nazwiskiem. Przypomniiał sobie, że widział ją całkiem niedawno na okładce jednego z kolorowych czasopism. I wtedy sobie przypomniał.

- O cholera - wyszeptał. - Pan jest... tym niezależnym kandydatem... Shepherton?

Pokiwał głową.

- William Shepherd.

Julian aż rozdziawił usta.

- Boże!

Shepherd się zaśmiał.

- Niezupełnie. Jestem tylko prostym świeckim kaznodzieją.

Julian również się roześmiał. Ten mężczyzna emanował ciepłem i poufałością, które przydawały mu uroku.

Siedzę przy jednym stoliku z facetem, który może zostać kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Shepherd zauważył, że Julian nagle zeszywniał.

- Proszę się rozluźnić - zaśmiał się ciepło. - I proszę mi mówić Williamie. Wie pan, choć moja postać bywa demonizowana lub wychwalana pod niebiosa, w zależności od tego, na jaki kanał informacyjny włączy pan telewizor, jestem tylko zmęczonym, starym facetem, próbującym żyć z dnia na dzień i robić to, co należy, dla naszego kraju.

- Najwyraźniej świetnie to panu wychodzi.

- To dopiero początkowy etap. Mam przed sobą cały rok długiej kampanii. Czeka mnie jeszcze sporo pracy, aby przekonać Amerykanów, że to nie koniec świata i że mogą wybrać na najwyższy urząd w państwie mormona.

- Kosztowna inwestycja.

Shepherd westchnął.

- Owszem. O ile mi wiadomo, inni kandydaci zamierzają wydać na kampanię około dwóch miliardów dolarów. Ja liczę raczej na siłę przesłania niż na wspieranie się funduszami.

- Shepherd wychylił się do przodu, mrugając porozumiewawczo. - Wie pan co? Myślę, że w dzisiejszych czasach ludzie zaczynają dostrzegać cały ten blichtr i ściemę.

- Myśli pan, że ma szansę?

- Zdobywam nowych przyjaciół - odparł. - Wielu ludzi wyczuwa, że warto na mnie postawić. - Shepherd wzruszył ramionami. - Tak czy owak, zarówno demokraci, jak i republikanie wydają się brudni od błota, jakim się wzajemnie obrzucają. Muszę jedynie przekonać przedstawicieli centrum, że głosując na mnie, nie pozwolą wygrać partii, którą pogardzają najbardziej. - Machnął ręką od niechcenia. - Ale, ale, pan wybacz, mam już serdecznie dość dyskusji o taktyce prowadzenia kampanii. Mam człowieka imieniem Duncan, który zadręcza mnie tym całymi dniami. Nie... zjawilem się tu, ponieważ obaj podzielamy fascynację pewną mało znaną postacią historyczną.

- Tak. - Julian sięgnął po babeczkę. Rozerwał ją w dłoniach i zaczął wyjadać spieczony spód. Nie był głodny, ale chciał się czymś zająć. - W tej sytuacji nasuwa mi się oczywiste pytanie: dlaczego interesuje się pan osobą Williama Prestona?

Shepherd zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Będę z panem szczery. To nie samym Prestonem się interesuję. Jak zapewne pan zauważył, na mojej stronie internetowej udało mi się zebrać trochę informacji na jego temat, pragnąłbym jednak dowiedzieć się, co się stało z grupą ludzi wędrujących wraz z nim na zachód.

- A co konkretnie pan wie?

- Zniknęli w górach... - Wyrzwał przez okno, przez firankę, na panoramę szczytów górujących nad miasteczkiem. - Gdzieś tam. - Shepherd odwrócił się, by spojrzeć na Juliana. - Jeden z nich był moim prapradziadkiem.

Julian aż wybałuszył oczy.

- No, nie! Serio?

Shepherd pokiwał głowę.

- Moim prapradziadkiem.

- Preston?

Shepherd się zawahał.

- Na Boga, nie. To był młody człowiek.

- Czy nazywał się może Lambert?

- Tak - odparł Shepherd. - Teraz to on wydawał się zaskoczony.

- Owszem. Skąd pan to wie? - zapytał, zniżając głos do szeptu.

Julian zastanawiał się, jak wiele może wyjawić temu człowiekowi. Uznał, że nie zaszkodzi za darmo powiedzieć mu odrobinę więcej.

- Odkryliśmy, co spotkało tych ludzi. Znaleźliśmy miejsce, gdzie zakończyła się ich podróż.

- Och... - Głęboko osadzone oczy Shepherda się rozszerzyły.

Julian się uśmiechnął.

- Co więcej, odnaleźliśmy dziennik niejakiego Benjamina Lamberta. Zawiera bardzo szczegółowy opis tego, co się tam stało.

Shepherd westchnął z przejęciem.

- Cóż za niezwykle odkrycie!

Julian pokiwał głową.

- To prawda.

Shepherd rozłożył ręce.

- No i? Powie mi pan, co się z nimi stało?

Julian sączył w milczeniu herbatę.

Ile mogą zdradzić temu facetowi za darmo?

- Cóż, to trochę niezręczne, panie Shepherd...

- Williamie.

- Williamie... mam w ręku historyczny przekaz, wart, jak przypuszczam, mnóstwo pieniędzy. - Julian westchnął. - Kiepsko mi wychodzi mówienie o forsie, ale...

Shepherd się uśmiechnął.

- Ale jest pan dziennikarzem, ciężko pracował nad odkryciem szczegółów i nie chce pan oddać tego wszystkiego za darmo. W pełni to rozumiem.

- Tak, o to mniej więcej chodzi. - Julian wzruszył ramionami.

- Tyle że teraz ta historia zaczyna nabierać innego kontekstu, prawda? - dodał Shepherd z lekkim uśmieszkiem.

- Można tak powiedzieć.

Julian zachował pokerowe oblicze, ale w myślach starał się oszacować sytuację. Przypominał sobie coraz więcej informacji na temat tego faceta, fragmenty zasłyszane przypadkowo w codziennych wiadomościach. William Shepherd, niezależny mormoński kandydat z Utah. Kaznodzieja, biznesmen, głos rozsądku, nadający dwa razy w tygodniu audycje, których odbiorcami było do dziesięciu milionów wiernych, oraz głos, który przemawiał do chrześcijan z wielu różnych kościołów, jedyny kandydat nieskalany przez korupcję i zepsucie. I człowiek, który nagle w ostatnich tygodniach stał się liczącym się kandydatem w wyścigu o fotel prezydencki.

- Domyślam się, że chciałby pan dowiedzieć się, jak się prowadził pański prapradziadek?

Shepherd skinął głową.

- Skłamałbym, mówiąc, że się tym nie przejmuję. W tym absurdalnym biznesie, który zwiemy polityką, odbiór przez opinię publiczną oznacza wszystko. - Westchnął. - Gdyby się okazało, że mój dziadek, aby przeżyć, musiał... kogoś zjeść... cóż... myślę, że koordynator mojej kampanii Duncan dostałby ataku hysterii.

Julianowi podobała się swoboda i poczucie humoru tamtego.

- Domyślam się.

- Wobec tego z pewnością pan zrozumie - ciągnął Shepherd - że przejawiam cyniczne, żywe zainteresowanie zachowaniem swojego przodka. - Sięgnął po imbryk i dołączył do obu

herbaty. - Domyśla się pan zapewne, jaki atut otrzymaliby do rąk republikanie i demokraci, gdyby wyszedł na jaw kolejny incydent pokroju Grupy Donnera?

- Tak, to z pewnością mogłoby pokrzyżować panu szyki.

Shepherd spojrzał na niego, unosząc brwi z zaniepokojeniem.

- A więc? Jak to z nim było?

Julian pokręcił głową.

- Nie. Nie było przypadków kanibalizmu... w ogóle.

Shepherd zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

- Jestem pewien, że rozumie pan, jakie to ważne? To takie słowo tabu i wszystko, co się z nim wiąże...

Julian zrozumiał.

- Polityka to paskudna gra, której szczerze nie znoszę. Pod wieloma względami wcale mi się nie uśmiecha perspektywa wygrania tych wyborów i konieczność udziału w grze politycznej przez cztery lata sprawowania urzędu. Ale robię to, ponieważ ktoś musi. Ktoś musi pokazać naszym obywatelom, że jest inne wyjście, że nie muszą głosować na jedną z dwóch grup skorumpowanych sukinsynów. Szczerze mówiąc, być może odetchnę z ulgą, jeśli nie wejdę do Białego Domu. - Shepherd westchnął i zaśmiał się cicho. - Ale proszę nie mówić tego moim sympatykom, dobrze? Wspierają finansowo moją kampanię, abym wygrał, i nic innego ich nie zadowoli.

- Uspokoję pana - rzekł Julian. - Pański przodek, za sprawą zapisków w tym dzienniku, jawi się jako dobry i prawy człowiek. Ale - dodał, starannie dobierając słowa - miały tam miejsce pewne... dość niepokojące i... *pokrętne* wydarzenia. Naprawdę mroczne i mrozące krew w żyłach. Wszystkie te wydarzenia obracają się wokół Prestona. Szczerze mówiąc, podczas gdy pan osobiście może zyskać na tym, jak zachowywał się Benjamin Lambert, wiara mormońska może zarobić ciężki cios za sprawą tego, co tam wyprawiał Preston.

Shepherd wyduł wargi, pogrążony w głębokim zamyśleniu.

- Tak... ale z tego, co zdołałem dowiedzieć się na jego temat, Porzucił Kościół Świętych w Dniach Ostatnich, wybierając własną drogę. Wyprowadził swoich wyznawców do puszczy, dosłownie i w przenośni.

Julian zdjął i starannie wytarł okulary.

- W rzeczy samej - przyznał. - Lambert opisuje go w swoim dzienniku jako człowieka dręczonego przez coś, nękanego potwornymi wizjami, zdolnego do wszystkiego - nawet do zbrodni i okrutnych okaleczeń. Poprosiłem znajomego psychoanalityka, specjalistę od

kryminologii, aby przejrzał ten dziennik, i w odpowiedzi, nie wdając się w długie dywagacje - Julian uśmiechnął się znacząco - tamten powiedział mi, że ów duszpasterz miał w sobie coś z Charlesa Mansona.

- Boże. Naprawdę?

- Psycholog użył zwrotu „mesjanistyczno-narcystyczny socjopata”. To dość wymowne stwierdzenie. - Uśmiechnął się. - Może prościej byłoby stwierdzić, że mu odbiło. W tej puszczy po prostu postradał rozum.

- Tak - odparł półgłosem Shepherd, wyglądając przez okno w stronę gór. - I jak, panie Cooke, co pan zamierza zrobić z tą historią?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Miałem plany nakręcenia dokumentu, ale raczej nic z tego nie wyjdzie. Może zdecyduję się na książkę.

- Cóż - powiedział Shepherd, powracając wzrokiem do Juliana - zwrócił pan moją uwagę. - I dodał z ciepłym uśmiechem: - Jak wiadomo jestem człowiekiem majątnym. Może moglibyśmy jakoś pomóc sobie nawzajem?

Rozdział 71

Sobota

Blue Valley, Kalifornia

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - rzekła Rose, kręcąc gniewnie głową. - Po tym, jak dołożyliśmy wszelkich starań, aby nie ujawniać tej historii, idziesz jak gdyby nigdy nic i zapraszasz na wspólną wyprawę faceta, który może zostać następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Skreśliła w lewo, zjeżdżając na drogę wyjazdową z miasteczka i prowadzącą do lasu.

- Co więcej, facet jest potentatem medialnym. To jak nawiedzona wersja Ruperta Murdocha. I jest tu, w Blue Valley, kryjąc się, anonimowo jak Howard Hughes. Czy to cię ani trochę nie zastanawia?

Julian wzruszył ramionami.

- To zrozumiałe, biorąc pod uwagę jego pozycję. Pomyśl o tym: w kraju, gdzie plama nasienia w niewłaściwym miejscu może doprowadzić do wszczęcia procedury impeachmentu, dziwisz się, że Shepherd jest ostrożny w kwestii domniemanych grzeszków swego przodka?

- Chce pokazać naszą historię zza kulis, ot co, Jules. Chce mieć pewność, że tak ją zmanipuluje, żeby jak najwięcej na niej zyskać.

Julian wzruszył ramionami.

- Wobec tego nie będzie miał wiele do roboty, prawda? Benjamin Lambert wydaje się porządnym facetem.

- A jeżeli będzie chciał zatuszować sprawę mormonów? I to, że Preston był niebezpiecznym szaleńcem?

- Nie zgodzimy się na to.

Rose wydeła wargi.

- Doprawdy?

Zredukował bieg, aby samochód wziął ostry zakręt, sunąc pod górę jednopasmową drogą biegnącą wzdłuż kamienistego żlebu.

- Mam do ciebie pytanie, Jules.

- Tak?

- A jeśli natrafimy tam na coś, co odwróci tę historię o sto osiemdziesiąt stopni?

- To znaczy?

- Co będzie, jeśli znajdziemy dowody wskazujące, że to Lambert jest odpowiedzialny za te zabójstwa?

Poranne słońce przeświecało między wierzchołkami jedliny Douglasa, rosnącej wzdłuż drogi, tworząc na przedniej szybie auta płynne światłocienie.

- Och, daj spokój, Rose. Chyba nie myślisz znów o tej sprawie z Człowiekiem w Łachmanach?

- Zastanawiam się nad tym. Wiemy, że Lambert przeżył. Ale zszedł z tych gór jako człowiek... nawiedzony.

- To oczywiste. Czy uważasz, że ciebie takie przeżycia by nie odmieniły? Nie wywołałyby silnej traumy?

- Pewnie tak. Ale...

- Co?

Rose wydeła wargi.

- Jeżeli ta historia przedstawiała się zupełnie inaczej?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Co, jeśli, powiedzmy, to Lambert zabił tych ludzi, ale postanowił pozostawić fikcyjny zapis rzekomych wydarzeń?

- Tylko po co? Na wypadek gdyby zapis został odnaleziony sto pięćdziesiąt lat później?

- Bardzo zabawne, spryciarzu. Nie, na wypadek gdyby został uratowany przez innych osadników czy traperów i potrzebował czegoś na potwierdzenie swojej wersji.

Julian się skrzywił.

- Możliwe.

- Daj spokój, nie uważasz, że to dziwne, że Lambert postanowił opisać to wszystko tak szczegółowo? Czy nie powinien poświęcić więcej wysiłku na ocalenie siebie niż na pisanie. Chyba że, no wiesz, miał coś do ukrycia.

- Był pisarzem, Rose, pamiętaj, zawsze pragnął to robić. - Zmrużył oczy, bo przez szybę od strony pasażera wpadały migocące promienie słońca. - W pewnym sensie był jak korespondent wojenny w Afganistanie. Nie przestajesz pracować i rejestrować tego, co widzisz, słyszysz czy czujesz, kiedy wokół ciebie zaczynają świstać kule, tylko bierzesz się właśnie wtedy do roboty.

Wzruszyła ramionami.

- Może.

Przez chwilę jechali w milczeniu, upajając się pięknem górskiego krajobrazu i zalesionej doliny poniżej, ta sceneria domagała się ich uwagi przy każdym zakręcie drogi. Dziesięć minut później wóz pokonał kolejny zakręt i nawierzchnia asfaltowa ustąpiła miejsca pełnej wybojów, żwirowej drodze, z którą zaczęło się borykać miękkie, japońskie zawieszenie. Tablica przy drodze zapowiadała, że do kempingu przy Parku Narodowym jest już niedaleko.

- A co, jeśli...? - Nie dokończyła ani nie rozwinęła tej myśli.

- Co, jeżeli co?

Droga zakręcała w prawo i w chwilę potem ujrzeli tablicę na drewnianych palach z napisem WITAMY W OBOZIE BLUE VALLEY. Nieco dalej rozciągał się parking, na którym w pewnej odległości od siebie stały dwa auta.

Jeden z nich Rose rozpoznała jako należący do Grace, a ona siedziała z przodu, czytając gazetę, paląc papierosa i rozkoszując się ciepłem włączonego w samochodzie ogrzewania. Odgłos opon na żwirze zwrócił jej uwagę i uniosła wzrok, uśmiechając się do Rose, gdy ta zaparkowała obok jej auta.

- Niezatapialna Molly Brown - mruknął pod nosem Julian.

- Co?

- Nieważne. To cytat z filmu.

Rose parsknęła.

- Dziwak - wycedziła, oglądając się przez ramię na drugie auto. - Czy to...?

Julian podążył za jej spojrzeniem. To był kremowy lincoln nawigator z przyciemnionymi szybami.

- Wygląda jak wóz, jakim może poruszać się potencjalny przyszły prezydent. Co ty na to?

Wysiedli i dołączyli do Grace, która właśnie otworzyła bagażnik swego rozklekotanego dzipa.

- Dzień dobry, Grace - rzekła Rose, chłonąc z lubością chłodne górskie powietrze i wydychając ustami obłoczki pary.

Grace lekko zmrużyła oczy, spojrzała na ciemnobłękitne niebo. Było pokryte kłębiastymi chmurami, które wschodzące słońce barwiło na waniliowy kolor.

- Cudowny poranek, bez dwóch zdań. - Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze. - Śnieg powinien spaść jeszcze przed końcem miesiąca. To więcej niż pewne. Po niebie widać, że zbliża się zima.

- Witaj, Grace. - Julian pomachał do niej.

- Witam, panie Cooke - odpowiedziała kordialnym skinieniem głowy i machnięciem ręki, po czym rzuciła Rose krótkie, pytające spojrzenie. Ta prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

Grace wzruszyła ramionami.

- Jeżeli zaraz wyruszymy, będziemy na miejscu po południu - oznajmiła, wyjmując z bagażnika dzipa swój plecak. - Jesteście gotowi do drogi?

Julian wskazał w stronę lincolna.

- Zabierzemy ze sobą kogoś jeszcze.

Grace odwróciła się, by spojrzeć na limuzynę, której drzwiczki od strony kierowcy i pasażera się otworzyły i wysiadło zeń dwóch mężczyzn objuczonych ciężkimi plecakami ze sprzętem turystycznym.

- Sądziłam, że chodzi tylko o Shepherd'a - mruknęła Rose.

Julian się skrzywił.

- Ja też.

Rozległ się chrzęst żwiru, gdy mężczyźni podeszli do nich.

- Panie Cooke - zawołał Shepherd. - Powinienem był wspomnieć, że nie będę sam. - Postąpił naprzód. - To agent Barns. Ostatnio przyznano mi własnego agenta federalnego do ochrony. Najwyraźniej, kiedy osiągasz pewien poziom w sondażach, automatycznie zyskujesz sobie prawo do ochrony przez FBI. - Skrzywił się do tamtego. - Barns przez ostatnie tygodnie jest jak mój cień.

Agent Barns skinął uprzejmie głową Julianowi, Rose i Grace, po czym pokazał im legitymację.

- Możecie mi mówić agencie Barns albo Carl. Dla mnie to obojętne. Postaram się nie wchodzić wam w drogę, mam jedynie mieć na oku pana Shepherd'a, to wszystko - dodał jakby mimochodem.

Grace przyglądała się podejrzliwie Shepherdowi.

- Czy mówił ktoś panu, że wygląda jak ten facet z Utah startujący w... - Nie dokończyła, a jej oczy rozszerzyły się, gdy rozpoznała mężczyznę.

- Tak - mruknął Julian. - To właśnie on.

Shepherd wyciągnął rękę.

- Miło mi panią poznać.

Grace aż opadła szczęką.

- Panie Shepherd, panie Barns - rzekł Julian. - To Grace Simms, strażniczka leśna,

która zabierze nas w głąb puszczy, a to Rose Whitely, moja współpracownica i operator kamery.

Ciszę wypełniły niezręczne powitania i uściski dłoni, aż w końcu Julian odwrócił się do Grace, wciąż jeszcze zdezorientowanej pojawieniem się niezwykle gościa.

- Możemy ruszać, Grace?

Otrząsnęła się z oszołomienia.

- Ee... tak... wszyscy gotowi?

Potaknęli unisono.

- Panie Shepherd?

Uśmiechnął się ciepło.

- Jeżeli jest pani gotowa, Grace, to ja także.

- Wobec tego w drogę - rzekła, a jej głos znów stał się oschły i rzeczowy. - Mamy przed sobą od sześciu do ośmiu godzin marszu przez las, w góry. W połowie drogi zrobimy krótką przerwę na odpoczynek, a potem maszerujemy dalej. Powinniśmy dotrzeć na miejsce około trzeciej po południu. W ten sposób będziemy mieli jeszcze kilka godzin dnia na rozbić obozu. - Odwróciła się i wskazała na wydeptaną ścieżkę prowadzącą od opustoszałego kempingu i znikającą wśród drzew opodal. - Pójdziemy tą drogą - mruknęła, odwracając się, i ruszyła przed siebie szybkim, marszowym tempem.

Julian uniósł wzrok. Jak okiem sięgnąć mieli przed sobą gęstą puszcę, strzeliste drzewa porastały cały ten teren aż do widocznych powyżej fioletowych, postrzępionych i szarosinych górskich szczytów. Zdawało się, że są bardzo blisko, ale było to tylko złudzenie, gdy tak górowały nad nimi jak gromada zaciekawionych gigantów.

Shepherd zaczął iść zwawym krokiem i szybko zrównał się z Grace. W kilka chwil później rozbawił ją czymś tak, że zaśmiała się w głos, a echo jej ochryplego, niepojętego śmiechu odbiło się radośnie od górskiego stoku. Agent federalny szedł posłusznie za nimi, trzymając się blisko, ale nie za blisko Shepherdowi.

- Rose, co miała znaczyć ta wymiana spojrzeń między tobą a Grace?

- Ee? Że co?

- Kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Jakoś dziwnie na ciebie spojrzała.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła.

- Nie mów, wyraźnie wychwyciłem to spojrzenie.

- Wiesz co, Jules, na stare lata chyba popadasz w paranoję.

Julian pokręcił głową i parsknął.

- Akurat.

Rozdział 72

1 listopada 1856

Ben, potykając się, wyszedł spomiędzy drzew na polanę rozświetloną pomarańczową poświatą płomieni. W kilku miejscach na barykadzie wzniesionej tego popołudnia ogień dosięgnął tworzących szaniec gałęzi i zaczął je pochłaniać. Dostrzegł drewniane żagwie, gorejące pochodnie rzucone przez ludzi Prestona na szaniec Keatsa.

- Dość! Przestańcie! - krzyknął. Ale jego głos utonął wśród sporadycznego huku wystrzałów, śpiewów dochodzących z jednej i krzyków płynących z drugiej strony. Ponad tym wszystkim rozległ się gniewny głos Prestona:

- Spalić ich! Śmierć sługom szatana, niech ogień pochłonie te czarcie bękarty, które zagnieździły się między nami!

Od strony barykady huknął strzał i Ben zobaczył, jak jeden z ludzi Prestona zgina się wpół, przyciskając obie dłonie do brzucha. Obejrzał się znów w stronę szańca, by ujrzeć, jak jeden z Pajutów gorączkowo nabija strzelbę. Od strony mormonów posypała się odwetowa salwa. Zobaczył pół tuzina buchających kłębów błękitnego dymu, z których wytrysnęły ognie wystrzałów i iskry zapalającego się prochu strzelniczego. Pociski ze świstem przemknęły przez dym i ogień, by z głuchym stukotem i traskiem uderzyć w drewniane umocnienia osaczonej enklawy.

- Spłoniecie najpierw tu, a potem w ogniu piekielnym!... - usłyszał głos kobiety, gdy na moment zapadła cisza.

To się posunęło za daleko, aby można to powstrzymać.

- Otoczcie ich, nie pozwólcie im uciec!

To był głos Prestona.

Jego poplecznicy rozeszli się na prawo i lewo, rozpraszając się, by zająć z boków małą redutę Keatsa, która w kilku miejscach zaczynała się palić, suche drewno zajęło się ogniem z pochodni, płomienie rozchodziły się coraz dalej.

- Nie pozwólcie im uciec! - powtórzył Preston.

Rankiem dał im wyraźnie do zrozumienia, że nie są mile widziani. Teraz Ben uświadomił sobie, że Preston podjął w związku z nimi bardziej radykalną decyzję.

Preston chce zabić nas wszystkich.

Stojąc na skraju polany, zdał sobie nagle sprawę, że tamci szybko zbliżają się ku niemu i niedługo będą na tyle blisko, że któryś natknie się na niego i na pewno rozpozna jego twarz w blasku coraz silniejszych płomieni.

Kilka kolejnych wystrzałów zasycyliowało wymianę ognia ze środka płonącego szańca. Oba strzały chybiły, kule ze świstem przemknęły wysoko ponad głowami walczących i pomknęły w mrok jak spadające gwiazdy. Ponad strzelającymi coraz wyżej płomieniami na barykadzie niebo wypełniło się rozżarzonymi węglami, które unosiły się w górę, tańczyły i falowały jak świetliki.

Ben powoli wrócił po zboczu pod górę, między drzewami, świadom, że nagły i gwałtowny ruch mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Dotarłszy tam, przykucnął za wysokim porośniętym mchem pnem świerku, gwarantującym mu chwilowe schronienie, i obserwował stamtąd z narastającą zgrozą losy reszty członków swojej grupy zebranych na polanie.

Spalą się tam albo, jeśli spróbują opuścić szaniec, zostaną zastrzeleni.

- Pomóż im, Boże - wyszeptał. - To czyste szaleństwo.

Niemal cała barykada stała już w ogniu, tworzącym jasny krąg płomieni, których żar Ben czuł nawet w miejscu, gdzie przykucnął. Na barykadzie żar musiał być palący, nie do zniesienia. Dostrzegł kilka kobiet - panią Bowen i McIntyre - starających się najlepiej, jak umiały, osłonić swoje pociechy od gorąca i wcierających zdrapany palcami z ziemi zbity śnieg w odsłoniętą, pokrytą pęcherzami skórę dzieci.

I wtedy stało się to, co nieuniknione: część barykady runęła wśród snopów iskier. Minęło kilka sekund, podczas których słyszał dochodzące spomiędzy płomieni komendy wydawane przez niezmordowanego Keatsa.

Zaraz potem pojawili się w powstałym prześwicie: awangarda Pajutów pod wodzą Złamanego Skrzydła, porzucili już zdobywcze muszkiety z innej epoki na rzecz tamahakanów, które unieśli w gotowości, gnając co sił w nogach ku stojącym najbliżej, zdezorientowanym członkom grupy Prestona.

Keats i kilku innych mężczyzn - rozpoznał Weylanda, McIntyre'a i Husseina - oddali salwę, by osłonić nacierających Indian - kilka kul dosięgło celu, padła jedna z kobiet, w bok został ranny młody mężczyzna. Pajuci nieomal zdołali dobiec do grupy Prestona, zanim ponowny wystrzał powalił jednego z wojowników, brutalnie zbijając go z nóg. W chwilę później reszta broniących się ludzi Keatsa wyszła przez wyłom w szańcu, kilkoro dzieci otulonych było w dymiące, tłące się koce.

Keats i mężczyźni opuścili umocnienia ostatni, ładując strzelby w biegu i gnając za

swoimi rodzinami w kierunku miejsca brutalnej, bezpardonowej walki wręcz, jaką zapoczątkowała awangarda Pajutów.

Preston zareagował błyskawicznie.

- Tam! Nie pozwólcie im się wydostać! - Ben usłyszał jego gromki głos. Mormoni rozproszeni wokół płonącej reduty przerwali manewr otaczania szanca i zawrócili w stronę, gdzie rozgorzały najzacieklejsze walki.

Ben uświadomił sobie nagle, że szlocha z rozpacz, policzki piekły go od słonych łez spływających po jego zamarzniętej, popękanej skórze.

Wrzaski agonii i gniewne okrzyki przybierały na sile.

Dostrzegł jedną z kobiet mormonów, klęczącą i kołyszącą się w tył i w przód, trzymającą w ramionach nieruchome ciało nastoletniego chłopca. Widział, jak jedna z córek McIntyre'ów Anne-Marie, ta, która podarowała Emily swoją lalkę, biegnie ze łzami w oczach wśród walających się na ziemi ciał, nawołując rodziców. I nagle dosięgnął ją zamaszysty cios jednego z Indian, szykującego się do kolejnego uderzenia. Tamahakan trafił ją w szyję, orząc w niej głęboką krwawą bruzdę, zanim wypchnięty do przodu zagłębił się w czaszce jednego z mężczyzn, którego Ben rozpoznał jako pana Holbeina, jednego ze Starszych z Grupy Prestona. Anne-Marie osunęła się na kolana, przykładając dłonie do szyi. Ciałem Holbeina targnął spazmatyczny skurcz, umierający wystrzelił nieomal z przyłożenia i kula z muszkietu wyrwała strzępiastą dziurę w plecach młodego wojownika, przesywając jego ciało na wylot.

Ben zobaczył, jak Keats przebija się naprzód, by dołączyć do pozostałych Pajutów. Ich zażarta walka sprawiła, że grupa Prestona rozbiła się na mniejsze, ludzie rozpierchli się na wszystkie strony, aby tylko uniknąć ciosów zabójczymi maczugami bojowymi. Keats zawołał do pozostałych, aby ruszyli za nim, ale jego głos utonął pośród ogólnego harmidru.

Bowen, McIntyre i ich rodziny zbili się w zwartą gromadę, walcząc pięściami, stopami, paznokciami, jak tylko się dało; stojąc plecami do siebie, jak umieli najlepiej starali się odparowywać ciosy szydzącego z nich, zacieśniającego się kręgu mężczyzn, kobiet i starszych dzieci.

Ben spostrzegł Husseina i jego rodzinę, znajdujących się w identycznym położeniu, kilkadziesiąt metrów dalej. Widział, jak Stolheim, jeden ze Starszych, wycelował z pistoletu i strzałem w pierś z bliskiej odległości powalił najstarszego syna Husseina, Omara. Hussein wrzasnął z rozpacz i zamachnął się trzymanym za lufę muszkietem, kolbą trafiając Starszego w podbródek. Gdy mężczyzna upadł na kolana, oszołomiony, pokorna i nieśmiała żona Husseina postąpiła naprzód i roztrzaskała głowę Starszego drewnianym młotkiem.

Do kłębiącego się tłumu ciał dołączyli kolejni ludzie Prestona. Splątane kończyny,

tańczące płomienie i sporadyczny błysk wystrzału przydawały tej scenie osobliwego wrażenia jakiegoś okultystycznego tańca.

A sam Preston przez cały czas nawoływał swoich ludzi, zagrzewając ich do walki. Ale nie miał na sobie przebrania. Nie było potrzebne.

Już się nie liczyło. Może Preston uznał, że nie musi dłużej odgrywać roli anioła zemsty, jego poplecznicy byli gotowi zrobić wszystko, co im kazał.

Oni wszyscy zginą.

I wtedy Benowi coś przyszło na myśl - obietnica złożona Samowi dawno temu, jakby w innym życiu. Oderwał wzrok od walczących, by skierować go w stronę drugiego końca polany, gdzie bez trudu wypatrzył obły kształt szałasów Dreytonów.

Emily.

*

To ma być wola Boża?

Poczuł, jak anioł wierci się w cichym zakamarku jego umysłu, gdy obserwował rozwój wydarzeń ukryty na skraju polany. Okrwawione kobiety wyrywały włosy innym okrwawionym kobietom; dzieci dźgały się nawzajem zaostrozonymi kijami, śnieg ciemniał od rozlewających się kałuż świeżo przelanej krwi.

Nie. To wola Prestona.

Walka zaczęła słabnąć. Tyle samo osób wiło się z bólu na ziemi, ile wciąż trzymało się na nogach, kontynuując bezpardonową walkę. Noc wypełniła się krzykami bólu, rozpacz, gniewu i strachu.

Oni mordują w imię Boże jak szkolone psy.

Przez chwilę ignorował anioła, przepatrując ciała wijących się rannych, tych, którzy wciąż stali, rozpoznawał twarze, ale już ich nie znał.

To ciekawe... co ludzie gotowi są uczynić w Jego imię.

Pokiwał głową, trzymając się mocno gałęzi drzewa i spoglądając w dół, na rozgrywające się tam wydarzenia.

Tak.

Dziecko przycupnęło na klatce piersiowej martwego mężczyzny, krzycząc i tnąc zapamiętałe jego twarz myśliwskim nożem, pozostawiając na ciele krwawą mozaikę głębokich bruzd.

Nienawiść jest w nich wszystkich.

Tak.

Nie tak jak w tobie, w tobie widzę wyłącznie dobro.

Mam nadzieję.

Oni nigdy nie mogliby być wybranymi.

Jak to?

Są skalani grzechem. Toczy ich jak choroba, zatruwa ich dusze, musiałeś żyć pośród tego, oddychać tym przez całe twoje życie.

Pokiwał głową bez słowa, dopiero teraz zaczął to pojmować.

To grzech określa tych ludzi.

Czy jest nim pycha?

Wyczuł, że aniołowi spodobała się jego odpowiedź.

Uwierzyli, że są wybranymi... i zgrzeszyli pychą.

Skinął głową. Nefi miał rację.

Zawsze byłeś inny niż tamci.

Naprawdę?

To dlatego pozwoliłem, abyś zabrał mnie od niego.

Od Prestona.

W tym momencie przypomniał sobie o czymś istotnym.

Preston! Obiecałeś mi go!

Tak, zasłużyłeś na to.

Jego oczy wypatrzyły poszukiwanego mężczyznę, nabijającego strzelbę i ponaglającego swoich ludzi do walki. Trzech Indian i Keats wciąż jeszcze pozostawali przy życiu. Najwyraźniej uznali, że dalsza walka nie ma sensu, bo odwrócili się i zaczęli biec w stronę drzew. Przebiegli tuż pod gałęzią, na której przycupnął; gdyby któryś z nich przypadkiem uniósł w tym momencie wzrok i spojrzał w górę, musiałby go zobaczyć.

Preston zawołał do kilku swoich ludzi, którzy znajdowali się najbliżej.

- Nie pozwólcie im uciec! Trzeba to wszystko oczyścić, nie mogą ujsć stąd z życiem! - zakrzyknął, puszczając się za nimi w pościg wraz z półtuzinem swoich popleczników.

Jest twój, możesz z nim zrobić, co zechcesz.

Dziękuję.

Rozdział 73

1 listopada 1856

Ben stapał miękko i cicho pomiędzy szalasami, obawiając się, że Preston mógł dla zasady zostawić tam jednego lub dwóch wartowników. Najwyraźniej jednak nie pozostawił nikogo i Lambert jął zastanawiać się, czy zastanie Emily bez nadzoru, pogrążoną w stuporze, nieświadomą rzezi rozgrywającej się na zewnątrz.

Dotarł do ośnieżonego szałasu Dreytonów i przykucnął obok niskiego wejścia, nasłuchując wszelkich odgłosów dochodzących ze środka. To nie było łatwe z uwagi na upiorne hałasy płynące z drugiej strony polany. Histeryczne wrzaski i odgłosy walki ucichły i w narastającej ciszy zaczęły rozlegać się przeraźliwe zawodzenia i jęki rozpacz.

Podejrzewał, że ferwor wywołany przez Prestona, gdy zagrzewał swoich ludzi do walki, powoli słabł. Przyszło mu do głowy, że Preston mógł wzbudzić wśród nich takie szaleństwo z pomocą swego lekarstwa. Rozwodnione i dolane do bulionu mogło, jak podejrzewał Ben, wzniecić wśród wiernych narastającą euforię. Reszty dokonały pełne pasji i uniesienia słowa Prestona.

Zastanawiał się, czy niektórzy z nich nie wracają już do obozu, choćby po to, by się pomodlić. Uznał, że nie może zwlekać i odgarnąwszy płachtę, zajrzał do środka. Usłyszał ciche westchnienie i w słabym blasku świecy spostrzegł obok Emily wilgotne od łez oblicze pani Zimmerman. Jej usta drżały, tyleż ze smutku, co ze zdumienia, była zaskoczona jego niespodziewanym pojawieniem się. Spojrzała na niego, ciężko dysząc, jej podkrążone oczy były zaczerwienione od łez.

- Preston... on... zmienił nas wszystkich w morderców - wyszeptała pomiędzy chlipnięciami.

Ben pokręcił głową. Odezwał się półgłosem:

- Nie wszystkich, pani Zimmerman.

Pociągnęła nosem i wytarła go.

- To miejsce... stało się złe. Czuję, że tam na zewnątrz czai się diabeł.

- Owszem. - Ben spojrzał na Emily. - Przyszedłem, aby ją stąd zabrać. - Pokiwała głową.

- Tak... tak... ona musi pójść z panem. Nie może tu zostać.

Wpełził do szafasu i wziął dziewczynkę w ramiona. Emily wymamrotała coś sennie i przez chwilę wodziła nerwowo wzrokiem na prawo i lewo, zanim jej oczy znów stały się nieobecne, mętne i niewidzące. Pani Zimmerman wyciągnęła rękę i ponownie pogładziła dziecko.

- Proszę mi obiecać, że będzie przy panu bezpieczna - zawołała, a po jej policzkach popłynęły łzy. - Teraz żyję tylko dla niej. Nie mam nikogo... żadnej rodziny...

- Wobec tego proszę pójść ze mną - rzekł Ben. - Pomoże mi pani.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Dokąd ją pan zabierze?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że musimy stąd odejść. Powinna pani pójść. Emily pani potrzebuje.

Słyszeli dochodzące z zewnątrz jęki, zawodzenia gniewu i rozpacz... przesycone nutą szaleństwa. Spojrzała mu w oczy z niepewnością.

- Widziałem obrazy piekła malowane przez pacjentów z zakładów psychiatrycznych, jak i przez wielkich mistrzów pędzla i wszystkie przypominały to, co dzieje się teraz na zewnątrz.

Od strony lasu dobiegł rozdzierający krzyk.

- Jeżeli tu pani zostanie, pani Zimmerman, obłąd Prestona zabije zarówno panią, jak i innych. Tak czy inaczej, wszyscy zginiecie. On postradał rozum. - Położył dłoń na jej ramieniu. - A poza tym musi mi pani przy niej pomóc. - Ben spojrzał jej prosto w oczy. - Nic tu po pani.

Rozejrzała się dokoła niepewnie, przygryzła wargę, wyraźnie zbolęła. Wreszcie pokiwała głową.

- Dobrze, pójdę.

- Musimy iść już teraz.

Ben na klęczkach, niezdarnie, trzymając w ramionach dziewczynkę zaczął przesuwając się w stronę wyjścia. Odgarnął płachtę głową i wyjrzał na zewnątrz. Ogień pośrodku zaczął już dogasać, a okrągły szaniec zawalił się, pozostał po nim już tylko krąg żarzących się węgli i leniwie falujących płomieni. Dostrzegł sylwetki ludzi krążących pomiędzy ciałami. Miał nadzieję, że rannym czy konającym próbowano jakoś pomóc czy złagodzić cierpienia, domyślał się jednak, że nieukojony ból, żal i gniew przywodziły tamtych do wzięcia odwetu na tych, którzy dawali jeszcze oznaki życia.

Nikt na razie nie wracał do obozu.

Z trudem podźwignął się na nogi, przytłoczony martwym ciężarem Emily, i pognął przez prześwit między szalasami w kierunku najbliższych drzew. Pani Zimmerman pospieszyła za nim, oglądając się trwożliwie przez ramię na ludzi, których już nie poznawała. Dogoniła Bena, który ukląkł na skraju polany, czekając na nią.

- Na otwartej przestrzeni w nocy zamarzniemy na śmierć - wyszeptała ochryple.

- Tej nocy będziemy przez cały czas szli. To uchroni nas przed zamrożeniem. Jutro za dnia powinniśmy znaleźć się dostatecznie daleko od tej polany, aby zbudować jakieś schronienie. Zastanawiał się, w którą stronę powinni się udać, bo nie wiedział, gdzie konkretnie się znajdują i jak daleko stąd była najbliższa osada.

Może w tych lasach są jeszcze jacyś traperzy.

Zdał sobie sprawę, że spotkanie któregoś z nich było raczej mało prawdopodobne. Będą musieli sami zatroszczyć się o przetrwanie.

Pani Zimmerman położyła dłoń na jego ramieniu.

- Na zachód, panie Lambert... powinniśmy kierować się na zachód.

Miała rację. Spojrzał w górę, w czyste nocne niebo, i zaczął w myślach oszacowywać, po której stronie przez ostatnie tygodnie widział wschodzącą, a po której zachodzącą bladą tarczę słońca.

- Myślę, że zachód jest tam - rzekł, wskazując w stronę drugiego krańca polany. - Musimy po cichu obejść obozowisko. Jest pani gotowa?

Skinęła głową.

- No to chodźmy - wyszeptał, biorąc Emily na rękę.

*

Keats brnął z wysiłkiem pod górę po coraz bardziej stromym zboczu, zdyszany i wyczerpany po trudach ostatnich dziesięciu minut, desperackiej walki wręcz i ucieczki, jaka potem nastąpiła. Z jego ust wyrывał się udreżony oddech, a z rozgrzanego ciała wypływały w mroźne, nocne powietrze wąskie smużki pary.

Zatrzymał się na chwilę, aby odzyskać oddech, i odwrócił się, spoglądając w stronę, skąd przybył. Niebo było tej nocy czyste, a pomiędzy przepływającymi wysepkami ciemnych chmur lśnił księżyc w pełni, który osnuwał noc srebrzystym blaskiem, sprawiającym, że zalegający ziemię śnieg iskrzył się niczym rtęć.

Światło łowcy. To księżyc łowcy.

Zaklął. Nawet w słabym świetle lamp naftowych trudno byłoby przeoczyć pozostawione przez niego na śniegu ślady. Jakby tego było mało, zostawiał za sobą ślad krwi, ciemnej, prawie czarnej w świetle księżyca. Ten trop jeszcze bardziej zdradzał obrany przez

niego kierunek ucieczki. Rana cięta na przedramieniu, zadana motyką, wciąż krwawiła, ale upływ krwi już osłabł i posoka już nie buchała, lecz tylko sączyła się powoli. Musiał czym prędzej zabandażować ranę, aby nie otworzyła się przy uderzeniu lub zahaczeniu o coś, powodując ponowne krwawienie.

Ale musiał też przede wszystkim iść dalej.

Z tyłu za nim, nieco dalej w dole zbocza, słychać było czyjś ciężki oddech oraz trzask większych i mniejszych gałązek odgarnianych bezceremonialnie na bok. Ktoś szybko się do niego zbliżał. Jeszcze dalej w dole widać było słabe migotanie lamp i pochodni przesuujących się szybko między drzewami.

Przyspieszony oddech i odgłos szybkich kroków nieuchronnie zbliżał się ku niemu. Keats nie miał czasu, by podsypać prochu i wrzucić kulę do lufy, by oddać kolejny strzał. Upuścił strzelbę i wyjął nóż myśliwski. Zdyszany oddech był coraz bliżej i w świetle księżyca Keats ujrzał jakąś postać wylaniającą się chwiejnie z ciemności i przechodzącą przez rozjaśniony blaskiem księżyca, pokryty śniegiem pas wolnej przestrzeni pomiędzy nimi.

Keats odetchnął z ulgą, rozpoznawszy nadchodzącego, i zaśmiał się ochryple.

- Złamane Skrzydło - powiedział w utę.

- Ke-e-et, ty żyjesz - odparł po angielsku Indianin. Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu, obaj z trudem łapali oddech.

Keats wskazał w dół zbocza.

- Są z tobą inni?

Złamane Skrzydło skinął głową.

- Jeden brat Pajute i blada twarz ze squaw o bizoniej skórze.

- Nikt więcej?

- Reszta nie żyje.

Usłyszał, jak Weyland i inni podchodzą do nich, czyniąc przy tym tyle hałasu, że Keats mimowolnie krzywił się i mrużył powieki, przy każdym ogłuszającym trzasku i szeleście. Stanęli w blasku księżyca. Weyland i Pajute nieśli wspólnie młodą Murzynkę, która wydawała się bezwładna i przelewała się ciężko w ich ramionach.

Keats znów przeniósł wzrok na odległy blask pochodni poniżej. Naliczył co najmniej tuzin migocących, pomarańczowych ogni jarzących się wśród drzew. Widział, jak się zatrzymują, a w kilka chwil później zbijają w ciasną gromadę.

Zebranie.

- Moja mała jest ciężko ranna - ciszę przerwał łagodny głos Weylanda, gdy osunął się na ziemię, trzymając ją w ramionach. - Moja ukochana Violet. Skrzywdzili cię, ale

wydobrzejesz - wyszeptał, kołysząc ją delikatnie w ramionach. - Wyjdiesz z tego, mój mały aniołku. Wyprowadzimy cię stąd, zejdziemy z gór i dotrzemy do miejsca, do którego zmierzaliśmy - mamrotał łamiącym się z rozpacz głosem.

Młody Pajute spojrział na Złamane Skrzydło i powoli pokręcił głową.

- Bizonia skóra nie żyje.

Złamane Skrzydło pokiwał głową.

Keats oderwał pas swojej wyblakłej koszuli w grochy, którą nosił pod bluzą z jeleniej skóry, i przewiązał sobie ramię, wpatrując się w odległe skupiska świateł, migocących w ciemności.

- Oni przyjdą, Ke-e-et - rzekł po angielsku Złamane Skrzydło tak, aby mógł go usłyszeć Weyland. I wychwyciwszy spojrzenie Keatsa, dodał w ucie: - Nawet ślepiec bez trudu podążyłby tym tropem.

W dole zrobiło się jakieś poruszenie. Grupa rozdzieliła się na dwie mniejsze. Jedna zmieniła kierunek i zaczęła rozpraszać się na pojedyncze punkciki światła, rozchodzące się po lesie wokół obozu. Keats zorientował się, że szukają zbiegów, którzy postanowili nie uciekać dalej, lecz gdzieś się ukryć.

Druga grupa po chwili zaczęła się piąć pod górę w ślad za nimi. Keats zacisnął dłoń w pięść. *Odnaleźli nasze ślady.*

Weyland wciąż szeptał zapewnienia pod adresem dziewczyny, obiecując przyszłość, która nie będzie jej dana.

- Musimy iść - wysyczał Keats.

Wirgińczyk zignorował go, wciąż szepcząc do ucha martwej dziewczyny.

- Weyland! Ona nie żyje, Weyland. Umarła. Musimy iść.

Weyland pokręcił głową.

- Violet jest tylko zmęczona. Musi przez chwilę odpocząć, a potem...

- Dziewczyna nie żyje! - uciał. - Dość dyskusji. Spójrz - rzekł, wskazując w dół stoku. Blask ogni przybierał na sile i stawał się wyraźniejszy. Tamci wspinali się szybciej, przyświecając sobie pochodniami i lampami naftowymi.

- Dlaczego blade twarze wciąż idą? - zapytał młody Pajute w swym narzeczu.

Złamane Skrzydło przeniósł wzrok na odległe punkciki światła.

- Owładnął nimi duch bladych twarzy.

Keats położył rękę na ramieniu Weylanda.

- Pożegnaj się z nią, Weyland. Idziemy dalej.

Weyland pokiwał głową, pocałował Murzynkę w usta i mocno przytulił, kołysząc ją

energicznie w przód i w tył.

- Musimy iść! - warknął Keats. - Już!

Złamane Skrzydło rzucił krótki rozkaz młodemu wojownikowi Pajutów. Tamten pięścią wyrznął Weylanda w plecy.

- Chodź albo zginiesz.

Skinął głową, delikatnie położył Murzynkę na śniegu i wstał.

- Tędy - rzekł Keats, wskazując pod górę. Odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć w dół, gdy pozostali członkowie jego grupy mijali go w milczeniu. Ich prześladowcy byli już blisko. W oddali widać było dogasający krąg żaru i popiołów, tylko tyle zostało z ich pospiesznie wzniesionych umocnień. Pomylił się, sądząc, że drewno było zbyt wilgotne, by mogło zająć się ogniem. Powinni byli wykorzystać ten dzień, aby spakować swój nędzny dobytek i odejść, tak jak domagał się tego Preston, a nie budować szaniec. To był błąd.

Lambert to zrozumiał, pojął, że są zgubieni, i odszedł, zanim było za późno. Reszta mogła - i powinna była uczynić to samo. Teraz uświadomił sobie, że w tych górach jest coś znacznie gorszego niż niesprzyjająca pogoda.

- Może ci kaznodzieje mają rację - mruknął pod nosem. - Może anioły i demony istnieją... a także Bóg i szatan.

Rozdział 74

1 listopada 1856

- O, nie. To na nic. Nie możemy pozwolić, żeby zaszyli się gdzieś w tej puszczy - zawołał Preston do grupy swoich wiernych. - Słyszycie?

Mężczyźni potaknęli.

- Znajdźcie ich dla mnie. Nie możemy pozwolić, aby się wymknęli, a potem wrócili. Rozproście się i ich znajdźcie!

Rozkołysane światła lamp naftowych i falujących, migocących pochodni wypełniły przestrzeń wokół nich tańczącymi cieniami, gdy wytyczali liczne ścieżki wśród zarośli i odgarniali zwieszające się nisko ciężkie od szpilek gałęzie jodłowe.

- I bądźcie ostrożni! - ostrzegł, przekrzykując gwar głosów, trzaski gałęzi i szelest osypującego się dokoła śniegu. - To złe duchy. Rzucają się na was i zarzną przy pierwszej okazji. Bądźcie czujni - zapowiedział z mrozącym krew w żyłach przekonaniem. - Jeśli ich osaczycie, będą próbować zamącić wam w głowach. Cokolwiek uczynią, nie słuchajcie ich! Nie patrzcie im w oczy! Nie pozwólcie, by weszli do waszych głów! Mogą wyglądać jak ludzie, lecz nimi nie są!

Preston ruszył naprzód z nową determinacją, gorączkowo przepatrując grunt przed sobą w poszukiwaniu świeżych śladów.

Nie możemy pozwolić, aby ktokolwiek z nich uszedł z życiem. To miejsce musi zostać oczyszczone.

Hałasy zewsząd nieco osłabły, gdy mężczyźni wokół niego zaczęli się rozchodzić, zapuszczając się coraz głębiej w las. Odwrócił się, by spojrzeć przez ramię, i ujrzał idących tuż za nim dwóch mężczyzn. Ich twarze były mu dobrze znane.

- Peter, Jacob... rozproście się jeszcze bardziej. Musimy. - Znów odwrócił się i spojrzawszy przed siebie, spostrzegł w świetle lampy świeży trop na śniegu. - Zobaczcie! Tu są ślady.

Co najmniej kilka osób. Chyba musieli tędy przebiegać.

Warstwa śniegu w jednym miejscu była wygnieciona i jakby spłaszczona.

Ktoś osłabił i upadł, może się potknął.

- Mamy ich! - Uśmiechnął się.

Cała trójka skręciła w prawo, podążając za świeżym tropem, prowadzącym w górę zbocza. Ich oddechy stały się bardziej wysilone, gdy brnęli naprzód, i po chwili odgłosy innych mężczyzn przeczesujących puszcę rozmyły się w oddali. Słyszeć było tylko od czasu do czasu nawoływania, gdy któryś z wiernych napotkał nowe ślady i przyzywał innych do siebie.

Tropy nagle się rozdzielały.

Preston zatrzymał się, przyglądając się im przez chwilę.

- Powiedziałbym, że jest ich czworo. Trzech poszło w tę stronę, a jedna osoba w prawo.

Peter Brumbaugh przykucnął i odgarnął z kanciastej twarzy pasemko długich, ciemnych włosów.

- Spójrzcie! Jedna z tych osób jest ranna, widzicie? - powiedział, wskazując na czarne jak atrament ślady na śniegu. Dotknął urękawiczoną dłonią jednego ze śladów i uniósł palec do światła. Przyjrzał się mu w blasku lampy, podekscytowany pościgiem, oczy miał rozbiegane, źrenice rozszerzone. - To krew.

- Wobec tego ty i Jacob pójdziecie tym tropem - rzucił Preston. - I pamiętajcie o ich niecnym sztuczkach. Nie pozwólcie im mówić. Kiedy już ich dogonicie, nie traćcie czasu. Zabijcie ich od razu. Będą próbowali was oszukać, wdrzeć się do waszych głów i zwrócić was przeciw sobie. Rozumiecie?

Obaj mężczyźni potaknęli, ciężko dysząc z wyczerpania, strachu i podniecenia.

- Bóg z wami! Idźcie już!

Obaj mężczyźni ruszyli w pościg, podążając za liczniejszymi śladami stóp. Preston skręcił w prawo, kierując się za pojedynczym tropem

*

Obserwował Prestona, przygarbionego i wychylonego do przodu, trzymającego w wysoko uniesionej ręce lampę naftową i oświetlającego sobie drogę. Mężczyzna poruszał się niezdarnie, widać było, że nie przywykł do wędrowek po puszczy, nie potrafił stąpać tak, by omijać nierówności terenu i wykroty ukryte pod śniegiem.

Brakowało mu zwinności i gracji.

Nie ma w nim piękna. Zewnętrznie jest równie szpetny jak i od wewnątrz.

Obiecałem. Jest twój.

Dziękuję.

Bez wysiłku skradał się za mężczyzną, podążając za nim krok w krok, stąpając tylko

po ubitym śniegu, by nie było słyszeć najdrobniejszego skrzypnięcia czy szmeru... i znajdował się teraz kilkanaście metrów za nim.

Gdybyś się odwrócił, Preston, ujrzałbyś mnie. Może nawet zdążyłbyś wystrzelić, gdybyś był dostatecznie szybki.

Uśmiechnął się. To było zabawne. Śledził w ten sposób obcych zaledwie kilka minut temu; Indianina, wysokiego południowca i jego konającą Murzynkę, wsłuchując się w ich urywane oddechy i zgrozę wyczuwalną w ich zduszonych szeptach. Był tak blisko, że czuł ciągnący się za nimi odór strachu, a mimo to pozostał niezauważony - podniecenie pościgiem wciąż w nim narastało, z trudem pohamował się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Był tak blisko, że mógł ich pozabijać.

Ale anioł był bystry. Nakazał mu, by wykorzystał ich jako przynętę.

*

Trop nagle się urywał.

Preston stanął jak wryty. Zdezorientowany ukląkł, opuszczając lampę tuż nad ziemią. Pospieszne, niepewne ślady stóp jednej uciekającej osoby nagle ni stąd, ni zowąd znikły.

- Co u licha? - mruknął pod nosem.

Po prawej ujrzał gruby, poskręcany pień cedru. Spojrzał w górę na nagie konary powyżej, pokryte nienaruszoną warstwą śniegu wyglądającą jak lukier na torcie. Z wyjątkiem jednej gałęzi tuż nad nim. Śnieg spadł z tej gałęzi w miejscu, gdzie musiały pochwycić konar dwie silne dłonie.

Sprytne diable.

Anioł Nefi często go przed tym przestrzegał... przed sztuczkami Złego, oszukańczymi gierkami, w jakich lubowali się szatan i jego słudzy. Wyprostował się, wyciągając szyję, by spojrzeć w górę na ciemne konary powyżej, i unioś lampę najdalej jak tylko mógł.

- Wiem, że tam jesteś! - zawołał.

Tylko jeden z mniejszych czartów, taki, który ukrywał się pod postacią dziecka, byłby na tyle zwinny, aby jak małpa wspiąć się na to drzewo.

- Dziecko! - zawołał, choć nawet samo brzmienie tego słowa wywołało w jego ustach palącą gorycz. - Złaż tu natychmiast!

Gałęzie drzewa zaszeleściły i zakołysały się pod wpływem podmuchu wiatru.

- Dziecko! - zawołał ponownie, tym razem nieco łagodniejszym tonem. - Zejdź na dół, a ja pomogę ci pozbyć się zła, które tobą zawładnęło. - Preston wiedział, że Bóg wybaczy mu to drobne kłamstwo; dla tych kreatur nie było już ratunku. Ale człowiek wiedziony miłością i współczuciem - taki jak on - mógł sprawić, że śmierć, jaką im zada, nadejdzie litościwie

szybko.

*

Jak ktoś może być tak ślepy i nie dostrzegać tego, co dzieje się wokół niego?

Stał za Prestonem, niemal na wyciągnięcie ręki, kołysząc się bezgłośnie i pohamowując się, by nie wybuchnąć śmiechem. Nie mógł się doczekać, aż ten głupi, arogancki idiota odwróci się i go zobaczy.

Jesteś ślepy, Preston.

Wysoki mężczyzna przed nim, który nawoływał do drzewa jak głupiec, już wkrótce umrze. Chciał jednak, aby Preston przed śmiercią dowiedział się, kto go zabije... tak jak to się stało z Erikiem Vanderem. Zabójstwo Saula Hearsta nie było zaplanowane, to się wydarzyło w mgnieniu oka, a jego poczynania zaćmiła czerwona mgła gniewu i nienawiści. Wolałby poświęcić Saulowi więcej czasu, pozwolić, by ten obleśny staruch zrozumiał, czym jest naprawdę strach, i pojął cały bezmiar swego brudu i plugastwa... ale przede wszystkim, aby tamten zrozumiał przed śmiercią, że będzie po wieczne czasy smażył się w piekle.

W wypadku Erica miał tę szczególną przyjemność.

A teraz nadeszła kolej Prestona.

Delikatny powiew wiatru pieścił jego nagą skórę, kiedy wyprostował się i stanął sztywno, nie powodując przy tym nawet najcichszego brzęknięcia kości. Wyszeptał:

- **Williamie...**

*

Preston odwrócił się, słysząc świszczący głos szepczący jego imię.

- A niech mnie! - Głos uwiązał mu w gardle. Zgroza, strach, uniesienie i ekscytacja sprawiły, że zastygł w bezruchu, milczący, na dobre zapominając o poszukiwaniu dziecka - diabluka ukrytego gdzieś na drzewie.

- **Prestonie...** - wysyczała istota.

Osunął się na kolana i uniósł wzrok w oszołomieniu i szczerzej trwodze na widok górującej nad nim kościanej postaci. Miłość, radość i euforia wydusiły z jego ust zduszony szloch.

- Nefi, to ty? To ty... wreszcie do mnie przybyłeś! - Głos drżał mu z wdzięczności. Łzy popłynęły z kącików głęboko osadzonych oczu, ściekając po zapadłych policzkach aż do brody. - Och, dzięki Ci, Boże! Myślałem, że Go zawiodłem! Że Cię w jakiś sposób rozczarowałem... że znalazłeś kogoś innego, by podjął to dzieło.

Anioł pozostawał w bezruchu. Preston powiódł wzrokiem po bladej postaci, po wystających z niej kolcach i kościach aż do długiej rogatej czaszki i dwóch ciemnych

oczodołów, które, jak mu się zdawało, odbijały blask lampy naftowej.

- Dokonało się! Oczyszciliśmy to miejsce... jak chciałeś, oczyszciliśmy je z tych diabelskich pasożytów; już ich nie ma. - Jego głos drżał z podniecenia. - Oczyszciliśmy je na tyle, że do nas powróciłeś.

Anioł uniósł długi, kościsty palec do rzędu długich, nierównych zębów.

- **Ciii.**

Preston czuł, że czarne oczodoły obserwują go z uwagą, i był pewien, że anioł przyjął jego słowa z aprobatą, że był z niego dumny, ponownie odnalazł w sobie siły i uczynił to, co konieczne, co stać się musiało.

- Czy chcesz, abyśmy rozpoczęli naszą pracę? - zapytał Preston, przerywając milczenie. - Złote płyty czekają w naszej świątyni, możemy zacząć...

- **Ciii.**

Preston zamilkł.

- **Długo na to czekałeś, Williamie, na moje wskrzeszenie.**

Pokiwał głową, czując łzy napływające do oczu.

- Chciałem cię zobaczyć, móc z Tobą pomówić, usłyszeć głos anioła...

- **Ale czemu właściwie, Williamie, anioł miałby przybyć do ciebie?**

- Co takiego?

- **Czemu Bóg miałby powierzyć tobie głoszenie jego słowa odczytanego z tych świętych płyt? Co?**

Preston pokręcił głową, zdezorientowany.

- Ponieważ... on sam przyniósł je mnie, powierzył mi je i polecił, abym...

- **Nie! Jesteś oszustem! Kłamcą! I złodziejem.**

- Nie!

- Eric, Saul i ty... fałszywy prorok. Wiesz, co spotyka fałszywych proroków?

Preston pokręcił głową.

Anioł nagle postąpił krok naprzód, zamachując się jedną ręką i mierząc w brzuch kaznodziei.

Ten nagły ruch zaskoczył i zdezorientował Prestona. Dopiero gdy wijąca się smużka gorącej pary przepłynęła w górę, przed jego oczami, w kilka sekund zrozumiał, że anioł rozplatał mu brzuch. Spuścił wzrok, by ujrzeć powiększającą się kałużę ciemnej lepkiej krwi wsiąkającej w śnieg i pętlę lśniącego jelita wystającą z poszarpanej dziury w ubraniu i zwieszającą się nisko nad ziemią.

Spojrzał na Nefiego.

- Dlaczego...?

- **Masz w sobie wiele ciekawych rzeczy. Ujrzysz je wszystkie, zanim skonasz.**

Anioł zachichotał jak niegrzeczne dziecko.

Preston poczuł pierwszą falę dojmującego bólu napływającego z rozdartego brzucha. Jednak jego zdezorientowany, skołowany umysł próbował zrozumieć coś znacznie istotniejszego.

- Czemu? Czemu... to... zrobiłeś?

Anioł smagnął dłonią o długich, ostrych jak brzytwy palcach przez otwartą ranę, chwytając pęto jelit i wyszarpując je na śnieg. Preston poczuł lekkie szarpnięcie do przodu. Osunął się na kolana.

- **Ponieważ nie jesteś dobrym człowiekiem. Nie dość dobrym dla Boga.**

Kolejne machnięcie i Preston poczuł, że wypływa zeń więcej trzewi, spadających przy wtórze wilgotnego plaśnięcia na ziemię pomiędzy jego nogami. Jego umysł tępo zarejestrował, że w ręku trzyma nabitą strzelbę. Ale to już nie miało znaczenia; za późno. Wiedział, że umiera.

Obecnie istotniejsze dla niego było, bardziej niż cokolwiek innego, zrozumienie, dlaczego to go spotkało i jaki los czekał go później.

- Czyż nie byłem prawy? Czyż...?

- **Jesteś lotrem!** - Szept anioła zmienił się nagle w aż nazbyt ludzki krzyk przepełniony udręką i nienawiścią.

Preston drgnął. Zakołysał się na klęczkach do tyłu. Mały światek wokół nich, ta niewielka przestrzeń śniegu, nagich gałęzi, rozświetlona bursztynową poświatą pojedynczej lampy naftowej, zaczął kołysać się i wirować. Zakręciło mu się w głowie.

Ten krzyk nie brzmiał jak głos anioła.

- Nienawidzę cię! - ryknęła koścista istota. - Twoja pieprzona czarna dusza będzie po wieczność smażyć się w piekle! Chcę, żebyś to wiedział, zanim wyrwę ci serce! Będiesz płonął po wsze czasy w ogniu piekielnym - zawyła istota przeraźliwie. Po raz pierwszy oszołomiony umysł Prestona przepełnił lęk i zakłopotanie ustąpiło miejsca podejrzliwości.

- Nie! - wyszeptał.

Świat przechylił się nagle w bok. Preston poczuł zimny śnieg dotykający z jednej strony jego rozpalonej twarzy, kiedy upadł na bok. Odwrócił się, by ujrzeć, jak koścista istota staje, a potem klęka nad nim, z kolanami po obu stronach jego miednicy.

- Czy teraz już rozumiesz, Williamie? - krzyknęła istota.

Szponiasta dłoń zagłębiła się w ziejącej jamie na brzuchu, a Preston poczuł

szarpięcie, które wyrwało z jego wnętrza jakieś delikatne organy. Jęknął, targnął konwulsyjnie całym ciałem i krew puściła mu się ustami. Jego wzrok zaczął mętnieć, oczy wywracały się w oczodołach, powieki zamknęły.

- Spójrz na mnie! - ryknęła gniewnie istota, nachylając się ku niemu, tak blisko, że ostre zęby, zdobiące dół pociągniętego czerepu, oparły się o brodaty podbródek Prestona, a przestrzeń pomiędzy nimi wypełniło wydychane raptownie gorące i nieswieże powietrze. - Zobacz, kim jestem!

Powieki Prestona zatrzepotały i uniosły się posłusznie. Próbował skupić wzrok na kościstym czerepie i oddalonych o kilka centymetrów ciemnych, pustych oczodołach.

W jego polu widzenia pojawiła się jedna z rąk ozdobiona długimi, ostrymi kośćmi, cała pokryta ciemną krwią i strzępami tkanek zwisającymi z ząbkowanych ostrzy, a umysł konającego Prestona jak przez mgłę zarejestrował skórzane pasy ciasno owinięte wokół urękawiczonej dłoni i przytwierdzone do ciała kościste ostrza. W tej krótkiej chwili świadomości jął zastanawiać się, dlaczego anioł miałby konstruować tak osobliwe przyrządy.

- Chcę, abyś zobaczył, kim jestem - warknęła istota, a jej głos stał się nagle dziwnie świszczący. - Zanim wyłupię ci oczy. Chcę, żebyś mnie ujrzał!

Dłoń chwyciła za postrzępione, długie zębiska i uniosła długi, kościsty czerep w górę. Czaszka - co otępiaty umysł Prestona zdołał jeszcze zrozumieć - była tylko przebraniem, maską. Pod maską zaś ujrzał, słabo oświetlone blaskiem migocącego płomyka lampy naftowej, oblicze wykrzywione wściekłością, lecz równie przerażające jak twarz anioła.

Twarz, którą ujrzał, była *jego* twarzą - tyle że młodszą.

Sam się uśmiechnął.

- Myślałeś, że nie żyję? Że zostałem pogrzebany?

Preston mógł tylko w odpowiedzi skinąć głową, z jego ust dobył się rżący bulgot.

Sam zaśmiał się na widok żalostnej konsternacji malującej się na twarzy Prestona.

- Nie, to nie byłem ja. To był pomysł anioła.

Jest bardzo sprytny.

Anioł tak zręcznie przejmował nad nim kontrolę, kiedy tego potrzebował, jego zaćmiony smutkiem i gniewem umysł nie był zdolny do racjonalnego myślenia. Pamiętał to wszystko jak przez mgłę. Atak pana Hearsta był brutalny i nastąpił nagle, bez ostrzeżenia. Ciało mamy zostało rozplątane raz, drugi i trzeci, ten barbarzyński atak miał wyglądać na dzieło Indian. A kiedy mama upadła, Saul skierował się w stronę Sama i Emily.

Wspomnienia Sama były chaotyczne. Zabił Hearsta, z wściekłością zadając mu kolejne cięcia i wypruwając wnętrzności, a Emily patrzyła na to wszystko ze zgrozą.

Przypomniaws sobie pojawienie się samotnego Indianina i to, jak zaatakował wojownika, rzucając się na niego z nożem Hearsta... i jak ranny Indianin porwał Emily na ręce i uciekł.

To wszystko było niczym poplątane, na wpół rozmyte wspomnienie, dopóki Nefi nie przybył do niego i nie pomógł mu odnaleźć w tym wszystkim sensu - doradzając mu cichym szeptem jak mądrzejszy starszy brat, ojciec, mentor. Anioł powiedział mu, że czeka go praca i że nie chodziło o przekład świętych płyt - a przynajmniej jeszcze nie teraz. Obecnie jego zadaniem było ukarać tych aroganckich ludzi, którzy sądzą, że przemawiają w imieniu Boga, oraz szarlatana, który im przewodził.

Grób dla mamy, ten sam, w którym spoczywał Indianin zastrzelony przez Saula tydzień wcześniej i którego Sam przebrał w swoje rzeczy, upozowanie zwłok Hearsta i okaleczenie ich... dla przykładu, aby Preston wiedział, że jego tajemnica się wydała. Sam wiedział, że nie był dość bystry, aby obmyślić to wszystko. Ale anioł był wyjątkowo sprytny.

Cieszę się, że do mnie przybyłeś.

Masz dobrą duszę.

Powrócił myślami do teraźniejszości, by spojrzeć na twarz Prestona. Jego usta były okrwawione, wargi drżały, gdy próbował wykrztusić z siebie ostatnie słowo.

- Dlaczego? - wyszeptał.

- Robię to dla Emily - odrzekł Sam. - Dla mnie, dla Johanny... i wszystkich innych twoich dzieci - bękartów.

Preston zadygotał konwulsyjnie i zaczął rzeźnić ochryple.

- Robię to dla mamy. Chciała powiedzieć im całą prawdę o tobie, ale ty kazałeś Saulowi ją zabić. Nienawidzę cię!

Wylup mu oczy.

Sam uniósł szponiastą dłoń i się uśmiechnął.

- A więc już zobaczyłeś.

Wykonał energiczne pchnięcie i zaostrzony koniec kościstego szponu przytroczonego do jego palca wskazującego przebił lewą gałkę oczną Prestona. Pogrzyżył się w niej przy wtórze wilgotnego, miękkiego plaśnięcia. Wbił ostrze aż do kłykcia, czując, jak chrząstki i kości ustępują i pękają z głośnym trzaskiem.

Preston jeszcze przez chwilę miotał się konwulsyjnie, po czym znieruchomiał.

Rozdział 75

Sobota

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

- Proszę państwa, jesteśmy na miejscu - rzekła Grace, przestępując omszały, zwałony pień i wchodząc na polanę.

Shepherd postąpił za nią i nagle się zatrzymał, lustrując otwartą przestrzeń pełnego wykrotów i nierówności terenu pokrytego falującym kobiercem zielonego mchu.

- Spodziewałem się, że będzie tu widać więcej - rzekł, wyraźnie rozczarowany.

- Bez obawy, wszystko jest tutaj... pogrzebane w ziemi - rzekł Julian - i dzięki temu zaskakująco dobrze zachowane.

- To jest to miejsce, gdzie znalazł pan dziennik?

Julian pokiwał głową i wskazał na drugi koniec polany.

- Tam, po tamtej stronie, gdzie mech jest odgarnięty.

Grace spojrzała w górę na przesuwające się po niebie słońce.

- Nie mamy dość czasu na babranie się w błocie. Musimy rozbić namioty, póki jest jeszcze widno. - Spojrzała na Shepherda. - Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Ty tu rządzisz, Grace.

Grace uśmiechnęła się. Lubiła, kiedy tak mówił.

Kiedy przeszli ostrożnie przez pełną nierówności polanę, Rose zbliżyła się do Juliana.

- Shepherdowi świetnie wychodzi pozyskiwanie życzliwości Grace, prawda?

Julian wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Może okazać się, że zostanie następnym prezydentem. - Odwrócił się do niej. - Czy wyczuwam w tobie nutę zazdrości?

Rose pokręciła głową.

- Nie, ja tylko...

- Chodzi ci o to, że nam tak nie nadszpeciła?

Uśmiechnęła się.

- Chyba tak.

Julian spojrział na mężczyznę przed nimi i ochroniarza idącego nieco z boku.

- To przywilej władzy. Jej aura wydobywa z nas pokłady pokornego, służalczego oddania.

Grace doprowadziła ich w to samo miejsce, gdzie obozowali ostatnim razem. Było otoczone nierównym kręgiem niewielkiego wzniesienia. Z ich ogniska pozostały tylko czarne popioły.

- Mamy około godziny na rozbicie namiotów. Zróbmy to, a ja rozpalę ognisko i zaparzemy kawę. - Odwróciła się do Shepherd. - Poradzi pan sobie z namiotem, panie Shepherd?

- Oczywiście, moja droga - zaśmiał się. - W przeszłości nieraz to robiłem.

- A pan, panie Barns?

Agent skinął głową.

- Ma się rozumieć, droga pani.

*

Grace przyrządziła zdumiewająco dobry gulasz z zawartości kilku puszek i torebki przypraw, które dorzuciła do bulgocącego kociołka na kilka minut przed podaniem.

- Boże, ale to pyszne - rzekł Shepherd, dmuchając na gorącą łyżkę.

- Nie ma jak gulasz po dobrym marszu - odparła Grace.

Pomiędzy nimi strzeliły płomienie ogniska. Julian poczuł, że tym razem jest zdecydowanie chłodniej niż przed tygodniem. Ale zbliżał się już listopad i wedle miejscowego prezentera pogody, którego słuchał dziś rano, niebawem miał spaść z dawna oczekiwany śnieg, aby pokryć te wzgórza. Julian przysunął się bliżej ogniska i podmuchał na gulasz w swojej misce.

- Mówił pan, że wędrował już wcześniej po górach?

- Tak. Mój ojciec i ja... dawno temu, niestety. Mieliśmy kilka wypraw w Góry Skaliste i Sierra Nevada. Obecnie nie mam na to zbyt wiele czasu. Trudno wyrwać się od codziennych obowiązków. No i wszędzie znajdują cię wszechobecne komórki.

Julian się uśmiechnął.

- Domyślam się. Jeszcze nie tak dawno nietrudno było znaleźć miejsce bez zasięgu, ale... - Wyjął swój palmtop i sprawdził sygnał. - Nie, nic. A więc są jednak jeszcze miejsca, gdzie nie dochodzi sygnał sieci komórkowych.

- Chce pan powiedzieć, że przyjechał tu, bo zainteresowała pana historia odkryta przez Rose i Juliana? - spytała Grace.

- Tak, interesuję się historią tamtego okresu, zwłaszcza historią mormonów. To fascynujące, narodziny nowej wiary, takiej młodej i niedawnej, z historycznego punktu

widzenia.

Rose podmuchała na łyżkę.

- Czy to nie będzie dla pana niezręczne, tak opuścić kampanię, aby wybrać się na tę wyprawę?

Shepherd zachichotał.

- Nie ma niczego takiego jak odpowiedni moment. Ale czułem, że potrzebuję trochę czasu, żeby podładować baterie i odrobinę się wyciszyć. - Spojrzał na Juliana. - E-mail od pani kolegi nadszedł we właściwym momencie. Dał mi szansę na wyrwanie się, choćby na krótko, z tego kieratu.

Przez chwilę posilali się w milczeniu, wsłuchując się w szum wiatru w koronach drzew.

- Jest pan mormonem - rzekł Julian. - Zgadza się, panie Shepherd?

Tamten pokiwał głową.

- W takiej wierze zostałem wychowany.

- Jak to wpływa na pańskie sondaże?

Shepherd westchnął.

- Miałem nadzieję, że oderwę się od pracy - odparł z uśmiechem znużenia.

- Jules, pozwólże człowiekowi zjeść w spokoju - skarciła go Rose.

Shepherd uniósł rękę.

- No dobrze, nic się nie stało. - Spojrzał na Juliana. - Jeśli to nie będzie wstęp do wywiadu?

Julian uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie mam dyktafonu. To taka luźna rozmowa, nic więcej. Pytam z czystej ciekawości.

Shepherd usiadł wygodniej.

- Bez wątplenia ma to pewien wpływ. W Ameryce jest około trzynastu milionów mormonów. I szczerze mówiąc, nie wszyscy są gotowi oddać na mnie swój głos. Mam jednak nadzieję, że ludzie, do których przemawia moja ideologia, nie są tylko mormonami ani baptystami, lecz obywatelami szeroko pojmowanego centrum, zmęczonymi ciągłą przepychanką między dwiema czołowymi partiami, korupcją, nepotyzmem i brudnymi sztuczkami stosowanymi przez nie na co dzień.

- Ci przedstawiciele centrum, ci, do których próbuje pan dotrzeć... jakiego są wyznania - protestanckiego?

- Nie. Mam nadzieję dotrzeć do przedstawicieli wszystkich wyznań. Do katolików, muzułmanów, hindusów... wyznawców *wszystkich* wyznań, Julianie. Do ludzi, którzy potrafią

wejrzeć poza fasady *jestem!*, więc będę posiadał.

Rose zmarszczyła brwi.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Mam na myśli egoistyczne społeczeństwo, które stworzyliśmy i które stawia przede wszystkim na konsumpcję. W naszym kraju nie ma już więzi społecznych, nie ma poczucia wspólnoty ani większego dobra. Rozchodzimy się każdy w swoją stronę, chwytając, jak możemy najwięcej, każdy dla siebie... i mamy gdzieś wszystkich innych.

- Tak - mruknęła Grace. - To fakt.

Shepherd pokiwał głową.

- Spłodziliśmy pokolenie samolubnych, egoistycznie nastawionych konsumentów. Młode pokolenie nie zna niczego innego prócz miejscowego centrum handlowego, Internetu, McDonalda i własnych ipodów. Dzieciaki mają gdzieś swoje wspólnoty czy nawet rodziny. Ich rodzice pracują na dwie zmiany, aby móc kupić im błyszczące gadżety, które reklamują w telewizji jako rzeczy, które *musi mieć* ich dziecko. - Shepherd pokręcił głową. - To ogromny kapitalistyczny eksperyment - westchnął - który doprowadził do potężnego rozłamu w naszym społeczeństwie. Nie ma już mowy o dziękowaniu w Dniu Dziękczynienia ani Bogu w Boże Narodzenie. Te dni stały się jedynie okazją do zapędzania do centrów handlowych otępiałych od reklam, bezwolnych jak bydło ludzi. I niech to szlag, podobnie dzieje się z Wielkanocą.

- Świat stał się aż nazbyt komercyjny - przyznała Rose.

- Jeżeli w naszym życiu zabraknie wiary, jeżeli zatracimy w nim sens - odparł Shepherd - pozostaje już tylko - wzruszył ramionami - kupowanie najróżniejszych rzeczy.

Julian dokończył gulasz i odstawił miskę na ziemię.

- Wie pan, to, co pan mówi, brzmi dość lewicowo, przynajmniej jak na Amerykę. Nie obawia się pan, że wyborcy mogą potraktować pana jak... socjalistę?

Shepherd wzruszył ramionami.

- Ludzie wiedzą, co jest słuszne. W głębi serca to czują. Nasz rozbity kraj potrzebuje spoiwa, który połączy go na powrót w jedną całość. Czegoś, co pomoże dzieciom odzyskać kontakt z rodzicami i odbudować te rozbite, dysfunkcyjne rodziny, co stworzy z tych odizolowanych rodzin społeczności, a z tych społeczności kraj pojmujący na powrót znaczenie wspólnego dobra.

- I tym spoiwem jest wiara?

Shepherd skinął głową.

- To wszystko, co nam pozostało. Zapytam pana o coś, panie Cooke. Czy wolałby pan

mieć za sąsiada Homera Simpsona czy Neda Flandersa?

Julian zaśmiał się i poprawił okulary.

- Poważnie?

Shepherd skinął głową

- Wobec tego wolałbym Homera, choć czasem bywa denerwujący.

- Ponieważ?

- Obawiam się, że chodzi o Boga. Borykam się z absurdalnymi wierzeniami, które usiłują nam wpajać rozmaite religie. No wie pan, że świat został stworzony w siedem dni, ma sześć tysięcy lat i takie tam brednie.

- Skoro mówimy też o innych wyznaniach - wtrąciła Rose - co z ideą, że kobiety są własnością mężczyzn? Albo że niebo jest miejscem, gdzie mężczyzna jest zaspokajany przez siedemdziesiąt dwie dziewice? Albo z innej beczki, że każdy grzech, niezależnie jak ciężki, może zostać wymazany po odmówieniu Zdrowaś Mario.

Ku ich zdziwieniu Shepherd pokiwał głową.

- Oboje macie rację.

Julian odwrócił wzrok od ogniska.

- Że co?

- To wszystko stek bzdur.

Ciszę wypełnił trzask falujących płomieni.

- Religie tego świata są skażone odwiecznymi przesądami, w większości absurdalnymi i wieloma bardzo groźnymi. Bądź co bądź wszystkie powstały co najmniej tysiąc lat temu. Jak, na miły Bóg, mogą być adekwatne do naszego obecnego życia? Potrzeba nam... - Shepherd przerwał i rozejrzał się dokoła. - Przepraszam. Omal nie zacząłem prawić wam kazania.

Julian się wyprostował.

- Śmiem twierdzić, że *takich* kazań raczej nie wygłasza pan w telewizji.

Shepherd poruszył się nerwowo.

- To fakt. Ludzie nie są gotowi, by wysłuchać takich prawd. Gdyby moi wyborcy znali moje prawdziwe przekonania, przepadłbym z kretesem.

Julian pokręcił głową.

- To, co pan tu mówi, pozostanie tylko między nami. Nie obchodzi mnie, kto za osiemnaście miesięcy zostanie kolejnym prezydentem. Ale interesuje mnie historia Prestona.

Kociołek nad ogniskiem zaczął bulgotać i gwizdać. Grace wychyliła się i zdjęła go ze skrzyżowanych nad ogniem metalowych prętów.

- Panie Shepherd? - Dołała do kawy wrzątku. - Ufam, że powie nam pan, czego potrzebujemy. No wie pan, zanim pan przerwał... - Spojrzała na niego. - To wszystko zaczynało właśnie nabierać dla mnie sensu...

Rose pokiwała głową.

- Mnie też to zaintrygowało. Śmiem twierdzić, że właśnie zmieszał pan z błotem największe religie świata. A przecież jest pan człowiekiem wiary, zgadza się?

- Owszem.

Wzruszyła ramionami.

- No cóż... czy wobec tego nie stanowi to dla pana problemu?

Sięgnął po dzbanek z kawą i napenił ponownie poobijany, emaliowany kubek stojący na ziemi obok niego. Z wahaniem wypił łyk, błędząc gdzieś myślami.

Odezwał się półgłosem.

- Chciałbym ujrzeć, jak wszystkie te stare religie zostają usunięte w cień. A wraz z nimi wszystkie uprzedzenia, cała nienawiść, bigoteria i ignorancja. Bardziej niż czegokolwiek... - rzekł, a w jego stanowczym dotąd głosie pojawiła się nuta pasji - bardziej niż czegokolwiek ten zdruzgotany świat potrzebuje nowej rozmowy z Bogiem.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - spytał Julian.

Grace wylała fusy ze swego kubka.

- Mówi pan o nowej religii?

Shepherd pokiwał głową.

- I tą nową religią, nową wiarą miałby być mormonizm?

Pokręcił głową.

- Dorastałem w takim przekonaniu... i może nawet kiedyś w to wierzyłem. Ale już nie. Słowo Boże zostało wypaczone przez chciwych ludzi, ludzi, którzy nie byli prawi ani *czysti*. Zbyt długo żyjemy w odstępstwie. - Wziął głęboki oddech. - Wierzę, że ten zmęczony, sterany świat potrzebuje znów usłyszeć Boga przemawiającego w języku zrozumiałym dla dwudziestego pierwszego wieku.

Rose spojrzała na Shepherdę, milczącego teraz, pogrążonego w zamyśleniu, z dziwnie nieobecny wzrokiem.

Cisza się przedłużała, aż w końcu przerwała ją Grace.

- Padam z nóg. Położę się. Ogień musi zostać starannie dogaszony, zanim wszyscy pójdą spać, a rondel trzeba dobrze przykryć. Gdyby ktoś potrzebował pójść przed snem na siusiu, niech to zrobi względnie daleko od namiotów.

Wstała i zaczęła zbierać puste miski.

- Pomoże mi pan, panie Barns?

Agent Barns skinął głową.

- Jasne.

Przeszli przez rozświetloną blaskiem księżycy polanę, promień latarki rozpraszał ciemność przed nimi, gdy szli, niosąc naczynia i łyżki, a Grace prócz tego niosła w ręku dwulitrową, plastikową butelkę z wodą. Rose patrzyła, jak tamci przystają na skraju polany. Grace zaczęła opłukiwać łyżki i miski.

- Mogę o coś zapytać, panie Shepherd? - odezwała się półgłosem Rose.

Uniósł wzrok, aby na nią spojrzeć, i się uśmiechnął.

- Oczywiście.

- Czy uważa się pan za... *dostatecznie czystego*?

- Dostatecznie czystego, by interpretować słowo Boże? By słuchać tego cichego głosu w najczarniejszych godzinach nocy i nie wypaczyć go dla swoich własnych potrzeb?

Skinęła głową.

- Tak. Chyba właśnie o to mi chodziło.

- Chciałbym tak myśleć. - Zaśmiał się. - Bądź co bądź umiem słuchać jak mało kto. - Spojrzał na zegarek - O, jak już późno, mam za sobą długi dzień... a raczej długi tydzień, jestem skonany. Chyba się położę...

- A więc do jutra - rzekł Julian.

Patrzyli, jak zbliża się do swego namiotu, rozsuwa suwak i wchodzi do środka.

- Jak na polityka wydaje się nadzwyczajnie uczciwy - stwierdziła półgłosem Rose. - To niespotykane, prawda?

Julian pokiwał głową.

- *Ma* w sobie to coś... czymkolwiek to jest... urok osobisty, charyzmę... tak czy owak, ma to w sobie.

- Bez wątplenia - przyznała, przenosząc wzrok na powrót w stronę ogniska.

Rozdział 76

21 października 1973

Haven Ridge, Utah

- Williamie, tak się cieszę, że mamy okazję pomówić na osobności - rzekł słabym głosem stary mężczyzna. - Wiesz... widzę w tobie ten gorejący blask.

- Dziadku?

Staruszek się uśmiechnął.

- Przypominasz mi mego dziadka - dodał.

- Co miałeś na myśli, mówiąc: gorejący blask?

- Pasję, Williamie... pasję, wiarę i żarliwość. Świadomość, że jesteś kimś szczególnym, że Bóg przeznaczył cię do wyższych celów.

William wyrzął przez okno gabinetu dziadka.

- Czuję powołanie - przyznał.

- Tak, widzę to w tobie. Masz talent do głoszenia słowa Bożego. Z przykrością stwierdzam, że sam nigdy nie miałem tak silnej wiary ani poczucia celu. Twój ojciec zresztą też nie. Obaj byliśmy dobrymi biznesmenami, ciężko pracowaliśmy i zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy, zarówno w Portland, jak i tutaj... ale jest w tobie coś, co zaprowadzi cię znacznie dalej. Jestem o tym przekonany.

William też to czuł, na swój sposób.

- Jest coś, czym chciałbym się z tobą podzielić - rzekł jego dziadek półgłosem. - Coś, czym nigdy nie podzieliłem się z twoim ojcem.

- To znaczy?

Staruszek spojrział na swego wnuka - przystojnego, młodego mężczyznę, którego niedawne oddanie wierze i publiczne wystąpienia, tak pełne pasji, że stał się swoistą atrakcją w miejscowej świątyni, sprawiły, że był z niego dumny. I przepełniły go wyrzuty sumienia, że on sam przez całe życie nie poświęcał Kościołowi o wiele więcej.

- Mam pewien sekret.

William poruszył się niespokojnie.

- Wiąże się on z naszą przeszłością, z naszą rodziną.

William wiedział co nieco o historii swojej rodziny od ojca.

- Wiesz, że mój dziadek - powiedział starszek - w okresie wielkich wędrówek osadników także wyruszył na zachód? I że jego grupa, pod przywództwem Starszego, niejakiego Williama Prestona, napotkała poważne kłopoty podczas przeprawy przez góry?

William pokiwał głową.

- Zostali uwięzieni w górach przez gwałtowne opady śniegu, zgadza się?

- Owszem, tak. Wielu ludzi zginęło.

Starszek rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu. Skórzany mebel zaskrzypiał.

- Jedynym spośród nich, który zdołał zejść z tych gór, był mój dziadek. Był młody, silny i sprawny... w przeciwnym razie jestem pewien, że on także by umarł.

- Tato opowiadał mi tę historię. Zszedł z gór ledwie żywy z głodu, wycieńczony i w łachmanach, prawda?

Dziadek skinął głową, w zamyśleniu gładząc się po brodzie.

- W rzeczy samej. Śmiem twierdzić, że to właśnie niezachwiana wiara pomogła mu przetrwać cały ten koszmar.

- Wiara w Boga może pomóc przetrwać wszystko - odparł zarliwie William.

- Widzisz, chłopcze, nie znasz jednak reszty tej historii.

William wyraźnie zaciekawiony wychylił się lekko do przodu.

- Preston miał konkretny powód, dla którego zabrał swoich wiernych na to odludzie. Miał ze sobą pewne niezwykle parafernalia.

- Jakie parafernalia?

Jego dziadek nieznacznie przymrużył oczy.

- Święte relikwie.

Rozdział 77

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Te słowa powróciły do niego, gdy dotykał palcami zarysu skrzyni tkwiącej w glebie torfowej.

- Święte relikwie - wyszeptał cicho Shepherd. Grzebiąc w czarnej ziemi przy świetle latarki, wyobrażał sobie siebie jako leśne zwierzątko, poszukujące czegoś do zjedzenia, albo jak świnię szukającą trufli.

Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiezek, gdy oczyma duszy ujrzał nagłówek Leonarda Rotha, szefa działu polityki w „Washington Post”, gdyby naczelny dziennika ujrzał go w tej niecodziennej sytuacji. To zawsze wchodziło w rachubę. Jakiś uparty paparazzi mógł dotrzeć za nim aż tutaj i kto wie, może właśnie patrzył na niego przez obiektyw swego aparatu z teleobiektywem. Szybko odegnał od siebie te myśli, to paranoja, której teraz bynajmniej nie potrzebował. Nikt nie wiedział, gdzie się obecnie znajdował, nawet Duncan.

I tak właśnie powinno być.

- Święte relikwie - powtórzył cicho, wydmuchując w nocnym powietrzu ustami kłęb białej pary. Odwrócił się, by spojrzeć na stojące na polanie barwne namioty, nikt z tamtych na razie jeszcze nie wstał. Dochodziła siódma i szare światło przedświt w pełni mu wystarczało, nie potrzebował już latarki. Zgasił ją, nie chcąc, przynajmniej na razie, wzbudzać niepotrzebnej uwagi. Chciał, aby to była chwila szczególna, której nie będzie dzielił z nikim innym, aby, kto wie, poczuć może to samo uniesienie i euforię, jaką musiał kiedyś czuć Joseph Smith, odkopując te bezcenne relikwie na wzgórzu Kumorah.

Jego palce wychwyciły twardą metalową powierzchnię, pokrytą wgłębieniami, zardzewiałą i oblepioną glebą: to było piękne.

Skrzynia Prestona.

To właśnie tego szukał. Tego pragnął. Dostanie się do Białego Domu, przejęcie sterów władzy politycznej, aby przygotować wszystkich na przyszłość, było bardzo ważne. Ale to... to... dostanie w swoje ręce tych płyt, prawdziwego zapisu słów Boga, i przełożenie ich na język współczesny... było tym, o co *naprawdę* chodziło... to było jego *przeznaczenie*,

pomyślał, wlepiając wzrok w ciemne wieko skrzyni.

Wydajesz się prawym człowiekiem.

Głos.

Shepherd zamarł. To dochodziło z głębi jego umysłu, łagodny szept, z jednej strony obcy, z drugiej zaś dziwnie znajomy. Jak głos jego własnych myśli, ale cichszy. Pozostał w bezruchu, nasłuchując przez chwilę z przejęciem, ale nie usłyszał nic prócz delikatnej ballady kołyszących się gałęzi.

Wydajesz się prawym człowiekiem.

Tak cichy, że jedynie całkiem wyciszony umysł mógł go wychwycić. Zdawał się dochodzić zarówno z wnętrza jego głowy, jak i ze skrzyni tkwiącej w ziemi.

Otwórz ją.

- Czy ja cię słyszę? - wyszeptał.

Odpowiedzi nie było. Głosy nie były mu obce. Odkąd pamiętał, słyszał jakieś głosy. Paskudne, gniewne, takie, które nakłaniały go, by poddał próbie swą wiarę i skreślił na czołowe zderzenie z jadącą z przeciwka ciężarówką, takie, które drwiły zeń i szydziły, i takie, które przynosiły mu ukojenie i dodawały odwagi. Ale ten głos brzmiał nieco inaczej. Pozostał w bezruchu, opróżniając umysł i nasłuchując przez chwilę. Ale głos gdzieś przepadł.

Shepherd wychylił głowę, by wyrzeć z wygrzebanej jamy. Nic nie wskazywało, aby tamci już wstali. Spali smacznie w swoich namiotach, błyszczących od porannej rosy, pośród mgły wijącej się leniwie na całej powierzchni polany. Shepherd wstał godzinę wcześniej, kiedy było jeszcze ciemno, aby zabrać się do pracy i wykopać te bezcenne rzeczy.

Wiedział, gdzie ma ich szukać - przekazana mu przez dziadka opowieść zawierała dość szczegółów, by wiedział, że największą budowlą była świątynia Prestona i obóz jego ludzi był większy. Z łatwością wypatrzył najbardziej wydatne wypukłości i nierówności terenu, rysujące się pod warstwą mchu. To znajdowało się pod starym cedrem, dziwnie poskręcany drzewem, którego jedna gałąź opleciona winoroślą rozciągała się ponad polaną.

Skrzeczenie wrony poniosło się nad polaną, zupełnie jakby samotny ptak ponaglał go do pracy. Zanurzył palce głębiej w ziemi, aby odsłonić ściany skrzyni. Metal był przeżarty korozją, ale mocny i wciąż nietknięty.

To jest w środku. Czuję to.

Jego palce napotkały zamek z przodu skrzyni i poczuł dreszcz podsyconej przyływem adrenaliny ekscytacji.

To jest to.

Otwórz.

Wziął głęboki oddech, świadom, że trzęsą mu się ręce. To wybaczone, zważywszy, jak długo szukał tego miejsca, ile razy przez lata próbował je odnaleźć, modląc się o przewodnictwo i żeby Bóg doprowadził go w to miejsce.

Wiedział, że szansa znalezienia go przypadkiem jest jedna na milion, że przypomina to szukanie igły w stogu siana. Wiedział też, że któregoś dnia grupka podchmielonych myśliwych, rodzina na wycieczce albo para napalonych nastolatków, ktoś, ktokolwiek, w końcu się na nie natknie, odnajdzie butwiejące szczątki obozu i wygrzebie jakieś dawno zapomniane rzeczy osobiste z widocznym na nim czytelnym nazwiskiem. I w końcu ktoś wpisze w wyszukiwarce nazwisko Preston.

Shepherd się uśmiechnął.

- I oto jesteśmy teraz tutaj.

Serce zabiło mu mocniej na myśl, co znajduje się w metalowej skrzyni, którą miał przed sobą, i przez chwilę pomyślał o kretyńskim programie, który oglądał na kanale informacyjnym FOX-a tuż przed spotkaniem z Cookiem. W programie tym katolicki ksiądz i archeolog amator dyskutowali z lekkim rozbawieniem o skutkach, jakie dla teologów i archeologów całego świata mogły mieć nowinki technologiczne, które w końcu pozwolą na dokonanie odczytów spektroskopowych ostatnich kilku zwojów znad Morza Martwego.

Shepherd uśmiechnął się, rozbawiony absurdalnym zainteresowaniem, jakie budziły te bezwartościowe zwoje papirusu. Były jedynie słowami zapisanymi przez skrybów, kapłanów świątynnych, mało znaczących ówczesnych judejskich polityków, przelewających na papirus swoje manifesty, rzekomo za sprawą kierujących nimi wyższych mocy.

To nie były Słowa Boga. Ale tu przede mną - serce załomotało mu w piersi - mam coś, co jest z pewnością autentyczne.

Duch święty, anioł Nefi, także tu był, gotów, by odczytać dla niego treść płyt. Był już prawie pewien, że cichy szept, jaki słyszał w myślach, to głos anioła.

Tak.

Słyszę cię.

Tak.

Shepherd poczuł, że po policzku spływa mu łza.

Czy jesteś teraz ze mną?

Tak.

Zdał sobie sprawę, że już wkrótce da świadectwo oryginalnemu, nieredagowanemu, niezmienionemu zapisowi słów Boga, które zostaną mu odczytane przez anioła; to będzie prawie jak wejście do umysłu Boga.

To będzie cudowne.

Otwórz.

Wsunął palec pod krawędź wieka i je uniósł. Płatki rdzy posypały się ze wszystkich stron wieka, kiedy otworzył je z głośnym skrzypnięciem, a w chwilę potem poczuł płynącą z wnętrza skrzyni suchą, nieco przytęchłą, ale nie nieprzyjemną, piźmową woń.

Rozdział 78

2 listopada 1856

Ben zadrzał pod grubym wełnianym ponchem, którym szczelnie otulili się we troje. W ciasnej przestrzeni skumulowało się sporo ciepła generowanego przez ich ciała, dość, by powstrzymać najgorszy nawet poranny chłód.

Uniósł głowę spod ciepłego poncha, by spojrzeć w niebo. Pomiędzy chmurami przeświecały pierwsze, słabe promienie słońca.

- Noc prawie minęła - wyszeptał.

Ostatnie ogniki pochodni podążającego ich tropem pościgu znikły parę godzin temu.

Już jesteśmy bezpieczni.

Pani Zimmerman poruszyła się i zadrzała z zimna.

- Bogu dzięki - wymamrotała, jej drżące usta były prawie sine.

Ben odwrócił się, by zajrzeć pod poncho na Emily, wtuloną pomiędzy nich, z głową opartą na obfitym biuście pani Zimmerman. Jej drobne ciało dygotało, przyodziane w cienką wełnianą sukienkę, oddech miała nerwowy i świszczący, z ust raz po raz dobiegały jakieś niezrozumiałe słowa. Oczy miała zamknięte. Spała.

- Zeszłej nocy diabeł przybył do naszego obozu - rzekła pani Zimmerman. - Przyszedł do naszego obozu i zmienił ludzi - osoby, które znałam od lat - w demony.

Ben pokręcił głową.

- Strach tego dokonał. - Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Na kręłą kobietę w średnim wieku, o rumianej cerze i skórze popękanej od zimna. - Nic więcej, tylko strach przed nieznanym.

Ben wyrzał z niszy, jaką zrobili między dwoma występami skalnymi. Śnieg pokrywał kamienisty, nierówny grunt opadający stromo w dół, ku porośniętemu drzewami żlebowi. W oddali bezkresny kobierzec puszczy skrywał drogę, którą pokonali tej nocy. Z jednej niewielkiej kotliny dotarli do następnej.

Tu byli osłonięci przed sporadycznymi podmuchami lodowatego wiatru. To im na razie musiało wystarczyć.

- To był Preston - wyszeptał.

- Preston?

Pokiwał głową.

- Widziałem jego dzieło. Sporządził dla siebie kostium ze zwierzęcych czerepów i kości. Wkładał ten kostium i jestem pewien, że to właśnie on zamordował Vandera, Hearsta, Sama i jego matkę.

- Nie.

Głos dobiegł spod poncha.

To Emily się odezwała.

- Boże święty... Emily? - wyszeptała pani Zimmerman. Odgarnęła wełniane okrycie i spojrzała na blade oblicze dziewczynki, po czym odgarnęła jej włosy z twarzy. - Emily? - Odwróciła się do Bena. - Chwała Bogu, już myślałam, że nigdy nie przemówi.

Pochylił się, aby się jej przyjrzeć.

- Emily - rzekł. - To ja, Benjamin.

Oczy dziewczynki pozostały zamknięte, a oddech wyrównany. Wydawało się, że nadal śpi.

- Emily? Słyszysz mnie?

Jej oczy poruszały się pod cienką jak pergamin skórą w tę i z powrotem, jakby dziecko wciąż przeżywało na nowo jakąś przerażającą scenę. Jej spierzchnięte usta rozchyliły się drżąc.

- Anioł... anioł - wymamrotała sennie.

Jej głos przeszedł w niezrozumiałe, coraz cichsze mamrotanie i po chwili znowu zamilkła.

- Wraca do nas - rzekła pani Zimmerman, a po jej czerwonym policzku spłynęła łza. - Dzięki ci, Boże - zawołała z przejęciem. - Odnajduje drogę do domu.

- Podziękuję Bogu, pani Zimmerman, kiedy zejdziemy z tych gór i znajdziemy drogę do *naszego* domu.

- Tak się stanie, prawda? - spytała.

Zmusił się, by z przekonaniem pokiwać głową.

- Oczywiście, że tak.

*

Później niebo zmieniło się w szachownicę ciężkich chmur i ulotnych skrawków błękitu, skąd miłosiernie od czasu do czasu spływały ciepłe promienie słońca. Szli niezbyt imponującym tempem na zachód i pokonawszy zdradliwą kamienistą przełęcz, zeszli w rozleglejszą dolinę. Ben zastanawiał się, czy to właśnie ku tej przełęczy prowadził ich Keats,

przełęczy, którą, jak zapewniał, odkrył sam i która miała gwarantować skrót przez góry - miał nadzieję, że owo przejście zostanie kiedyś nazwane na jego cześć.

Przełęcz Keatsa.

Ośnieżony stok, porośnięty jedliną, opadał łagodnie w dół ku odległej lśniącej wstędze rzeki płynącej łagodnymi zakosami przez sam środek doliny.

Ben poczuł, że na ten widok serce zaczęło rosnać mu w piersi. Rzeka wskazywała drogę wyjścia z gór, płynąc w dół i na zachód, i co nader prawdopodobne, powinna doprowadzić ich do innych ludzi, chaty trapera, zimowego obozu Indian, przystani flisaków, składu pełnego skórek bobrowych... lub może nawet prymitywnej farmy zahartowanych przez surowe warunki pogodowe osadników. Tak czy owak, idąc wzdłuż rzeki, w końcu na kogoś natrafiają.

Przed południem zeszli na płaski kamienisty brzeg płynącej leniwie rzeki, a Ben, przekonany, że pokonali dostatecznie duży dystans, by nie musieli obawiać się pogoni, wykopał niszę w śniegu i zaczął budować ognisko, przy którym obecnie z wdzięcznością zasiedli we troje.

Emily patrzyła rozszerzonymi oczami na mieniające się płomienie tańczące wokół trzaskających drzew, igły sosnowe dawały sporo dymu, a wilgotna kora zajmowała się powoli. Dziewczynka zaczęła nucić coś pod nosem, jakiś hymn.

- Stopniowo do nas powraca. - Pani Zimmerman się uśmiechnęła.

Ben pokiwał głową. Na razie jednak zaprzętało go silne ssanie w żołądku. Był pewien, że w lesie nie brakuje jedzenia, trzeba tylko je znaleźć, złapać i zabić.

- Muszę coś zjeść - powiedział, kołysząc się delikatnie, by nie myśleć o nieprzyjemnym odczuciu. - Preston, po tym, jak przyjęliśmy do siebie Indian, zabrał nam całą wołowinę. Jedliśmy tylko owsiankę i to, co Pajutom udało się upolować.

Pani Zimmerman pokręciła głową, zawstydzona.

- Tak mi przykro.

- Próbował zmusić nas do odejścia. - Spojrzał na nią. - Powinniśmy byli to zrobić.

Błękit nieba powyżej znów zastąpił bezmiar posępnej szarości chmur. Ale przynajmniej mieli ogień i dość drewna opałowego.

- Przynajmniej tej nocy nie zamarzniemy. Czyż nie? - rzekł radośnie. - Będzie lepiej niż ubiegłej.

Pani Zimmerman już miała odpowiedzieć, gdy wśród drzew dał się słyszeć jakiś szelest. Ich spojrzenia się spotkały.

- Słyszała pani?

Skinęła głową, a Ben poderwał się na nogi. Znów to usłyszeli. To nie był odgłos uciekającego, spłoszonego zwierzęcia, lecz dźwięk zbliżających się niewzruszonych kroków.

- Błagam, nie - wymamrotał pod nosem.

Na tym kamienistym, mulistym, ośnieżonym brzegu nie mieli się gdzie ukryć. Byli w pułapce. Spojrzał na ognisko i na słup dymu unoszący się leniwie ku niebu.

Głupiec ze mnie. Doprowadziliśmy tu Prestona jak po sznurku.

Pani Zimmerman doszła do tego samego wniosku.

- Proszę! - zawołała. - Williamie Preston, to ja, Ellie Zimmerman! Błagam, nie rób nam krzywdy! Pan Lambert był dla nas bardzo troskliwy i opiekuńczy! - zawołała w przestrzeń. - To życzliwy, dobry człowiek! Błagam, nie rób mu krzywdy!

Usłyszeli trzask pękającej gałęzi i deptanych bezlitośnie krzewów, prawie na pewno między drzewami w ich stronę zmierzała więcej niż jedna osoba. Ben wyjął z ogniska grubą gałąź, której jeden koniec zarzył się i dymił, po czym uniósł ją przed sobą. Nagle dostrzegł jakieś poruszenie; jeden, nie, dwóch mężczyzn przedierało się przez chaszczę, w ciemnościach pod drzewami, i pochyliwszy się, by przejść pod nisko zwieszającymi się, ciężkimi gałęziami masywnej jodły, wyszli na wolną przestrzeń, gdzie było o wiele jaśniej.

- O Boże... - wyszeptał Ben.

Rozdział 79

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Shepherd sięgnął do metalowej skrzyni i delikatnie położył dłoń na wyblakłym worku wełnianym, czując przez niszczący materiał twardość płyt metalowych. Zagłębienia i rowki na ich powierzchni przypominały mu alfabet Braille'a. Palce zaczęły go świerzbic, gdy dotykał delikatnych konturów ozdobnych wzorów.

To język aniołów.

Wypuścił powietrze ustami i na moment z emocji aż zakręciło mu się w głowie.

- Wszystko w porządku, panie Shepherd?

Uniósł wzrok, by ujrzeć masywną sylwetkę Carla, kucającego przy płytkim dole.

- Tak, Carl.

- To jest to, po co pan tu przyjechał?

Shepherd pokiwał głową.

Carl obejrzał się przez ramię na widoczne w oddali namioty.

- Powinienem pana ostrzec, tamci właśnie się budzą. Minęła siódma.

Shepherd błędził myślami gdzie indziej.

- Dziękuję - odparł mimochodem, dotykając palcami wyświechtanego worka. Delikatnie wyjął worek ze skrzyni, podtrzymując go ostrożnie od dołu drugą ręką na wypadek, gdyby materiał pękł i cenna zawartość wysypała się na zewnątrz.

- Możesz to dla mnie otworzyć? - spytał, wskazując na wzmocnioną podróżną aluminiową walizkę stojącą przy nim na ziemi. Carl odblokował zamki i otworzył walizkę, ukazując warstwę czarnej ochronnej pianki. Shepherd pieczołowicie włożył worek do walizki.

- Mogę zerknąć? - spytał Carl, popatrując z zaciekawieniem na worek.

Shepherd skinął głową, po czym rozsypał worek, by przez moment pokazać tamtemu tablice. Były mniej więcej formatu kartki papieru kancelaryjnego, wykonane z miedzi, pozieleniałe z korozji i pokryte gęsto rzędami tłoczonych nacięć.

- Czy to naprawdę Słowo Boże? /

- Wydajesz się rozczarowany.

- Sądziłem, że Słowo Boże będzie wyglądać bardziej...

- Wyniośle?

Carl pokiwał głową.

- Tak.

- Właśnie dlatego wiem, że to nie żadne oszustwo, Carl. Pan przemawia do nas najcichszym, szeptem, a nie potężnym krzykiem. Gdyby to była skrząca się złotem tablica, podszedłbym do niej sceptycznie.

Tamten się zamyślił.

- Może i tak.

Shepherd odwrócił się w stronę tkwiącej w ziemi ciemnej, metalowej skrzyni. Ostrożnie sięgnął do środka i wyjął drugi postrzępiony worek. Z wnętrza dobiegł cichy stukot delikatnych, kruchych kości.

- A to co?

- Szczątki anioła, Carl.

Mężczyzna spojrzał na niego.

- Anioła?

Shepherd się uśmiechnął.

- Właśnie tak. Prawdziwego Bożego anioła. Te tablice są zapisane w języku, którego ty ani ja nigdy nie zrozumielibyśmy - w języku aniołów. - Shepherd z równym pietyzmem włożył worek do walizki. - Ten anioł nazywa się Nefi i kiedy będę gotów, by dokonać przekładu tych tablic, objawi mi się w cielesnej postaci i odczyta je, abym mógł zapisać ich treść.

Oczy Carla się rozszerzyły.

- Na Boga, panie Shepherd - wyszeptał - to... to święta prawda, tak?

Shepherd uspokajającym gestem ujął go za ramię.

- O tak, Carl, to wielka sprawa.

Zamknął wieko walizki.

Carl przeniósł wzrok w stronę namiotów, wychylił się lekko do przodu i wyszeptał:

- Wstali, panie Shepherd.

Shepherd wyprostował się, by wyrzeć z wykopanego przez siebie płytkiego dołu. Dostrzegł Cooke'a, idącego wolnym krokiem przez polanę w ich kierunku i ziewającego potężnie, i strażniczkę leśną Grace, wolno krążącą między drzewami w poszukiwaniu drewna na opał.

Masz to, czego chciałeś.

Tak.

Oni nie są już potrzebni.

Głos w jego głowie był nieco mocniejszy niż wcześniej, trochę bardziej narastający, jakby istota opuściła mroczny zakątek w jego umyśle i postąpiła krok lub dwa naprzód. Shepherd się zawahał. W tym szepcie było coś kategorycznego.

Czy to naprawdę konieczne?

Głos ucichł na chwilę.

Mam to, czego obaj chcemy. Nikt więcej nie musi ginąć.

Nie bądź mięczakiem.

Nie jestem. To nie przejaw słabości. To zdrowy rozsądek. Nie potrzebujemy więcej ciał, nie mając w perspektywie wiadomego celu. Rozumiesz wagę mojej kampanii? Potencjał, jaki daje bycie prezydentem? Jak może to pomóc nam głosić nowe Słowo Boże?

Odpowiedzi nie było. Shepherd poczuł, że istota szuka kontrargumentów. Może mógł ją pokonać na tym polu.

Czy tego właśnie chce Bóg? Abyśmy zaczęli prace nad Jego dziełem, mając na rękach świeżą krew?

Shepherd poczuł narastający żar gniewu i dezaprobaty gdzieś w mrocznych zakamarkach swego umysłu.

Zastanawiam się, czy dokonałem słusznego wyboru.

Owszem, tak.

Wobec tego zrób, co każe.

Carl go obserwował.

- Panie Shepherd? Dobrze się pan czuje?

Shepherd spojrział na niego prawie nie widzącym wzrokiem. Podniósł się powoli, czując w plecach ból od długiego pochylania się, i patrzył, jak Cooke pokonuje ostatnich kilka metrów z coraz większym zaciekawieniem malującym się na twarzy.

- Dzień dobry - zawołał Julian, podchodząc nad skraj dołu. - Już pan zaczął? Nawet jeszcze nie zjedliśmy śniadania.

Shepherd uśmiechnął się do niego ze znużeniem.

- Tak... tak, chciałem po prostu... zacząć.

Julian zajrzał do dołu i zobaczył otwartą ciemną, metalową skrzynię. Jego oczy natychmiast się rozszerzyły. Ogarnął wzrokiem słaby zarys dużo większego niż inne szafasy i natychmiast zorientował się, że musiała to być „świątynia”, o której często wspominał Lambert w swoim dzienniku.

- Cholera! - Spojrzał na Shepherd'a. - Czy to tutaj Preston...?

- Tak - odparł tamten. - Tak sędzę. To rzeczy Prestona.

Julian pokręcił głową.

- Jakim cudem tak łatwo je pan znalazł?

- Modliłem się - Shepherd uśmiechnął pod nosem - a Pan wskazał mi drogę.

- Cóż, jakkolwiek to się stało, to fantastyczne - podsumował Julian. - Wie pan, przez ostatni tydzień czytałem dziennik Lamberta, dowiedziałem się o tym - wskazał na dół i zbutwiałe, ciemne drewno sterczące pośród mchu i gleby - a teraz widzę to na własne oczy!

- Tak - odparł z powagą Shepherd.

Wiesz, co musi się stać.

- Może powinien pan - ciągnął Shepherd - zawołać panie i wspólnie uczcilibyśmy to jak należy.

- Tak. - Julian się uśmiechnął. - Jasne, że tak.

Na prawie beznamietnym obliczu Shepherd'a pojawił się szeroki uśmiech.

- A potem, jak sędzę, porozmawiamy sobie, pan i ja, o funduszach, jakie są panu potrzebne do realizacji tego dokumentalnego projektu. Co pan na to?

Uśmiech Juliana się rozszerzył.

- Doskonale.

- Świetnie - rzucił Shepherd, wypełzając z błotnistej doły. Carl wyciągnął rękę, aby mu pomóc. - Wobec tego niech pan idzie po panie.

*

Julian pomaszerował w stronę namiotów. Shepherd przez chwilę obserwował go w milczeniu, a fałszywy uśmiech w mig znikł z jego ust.

- Carl - powiedział. - Wiesz, co trzeba zrobić?

- Teraz?

Pokiwał głową ze smutkiem.

- Niestety, tak.

Julian wolno szedł przez polanę, miał w głowie mętlik. Teoretycznie powinien aż palić się, by przekazać Rose tę nowinę. Ale wcale nie szalał z euforii. Coś nie dawało mu spokoju, coś go niepokoiło... coś, co właśnie spostrzegł przez ułamek sekundy - ledwie widoczny, wyblakły, siny tatuaż na wierzchu dłoni agenta Barnsa.

Widziałem już wcześniej ten tatuaż.

Był charakterystyczny, przedstawiał łeb lisa.

Gdzie jago widziałem, do cholery? Na czyjej dłoni...?

Kiedy sobie przypomniał, poczuł w żołądku lodowatą gulę strachu. Ten człowiek był na Heathrow.

Obejrzał się przez ramię i zauważył, że Barns go obserwuje. Skoro był w Londynie...

Śledził mnie.

W jednej chwili powróciły doń inne rzeczy, o których prawie zapomniał i które był gotów uznać za wytwór swojej wyobraźni - trzaski w słuchawce, podejrzenie, że ktoś był w jego mieszkaniu. Niepokój w jego wnętrzu przybierał coraz bardziej realne kształty.

Sean zginął w niecałą dobę po tym, jak spotkał się ze mną na lunchu.

Przypomniał sobie ostrzeżenie Toma przed szukaniem trupów w szafach możnych i potężnych tego świata.

- Chryste Panie - wymamrotał pod nosem, przestępując niewielką wypukłość terenu.

Ukląkł przed namiotem Rose i zaczął szukać suwaka.

Czy popadam w paranoję? Cholera, sam nie wiem...

- Rose? - zawołał półgłosem.

Odpowiedzi nie było, z namiotu nie dochodziły żadne dźwięki.

- Rose, to ja, wchodzę... - rzekł, rozsuwając zamek przy wejściu.

Rozdział 80

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Rose uniosła wzrok, kiedy zjrzał do namiotu. Wciąż leżała w śpiworze, ale włączyła laptop i wpatrywała się w ekran.

- Jules, coś jest nie tak.

Przycupnął obok niej.

- Rose, muszę...

Promień słońca wpadł do namiotu, oślepiając ją na chwilę.

- Zasuń zamek - nic nie widzę.

Wyciągnął rękę i zaciągnął suwak.

- Jules, musisz to zobaczyć - rzekła, odwracając laptop, aby mógł spojrzeć na ekran.

Przesunęła myszą, by kliknąć na jedno z okienek.

- Wczoraj rano dostałam e-maila, zanim wyruszyliśmy na spotkanie z Grace. Nie miałam czasu go przeczytać ani obejrzeć załączników. - Machnięciem ręki zbyła zbędną dygresję. - Tak czy owak, w Fort Kearny jest niewielkie muzeum... właściwie niewiele więcej niż archiwum zdjęciowe.

Julian pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

- Rose, to może poczekać...

- Jules, po prostu mnie posłuchaj! To archiwum portretów osadników, które robiono im w przededniu wyjazdu. Wygląda na to, że wszystkim, którzy wyruszali stamtąd w nieznane, robiono zdjęcie portretowe.

- No więc?

Kliknęła myszą i na ekranie pojawiło się zdjęcie przedstawiające grupę ludzi stojących dumnie przed wielkim wozem.

- Mieli w swojej bazie danych zdjęcie z 1856 roku zatytułowane „Grupa Prestona” i skwapliwie mi je przysłali.

Julian przyjrzał się portretowi grupowemu: kilka tuzinów mężczyzn i kilkanaście kobiet, mężczyźni brodaci, a kobiety z włosami ukrytymi pod czepkami. Na wszystkich

obliczach malowała się posępna determinacja i gotowość do zmierzenia się ze wszystkim, co mogła im zgotować natura. Z całą pewnością nie była to cała grupa, a jedynie Starsi, na tyle ważni, by uwieczniono ich na fotografii. Po jednej stronie stał wysoki, chudy mężczyzna.

- Boże! - wyszeptał. - To Preston?

Rose pokiwała głową.

- Czy on ci kogoś nie przypomina?

- A niech mnie, pewno że tak - wyszeptał.

Shepherda.

To te jego oczy - głęboko osadzone i nad wyraz przenikliwe. I mocno zarysowana, kanciasta szczęka. Opuściła ekran.

- To mi się nie podoba, Jules, przebywanie w towarzystwie faceta, który...

Julian uniósł palec do ust, aby ją uciszyć, po czym wyszeptał:

- Myślę, że to już teraz nie ma znaczenia...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Julian zdjął okulary, przetaił szkła, co czynił w chwili zdenerwowania, choć prawie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale był zbyt zaaferowany, aby w obecnej chwili próbować się powstrzymać.

- Julianie?

- Shepherd jest potomkiem Prestona.

Rose pokiwała głową.

- Tak. Co oznacza, że będzie chciał pogrzebać tę historię.

Spojrzał na nią.

- Myślę, że powinniśmy stąd jak najszybciej wyjechać.

- Wyjechać?

- Po prostu zostawić wszystko i zwinąć się bez wyjaśnienia.

- Ale... dlaczego, Julianie... Co...?

- Chodzi o to, co powiedział nasz przyjaciel, doktor Griffith - wyszeptał. - Coś, co powiedział, śmiertelnie mnie przeraziło... i chcę się stąd zmyć, choćby zaraz.

- Teraz ty mnie przerażasz, Julianie.

- Ubierz się. Potem ci wszystko wyjaśnię.

*

Julian powoli rozsunął suwak i wyjrzał na zewnątrz. Nigdzie nie było widać Shepherda ani agenta Barnsa, choć Cooke zaczął mieć wątpliwości, czy odznaka była prawdziwa i czy to prawdziwe nazwisko.

- Gdzie się oni podziali, do cholery?

Odwrócił się. Rose, już ubrana, klęczała tuż za nim.

- A gdzie Grace? - wyszeptała, po czym, jakby po namyśle, dodała: - Grace ma broń.

- Nie widzę ani jej, ani ich.

- Jules? Powiedziałaś tylko, że Shepherd może chcieć pogrzebać tę sprawę. Czemu nagle zrobiłeś się taki nerwowy?

Odwrócił się.

- Rose, w Londynie byłem śledzony. Właśnie rozpoznałem tego typa Barnsa. To chyba on mnie śledził. Myślę, że mógł też włamać się do mego mieszkania i założyć podsłuch w moim telefonie.

Znieruchomiała.

- Naprawdę?

- A teraz Sean nie żyje - dodał. - Zabito go w dzień po rozmowie ze mną.

Rose aż opadła szczęka.

- O, kurwa.

Pokiwał głową.

- I co teraz zrobimy? Nie możemy tak po prostu uciec do lasu, bez naszych rzeczy - zgubilibyśmy się, a o tej porze roku to mogłoby źle się dla nas skończyć.

- Rose, zastanów się, gdzie teraz jesteśmy. Znalezliśmy się w odludnej, leśnej dzicy, sam na sam z człowiekiem, który, jak wyjdziemy stąd żywi, może stracić dosłownie wszystko. Nie mam stuprocentowej pewności, czy zabójstwo Seana jest z tym powiązane, ale wiesz co? Nie zamierzam zostać tu ani chwili dłużej, aby o to zapytać.

- Boję się, Jules.

- Ja też.

Położyła dłoń na jego plecach.

- Dobra, ja też jestem za natychmiastowym wyjazdem.

- Świetnie. - Znów wyrzwał na zewnątrz. - Wyjdziemy stąd powoli i spokojnie, jakbyśmy wybierali się w głąb lasu, za potrzebą, jasne?

- A co z Grace?

- Poszła po drewno na opał. Spróbujemy ją znaleźć i wyjaśnić, że musimy stąd jak najszybciej zniknąć.

- Dobra.

- Gotowa?

- Nie bardzo.

Julian rozsunął suwak do końca, wypełził spod tropiku i na zewnątrz, mrugając, z uwagi na oślepiające promienie słońca. Podniósł się powoli, przeciągając się i ziewając, choć przecucie mówiło mu, że całe to rutynowe zachowanie wygląda bardzo teatralnie.

Rose stanęła przy nim, osłaniając oczy od słońca.

- Gdzie oni mogą być? - mruknęła cicho.

- Tutaj - odparł beznamiętnie Shepherd stojący obok namiotu.

Rozdział 81

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Julian odwrócił się na dźwięk jego głosu.

- Och - rzucił, po czym wysilił się na wąty uśmiech. - Wydawało mi się, że mamy wspólnie uczcić odnalezienie rzeczy Prestona, zgadza się? Może zaparzę kawę?

Shepherd przekrzywił głowę w dziwny, niepokojący sposób, a jego twarz miała nieobecny wyraz. Barns spojrział na niego, dyskretnie sięgając jedną ręką do kieszeni marynarki.

- Panie Shepherd?

Shepherd bez słowa skinął głową, jego usta poruszały się w milczącym dialogu.

- Rose i ja przyniesiemy drewna na ognisko - dodał Julian, sięgając po dłoń Rose. - Trzeba rozpalić ognisko, żeby można było zaparzyć kawę. No i przygotować coś na śniadanie, zgadza się? - Julian zastanawiał się, czy Shepherd w ogóle go słyszy, gdy nagle oczy tamtego odzyskały dawny blask i odnalazły jego spojrzenie. Cienkie usta rozciągnęły się w znużonym, nieszczerym uśmiechu.

- Tak - powiedział, a na jego twarzy pojawiły się dziwne tiki. - Zróbcie tak. Idźcie po drewno.

Dłoń Barnsa pozostała w kieszeni marynarki. Agent wyglądał na skonsternowanego.

- Panie Shepherd?

Julian odwrócił się do Rose i rzucił bezgłośnie:

- Chodźmy.

Odwrócili się i ruszyli wolnym krokiem, z trudem powstrzymując się, by nie zacząć biec.

Julian znów usłyszał głos Barnsa:

- Panie Shepherd? Na pewno chce ich pan puścić?

Rose wyszeptała półgębkiem:

- Cholera, Jules, oni wiedzą. Jestem pewna, że wiedzą, że my wiemy.

- Nie zatrzymuj się - wyszeptał.

Z tyłu za nimi znów rozległ się ponagląjący głos Barnsa:

- Panie Shepherd, dobrze się pan czuje?

Nieco zwawiej przestępowali porośnięte mchem nierówności terenu, rozpaczliwie walcząc z narastającą paniką. Z jakiegoś powodu Shepherd popadł w dziwną apatię i pozwolił im odejść. Julian uznał, że gdyby zaczęli biec, tamten mógłby otrząsnąć się z odrętwienia.

Dwadzieścia metrów przed nimi widać było pierwsze młode drzewa znaczące skraj polany i rozpościerającej się dalej puszczy. Po lewej wśród drzew dostrzegli kręcącą się postać w czerwonej ocieplanej kurtce.

- Zobacz, tam jest Grace...

Jego słowa przerwał wysoki, pełen wściekłości krzyk rozlegający się z tyłu za nimi. To był głos Shepherd... a jednak brzmiał zupełnie inaczej.

- Zabij ich!

Julian odwrócił się, by ujrzeć Barnsa, który zareagował natychmiast, wyciągając z kieszeni pistolet i przyjmując dobrze wyćwiczoną pozycję strzelecką wyszkolonego zabójcy.

- O, cholera! Uciekajmy!

Julian usłyszał kilka wystrzałów i w chwilę później kula ze świstem przeleciała mu koła ucha. Rose pisnęła głośno i wspólnie pognali w kierunku drzew. Zaraz potem rozległy się dwa kolejne wystrzały.

Poczuł silne szarpnięcie za rękaw kurtki i ujrzał biały puch eksplodujący z wyrwanej w materiale, strzępiastej chmury.

- Cholera!

Dotarli do pierwszych, niezbyt jeszcze szerokich pni drzew, gdy trzecia salwa dwóch wystrzałów trafiła w jeden z pni, odłupując zeń długie drzazgi. Julian i Rose pochyleni dali nurka w gęszcz pobliskich krzewów. W pewnej chwili Julian zahaczył stopą o kamień i upadł.

- Jules! Wstawaj! Podnieś się!

Rose wyciągnęła do niego rękę; schwycił ją i podźwignął się z ziemi, by ujrzeć Grace wychodzącą spomiędzy drzew i najwyraźniej zaniepokojoną hałasem. Zaczęła biec w kierunku dwóch mężczyzn, zdejmując sztucer z ramienia.

Julian uświadomił sobie, że pewnie ona sądzi, iż strzały zostały oddane do niedźwiedzia.

- Grace! Uciekaj! - krzyknęła Rose.

Grace odwróciła się zaskoczona wołaniem Rose. Odwróciła się do Shepherd... i szorstkim głosem zapytała, co się tu u licha wyprawia.

Julian patrzył ze zgrozą, jak najemny zabójca Shepherd... szybkim ruchem uniósł

pistolet i nieomal z przyłożenia zastrzelił starszą kobietę.

- Nie! - krzyknęła Rose.

Patrzyli w niemym osłupieniu, jak martwa Grace ciężko pada na ziemię. Shepherd jakby od niechcenia schylił się i podniósł jej karabin.

- O cholera cholera cholera - wymamrotał Julian. Schwycił Rose za rękę i pociągnął za sobą. - Szybko!

Zaczęli piąć się po stoku, kierując się pomiędzy gęste skupiska krzewów i jeżyn, których kolce i gałęzie szarpały ich ubrania, aż w końcu wypadli na niedużą polankę otoczoną strzelistą ścianą ciemnych jodeł.

Julian przystanął przy jednym z drzew i odwrócił się, by spojrzeć w dół stoku, przez szczelinę między jodłami ku polanie powyżej. Dostrzegł jaskrawe płótna namiotów rozstawionych mniej więcej pośrodku, a obok nich ciemniejsze, granatowe kurtki Shepherd'a i Barnsa. Nie wyglądało, żeby spieszyli się z pościgiem. Barns zebrał swój plecak, a Shepherd powoli przepatrywał zbocze, jedną ręką osłaniając oczy od słońca. Nagle uniósł drugą rękę i wskazał w ich stronę. W chwilę potem Cooke usłyszał odległy, zduszony głos tamtego.

- Cholera - mruknął Julian. - Zobaczyl nas.

- Jules - wyszeptała Rose. - Przyjrzyj się nam. - Wskazała na swoją kurtkę. Jej była żółta, a jego pomarańczowa.

- Musimy się ich pozbyć.

- Racja.

Zeszli z polany w większy gąszcz i tam, na chwilę niewidoczni, zdjęli puchowe kurtki. Julian zwinął swoją mocno i wcisnął pod sweter, przez co wyglądał, jakby był w ciąży.

- Musimy je zatrzymać - powiedział. - Nocą będzie chłodno.

Skinęła głową i zrobiła to samo.

- No dobra - rzekł, oddychając ciężko z wysiłku. - Lepiej ci wychodzi określanie kierunków. W którą stronę?

Rose wskazała w górę zbocza.

- Myślę, że zachód jest w tamtą stronę... a na górze może uda się złapać sygnał w twoim palmtopie.

- Racja.

Ruszyli dalej, zatrzymując się na chwilę, by odpocząć na niewielkiej kamienistej przecince kilka minut później. Julian spojrział w dół na polanę z obozowiskiem i dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn idących wolno w stronę linii drzew.

- Przestali się opieprzać tam na dole. Idą po nas.

Odwróciła się, by spojrzeć.

- Znajdą nas?

Julian wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może zostawiliśmy jakieś ślady, za którymi będą mogli podążać... a bo ja wiem? Chociaż wątpię.

- Tak - wyszeptała. - Raczej nie jest wytrawnym indiańskim traperem, prawda?

Patrzył, jak tamci dwaj znikają wśród zieleni lasu poniżej, by zacząć piąć się po zboczu w ich stronę. Nie spodobał mu się spokój i opanowanie, z jakim tamci opuścili polanę. Język gestów Shepherda zdawał się mówić: Wiem doskonale, gdzie jesteście, idę po was.

- Miejmy nadzieję, że nie. - Schwycił ją za ramię. - Dalej! Ruszamy!

Rose potaknęła bezgłośnie. Odwróciła się i zaczęli piąć się dalej po zboczu.

*

Godzinę później drzewa przed nimi się przerzedziły i znaleźli się na otwartej przestrzeni w trzech czwartych wysokości zbocza prowadzącego ku jednemu z nagich szczytów wznoszących się nad polaną, gdzie obozowali. Powyżej zeschnięta, brązowa trawa stopniowo ustępowała miejsca coraz bardziej stromemu, skalistemu zboczu, którego strzępiaste zwieńczenie odcinało się na horyzoncie.

Rose odetchnęła z ulgą, ujrawszy między szczytami po prawej wąską przełęcz.

- Tam - rzekła, wskazując w tę stronę. - Chyba uda się nam zejść tamtędy do sąsiedniej doliny.

Julian pokiwał głową, wyjął palmtop i sprawdził, czy ma zasięg.

- Jest sygnał? - spytała z nadzieją w głosie Rose.

Pokręcił głową.

- Chodźmy - wychrypiała, oddychając ciężko. - Może po drugiej stronie złapiemy sygnał.

Przełęcz była w gruncie rzeczy zwykłym żlebem, wyciętym w skale jak pojedynczy ślad po siekierze w pniu drzewa. Była na tyle szeroka, że mógłby się przez nią przecisnąć pojazd z napędem na cztery koła, gdyby nie całe mnóstwo potrzaskanych głazów i kamieni, które chrzęściły i stukały głośno, osypując im się spod nóg.

Słońce wisiało wysoko na niebie, gdy wyszli z przełęczy i spojrzeli na rozciągającą się w dole rozleglejszą dolinę.

- I co? - spytała Rose.

Julian zamknął palmtop i pokręcił głową.

- I nic.

Przepatrywała okolicę powyżej w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak cywilizacji - nawet pusta droga stanowiła jakieś rozwiązanie.

I wtedy to spostrzegła.

- Spójrz!

Julian podążył za jej palcem.

- Co to?

Szeroka, płytka, wolno płynąca rzeka kierowała swe wody na zachód, w dół kotliny, a przy jej załomie dostrzegli skupisko niedużych, drewnianych budowli.

- Wygląda jak obóz drwali - rzekła Rose. - Ale chyba opuszczony, jak sądzisz?

- Tak.

- Mimo to powinniśmy się tam udać. Może tam coś znajdziemy. Może kogoś tam zastaniemy.

Julian pokiwał głową.

Rozdział 82

2 listopada 1856

- Na Boga, Keats, pan żyje! - zawołał Ben.

Stary przewodnik opierał się na ramieniu Złamanego Skrzydła, gdy dwaj mężczyźni wyszli na otwartą przestrzeń. Ben podbiegł do nich, a trawiący go jeszcze przed chwilą strach zastąpiła głęboka ulga.

- Chryste Panie! - krzyknął, uśmiechając się szeroko, gdy stopy niosły go po śniegu w ich stronę. - Sądziłem, że tylko my troje zdołaliśmy stamtąd u...

Wtem jego oczy wychwyciły znaczący szczegół. Szeroki pas dawno wyblakłej koszuli w grochy, którą nosił przewodnik, był dość topornie owinięty wokół jego talii i przesiąknięty krwią, czarną niemal jak atrament. Keats uniósł wzrok i spojrzał na Bena i jego twarz, zwykle brązowa, o złocistym odcieniu, jak stare siodło, była teraz szara jak popiół.

Złamane Skrzydło pomógł mu podejść do ogniska i delikatnie ułożył go na ziemi. Keats jęknął z bólu, dla ochrony trzymając dłonie przed ciałem. Na materiale pojawiło się kilka nowych, szkarłatnych plam, gdy niedbale opatrzona spora rana znów się otworzyła.

Ben spojrzał pytająco na Szoszona. Złamane Skrzydło zrozumiał i zaczął szybki monolog w ucie, gestami wskazując na ciemną ścianę drzew, skąd się wyłonili, a ruchy jego dłoni opowiadały historię, której Ben nie potrafił zrozumieć.

Coś tam w puszczy zrobiło to Keatsowi.

Ben chciał wiedzieć więcej.

- Co się stało, Keats?

Staruszek oddychał głęboko, zbierając resztki sił.

- Widziałem to draństwo - wychrypiał rozpaczliwie. Jego oczy zwykle zwężone w szparki i zimne jak kamień były rozszerzone i przepelnione strachem. Raz po raz popatrywał to na Bena, to na las.

- Co widziałeś?

Keats wypuścił ustami kłęb pary i zamknął oczy, krzywiąc się z bólu promieniującego z jego torsu. Ben zauważył, że krew sączyła się też z jego lewej nogi, przesiąkając przez jelenią skórę. Przez rozdarcie w nogawce widać było strzępy okrwawionej skóry. Ben ukląkł

przy nim, choć instynkt podpowiadał mu, że żadna wiedza medyczna nie jest w stanie pomóc staruszkowi.

- Pozwól, że obejrzę tę ranę. Trzeba poprawić opatrunek.

Keats energicznie pokręcił głową.

- Zostaw! - Wyciągnął rękę. - Tylko ten prowizoryczny bandaż utrzymuje mnie w jednym kawałku! - Spuścił wzrok i się skrzywił. - Jak to rozwiążesz, wszystko wypłynie na zewnątrz.

Ben podejrzewał, że rana jest podobna do tej, którą widział na ciele młodego Pajute, który przyniósł Emily do obozu. Musiała to być głęboka, pozioma rana, która uszkodziła organy wewnętrzne, uwalniając treść żołądka i jelit, przez co do jego brzucha trafiły fekalia i kwasy żołądkowe. Nawet gdyby udało mu się powstrzymać upływ krwi, Keats umarłby w męczarniach na skutek obrażeń wewnętrznych.

Kiedy tak na niego patrzył, nie miał wątpliwości, że przewodnik umiera.

- Co się stało?

Keats obliział popękane, spierzchnięte wargi.

- Od wczesnego ranka słyszeliśmy tych mormonów - wychrypiał. - Tych, co nas ścigali. Od czasu do czasu słyhać było dochodzące z daleka krzyki i strzały... Ja, Złamane Skrzydło i Weyland... szliśmy dalej pod górę. Sądziliśmy, że to może inni z naszej grupy... którym udało się uciec... próbując z nimi walczyć czy coś takiego.

Złamane Skrzydło przykucnął i rzucił coś w swoim języku, kiwając głową w stronę Emily. Keats odpowiedział w tym samym języku, ale wolniej i coraz cichszym głosem.

- Co? Co on powiedział?

Keats pokręcił głową, ignorując pytanie.

- Byliśmy przy przełęczy... kiedy to się stało... kiedy to wyłoniło się z ciemności i rzuciło na nas.

Znów zamknął oczy, oddychając rytmicznie i przypominając coś sobie. Ben zauważył, że ranny dygocze, jego pomarszczone, pokryte plamami tytoniu usta drżały. Ten widok przeraził Bena. Uważał Keatsa za niewzruszonego, nie przypuszczał, że tym starym, twardym, zaprawionym w trudnych warunkach mężczyzną mogło cokolwiek wstrząsnąć. A jednak przewodnik wyglądał teraz na słabego, starego i śmiertelnie wystraszonego.

Nachylił się nad nim.

- No mówże pan! Co to było?

Powieki Keatsa zatrzępotwały i otworzył oczy, koncentrując się na czymś bardzo odległym, po czym przeniósł wzrok na Bena. - Widziałem to coś na własne oczy, Lambert. To

nie jest człowiek... na pewno to nie ten sukinkot Preston, jak mówiłeś... - Znów oblizał splekane wargi. - Widziałem coś, czego nie umiem wyjaśnić.

Złamane Skrzydło wypowiedział słowo, które Ben słyszał płynące wielokrotnie z ust Pajutów w ostatnich dniach.

Keats słabo pokiwał głową.

- Zgadza się... właśnie tak. To coś nie z tego świata. Nic takiego nie powinno tu istnieć.

Ben usłyszał, jak pani Zimmerman jęknęła.

- Anioł - wyszeptła. - Zstąpił, by nas ukarać.

- Duch białych twarzy - wtrącił Złamane Skrzydło.

- To właśnie ujrzałem, Lambert - wysapał Keats. - To nie żaden anioł, tylko cholerny demon. Wyszedł spośród drzew i odciął Weylandowi głowę.

- Jak wyglądał?

- Kości i rogaty czerep... jakby ożyło całe pieprzone cmentarzysko - parsknął z ironicznym uśmiechem.

Kości.

- To draństwo poruszało się piekielnie szybko. Zostało mi trochę prochu, ale nie mam już kul... gdyby było inaczej, może bym go poczęstował ołowiem, gdybym miał jeszcze parę...

Ben położył dłoń na jego ramieniu.

- Keats, proszę posłuchać. Myślę, że to może być Preston. To musi być on. - Spojrzał na pozostałych. - To mógł być Preston... ale w przebraniu.

Keats schwycił go za łokieć.

- To... nie był... ten... szurnięty... zelota - wychrypiął. - Może jednak ci Pajuci mieli rację.

- Co chcesz pan przez to powiedzieć?

Keats się uśmiechnął.

- Może faktycznie sprowadziliśmy ze sobą do tej puszczy... odrobinę szaleństwa. - Keats stęknął z bólu, zerkając na przesiąkniętą posoką bandażę. - Zostanie mi paskudna blizna. Będzie się czym pochwalić.

Złamane Skrzydło przemówił, gestykułując energicznie w kierunku Emily.

- Co jest? Co mówisz? - zapytał, przenosząc wzrok na Indianina.

Tamten wskazał w stronę drzew.

- To nadchodzi. Idzie po Am-ee-lee.

- Że co? - Ben spojrzał na panią Zimmerman. - Ale dlaczego? Czemu Preston miałby chcieć ją odzyskać?

Pokręciła głową zdezorientowana.

- Emily jest jego córką... większość dzieci była jego.

Złamane Skrzydło zaprzeczył głową.

- Nie Pressston.

- Wobec tego to anioł? - wychlipnęła pani Zimmerman. - Anioł chce dopaść nas wszystkich, wszystkich, którzy podążaliśmy za Prestonem.

- Nic z tych rzeczy - uciął Ben. - To człowiek i tyle! A jeśli to nie Preston, to zapewne ktoś inny z waszej grupy, ktoś, kto postradał zmysły!

- To nadchodzi - rzekł Złamane Skrzydło. - Idzie w tę stronę.

- Byliście śledzeni?

Złamane Skrzydło wskazał na ognisko i słup dymu.

- To widzi dym.

- Boże, zlituj się nad nami! - zawołała pani Zimmerman, ukrywając twarz w dłoniach i szlochając rozpaczliwie.

Ben odwrócił się do Keatsa, zapewne jedynej prócz niego osoby w tym miejscu, z którą mógł porozmawiać racjonalnie.

- Keats, co mamy teraz robić, do kroćset?

Odpowiedzi nie było. Stary leżał całkiem nieruchomo.

- Keats?

Złamane Skrzydło ukląkł i przyłożył dłoń do ust i nosa Keatsa, próbując wyczuć ciepło jego oddechu. Po bladej twarzy przewodnika Ben zorientował się, że już jest za późno.

Pozbawione wyrazu oczy Szoszona odnalazły spojrzenie Bena.

- Keet... nie... - Rozcapierzył palce dłoni. Ben instynktownie zrozumiał nieznany mu gest.

Nie żyje.

Złamane Skrzydło z niepokojem obejrzał się przez ramię w stronę lasu. Mówiąc w narzeczu ute, wskazał na ognisko, bijący zeń dym, po czym wskazał ręką na drzewa. Ben zrozumiał, o co mu chodziło.

Dym sprowadzi go... tu... w to miejsce.

- Ruszamy... ale już! - rzucił Złamane Skrzydło, wskazując w stronę brzegu rzeki, obchodząc ognisko, by podejść do pani Zimmerman, i wyciągając rękę, aby pomóc jej wstać.

Ma rację, musimy trzymać się rzeki. Pozostać na otwartej przestrzeni.

Płaski jak stół teren pomiędzy skrajem lasu a rzeką dawał im szansę na reakcję, gdyby to spróbowało ich zaatakować.

- Chodźmy - rzekł Ben do pani Zimmerman. - Musimy iść. On mówi, że to coś jest już blisko i idzie po nas... po Emily. Musimy uciekać. Natychmiast.

Schylił się, aby podnieść Emily, ale dziewczynka nie była już tak bezwładna i sama się podniosła, jakby powoli wracała do tego świata.

- Wzdłuż rzeki - wycedził Złamane Skrzydło, pomagając wstać pani Zimmerman.

Nagle ciszę puszczy rozproszyło coś, co poruszało się w głębi niej, niewidoczne. Coś, co przemieszczało się zbyt szybko, by próbować zachowywać się bezszelestnie.

- O cholera! - wyszeptał.

Emily spojrzała w kierunku drzew oddalonych o niespełna pięćdziesiąt metrów od miejsca na brzegu rzeki, gdzie obecnie stali. Jej jasnoniebieskie oczy ożyły. Zupełnie jakby na dobre powróciła do nich. Wyciągnęła rączkę i pociągnęła za brzeg poncha Lamberta.

- Panie Lambert - powiedziała cicho. - Anioły naprawdę istnieją.

Złamane Skrzydło rzucił coś w utę i wyjął nóż zza skórzanego pasa. Wskazał na brzeg rzeki, a Ben zrozumiał, że jest to dla nich jedyna droga ucieczki.

Ben schylił się i wyjął z pochwy myśliwski nóż Keatsa, ciężka klinga dawała poczucie bezpieczeństwa. Położył dłoń na wciąż jeszcze ciepłej twarzy Keatsa. Chciał mieć chwilę, aby zapewnić starego, że wzięł ze sobą dziennik, że wyniesie go z tej puszczy i kiedy w końcu wróci do Londynu, opublikuje jego treść, a świat pozna nazwisko Keatsa. Przewodnik na pewno ucieszyłby się, słysząc te słowa.

- Żegnaj, Keats - wyszeptał Ben.

Tymczasem Złamane Skrzydło, ciągnąc za sobą panią Zimmerman, zbliżał się do rzeki, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z linii drzew ciągnącej się wzdłuż brzegu.

- Chodź, Emily - rzekł Ben, ujmując dziewczynkę za rękę. - Musimy iść.

Rozdział 83

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Julian spojrział na rząd baraków. Były spartańskie, ale wytrzymałe i solidne, opuszczone od blisko stu lat, lecz wyglądały na względnie nienaruszone i gotowe przetrwać kolejnych sto. Natura dobrze wykorzystała ubiegłe stulecie, odzyskując teren, na którym stały drewniane chaty. Młode drzewka wyrastały z ziemi wewnątrz i wokół budowli, podczas gdy sięgające do pasa kępy wrzośca wylały się spomiędzy desek, na których wzniesiono konstrukcję baraków, przesłaniając drewno szerokimi, zielonymi paprociami. Naiwnie się ludził, że ktoś mógł tam być, samotny dozorca w przyczepie, jacyś zatwardziali miłośnicy pieszych wędrówek po górach czy nawet para japońskich turystów. A w komórce wciąż nie miał sygnału.

- Przynajmniej mamy się gdzie schronić - rzekła rozdygotana Rose. Spojrzała na niego. - Myślisz, że wciąż idą za nami?

- Bóg jeden wie. Powiedziałbym, że najprawdopodobniej przedzierają się między drzewami, schodząc do drugiej doliny - odparł, uspokajająco ściskając Rose za rękę. - Jestem prawie pewien, że ich zgubiliśmy - dodał, w nadziei, że jego słowa zabrzmiały pewniej, niż sam to czuł.

Słońce szybko zbliżało się do linii postrzępionych szczytów po drugiej stronie doliny, rzucając długie, chłodne cienie, które przepływały po łagodnym podłożu kotliny w ich stronę i w stronę rzeki. Zapowiadała się chłodna noc.

- Chodź, Rose, wejdźmy do środka. Zobaczmy, czy znajdziemy gdzieś jakiś przytulny kącik.

Weszli na drewniany ganek i pchnęli masywne, drewniane drzwi, które uchylły się ze skrzypnięciem. Świetliki w spadzistym dachu wpuszczały dość światła, by mogli znaleźć drogę w półmroku panującym wewnątrz.

Barak był długi i mieścił dwa ciągi prostych prycz ustawionych wzdłuż ścian. Przy drugim końcu baraku stała żelazna „koza”. Powyżej widać było masywne belki szczytowe, z których wystawały metalowe kołki, z nich natomiast zwieszały się grube sznury podczipione

pomiędzy dwiema równoległymi belkami, zapewne niegdyś na tych sznurach rozwieszano pranie - dostrzec też można było kilka zardzewiałych narzędzi, piłę taśmową i tarczową.

- Dwie gwiazdki jak nic - wymamrotał i zaśmiał się bez większego przekonania.

Rose podeszła do pryczy w kącie i usiadła obok niej na podłodze, podciągając kolana pod brodę i oplatając je ramionami.

- Boję się jak jasna cholera, Jules.

Uniósł dłoń do jednej z belek stropowych i zdjął z kołka duży, zardzewiały hak. Ujął go za drewnianą rękojeść i przyjrzał się solidnemu, zakrzywionemu ostrzu. Zważył narzędzie w dłoni. Wyglądało groźnie, ale nie było zbyt poręczne. Mimo to dobrze było trzymać je w dłoni.

Podszedł do niej, oglądając hak.

- Tak, muszę przyznać, że ja też mam niezłego stracha.

- Czyli jakiego? Jesteś tak wystraszony, że omal nie sfajdasz się w portki, czy po prostu zwyczajnie trochę się boisz?

Zaśmiał się.

- Pamiętasz, jak śledziliśmy tego kandydata na zjazd BPN?

Skinęła głową.

- Albo jak islamski fundamentalista zaczął nam grozić śmiercią?

Znów pokiwała głową.

- No to bardziej - odparł i usiadł przy niej, opierając się plecami o ścianę.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, obserwując, jak miedziany blask promieni zachodzącego słońca wpada przez zaparowane szybki świetlika, a na przeciwległej ścianie powoli zaczynają pięć się szare cienie.

- Jules, kiedy przyszedłeś dziś rano do mego namiotu, chciałeś mi coś powiedzieć, prawda? Ale ja byłam zbyt zajęta paplaniem o fotografii. Co chciałeś mi powiedzieć?

Pokręcił głową i się zaśmiał.

- Że mam złe przeczucia co do tego wszystkiego.

Rose się uśmiechnęła.

- Może następnym razem uprzedź mnie trochę wcześniej, co?

- To doktor Griffith mnie ostrzegł. Że szaleństwo Prestona może być dziedziczne.

Rose skinęła głową.

- Chyba musiałam się gdzieś pomylić - westchnęła. - Historia Człowieka w Lachmanach, ocalałego, który zszedł z gór - byłam pewna, że to Lambert.

- Może tak właśnie było. - Julian oparł głowę o szorstką ścianę. - Może Preston

pozostawił jakichś potomków w Iowa, zanim wyruszył ze swoimi wiernymi, a rodzina Shepherdów jest spokrewniona z jednym z nich.

- Pewnie tak.

- Tak czy owak, Shepherd jest niepoczytalny, zgadza się? Czy zanim uciekliśmy, zauważyłeś, jak dziwnie się zachowywał?

- Nie... w sumie... to był moment.

- Wydawał się nieobecny, jakby naćpany.

- Nie pamiętam.

- Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby okazało się, że ma jednak jakieś trupy w szafach.

- Albo... ciała pogrzebane gdzieś w piwnicy?

Julian otulił kolana ramionami, aby się trochę ogrzać.

- Kto wie? Może ma stylową piwniczkę jak większość seryjnych zabójców, z gotycką studnią pośrodku, gdzie wieczorami przychodzi, by szyć dla siebie kostium ze skór kobiecych.

Rose parsknęła.

- Wyglądało na to, że jest gotów nas pozabijać, aby tylko ta historia o jego... kim... prapradziadku? nie wyszła na jaw.

- To zniszczyłoby całą jego kampanię. Uważam, że ktoś taki byłby gotów na wszystko, aby do tego nie dopuścić.

- Możliwe. Ale czy zabiłabyś dla czegoś takiego?

Rose wzruszyła ramionami.

- Ja nie.

- Czy przeciętny polityk byłby gotów zabić, aby tylko na zawsze ukryć obciążającą go historię?

*

Shepherd uniósł wzrok ku błękitnemu niebu odartemu ze słońca, po którym pozostało już tylko rozmyte wspomnienie na horyzoncie. Noc będzie mroźna, bez dwóch zdań, rzadkie chmury przesuwające się przed widocznymi na niebie gwiazdami zdawały się solennie to zapowiadać. Kilka kroków dalej niewielkie elektroniczne urządzenie wiodło Carla naprzód. Mężczyzna trzymał w ręku przedmiot nie większy od komórki, z małym ekranem wskazującym kierunek i odległość. Zapewnił Shepherdowi, że choć sprzęt nie był najnowszy - pochodził z demobilu CIA, do tego zadania nadawał się doskonale.

Urządzenie lokalizujące jest sprawne w zasięgu od ośmiu do szesnastu kilometrów, w zależności od ukształtowania terenu. Tak w krótkich, żołnierskich słowach Carl opisał mu

działanie urządzenia, kiedy ruszyli w pościg za zbiegami.

- W mieście nie bardzo się nadaje - dodał. - Za dużo murów i interferencji elektrycznych, ale na tym obszarze powinno być idealne. Doprowadzi nas prosto do nich, panie Shepherd.

Wyczuwam dezaprobatę?

Shepherd skrzywił się, gdy w jego myślach pojawił się nagle znajomy głos. Wydawał się mocniejszy niż ostatnim razem, bardziej natarczywy, wręcz piskliwy, na pewno donośniejszy niż inne, jakie kiedykolwiek słyszał.

Nie musieliśmy nikogo więcej zabijać, odparł. To zbędne ryzyko. Nie musieliśmy zabijać tej starszej kobiety.

Odpowiedzi nie było. Wysiłił się na lekki uśmiech. Gdyby Duncan wiedział... gdyby ktokolwiek ze sponsorów jego kampanii to wiedział, gdyby miliony wyborców wiedziały, że w jego umyśle rozgrywają się takie przerażające rozmowy, a rozlegające się w nim głosy, mroczne, posępne i złowieszcze, zabójcze, szepczą do niego każdego dnia i sporo czasu zajmowało mu uciszenie ich po raz kolejny... już sobie wyobrażał, co by się działo, gdyby ujawnił to na żywo w telewizji doktorowi Philowi albo Oprah Winfrey.

Cóż to byłaby za ulga, gdyby mógł podzielić się z kimś tym brzemieniem.

Oni będą mówić.

Mógłbym ich przekonać do milczenia.

Czy jesteś dobrym człowiekiem?

Tak... tak, myślę, że jestem.

Jesteś też słaby.

Zjadliwy, pełen dezaprobaty ton w głosie wewnętrznym przepelniał jego czaszkę dojmującym bólem.

Nie jestem słaby.

Głos ponownie zamilkł.

Kilka metrów przed Shepherdem Carl nagle zaklął pod nosem i się zatrzymał.

- Cholerny sygnał zaczyna słabnąć. Chwileczkę... musimy znów go wychwycić.

Podczas gdy czekał na ponowne przejęcie sygnału lokalizatora, powiódł wzrokiem po rozległej, przepięknej dolinie rozpościerającej się poniżej, przepatrując ją jak snajper w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia. Wieczór zapadał szybko, a w jego stłumionym świetle nie dostrzegł żadnych obcych punkcików światła, jak okiem sięgnąć była tylko bezkresna puszcza i ani żywego ducha w pobliżu. Nikogo na przestrzeni wielu... bardzo wielu kilometrów.

A jednak jego oczy wychwyciły sztuczne linie budowli wykonanych ludzką ręką i stojących nad rzeką.

- Tam są jakieś budynki, panie Shepherd - zawołał, wskazując ręką w stronę zakola rzeki.

Shepherd otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał w stronę, w którą wskazywał Carl. Dostrzegł skupisko ciemnych chat, stojących nad brzegiem rzeki, na obszarze całkiem wykarczowanym z drzew. Znał historię tych terenów, wiedział, co ma przed sobą. Te drzewa ścięto i spławiono stąd dawno temu.

- To obóz drwali i flisaków, zamknięty jak wszystkie inne w czasach, kiedy drewno przestano spławiać rzeką, na rzecz przewożenia go koleją żelazną.

Carl pokiwał głową, po czym znów spojrzał na wyświetlacz lokalizatora.

- Pieprzone góry zakłócają sygnał.

- Podejrzewam, że ukryli się w tym obozie - rzucił Shepherd. - Ja też bym tak zrobił, będąc na ich miejscu.

Carl oderwał wzrok od wyświetlacza i pokiwał głową.

- Tak, ja zapewne też. No, wreszcie jest - rzekł. - Mam sygnał. - Patrzył przez chwilę na ekran i znów skinął głową. - Tak, miał pan rację. Są gdzieś tam, w tym obozie, panie Shepherd.

- Świetnie, wobec tego nie marnujemy czasu. Jeżeli możemy ich tam dopaść, to świetnie.

- Chodzi o to, aby ich znaleźć i zlikwidować, tak?

Shepherd odwrócił się do niego.

- Chciałbym najpierw z nimi pomówić. Ale jeśli konieczna będzie natychmiastowa, niezwłoczna likwidacja, to trudno.

Carl pokiwał głową.

- Rozumiem.

Rozdział 84

2 listopada 1856

Złamane Skrzydło przystanął i wskazał na wprost. Ben zrozumiał, na co chciał zwrócić ich uwagę.

- O co chodzi? - spytała zdyszana pani Zimmerman.

Rzeka, wzdłuż której szli, zakręcała w lewo i w tym miejscu drzewa, od których starali się trzymać na dystans, rosły aż do samego brzegu wody.

- Jeżeli mamy iść dalej, będziemy musieli wejść między te drzewa. - Pani Zimmerman spojrzała na nich z nietęgą miną.

Nic nie wskazywało, gdzie mogło znajdować się najdogodniejsze przejście między drzewami ani czy dalej bezpieczny dystans pomiędzy lasem a brzegiem powracał.

Złamane Skrzydło wciąż niósł swoją starą strzelbę skałkówkę, rozek z prochem i trochę kul. Jeżeli ścigała ich tylko jedna... istota, liczył na swoją indiańską sprawność Strzelca wyborowego, że zdoła oddać jeden celny strzał, gdyby to coś wyłoniło się spomiędzy drzew i ruszyło przez otwartą przestrzeń w ich stronę. Jednak między drzewami, gdzie nietrudno o zasadzkę, wątpił, aby zdołał zrobić użytek ze strzelby.

Ben spojrzał w stronę linii drzew na lewo od nich, biegnącej równolegle do brzegu, i wiedział, że to jest gdzieś tam, przygląda im się i ponagla, aby szli dalej w kierunku tej kępy drzew. Po ich prawej stronie płynęła wartka rzeka, pełna lodowatej wody, która zmroziłaby ich do szpiku kości, gdyby tylko do niej weszli. Pochłonęłyby ich i ani chybi zabiła ich wszystkich.

Złamane Skrzydło dostrzegł jego spojrzenie i pokręcił głową.

- Tu nie przejdziemy. - Skinął na zachód. - W dole rzeki... przejdziemy. Pięć dni na północ... do Szoszonów.

- O co chodzi? - spytała pani Zimmerman.

Ben zrozumiał.

- Może nas zabrać do Szoszonów. Ale musimy przejść przez rzekę i ruszyć na północ.

Złamane Skrzydło pokiwał głową.

- Ale... - Odwrócił się do pani Zimmerman. - Będziemy musieli przejść przez ten

zagajnik.

Pokręciła energicznie głową.

- Nie mogę... nie chcę...

- Ja też nie. Ale nie możemy tu zostać.

Złamane Skrzydło niecierpliwie wskazał palcem na wprost.

- Tak, marnujemy czas - przyznał Ben. Uśmiechnął się uspokajająco do pani Zimmerman i Emily. - To tylko wąski pas lasu, a potem znów wyjdziemy na otwartą przestrzeń. Będziemy bezpieczni.

Emily się poruszyła.

- Bez obawy, pani Zimmerman - rzekła cichutko. - Benjamin dopilnuje, aby nic się nam nie stało. - Uśmiechnęła się do Bena i ścisnęła go za rękę. - Powinniśmy już iść - dodała.

Pani Zimmerman skinęła głową.

- Dobrze.

Ostrożnie zbliżyli się do drzew, trzymając się w zwartej grupie. Złamane Skrzydło szedł pierwszy z muszkietem nabitym i gotowym do strzału.

Tamahakan miał zatknięty za skórzany pas. Ben podczas walki w obozie widział, jak szybko Indianin potrafi go wyjąć i użyć. Zastanawiał się, czy tym razem będzie dostatecznie szybki.

Pani Zimmerman i Emily szły za Indianinem, kobieta dla bezpieczeństwa obejmowała dziewczynkę rękami i obie patrzyły na drzewa oczyma wielkimi jak spodki. Ben podążał parę kroków za nimi z wielkim nożem Keatsa w jednym ręku i masywną sękatą gałęzią w drugim - choć zapewne niewiele by mu ona pomogła. Wspólnie weszli pod baldachim ciemnych gałęzi, schodząc z połaci chrzęszczącego pod stopami śniegu na suchy, gąbczasty kobierzec zeschniętych szyszek i igieł.

*

Obserwował ich przez szczelinę między konarami, jak przechodzą powoli, zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego... byli tak blisko.

Jego gorący oddech odbił się od wnętrza kościanej maski i omiół jego twarz, ogrzewając policzki.

Emily.

Tęsknił za nią, tak bardzo mu jej brakowało. Zanim wszystko się zmieniło, byli tylko ona i on... tylko ich dwoje. Mama miała czas wyłącznie dla Prestona, nigdy dla nich. Mama o nich nie dbała, nie tak bardzo jak poświęcała się Bogu. Mama nie chciała wiedzieć o tym, jak bawili się z dziećmi Hearst i Vander.

Zawsze byłaś tylko ty i ja, Emily.

Ale był również Ben. Taki życzliwy. Sam uwierzył nawet, że z nadejściem wiosny całą trójką ruszą razem w puszcze: dziwaczna rodzina, jak trójka rodzeństwa - starszy brat, młodszy brat i młodsza siostra. Emily lubiła Bena. To by jej się spodobało, opuścić świątynię Prestona i wyruszyć z Benem Lambertem w świat.

Teraz masz mnie.

Owszem... tak.

Sam wiele zawdzięczał aniołowi. Wiedział, że nie przeżyłby w pojedynkę. Postradałby zmysły, zamarłby w bezruchu tego dnia, kiedy pan Hearst przyszedł, by ich zabić. Wróciłby do obozu i spróbowałby zaatakować Prestona. I poniósłby porażkę. Pan Hollander zawsze nad nim czuwał. A on poniósłby porażkę i został zabity.

Potrzebujesz mnie.

Tak.

Ufasz mi?

Tak.

Sam patrzył, jak bezszelestnie i spokojnie przechodzą przez las. Emily została nieco z tyłu, by ująć Benjamina za rękę, Indianin szedł przed nimi, a pani Zimmerman z boku.

Widzisz, jak mocno się go trzyma?

Widział. Trzymała go mocno za rękę i patrzyła z przerażeniem przed siebie.

Czy to mnie tak się boi?

Teraz jesteś inny.

Jestem Sam.

Byłeś „Samem”. Teraz jesteś kimś więcej.

*

Gęsty baldachim nad nimi sprawił, że tylko niewielka ilość sypkiego śniegu pokryła grunt pod drzewami. Przez szczeliny między konarami wpadały promienie słońca, tworząc na ziemi jasne, złociste plamy. Szli naprzód w milczeniu, cichy trzask suchych gałązek pod ich stopami i łagodny szmer rzeki po prawej były jedynymi odgłosami, na jakie pozwalał las. Patrząc przed siebie w nadziei, że las w oddali znów zacznie się przersedzać, Ben widział tylko niekończące się rzędy strzelistych sosen, grube pnie o masywnych korzeniach oraz widoczne tu i ówdzie skupiska niższych świerków, przysadzistych i skąpanych w promieniach słońca.

- Boję się - wyszeptała pani Zimmerman.

Złamane Skrzydło obejrzał się przez ramię i zmarszczył brwi.

- Proszę iść - odparł półgłosem Ben. - Możliwie jak najciszej. Szli w milczeniu przez kolejnych pięć minut, gdy nagle Indianin przystanął i przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Zaraz potem odwrócił się do nich, a jego posępne oblicze rozjaśnił lekki uśmiech.

Ben wzruszył ramionami.

Złamane Skrzydło wskazał ręką na prawo i przyłożył dłoń do ucha.

Słuchajcie.

Ben nasłuchiwał, ale w pierwszej chwili nic nie wychwytał.

Pani Zimmerman zmarszczyła czoło.

- Ja chyba coś słyszę.

On także usłyszał - cichy szmer.

Bardziej to wyczuł, niż usłyszał.

- To rzeka, prawda? - wyszeptał.

Skinęła głową.

- Tak, chyba tak.

Złamane Skrzydło wskazał ręką na wprost.

- Dochodzi z tamtej strony - rzekł Ben.

- Przejdziemy rzekę na wprost. - Złamane Skrzydło znów wskazał ręką przed siebie.

Głośny szum wody mógł oznaczać, że rzeka tu się zwężała i być może mogli przejść na jej drugi brzeg. Ten dźwięk dodał im otuchy.

Ben położył rękę na ramieniu pani Zimmerman.

- No to chodźmy, to już chyba niedaleko. - Skinęła głową i ruszyła za Indianinem, nie chcąc, aby Szoszon za bardzo ich wyprzedził.

Ben odwrócił się do Emily.

- Chodźmy, zaraz...

Dziewczynka stała jak wrośnięta w ziemię, oczy miała rozszerzone, usta otwarte szeroko.

- Emily?

Wpatrywała się w coś ponad nimi.

- On tu jest - wyszeptwała.

Ben odwrócił się, przepatrując konary powyżej. Przez zaledwie pół sekundy widział zarys czegoś, co przykucnęło na jednej z gałęzi. To było białe jak duch, ale najeżone ostrymi kolcami i miało długą rogatą czaszkę. Ześliznęło się z gałęzi, zeskakując bezszelestnie na ziemię, i znikło wśród gęstych krzewów opodal.

- Boże! - krzyknął. - To tu jest!

Złamane Skrzydło przystanął i odwrócił się raptownie. Ben wskazał miejsce, gdzie to zeskoczyło z drzewa.

- Tam!

Indianin szybko uniósł muszkiet do ramienia i wprawnym, płynnym ruchem opadł na jedno kolano. Pani Zimmerman, potykając się, podeszła do Indianina, szlochając z przerażenia, ukłękła tuż przy nim i gorączkowo zaczęła się modlić.

Ben wyciągnął rękę do Emily.

- Chodź - wyszeptał z przejęciem. Posłusznie ujęła jego dłoń, po czym wolno ruszyli w stronę pozostałych.

- Czy ktoś to widzi? - zawołał Ben, wodząc wzrokiem na lewo i prawo. - Gdzie to jest?

Echo jego głosu poniosło się w las, po czym się rozplynęło. Ciszę zakłócał tylko niecichnący ryk rzeki i szept oddechów ich czwórki.

- Jestem tutaj - dobiegł ich z bliska świszczący szept. Ten złowrogi dźwięk zdawał się odbijać echem od pni otaczających ich drzew. Złamane Skrzydło wodził strzelbą od kępy jeżyn przez gęstwinę paproci i z powrotem. Indianin zmeł pod nosem przekleństwo.

- To świetna zabawa - zasyczał głos.

Ben i Emily szybko dołączyli do pozostałej dwójki i Lambert puścił dłoń dziewczynki. Pani Zimmerman natychmiast przytuliła do siebie dziecko.

Ben stanął obok Złamanego Skrzydła, przepatrując las wokół nich z nożem myśliwskim i gałęzią gotową do ciosu.

- Czego chcesz? - zawołał Ben, drżącym z przerażenia głosem, co ani trochę mu się nie spodobało.

- Emily. - Szept zdawał się dochodzić ze wszystkich stron stłumiony i ogłuszający zarazem w gęstej ciszy panującej w puszczy. Zapadła długa chwila ciszy. Ben poczułby się lepiej, gdyby cisza była absolutna, ale wydawało mu się, że słyszy dochodzące skądś mamrotanie. Cichy, błagalny głos zdawał się prowadzić z kimś zażarty spór. Przypominało to słyszane przezeń niegdyś szalone, jednostronne rozmowy, dochodzące z cel Zakładu Psychiatrycznego Bannera; żalodne ciche głosy zadające nonsensowne pytania i w chwilę później ripostujące niesłyszalne odpowiedzi. Wiedział, że to nie był anioł ani demon, ten żalosny głos należał do kogoś, kto postradał rozum.

Przelknął nerwowo ślinę.

- Kim jesteś?

Odpowiedzi nie było. Pytanie popłynęło w las, a gdy jego echo ucichło, usłyszał, że szeptana dyskusja także się urwała. Ben był pewien, że jeszcze ubiegłej nocy wiedział, kto to może być, ale teraz to się zmieniło. Ten cichy głos przepelniała trwoga, która nie pasowała do typowanego przezeń kandydata na sprawcę tych wszystkich zbrodni.

- Nie jesteś Prestonem - rzekł Ben. - To wiem, na pewno.

- Nie - rozległa się sycząca odpowiedź. - Ten brudny, plugawy człowiek już nie żyje. - Głos istoty zmieniał się z lodowatego syku w coś, co brzmiało bardziej ludzko. - Sam się o to prosił! - Głos wciąż się zmieniał, stopniowo przeradzając się w zduszony krzyk osoby usiłującej stłumić w sobie łyzy wściekłości. - Był złym człowiekiem, złym do szpiku kości! Nawet anioł nie mógł znieść bycia przy nim ani chwili dłużej!

Ben rozejrzał się wokół, próbując określić, skąd dochodzi głos, ale magiczna akustyka puszczy skutecznie to uniemożliwiała.

- Pozwalał Erikowi Vanderowi zabawiać się ze wszystkimi swoimi dziećmi. - Rozległ się gorzki, ponury, zimny śmiech. - Więc mu go odciąłem, co nie? Odciąłem mu przyrodzenie i włożyłem do ust. - W głosie pojawiło się coś, co Ben rozpoznał, jakiś znak rozpoznawczy ukryty pod warkotem demonicznej nienawiści, który zapamiętał jakby z poprzedniego życia.

To był głos, którego słuchał ongiś z taką przyjemnością; należał do młodzieńca, którego towarzystwo lubił i bardzo sobie cenił.

- Sam? To ty? - Cisza. - Sam? To ty?

Odpowiedzi nie było. Minęła długa chwila kompletnej ciszy. Ben wsłuchał się w odgłosy puszczy i w końcu to wychwyił: cichą szeptaną, jednostronną rozmowę, objaw szaleństwa, dochodzącą gdzieś z przodu spoza gęstego sklepienia poskręcanych, zeschniętych winorośli i kolczastych krzewów od dawna domagających się słońca i pożywienia.

- Sam! - zawołał. - Sam, zabierzmy ją z dala od tego miejsca, z dala od szaleństwa Prestona. Ten człowiek był obłąkany. Cokolwiek zamierzał, było to wytworem jego trawionego chorobą umysłu.

O to właśnie poprosił go kiedyś Sam, ale wtedy to było niezręczne, musiał mu odmówić.

- Posłuchaj, wyprowadzę was oboje z tej puszczy. Wyjdziemy stąd razem, ja, ty i Emily. Ty i ja będziemy się nią opiekować, zostawimy to wszystko za sobą, w lesie, do którego to należy.

Świszczący szept jednostronnej rozmowy ucichł jak ucięty nożem.

- Sam, wyjdź, abyśmy cię mogli widzieć. Odlóż broń, którą zrobiłeś, i przyłącz się do nas. Już po wszystkim. Preston nie dostanie Emily. Mała jest bezpieczna.

Cisza się przeciągała. Minęła minuta, dwie... Ben zaczął już podejrzewać, że chłopak odszedł w głąb lasu, gdy nagle znów rozległ się znajomy głos:

- Emily, proszę, wróć z nami. Wróć do obozu. - To był Sam, taki, jakim go zapamiętał Ben. Miał głos pozbawiony choćby cienia wrogości, łamiący się z nadmiaru emocji, błagalny.

- Proszę, proszę... Emily.

Na dźwięk jego głosu Emily się rozplakała.

- Sam, powiedziałaś z *nami*. Kto jest jeszcze z tobą?

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

- Ona należy do nas. Jej miejsce jest przy nas. Tam wciąż jeszcze czeka na wykonanie dzieło Boże - odparł głos. - Twoje miejsce jest przy nas.

Usłyszawszy te słowa, Emily krzyknęła przeraźliwie:

- Nie chcę tam wracać! - Schwyciła Bena za rękę. - Proszę nie kazać mi wracać!

- Puść go! - wysyczał gniewnie głos.

- Nie! - odkrzyknął Ben. - Ona pójdzie z nami.

Po prawej coś się poruszyło, rozległ się głośny szelest i równocześnie huknął wystrzał z muskietu Złamanego Skrzydła, płosząc ptaki siedzące na gałęziach powyżej. Ben odwrócił się, by spojrzeć w stronę, gdzie wciąż wycelowana była lufa strzelby Indianina. Kiedy gęsta chmura dymu wokół obu mężczyzn się roziała, Ben z niepokojem wejrzał w ciemność przed nimi, spodziewając się ujrzeć leżące na ziemi ciało.

Ale niczego nie dostrzegł.

- Sam! - zawołał. - Sam!

- Sam odszedł - odparł syczący głos.

W mgnieniu oka Ben uświadomił sobie, że są w poważnych tarapatkach. Strzelba wypaliła, ale kula w nic nie trafiła. Odwrócił się do Złamanego Skrzydła.

- Zabierz je i idźcie!

Szozson się zawahał.

- Uciekajcie! - krzyknął do pozostałych Ben. - Biegnijcie w stronę rzeki!

Złamane Skrzydło upuścił strzelbę na ziemię i dobył tamahakan, gotów unurzać we krwi jego małe, ząbkowane ostrze. Bezceremonialnie poderwał z ziemi panią Zimmerman i popchnął kobietę przed sobą. Odwracając się do Bena i Emily, machnął na nich ze zniecierpliwieniem.

- Lambert... chodź!

- Emily - rzekł Ben. - Idź z nim!

Pokręciła głową.

- Nie, chcę zostać z tobą - zawołała z przerażeniem, sięgając po jego dłoń.

- Idź! - krzyknął gniewnie, odtrącając ją od siebie. - Już!

Już miała się odwrócić i pobiec, kiedy nisko zwieszająca się gałąź przysadzystego świerku przekrzywiła się w bok i zalegający na niej śnieg osypał się na ziemię.

To wyszło na otwartą przestrzeń.

Na ten widok Emily aż wstrzymała na chwilę oddech.

Stała przed nimi chuda, wysoka postać, spięta i gotowa, by się na nich rzucić i w jednej chwili wypruć im wnętrzności. Do jednej ręki miała przytroczonych kilka długich, ząbkowanych ostrzy, wykonanych z zaostrzonych kości. Jej ciało zdobiła skórzana bluza z ponaszywanymi na niej dość niezdarnie i w pośpiechu kośćmi żeber pochodzącymi od kilku różnych zwierząt.

Na głowie miała górną połowę czerepu jakiegoś sporego zwierzęcia, być może wołu albo jelenia. Wyglądało na to, że kula wystrzelona przez Złamane Skrzydło nie do końca chybiła celu, część czaszki została strzaskana. Pod postrzępioną połową maski z uszkodzonego czerepu widać było okrwawione oblicze Samuela Dreytona.

- Sam! - zawołała Emily, a w jej przeraźliwym krzyku zawarło się rozpoznanie, ulga i strach.

Postąpił niepewnie krok naprzód.

- Emily. - Jego młodzieńczy głos łamał się pod wpływem emocji, nie był już złowieszczym sykiem jakiegoś demona, lecz głosem cierpiącego na poważne zaburzenia młodego chłopaka. Tę część jego twarzy, którą widział Ben, wykrzywił przeraźliwy grymas, jakby Sam toczył walkę wewnętrzną, usiłując pohamować w sobie emocje.

Nagle Emily krzyknęła na cały głos:

- O, nie! Już... sobie przypomniałam!

- Zabiłem go, Em - przyznał zduszonym głosem. - Zabiłem Saula. Musiałem... w przeciwnym razie zabiłby ciebie... i mnie równocześnie. Musiałem... Em.

- Ciąłeś - szepnęła z rozszerzonymi oczyma, ponownie wspominając tamten dzień. - Ciąłeś... i ciąłeś... i ciąłeś... i ciąłeś.

Po policzku Sama spłynęła łza.

- Zasłużył na to. Saul i Eric...

- T-ty zrobiłeś te... okropne rzeczy... panu Vanderowi? - spytała.

Pokiwał głową. Ben odniósł wrażenie, że na jego obliczu dostrzegł coś jakby żal i odrazę.

- Owszem, tak - przyznał. - Prestonowi także.

- Och, Sam - szepnęła cicho Emily.

- Zrobiłem do dla ciebie, Em. I dla siebie również! - Postąpił krok naprzód, a ona cofnęła się z piskiem przerażenia.

- To ja - rzucił błagalnie, przez łzy, wyciągając do niej rękę.

Skierowała wzrok na ząbkowane ostrza przytroczone do jego dłoni, pokryte zaschniętą krwią i strzępami tkanek.

Krzyknęła.

To był kruchy, wysoki krzyk, który rozdarł na strzępy delikatną ciszę puszczy. Emily objęła rączkami Bena, bojąc się brata.

Oblicze Sama zmieniło się w jednej chwili - to, co jeszcze przed chwilą pozostało z chłopca, zastąpiła beznamiętna twarz zimnego zabójcy.

- Uciekaj, Emily! - Ben spojrzał na dziewczynkę.

Puściła jego dłoń i postąpiła niepewnie parę kroków w stronę Złamanego Skrzydła i pani Zimmerman.

- Uciekaj!

Odwróciła się i pobiegła ku nim.

Ben odwrócił się do Sama.

- Sam?

Twarz, która wyczerała się pod strzaskaną kością czerepu wciąż była nieruchoma i bez życia.

- Nie Sam, już nie - wyszeptała istota, robiąc kilka kroków w stronę Bena.

Ben usłyszał, jak z tyłu za nim Złamane Skrzydło woła:

- Chodź! Lambert!

Ben machnął ręką.

- Uciekajcie! Idźcie, do cholery!

Istota na wprost niego przyjrzała się długiemu nożowi w ręku Bena i się uśmiechnęła.

- Sam - rzekł cicho. - Pozwól jej odejść. Złamane Skrzydło zabierze ją do Szoszonów; oni się nią zaopiekują. Będzie bezpieczna.

Istota pokręciła głową.

- Nie Sam. Jestem aniołem - powiedziała delikatnie, jedną ręką poklepując płócienny woreczek przytroczony do pasa. Ben usłyszał cichy grzechot, kiedy worek się zakołysał.

- W tym worku, Sam? Czy to coś, co miał Preston? Czy to właśnie znajdowało się w jego skrzyni?

Istota wysiliła się na uśmiech.

- Postanowiłem go opuścić. Wybrałem Sama.

Ben usłyszał trzask łamanych gałęzi odbijający się echem od drzew gdzieś z tyłu. Tamci uciekali. Im dłużej zdoła zatrzymać Sama, tym większą mają szansę..

- Ty *jesteś* Sam - odparł. - Zdejmij tę czaszkę... zdejmij te kości.

- Wskazał na płócienny worek. - Odwiąż to od pasa... pozbadź się tego, Sam. Te rzeczy mącą ci umysł, zmieniają cię w coś, czym nie jesteś.

To stało przed nim w milczeniu. Jedyne oko, jakie widział Ben, nie patrzyło już ponad jego ramieniem na tamtych. Zniknęli mu z oczu. Nie było ich już widać.

- Znam cię, Sam. Zanim wydarzyły się te okropne rzeczy, ty i ja... byliśmy przyjaciółmi. I nadal możemy nimi być, jeżeli tylko zdejmiesz te kości i pozbędziesz się ich.

To jakby z zadziwieniem przekrzywiło głowę w bok.

- Sam mówi mi, że kiedyś bardzo chciał być tobą - wysyczał głos. - Chciał być taki jak ty.

Ben spojrzał na długie, ząbkowane ostrza przytroczone do dłoni, gdy palce poruszyły się i zeszlifowane kości zgrzytnęły jedna o drugą. *Potnie mnie tym cholerstwem na kawałki*, pomyślał.

- Posłuchaj, Sam - rzekł, czując nagłą suchość w ustach. - Coś bardzo złego znalazło drogę do twojego wnętrza i zagnieździło się w twojej głowie. Coś naprawdę złego. Ale możemy sprawić, że odejdzie.

- Sam już nie słucha - zasyczała istota. - Musi odpocząć.

Ben spojrzał w oczy tego, jedno, które widział wyraźnie, i drugie błyszczące w ciemnym oczodole czerepu.

- Mogę porznać cię na kawałki jak tamtych. - Istota postąpiła kolejny krok w jego stronę.

- Nie zbliżaj się!

Błyszczące, niewidoczne oko taksowało go przez chwilę.

- Wydajesz się dobrym człowiekiem.

Ben nie odpowiedział, trzymając nóż Keatsa przed sobą, patrzył, jak istota robi następny krok ku niemu. Dzieliła ich już tylko odległość trzech metrów.

- Nie zbliżaj się!

- Wydajesz się dobrym człowiekiem, masz miłość w sercu.

- Ty również, Sam.

- Mówiłem, Sama teraz tu nie ma.

- Pozwól mi znów z nim pomówić.

- Nie.

- Sam? Sam, odezwij się do mnie.

- Nie ma go tu. - Istota postąpiła jeszcze jeden krok naprzód.

Ben się cofnął.

- Sam! Na miłość boską, ocknij się!

To przystanąło, lekko przekrzywiając głowę w bok i nasłuchując przez chwilę.

- Sam? Czy to z Samem rozmawiasz?

Anioł zignorował go i wciąż nasłuchiwał.

- Sam, jesteś tam?

Anioł pokręcił głową.

- Nie, ja wciąż tu jestem, ale... Sam poprosił mnie, abym coś ci przekazał.

- Co takiego?

To było szybkie. Z płynną gracją pokonało resztę dzielącego ich dystansu - ruch był tak błyskawiczny, że prawie niedostrzegalny, jak rozmyta w powietrzu smuga, reakcja Bena była spóźniona i powolna. Atak był wymierzony w górne partie ciała - w klatkę piersiową i w gardło. Zanim zdążył zorientować się, co zaszło, Ben wylądował na kolanach, ze spuszczonego wzrokiem, wpatrując się w strugi ciemnej czerwieni zalewającej śnieg tuż przed nim. Nóż Keatsa znalazł się na ziemi, a w chwilę potem Ben podparł się na rękach, gorączkowo usiłując nadażyć za rozwojem wydarzeń.

Boże... ja umieram.

Anioł przykucnął, tak że strzaskana szczeka długiego czerepu znalazła się o parę centymetrów od jego twarzy. To zsunęło czaszkę - maskę do tyłu i rzuciło na ziemię.

Ben spojrzał na młodzieńcze oblicze Sama, ubrudzone ziemią i plamkami krzepnącej krwi od małych odłamków kości, które kilka minut temu eksplodowały mu prosto w twarz. To było oblicze Sama nie dalej niż tydzień temu przepełnione beztróskimi, nieroztropnymi marzeniami typowymi dla nastolatków. Teraz wyglądało na zubożałe, beznamienne, pozbawione wyrazu, jeszcze bardziej przerażające niż leżący na ziemi czerep z kości.

Benowi zakręciło się w głowie. Krew chlustająca z jego gardła uchodziła z jego ciała błyskawicznie, a wraz z nią uchodziło zeń życie.

- Sam poprosił, abym powiedział ci, że cię lubił. Byłeś jego ulubieńcem.

Ben przewrócił się na bok i natychmiast poczuł na twarzy chłód lodowatej ziemi. Anioł przestąpił go i odszedł, puszczając się w pościg za tamtymi. Po chwili wokół zapanowała cisza, jeśli nie liczyć łoskotu rzeki i szelestu gałęzi kołysanych wiatrem. Patrzył, jak nagie gałęzie i konary falują rytmicznie, i spokojnie chłonał ten widok, napawając się nim

w ostatnich momentach życia.

Aż w końcu, jakby już na zakończenie, złątał sam siebie w duchu, że wbrew temu, co obiecał, nie zdoła przywieźć pełnego przygód dziennika do domu, do matki.

Rozdział 85

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Rose zadrżała, siedząc na szorstkiej drewnianej podłodze obok niego.

- Zmarzłam. - Otuliła kurtką nogi i jeszcze mocniej podciągnęła ją do piersi.

- Dziś będziemy musieli pozostać tutaj na noc.

- A jutro?

- Myślę, że jutro, jeśli będziemy trzymać się rzeki, prędzej czy później na kogoś się natkniemy.

Rose z zimna szczykała zębami.

- Nie znajdą nas tu?

Julian nie był pewien, czy to pytanie, czy może raczej stwierdzenie.

- Nie... nie ma mowy, żeby nas znaleźli.

- Ja... po prostu... nie mogę uwierzyć... że tak po prostu zastrzelili Grace.

- Wiem.

- Jules, jeszcze nigdy tak się nie bałam.

- Wiem, wiem, ale myślę, że teraz wszystko już będzie dobrze - powiedział, ściskając ją za ramię. - Zgubiliśmy ich. Kiedy tylko złapię sygnał w moim cholernym telefonie, zadzwonimy do kogoś, na policję, do gazet... i powiemy im, co się stało. A wtedy on będzie skończony.

Znosili narastający chłód w milczeniu, wsłuchując się w delikatny szum wiatru igrającego z luźnymi rzeczami, które wałały się w obozowisku, i w szczykanie zębów ich obojga.

- Co my tu właściwie odnaleźliśmy, Jules?

- To znaczy?

- Ta historia... odnoszę wrażenie, że jest bardziej złożona, niż sądziliśmy. Nie rozumiem, dlaczego Shepherd to robi. Ryzykuje wszystko przez jakiegoś starego trupa w szafie?

- Może ma własnego trupa w szafie, którego chce się pozbyć - odparł.

- Tak uważasz?

Julian wzruszył ramionami.

- Kto wie? Myślę, że śmiało możemy powiedzieć, iż facetowi odbiło.

- Tak jak jego prapradziadkowi.

- Skoro tak mu zależy, aby ujrzeć nas martwymi, może zdarzało mu się już wcześniej zabijać? Kto wie, co on chowa w swojej piwnicy... no, wiesz, o co mi chodzi.

- A co z Człowiekiem w Łachmanach? Co z Lambertem?

- Nie wiem, Rose. To może nie mieć żadnego związku z Shepherdem. A więc ten facet przeżył? I co z tego? Obecnie mamy na karku cholernego porąbanego kaznodzieję, kandydata na prezydenta, który ściga nas wraz ze swoim płatnym zabójcą. Będę wobec ciebie szczery, w chwili obecnej właśnie to martwi mnie najbardziej.

Zadrżała.

- Chcesz się przytulić? Zimno mi.

- Dobra. - Julian objął ją ramieniem i przytulił. Rose westchnęła, z jej ust przy każdym wydechu wypływały białe obłoczki.

- I pomyśleć, że ktoś taki mógł zostać następnym prezydentem.

- To przerażająca myśl.

- Tak - rzekła z zamyśleniem Rose. - A dla nas jeszcze jeden ważki powód, abyśmy wydostali się z tych gór z ży...

Julian schwycił ją za rękę.

- Au!

- Cii!

- Co jest? - szepnęła.

- Wydawało mi się, że coś usłyszałem.

- To pewnie wiatr albo...

Ścisnął ją mocniej za ramię. Zrozumiała i zamilkła. W chwilę później usłyszeli to pośród odgłosów śmieci unoszonych wiatrem. Zrazu ciche, ale z wolna przybierające na sile - kroki i głosy dwóch zbliżających się mężczyzn.

- O, cholera, o, cholera - szepnęła Rose. - Jak oni nas tu znaleźli u licha?

Julian pokręcił głową.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

To było niemożliwe, chyba że...

Chyba że podłożyli któremuś z nas lokalizator.

Ale przecież nie mieli przy sobie nic, prócz ubrań, które nosili, i...

I mego cholernego blackberry.

*

Carl spojrzął na niewielki ekran.

- Tu, w tym baraku, jak sądzę - rzekł półgłosem. - Tak, na pewno tu są.

Wyjął coś z plecaka i przy wtórze cichego szcęknięcia zamontował to na swoim pistolecie. Z urządzenia popłynęło zielonkawe światło.

- To dość długi budynek. Pójdę pierwszy - rzucił cicho Carl. - Przeczeszemy go od końca do końca. Niech pan trzyma się kilka metrów za mną, panie Shepherd.

- Rozumiem.

- Czy umie pan posługiwać się bronią palną? - zapytał, wskazując na sztucer, który trzymał Shepherd.

- Zdarzało mi się już w przeszłości strzelać ze sztucera.

- Świetnie. Tylko niech pan opuści lufę do dołu. Dopóki nie zawołam, że potrzeba mi wsparcia ogniowego.

Shepherd westchnął.

- Mamy do czynienia z dokumentalistą telewizyjnym i operatorką kamery.

Carl odwrócił się do niego.

- Z całym szacunkiem, mamy do czynienia z dwojgiem ludzi, którzy widzieli śmierć swojej przyjaciółki. Będą walczyć albo uciekać. Tak czy owak, musimy być gotowi, aby ich rozwalić.

Shepherd zamyślił się przez chwilę.

- Tak, masz rację, Carl. Idziemy?

Carl zrobił krok w stronę wejścia do baraku, pistolet z zamontowanym na nim noktowizorem trzymał przed sobą, w drugim ręku zaś ścisnął lokalizator, który wciąż podawał odległość, teraz jednak już zaledwie w dziesiątkach metrów. Wszedł do chaty, a podeszwy jego butów zaskrzypiały na suchej, drewnianej podłodze. Shepherd patrzył, jak tamten obraca się energicznie to w jedną, to w drugą stronę, przepatrując kąty i zaglądając w każdy zakamarek.

- Czysto - rzucił oschle. - Pomieszczenie pełne starych drewnianych prycz. Dwa rzędy pod dwiema ścianami, na końcu baraku żelazny piecyk i jakieś szafki. Sygnał dochodził z przeciwległego końca.

Ruszył dalej, przejściem pomiędzy rzędami prycz. Shepherd stanął w progu baraku. To było jedyne wejście i wyjście z budynku - a więc równie dobrze mógł zająć pozycję przy drzwiach.

Ukląkł z boku przy wejściu, przykładając kolbę sztucera do ramienia i wyobrażając sobie, tak jak mówił mu Carl, że jest prawdziwym żołnierzem przeczesującym dom po domu w jakimś zaułku w Bagdadzie.

Uśmiechnął się w ciemność.

To niezła zabawa.

- Najpierw sprawdzę z tej strony - szepnął Carl, lustrując przez noktowizor okolice najbliższych prycz i żelaznego piecyka. Przykucnął i zajrzał pod dolną pryczę. - Sygnał dochodzi stąd... ale nikogo nie widzę.

Shepherd postanowił wypłoszyć ich z kryjówek.

- Julianie! Rose! Wiemy, że tu jesteście! Mielicie w telefonie założone urządzenie namierzające. Przykro mi, ale nie ma dla was ucieczki. Najlepiej sami stamtąd wyjdźcie.

Odpowiedzi nie było. Podmuchy wiatru łomotały okiennicą świetlika w sąsiednim baraku.

- Czemu nie chcecie wyjść? Wolałbym uniknąć dalszego rozlewu krwi, o ile to możliwe.

Nic.

- Grace to był wypadek. Carl zareagował za szybko, za nerwowo. Nie powinien był jej zabijać. Naprawdę przykro mi, że tak się stało. - Shepherd wstrzymał oddech i wsłuchał się uważniej w delikatne odgłosy dochodzące z wnętrza chaty... popiskiwanie i skrobanie szczura, łagodny szum wiatru wśród belek stropowych... i, tak, teraz to usłyszał, nerwowy, urywany oddech kogoś, kto próbował zachowywać się bardzo cicho. - Wyjdźcie. Musimy przedyskutować parę spraw. Zawrzeć dogodny układ.

Carl postąpił jeszcze kilka kroków naprzód, przepatrując przez noktowizor przestrzenie między rzędami mijanych prycz.

- Źródło sygnału znajduje się o dziesięć metrów ode mnie, dokładnie na wprost.

Shepherd stłumił w sobie nerwowy chichot. To będzie aż nazbyt zabawne.

- A wiecie co? Skłamałem. Oboje umrzecie. Może zabiję was szybko, a może postanowię najpierw trochę się zabawić. To zależy od tego, jak bardzo mnie teraz wkurzycie.

Shepherd wyteżył słuch, gdy ucichły ostatnie wibracje jego głosu. Usłyszał ten przyspieszony, nerwowy, przepełniony trwogą oddech.

Carl zrobił jeszcze kilka kroków, obracając się gwałtownie to w lewo, to w prawo.

- Jestem prawie tuż przy źródle sygnału. Ale nikogo nie widzę.

- Jedno z nich musi tu być. Nie słyszysz, jak oddycha? To młoda kobieta.

Carl nasłuchiwał.

- Nie, nic nie słyszę. - Spojrzał na ekran urządzenia lokalizacyjnego. - Źródło sygnału jest na lewo ode mnie, między dwiema pryzcami.

Carl postąpił jeszcze parę kroków naprzód i przykucnął, by zajrzeć pod pryzcę po obu stronach, aż w końcu dotarł do miejsca, skąd dochodził sygnał. Wskaźnik na ekranie podawał odległość: dwa metry. Przez noktowizor ujrzał coś, co leżało na podłodze.

- Cholera! - warknął gniewnie.

To był palmtop. Ukląkł, by go podnieść.

- Te skurwiele zostawiły telefon i zwiały.

- Nie! - Zawołał od progu Shepherd. - Słyszę ją... jej oddech. Musi tu być.

Carl wstrzymał oddech i nasłuchiwał przez chwilę. Nic nie wychwytał. Sięgnął po komórkę i nagle coś usłyszał, łagodny szept wypuszczanego powietrza i nagle poruszenie tuż obok siebie. Skierował noktowizor w lewo, by zobaczyć jeszcze rozmytą, niewyraźną plamę czegoś, co poruszyło się jak błyskawica i zerwało się z górnej pryzcy tuż przy nim. Usłyszał przyprawiające o mdłości, przeszywające chrupnięcie, przed jego oczyma zawirowały gwiazdy, a w uszach rozległ się świst i ogłuszający biały szum - w taki sposób jego umysł zareagował na traumatyczny wstrząs. Palec Carla zacisnął się konwulsyjnie na spuście i oddał sześć szybkich strzałów, jeden po drugim.

*

Julian poczuł silne uderzenie w udo. Usłyszał trzask pękającej kości udowej.

- Rose! Wynoś się stąd! Uciekaj! - krzyknął, puszczając drewniany trzonek i patrząc, jak Barns osuwa się na podłogę z wielkim, zardzewiałym hakiem wbitym w potylicę; z ust Cooke'a przy każdym gwałtownym, lecz płytkim oddechu wypływały białe obłoczki.

Usłyszał tupot i szuranie stóp na drewnianej podłodze, ktoś się zbliżał. Zaraz potem dobiegł go pisk i cichy krzyk Rose dochodzący z drugiego końca ciemnej chaty - rozległy się odgłosy zażartej szamotaniny i rozpaczliwe, zduszone krzyki jego partnerki. A potem głuchy łomot.

Chryste, nie!

Julian, próbując przezwyciężyć ból w nodze, powoli podźwignął się z pryzcy.

- Rose? - zawołał.

Cisza.

- Rose!

Krzywiąc się z bólu, zdołał zwiesić nogi poza drewnianą krawędź pryzcy i zsunąć się na podłogę. W słabym, widmowym świetle płynącym z urządzenia w drżącej konwulsyjnie dłoni Barnsa Julian ujrzał metaliczny błysk czegoś gładkiego, co leżało na podłodze - to był

pistolet tamtego.

Kiedy po niego sięgnął, wszystko wokół niego spowiała czerń.

Rozdział 86

Niedziela

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Młoda kobieta płakała, nie spuszczać wzroku z pistoletu. Cooke leżał obok niej w kałuży krwi z rany na głowie, był nieprzytomny. Oddychał głośno, wydychając bąble powietrza w kałużę własnej posoki.

Spojrzał na Carla. Mężczyzna z pewnością nie żył. Szkoda. Był wyjątkowo oddanym i użytecznym akolitą.

William Shepherd siedział na pryczy pogrążony w milczącej kontemplacji, pistolet Carla trzymał w dłoni opartej o udo, mniej poręczny sztucer leżał na łóżku obok niego.

- C-c-co chce... p-pan zrobić? - wychlipała kobieta.

Shepherd przyłożył palec do ust.

- Ciii.

Potrzebował ciszy, aby przemyśleć parę spraw. Musiał rozważyć wiele czynników, oszacować ryzyko. I pomyśleć logicznie, zanim zrobi coś, czego nie da się już odwrócić.

Na co czekasz?

Głos w jego głowie był bardzo donośny, prawie nieprzyjemny.

- Muszę się zastanowić - odparł na głos Shepherd.

Zabij ich.

- Czy to konieczne? - zapytał i nagle uświadomił sobie, że powiedział to głośno...

Czy to konieczne? Jestem pewien, że ich milczenie dałoby się kupić.

A jeżeli nie?

Wiem, to ryzykowne. - Pokiwał głową. - Ale nie jestem gotowy, aby ubrudzić sobie ręce ich krwią.

Już to zrobiłeś.

Wcale nie. Carl przekroczył swoje kompetencje. Zabił bez potrzeby.

Głos zaśmiał się niemiło.

To prawda. Nigdy nie kazałem mu zabijać. Zażądałem tylko, żeby...

Posprzątał?

Shepherd się skrzywił. Owszem, użył takiego zwrotu, pozostawiając jego interpretację Carlowi, choć doskonale wiedział, co oznaczał. Ten człowiek był oddany do bólu, tak że bez wahania przyjąłby na siebie kulę przeznaczoną dla niego. W głębi serca Shepherd wiedział, że zanim sprawy zostaną należycie uporządkowane, gdzieś tam umrze kilkoro ludzi.

Już masz na rękach krew.

Nigdy nikogo nie zabiłem. Jestem człowiekiem wiary.

Jesteś człowiekiem z ambicjami. I właśnie dlatego tu jestem.

Pragnę jedynie wypełnić wolę Bożą.

Wobec tego oni muszą umrzeć.

Shepherd przeniósł na nich wzrok. Głos miał naturalnie rację. Pieniędzmi na pewno by ich nie uciszył. Groźbą, być może... ale nie mógł ryzykować.

Nie. Jeżeli chcesz tego, czego pragnie twoje serce, musisz zabić.

Jego dłoń zacisnęła się na kolbie pistoletu, ale oparł się pragnieniu, by wycelować i pociągnąć za spust.

Zastanawiam się, czy jesteś dobrym człowiekiem.

Jestem.

Zastanawiam się.

Tyle tylko...że... jeszcze nigdy nikogo nie zastrzeliłem.

A na pewno nie w taki sposób, z zimną krwią, z tak bliska, że niemal słyszał bicie jej serca. Aby zabić kogoś z takim rozmysłem, potrzeba naprawdę niezłomnej woli. Byłoby łatwiej, gdyby próbowała uciekać albo stawiała opór, ale tak?

Właśnie po to potrzebujesz mnie.

Dłoń Shepherd'a mocniej ścisnęła pistolet.

Jestem tym, czego potrzebujesz.

To znaczy?

Silą, Williamie Lambert. Silą.

Lambert. Nie używał tego nazwiska od bardzo dawna, odkąd jako młody chłopak został kaznodzieją. Zawsze wołał panięskie nazwisko matki, Shepherd, jako bardziej adekwatne do powołania. Co więcej, jego ojciec i dziadek starali się, by ich rodowe nazwisko nie było szeroko znane i kojarzone, aby nie pojawiało się na łamach dzienników i błyszczących plotkarskich czasopism.

Mam tyle siły, ile potrzebuję.

Tak? Wobec tego skończ to.

- Bóg... wcale ode mnie tego nie żąda - wykrztusił. - Nie, jeżeli pragnie, bym rozgłosił

wszem wobec Jego słowo. Nie mogę tego uczynić, mając na rękach krew.

Rose zdusiła w sobie krzyk, kiedy usłyszała te słowa.

Możesz.

Cooke zaczął poruszać się powoli na podłodze.

Pospiesz się. Mężczyzna odzyskuje przytomność.

Bóg nie może tego ode mnie żądać.

Owszem. Tak. On chce ich śmierci. Chce, abyś doprowadził świat do niego. A ja mam ci w tym pomóc.

- Nie. Nie jestem pewien...

Tak! Bóg posłał mnie do ciebie. A teraz zrób to!

Skoro chce ich śmierci, niech sam to zrobi.

Głos umilkł.

Cooke z wysiłkiem otworzył oczy i jęknął. Spojrzał z ukosa na Shepherd'a.

- Gdzie moje okulary? - wybełkotał niezbyt wyraźnie.

- Julian - syknęła Rose, nie spuszczać oczu z Shepherd'a. - Cii, nie ruszaj się, Jules.

William Shepherd się odwrócił, by spojrzeć na postrzępiony płócienny worek leżący tuż obok niego na pryczy. Sięgnął po niego, dotykając małych, jakby dziecięcych kości przez szorstki, wyświechtany materiał.

- Tam w środku jest anioł - rzekł półgłosem do Rose i Juliana. - Prawdziwy anioł.

Rose potulnie pokiwała głową.

- Potrzebujemy go - wyjaśnił cichym, beznamiętnym tonem. - Potrzebujemy go, by odczytał słowa.

Julian wciąż mrużył oczy, próbując zrozumieć, co się dzieje.

- Otóż to - wyszeptala zachęcająco Rose. - Potrzebujemy go.

Zignoruj tę sukę! Zrób to!

Shepherd pokręcił głową, nerwowy ruch wyglądał bardziej jak tik.

Nie. Nie mogę.

Nie mógł zamordować z zimną krwią dwojga ludzi, a w następnej chwili wziąć w okrwawione dłonie najświętszą na świecie relikwię. Bóg nie mógł tego żądać, nie mógł chcieć, by...

Zrób to!

Powoli, z wysiłkiem uniósł pistolet z podłoka.

- Shepherd! - zawołał Julian. - Przestań! Złapałem wcześniej sygnał... Mam sygnał!

Shepherd się zawahał.

- Zadzwoiłem!

Tamten wycelował w Cooke'a.

- Zadzwoiłem, Shepherd! To wystarczy, by cię pogrzyć - rzekł Julian. - Podałem dość informacji, by prasa zaczęła wokół ciebie węszyć. - Zniżył głos, nadając mu możliwie jak najbardziej zrównoważony i spokojny ton. - To wystarczy, by zniweczyć twoją kampanię. Już po wszystkim. To koniec.

Zrób to.

Palec Shepherd'a oparł się na spuście.

- Zaczekaj! - krzyknął Julian, unosząc ręce w górę. - Posłuchaj! - Pistolet wciąż w niego mierzył, palec na spuście drżał nieznacznie. - Posłuchaj... chodzi o to... że nigdy dotąd nikogo nie zabiłeś, zgadza się? To Barns robił to za ciebie. Nie ty. Widzieliśmy to.

Głos w jego głowie umilkł.

- To, co stało się z Grace, przyznaję... paskudna sprawa. Ale nie ty ją zabiłeś, tylko Barns - ciągnął Julian. - Rozumiesz? Opuść broń. Rose i ja wciąż możemy ci pomóc.

Shepherd patrzył na niego bez słowa, nadal mierzył weń z pistoletu, ale jego dłoń wyraźnie drżała.

- Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem - wyszeptał Julian. - Wiem, że pragniesz głosić Słowo Boże - dodał, zerkając z zaciekawieniem na lniany, postrzępiony worek na pryczy i wysilając się na uśmiech, mimo przeszywającego bólu w nodze. - To szlachetne. Ta historia... to, co wydarzyło się tu dawno temu... to już przeszłość. Było, minęło. Nie jesteś Prestonem. Nie jesteś zły. Po prostu to wiem.

Dłoń Shepherd'a trzęsła się coraz bardziej.

- Do kogo zadzwoniłeś?

- Nie powiem - odparł Julian, usiłując zachować niewzruszoną postawę. - Wiesz, że byłbym idiotą, gdybym ci to wyznał.

- Co powiedziałeś?

- Wystarczająco dużo.

- Co powiedziałeś?

- Dość, aby przedstawić cię jako nazbyt... niezrównoważonego, abys mógł brać dalszy udział w kampanii.

Shepherd gniewnie przygryzł wargę. Lufa broni podrygiwała nerwowo w górę i w dół.

- Niech cię szlag! - warknął. - Pieprzę cię!

- Ale... to nie morderstwo! Posłuchaj, Shepherd! Podkopałem twoją reputację, jasne? Zapomnij o Białym Domu - to koniec. Musiałem zadzwonić. Ale zrozum, nie będziesz

oskarżony o zabójstwo. Przynajmniej na razie.

Shepherd przeniósł wzrok z pistoletu na worek kości leżący obok niego.

- Nie wiesz, co narobiłeś - wysyczał gniewnie.

Ten człowiek cię zrujnował?

Shepherd skrzywił się, słysząc ponownie ten głos.

- Błagam, opuść broń - ciągnął Julian. Wskazał na lniany worek. - Tam jest przesłanie.

Możemy nadal pomóc sobie nawzajem.

Rose skinęła energicznie głową.

- Możemy pomóc ci głosić Słowo.

Ten człowiek cię zrujnował?

- Proszę. - Julian powoli wyciągnął rękę. - Opuść broń... proszę.

Pistolet w jego dłoni wydał się teraz wyjątkowo ciężki i stawał się cięższy z każdą mijającą sekundą. Zaczął opuszczać broń. Głos jednak powrócił, gniewny i piskliwy.

Bóg nie ma z ciebie żadnego pożytku, Williamie.

Co?

Jesteś żaloszny.

Oddałem całe moje życie Bogu.

Ale teraz jesteś dla niego bezużyteczny.

Proszę, pozwól, bym udowodnił, że jestem Go godzien.

Dobrze. Wobec tego zabij się.

Przekrzywił głowę i spojrzał w ciemność, jego zmęczony umysł był jeszcze bardziej skonsternowany tym nagłym żądaniem. Ostatni sprawdzian wiary... tak... potrafił to zrozumieć. Jako że miał przed sobą w perspektywie najważniejsze dzieło w historii ludzkości, to brzmiało całkiem sensownie. Jak najbardziej sensownie.

- Dobrze - wyszeptał i powoli uniósł broń.

- Shepherd - zawołał Julian. - Co robisz?

Skierował pistolet ku swojej twarzy.

- Wiesz, że uczyniłbym to dla Niego - rzekł półgłosem. - Powiedziałem, że zrobiłbym dla Niego wszystko. - Włożył krótką lufę pistoletu do ust i zacisnął wargi na kanciastym metalowym kształcie.

Wiesz, że uczyniłbym to, gdyby tego ode mnie zażądał.

Zabij się.

Shepherd posłusznie położył palec na spuście i zaczął delikatnie wzmacniać nacisk.

Widzisz? Zrobiłbym to, gdyby On tego zechciał. Jestem gotowy na wszystko... nawet

aby umrzeć dla Pana, jeśli taka jest Jego wola. Czy to rozumiesz?

Wiedział, że Bóg powstrzymał kiedyś w ostatniej chwili Abrahama przed złożeniem jego syna w ofierze i że patriarcha był naprawdę gotów to uczynić, by dać dowód swego oddania. Shepherd wiedział, że jego Bóg też by powstrzymał, ale tylko jeśli w tej próbie wykaże prawdziwą szczerą intencję.

Shepherd, mając to na uwadze, nieco mocniej ściągnął spust.

Zrobiłbym wszystko... czy to jest jasne i oczywiste? Bóg postąpił słusznie, wybierając mnie. Bóg postąpił słusznie, doprowadzając mnie tutaj.

Nacisk się wzmógł.

Czy ty to widzisz?

Jeszcze bardziej.

Boże? Czy naprawdę tego właśnie chcesz?

Wyjątkowo czuły spust w pistolecie Barnsa przedwcześnie odpowiedział na to pytanie.

Rozdział 87

27 kwietnia 1857

Jestem teraz sam. W końcu wymyśliłem, jak mam uciszyć ten głos w swojej głowie. Umieściłem go na powrót w skrzyni, razem z płytami.

Ale jestem sam.

Uniósł wzrok znad dziennika, który trzymał na podolku. Jego staranny charakter pisma ostro kontrastował z dziecięcymi gryzmołami Bena na poprzednich stronach. Śnieg w całym obozie topniał w ciepłych promieniach słońca. Było na tyle ciepło, że siedział bez koszuli na kocach rozłożonych na ziemi, rozkoszując się promieniami słońca grzejącymi go w plecy.

Śnieg wciąż jeszcze zalegał, sporymi, brejowatymi splachetkami, ale w miejscach, gdzie nie był tak gruby, widać było ciemną, rozmytą, błotnistą glebę.

Smród w tym miejscu staje się nie do zniesienia napisał.

Na ziemi, pośród błota i śniegu walały się gnijące, obrzmiałe ciała zarówno wołów, jak i ludzi. Mięso zwierząt było całkiem zepsute i nie nadawało się już do jedzenia.

Dostrzegł wśród błotnistych kałuż twarze ludzi, których kiedyś znał - Jeremiaha Stolheima, Sophii Lester, Aarona Hollandera - teraz jednak ich oblicza były spuchnięte, fioletowe i anonimowe.

Anioł zabił tak wielu z nich. Wrócił w to miejsce i zabił ich wszystkich. Próbowałem go powstrzymać, ale on nie słuchał. Chciał ukarać ich wszystkich dla przykładu.

Dłoń Sama przestała przesuwac się po papierze, przy wtórze cichego skrzypienia, kreśląc na kartce kolejne słowa. Przed świątynią, obok niego znajdowały się pewne przedmioty ułożone starannie przy ognisku jak drewno opałowe. Jego wzrok przez moment zatrzymał się na tych obiektach - zbyt upiornych, aby zechciał o nich napisać.

Gniew anioła był nieokiełznany.

To, czego dokonał po powrocie do obozu... Sam zdołał wymazać z pamięci lub przynajmniej przyćmić większość tych wspomnień: wrzasków, paniki towarzyszącej rzezi. Wszystko, co pozostało, a co gniło teraz na topniejącym śniegu, było jedynie tej masakry pokłosiem.

Teraz, kiedy już go nie ma, na własne oczy widzę okropne rzeczy, jakie zrobił z ciałami. Na własne oczy widzę głowy ułożone starannie w stos. Na własne oczy widzę rany cięte, ślady na skórze, strach malujący się w tych obrzmiałych martwych twarzach. Teraz wiem już, czym jest ten anioł.

Spojrzał w stronę świątyni. Konstrukcja z bali, niewspierana już wokół podstawy przez zbity, naniesiony wiatrem śnieg, przechyliła się w bok i wszystko wydawało się dziwnie przekrzywione. Wewnątrz świątyni anioł był bezpiecznie zamknięty w metalowej skrzyni Prestona.

Była taka noc, jedna, wyjątkowa noc pod koniec grudnia, kiedy spożywał samotnie zamrożone mięso w zatechłym, ciemnym wnętrzu swego szałas, kiedy przepelniający go smutek i żal oraz dręczący głos anioła okazały się nie do wytrzymania. To było ponad jego siły. Odwiązał worek od pasa, wszedł chwiejnym krokiem do świątyni i gdy podejrzliwy, przejmujący głos zaczął wykrzykiwać w jego umyśle oskarżenia, otworzył skrzynię i wsunął worek do środka.

Od tamtej pory nie odważył się wejść do pochylonego szałas.

Wiedział, że gdyby to zrobił, usłyszałby ponownie szept anioła, domagającego się, aby go wypuścił.

Myszę, że teraz już wiem, czym jest ten anioł.

To mrok w naszych sercach spotęgowany po tysiącokroć i tysiącokroć gorszy.

To miało sens, w okrutny, bezlitosny sposób. Wydawało mu się zrozumiałe, że właśnie te kości strzegły bezcennych płyt z zapisem prawdziwego przesłania Boga. Zrozumiał, że były one swego rodzaju sprawdzianem czystości... i intencji. Tak jak szkło powiększające skupia promienie słońca, tak też kości anioła działały na duszę człowieka.

Rozpacz Sama po stracie Emily, jego gniew zostały przez anioła zmienione w burzę gniewu, który wyładował na nieszczęśnikach pozostałych nadal w obozie.

Teraz już wiem, że to debrze, że Emily mnie opuściła. Że uciekła z Indianinem i panią Zimmerman. Obawiam się, że gdyby tak się nie stało, mógłbym odnaleźć jej głowę wśród pozostałych.

Spojrzał w górę na niebo, czyste, błękitne, zwiastujące pogodny, ciepły dzień. Postanowił, że właśnie dziś opuści to miejsce. Jeszcze jedna noc w tym opuszczonym obozie i zapewne do reszty postradałby rozum. Spojrzał na wolne miejsce na ostatniej stronie dziennika Benjamina Lamberta. Ostatnia strona była ciemna od nowego atramentu, którego butelkę odkrył kilka dni temu, buszując w jednym z szałasów.

Przeczytałem wszystkie zapiski sporządzone przez Benjamina. Ze wszystkich złych

rzeczy uczynionych przez anioła najgorszą było zabicie Lamberta. Był moim przyjacielem. Był dobrym człowiekiem.

Sam zastanawiał się, do jakiego stopnia wszystko by się zmieniło, gdyby anioł wybrał Bena zamiast niego. Jego serce wydawało się najczystsze. To doprawdy okrutny żart, stwierdził, że człowiek najbardziej godny, by realizować Boże dzieło, mężczyzna czystego serca i zdolny, by wykorzystać wpływ anioła, aby czynić dobro, był jedynym w ich grupie, który nie wierzył w Boga.

Sam miał życzenie.

Chciałbym być taki jak Ben. Chciałbym być nim.

Pojedyncza łza spłynęła po zapadniętym policzku i skapnęła na sam dół strony, tworząc rozmytą kropkę, kończącą napisane przez niego ostatnie zdanie. Spojrzał na swoje zapiski, „Świadectwo Samuela Dreytona”, i zdał sobie sprawę, że to, czego pragnął najbardziej, może się spełnić. Samuel Dreyton mógł, a może nawet powinien umrzeć, a Ben ożyć na nowo. Sam uświadomił sobie, że przede wszystkim musi zniszczyć napisane przez siebie strony.

Wyrwał kartkę z dziennika i cisnął w kałużę błocka i rozmytego śniegu.

- Mam na imię... Ben - wychrypiął łamiącym się głosem, brzmiącym jak głos starca.

Podniósł się, przeraźliwie chudy i niepewny, czy zdoła oddalić się choćby na kilometr od tego miejsca, zanim padnie trupem, a co dopiero mówić o dotarciu do cywilizacji. Włożył dziennik do skrzyni Benjamina i zabezpieczył ją skwapliwie, jak ktoś składający do ziemi ciało najdroższej osoby.

- Mam na imię Benjamin - wyszeptał.

Kiedy opuścił polanę i wszedł między drzewa, po raz ostatni obejrzał się przez ramię na brązowawe kopyły z zeschniętych gałęzi jedliny, które jeszcze niedawno były szalaszami dla grupy ludzi mających przetrwać w nich przedwcześnie nastalą zimą.

- Nazywam się Benjamin Lambert - wychrypiął raz jeszcze i ruszył w głąb puszczy, kierując się na zachód.

Rozdział 88

Poniedziałek

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Niebo nad nimi było szare jak ołów i zachmurzone, kiedy brnęli niezdarnie wzdłuż mulistego brzegu łagodnie szemrzającej, płynącej leniwie rzeki. Woda wydawała się czarna jak atrament i przepływała obok nich gładko i spokojnie, wskazując drogę na zachód, ku zejściu z gór, ku bezpieczeństwu.

- Cholera, błagam, potrzebuję chwili odpoczynku! - wyszeptał Julian.

Rose pomogła mu wyciągnąć się na ziemi.

- A niech to szlag! Cholera! - zawołał. - Ależ mnie boli noga!

- Jest złamana w kilku miejscach - rzekła Rose. - Chyba słyszałam zgrzytnięcia kości.

Krzywiąc się, położył się na wznak wśród wysokich traw, spoglądając w górę ku niebu. Było zasnuwane gęstymi, zimowymi chmurami, zwiastującymi rychłe opady śniegu, które mogły zacząć się praktycznie w każdej chwili.

- Tak, dzięki, że mi o tym powiedziałaś, Rose. Sam doskonale czuję, jak zgrzyta, niech to szlag! - wycedził przez zęby.

Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem.

- Trzymaj się, Jules. Wyprowadzę cię stąd. Chce ci się pić?

Pokiwał głową.

Otworzyła plecak. Należał do agenta Barnsa. Wewnątrz znajdował się zestaw survivalowy: foliowy pakiecik zawierający kilka batoników wysoko proteinowych i butelka wody. Wyjęła butelkę i podała Julianowi.

Dostrzegła wewnątrz lniany worek i wyjęła delikatnie, a otworzywszy, ujrzała wewnątrz pół tuzina skorodowanych metalowych płyt. Koniuszkami palców wyczuła znajdujące się na płytach wgłębienia i wypukłości nieczytelnych liter i znaków wyciśniętych w metalu.

- Co o tym sądzisz? - spytała, podając mu jedną z nich.

Julian obrócił płytę w dłoniach, przyglądając się jej sceptycznie.

- Wygląda jak praca z metaloplastyki jakiegoś dzieciaka - odburknął ze znużeniem,

oddając jej płytę. - Arkusz metalu ze złomu, z odcisniętymi na nim paroma dziwacznymi znakami i symbolami. Powiem szczerze - rzekł. - Jestem przekonany, że to nie jest Słowo Boże zapisane w języku aniołów.

- A to? - spytała, wyciągając wyświechtany worek. Znajdujące się wewnątrz kości zagrzechotały delikatnie.

- Stawiam dziesięć funtów, że to był kiedyś czyjś kot domowy.

- Są stare - wtrąciła. - A ten worek też ma już swoje lata.

Julian wzruszył ramionami.

- No nie wiem. Wobec tego to czyjś stary, domowy kot.

Rose się zaśmiała.

- Może i tak. Co z nimi zrobimy?

- Nie wiem. Poprosimy kogoś, żeby się im przyjrzał. Jeśli to autentyczne płyty Josepha Smitha, to podejrzewam, że mają pewną wartość historyczną. Jestem pewien, że Kościół mormoński nie miałby nic przeciw temu, aby je odzyskać.

Rose pokiwała głową.

- Chyba tak. Ale to absurdalne, nie uważasz?

- Co takiego?

- Że ci wszyscy ludzie, tamci i inni, tacy jak Shepherd, byli gotowi zabijać za worek starych kości i parę arkuszy skorodowanego metalu.

Julian zaśmiał się słabo.

- Na tym świecie świrów nie brakuje.

Uniosła wzrok ku niebu. Z góry zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu, delikatne i niesione wiatrem jak pyłki dmuchawca.

- Zaczyna sypać śnieg - powiedziała. - Chodźmy już... pora iść. Nie chciałabym ugrzęznąć tu na noc.

- Ja też nie - mruknął, krzywiąc się Julian.

Włożyła oba worki, lniany i płócienny, na powrót do plecaka, zarzuciła go na ramię i aż się skrzywiła, wiedząc, jak bardzo Julian musi cierpieć, podnosząc się z ziemi.

- O w mordę! - zawył. - Ała! Powoli, Rose... powoli.

- Przepraszam, wybacz - rzuciła pokornie kojącym tonem.

Syknął i wziął kilka głębszych oddechów.

- No dobra... w porządku, jestem gotowy, możemy iść.

- Ta rzeka zaprowadzi nas w dół, do obozu - zapewniła go. - Jestem pewna, że powinniśmy tam dotrzeć jeszcze przed wieczorem.

Pokiwał głową.

- I dobrze.

Ruszyli dalej wzdłuż mulistego brzegu rzeki, przy każdym oddechu z ich ust wypływały kłębiaste obłoczki pary, a oni brnęli, noga za nogą, patrząc, jak z zimowego nieba powyżej sypią się pierwsze, rzadkie jeszcze płatki śniegu.

Julian wysilił się na słaby, optymistyczny uśmiech. Gdyby nie dojmujący ból przeszywający jego nogę, byłaby to całkiem przyjemna wyprawa. Było spokojnie, niemal zupełnie cicho, jeśli nie liczyć łagodnego, przytłumionego szmeru rzeki, szelestu i stukotu plecaka, objającego się o ramię Rose przy każdym kolejnym, chwiejnym kroku, i czegoś jeszcze... delikatnego, kojącego poszum wiatru przepływającego pośród nagich gałęzi wiązów i cedrów porastających brzeg rzeki; dźwięku niemal do złudzenia przypominającego ludzki głos... szepczący coś, co brzmiało prawie jak słowa.

Od autora

Inspiracją do napisania *Anioła śmierci* był dla mnie pewien mało znany przypadek historyczny określany mianem „Incydent Donnera”. „Wyprawa Donnera” była grupą osadników, którzy wyruszyli przez amerykański środkowy zachód odrobinę za późno i zostali zaskoczeni przez pierwsze opady śniegu w górach Sierra Nevada, tak jak postacie z książki. To było ziarno inspiracji dla tej powieści. Początkowo zamierzałem napisać udramatyzowaną wersję tamtych wydarzeń, ale wyobrażenia i inwencja szybko weszły mi w paradę i stwierdziłem, że o wiele ciekawsze będzie odejście od relacjonowania wydarzeń historycznych i stworzenie własnego kalejdoskopu postaci i opowiedzenie całkiem innej historii.

Przygotowania, jak zawsze, wymagały nader szczegółowych opracowań, za które muszę podziękować Google i Google Map. Jeżeli chodzi o postacie z tamtego okresu i drobne szczegóły z życia, pomogło mi kilka książek, najbardziej chyba *Centennial* Jamesa A. Michenera.

Czytelników, których mogły zaintrygować początki wiary mormonów, pragnę zapewnić, wiercie lub nie, ale historia Josepha Smitha nie została *ani trochę* przeze mnie podkoloryzowana, taką właśnie opowieść przekazywał wszystkim, którzy chcieli go wysłuchać. Może jego opowieść o Boskim natchnieniu byłaby bardziej przekonująca, gdyby od współczesności dzieliło ją 1500 lub 2000 lat, i zyskałby swoisty kredyt zaufania, jak przystało na pochodzącą z czasów biblijnych. Miast tego mamy relację o wierze pochodzącej z jego ust i zrodzoną w latach trzydziestych XIX w., osobliwą mieszankę teorii i zainteresowań, jakie były w owym czasie popularne w Nowej Anglii (egiptologia, archeologia, poszukiwacze skarbów, kody i interesujące mitologie).

Narodziny nowej wiary Josepha Smitha przywodzą mi nieodparcie na myśl scenę z *Żywotu Briana* grupy Monty Pythona, w której Brian, uciekając przed Rzymianami, ukrywa się, udając proroka w ich własnej, ówczesnej wersji Hyde Parku. Jeżeli widzieliście film, to wiecie, którą scenę mam na myśli. Tę, w której Rzymianie poszukujący Briana minęli go i poszli dalej, a on sam, stwierdziwszy, że jest raczej bezpieczny, przestaje pleść, co mu ślina na język przyniesie, przed tłumem znudzonych słuchaczy na targowisku i nagle milknie. Nie kończy kolejnego zdania, ale znudzony tłum, ot tak, z czystej ciekawości nakłania go, by

kontynuował swe wyssane z palca proroctwa. Briana jednak bardziej interesuje jak najszybsza ucieczka i daje nogę, jednak tłum wiernych słuchaczy, oszalałych z ciekawości, rusza w ślad za nim... i tak oto rodzi się nowy prorok.

To może brzmieć, jakbym miał coś przeciwko wierze. Może tak, może nie. Powiem raczej, że mogę mieć coś przeciwko zorganizowanej wierze. Mógłbym napisać długi elaborat o tym, dlaczego uważam, że jest ona przekleństwem ludzkości i w związku z tym powinna ewoluować, przerodzić się w *coś innego*. Zrobię to kiedy indziej. Jestem bardziej skłonny uwierzyć tym ludziom, którzy cisi i pokorni mają w sobie *osobistą, głęboką* wiarę w coś, co wykracza daleko poza nasz świat, ich zachowania nie są ujęte w żadne kodeksy, a oni sami nie określają innych ludzi mianem *heretyków* ani ich nie prześladują. Podobnie jak Ben, uważam się za ateistę. Ale wiecie co? Muszę przyznać, że w moim życiu było kilka momentów, kiedy tak bardzo się bałem, byłem tak potwornie przerażony, że cichutko, pod nosem zacząłem się modlić. A więc może jakaś maleńka cząstka mnie gdzieś w głębi ma nadzieję, że istnieje coś więcej niż to, co potrafimy dostrzec, zmierzyć czy zrozumieć.